

Stephen King

Łowca snów

Dreamcatcher

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

*Ta książka jest
dla Susan Moldow i Nan Graham*

NAJPIERW WIADOMOŚCI

„East Oregonian”, 25 czerwca 1947

STRAŻAK SPOTYKA „LATAJĄCE TALERZE”

Kenneth Arnold melduje o dziewięciu obiektach w kształcie dysku
„Srebrzyste i błyszczące, poruszały się niewiarygodnie szybko”

„Daily Record”, Roswell, Nowy Meksyk, 8 lipca 1947

SIŁY POWIETRZNE PRZECHWYCIŁY „LATAJĄCY SPODEK” NA RANCZU W OKOLICY ROSWELL Agencje wywiadowcze badają uszkodzony talerz

„Daily Record”, Roswell, Nowy Meksyk, 9 lipca 1947

RZEKOMY „SPODEK” TO BALON METEOROLOGICZNY — informują siły powietrzne

„Daily Tribune”, Chicago, 1 sierpnia 1947

USAF nie potrafią wyjaśnić, co naprawdę widział Arnold
850 kolejnych doniesień o zagadkowych zjawiskach
PEŁNY RAPORT

„Daily Record”, Roswell, Nowy Meksyk, 19 października 1947

**TZW. KOSMICZNE ZBOŻE TO KŁAMSTWO —
TWIERDZĄ ZIRYTOWANI FARMERZY**
Andrew Houston zaprzecza istnieniu związku z „latającymi talerzami”:
„Czerwone zboże to czyjś głupi żart”

„Courier Journal”, Kentucky, 8 stycznia 1948

PILOT SAMOLOTU WOJSKOWEGO GINIE PODCZAS POGONI ZA UFO

Ostatnie słowa Mantella:
„Ogromny, błyszczący jakby był z metalu”
Siły powietrzne milczą

„Nacional”, Brazylia, 8 marca 1957

**TAJEMNICZY LATAJĄCY POJAZD
ROZBIJA SIĘ W MATO GROSSO!
DWIE PRZERAŻONE KOBIETY KOŁO PORTO PORAÑ**

„Z wnętrza dobiegały jakieś piski”, twierdzą

„Nacional”, Brazylia, 12 marca 1957

GROZA W MATO GROSSO!

Napływają doniesienia o szarych ludziach
z wielkimi czarnymi oczami.

Uczeni nie dowierzają, meldunków coraz więcej

PRZERAŻENIE W WIOSKACH

„Oklahoman”, 12 maja 1965

POLICJANT STRZELA DO UFO

Latający talerz unosił się 10 metrów nad drogą numer 9

Radar potwierdza obserwację

„Oklahoman”, 2 czerwca 1965

**„KOSMICZNE POROSTY” TO BZDURA —
TWIERDZI PRZEDSTAWICIEL FARMERÓW**

„Czerwone chwasty” to najprawdopodobniej
efekt sztubackiego żartu

„Press-Herald”, Portland, Maine, 14 września 1965

CORAZ WIĘCEJ DONIESIEŃ O UFO Z NEW HAMPSHIRE

Najwięcej meldunków napływa z okolicy Exeter

Mieszkańcy obawiają się inwazji Obcych

„Union-Leader”, Manchester, New Hampshire, 19 września 1965

**GIGANTYCZNY OBIEKT WIDZIANY NAD EXETER
BYŁ TYLKO ZŁUDZENIEM OPTYCZNYM**

Śledztwo prowadzone przez USAF

nie potwierdza policyjnych doniesień

Funkcjonariusz Cleland nie ma wątpliwości:

„Wiem, co widziałem”

„Union-Leader”, Manchester, New Hampshire, 30 września 1965

**ZBIOROWE ZATRUCIE POKARMOWE W PLAISTOW WCIĄŻ
NIEWYJAŚNIONE**

Ponad 300 przypadków, większość chorych

szybko wraca do zdrowia.

Przyczyną prawdopodobnie zanieczyszczone studnie

„Journal”, Michigan, 9 października 1965

**GERALD FORD WZYWA
DO PRZEPROWADZENIA ŚLEDZTWA**

W SPRAWIE UFO

Przywódca republikanów w Senacie twierdzi, że „światła nad Michigan” mogą być pozaziemskiego pochodzenia

„Los Angeles Times”, 19 listopada 1978

UCZENI Z KALIFORNII ZAOBSERWOWALI NAD PUSTYNIĄ MOJAVE WIELKI LATAJĄCY OBIEKT W KSZTAŁCIE DYSKU

Tickman: „Otaczało go mnóstwo małych jasnych światełek”

Morales: „Widziałem czerwone włókna przypominające anielskie włosy”

„Los Angeles Times”, 24 listopada 1978

POLICJA I EKSPERCI SIŁ POWIETRZNYCH NIE ZNALEŻLI ŻADNYCH „ANIELSKICH WŁOSÓW”

Tickman i Morales pomyślnie przechodzą próbę
na wykrywaczu kłamstw.

Możliwość mistyfikacji wykluczona

„New York Times”, 16 sierpnia 1980

„OFIARY OBCYCH” OBSTAJĄ PRZY SWOIM

Psycholodzy kwestionują autentyczność podobizn
tzw. Szarych Ludzi

„Wall Street Journal”, 9 lutego 1985

CARL SAGAN: „NIE JESTEŚMY SAMI”

Znany uczyony obstaje przy swojej wierze w życie pozaziemskie.

„Szanse są ogromne”, twierdzi

„Sun”, Phoenix, 14 marca 1997

DUŻE UFO WIDZIANO W POBLIŻU PRESCOTT DZIESIĄTKI LUDZI OBSERWOWAŁY „OBIEKT W KSZTAŁCIE BUMERANGU”

Do bazy USAF w Lukę napływają kolejne meldunki

„Sun”, Phoenix, 20 marca 1997

„ŚWIATŁA NAD PHOENIC POZOSTAJĄ ZAGADKĄ

„Te zdjęcia to nie fotomontaż”, twierdzą specjaliści.

Siły powietrzne milczą

„Weekly”, Paulden, Arizona, 9 kwietnia 1997

ZAGADKOWE ZATRUCIE POKARMOWE ZATACZA CORAZ SZERSZE KRĘGI

Informacje o „czerwonej trawie” niepotwierdzone

„Daily News”, Derry, Maine, 15 maja 2000

**TAJEMNICZE ŚWIATŁA
PONOWNIE NAD JEFFERSON TRACT**

Zarządca osady Kineo: „Nie mam pojęcia, czym są,
ale wiem, że wciąż tu wracają”

SSDD

Zrobiła się z tego ich dewiza, chociaż Jonesy nijak nie mógł sobie przypomnieć, który z nich to wymyślił. *Płać i płacz* było jego, *A niech mnie Freddy przeleci* i kilka innych, jeszcze bardziej soczystych powiedzonek pochodziło od Beavera, Henry nauczył ich *Co ma wrócić, zawsze wraca* — już wtedy uwielbiał takie bzdury trącające mocno filozofią zen.

Ale co z SSDD? Kto to spłodził?

Nieważne. Liczyło się tylko to, że w pierwszą połowę wierzyli wtedy, kiedy było ich czterech, w całość wówczas, kiedy było ich pięciu, a w drugą połowę wtedy, kiedy znowu było ich czterech.

Gdy znów byli we czwórkę, dni stały się mroczniejsze, bardziej takie w stylu *A niech mnie Freddy przeleci*. Zdawali sobie z tego sprawę, lecz nie mieli pojęcia, dlaczego tak się dzieje. Wiedzieli, że coś jest z nimi nie w porządku albo że przynajmniej coś się zmieniło, ale nie wiedzieli co. Zdawali sobie sprawę, że wpadli w pułapkę, lecz nie zorientowali się, jak do tego doszło. A to wszystko na długo przed światłami na niebie, przed McCarthym i Becky Shue.

SSDD: Czasem wystarczy tylko coś powiedzieć, a czasem wierzysz już tylko w ciemność. I jak wtedy dasz sobie radę?

8: NAWET BEAVERA COŚ GRYZIE

W twierdzeniu, że małżeństwo Beavera nie układało się najlepiej, było tyle samo prawdy co w informacji, że start „Challengera” trochę się nie udał. Joe „Beaver” Clarendon i Laurie Sue Kenopensky wytrzymali ze sobą osiem miesięcy, a potem: pierdut, wszystko się sypie, niech mi ktoś pomoże posprzątać, do cholery.

Beaver to w gruncie rzeczy pogodny i zadowolony z życia chłopak, każdy z jego kumpli wam to powie, ale teraz nadeszły dla niego ciężkie czasy. W ogóle nie widuje się z przyjaciółmi (to znaczy z tymi, których uważa za prawdziwych przyjaciół), jeśli nie liczyć tego jednego jedyne go tygodnia w listopadzie, kiedy spotykają się co roku. Minionego listopada jeszcze jakoś wytrzymał z Laurie Sue — ledwo, ledwo, ale jednak. Teraz spędza dużo czasu (stanowczo zbyt wiele, nawet on zdaje sobie z tego sprawę) w barach w rejonie Starego Portu w Portland.

The Porthole, The Seaman’s Club, The Free Street Pub... Za dużo pije, za dużo pali, rankiem zazwyczaj nie może patrzeć na swoje odbicie w lustrze: otoczone czerwonymi obwódkami oczy uciekają w bok, a przez głowę zaś przebiega myśl: Muszę przestać tam chodzić. Jak tak dalej pójdzie, będę miał ten sam problem co Pete. Święty Jezu na bananie.

Nie zaglądamy do knajp, nie imprezujemy, świetny pomysł, a zaraz potem znów się tam melduje, czołem wszystkim i jak się macie. W ten czwartek wylądował w The Free Street, piwo w ręce, skręt w kieszeni, z szafy grającej płynie jakiś stary instrumentalny kawałek, coś jakby The Ventures. Beaver nie może sobie przypomnieć tytułu, bo to był przebój jeszcze sprzed jego czasów, ale zna go dobrze, po rozwodzie słucha prawie wyłącznie stacji radiowych nadających starocie.

Starocie działają kojąco, a te wszystkie nowości... Laurie Sue słuchała nowości i знаła wszystkie aktualne przeboje, ale Beavera zupełnie to nie kręci.

W lokalu jest prawie pusto: kilku facetów przy barze i kilku przy stole bilardowym w głębi, Beaver z paroma koleśkami przy stoliku. Żłopiają piwo beczkowe i rzną w karty, żeby ustalić, kto płaci za kolejkę. Cholera, co to za utwór z tymi gitarami? „Out of Limits”?

„Telstar”? Nie, w „Telstar” jest jeszcze syntezator, a tu go nie ma. Zresztą, co to kogo obchodzi? Tamci opowiadają o Jacksonie Browne, który zeszłego wieczoru występował w Civic Center i dał koncert ekstra, jeśli wierzyć George’owi Pelsenowi, który tam był.

— Powiem wam, co jeszcze było ekstra — mówi George, spoglądając na nich znacząco, po czym unosi głowę i pokazuje czerwony ślad z boku szyi. — Wiecie, co to jest?

— Całus? — rzuca niepewnie Kent Astor.

— No pewnie, że całus! — odpowiada z dumą George. — Po koncercie poszliśmy z chłopakami pod wyjście dla artystów, żeby załapać się na autograf Jacksona albo, bo ja wiem, Davida Lindleya. Niezły jest.

Kent i Sean Robideau zgadzają się, że Lindley jest niezły — na pewno żaden z niego bóg gitary, o nie (bogiem gitary jest Mark Knopfler z Dire Straits i Angus Young z AC/DC, i, oczywiście, Clapton), ale całkiem w porządku. Ma świetne solówki, no i włosy ekstra, aż do ramion.

Beaver nie uczestniczy w dyskusji. Pragnie wyrwać się stąd, uciec z tej beznadziejnej knajpy, zaczerpnąć świeżego powietrza. Wie, do czego zmierza George, i wie, że to wszystko kłamstwo.

Ona wcale nie nazywała się Chantay, nawet nie wiesz, jak miała naprawdę na imię, minęła cię tak, jakby wcale cię tam nie było, zresztą kim byłbyś dla takiej dziewczyny jak ona, jeszcze jednym długowłosym robolem w jeszcze jednym robotowym mieście w Nowej Anglii, wsiadła do autokaru razem z zespołem i odjechała z twojego życia. Z pieprzonego beznadziejnego życia. Teraz leci właśnie muzyka Chantays, tak się nazywa ta grupa, to nie Mar-Kets ani Bar-Kays, tylko Chantays, to „Pipeline” w wykonaniu Chantays, a ten ślad na twojej szyi to nie całus, tylko po prostu zaciąłeś się przy goleniu.

Myśli te przemykają mu przez głowę, a potem słyszy płacz. Nie w The Free Street, tylko w swojej głowie. Ten płacz co prawda dawno już umilkł, ale pozostawił po sobie mnóstwo rozsypanego szkła, mnóstwo cholernie ostrych kawałków szkła, i niech, niech, niech mnie Freddy przeleci, niech on wreszcie przestanie płakać.

To dzięki mnie przestał płakać, myśli Beaver. To dzięki mnie. Ja go uspokoiłem. Objąłem go i zaśpiewałem.

Tymczasem George Pelsen opowiada, jak to drzwi dla artystów wreszcie się otworzyły, ale wcale nie wyszedł z nich Jackson Browne ani nie David Lindley, tylko trzyosobowy dziewczęcy chórek: Randi, Susi i Chantay, wszystkie niesamowite laseczki, wszystkie takie wysokie i apetyczne.

— Kurde! — mówi Sean, przewracając oczami. Jest niskim pulchnym człowieczkiem, którego seksualne podboje polegają na niezbyt częstych wyprawach do Bostonu, gdzie pożera wzrokiem striptizerki w Foxy Lady i rozebrane kelnerki w Hooters. — Kurde, mówię wam, ta Chantay!

Porusza ręką, jakby się masturbował. Przynajmniej teraz wygląda jak prawdziwy fachowiec, myśli Beaver.

— No więc zagadałem do nich... a najbardziej do Chantay... i zapytałem, czy nie chciałyby skosztować nocnego życia w Portland. Potem...

Beaver wyjmuje z kieszeni wykałaczkę, wsuwa ją do ust, wyłącza fonię. Liczy się tylko wykałaczka. Nie piwo przed nim na stoliku, nie skręt w kieszeni, a już na pewno nie bredzenie George’a Pelsena o tym, jak to razem z mityczną Chantay władował się na tył swojego pikapu, dzięki Bogu, że miał tam koc; kiedy mój wóz się kotysze, zupełnie nic nie słyszę.

Pic na wodę, myśli Beaver i nagle ogarnia go rozpaczliwa depresja, jeszcze głębsza niż wtedy, kiedy Laurie Sue spakowała rzeczy i wyniosła się do matki. To zupełnie do niego niepodobne. Nagle ogarnia go straszliwe pragnienie, żeby jak najprędzej stąd wyjść, napełnić płuca chłodnym morskim powietrzem i poszukać budki telefonicznej. Chce jak najszybciej

zadzwoić do Jonesy'ego albo Henry'ego, wszystko jedno do którego, i powiedzieć: „Hej, co słyszeć?”, a wtedy któryś z nich odpowie: „Wiesz jak jest, Beaver: SSDD, tu się nie gra, tu się nie hałasuje”.

Wstaje z miejsca.

— Ej, co jest? — pyta George. Beaver chodził z nim do Westbrook Junior College, i wtedy George wydawał się całkiem w porządku, ale to było cholernie dawno temu. — Dokąd?

— Odać się — mówi Beaver, przesuając wykałaczkę z jednego kącika ust w drugi.

— No to się lepiej pośpiesz, bo zaraz będzie najlepsze.

Majtki bez krocza, przemyka Beaverowi przez głowę.

Kurde, dzisiaj to dziwne uczucie jest wyjątkowo silne, może to przez ciśnienie albo co.

— Kiedy podniosłem jej spódniczkę... — zaczyna George przyciszonym głosem.

— Wiem, wiem: miała na sobie majtki bez krocza — kończy za niego Beaver. Dostrzega w oczach George'a bezbrzeżne zdumienie, niemal szok, ale nic go to nie obchodzi. — Jasne, cholernie chcę o tym posłuchać.

Idzie w kierunku męskich toalet roztaczających woń moczu i środków dezynfekcyjnych, mija je, mija damską toaletę, mija drzwi z napisem BIURO i wychodzi na boczną alejkę. Niebo jest białosiwe i deszczowe, a powietrze świeże.

Bardzo świeże. Zaciąga się nim głęboko. Tu się nie gra, tu się nie hałasuje. Uśmiecha się trochę.

Spaceruje przez dziesięć minut, żuje wykałaczki i wietrzy sobie głowę. W pewnej chwili, nawet nie pamięta dobrze kiedy, wyrzuca skręta z kieszeni, a potem dzwoni z automatu do Henry'ego. Spodziewa się usłyszeć automatyczną sekretarkę, ale okazuje się, że Henry jest w domu i odbiera po drugim sygnale.

— Co słyszeć, stary? — pyta Beaver.

— Sam wiesz — odpowiada Henry. — Nic szczególnego.

A co u ciebie?

Beaver zamyka oczy. Przez chwilę znów wszystko jest w porządku — przynajmniej na tyle, na ile może być w tym zakichanym świecie.

— To samo, koleś. Dokładnie to samo.

1993: PETE POMAGA KOBIECIE W KŁOPOTACH

Pete siedzi za biurkiem w salonie samochodowym Macdonald Motors w Bridgton i bawi się łańcuszkiem od kluczyków. Na breloczku widnieją cztery błękitne litery: NASA.

Sny są szybsze od tych, którzy je śnią — Pete zdążył się już o tym przekonać na własnej skórze. Jednak te najświeższe często umierają zdumiewająco powoli, zawodząc żalonymi, cichymi głosami gdzieś na samym dnie mózgu. Minęło sporo czasu od chwili, kiedy Pete po raz ostatni spał w pokoju o ścianach oblepionych plakatami ze statkami Apollo, raketami Saturn, astronautami, spacerami w kosmosie (EVA, dla tych, co się znają na rzeczy), kapsułami kosmicznymi o osmalonych pancerzach, księżycowymi ładownikami (czyli LEM-ami), Voyagerami, a także lśniącym dyskiem nad autostradą międzystanową numer 80. Na pasie zieleni rozdzielającym jezdnie stoją ludzie, osłaniają oczy, by lepiej widzieć niezwykle zjawisko, podpis zaś głosi: Pochodzenia tego obiektu, sfotografowanego w roku 1971 w pobliżu Arvada w Kolorado, nigdy nie udało się wyjaśnić. To autentyczne UFO.

Bardzo dużo czasu.

Mimo to jeden z dwóch tygodni urlopu spędził w tym roku w Waszyngtonie, gdzie codziennie chodził do Muzeum Podboju Powietrza i Kosmosu i przechadzał się wśród eksponatów z rozmarzonym uśmiechem na twarzy. Większość czasu spędzał, gapiąc się na księżycowe skały i myśląc: Te kamienie pochodzą z miejsca, gdzie niebo jest zawsze czarne i

nic nie zakłóca wiecznej ciszy. Neil Armstrong i Buzz Aldrin przywieźli dwadzieścia kilogramów innego świata, i tutaj to jest.

A on z kolei jest tutaj, za biurkiem, w dzień, kiedy nie udało mu się sprzedać ani jednego samochodu (w deszczowe dni ludzie nie kupują samochodów, a w części świata, w której przebywa Pete, mży od świtu), obraca w palcach breloczek NASA i gapi się na zegar. Popołudniami czas zwalnia bieg, w okolicach piątej prawie się zatrzymuje. O piątej nadejdzie pora na pierwsze piwo, ale nie wcześniej. Nie ma mowy. Owszem, kiedyś piłeś w dzień, a potem nawet zapisywałeś, ile wypięś, bo tak robią wszyscy alkoholicy na początku kuracji, ale teraz, skoro potrafisz siedzieć i bawić się łańcuszkiem od kluczyków...

Pete czeka nie tylko na swoje pierwsze piwo, ale również na listopad. Kwietniowa wycieczka do Waszyngtonu była bardzo udana, a księżycowe skały wspaniałe (nawet teraz, kiedy o nich myśli, aż zapiera mu dech w piersi), ale wtedy był sam, a to już nieszczególnie mu się podobało. W listopadzie, kiedy weźmie drugi tydzień urlopu, będą z nim Henry, Jonesy i Beaver. Wtedy pozwoli sobie na picie w ciągu dnia.

Kiedy jesteś w środku lasu, na polowaniu z przyjaciółmi, w picciu w dzień nie ma nic złego. To właściwie tradycja. To...

Otwierają się drzwi i do salonu wchodzi atrakcyjna brunetka: jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu (Pete lubi wysokie kobiety), około trzydziestki. Spogląda przelotnie na wystawione samochody (najlepszy jest nowy wiśniowy thunderbird, chociaż explorer też nie jest zły), ale od razu widać, że nie przysłała tu z myślą, żeby któryś z nich kupić. Chwilę potem dostrzega Pete'a i rusza w jego kierunku.

Pete wstaje, zostawia łańcuszek z breloczkiem na biurku, wychodzi jej naprzeciw i wita ją w drzwiach biura z najwspanialszym profesjonalnym uśmiechem na twarzy — pełna moc, dwieście watów — i wyciągniętą ręką. Dłoń kobiety jest chłodna, uścisk silny, od razu jednak widać, że coś ją dręczy.

— Obawiam się, że to nie podziąła — mówi.

— Nigdy nie należy zaczynać w ten sposób rozmowy ze sprzedawcą samochodów — odpowiada Pete. — My uwielbiamy wyzwania. Jestem Pete Moore.

— Bardzo mi miło. — Nie przedstawia się, ale on i tak wie, że ma na imię Trish. — Za czterdzieści pięć minut... — zerka na zegar, który Pete tak uważnie obserwował przez całe ślimaczące się popołudnie — ...tak, równo za czterdzieści pięć minut mam spotkanie we Fryeburgu. Z klientem, który chce kupić dom, a ja jestem prawie pewna, że znalazłam to, czego on szuka. Mam obiecaną wysoką prowizję, a tymczasem... — Oczy zachodzą jej łzami, musi przełknąć ślinę, żeby rozluźnić ściśnięte gardło. — Zgubiłam kluczyki! Zgubiłam cholerne kluczyki od samochodu! — Otwiera torebkę i zaczyna w niej rozpaczliwie grzebać. — Mam dowód rejestracyjny... jeszcze jakieś papiery od samochodu... więc pomyślałam sobie, że może mógłby mi pan szybko dorobić nowy komplet. Ta transakcja jest dla mnie bardzo, bardzo ważna, panie...

Zapomniała. Nie ma jej tego za złe: nazwisko Moore jest niemal równie często spotykane jak Smith albo Jones. Poza tym jest zdenerwowana. Każdy byłby po zgubieniu kluczyków. Pete widywał to już setki razy.

— Moore. Ale proszę do mnie mówić Pete.

— Pomoże mi pan, panie Moore? Albo skieruje mnie pan do kogoś, kto będzie mógł mi pomóc?

W warsztacie jest jeszcze Johnny Damon, który na pewno z przyjemnością by jej pomógł, ale i tak nie zdążyłaby na czas do Fryeburga.

— Oczywiście możemy dorobić pani kluczyki, lecz to potrwa co najmniej dwadzieścia cztery godziny, a niewykлучone, że nawet czterdzieści osiem.

Przez chwilę wpatruje się w niego aksamitnobrązowymi oczami pełnymi łez, po czym z jej ust wyrywa się rozpaczliwy okrzyk:

— A niech to! A niech to szlag trafi!

Dziwna myśl przemyka Pete'owi przez głowę: kobieta jest bardzo podobna do dziewczyny, którą znał dawno temu — dość przelotnie, wystarczająco blisko jednak, żeby uratować jej życie. Nazywała się Josie Rinkenhauer.

— Wiedziałam! — Trish już nawet nie próbuje ukryć drżenia głosu. — Wiedziałam, że tak będzie!

Odwraca się gwałtownie i wreszcie pozwala łzom popłynąć z oczu. Pete delikatnie kładzie jej rękę na ramieniu.

— Zaczekaj, Trish. Zaczekaj chwilę.

To błąd, przecież mu się nie przedstawiła, ale jest w takim stanie, że nie zdaje sobie z tego sprawy, więc nic nie szkodzi.

— Skąd przyjechałaś? Nie jesteś z Bridgton, prawda?

— Nie. Pracuję w Dennison Real Estate w Westbrook. Wie pan, to ten budynek, który wygląda jak latarnia morska.

Pete kiwa głową, jakby rzeczywiście wiedział.

— Stamtąd właśnie jadę. Zatrzymałam się przy aptece, żeby kupić aspirynę, bo przy takich ważnych okazjach zawsze okropnie boli mnie głowa. To przez stres, teraz też łupie jak młot...

Pete ponownie kiwa głową, tym razem ze współczuciem.

Dobrze wie, co to znaczy ból głowy. Co prawda u niego przyczyną jest zazwyczaj nadmiar piwa, ale ból pozostaje bólem.

— Miałam jeszcze trochę czasu, więc weszłam do barku obok apteki, żeby napić się kawy... Wie pan, to czasem pomaga na ból głowy...

Pete znowu potakuje. Co prawda to Henry jest psychiatrą, ale Pete powtarzał mu wiele razy, że aby być dobrym sprzedawcą, trzeba znać tajniki działania ludzkiego umysłu.

Z zadowoleniem stwierdza, że jego nowa znajoma nieco się uspokoiła. To dobrze. Wydaje mu się, że będzie mógł jej pomóc. Czuje, że to COŚ chce znowu mu się przydarzyć. Lubi to COŚ. To nic wielkiego, nic nie zmieni w jego życiu, ale jednak to lubi.

— A potem przeszłam na drugą stronę ulicy, do Renny'ego. Kupiłam apaszkę, bo wie pan, ten deszcz... — Poprawia włosy. — Kiedy wróciłam do samochodu, tych przeklętych kluczyków nigdzie nie było! Sprawdziłam i w sklepie, i w barze, i aptece — nigdzie ich nie ma! A teraz spóźnię się na spotkanie!

W jej głosie znowu słychać nutę rozpacz, wzrok kieruje na zegar. Dla niego czas wlecze się niemilosiernie, dla niej pędzi jak szalony. Na tym polega różnica między ludźmi, myśli Pete. A przynajmniej jedna z różnic.

— Niech się pani uspokoi. Proszę się uspokoić choć na kilka sekund i posłuchać mnie. Pójdziemy teraz razem do apteki, żeby poszukać pani kluczyków.

— Ale ich tam nie ma! Sprawdziłam między regałami, na półce, z której brałam aspirynę, zapytałam kasjerkę...

— Nie zaszkodzi sprawdzić jeszcze raz.

Rusza w kierunku drzwi, popychając ją delikatnie przed sobą. Podoba mu się zapach jej perfum, podobają mu się jej włosy. Nawet bardzo. Jeśli tak ładnie wyglądają w deszczowy dzień, to jakie muszą być w blasku słońca?

— Moje spotkanie...

— Ma pani jeszcze czterdzieści minut. Teraz, kiedy nie ma turystów, do Fryeburga można dojechać w dwadzieścia. Poświęćmy dziesięć minut na szukanie pani kluczyków, a jeżeli ich nie znajdziemy, sam panią zawiozę.

Spogląda na niego nieufnie.

— Dick! — woła nad jej głową. — Hej, Dickie M.!

Dick Macdonald wychyla się zza biurka przysypanego papierami.

— Bądź tak uprzejmy i powiedz tej pani, że może ze mną bezpiecznie pojechać do Fryeburga, gdyby zaszła taka potrzeba.

— Będzie pani zupełnie bezpieczna — mówi Dick. — Pete nie jest maniakiem seksualnym i nie jeździ jak wariat. Przez całą drogę będzie namawiał panią do kupienia nowego samochodu.

— Mnie jest dość trudno przekonać — odpowiada z uśmiechem — ale skoro tak, to chyba dam panu szansę.

— Zastąpisz mnie, Dick?

— Spróbuję, lecz nie wiem, czy dam radę. Jak widzisz, klienci pchają się drzwiami i oknami.

Pete i brunetka — Trish — wychodzą z salonu i skręcają w lewo, w stronę oddalonej o kilkanaście metrów Main Street.

Apteka mieści się w drugim budynku po lewej stronie. Mżawka zgęstniała, niemal przeszła w deszcz. Kobieta zarzuca na włosy niedawno kupioną apaszkę i zerka na Pete'a, który ma odkrytą głowę.

— Zmoknie pan.

— Pochodzę z okolic, gdzie rodzą się sami twardziele.

— Pan rzeczywiście myśli, że je znajdzie, prawda?

Pete wzrusza ramionami.

— Być może. Jestem dobry w znajdowaniu zgubionych rzeczy. Zawsze byłem.

— Wie pan o czymś, o czym ja nie wiem?

Tylko o tym, że tu się nie gra, tu się nie hałasuje, proszę pani.

— Nie. Jeszcze nie.

Dzwonek nad drzwiami apteki oznajmia o ich przybyciu.

Dziewczyna przy kasie odrywa wzrok od czasopisma. Dwadzieścia po trzeciej w deszczowe sierpniowe popołudnie oprócz ich trojga, i pana Dillera stojącego przy półkach z lekarskami, nie ma tu żywej duszy.

— Cześć, Pete — wita go kasjerka.

— Witaj, Cathy. Co słychać?

— Sam wiesz: niewiele. — Przenosi spojrzenie na brunetkę. — Przykro mi, proszę pani. Szukałam wszędzie, ale ich nie znalazłam.

— Nic nie szkodzi. — Trish zdobywa się na blady uśmiech.

— Ten dżentelmen zgodził się zawieźć mnie na miejsce.

— Hmm... — mówi Cathy z powątpiewaniem. — Pete jest w porządku, ale żeby od razu nazywać go dżentelmenem...

— Uważaj, co mówisz, kochanie, bo wylądujesz w kantorku na jakiejś zapyziałej stacji benzynowej — odgryza się Pete z uśmiechem, po czym spogląda na zegarek. Czas przyspieszył również dla niego. To dobrze, miła odmiana.

Ponownie patrzy na Trish.

— A więc tutaj przyszła pani najpierw. Po aspirynę.

— Zgadza się. Kupiłam fiolkę anacinu. Potem zostało mi jeszcze trochę czasu, więc...

— Wiem, poszła pani na kawę, a potem na drugą stronę ulicy, do Renny'ego.

— Tak.

— Chyba nie popiła pani aspiryny gorącą kawą?

— Nie, miałam w samochodzie butelkę wody mineralnej.

— Wskazuje przez szybę na zielonego taurusa. — Sprawdziłam też na fotelu, panie... Pete. I w stacyjce.

Obrzuca go zniecierpliwionym spojrzeniem oznaczającym: *wiem, co sobie myślisz* — *głupia baba*.

— Jeszcze jedno pytanie. Jeżeli znajdę pani kluczyki, czy pójdzie pani ze mną na kolację? Moglibyśmy spotkać się w The West Wharf. To mniej więcej w połowie drogi stąd do...

— Wiem, gdzie jest The West Wharf. — Mimo trudnej sytuacji jest wyraźnie rozbawiona. Cathy już nawet nie udaje, że czyta czasopismo; to, co dzieje się na żywo przed jej oczami, jest znacznie ciekawsze. — Skąd wiesz, że nie jestem mężatką albo coś w tym rodzaju?

— Nie ma pani obrączki — odpowiada bez zastanowienia, chociaż wcale tego nie sprawdził, a przynajmniej nie dokładnie. — Poza tym mam na myśli małże z rusztu, sałatkę i deser, a nie związek do końca życia.

Kobieta zerka na zegar.

— Pete... Panie Moore... Obawiam się, że chwilowo nie mam najmniejszej ochoty na flirtowanie. Jeśli zechce mnie pan podwieźć, z przyjemnością umówię się z panem na kolację, ale...

— To mi wystarczy — przerywa jej. — Myślę jednak, że przyjedzie pani własnym samochodem. Może być wpół do szóstej?

— Tak, ale...

— W porządku.

Pete jest zadowolony. To dobrze, bo zadowolenie to prawie szczęście. Od kilku lat towarzyszy mu wrażenie, że szczęście omija go szerokim łukiem, i nie bardzo wie, dlaczego tak się dzieje. Zbyt wiele samotnych wieczorów spędzanych w przydrożnych barach? Owszem, ale czy to wszystko? Raczej nie, lecz teraz nie pora, żeby się nad tym zastanawiać. Ta kobieta śpieszy się na spotkanie. Jeżeli zdąży i sprzeda ten dom, to kto wie, może wreszcie szczęście przypomni sobie o panu Moorze? A nawet jeśli nie, to przynajmniej będzie mógł jej pomóc. Czuje to.

— Teraz zrobię coś dziwnego, ale proszę się nie przejmować, dobrze? To taka sobie niewinna sztuczka, coś jak uciśnięcie nosa, żeby powstrzymać kichanie.

— Aha... — mówi kobieta, ale w jej wzroku nie ma ani odrobiny zrozumienia.

Pete zamyka oczy, podnosi prawą rękę z wyprostowanym wskazującym palcem i zaczyna poruszać nim wahadłowo przed twarzą. Trish zerka niepewnie na Cathy, a ta wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: Kto wie?

— Panie Moore... — Kobieta jest wyraźnie zaniepokojona.

— Panie Moore, może powinnam po prostu...

Pete otwiera oczy, bierze głęboki wdech i opuszcza rękę. Patrzy nad ramieniem kobiety w kierunku drzwi.

— W porządku. A więc weszła tu pani... — Przesuwa wzrok, jakby ją obserwował. — Podeszła pani do kasy, pewnie po to, żeby zapytać, gdzie jest aspiryna albo o coś w tym rodzaju.

— Owszem, ale ja...

— Przy okazji coś pani kupiła. — Widzi to na stelażu ze słodyczami, wyraźny żółty ślad, jakby odcisk ręki. — Snickersa?

— Moundsa. — Wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami. — Skąd pan wie?

— A więc wzięła pani batonik, potem poszła pani po aspirynę... — Patrzy na drugą alejkę między regałami. — Potem zapłaciła pani w kasie i poszła... Wyjdźmy na zewnątrz, dobrze? Na razie, Cathy.

Cathy ogranicza się do skinienia głową.

Pete wychodzi na zewnątrz, nie zwraca uwagi na dzwonek u drzwi ani na deszcz, który teraz już nie siąpi, tylko po prostu pada. Żółte ślady są jeszcze widoczne na chodniku, ale szybko nikną. Deszcz je spłukuje. Pete jednak wciąż je widzi i sprawia mu to zadowolenie. Czuje to COŚ. Bardzo przyjemne uczucie. Znowu widzi linię, po raz pierwszy tak wyraźnie od długiego czasu.

— Z powrotem do samochodu... — mówi do siebie. — Do samochodu, żeby popić aspirynę wodą mineralną...

Powoli zbliża się do taurusa. Kobieta idzie za nim, ma zaniepokojone spojrzenie, prawie przerażone.

— Otworzyła pani drzwi... W rękach miała pani torebkę, kluczyki, aspirynę, batonik... I właśnie wtedy...

Schyła się, zanurza rękę w wodzie płynącej wzdłuż krawężnika po stronie jezdni, szuka czegoś przez chwilę, po czym prostuje się i wyciąga rękę do kobiety. Na otwartej dłoni leżą kluczyki.

— ...upuściła je pani.

Kobieta stoi nieruchomo, wpatruje się w niego z taką miną, jakby dopiero co na jej oczach dokonał czarnoksiężskiej sztuczki.

— Proszę je wziąć. — Już nie czuje się tak wspaniale jak przed chwilą. — To nie było nic nadzwyczajnego, po prostu dedukcja. Jestem w tym dość dobry. Oprócz tego doskonale potrafię znajdować zgubioną drogę, więc jestem nieocenionym towarzyszem długich samochodowych wypraw w nieznanie.

W końcu bierze od niego kluczyki, ale robi to szybko, ukradkiem, bardzo się starając, żeby nie dotknąć jego palców. Pete wie już, że się z nim nie spotka. Nie potrzebuje żadnego szczególnego daru, żeby się tego domyślić; wystarczy spojrzeć w jej oczy, wypełnione bynajmniej nie wdzięcznością, lecz strachem.

— Dziękuję panu. Bardzo dziękuję.

Cofa się o krok, zwiększa dystans, wyraźnie nie życzy sobie, żeby go zmniejszył.

— Nie ma sprawy. Proszę pamiętać: The West Wharf, wpół do szóstej. Najlepsze małże z rusztu w tej części stanu.

Czasem trzeba udawać do samego końca bez względu na to, co się naprawdę czuje. Chociaż większość szczęścia ulotniła się bezpowrotnie, część jednak została: znowu widział linię, a to zawsze podnosi go na duchu. Może te całe jego nadzwyczajne zdolności wcale nie są takie nadzwyczajne, ale mimo wszystko dobrze, że są.

— Wpół do szóstej — powtarza, otwierając drzwi, lecz równocześnie zerka na niego z ukosa tak, jak spogląda się ukradkiem na psa, o którym wiadomo, że zacznie kąsać, gdy tylko uda mu się zerwać z uwięzi. Jest bardzo zadowolona, że nie będzie musiała jechać z nim do Fryeburga. Nie trzeba umieć czytać w myślach, żeby to wiedzieć.

Stoi w deszczu, czeka, aż kobieta wyjedzie tyłem z parkingu, a potem żegna ją szerokim uśmiechem i serdecznym machaniem ręki. Ona w odpowiedzi kiwa palcami i, rzecz jasna, kiedy Pete zjawia się w The West Wharf (kwadrans po piątej, tak na wszelki wypadek), jej oczywiście nie ma, podobnie jak godzinę później. Mimo to siedzi przy barze, pije piwo i czeka, obserwując ruch na szosie numer 302. Wydaje mu się, że gdzieś za dwadzieścia szósta miga mu jej samochód, zielony taurus mknący w coraz bardziej obfitym deszczu, zielony taurus, który może i ciągnął za sobą żółtą mgiełkę, ale co z tego, skoro i tak zaraz rozmyła się w szarzącym powietrzu.

Nic nowego, przebiega mu przez głowę, ale po niedawnej radości nie ma już śladu, wraca za to smutek, w pełni zasłużony — tak przynajmniej mu się wydaje — cena za nie do końca zapomnianą zdradę. Zapala papierosa — dawno temu, jeszcze jako dzieciak, lubił udawać, że pali, a teraz już wcale nie musi udawać — i zamawia jeszcze jedno piwo.

— Chyba powinienes coś do tego przekąsić — mówi Milt, podając mu butelkę.

Pete zamawia małże z rusztu i nawet zjada kilka z sosem, do tego wypija jeszcze dwa piwa, a następnie przenosi się do innej knajpy, gdzie nie znają go tak dobrze. Dzwoni do Jonesy'ego w Massachusetts, ale Jonesy i Carla akurat wyjątkowo wyszli gdzieś razem, toteż zastaje tylko opiekunkę do dziecka, która pyta go, czy chce zostawić jakąś wiadomość.

Już ma odpowiedzieć „nie”, lecz w ostatniej chwili zmienia zdanie.

- Proszę mu przekazać, że dzwonił Pete, i że powiedział SSDD.
- S... S... D... D... — Notuje. — Czy on będzie wiedział...
- Jasne — mówi Pete. — Będzie.

O północy siedzi kompletnie pijany w jakiejś spelunie w New Hampshire — Muddy Rudder, albo może Ruddy Mother — opowiada równie pijanej panience, jak to kiedyś wierzył, że będzie pierwszym człowiekiem na Marsie. Panienka kiwa głową i powtarza aha, aha, ale on i tak wie, że dziewczyna myśli tylko o tym, czy przed zamknięciem lokalu zdąży wypić jeszcze jedną brandy. To w porządku. To bez znaczenia. Co prawda jutro Pete obudzi się z bólem głowy, lecz i tak pójdzie do pracy, może sprzeda jakiś samochód, a może nie, ale tak czy inaczej życie potoczy się dalej. Może nawet sprzeda wiśniowego thunderbirda, żegnaj, ślicznotko. Kiedyś było inaczej, teraz jest, jak jest. Chyba jakoś będzie mógł z tym żyć; dla kogoś takiego jak on zasada „płynąć z prądem” to jest SSDD, i, kurwa, co z tego? Dorastasz, stajesz się mężczyzną, musisz pogodzić się z tym, że dostajesz mniej, niż miałeś nadzieję dostać, odkrywasz maszynę marzeń, ale niestety wisi na niej wielka kartka z napisem NIECZYNNE.

W listopadzie pojedzie na polowanie z przyjaciółmi i to wystarczy, żeby miał czego oczekiwać... i może jeszcze szybkie uszminkowane ciągnięcie druta przez tę pijaną dziewczynę w samochodzie. Na więcej nie ma co liczyć.

Marzenia są dla dzieci.

1998: HENRY LECZY KANAPOWCA

W pokoju panuje półmrok, jak zawsze kiedy Henry przyjmuje pacjentów. Ciekawe, jak niewielu zwraca na to uwagę — być może dlatego, że w podobnym półmroku są pogrążone umysły większości z nich. Najczęściej odwiedzają go neurotycy („Więcej ich niż drzew w lesie”, powiedział kiedyś Jonesy’emu, kiedy byli, cha, cha, w lesie), on zaś nie może się uwolnić od całkowicie nienaukowego przekonania, że problemy, które sobie stwarzają, są czymś w rodzaju polaryzującej tarczy oddzielającej ich od reszty świata. Zazwyczaj myśli o nich ze współczuciem, ale zachowuje dystans.

Czasem ich żałuje, nieliczni po prostu go irytują. Barry Newman należy właśnie do nich.

Pacjenci, którzy po raz pierwszy odwiedzają gabinet Henry’ego, od razu stają przed wyborem, chociaż zwykle nie zdają sobie z tego sprawy. Wchodzą do przyjemnego (choć trochę słabo oświetlonego) pokoju, z kominkiem po lewej stronie. Brzozowe polana płonące w kominku to w rzeczywistości stalowa imitacja, pod którą zmyślnie ukryto cztery gazowe palniki. Obok kominka, pod doskonałą kopią „Nagietków” van Gogha (Henry często powtarza kolegom, że każdy psychiatra powinien mieć w swoim gabinecie przynajmniej jednego van Gogha), stoi rozłożysty fotel, w którym siada Henry. Po drugiej stronie pokoju stoi drugi fotel i kanapa. Henry jest zawsze bardzo ciekaw, co wybierze dany pacjent, a wykonuje swój zawód już wystarczająco długo, by wiedzieć, że ów pierwszy wybór niemal zawsze determinuje późniejsze postępowanie pacjenta. Jest w tym materiał na niezły artykuł, Henry nie ma co do tego żadnych wątpliwości, ale problem polega na tym, że nie potrafi sformułować tezy.

Poza tym ostatnio coraz mniej interesują go artykuły, publikacje, zjazdy i kongresy. Mało śpi, mało je, mało się śmieje.

Mrok, albo ów polaryzujący filtr, pojawił się również w jego życiu i Henry nie ma nic przeciwko temu. Mniej oślepienia.

Barry Newman od początku był kanapowcem, lecz Henry ani przez chwilę nie podejrzewał, że ma to jakikolwiek związek ze stanem umysłu pacjenta. Kanapa po prostu jest

znacznie wygodniejsza, chociaż po pięćdziesięciminutowej sesji Henry niekiedy musi pomóc Barry'emu z niej wstać.

Barry Newman ma metr siedemdziesiąt wzrostu i waży sto osiemdziesiąt kilogramów. Wszystkie kanapy są jego bliskimi przyjaciółmi.

Sesje z jego udziałem to długie, monotonne relacje z ubiegłotygodniowych wyczynów gastronomicznych. Nie oznacza to wcale, że Barry jest wyrafinowanym smakoszem, wręcz przeciwnie. Barry zjada wszystko, co znajdzie się w zasięgu jego rąk. To po prostu maszyna do pożerania wszystkiego, wyposażona we wręcz niewiarygodnie pojemną i precyzyjną pamięć — przynajmniej jeśli chodzi o jedzenie. W dziedzinie kulinariów jest taki sam jak stary przyjaciel Henry'ego, Pete, w kwestiach związanych z geografiami i orientacją w terenie.

Henry już prawie zrezygnował z prób wyprowadzenia Barry'ego spomiędzy drzew i pokazania mu lasu. Stało się tak częściowo z powodu łagodnej, lecz niewzruszonej determinacji pacjenta, który nie chce rozmawiać z nim o niczym innym jak tylko o jedzeniu, częściowo zaś dlatego, że nigdy nie lubił i nadal nie lubi Barry'ego. Rodzice Barry'ego nie żyją: ojciec odszedł, kiedy chłopak miał szesnaście lat, matka — kiedy miał dwadzieścia dwa. Pozostawili znaczny majątek, który jednak przejdzie na własność Barry'ego dopiero wtedy, gdy ten skończy trzydzieści lat, a i to pod warunkiem, że nie zrezygnuje z terapii. Gdyby zrezygnował, musiałby czekać na pieniądze aż do pięćdziesiątki.

Henry mocno wątpi, czy Barry Newman dożyje pięćdziesiątki.

Jego ciśnienie tętnicze krwi (wyznał to Henry'emu z niejaką dumą) wynosi sto dziewięćdziesiąt na sto czterdzieści.

Całkowity poziom cholesterolu to dwieście dziewięćdziesiąt. Barry jest żywą kopalnią lipidów.

„Jestem chodzącym udarem mózgu i zawałem serca”, oznajmił kiedyś z powagą i spokojem kogoś, kto co prawda doskonale zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale równocześnie dobrze wie, że zagrożenie jest czysto teoretyczne, ponieważ taki koniec na pewno go nie spotka. Wszystkich, tylko nie jego.

— Zjadłem na obiad dwa ekstraduze burger kingi — mówi teraz. — Uwielbiam je, bo ser jest w nich zawsze gorący. — Mięsiste usta, zdumiewająco małe jak na tak potężnego mężczyznę, usta okonia, drżą na wspomnienie przysmaku. — Potem wypilem podwójny koktajl, a w drodze do domu kupiłem sobie kilka ciastek. Zdrzemnąłem się, a później odgrzałem w kuchence mikrofalowej opakowanie mrożonych wafli Eggo. — Wybucho radosnym śmiechem człowieka, który właśnie przypomniał sobie coś bardzo, ale to bardzo miłego: przepiękny zachód słońca, dotknięcie jędrnej kobiecej piersi przez cienki materiał bluzki (tego akurat, Henry jest prawie pewien, Barry'emu nigdy nie było dane zaznać), wieczorne ciepło rozgrzanego piasku na plaży. — Prawie wszyscy wsadzają je do toster, ale wtedy robią się zbyt chrupkie.

Z kuchenki są gorące i miękkie. Gorące i miękkie. — Oblizuje okonie usta. — Zrobiło mi się trochę głupio, że zjadłem całe opakowanie.

Ostatnie zdanie dorzuca mimochodem, po krótkiej pauzie, jakby dopiero teraz przypomniał sobie, że Henry ma tu przecież do wykonania jakąś robotę. Podczas każdej sesji raczy go czterema lub pięcioma takimi smakołykami, po czym natychmiast wraca do tematu jedzenia.

Barry wspomina wtorkowy wieczór, a ponieważ teraz jest piątek, ma jeszcze przed sobą sporo posiłków i przekąsek.

Henry przestaje go słuchać. Barry to dzisiaj jego ostatni pacjent. Jak tylko zakończy kaloryczny remanent, Henry wróci do siebie, żeby się spakować. Jutro wstanie o szóstej rano, a między siódmą i ósmą przyjedzie po niego Jonesy. Załadują rzeczy do starego scouta Henry'ego, którego jeszcze trzyma tylko ze względu na ich jesienne wyprawy, i najpóźniej o wpół do dziewiątej będą już w drodze na północ. W Bridgton wstąpią po Pete'a, na końcu zaś wezmą Beavera, który nadal mieszka w pobliżu Derry. Wieczorem dotrą do Dziury w Murze

daleko w głębi Jefferson Tract, zasiądą do gry w karty, wsłuchując się w zawroźnienie wiatru za oknami.

Sztucery staną w kącie kuchni, zezwolenia na polowanie zawisną na haczyku przy tylnych drzwiach.

Znowu znajdzie się wśród przyjaciół, a to oznacza niemal powrót do domu. Przez tydzień ten polaryzujący filtr będzie działał z nieco mniejszą mocą. Będą wspominać stare czasy, śmiać się z przekleństw Beavera, a jeśli któremuś uda się trafić jelenia, to tym lepiej. Razem wciąż jeszcze są dobrzy. Razem wciąż jeszcze są silniejsi od czasu.

Daleko w tle Barry Newman wciąż gada i gada. Duszone żeberka i puree ziemniaczane, i prażona kukurydza obficie polana masłem, i tort czekoladowy, i duża pepsi, i podwójne lody waniliowe, i jajka sadzone jajka na miękko jajka na twardo jajecznicza...

Henry kiwa głową wtedy, kiedy trzeba, lecz prawie nic z tego nie słyszy. Każdy psychiatra to potrafi.

Jasne, że Henry i jego starzy kumple mają mnóstwo problemów. Beaver jest okropny, jeśli chodzi o stosunki międzyludzkie, Pete za dużo pije (dużo za dużo, zdaniem Henry'ego), Jonesy i Carla otarli się o rozwód, Henry walczy z depresją, która wydaje mu się równie kusząca jak nieprzyjemna. Jasne, mają ich mnóstwo, ale razem ciągle jeszcze są niezli, ciągle potrafią z siebie coś wykrzesać, i jutro wieczorem znowu się spotkają. Będą razem przez osiem dni. To dobrze.

— Wiem, że nie powinienem, ale rano czuję, że po prostu muszę. Może to przez niski poziom cukru we krwi? W każdym razie zjadłem resztę tortu, który stał w lodówce, wsiadłem do samochodu, pojechałem do cukierni, kupiłem dziesięć szarlotek i cztery...

— Barry, a może twoje obżarstwo ma związek z twoją matką? Może robisz to dlatego, że wydaje ci się, że ją zabiłeś?

Myślisz, że to możliwe?

Barry milknie. Henry spogląda na niego i widzi, że Barry Newman wpatruje się w niego tak szeroko otwartymi oczami, że nawet widać je na jego nalanej twarzy. Chociaż Henry zdaje sobie sprawę z tego, że powinien przestać — a właściwie w ogóle nie powinien zaczynać, to nie ma nic wspólnego z terapią — to jednak nie chce. Być może ma to jakiś związek z jego starymi przyjaciółmi, a może trochę z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia malującym się na twarzy Barry'ego i z błądzącością jego policzków. Henry dochodzi do wniosku, że najbardziej wkurza go całkowita bierność Newmana, jego głębokie wewnętrzne przekonanie, że nie ma najmniejszego powodu do zmiany autodestrukcyjnego postępowania ani do podjęcia prób ustalenia jego przyczyn.

— Naprawdę myślisz, że ją zabiłeś, prawda? — pyta swobodnym, beztróskim tonem.

— Ja... Ja nigdy...

— Wołała raz, drugi, trzeci... skarżyła się na bóle w klatce piersiowej... no ale przecież ciągle się na nie skarżyła, prawda? Co tydzień, a czasem nawet codziennie. Wołała i prosiła: „Barry, wezwij doktora Whitera! Barry, wezwij pogotowie! Barry, zadzwoń pod 911!”

Do tej pory nigdy nie rozmawiali o rodzicach Barry'ego. Na swój miękki, tłusty, niewzruszony sposób Barry po prostu do tego nie dopuszczał. Czasem rzucał słowo lub dwa na ten temat, a potem koniec, zakaz wjazdu, wracamy do pieczonego kurczaka w sosie pomarańczowym. W związku z tym Henry nic nie wie o jego rodzicach ani o tym, jak umarła matka Barry'ego, wołając syna, prosząc go o pomoc, bach na dywan, odrażające sto pięćdziesiąt kilogramów cielska.

Nic o niej nie wie, ponieważ nikt mu o tym nie powiedział, ale mimo to wie. Barry był wtedy znacznie szczuplejszy, ważył zaledwie sto kilogramów.

To jest linia Henry'ego. Po raz ostatni widział ją jakieś pięć lat temu (jeśli nie liczyć snów), więc wydawało mu się, że już po wszystkim. A ona znowu się pojawiła.

— Siedziałeś przed telewizorem i słuchałeś jej krzyków — mówi dalej. — Oglądałeś program Rickiego Lake’a i zażerałeś... co? Tort serowy? lody? Nie wiem. Ale wiem, że ją słyszałeś.

— Przestań!

— Nie przejmowałaś się tym jednak, bo niby dlaczego?

Przecież już tyle razy narobiła niepotrzebnego zamieszania.

Nie jesteś głupi i wiesz, że to prawda. Takie rzeczy się zdarzają. O tym też wiesz. Obsadziłeś się w swojej własnej imitacji sztuki Tennessee Williamsa tylko dlatego, że kochasz jeść, ale wiesz, co ci powiem, Barry? To naprawdę cię zabije.

W głębi duszy ani trochę w to nie wierzysz, lecz to prawda.

Twoje serce już teraz zachowuje się jak żywcem pochowany człowiek, który łomocze w wieko trumny. Co będzie, kiedy przytyjesz jeszcze dwadzieścia albo trzydzieści kilogramów?

— Przestań!

— Kiedy wreszcie padniesz, będzie to jak zawalenie się wieży Babel na pustyni. Ludzie, którzy to zobaczą, będą opowiadać o tym latami: zwalisz meble...

— Zamknij się!

Barry już nie leży, tylko siedzi, tym razem nie potrzebował pomocy Henry’ego, jest śmiertelnie blady, jeśli nie liczyć dwóch krwistoczerwonych plam na policzkach.

— ...pozrucasz zastawę ze stołów i zsikasz się tak samo jak ona...

— Zamknij się! Przestań, ty potworze! — wrzeszczy Barry Newman.

Ale Henry nie może przestać. Po prostu nie może. Widzi linię, a kiedy się ją widzi, nie sposób nagle oślepnąć.

— ...chyba że wreszcie ockniesz się z tego zatrutego snu, w którym tkwisz po uszy. Zrozum, Barry...

Barry niczego nie rozumie i nie chce zrozumieć. Jest już przy drzwiach, otwiera je i ucieka, trzęsąc pośladkami.

Przez jakiś czas Henry siedzi bez ruchu, słucha oddalającego się stapania. Poczekałnia jest pusta. Teraz, po ucieczce Barry’ego, można uznać tydzień za skończony. I bardzo dobrze. Był do niczego. Henry kładzie się na kanapie.

— Doktorze, właśnie narozrabiałem — mówi.

— Co masz na myśli, Henry?

— Powiedziałem pacjentowi prawdę.

— Prawda nas wyzwala, Henry.

— Wcale nie — odpowiada, wpatrując się w sufit. — Ani trochę.

— Zamknij oczy.

— Proszę bardzo, doktorze.

Zamyka oczy. Ogarnia go ciemność. To dobrze. Zaprzyjaźnił się z ciemnością. Jutro spotka przyjaciół (trzech z nich) i wtedy światło znowu będzie mile widziane, ale teraz, na razie...

— Doktorze...

— Tak, Henry?

— To jest podręcznikowy przykład, że człowiek codziennie wdeptuje w to samo gówno. Wiedział pan o tym?

— Co chcesz przez to powiedzieć? Co to dla ciebie znaczy?

— Wszystko — mówi z zamkniętymi oczami, po czym dodaje: — Nic.

Ale to kłamstwo. Nie pierwsze, jakie zostało tu wypowiedziane.

Nazajutrz jadą we czwórkę do Dziury w Murze i spędzą razem osiem wspaniałych dni. Nie wiedzą o tym, że wspólne wyprawy myśliwskie dobiegają końca, że zostało im ich już tylko kilka. Prawdziwa ciemność jest jeszcze o parę lat stąd, ale już się zbliża.

Zbliża się ciemność.

2001: ROZMOWA JONESY'EGO ZE STUDENTEM

Nie wiemy, kiedy nadejdzie dzień, który zmieni nasze życie. I chyba dobrze. W dniu, w którym jego życie ma ulec poważnej zmianie, Jonesy przebywa w swoim gabinecie na drugim piętrze John Jay College, spogląda przez okno na widoczny stąd skrawek Bostonu i myśli o tym, jak bardzo mylił się T.S. Eliot, nazywając kwiecień najokrutniejszym miesiącem w roku tylko dlatego, że akurat wtedy, za nawoływanie do buntu, przypuszczalnie ukrzyżowano pewnego wędrownego cieślę z Nazaretu. Wszyscy mieszkańcy Bostonu wiedzą doskonale, że najbardziej okrutny jest marzec, który podstępnie daje kilka dni nadziei, a następnie ze złośliwą satysfakcją wrzuca człowieka po szyję w gówno. Dzisiaj jest właśnie jeden z tych zwodniczych dni, kiedy pozornie wszystko wskazuje na bliskość wiosny. Jeszcze przez chwilę może być brzydko, ale zaraz potem powinno się wypogodzić, w związku z czym Jonesy nosi się z myślą odbycia krótkiego spaceru. Rzecz jasna nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo paskudny potrafi się zrobić taki dzień, i nie ma najmniejszego pojęcia, że skończy ten dzień w szpitalnym łóżku, ze zmiążdżonym biodrem i poważnym zagrożeniem dla jego cholernego życia.

Codziennie to samo gówno, myśli, lecz tym razem gówno będzie zupełnie inne.

Dzwoni telefon, a on szybko łapie za słuchawkę. Może to ten Defuniak, może chce odwołać spotkanie. Pewnie wyczuł, co się święci, myśli Jonesy. To całkiem prawdopodobne.

Zazwyczaj to uczniowie umawiają się na spotkania z nauczycielem, kiedy więc któryś z dzieciaków zostaje wezwany na rozmowę... Cóż, nie trzeba być Einsteinem, żeby się domyślić, o co chodzi.

— Tu Jones.

— Cześć, Jonesy! Jak się żyje?

Ten głos rozpoznałby wszędzie.

— Henry! Doskonale, po prostu doskonale!

W rzeczywistości wcale nie żyje mu się aż tak dobrze, szczególnie gdy za kwadrans czeka go rozmowa z Defuniakiem, ale przecież takie oceny są relatywne, czyż nie? W porównaniu z sytuacją, w jakiej znajdzie się za dwanaście godzin, podłączony do szumiących i popiskujących urządzeń, po jednej operacji, a przed trzema kolejnymi, teraz wie mu się naprawdę doskonale.

— No to świetnie.

Być może Jonesy usłyszał smutek w głosie Henry'ego, ale jest znacznie bardziej prawdopodobne, że go wyczuł.

— Co się stało?

Cisza. Jonesy już chce zapytać ponownie, lecz Henry wreszcie się odzywa:

— Wczoraj zmarł mój pacjent. Przypadkiem zobaczyłem nekrolog w gazecie. Nazywał się Barry Newman. — Zawiesza na chwilę głos, po czym dodaje: — To był kanapowiec.

Jonesy nie ma pojęcia, co to znaczy, ale wie, że jego przyjaciel jest bardzo poruszony.

— Samobójstwo?

— Zawał serca. Miał dwadzieścia dziewięć lat. Sam wykopał sobie grób nożem i widelcem.

— To przykre.

— Ostatni raz był u mnie prawie trzy lata temu. Wystraszyłem go. Miałem... To była jedna z tych rzeczy. Wiesz, o czym mówię?

Jonesy chyba wie.

— Widziałeś linię?

Henry wzdycha głęboko. W uszach Jonesy'ego brzmi to raczej jak westchnienie ulgi niż żalu.

— Właśnie. Wyłożyłem mu kawę na ławę, a on uciekł, jakby się paliło.

— To jeszcze nie powód, żebyś czuł się odpowiedzialny za jego zawał serca.

— Może masz rację, ale mimo wszystko czuję się paskudnie. — Chwila milczenia, a potem, z lekkim rozbawieniem: — Zupełnie jak w tej piosence Jima Croce, co? A u ciebie wszystko w porządku, Jonesy?

— U mnie? Jasne. Czemu pytasz?

— Nie wiem. Po prostu... Myślałem o tobie od chwili, kiedy otworzyłem gazetę i zobaczyłem nekrolog z fotografią Barry'ego. Uważaj na siebie.

Jonesy czuje w kościach nieprzyjemny chłód. W tych samych kościach, których sporo już niebawem będzie połamanych.

— Co masz na myśli?

— Nie wiem — odpowiada Henry. — Może nic, ale...

— Czy to też linia?

Jonesy jest zaniepokojony. Odwraca się razem z fotelem w kierunku okna i spogląda w przedwcześnie wiosenny dzień. Może ten Defuniak ma problemy psychiczne, może idzie do niego z pistoletem (jak po swoje, jak czasem piszą w sensacyjnych powieściach, które Jonesy niekiedy czytuje w wolnych chwilach), czy Henry w jakiś sposób to wyczuł?

— Nie mam pojęcia. Przypuszczalnie to tylko efekt tego, że zobaczyłem zdjęcie Barry'ego na stronie z umarlakami.

Mimo to bądź ostrożny przez jakiś czas, okay?

— Jasne. Nie ma problemu.

— To dobrze.

— A u ciebie wszystko w porządku?

— Całkowicie.

Jednak głos Henry'ego zdaje się świadczyć o czymś innym. Jonesy zamierza powiedzieć coś na ten temat, lecz słyszy za plecami nieśmiałe chrząknięcie. To zapewne przyszedł Defuniak.

— Cóż, to świetnie — mówi więc i odwraca się od okna.

Rzeczywiście, w progu stoi uczeń, którego wezwał na jedenastą do swojego gabinetu. Wcale nie wygląda groźnie: podrostek w zbyt obszernym i zbyt ciepłym płaszczu z demobilu, wychudzony, z kolczykiem w uchu i punkową fryzurą nad zaniepokojonymi oczami. — Przepraszam, ale mam teraz spotkanie. Zadzwoń, jak tylko...

— Nie trzeba. Naprawdę.

— Jesteś pewien?

— Jestem. Ale jest coś jeszcze. Potrzebuję trzydziestu sekund.

— Nie ma sprawy. — Daje znak Defuniakowi, że go widzi, po czym wskazuje na słuchawkę, a Defuniak kiwa głową. Jonesy zaprasza go gestem do zajęcia miejsca w jedynym fotelu nie zawalonym książkami; chłopak waha się, po czym wreszcie podchodzi i siada. — Wał — mówi Jonesy do Henry'ego.

— Myślę, że powinniśmy wybrać się do Derry. Na krótko, tylko my dwaj. Odwiedzić starego przyjaciela.

— Masz na myśli...

Ponieważ słyszy go ktoś obcy, nie chce wymieniać tego dziwnego, dziecinnie brzmiącego imienia. Nie musi, ponieważ Henry robi to za niego. Kiedyś było ich czterech, potem przez jakiś czas pięciu, a później znów czterech. Jednak ten piąty nigdy tak całkiem ich nie opuścił. Henry wypowiada jego imię, imię chłopca, który za sprawą czarów wciąż jeszcze jest chłopcem. Niepokój Henry'ego dotyczący jego osoby jest znacznie łatwiejszy do wyjaśnienia:

po prostu wydaje mu się, że ich staremu przyjacielowi przydałyby się odwiedziny, i to wszystko.

— Rozmawiałeś z jego mamą? — pyta Jonesy.

— Wydaje mi się, że będzie lepiej, jeśli... no wiesz... wpadniemy przypadkiem. Jak stoisz z czasem w ten weekend albo w następny?

Jonesy nawet nie musi sprawdzać. Weekend zaczyna się pojutrze. W sobotę po południu ma posiedzenie rady pedagogicznej, ale bez trudu powinno mu się udać od niej wykręcić.

— Oba dni mam wolne. Może być sobota o dziesiątej?

— Pewnie. — Henry znowu zaczyna przypominać sobie.

Jonesy od razu się odpręża. — Na pewno chcesz jechać?

— Skoro uważasz, że powinniśmy odwiedzić... Douglasa, to chcę. Dawno go nie widzieliśmy.

— Ktoś już na ciebie czeka, tak?

— Aha.

— W porządku. W takim razie w sobotę o dziesiątej. Może pojedziemy scoutem, żeby go rozruszać? Co ty na to?

— Świetna myśl.

Henry śmieje się głośno.

— Carla wciąż robi ci kanapki na lunch?

— Zgadza się.

Jonesy odruchowo zerka na teczkę.

— Z czym dzisiaj? Z tuńczykiem?

— Z pastą jajeczną.

— Mniam, mniam. Dobra, już spadam. SSDD?

— SSDD — zgadza się Jonesy. Nie może wymówić przy uczniu imienia ich starego przyjaciela, ale SSDD jest w porządku. — Pogadamy, jak...

— I uważaj na siebie. Naprawdę.

Henry mówi to trochę niepokojącym tonem, lecz zanim Jonesy zdąży odpowiedzieć (choć nie ma pojęcia, jak mógłby zareagować w obecności Defuniaka), połączenie jest już przerwane.

Jonesy przez chwilę spogląda w zamyśleniu na słuchawkę, po czym odkładają na widełki. Następnie przerzuca dwie kartki w stojącym na biurku kalendarzu i przy sobocie wykreśla *Impreza w domu u dziekana Jacobsona, wpisuje natomiast Wyłgać się, do Derry z Henrym odwiedzić D.* Nie uda mu się tego zrealizować. W sobotę będzie myślał o czymś zupełnie innym niż o Derry i starych przyjaciółkach.

Bierze głęboki wdech, wypuszcza powietrze z płuc, po czym koncentruje uwagę na swoim gościu. Chłopak wierci się niepewnie w fotelu. Przypuszczalnie dobrze wie, dlaczego został wezwany.

— A więc tak, panie Defuniak... O ile się nie mylę, pochodzi pan z Maine?

— No, tak. Z Pittsfield, dokładnie. Ja...

— Zdaje się również, że znalazł się pan tutaj dzięki stypendium i że, jak do tej pory, radził pan sobie całkiem nieźle.

Chłopak jest nie tyle zaniepokojony, ile wręcz przerażony i z najwyższym trudem powstrzymuje łzy. Boże, to trudna sprawa. Jonesy po raz pierwszy w swojej karierze znalazł się w sytuacji, kiedy musi oskarżyć ucznia o oszustwo — podejrzewa jednak, że nie po raz ostatni. Oby tylko nie zdarzało się to zbyt często, bo jest mu naprawdę ciężko. Zajębiście ciężko, jak powiedziała by Beaver.

— Panie Defuniak... Davidzie... Czy wiesz, co dzieje się ze stypendiami uczniów przyłapanych na oszustwie podczas egzaminów semestralnych?

Chłopak prostuje się gwałtownie, jakby w jego kościste pośladki uderzył niewielki ładunek elektryczny. Drżą mu usta, po nieogolonym policzku spływa pierwsza łza.

— Jeśli nie wiesz, to ci powiem — ciągnie Jonesy. — Takie stypendia znikają. Ot tak, po prostu: puf! i rozplywają się w powietrzu.

— Ja...ja...

Z kartonowej teczki na swoim biurku Jonesy wyjmuje semestralny test z historii Europy — jedną z tych wielopunktowych potworności lansowanych w szkołach z uporem godnym lepszej sprawy. U góry pierwszej strony widnieją imię i nazwisko napisane czarnym, miękkim ołówkiem („proszę zaznaczać wyraźnie, wymazywać zaś dokładnie, tak by nie pozostały żadne ślady”): DAVID DEFUNIAK.

— Przeanalizowałem twoje postępy w nauce, przeczytałem jeszcze raz twoją pracę o Francji w okresie średniowiecza, zajrzałem do wszystkich testów. Nie wyróżniałeś się w jakiś szczególny sposób, ale radziłeś sobie całkiem dobrze. Jest to tym bardziej godne uznania, że jeśli się nie mylę, interesujesz się raczej innymi przedmiotami, prawda?

Defuniak w milczeniu kiwa głową. Łzy błyszczą na jego policzkach w blasku fałszywie wiosennego słońca.

Jonesy rzuca mu pudełko z jednorazowymi chusteczkami. Chłopak chwytą je bez trudu. Dobry refleks. Kiedy ma się dziewiętnaście lat, wszystkie połączenia nerwowe działają jeszcze bez zarzutu.

Niech pan trochę poczeka, panie Defuniak, myśli Jonesy.

Ja mam dopiero trzydzieści siedem, a już sporo przewodów przestało działać.

— Być może jednak zasługujesz na jeszcze jedną szansę — mówi głośno. Powoli, niespiesznie, zgniata w kulę całkowicie bezbłędny test Defuniaka. — Być może zachorowałeś tuż przed egzaminem i w ogóle go nie zdawałeś.

— Tak, tak właśnie było! — potwierdza gorliwie chłopak. — Zdaje się, że miałem wtedy grypę!

— W takim razie, skoro nie miałeś okazji pisać testu z kolegami, powinienem chyba poprosić cię o napisanie pracy semestralnej w domu. Jeśli się na to zgodzisz, naturalnie. Zgadzasz się, Davidzie?

— Tak. — Chłopak wyciąga garściami chusteczki i pośpiesznie wyciera twarz. Przynajmniej oszczędził im obu bzdur w rodzaju, że Jonesy niczego nie może udowodnić, że będzie dochodził swoich racji przez Radę Szkolną, i tak dalej, i tak dalej. Zamiast tego płacze; może niezbyt przyjemnie się to ogląda, ale chyba jest dobrym znakiem: dziewiętnaście lat to niby niewiele, lecz w tym wieku większość młodych ludzi nie pamięta już, co to takiego sumienie. Zachowanie Defuniaka świadczy o tym, że gdzieś w jego wnętrzu mieszka uczciwy człowiek, który kiedyś, być może, zechce się ujawnić.

— Tak, oczywiście.

— I chyba rozumiesz, że jeśli coś takiego zdarzy się jeszcze choć raz...

— Nie zdarzy się — zapewnia żarliwie. — Na pewno się nie zdarzy, panie profesorze.

Chociaż Jonesy jest tylko wykładowcą i nie przysługuje mu tytuł profesora, to jednak nie protestuje. Kiedyś przecież będzie profesorem. Oby jak najwcześniej; ma z żoną całkiem pokaźną gromadkę dzieci i jeśli w niezbyt odległej przyszłości jego przychody nie zwiększą się w dość istotny sposób, mogą go czekać spore problemy finansowe. Szczerze mówiąc, chyba już się zaczęły.

— Mam nadzieję. Napisz około dziesięciu stron o bezpośrednich następstwach podboju normńskiego. Podaj źródła, z których korzystałeś, ale nie zamieszczaj przypisów. Postaraj się przekonująco udowodnić tezę. Masz czas do poniedziałku. Rozumiemy się?

— Tak, proszę pana.

— W takim razie ruszaj i bierz się od razu do roboty.

A następnym razem zamiast piwa kup sobie nowe buty — dodaje, patrząc na rozłożące się adidasy chłopaka. — Nie chciałbym, żebyś znowu złapał grypę.

Defuniak wstaje, podchodzi do drzwi, zatrzymuje się i odwraca. Zależy mu na tym, żeby zniknąć Jonesy'emu z oczu, zanim ten zmieni zdanie, ale ma przecież dziewiętnaście lat, a w tym wieku człowieka wręcz rozpira ciekawość.

— Skąd pan wiedział? Przecież tego dnia nie było pana nawet w szkole...

— Wiedziałem, i to wystarczy — odpowiada szorstko Jonesy. — Idź już, synu. Napisz dobrą pracę, staraj się nie stracić stypendium. Ja też jestem z Maine, a dokładnie z Derry, i znam Pittsfield. Lepiej stamtąd pochodzić, niż tam wracać.

— To prawda — przyznaje ochoczo Defuniak. — Dziękuję.

Dziękuję, że dał mi pan jeszcze jedną szansę.

— Wychodząc, nie zapomnij zamknąć za sobą drzwi.

Defuniak — który najbliższe kieszonkowe wyda nie na nowe buty, tylko na bukiet dla leżącego w szpitalu Jonesy'ego — wychodzi, posłusznie zamykając za sobą drzwi.

Jonesy natychmiast odwraca się z fotelem do okna. Blask słońca jest może podejrzany, ale kuszący. Ponieważ rozmowa z Defuniakiem zakończyła się lepiej, niż się spodziewał, postanawia przespacerować się w promieniach słońca, zanim nadciągną marcowe chmury, być może niosąc nawet śnieg. Zamierzał zjeść lunch w gabinecie, ale nagle wpada mu do głowy pewien pomysł. Jest to ponad wszelką wątpliwość najgorszy pomysł w jego życiu, lecz, ma się rozumieć, Jonesy o tym nie wie. Pomysł jest następujący: wziąć teczkę, zgarnąć po drodze najnowszy numer „Phoenixa” i przejść się na drugą stronę rzeki, do Cambridge. Usiądzie sobie tam na ławce i zje na świeżym powietrzu kanapkę z pastą jajeczną.

Wkłada teczkę Defuniaka do szuflady z literami D–F.

Skąd pan wiedział? — spytał Defuniak. To dobre pytanie, myśli Jonesy. Odpowiedź brzmi następująco: wiedział, ponieważ... no, ponieważ czasem po prostu wie, i już. Taka jest prawda i nie ma innej. Gdyby ktoś przyłożył mu pistolet do skroni, powiedziałby, że dowiedział się tego podczas pierwszych zajęć w nowym semestrze, że zobaczył to wypisane w głowie Davida Defuniaka ogromnymi, świecącymi na czerwono literami: OSZUST OSZUST OSZUST.

Ale to oczywiście bzdura, przecież nie potrafi czytać w myślach. Nigdy nie potrafił. Nigdy, nigdy, nigdy. Czasem tylko coś pojawia się nie wiadomo skąd w jego głowie. Właśnie w ten sposób dowiedział się o problemach swojej żony z tabletkami nasennymi i chyba tak właśnie wyczuł podczas rozmowy telefonicznej przygnębienie Henry'ego. (*Nieprawda, po prostu usłyszałem to w jego głosie*). Ostatnio jednak coraz rzadziej mu się to zdarza. Właściwie po tej historii z Josie Rinkenhauer nie przydarzyło mu się już nic nadzwyczajnego — no, może raz albo dwa, ale teraz już nic.

Prawie nic.

Prawie.

Zakreśla słowa *do Derry* w stojącym na biurku kalendarzu, łapie teczkę i idzie do drzwi. Nagle w głowie rozbłyska mu wyraźna, kompletnie bezsensowna, lecz niezwykle silna myśl: Strzeż się Szarego.

Nieruchomieje z ręką na klamce. To był jego własny głos, na pewno.

— O co chodzi? — pyta nie bardzo wiadomo kogo.

Cisza.

Jonesy wychodzi z gabinetu, zatrząskuje drzwi i sprawdza, czy na pewno się zamknęły, a następnie odwraca karteczkę wetkniętą za ramkę tabliczki z jego rozkładem zajęć. Na kartce widnieje napis: WRACAM O PIERWSZEJ, DO TEGO CZASU JESTEM HISTORIA. Beztrąsko wsuwa kartkę w narożnik ramki, nie wiedząc o tym, że miną prawie dwa miesiące, zanim ponownie otworzy te drzwi i zobaczy biurkowy kalendarz wciąż otwarty na dniu św. Patryka.

Uważaj na siebie, powiedział Henry, ale Jonesy już o tym nie myśli. Myśli wyłącznie o ciepłych promieniach marcowego słońca, o swojej kanapce, o dziewczętach, które będą przechodziły po moście do Cambridge — sukienki są krótkie, a wiatr zmienny i porywisty. Myśli o mnóstwie rzeczy, tylko nie o tym, żeby strzec się Szarego albo uważać na siebie.

To błąd. Właśnie w ten sposób ludzkie życie zmienia się niekiedy nie do poznania.

CZEŚĆ I

RAK

*To drzenie daje mi stałość. Ja to wiem.
Co tracę, znika na zawsze. I blisko jest.
Zbudzony, wpadam w sen, ostrożnie stawiam krok,
Idąc przed siebie, wiem, że idę, tam gdzie mój wzrok.*

Theodore Roethke

ROZDZIAŁ PIERWSZY MCCARTHY

1

Jonesy mało nie zastrzelił człowieka, który wyszedł spomiędzy drzew. Ile zabrakło? Kilograma nacisku na język spustowy garanda, może tylko pół. Później, w przebłysku jasności, który niekiedy wybucha w przerażonym umyśle, zrozumiał, jak wielki popełnił błąd, nie strzelając od razu, zanim dostrzegł pomarańczową czapkę i kamizelkę. Śmierć Richarda McCarthy'ego nikomu by nie zaszkodziła, a kto wie, może by pomogła. Śmierć McCarthy'ego mogłaby ocalić ich wszystkich.

2

Pete i Henry pojechali do najbliższego sklepu, czyli do Gosselin's Market, po konserwy, chleb i piwo. Co prawda w chacie były jeszcze zapasy przynajmniej na dwa dni, ale w radio ostrzegano przed opadami śniegu. Henry zdążył już ustrzelić całkiem niezłą łanię, Jonesy jednak był niemal pewien, że Pete'owi znacznie bardziej zależy na uzupełnieniu zapasów piwa niż na zdobyciu trofeum. Dla Pete'a Moore'a polowanie było hobby, piwo zaś religią. Beaver poszedł w las, lecz odgłosy strzałów, które słyszał Jonesy, dobiegały z bardzo daleka, Jonesy przypuszczał więc, że jego przyjaciel, tak jak i on, wciąż czeka.

Stanowisko urządzono na starym klonie mniej więcej siedemdziesiąt metrów od obozowiska. Jonesy właśnie tam siedział, popijając kawę i czytając powieść kryminalną Roberta Parkera, kiedy nagle usłyszał, że coś się zbliża, więc pośpiesznie odstawił termos i odłożył książkę. Kiedyś, dawno temu, najprawdopodobniej rozlałby kawę z podniecenia, ale nie teraz.

Teraz pamiętał nawet o tym, żeby starannie wkręcić korek.

Już prawie od dwudziestu pięciu lat spotykali się tu na polowaniu w pierwszym tygodniu listopada, wliczając w to czasy, kiedy przywoził ich tutaj ojciec Beavera, i aż do tej pory Jonesy nigdy nie korzystał z ambony na drzewie. Nikt z niej nie korzystał; było tam za ciasno. Tym razem jednak Jonesy postąpił inaczej. Pozostałym zdawało się, że wiedzą dlaczego, ale żaden z nich nie znał całej prawdy.

W połowie marca 2001 roku, przechodząc przez jezdnię w Cambridge, niedaleko od John Jay College, w którym uczył, Jonesy został potrącony przez samochód. Doznał pęknięcia czaszki, złamania dwóch żeber i miał zupełnie zmiażdżone biodro, które zastąpiono skomplikowaną konstrukcją z teflonu i metalu. Sprawcą wypadku był emerytowany wykładowca historii na bostońskim uniwersytecie, cierpiący — przynajmniej według jego adwokata — na wczesne objawy choroby Alzheimera. Zasługiwał bardziej na współczucie niż karę. Jak często, kiedy już opadnie kurz, nie ma nikogo, kogo można by winić, rozmyślał Jonesy. A nawet jeśli jest winny, to co z tego? Trzeba pogodzić się z tym, co się stało, i pocieszać się — o czym ludzie przypominali mu niemal codziennie, przynajmniej do chwili, kiedy zapomnieli o całym zdarzeniu — że przecież mogło być dużo gorzej.

A mogło. Na szczęście miał twardą głowę, która szybko się zagoiła. Nie pamiętał też niczego, co wydarzyło się mniej więcej na godzinę przed wypadkiem przy Harvard Square, ale poza tym jego umysł działał bez zarzutu. Żebra zrosły się w miesiąc. Najgorzej dostało się biodru, lecz już w październiku odstawił kule, teraz zaś zaczynał wyraźniej utykać dopiero pod koniec dnia.

Pete, Henry i Beaver byli przekonani, że właśnie ze względu na biodro wybrał ambonę zamiast włóczenia się po wilgotnym, zimnym lesie, i na pewno mieli trochę racji, choć nie do

końca. Jonesy nie przyznał im się, że strzelanie do jeleni prawie zupełnie przestało go interesować. Gdyby się o tym dowiedzieli, byłiby bardzo przygnębieni. Do licha, nawet Jonesy był tym przygnębiony. Tak jednak jakoś się stało, o czym przekonał się dość niespodziewanie jedenastego listopada, kiedy dotarli do Dziury w Murze i wyjął z futerału swojego garanda. Nie, wcale nie stał się przeciwnikiem polowań — po prostu nie miał ochoty w nich uczestniczyć, i tyle. Pewnego słonecznego marcowego dnia otarł się o śmierć i teraz wołał nie mieć z nią nic wspólnego, nawet jeżeli to on miałby nią szafować.

3

Zdziwiło go natomiast, że sam pobyt w obozowisku sprawia mu wciąż przyjemność, chyba nawet większą niż do tej pory. Długie wieczorne rozmowy o książkach, polityce, różnych sprawach z dzieciństwa, plany na przyszłość... Mieli teraz po trzydzieści kilka lat, byli jeszcze na tyle młodzi, żeby snuć plany, całe mnóstwo planów, a stare więzy wciąż trzymały się mocno.

Dni też upływały przyjemnie: na ambonie, w całkowitej samotności. Zabierał ze sobą śpiwór, w który wchodził do połowy, kiedy robiło mu się zimno, książkę i walkmana. Jednak po pierwszym dniu przestał nakładać słuchawki, ponieważ doszedł do wniosku, że znacznie bardziej podoba mu się muzyka lasu: jedwabisty szelest wiatru w gałęziach sosen, krakanie wron. Jadł trochę, popijał kawą, czytał, niekiedy wygrzebywał się ze śpiwora (czerwonego jak światło drogowe) i sikał na ziemię. Był człowiekiem mającym liczną rodzinę i liczne grono znajomych, człowiekiem towarzyskim, lubiącym obracać się wśród ludzi (nie należało zapominać również o uczniach, o niekończącej się procesji uczniów).

Dopiero tu, w górze, zdał sobie sprawę, że cisza i samotność także mają zalety, wiele zalet. Zupełnie jakby po długim niewidzeniu spotkał starego przyjaciela.

— Jesteś pewien, że chcesz tam tkwić? — spytał wczoraj Henry. — Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną. Nie martw się o nogę, na pewno nie będziemy biegać zbyt szybko.

— Daj mi spokój — wtrącił się Pete. — Jemu tam jest dobrze. Zgadza się?

— Coś takiego.

Nie chciał mówić więcej, szczególnie o tym, jak bardzo jest mu tam dobrze. Są rzeczy, o których nie mówi się nawet najbliższym przyjaciołom. Czasem zresztą nie trzeba mówić, bo oni i tak wiedzą.

— Wiecie co? — odezwał się Beaver, wsadzając do ust koniec ołówka i przygryzając go lekko. Beaver robił to, odkąd pamiętali, od pierwszej klasy. Potem zamiast ołówków używał raczej wykałaczek. — Ja tam nawet jestem zadowolony, że on tu siedzi. Ma na wszystko oko, wie, co się dzieje... Zupełnie jak jakiś chrzaniony marynarz w bocianim gnieździe.

— Ahoj! — wykrzyknął Jonesy i wszyscy się roześmieli, ale Jonesy doskonale wiedział, co Beaver ma na myśli. Czuł to.

Mieć na wszystko oko... Trwać na posterunku, wypatrywać obcych okrętów, rekinów i lichy wie, czego jeszcze. Przy schodzeniu bolało go biodro, plecak mu ciążył, czuł się ciężki i niezdarny na drewnianych szczeblach przybitych do pnia, ale to nic nie szkodziło. Było nawet dobre. Wszystko się zmienia, lecz tylko głupiec sądzi, że na gorsze.

W każdym razie tak wtedy myślał.

4

Kiedy usłyszał szelest krzaków i cichy trzask łamanej gałązki — odgłosy, które zawsze kojarzyły mu się ze zbliżającym się jeleniem — przemknęły mu przez głowę słowa wypowiedziane kiedyś przez jego ojca: „Nie zmusisz szczęścia, żeby ci sprzyjało”. Lindsay Jones był życiowym nieudacznikiem i nie powiedział prawie nic wartego zapamiętania, w

tym wypadku miał jednak całkowitą rację, a to właśnie stanowiło kolejny dowód słuszności jego słów: Jonesy postanowił skończyć z polowaniem, a tu jakby nigdy nic prosto na niego idzie, sądząc po odgłosach, potężny jelen. Najprawdopodobniej byk, może nawet wielki jak człowiek.

Jonesy'emu nawet przez myśl nie przeszło, że mógłby to być naprawdę człowiek. Znajdowali się przecież na odludnym terenie siedemdziesiąt kilometrów na północ od Rangely, od polujących w pobliżu myśliwych dzieliły ich co najmniej dwie godziny marszu, najbliższa utwardzona droga prowadząca do Gosselin's Market (PIWO SŁODYCZE LOTTO) była ponad dwadzieścia kilometrów stąd.

Cóż, pomyślał. Nie składałem przecież żadnych ślubów ani niczego w tym rodzaju.

Nie, nie składał ślubów, niczego nie przysięgał. Być może za rok zamiast ze sztuczerem zjawi się tu z aparatem fotograficznym, ale to może za rok, a nie teraz. Nie miał najmniejszego zamiaru zaglądać darowanemu jeleniowi w zęby.

Zakręcił termos z kawą, odstawił go na bok, zsunął śpiwór z dolnej połowy ciała jak ogromną pomarszczoną skarpetę (biodro znowu dało znać o sobie, więc skrzywił się boleśnie) i wziął sztucer do rąk. Nie musiał wprowadzać pocisku do komory; stare przyzwyczajenia trudno wykorzenić, dlatego sztucer był gotów do strzału od chwili, kiedy Jonesy wdrapał się na ambonę. Wystarczyło go tylko odbezpieczyć.

Zrobił to, jak tylko pewnie stanął. Tym razem nie ogarnęło go doskonale znane z poprzednich lat podniecenie; jedyną zauważalną reakcją organizmu stanowiło przyspieszenie pulsu, co zresztą powitał z dużym zadowoleniem. Po wypadku cieszyły go wszelkie takie objawy, zupełnie jakby teraz było ich dwóch: stary Jonesy, który runął na jezdnię potrącony przez samochód, i nowy, znacznie ostrożniejszy i mniej spontaniczny, który obudził się w szpitalu. Nie było to całkowite przebudzenie, ponieważ jeszcze długo znajdował się pod wpływem środków przeciwbólowych, i w tym okresie często słyszał czyjś głos — nie miał pojęcia czyj, ale na pewno nie jego — wołający: „Proszę, przestańcie! Ja już nie wytrzymam!

Dajcie mi zastrzyk! Gdzie jest Marcy? Chcę Marcy!” Przepuszczał, że był to głos śmierci, której wymknął się na ulicy.

Dotarła za nim do szpitala, żeby dokończyć dzieła, przebrana za cierpiącego mężczyznę (lub kobietę, trudno powiedzieć), który wołał Marcy, lecz tak naprawdę szukał Jonesy'ego.

Te myśli minęły — wszystkie dziwne myśli, jakie nawiedzały go w szpitalu, w końcu minęły — ale pozostawiły po sobie ślad. Ten ślad to ostrożność. Co prawda z jego pamięci znikło wspomnienie o telefonie od Henry'ego i o radzie przyjaciela, żeby na siebie uważał (Henry nie uznał za stosowne mu o tym przypominać), niemniej jednak od tamtej pory Jonesy bardzo uważał na siebie. Był ostrożny, bo przecież śmierć mogła wciąż krążyć gdzieś blisko, a niekiedy może nawet wołała go po imieniu.

Ale przeszłość to przeszłość. Przeżył bliskie spotkanie ze śmiercią, jeśli zaś teraz może ktoś umrzeć, to tylko jelen (miał nadzieję, że byk), który zapędził się w niewłaściwym kierunku.

Szelesty i trzaski zbliżały się z południowego zachodu, co oznaczało, że nie będzie musiał wychylać się zza pnia klonu (to dobrze) i że zwierzę go nie zwietrzy (jeszcze lepiej). Większość klonowych liści opadła, dzięki czemu miał doskonały widok między niezbyt gęstymi, nagimi gałęziami. Jonesy podniósł sztucer, przycisnął kolbę do ramienia i przygotował się do oddania strzału.

McCarthy'ego ocalił jedynie (choć nie na długo) brak entuzjazmu Jonesy'ego do polowania, gdyby zaś zginął tam i wtedy, stałoby się to za sprawą zjawiska nazwanego przez George'a Kilroya, jednego z przyjaciół ojca Jonesy'ego, „gorączką wzroku”. Gorączka wzroku, dowodził Kilroy, jest pochodną gorączki łowieckiej i stanowi drugą pod względem częstości przyczynę nieszczęśliwych wypadków na polowaniach.

— Pierwsza to alkohol — powtarzał George Kilroy. Podobnie jak ojciec Jonesy’ego, sporo wiedział na ten temat. — Pierwszy zawsze jest alkohol.

Kilroy twierdził, że wszyscy, którzy zapadli na gorączkę wzroku, z jednakowym zdziwieniem konstatowali, że strzelali do płotu, kota, stodoły lub innego uczestnika polowania (nierzadko własnego współmałżonka lub dziecka). „Ale ja przecież widziałem!”, protestowali, i zdecydowana większość z powodzeniem przeszła badanie na wykrywaczu kłamstw.

Widzieli niedźwiedzia, wilka, jelenia lub dziką gęś podrywającą się do lotu w wysokiej trawie. Widzieli, i już.

Zdaniem Kilroya ludzie ci byli opętani obsesją oddania strzału, jak najszybciej, byle wreszcie z tym skończyć. Obsesja była tak silna, że mózg przekonywał oczy, by zobaczyły coś, co było jeszcze niewidoczne, żeby jak najprędzej uwolnić się od napięcia. Tak właśnie objawia się gorączka wzroku.

Chociaż Jonesy nie uważał, żeby był jakoś szczególnie zdenerwowany, a tym bardziej żeby opętała go jakakolwiek obsesja — ręce mu się nie trzęsły, i przecież pamiętał nawet o tym, żeby zakręcić termos z kawą — to jednak później przyznał w głębi duszy, że chyba on także padł ofiarą tej przypadłości.

Przez chwilę wyraźnie widział dorodnego byka na końcu tunelu z nagich, krzyżujących się gałęzi, równie wyraźnie jak szesnaście (sześć byków i dziesięć łani), które ustrzelił podczas wcześniejszych pobytów w Dziurze. Widział brązowy łeb i czarne błyszczące oko, a nawet fragment wieńca.

Strzelaj! — krzyknęło coś w jego wnętrzu. To był tamten Jonesy, starszy, sprzed wypadku. Ostatnio odzywał się znacznie częściej, w miarę jak Jonesy coraz bardziej zbliżał się do osiągnięcia stanu zwanego „pełnym powrotem do zdrowia”, nigdy jednak nie odważył się podnieść głosu. Tym razem był to niemal rozkaz.

Wskazujący palec posłusznie nacisnął na język spustowy.

Jonesy nie dołożył tego jednego, brakującego kilograma nacisku (a może wystarczyłoby pół?), niemniej prawie zastosował się do polecenia. Powstrzymał go inny głos, głos drugiego Jonesy’ego, który obudził się w szpitalnym łóżku, dezorientowany i obolały, pewien tylko jednego, że ktoś chce, żeby coś się skończyło — ktoś, kto nie jest już w stanie tego wytrzymać, przynajmniej bez zastrzyku — i że ten ktoś pragnie, by przyszła do niego Marcy.

Jeszcze nie, zaczekaj! — szepnął ten ostrożny Jonesy, i Jonesy go posłuchał. Zastygł w bezruchu z prawie całym ciężarem ciała na lewej, zdrowej nodze, sztucercem podniesionym do ramienia, lufą skierowaną w dół pod kątem trzydziestu dwóch stopni.

Właśnie wtedy z nieba spłynęły pierwsze płatki śniegu i Jonesy dostrzegł pionową pomarańczową krechę pod łbem jelenia. Zupełnie jakby pojawiła się tam razem ze śniegiem.

Przez jakiś czas jego mózg nie potrafił zinterpretować tego widoku; ta chaotyczna mieszanina kształtów i barw nie była ani jeleniem, ani człowiekiem, nie istniał nawet las, pozostała jedynie rozsypana czarno-brązowo-pomarańczowa układanka.

A potem pokazuje się jeszcze więcej pomarańczowego i nagle układanka ma sens: to czapka, czapka z podwiązywanymi klapkami na uszy. Zamiejscowi kupują takie czapki w sklepach specjalistycznych, z wszytą w środku metką głoszącą dumnie: MADE IN USA. U Gosselina można kupić identyczne ze znacznie skromniejszą metką MADE IN BANGLADESH.

Czapka podziałała jak katalizator i zaraz potem wszystko doskonale widział, aż za dobrze, przerażająco dobrze. To brązowe, co Jonesy wziął za łeb jelenia, to była wełniana kurtka, czarne oko to guzik, poroże zaś to po prostu gałęzie.

Gałęzie tego samego drzewa, na którym się usadowił. Ten człowiek był niezbyt roztropny (właściwie należałoby użyć słowa „szalony”), żeby wkładać do lasu brązową kurtkę, mimo to jednak Jonesy nie mógł pojąć, jak to się stało, że mało nie popełnił pomyłki o tragicznych,

nieodwracalnych skutkach. Przecież jego niedoszła ofiara miała na głowie pomarańczową czapkę, a na potencjalnie niebezpieczną, brązową kurtkę nałożyła pomarańczową kamizelkę. Krótko mówiąc, mężczyzna był...

...o włos od śmierci. Może nawet mniej.

Uświadomił to sobie z przerażającą jasnością, która uderzyła w niego jak błyskawica. Wstrząs był tak potężny, że Jonesy wypadł z własnego ciała i przez krótką, rozświetloną, niezapomnianą chwilę nie był ani pewnym siebie Jonesym Numer Jeden sprzed wypadku, ani Jonesym Numer Dwa, nieufną wobec świata ofiarą wypadku, który długo nie mógł odzyskać nie tylko sił fizycznych, ale i równowagi psychicznej. Przez tę chwilę był jakimś innym Jonesym, niewidzialnym bytem patrzącym na zaczajonego w ambonie myśliwego. Myśliwy miał krótkie, trochę siwiejące już włosy, twarz poraną bruzdami, nieogoloną, zawziętą. Niewiele brakowało, żeby użył broni. Płatki śniegu poczęły tańczyć mu wokół głowy, osiadały na wypuszczonej na wierzch grubej flanelowej koszuli. Niewiele brakowało, żeby zastrzelił człowieka w pomarańczowej czapce i kamizelce, niemal takich samych jak te, które sam by włożył, gdyby zamiast siedzieć na ambonie, zdecydował się pójść z Beaverem w głąb lasu.

Wrócił na miejsce z donośnym łupnięciem, zupełnie jakby jadąc szybko samochodem, wpadł na sporą poprzeczną nierówność i na ułamek sekundy katapultował się z fotela. Z przerażeniem poczuł, że wciąż trzyma mężczyznę na muszce sztucera, jakby jakiś uparty, ukryty w głębi jego mózgu aligator nie mógł pogodzić się z myślą, że człowiek w brązowej kurtce jednak nie jest zwierzyną. Co gorsza, nie mógł rozluźnić palca zaciśniętego na języku spustowym. Przez przerażającą sekundę lub dwie wydawało mu się nawet, że zaciska go coraz bardziej, zbliżając się błyskawicznie do największego błędu w swoim życiu, później jednak doszedł do wniosku, iż było to tylko złudzenie, bardzo podobne do wrażenia cofania się, jakiego się niekiedy doświadcza w stojącym samochodzie, kiedy kątem oka dostrzega się jadący powoli sąsiednim pasem pojazd.

W rzeczywistości trwał wciąż nieruchomo jak posąg, ale to było równie albo nawet jeszcze bardziej koszarne. „Za dużo myślisz, Jonesy”, mawiał niekiedy Pete, przyłapawszy go gapiącego się w przestrzeń i nieuczestniczącego w rozmowie. Za dużo wymyślasz, tak raczej powinno to zabrzmieć.

Teraz też za dużo wymyślał, za dużo sobie wyobrażał, stojąc na ambonie w pierwszym tego roku śniegu, z bronią przy ramieniu i palcem na spuście — nie, nie zwiększał nacisku, jak się tego jeszcze przed chwilą obawiał, ale i nie zmniejszał — człowiek w pomarańczowej czapce był już prawie pod nim, połączony niewidzialną nicią z wylotem lufy sztucera. Nie miał najmniejszego pojęcia o tym, jak niewiele brakowało, żeby pożegnał się z życiem, myślał pewnie o sprzedaży starego samochodu albo o kochance, albo o kupnie kucyka dla najstarszej córki (później Jonesy nabrał graniczącego z pewnością przekonania, że McCarthy nie myślał o żadnej z tych rzeczy, ale wtedy, na drzewie, z palcem na języku spustowym, nie miał jeszcze o tym pojęcia). Nie miał o niczym pojęcia tak samo jak Jonesy, kiedy jakiś czas temu stał przy krawężniku w Cambridge z teczką w jednej ręce i egzemplarzem „Phoenixa” w drugiej, nie miał pojęcia, że śmierć jest blisko, a może nawet sama Śmierć we własnej osobie, przygarbiona postać jak z któregoś z wczesnych filmów Bergmana, kryjąca coś w fałdach siermiężnej szaty. Być może nożyczki. Albo skalpel.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że mężczyzna nie zginąłby, a przynajmniej nie od razu. Upadłby i krzyczał przeraźliwie, tak samo jak Jonesy wtedy na ulicy. Co prawda nie pamięta tego, ale krzyczał. Tak mu powiedziano, a on nie ma powodu, żeby nie wierzyć. Wrzeszczał, wył jak zwierzę.

A jeśli człowiek w brązowej kurtce i pomarańczowych dodatkach zacząłby wzywać Marcy? Oczywiście w rzeczywistości wcale by tego nie robił, ale umysł Jonesy'ego zinterpretowałby jego krzyki jako wołanie o Marcy. Skoro istniała gorączka wzroku, skoro

mógł patrzeć na brązową kurtkę i wziąć ją za łeb jelenia, to z pewnością istnieje również jej odmiana atakująca uszy. Słyszeć krzyczącego z bólu człowieka i zdawać sobie sprawę, że to on, Jonesy, jest sprawcą jego cierpienia... Boże, tylko nie to! A jednak wciąż nie mógł wyprostować palca.

Z paraliżu pomogło mu się otrząsnąć całkiem zwyczajne, a zarazem niespodziewane wydarzenie: jakieś dziesięć kroków od drzewa człowiek w brązowej kurtce potknął się i przewrócił. Jonesy usłyszał jego trochę bolesne, a trochę zdziwione sapnięcie i najzwyczajniej w świecie, zupełnie o tym nie myśląc, zdjął palec ze spustu.

Mężczyzna podparł się rękami w brązowych rękawiczkach (nie tylko brązowa kurtka, ale i rękawiczki, przemknęło Jonesy'emu przez głowę. Dlaczego jeszcze nie przyczepił sobie do pleców kartki z napisem NIECH MNIE KTOŚ ZASTRZELI?). Gdy tylko dźwignął się na nogi, zaczął mówić niepewnym, drżącym głosem. Dopiero po jakimś czasie Jonesy uświadomił sobie, że mężczyzna również szlocha.

— O Boże, o Boże...

Wyprostował się i zachwiał, jakby był pijany. Jonesy wiedział, że w lesie, z dala od rodzin, ludzie zachowują się niekiedy dość dziwnie. Picie o dziesiątej rano należało do częściej spotykanych form zachowania. Jednocześnie zdawał sobie jednak sprawę, że ten człowiek nie jest pijany. Nie miał pojęcia, skąd o tym wie. Po prostu wiedział, i już.

— O mój Boże... — A potem, po kilku krokach: — Śnieg. Jeszcze śnieg. Boże, jeszcze śnieg, jakby wszystkiego było mało...

Przez kilka metrów nie tyle szedł, ile raczej się zataczał, i Jonesy zaczął już podejrzewać, że przecucie go zawiodło i że mężczyzna jednak jest pijany, lecz potem chód mu się wyrównał i maszerował nawet dość dziarsko, drapiąc się po prawym policzku.

Kiedy przechodził pod amboną, przez chwilę nie był człowiekiem, tylko pomarańczowym krążkiem czapki z dwoma brązowymi ramionami po bokach. Nabrzmiały łzami głos płynął w górę, między gałęzie. Najczęściej powtarzało się „o nie”, od czasu do czasu dla urozmaicenia pojawiało się „mój Boże” albo „teraz jeszcze ten śnieg”.

Jonesy wciąż trwał na stanowisku, obserwował, jak mężczyzna najpierw niknie pod amboną, a potem wyłania się z drugiej strony. Odwrócił się na pięcie, żeby cały czas mieć go w polu widzenia i równocześnie, zupełnie nieświadomie, opuścił sztucer i zabezpieczył go.

Nie zawołał ani w żaden inny sposób nie dał znać o swoim istnieniu. Chyba wiedział dlaczego: nie pozwalało mu na to poczucie winy. Obawiał się, że wystarczy jedno spojrzenie i mężczyzna od razu wyczyta prawdę z jego oczu. Nie pomogą łyzy ani gęstniejący śnieg, tamten od razu się domyśli, że Jonesy mierzył do niego ze sztucera i że bardzo, bardzo niewiele brakowało, żeby go zabił.

Dwadzieścia kroków od drzewa człowiek w pomarańczowej czapce uniósł prawą rękę do czoła, osłaniając oczy przed padającym śniegiem, i znieruchomiał. Jonesy domyślił się, że mężczyzna dostrzegł Dziurę w Murze. Jęki i szlochania ucichły, człowiek ruszył niemal biegiem w kierunku, z którego dobiegało mruczenie generatora. Kołysał się przy tym na boki jak marynarz na pokładzie statku. Jonesy słyszał jego chrapliwy, przyspieszony oddech. Nieznajomy co sił w nogach pędził ku obszernej drewnianej chacie, z której komina unosiła się w niebo błada strużka dymu, szybko niknąca w gęstniejącym śniegu.

Jonesy przewiesił broń przez ramię i zaczął schodzić po szczeblach przybitych do pnia drzewa. Myśl, że ze strony mężczyzny może mu grozić jakieś niebezpieczeństwo, nie przysłała mu jeszcze wtedy do głowy. Zabrał sztucer tylko dlatego, że nie chciał zostawiać cennej broni na ambonie. Bolące biodro tak bardzo spowolniło jego ruchy, że kiedy wreszcie dotarł na dół, człowiek, którego mało nie zastrzelił, stał już przed drzwiami chaty. A drzwi, ma się rozumieć, były otwarte. Tutaj, w głębi lasu, nikt nie zamykał drzwi na klucz.

Jakieś trzy metry przed częściowo wpuszczonym w ziemię granitowym blokiem, pełniącym — w Dziurze funkcję przedproża, człowiek w brązowym płaszczu ponownie upadł. Pomarańczowa czapka zsunęła mu się z głowy, odsłaniając zmierzwiłone kasztanowe włosy, mocno już przeredzone. Mężczyzna z trudem dźwignął się na jedno kolano i odpoczywał z pochyloną głową. Oddychał głośno i chrapliwie. Wreszcie sięgnął po czapkę, włożył ją, i właśnie wtedy Jonesy zawołał do niego.

Mężczyzna poderwał się na równe nogi i niezdarnie odwrócił w jego kierunku. W pierwszej chwili Jonesy odniósł wrażenie, że tamten ma wyjątkowo pociągłą twarz i szczękę — taką, jaką niekiedy określa się mianem „końskiej”. Ale gdy tylko podszedł bliżej (trochę utykając, lecz tylko trochę), zdał sobie sprawę, że twarz nieznanego wcale nie była szczególnie pociągłą, jedynie bardzo wystraszona i blada. Tym bardziej rzucała się w oczy czerwona plama na policzku. Na widok zbliżającego się powoli Jonesy’ego przerażenie znikło z twarzy mężczyzny, pojawiła się natomiast na niej ogromna ulga. Niewiele brakowało, żeby Jonesy parsknął śmiechem, przypomniawszy sobie, że jeszcze minutę lub dwie temu stał na ambonie, bojąc się zejść na dół, żeby nieznanemu nie wyczytał prawdy z jego oczu. Ten człowiek nie wyczytałby niczego nawet z otwartej książki i nic go nie obchodziło, skąd Jonesy się wziął i co robił przed chwilą. Wyglądał tak, jakby zamierzał zarzucić mu ramiona na szyję i obsypać go serdecznymi pocałunkami.

— Dzięki Bogu! — Ruszył ku Jonesy’emu z wyciągniętą ręką. — Dzięki Bogu! Zgubiłem się, od wczoraj błądzą po lesie. Myślałem już, że tu zginę, że... że...

Poślizgnął się na cienkiej warstwie świeżego śniegu i z pewnością by upadł, gdyby Jonesy nie chwycił go pod ramiona. Mężczyzna był wysoki, wyższy od Jonesy’ego, który miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, i potężniej zbudowany, a jednak Jonesy odniósł wrażenie, że podtrzymuje kogoś znacznie szczuplejszego i lżejszego, zupełnie jakby lęk i zmęczenie wydrażyły tego człowieka, pozostawiając jedynie zewnętrzną skorupę.

— Spokojnie, kolego. Już wszystko w porządku. Może wejdziemy do środka, żeby się trochę ogrzać? Co ty na to?

Mężczyzna nagle zaczął się trząść i szczerkać zębami, zupełnie jakby słowo „ogrzać” stanowiło umówiony sygnał.

— J... j... jasne... — wyjąkał, próbując się uśmiechnąć, ale bez większego powodzenia.

Jonesy nie mógł się nadziwić niezwykłej bledości jego skóry. Istotnie, było dość zimno, na pewno poniżej zera, ale policzki nieznanego barwą przypominały kredę. Tym mocniej kontrastowały z nimi czerwona plama na policzku i ciemne kręgi pod oczami.

Jonesy’ego nagle ogarnęła absurdalna czułość wobec tego zupełnie obcego człowieka, niemal tak silna jak uczucie, jakim zapałał do swojej pierwszej szkolnej miłości — niejakiej Mary Jo Martineau w białej bluzeczce bez rękawów i dżinsowej spódniczce do kolan. Otoczył go ramieniem, miał bowiem wrażenie, że tamten lada chwila może upaść. Teraz miał pewność, że mężczyzna nie był pijany i że chwiał się na nogach wyłącznie z wyczerpania, a może i ze strachu. Jednak w jego oddechu wyczuwało się coś jakby banany albo eter, który Jonesy wlewał do gaźnika swojego pierwszego samochodu, forda z epoki wojny wietnamskiej, żeby uruchomić go w chłodny poranek.

— To co, wejdziemy?

— Jasne. Zi... zi... zimno. Dzięki Bogu, że mnie pan znalazł. Czy to...

— Moja chata? Nie, przyjaciela.

Jonesy otworzył drzwi i pomógł nieznanemu przejść przez próg. Jak tylko mężczyzna poczuł na twarzy cieplejsze powietrze, westchnął głęboko, a jego policzki zaróżowiły się lekko. Jonesy z ulgą powitał dowód na to, że tamten ma jednak w sobie choć trochę krwi.

Jak na standardy obowiązujące w środku lasu Dziura w Murze prezentowała się nadzwyczaj okazale. Na dole było jedno bardzo obszerne pomieszczenie funkcjonujące jako kuchnia, jadalnia i pokój dzienny, w głębi dwie sypialnie i jeszcze jedna na górze. W dużym pokoju pachniało świeżym drewnem sosnowym, na podłodze leżał indiański kilim, a na jednej ze ścian wisiał obrazek przedstawiający dzielnych myśliwych z włóczniami, otaczających ogromnego niedźwiedzia. Przy prostym dębowym stole mogło się zmieścić osiem osób. W części kuchennej znajdował się piec, na którym się gotowało, opalany drewnem, w wypoczynkowej zaś — kominek. Kiedy w obu buzował ogień, można było oszaleć z gorąca, nawet jeśli na zewnątrz trzymał siarczysty mróz. W zachodniej ścianie umieszczono ogromne okno, za którym rozciągał się widok na opadający łagodnie stok wzniesienia, a dalej las. Po pożarze sprzed kilkunastu lat zostały poskręcane i osmolone pnie martwych drzew stojące w coraz głębszym śniegu. Jonesy, Pete, Henry i Beaver nazywali to zagłębienie terenu Parowem, ponieważ tak właśnie nazywali je ojciec Beavera i jego przyjaciele.

— Och, dzięki, dzięki Bogu... dziękuję...

Jonesy uśmiechnął się na tak wielką dawkę podziękowań, a mężczyzna roześmiał się chrapliwie, jakby chciał powiedzieć, że tak, oczywiście, zdaje sobie z tego sprawę, ale nic na to nie może poradzić. Oddychał bardzo głęboko, jak podczas ćwiczeń relaksujących, i przy każdym wydechu wyrzucał z siebie kilka słów:

— Boże, w nocy myślałem, że już po mnie... Było tak cholernie zimno... I ta wilgoć, pamiętam... Myślałem, co to będzie, jeśli jeszcze spadnie śnieg... Złapał mnie okropny kaszel, nie mogłem przestać... Coś się zbliżało i pomyślałem, że muszę przestać, bo jeśli to niedźwiedź, to... No wiesz... Mógłbym go rozdrażnić, albo coś... Ale nie dałem rady... Na szczęście zaraz potem to sobie poszło...

— Spotkał pan w nocy niedźwiedzia?

Jonesy był zafascynowany i równocześnie przerażony. Owszem, słyszał o tym, że w okolicy czasem pokazują się niedźwiedzie — takimi opowieściami chętnie raczyli przyjezdnych Stary Gosselin i jego kumple od piwa — ale na samą myśl o tym, że ten człowiek, samotny i bezbronny, omal nie padł ofiarą drapieżnika, aż ciarki przechodziły mu po grzbiecie. Zupełnie jakby słuchał marynarza opowiadającego o spotkaniu z wężem morskim.

— Nie wiem, co to było — przyznał mężczyzna i niespodziewanie posłał Jonesy'emu z ukosa chytre, ukradkowe spojrzenie, które Jonesy'emu zupełnie się nie spodobało. — Nie widziałem, bo nie było już błyskawic.

— Błyskawic?

Gdyby nie pożałowania godny stan, w jakim znajdował się nieznajomy, Jonesy z pewnością zaczęłby podejrzewać, że tamten coś zmyśla. Szczerze mówiąc, i tak już zaświtało mu takie podejrzenie.

— Same błyskawice, bez burzy. — Podrapał się po czerwonej plamie na policzku; przypuszczalnie było to odmrożenie.

— Zimą takie rzeczy czasem się zdarzają.

— I naprawdę pan to widział? Tej nocy?

— Chyba tak... — Mężczyzna ponownie zerknął na niego z ukosa, lecz tym razem w jego spojrzeniu nie było chytryści, i Jonesy doszedł do wniosku, że poprzednio także mu się przywidziało. Ujrzał tylko potworne zmęczenie. — Wszystko mi się miesza... Cholernie boli mnie żołądek... Zawsze mnie boli, kiedy się przestraszę. Mam to od dziecka.

Nieznajomy nawet teraz zachowywał się trochę jak dziecko, rozglądając się dokoła z nieskrywaną ciekawością, i jak dziecko dał się poprowadzić ku kanapie przed kominkiem.

Kiedy się przestraszę. Powiedział „kiedy się przestraszę”, nie „kiedy się zdenerwuję” albo „kiedy się zestresuję”. Powiedział tak, jak mówią dzieci.

— Niech pan zdejmie kurtkę — zaproponował Jonesy.

Czekając, aż tamten rozepnie guziki i suwak, Jonesy po raz kolejny pomyślał, jak niewiele brakowało, żeby go zastrzelił. Boże, jak mógł wziąć jeden z tych guzików za oko jelenia?

W połowie drogi suwak utknął, najechawszy stopką na zawiniętą podszewkę. Mężczyzna znieruchomiał i wytrzeszczył oczy, jakby zobaczył coś takiego po raz pierwszy w życiu, potem opuścił bezradnie ręce i pozwolił, żeby Jonesy wybawił go z problemu, zupełnie jak pierwszoklasista czekający bezradnie, aż nauczyciel pomoże mu zasznurować buty albo włożyć kurtkę właściwą stroną na wierzch.

Po krótkiej walce Jonesy’emu udało się rozpiąć suwak do końca. Za oknem Parów powoli znikał za zasłoną z coraz gęściej sypiącego śniegu, chociaż wciąż jeszcze widać było czarne sylwetki martwych drzew. Przyjeżdżali tu rok w rok niemal od dwudziestu pięciu lat i do tej pory nie mieli do czynienia z niczym poważniejszym niż przelotna zadymka. Wyglądało na to, że teraz wszystko może się zmienić, chociaż z drugiej strony, czy to wiadomo? W dzisiejszych czasach spece od pogody w radiu i telewizji traktowali kilkucentymetrowe opady śniegu jak początek nowej epoki lodowcowej.

Przez chwilę nieznamy stał jak posąg w kałuży topniejącego śniegu, kurtka zwisała na opuszczonych ramionach, i z rozchylonymi ustami spoglądał na sufit. Rzeczywiście, przypominał nadmiernie wyrośniętego sześciolatka... albo Dudditsa. Brakowało tylko rękawiczek na sznurku. Wreszcie rzucił kurtkę, nie troszcząc się zupełnie o to, co się z nią stanie. Gdyby nie Jonesy, zsunęłaby się na podłogę prosto w topniejący śnieg.

— Co to?

Początkowo Jonesy nie mógł się zorientować, czego dotyczy pytanie. Dopiero kiedy podążył wzrokiem za spojrzeniem mężczyzny, zorientował się, że tamtemu chodzi o zawieszoną u jednej z sufitowych belek ażurową różnokolorową plecionkę. Była czerwona, żółta i zielona, obracała się powoli i trochę przypominała pajęczynę.

— To łowca snów — wyjaśnił. — Indiański talizman. Zdaje się, że ma odstraszać koszmary czy coś w tym rodzaju.

— To pańskie?

Jonesy nie wiedział, czy pytanie dotyczy łowcy snów, czy chaty, ale w obu wypadkach odpowiedź była taka sama.

— Nie, mojego przyjaciela. Co roku przyjeżdżamy tu na polowanie.

— Dużo was jest?

Mężczyzna skrzyżował ramiona, chwycił się mocno rękami za łokcie, i dygocząc z zimna, obserwował, jak Jonesy wiesza jego kurtkę na wieszaku.

— Czterech. Beaver — to jego chata — poszedł polować. Pewnie niedługo wróci, skoro zaczęło padać. Pete i Henry pojechali do sklepu.

— Do Gosselina?

— Zgadza się. Proszę siadać.

Pomógł mężczyźnie zająć miejsce na kanapie — absurdalnie długiej i staromodnej, ale w Dziurze moda nie miała żadnego znaczenia. Liczyło się to, że kanapa była dość wygodna, za bardzo nie śmierdziała i że nie zaległy się w niej pluskwy.

— Zaraz wracam.

Zostawił go skulonego na kanapie, z dłońmi wciśniętymi między kolana. Sądząc po parówkowatym wyglądzie nóg, pod džinsami miał długie kalesony, a mimo to wciąż trząsł się jak w febrze. Ciepło panujące w chacie odniosło tylko jeden widoczny skutek: o ile jeszcze niedawno mężczyzna był śmiertelnie blady, o tyle teraz, z krwistoczerwonymi rumieńcami na policzkach, wyglądał jak chory na dyfteryt.

Pete i Henry zajmowali we dwóch większą z sypialni na parterze. Jonesy wszedł tam, otworzył drewnianą skrzynię stojącą na lewo od drzwi i wyjął jedną z dwóch wepchniętych tam kołder. W drodze powrotnej do pokoju zdał sobie sprawę, że do tej pory nie zadał nieznajomemu najbardziej oczywistego pytania — pytania, które zadałby nawet sześciolatek nie potrafiący sobie poradzić z zablokowanym suwakiem.

— Jak się pan nazywa? — spytał, rozkładając kołdrę na kanapie i niemal natychmiast uświadomił sobie, że prawie to wie. McCoy? McCann?

Człowiek, którego tak niedawno mało nie zabił, owinał się kołdrą i podniósł na niego spojrzenie podkrążonych oczu.

Sińce pod oczami zmieniły barwę na intensywnie fioletową.

— McCarthy. Richard McCarthy. — Spod kołdry, niczym jakieś nieśmiałe zwierzę, wysunęła się jego zaskakująco pulchna i miękka ręka. — A pan jest...?

— Gary Jones. — Uścisnął ją dłonią, w której jeszcze niedawno trzymał sztucer wycelowany w głowę McCarthy'ego.

— Mówią mi Jonesy.

— Dziękuję, Jonesy — powiedział poważnie McCarthy, patrząc mu w oczy. — Zdaje się, że uratował mi pan życie.

— Przesada — odparł Jonesy.

Jego uwagę przykuła czerwona plama na policzku mężczyzny. Tak, to chyba było odmrożenie. Prawie na pewno, bo niby co innego?

ROZDZIAŁ DRUGI

BEAVER

1

— Niestety nie możemy stąd zadzwonić — poinformował go Jonesy. — Linia telefoniczna tutaj nie dochodzi. Mamy jedynie mały generator, i to wszystko.

McCarthy skinął głową, tylko ona wystawała spod kołdry.

— Słyszałem go, ale wie pan, jak to jest, kiedy człowiek zabłądzi: trudno się zorientować. Czasem wydaje się, że słychać coś z przodu, a po chwili można przysiąc, że jednak z tyłu, albo z lewej lub z prawej...

Jonesy skinął głową, chociaż w gruncie rzeczy nie miał pojęcia, jak to jest. Jeśli nie liczyć kilku dni bezpośrednio po wypadku, spędzonych we mgle bólu i odurzającego działania leków, nigdy w życiu się nie zgubił ani nie zabłądził.

— Zastanawiam się, co powinniśmy zrobić, i wychodzi na to, że chyba będzie najlepiej, jeśli pana odprowadzimy, oczywiście jak wrócą Pete i Henry. Dużo was jest?

To proste pytanie wprawiło McCarthy'ego w widoczne zakłopotanie i zmusiło do głębokiego zastanowienia. Fakt ten, w połączeniu z dziwnym, jakby sennym sposobem poruszania się mężczyzny, utwierdził Jonesy'ego w przekonaniu, że McCarthy znajduje się w stanie głębokiego szoku. Zastanawiał się, czy rzeczywiście jedna noc spędzona samotnie w lesie może tego dokonać i czy gdyby jego spotkała taka przygoda, zareagowałby tak samo.

— Czwooro — odparł wreszcie McCarthy po dobrej minucie. — Tak jak was. Polowaliśmy parami. Ja poszedłem z moim kumplem, Stevem Otisem. To prawnik, tak jak ja. Obaj jesteśmy ze Skowhegan. Wszyscy jesteśmy ze Skowhegan i ten tydzień tu, w lesie, to dla nas wielka sprawa.

Jonesy skinął głową.

— Dla nas też — powiedział z uśmiechem.

— No więc, chyba się jakoś odłączyłem. — Wzruszył ramionami. — Sam zresztą nie wiem. Słyszałem Steve'a po prawej, co jakiś czas między drzewami mignęła mi jego kamizelka, a potem... Po prostu nie wiem. Pewnie się zamyśliłem, bo w lesie łatwo się zamyślić, i nagle znalazłem się zupełnie sam. Próbowałem wrócić po własnych śladach, lecz szybko zrobiło się ciemno. — Pokręcił głową. — Miesza mi się wszystko, ale tak, na pewno było nas czwooro: ja, Steve, Nat Roper i jego siostra Becky.

— Na pewno cholernie się o pana martwią.

McCarthy najpierw jakby się zdziwił, ale zaraz potem mocno się stropił. Widać było, że wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

— Tak, chyba tak. Na pewno. O jejku!

Jonesy z trudem powstrzymał uśmiech. McCarthy coraz bardziej przypominał mu postać z filmu „Fargo”.

— Więc chyba będzie lepiej, jeśli pana do nich odprowadzimy, oczywiście...

— Nie chcę wam sprawiać kłopotu...

— Nie ma problemu. Oczywiście pod warunkiem, że to będzie możliwe, bo pogoda coś nam się szybko zmienia.

— I to jak! — z goryczą przyznał mu rację McCarthy. — Mają te wszystkie satelity, radary i Bóg wie co jeszcze, a nie potrafią przewidzieć pogody na parę dni naprzód. Umiarkowane ochłodzenie, dobre sobie! I ani słowa o śniegu!

Jonesy spojrział ze zdziwieniem na otulonego kołdrą mężczyznę. W prognozach, które słyszał — które wszyscy czterej słyszeli — co najmniej od dwóch dni mówiło się o spodziewanych opadach śniegu. Niektórzy synoptycy zabezpieczali się, twierdząc, że śnieg może zamienić się w deszcz, jednak nie dalej jak dziś rano spiker stacji z Castle Rock

(jedynej, którą dało się tu odbierać, a i to niezbyt wyraźnie), uprzedzał o tym, że w krótkim czasie może spaść nawet dwadzieścia centymetrów śniegu. Jonesy nie wiedział, jakich prognoz słuchał McCarthy, ale na pewno innych niż on. Albo po prostu to i owo pokręciło mu się w głowie, czemu zresztą trudno się dziwić.

— Ma pan może ochotę na coś gorącego? Mogę zrobić nam szybko zupę.

McCarthy uśmiechnął się z wdzięcznością.

— Bardzo chętnie. W nocy i rano okropnie bolał mnie żołądek, ale teraz jest już lepiej.

— To od stresu — rzekł Jonesy. — Ja bym się pewnie porzygał, a może i narobił w gacie.

— Nie wymiotowałem. To znaczy, tak mi się wydaje, chociaż... — Ponownie pokręcił głową, jakby zrobił mu się z tego nerwowy tik. — Sam nie wiem. Teraz wydaje mi się, że to był tylko koszmarny sen.

— Na szczęście już po wszystkim.

Jonesy czuł się trochę głupio, mówiąc takie banały, ale na pierwszy rzut oka było widać, że ten człowiek tego potrzebuje.

— Na szczęście — zgodził się McCarthy. — Dzięki. A zupę zjem z przyjemnością.

— Mamy pomidorową, rosół i chyba gulasz. Co pan zamawia?

— Rosół — odparł McCarthy bez zastanowienia. — Moja mama zawsze mówiła, że rosół każdego postawi na nogi.

Uśmiechnął się przy tym szeroko i Jonesy musiał się bardzo postarać, żeby zachować kamienną twarz. McCarthy miał doskonale równe i białe zęby — zbyt równe i zbyt białe jak na ponadczterdziestoletniego mężczyznę. Przypuszczalnie nakładki. Nie było w tym nic nadzwyczajnego; Jonesy'ego zaszokował fakt, że w czterech miejscach zamiast zębów ziały czarne dziury. Brakowało dwóch górnych kłów (jego ojciec nazywał je „wampirzymi zębami”) i dwóch przednich na dole. Jonesy nie miał pojęcia, jak się nazywają, ale jedno nie ulegało dla niego wątpliwości: McCarthy nie wiedział o tych brakach. Nikt, komu brakuje czterech przednich zębów, nie uśmiecha się beztrudno od ucha do ucha, nawet w takich okolicznościach. Tak mu się przynajmniej wydawało. Jakiś nieprzyjemny skurcz przebiegł mu przez wnętrzności, słaby impuls, nie wiadomo skąd i po co. Odwrócił się pośpiesznie, żeby uniknąć ewentualnych pytań, gdyby jednak McCarthy wyczytał coś z jego twarzy.

— W porządku, będzie rosół. A może do tego grzanki z serem?

— Chętnie, jeśli to nie problem. Aha, mów mi Richard, dobrze? Albo Rick, tak będzie lepiej. Trochę mi głupio być na „pan” z kimś, kto ocalił mi życie.

— Jasne, Rick.

Lepiej szybko wstaw sobie te zęby, zanim znowu wystąpisz przed sądem.

Uczucie, że coś jest nie w porządku, nie tylko go nie opuszczało, ale wręcz nasilało się z każdą chwilą. To było to COŚ, co podpowiedziało mu nazwisko McCarthy'ego. Jonesy był jeszcze daleki od tego, by żałować, że nie zastrzelił tego człowieka, kiedy miał ku temu okazję, ale zaczął już podejrzewać, że byłoby znacznie lepiej, gdyby McCarthy trzymał się z daleka od Dziury w Murze i od jego życia.

3

Pierwsze uderzenie wiatru nadeszło w chwili, kiedy Jonesy postawił już zupę na kuchni i wziął się do robienia grzanek z serem. Chata aż zatrzeszczała w posadach, a z ziemi poderwały się tumany śniegu. Na chwilę znikły nawet czarne sylwetki osmalonych pni w parowie i okno wypełniła nieprzenikniona biel, zupełnie jakby tuż za szybą ustawiono ekran kinowy. Jonesy po raz pierwszy zaniepokoił się, nie tylko o Pete'a i Henry'ego, którzy zapewne wracali już scoutem ze sklepu, ale i o Beavera. Oczywiście jeśli ktoś znał okolicę, to właśnie on, ale w takiej zamieci na nic zdałaby się nawet najlepsza znajomość terenu. W takiej zamieci licytacja się nie liczy, jak mawiał nieudany ojciec Jonesy'ego. Nie było to

może tak dobre powiedzenie, jak Nie zmusisz szczęścia, żeby ci sprzyjało, ale i tak było niezłe. Beaverowi mógł pomóc odgłos pracy generatora, ale, jak wspomniał McCarthy, takie wskazówki bywają niekiedy mylące. Szczególnie przy szalejącym wietrze.

Mama nauczyła go paru podstawowych zasad związanych z kucharzeniem, a jedna z nich dotyczyła robienia grzanek z serem. Najpierw kapnij trochę musztardy, a potem chleb posmaruj masłem. Zawsze smaruj chleb, nigdy nie kładź masła na patelni. Jeśli rozpuścisz masło i położysz na nim chleb z serem, wyjdzie ci gorący chleb z serem, a nie grzanka. Nigdy nie zdołał pojąć, dlaczego jest to tak niesamowicie ważne, czy smaruje się chleb, czy rzuca masło na patelnię, niemniej zawsze stosował się do zaleceń matki, chociaż oznaczało to znacznie więcej zachodu i zwracania sobie głowy. Robił to chyba z tego samego powodu, dla którego za nic w świecie nie wszedłby do domu w gumowcach, ponieważ, jak mawiała matka, od tego ściągają się stopy. W tym wypadku również nie miał pojęcia, co to znaczy, lecz zawsze zrzucał gumowce, i w ogóle wszelkie buty, zaraz po przekroczeniu progu.

— Myślę, że sam też co nieco przekaszę — powiedział głośno, kładąc chleb na patelni posmarowaną stroną do dołu.

Gorący rosół zaczął już roztaczać soczysty, krzepiący zapach.

— Dobry pomysł. Mam nadzieję, że twoi przyjaciele dadzą sobie radę w tej zamieci.

— Ja też. — Zamieształ w garnku. — Gdzie mieszkacie?

— Dawniej polowaliśmy na Mars Hill, bo wujek Nata i Becky miał tam ładną chatkę, ale dwa lata temu jacyś debile spalili ją do fundamentów. Strażacy mówili, że pożar zaczął się od papierosa. Na pewno wszyscy byli pijani w trzy dupy.

— Tak, to się zdarza.

— Chata była ubezpieczona, ale co z tego, skoro nie mieliśmy gdzie mieszkać. Myślałem już, że to koniec naszych polowań, lecz na szczęście Steve znalazł bardzo sensowne miejsce w Kineo. To nawet nie miasteczko, tylko coś jakby osada, ale ma nazwę i mieszka tam parę osób. Wiesz, gdzie to jest?

— Wiem — odparł odruchowo Jonesy, chociaż w stanie, w jakim się teraz znajdował, nie powinien nawet poruszyć ustami. Dziura w Ścianie znajdowała się mniej więcej trzydzieści kilometrów na wschód od sklepu Gosselina, Kineo zaś co najmniej czterdzieści kilometrów stamtąd na zachód.

W sumie dawało to około siedemdziesięciu kilometrów. Czy miał uwierzyć, że ten zawinięty w kołdrę człowiek siedzący na kanapie od minionego popołudnia pokonał na piechotę niemal siedemdziesiąt kilometrów? Absurd. Niemożliwe.

— Ładnie pachnie — zauważył McCarthy.

Rzeczywiście, ładnie pachniało, ale Jonesy już nie był głodny.

3

W chwili kiedy niósł posiłek do stołu, na kamiennym progu za drzwiami rozległo się donośne tupanie, a po chwili otworzyły się drzwi i do chaty wszedł Beaver w kłębach miotanego wiatrem śniegu.

— Jezu Chryste na bananie! — wysapał. Pete sporządził kiedyś listę beaveryzmów i „Jezu Chryste na bananie” znalazło się na jednej z czołowych pozycji, wspólnie z takimi perełkami jak „wypieprzapięprz” i „całuj mnie w złamasa”.

W przekleństwach Beavera wzniosłość mieszała się z wulgarnością. — Już myślałem, że będę nocował w jakiejś zaspie, ale na szczęście zobaczyłem światło. Jezu, co za sy...

Właśnie wtedy para zaczęła znikać z jego okularów i Beaver dostrzegł nieznanego siedzącego na kanapie. Opuścił powoli ręce, a następnie uśmiechnął się. Między innymi właśnie dlatego jeszcze w podstawówce tak bardzo przypadł Jonesy’emu do serca: Beaver

bywał nieznośny i z całą pewnością nie imponował inteligencją, ale na nowe, nieoczekiwane sytuacje reagował nie zmarszczeniem brwi, lecz uśmiechem.

— Cześć — powiedział. — Jestem Joe Clarendon, a ty?

— Rick McCarthy — odparł mężczyzna i podniósł się z kanapy.

Kołdra zsunęła mu się z ramion i Jonesy dostrzegł całkiem pokaźny brzuch zwisający nad paskiem od spodni. Cóż, nic nadzwyczajnego, pomyślał. Choroba mężczyzn w średnim wieku. W ciągu najbliższych dwudziestu paru lat umrze nas na nią ładnych kilka milionów.

McCarthy wyciągnął rękę, zrobił krok naprzód i o mało nie potknął się o kołdrę leżącą częściowo na podłodze. Gdyby Jonesy nie zdążył go podtrzymać, przypuszczalnie runąłby jak długi, zmiatając po drodze ze stołu rosół i grzanki.

Jonesy'ego po raz kolejny uderzyła nieporadność tego człowieka; pod tym względem McCarthy trochę przypominał mu jego z wiosny tego roku, kiedy od nowa uczył się chodzić. Przy okazji przyjrzał się z bliska plamie na policzku mężczyzny i od razu tego pożałował. To wcale nie było odmrożenie, tylko jakaś narośl albo czyrak, albo znamię porośnięte rzadkimi włoskami.

— Hej, hej, pomalutka! — zawołał Beaver, doskoczył do McCarthy'ego, chwycił wyciągniętą rękę, ścisnął ją i potrząsnął tak energicznie, iż Jonesy był prawie pewien, że McCarthy jednak wylądował twarzą na stoliku. Na szczęście Beaver — metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ze śniegiem topniejącym powoli na długich włosach — wreszcie cofnął się, wciąż szeroko uśmiechnięty. Z tymi opadającymi na ramiona włosami i w mocnych szklach wyglądał jak matematyczny geniusz lub seryjny morderca. W rzeczywistości był stolarzem.

— Rick miał nielichą przygodę — poinformował Jonesy przyjaciela. — Zgubił się wczoraj i całą noc spędził w lesie.

Uśmiech nie znikł z twarzy Beavera, lecz stał się bardziej zatroskany. Jonesy mniej więcej wiedział, co zaraz nastąpi i wiele by dał za to, żeby to nie nastąpiło — wydawało mu się, że McCarthy jest dość religijnym człowiekiem, który chyba nie za bardzo lubi soczysty język — ale oczywiście wymagać od Beavera, by wyrażał się przyzwoicie, to tak, jak żądać od wiatru, żeby nie wiał.

— A niech to świder starej kurwie w dupę! — wykrzyknął. — Ja pierdołę, ale historia! Siadaj, jedz! Ty też, Jonesy.

— Dzięki, ja mogę zaczekać. Ty zjedz, przecież dopiero co wróciłeś z dworu.

— Jesteś pewien?

— Jasne. Zrobię sobie jajecznicę, a Rick niech w tym czasie opowie ci całą historię.

Może ty zrozumiesz z tego więcej ode mnie, dodał w myślach.

— No dobra. — Beaver zdjął kurtkę (czerwoną) i kamizelkę (pomarańczową, ma się rozumieć). Już zamierzał rzucić je na stos drewna do kominka, lecz nagle coś sobie przypomniał. — Czekał, mam tu coś dla ciebie. — Przez chwilę grzebał w kieszeni kurtki, po czym wyjął z niej książkę, cokolwiek sfatygowaną, ale w sumie w całkiem niezłym stanie. Na okładce tańczyły małe diabły z widłami. „Nasze małe grzeszki”, autor: Robert Parker. Jonesy czytał tę książkę na ambonie. Beaver podał mu ją z uśmiechem. — Śpiwór zostawiłem na drzewie, ale pomyślałem sobie, że nie będziesz mógł zasnąć, jeżeli się nie dowiesz, kto to, kurwa, zrobił.

— Niepotrzebnie tam włąziłeś — bąknął Jonesy, choć w głębi serca zrobiło mu się bardzo ciepło. Tylko Beaver potrafił wywołać u niego takie uczucie. Beaver wracał w szalejącej zamieci, więc nie mógł z daleka dostrzec, czy Jonesy jest jeszcze na ambonie, czy nie. Kto inny po prostu by zawołał, ale nie Beaver. Beaver wierzył tylko w to, co zobaczył na własne oczy.

— Nie ma sprawy — odparł i usiadł obok McCarthy'ego, który przyglądał mu się z taką miną, jakby właśnie zobaczył jakieś całkiem nowe, egzotyczne zwierzątko.

— Dzięki — powiedział Jonesy. — Bierz się do grzanki, a ja idę smażyć jajecznicę. — Nagle coś sobie przypomniał. — A co z Pete'em i Henrym? Myślisz, że dadzą sobie radę?

Beaver otworzył usta, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, wicher ponownie zakotłosał chatą, tak że aż zaskrzypiały ściany, i przeciągle zagwizdał w kominie.

— Przecież to tylko trochę śniegu — odparł Beaver, kiedy wiatr nieco przycichł. — Wrócą bez problemu. Ale nie wiem, czy jutro da się stąd wyjść, jeśli przywieje porządnie z północy.

Z apetytem zabrał się do grzanki, Jonesy zaś wrócił do kuchni, żeby zrobić jajecznicę i podgrzać jeszcze jedną puszkę zupy. Teraz, kiedy wrócił Beaver, poczuł się znacznie pewniej. Szczerze mówiąc, przy Beaverze zawsze czuł się dużo pewniej. Może to głupie, ale prawdziwe.

4

Kiedy jajecznica była już gotowa, a zupa podgrzana, McCarthy i Beaver gadali ze sobą tak, jakby znali się co najmniej od dziesięciu lat. Nawet jeśli McCarthy'ego trochę raził stek w większości żartobliwych przekleństw, to niekorzystne wrażenie z pewnością zatarł osobisty urok Beaver'a. Nie mam pojęcia, na czym to polega, powiedział kiedyś Henry Jonesy'emu, ale jego po prostu nie można nie lubić. Właśnie dlatego on ciągle ma jakiś nowy towar w łóżku. Widocznie na kobiety to też działa.

Starając się nie utykać, Jonesy zaniósł swoje jedzenie do pokoju. To zdumiewające, o ile bardziej bolało go biodro podczas złej pogody. Wcześniej, przed wypadkiem, zawsze wydawało mu się, że to wymysł starych bab, ale okazało się, że to jednak prawda. Z ulgą usiadł w fotelu. McCarthy więcej uwagi poświęcał rozmowie niż jedzeniu — znikła dopiero połowa jego grzanki z serem.

— Jak wam idzie, chłopcy?

Jonesy popieprzył jajecznicę i zabrał się do niej z zapalem. Wyglądało na to, że całkowicie odzyskał apetyt.

— Jak dwóm alfonsom w porcie, do którego wpłynęła eskadra lotniskowców — odparł Beaver. Pozornie wydawał się całkowicie rozluźniony, ale Jonesy, który znał go od wielu lat, bez trudu wyczuł w jego głosie niepokój, a może nawet lęk. — Rick opowiada mi o swoich przygodach. To lepsze niż te historie w pismach, które podczytywałem dawno temu u fryzjera. — Wciąż uśmiechnięty, odwrócił się do McCarthy'ego i przesunął ręką po gęstych czarnych włosach.

— Kiedy byłem mały, w naszej części miasta wszyscy chodzili się strzyc do starego Castonguaya. Kiedyś tak mnie nastraszył tymi swoimi cholernymi nożyczkami, że od tej pory trzymam się od niego z daleka.

McCarthy uśmiechnął się blado, ale nic nie odpowiedział.

Wziął do ręki połówkę swojej grzanki, spojrział na nią, odłożył. Czerwona plama na policzku była tak jaskrawa, jakby płonęła żywym ogniem. Tymczasem Beaver gadał jak najęty, jakby bał się tego, co mógłby powiedzieć McCarthy, gdyby doszedł do głosu. Na dworze śnieg sypał coraz gęściej, wiatr też wciąż przybierał na sile. Jonesy z niepokojem myślał o Henrym i Peterze; najprawdopodobniej jechali już starym scoutem Henry'ego po Deep Cut Road.

— Wyobraź sobie, że nie dość, że mało coś nie zeżarło go w nocy, najpewniej niedźwiedź, to w dodatku zgubił sztucer! Nowutki remington 30–30, niech mi jaja odpadną! Nie znajdziesz go już, koleś, choćbyś kurwicy dostał.

— Wiem — odparł McCarthy. Rumieńce powoli znikwały z jego policzków, stopniowo wracała na nie trupia bladość. — Zresztą nawet nie pamiętam, gdzie ani kiedy go...

Przerwał mu przeciągły terkotliwy dźwięk, coś jakby odgłos dużej szarańczy. Jonesy poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku i odruchowo spojrział na komin, przekonany, że coś

tam wpadło. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to McCarthy. Jonesy słyszał już w życiu wiele głośnych i długotrwałych pierdnięć, żadne jednak nie mogło się równać z tym, które właśnie słyszał. Wydawało się, że trwa bez końca, chociaż w rzeczywistości mogło to być najwyżej kilka sekund. A potem po pokoju rozszedł się smród.

McCarthy wypuścił z palców łyżkę, która wpadła z pluskiem do talerza z ledwo napoczętym rosółem, i w niemal dziewczęcym geście zawstydyzenia podniósł rękę do policzka ze znamieniem.

— Rety, bardzo przepraszam...

— Nie szkodzi, jakoś się wszyscy zmieścimy — odparł żartobliwie Beaver, ale uczynił to odruchowo, bez przekonania, ponieważ był równie wstrząśnięty i zdumiony jak Jonesy. To nie był smród siarkowodoru, taki, od jakiego oganiasz się ręką, przewracasz oczami i pytasz: „O kurde, kto tak nakopcił?”, nie miał też nic wspólnego z metanowym bagiennym zapachem.

To była ta sama woń, którą Jonesy wyczuł wcześniej w oddechu McCarthy'ego, tyle że znacznie silniejsza: mieszanka eteru i przejrzałych bananów, coś jakby płyn ułatwiający rozruch silnika, który wlewa się do gaźnika w mroźny poranek.

— Boże, to okropne! — jęknął McCarthy. — Tak mi przykro...

— Naprawdę nic nie szkodzi — odezwał się Jonesy.

Żołądek zwinął mu się w ciasny kłębek, jak zwierzę broniące się przed atakiem. Apetyt minął jak ręką odjął. Za nic w świecie nie wzięłyby teraz niczego do ust. Nie miał nic szczególnego przeciwko pierdnięciom, ale to było wyjątkowo obrzydliwe.

Beaver podniósł się z kanapy i otworzył okno. Do chaty wtargnęło nieco wirującego śniegu i strumień cudownie świeżego powietrza.

— Nic się nie przejmuj, kolego... chociaż trzeba przyznać, że nieźle nas potraktowałeś. Co żeś jadł w tym cholernym lesie? Zajęcie bobki?

— Mech, jakieś gałązki, i sam nie wiem co jeszcze. Byłem głodny, musiałem coś jeść, ale nie znam się na tych rzeczach, nigdy nie czytałem przygodówek... No i było ciemno...

Ostatnie zdanie dodał jakby pod wpływem nagłego impulsu, albo po zastanowieniu. Jonesy i Beaver wymienili ukradkowe spojrzenia, jakby każdy z nich chciał się przekonać, czy drugi myśli to samo: McCarthy kłamał. Nie miał pojęcia, czym żywił się w lesie, ani nawet czy w ogóle cokolwiek jadł. Po prostu rozpaczliwie starał się wytłumaczyć swoje przeraźliwe pierdnięcie i towarzyszący mu paskudny zapach.

Wiatr uderzył ponownie, wdmuchując przez otwarte okno kolejną porcję śniegu, a wraz z nim nieco ożywczego, zimnego powietrza.

Nagle McCarthy pochylił się do przodu, a właściwie zgiął się wpół i schował głowę między kolana, jakby dostał potwornie silny cios w żołądek. Jonesy bez trudu wyobraził sobie, co się zaraz stanie: żegnaj indiański kilimie, miło było cię poznać. Beaver pomyślał to samo, podkulił bowiem pośpiesznie swoje długie nogi, aby uchronić spodnie przed zachlapaniem.

Jednak zamiast strumienia wymiocin, z ust McCarthy'ego wydobył się głuchy, przeciągły odgłos, jakby zepsutego przeciążonego silnika albo niesprawnego kompresora. Oczy wyszły mu z orbit, skóra naciągnęła się na twarzy. Odgłos trwał i trwał, a kiedy wreszcie umilkł, w nienaturalnej ciszy pyrkotanie generatora zabrzmiało ze zdwojoną mocą.

— Słyszałem już w życiu mnóstwo beknięć, ale za to należy ci się złoty medal — rzekł wreszcie Beaver z autentycznym podziwem w głosie.

McCarthy wyprostował się, odchylił do tyłu i opadł na oparcie kanapy. Miał zamknięte oczy i uchylone usta, wykrzywione w grymasie zażenowania lub bólu, albo obu naraz. W powietrzu ponownie rozeszła się woń bananów i eteru, czegoś fermentującego, czegoś, co właśnie zaczęło tracić świeżość.

— Boże, okropnie mi przykro... — wymamrotał, nie otwierając oczu. — To mnie męczy przez cały dzień, od świtu. I żołądek znowu mnie boli...

Jonesy i Beaver wymienili zaniepokojone spojrzenia.

— Wiesz, co myślę? — odezwał się po chwili Beaver. — Myślę, że powinieneś się trochę przespać. Całą noc byłeś na nogach, słuchałeś tego cholernego niedźwiedzia i lichy wie, czego jeszcze. Jesteś zmęczony, zestresowany i kaczy fiut wie co jeszcze. Przekimasz trochę, a jak wstaniesz, będziesz jak nowy.

McCarthy spoznał na Beavera z tak ogromną wdzięcznością, że aż Jonesy poczuł się odrobinę zażenowany. Mężczyzna wciąż był śmiertelnie blady, ale na czoło i skronie wystąpiły mu wielkie krople potu, które spływały następnie po policzkach niczym przezroczysty olej, chociaż przez otwarte okno w pokoju zrobiło się całkiem chłodno.

— Tak, na pewno masz rację. Jestem wykończony, i tyle. Cholernie boli mnie żołądek, ale to pewnie ze stresu. I jadłem różne świństwa, mech i takie tam... No, różne rzeczy. — Podrapał się po policzku. — Czy to cholerstwo na mojej twarzy bardzo źle wygląda? Krwawi?

— Nie krwawi — odparł Jonesy. — Jest tylko czerwone.

— To pewnie reakcja alergiczna — stwierdził ponuro McCarthy. — To samo mam po orzeszkach ziemnych. Tak, położę się i odpocznę. Na pewno poczuję się lepiej.

Wstał i od razu się zatoczył, ale szybko odzyskał równowagę, zanim zdążyli go podtrzymać. Jonesy był gotów przysiąc, że obfity brzuch znikł. Czy to możliwe? Czy to mogły być tylko zgromadzone gazy? Nie miał pojęcia, wiedział natomiast, że takiego pierdnięcia i takiego beknięcia nie słyszał jeszcze nigdy w życiu i że będzie je wspominał przez wiele, wiele lat. *W listopadzie zawsze jeździliśmy na polowanie do chaty Beavera Clarendona. W 2001, wtedy kiedy była ta wielka śnieżycy, nie wiadomo skąd zjawił się pewien gość...* Tak, to dobra historia do opowiadania wieczorami, ludzie będą pękać ze śmiechu, kiedy dojdzie do pierdnięcia i bekania, bo ludzie zawsze śmieją się z takich historii. Opowie wszystko ze szczegółami, z wyjątkiem tego, jak niewiele zabrakło, żeby odesłał Ricka McCarthy'ego na tamten świat. Nie, o tym na pewno nie wspomni.

Beaver zaprowadził McCarthy'ego do sypialni na parterze, którą do tej pory samotnie zajmował Jonesy. Po drodze posłał mu przepaszające spojrzenie, na co Jonesy tylko wzruszył ramionami. To było przecież najlogiczniejsze rozwiązanie: McCarthy tutaj, a on do Beavera. W dzieciństwie nieraz przecież zdarzało im się sypiać w jednym łóżku. Poza tym, nawet gdyby chcieli umieścić gościa na górze, prawdopodobnie nie zdołałby wspiąć się po schodach. Jonesy'emu coraz mniej się podobała jego śmiertelna bladość.

Jonesy należał do tych ludzi, którzy najpierw starannie ścielą łóżko, a następnie robią na nim niemożliwy bałagan.

Pospiesznie zgarnął na bok książki, ubrania, gazety i przybory toaletowe, po czym zdjął narzutę.

— Chcesz się może odlać, kolego? — spytał Beaver.

Mężczyzna pokręcił głową. Jak zhipnotyzowany wpatrywał się w czystą błękitną pościel. Jonesy ponownie zwrócił uwagę na szklistość jego spojrzenia. McCarthy miał oczy jak wypchane zwierzę. Nagle w głowie Jonesy'ego pojawił się absurdalny obraz: wewnątrz jego domu w Brooklinie koło Bostonu, salon, na podłodze dywany, na dywanach eleganckie stylowe meble, a na ścianie nad kominkiem głowa McCarthy'ego. „Ustrzeliłem go w Maine — opowiadałby gościom. — Spory okaz, prawie dziewięćdziesiąt kilogramów”.

Zacisnął powieki, a kiedy je uniół, napotkał zaniepokojony wzrok Beavera.

— Biodro — wyjaśnił. — Przepraszam. Panie McCarthy... to znaczy, Rick... chyba powinieneś zdjąć sweter i spodnie. No i buty, ma się rozumieć.

McCarthy spoznał na niego jak człowiek obudzony z głębokiego snu.

— Jasne — odparł. — No pewnie.

— Trzeba ci pomóc? — zapytał Beaver.

— Nie, skądże znowu! — Był chyba równie rozbawiony jak wystraszony. — Nie jest ze mną aż tak źle.

— W takim razie zostawię Jonesy'ego, żeby miał oko na wszystko.

Beaver wymknął się z sypialni, a McCarthy zaczął się rozbierać. Najpierw ściągnął przez głowę sweter. Pod spodem miał myśliwską koszulę w czarno-czerwonej kratę, a pod nią ciepły podkoszulek. Teraz Jonesy był już pewien, że pokaźny brzuch, na który wcześniej zwrócił uwagę, wyraźnie się zmniejszył.

To znaczy, prawie pewien. Nie dalej jak godzinę temu dałby przecież sobie rękę uciąć, że ma przed sobą dorodnego jelenia...

Kiedy McCarthy usiadł na krześle, żeby ściągnąć buty, rozległo się kolejne pierdnięcie — nie trwało tak długo jak pierwsze, ale było równie donośne i cuchnące — może nawet bardziej, bo przecież znajdowali się teraz w znacznie mniejszym pomieszczeniu. Jonesy'emu zaczęły łzawić oczy.

McCarthy zrzucił buty — upadły na drewnianą podłogę z głuchym łomotem — wstał, rozpiął pasek i ściągnął spodnie. Pod spodem miał ciepłe kalesony. W tej samej chwili zjawił się Beaver z ceramiczną doniczką.

— To na wszelki wypadek — powiedział, stawiając ją przy łóżku. — Wiesz, gdybyś nagle dostał pilny telefon.

McCarthy spojrział na niego tak tępo, że Jonesy'emu przebiegły ciarki po grzbiecie. Oto w do niedawna jego sypialni stoi zupełnie obcy człowiek, przypuszczalnie chory, może nawet poważnie. Nie wiadomo tylko, jak poważnie.

— Na wypadek, gdybyś nie zdążył do łazienki — wyjaśnił Beaver. — Chociaż to całkiem blisko. Trzeba skrócić w lewo, drugie drzwi po lewej stronie korytarza. Drugie, nie pierwsze. Jeśli się pomylisz, nasrasz nam do szafy z pościelą.

Jonesy parsknął piskliwym, trochę histerycznym śmiechem.

— Już mi lepiej — zapewnił McCarthy, ale w jego głosie brakowało przekonania. Stał nieruchomo w samej bieliźnie jak android z częściowo wykasowaną pamięcią. Po oznakach życia — choć z pewnością nie żywotności — które prezentował wcześniej, nie zostało nawet wspomnienie, podobnie jak po rumieńcach na policzkach.

— Śmiało, Rick — zachęcił go łagodnie Beaver. — Przekimaj się trochę, nabierz sił.

— Jasne. — Usiadł na brzegu łóżka i zapatrzył się w okno. Miał szeroko otwarte, zupełnie puste oczy. Albo smród trochę zelżał, albo Jonesy zaczął się już do niego przyzwyczajać, jak do smrodu panującego w małpiarni, który po dłuższej chwili prawie zupełnie przestawał przeszkadzać.

— A jak tam twój żołądek?

— Lepiej. — McCarthy patrzył teraz na Jonesy'ego wzrokiem przerażonego dziecka. — Przepraszam za tę kanonadę. Nigdy w życiu mi się nic takiego nie zdarzyło, nawet w wojsku, chociaż tam prawie codziennie dawali nam fasolę. Ale przynajmniej lepiej się czuję.

— Na pewno nie chcesz się wysikać przed spaniem?

Dla Jonesy'ego, ojca czworga dzieci, takie pytanie było całkiem naturalne.

— Na pewno. Odląłem się w krzakach, tuż przed tym, nim mnie znalazłeś. Dziękuję ci. Dziękuję wam obu.

— Daj spokój. — Beaver przestąpił z nogi na nogę. — Każdy by tak zrobił.

— Może tak, a może nie. W Biblii powiedziano: „Oto stoję u waszych drzwi i kołaczę”...

Wiatr uderzył ponownie, tak że chata aż się zakołysała. Jonesy czekał jeszcze jakiś czas, wyglądało bowiem na to, że McCarthy ma coś chyba do powiedzenia, ale on bez słowa położył się do łóżka i naciągnął kołdrę. Zaraz potem, nieco stłumione przykryciem, rozległo się jeszcze jedno przeciągłe pierdnięcie i Jonesy doszedł do wniosku, że ma już dosyć. Przyjść pod dach błakającego się po lesie człowieka to jedno, a wsłuchiwać się w eksplozje

rzucanych przez niego granatów gazowych i wdychać cuchnące rezultaty tych eksplozji to całkiem co innego.

Beaver wyszedł za nim i delikatnie zamknął drzwi.

5

Jonesy niemal od razu zamierzał coś powiedzieć, ale Beaver pokręcił głową, przyłożył palec do ust i zaprowadził go do kuchni, czyli do miejsca najbardziej odległego od sypialni, w której teraz spał McCarthy — naturalnie jeśli nie liczyć szopy z narzędziami.

— Cholera, ten koleś jest chyba poważnie chory!

W jaskrawym blasku zamontowanych w kuchni jarzeniówek widać było wyraźnie, jak bardzo Beaver jest zaniepokojony. Pogrzebał w przedniej kieszeni kombinezону, znalazł wykałaczkę i natychmiast wsadził ją do ust. Po trzech minutach — czyli po czasie, jakiego potrzebuje nałogowy palacz na wypalenie papierosa — z wykałaczki miały zostać tylko przeżute drzazgi. Jonesy nie rozumiał, jak wytrzymują to zęby i żołądek Beavera, ale jakoś chyba wytrzymywały, skoro jego przyjaciel robił to niemal przez całe życie.

— Mam nadzieję, że się mylisz, ale... — Jonesy potrząsnął głową. — Czułeś kiedyś coś takiego?

— Nie. Zresztą, jemu dolega coś więcej niż tylko żołądek.

— To znaczy?

— To znaczy, że na przykład uważa, że dzisiaj jest jedenasty listopada.

Jonesy nie miał pojęcia, o czym mówi Beaver. Przecież jedenastego listopada przyjechali na polowanie, jak zwykle słończeni w scoucie Henry'ego.

— Beaver, dzisiaj jest środa. Czternasty.

Beaver uśmiechnął się, trochę na przekór samemu sobie. Wykałaczka błyskawicznie wędrowała z jednego kącika ust w drugi.

— Ja to wiem i ty wiesz, ale Rick nie wie. Rick uważa, że dzisiaj jest niedziela.

— Co ci dokładnie powiedział?

Raczej nie było tego wiele — ile czasu można robić jajecznicę z dwóch jajek i podgrzewać puszkę zupy? Ta myśl przypominała mu o niepozmywanych naczyniach, natychmiast więc odkręcił kurek z gorącą wodą. Nie miał nic przeciwko życiu przez jakiś czas w dość prymitywnych warunkach, nie oznaczało to jednak, że miał ochotę obrosnąć brudem.

— Że przyjechali w sobotę, a w niedzielę zamierzali łątać dziury w dachu. Mówił coś takiego: „Przynajmniej nie zgrzeszyłem pracą w niedzielę, bo jak człowiek jest sam w lesie, to zajmuje się tylko tym, żeby nie oszaleć”.

— Hm... — mruknął Jonesy.

— Nie dam głowy, że na pewno ma na myśli jedenasty listopada, bo być może chodzi mu o czwartą, ale na pewno uważa, że dzisiaj jest niedziela. Czwarty chyba odpada, bo nie uwierzę, żeby pętał się sam po lesie przez dziesięć dni.

Jonesy też by w to nie uwierzył, lecz trzy dni? Owszem, w to mógł uwierzyć.

— To by wyjaśniło coś, o czym wspomniał. Kiedy...

Skrzypnęła deska w podłodze. Obaj aż podskoczyli i jak na komendę spojrzeli w kierunku zamkniętych drzwi sypialni, ale nic ciekawego nie zobaczyli. Podłogi i ściany zawsze tu skrzypiały, szczególnie podczas silnego wiatru. Nieco zawstydzeni popatrzyli na siebie.

— Tak, jestem trochę nerwową — przyznał Beaver. Może wyczytał pytanie w oczach Jonesy'ego, a może w jego myślach. — Ale chyba sam przyznasz, że w tym jest coś niesamowitego.

— Pewnie, że tak.

— Jak pierdnął pierwszy raz, to pomyślałem, że jego dupa miesiąc temu zatrula się na śmierć spalinami, tylko że on niczego nie zauważył.

Beaver zrobił lekko zdziwioną minę, jak zawsze kiedy powiedział coś zabawnego, a zaraz potem równocześnie wybuchnęli bezgłośnym śmiechem: chwycili się za ramiona, zacisnęli palce i śmiali się z szeroko otwartymi ustami, sapiąc i dysząc, żeby tylko nie usłyszał ich ten biedak, żeby tylko nie usłyszał, że się śmieją, bo bez trudu domyśliłby się, że śmieją się właśnie z niego. Jonesy, który znacznie bardziej niż Beaver potrzebował w jakiś sposób odreagować i zneutralizować wzbierającą w nim histerię, zgiął się wpół, a z jego oczu popłynęły łzy. Wreszcie Beaver wyciągnął go na zewnątrz. Stali w padającym wciąż śniegu i ryczeli na całe gardła, ponieważ ich głosy i tak ginęły w wyciu szalejącego wiatru.

6

Kiedy wrócili do środka, Jonesy miał tak zziębnięte ręce, że prawie nie czuł gorącej wody, ale przynajmniej wyśmiał się za wszystkie czasy i to było najważniejsze. Dobry nastrój psuły mu tylko myśli o Peterze i Henrym — co teraz się z nimi dzieje i czy uda im się bezpiecznie wrócić.

— Powiedziałeś, że to by coś wyjaśniało — przypomniał mu Beaver. — O co chodzi?

— Nie wiedział, że zapowiadali opady śniegu — odparł Jonesy, po czym umilkł na chwilę, by dokładnie przypomnieć sobie słowa McCarthy'ego. — Powiedział coś takiego:

„Umiarkowane ochłodzenie, dobre sobie... I ani słowa o śniegu”. To by miało sens, jeśli ostatnia prognoza, której słuchał, dotyczyła jedenastego albo dwunastego, bo przecież jeszcze do wczoraj pogoda była w porządku, zgadza się?

— Jasne, tyle że trochę zimno. — Beaver wycierał naczynia ściereczką w nieco już wyblakłe biedronki, od czasu do czasu zerkając na zamknięte drzwi sypialni. — Co jeszcze ci powiedział?

— Że mieszkają w Kineo.

— W Kineo? Przecież to siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt kilometrów stąd! Chyba nie...

— Beaver wyjął z ust wykałaczkę, obejrzał uważnie, po czym wsadził ją z powrotem. — Nawet na pewno.

— Jasne, że nie. Nie przeszedłby tyle w jedną noc, ale gdyby był w drodze przez trzy dni...

— ...i cztery noce, bo jeśli zgubił się w sobotę po południu, toby były cztery noce...

— Tak, i cztery noce. No więc, gdyby przez cały czas szedł prosto na wschód... Powiedzmy, robiąc jakieś dwadzieścia kilometrów dziennie... Tak, to chyba byłoby możliwe.

— Ale jakim cudem nie zamarzył po drodze? — Beaver, chyba nieświadomie, zniżył głos niemal do szeptu. — Ma grubą kurtkę i kalesony, lecz już od Halloween w nocy trzyma mróz, więc powiedz mi, z łaski swojej, jakim cudem miałby przeżyć w lesie trzy noce. Nawet nie ma odmrożeń, z wyjątkiem tego paskudztwa na policzku.

— Nie wiem — przyznał Jonesy. — Zresztą to nie wszystko. Nie ma też zarostu.

— Że co? — Beaverowi opadła szczeka. Wykałaczką wisiła przyklejona do dolnej wargi. — No tak, zgadza się. Ma tylko rzadką szczecinę.

— Powiedziałbym, że jednodniową.

— Może się golił?

— Na pewno.

Jonesy wyobraził sobie, jak McCarthy, przerażony, zziębnięty i głodny (choć z drugiej strony, wcale nie sprawiał wrażenia szczególnie wygłodzonego...), codziennie rano kruszy warstwę lodu na strumyku, klęka na brzegu i wyjmuje swoją wierną gilette... Skąd? Z kieszeni kurtki?

— A dziś rano zgubił maszynkę, i stąd ta szczecina.

Beaver znów się uśmiechał, lecz nie był to pogodny uśmiech.

— Jasne. Zgubił ją razem ze sztucerem. Widziałeś jego zęby? Cztery szlag trafił: dwa na górze i dwa na dole. Wygląda jak jakiś cholerny bokser, który przed walką nie nałożył ochraniacza.

— Nie przesadzaj. Mnie też brakuje paru chłopców, i co z tego? — Beaver przesunął wykałaczkę w kącik ust i obdarzył go krzywym uśmiechem. Jonesy wolałby, żeby tego nie czynił. — Łydysz? O, uaj i uaj...

Jonesy pokręcił głową. To nie było to samo.

— Ten gość jest prawnikiem, bez przerwy pokazuje się publicznie. Po prostu musi o siebie dbać, nie ma rady, a te zęby wypadły mu z samego przodu. Założę się, że to się stało całkiem niedawno i że on o tym nie wie.

— Chyba nie myślisz, że został napromieniowany albo coś w tym stylu? — zaniepokoił się Beaver. — Bo zęby wypadają wtedy, jak człowiek załapie za dużo promieniowania. Widziałem to na filmie. Zresztą na takim, jakie ty lubisz, o potworach. I może stąd ta czerwona plama na policzku?

— Na pewno został napromieniowany, kiedy wybuchł reaktor elektrowni Mars Hill. — Zdezorientowana mina Beavera sprawiła, że Jonesy od razu pożałował niewczesnego żartu. — Człowieku, przecież gdyby tak było, wypadłyby mu też włosy!

Beaver natychmiast się rozpozodził.

— Zgadza się! Ten klient z filmu wyłysiał zupełnie jak ten Telly–jak–mu–tam, no, ten, co grał gliniarza w telewizji. A potem umarł. Klient, nie Telly, chociaż jeśli dobrze pamiętam...

— Nasz klient ma mnóstwo włosów — przerwał mu Jonesy.

Beaverowi nie można było pozwolić zbyt głęboko zapaść się w dygresję, bo wtedy szansa na powrót do głównego tematu gwałtownie malała, by bardzo szybko osiągnąć zero. Uwagi Jonesy'ego nie umknął fakt, że żaden z nich nie nazywał obcego po imieniu ani po nazwisku, jakby podświadomie usiłovali go odczłowieczyć, tak by jego pojawienie się było mniej... mniej... Zresztą, nieważne.

— Zgadza się — przyznał Beaver. — Ma włosy.

— To widocznie amnezja.

— Może, ale w takim razie jakim cudem pamięta, jak się nazywa, z kim przyjechał, gdzie mieszkał? No i co z tym smrodem, którym strzelił? Rety, jakby ktoś posłał serię z karabinu! Cholernie dziwnie to cuchnęło, jakby eter albo coś w tym guście...

— Zgadza się. Mnie to się skojarzyło z płynem do gaźników. Zdaje się, że cukrzycy pachną jakoś dziwnie, kiedy mają atak. Czytałem o tym w książce.

— Czy to właśnie taki zapach?

— Nie pamiętam.

Przez chwilę stali tylko i patrzyli na siebie, słuchając wiatru. Jonesy zastanawiał się, czy powiedzieć Beaverowi o błyskawicach, które podobno widział tamten, ale doszedł do wniosku, że nie warto. I bez tego mieli o czym myśleć.

— Kiedy się wtedy tak zgiał, byłem pewien, że puści pawia. Ty też?

Jonesy skinął głową.

— I nie wygląda zbyt dobrze. Wcale nie wygląda.

— Zgadza się.

Beaver westchnął, wrzucił wykałaczkę do kosza, spojrzął w okno, za którym śnieg sypał coraz gęściej, i przesunął palcami po włosach.

— Cholera, szkoda, że nie ma Henry'ego i Pete'a. Szczególnie Henry'ego.

— On jest psychiatrą!

— Wiem, ale psychiatra to przecież prawie lekarz, a coś mi się wydaje, że ten gość potrzebuje lekarza, i to szybko.

W rzeczywistości Henry miał dyplom lekarza — musiał go mieć, żeby zrobić specjalizację z psychiatrii — ale, o ile Jonesy wiedział, leczył ludziom tylko głowy. Mimo to Beaver miał chyba rację.

— Myślisz, że uda im się wrócić?

Beaver westchnął ciężko.

— Pół godziny temu powiedziałbym: na pewno, ale tak pada, że teraz powiem tylko, że mam nadzieję. — W jego oczach nie sposób było doszukać się wesołych iskierek, charakterystycznych dla Beavera Clarendona. — Mam nadzieję.

ROZDZIAŁ TRZECI SCOUT

1

Prowadząc scouta w ślad za snopem światła wrzynającym się w sypiący coraz obficie śnieg — wrażenie było takie, jakby jechali tunelem, w którym nie wiadomo kiedy i w jaki sposób znalazła się Deep Cut Road — Henry rozmyślał nad tym, jak to zrobić.

Przede wszystkim istniał Sposób Hemingwaya — dawno temu, jeszcze podczas studiów w Harvardzie, napisał o tym pracę, więc być może podświadomie już wtedy o tym myślał. Do zastosowania Sposobu Hemingwaya niezbędna była broń, najlepiej strzelba lub sztucer, a taki właśnie Henry miał ze sobą. Chociaż tutaj, w takim gronie, na pewno by tego nie zrobił. Spędzili tu we czterech wiele wspaniałych chwil, więc postąpiłby bardzo nie fair, brukając to miejsce. Byłoby to nie w porządku wobec Pete'a i Jonesy'ego, ale chyba najbardziej wobec Beavera. Niemniej rozstrzygnięcie zbliżało się wielkimi krokami, czuł to wyraźnie. Było nie do uniknięcia jak kichnięcie. Może to trochę dziwne porównywać koniec życia do kichnięcia, choć w gruncie rzeczy zapewne sprowadzało się to do czegoś w tym rodzaju. Wielkie aaaapsik!, a potem witaj ciemności, moja dobra przyjaciółko.

Aby zastosować Sposób Hemingwaya, należało zdjąć but i skarpetkę. Kolba na podłogę, wylot lufy do ust, duży palec na spust. I jedna ważna rzecz, zanotował Henry w myślach, kiedy scout zarzucił nieco tyłem — głębokie koleiny pomogły kierowcy opanować samochód, bo ta „droga” to w gruncie rzeczy były tylko dwie koleiny. Wcześniej trzeba zażyć środek przeczyszczający i odsiedzieć swoje w sraczu. Po co dokładać sprzątaniam tym, którzy mnie znajdują.

— Może lepiej trochę zwolnij — odezwał się Pete.

Między nogami trzymał do połowy opróżnioną butelkę piwa, ale pół butelki piwa to było stanowczo za mało, żeby go zmiękczyć. Trzy albo cztery to co innego; Henry mógłby wtedy gnać nawet stową, a Pete jakby nigdy nic siedziałby obok, pociągał z butelki i śpiewał razem z łomoczącymi w głośnikach Pink Floyd. A Henry naprawdę mógłby gnać tu stową, i pewnie obyłoby się nawet bez kolejnego wgniecenia w zderzaku, ponieważ po Deep Cut Road jechało się niemal jak po torach, nawet jeśli koleiny były częściowo wypełnione śniegiem. Gdyby jeszcze popadało, sprawa wyglądałaby inaczej, ale na razie wszystko grało.

— Nie przejmuj się, Pete. Sytuacja jest pod kontrolą.

— Chcesz piwo?

— Nie, kiedy prowadzę.

— Nawet tu, w środku lasu?

— Nawet.

Pete nie nalegał, pozwalając Henry'emu gnać sunącym przed nimi tunelem światła. Henry znowu został sam na sam z myślami, czyli tam, gdzie chciał być. Co prawda czuł się trochę tak, jakby dotykał czubkiem języka krwawiącej ranki w ustach, ale chwilowo tego właśnie pragnął.

Były jeszcze środki nasenne. Była sztuczka z foliową torbą na głowie. Było utonięcie. Był skok z wysokiego piętra. Strzał w skroń z pistoletu nieszczególnie do niego przemawiał — zbyt duże szansę na przeżycie, tyle że w charakterze rośliny — podobnie jak podcięcie żył. To dobre dla ludzi, którzy dopiero się wprawiają. Japończycy wymyślili sposób, który nawet mu się spodobał: Należy obwiązać szyję sznurem, do drugiego końca przywiązać duży kamień, położyć kamień na oparciu fotela, usiąść w fotelu i odchylić się z nim do tyłu, tak żeby kamień zawisł za oparciem. Wszystko powinno się skończyć najdalej w ciągu trzech minut. Szaro przed oczami, potem czarno, witaj ciemności, stara dobra przyjaciółko. Żeby

było zabawniej, dowiedział się o tej metodzie z jednej z ukochanych detektywistycznych powieści Jonesy'ego. To właśnie rajcowało Jonesy'ego: kryminały i horrory.

Jak na razie Henry skłaniał się ku Sposobowi Hemingwaya.

Pete opróżnił pierwszą butelkę i, ze znacznie bardziej zadowoloną miną, od razu otworzył następną.

— I co o tym myślisz? — zapytał.

Henry poczuł się tak, jakby ktoś przemocą ciągnął go z powrotem do świata, w którym żywi pragną nadal żyć. Jak zwykle mocno go to zirytowało, niemniej zależało mu na tym, żeby pozostali niczego nie podejrzewali, chociaż wydawało mu się, że Jonesy już chyba zaczął coś podejrzewać.

I Beaver też. Oni potrafili czasem zajrzeć człowiekowi w duszę. Pete nie miał o niczym pojęcia, ale przecież mógł powtórzyć tamtym coś, czego nie powinien — na przykład, że Henry przez cały czas był cholernie zamyślony, jakby coś go dręczyło. Henry wolałby tego unikać. To przecież była ich ostatnia wspólna wyprawa do Dziury w Murze, ostatnie spotkanie bandy z Kansas Street, ostatnia wspólna awantura Szkarłatnych Piratów z trzeciej i czwartej klasy podstawówki, i zależało mu na tym, żeby się udała. Chciał, żeby wiadomość o jego samobójstwie była dla nich kompletnym zaskoczeniem, nawet dla Jonesy'ego, który przecież najczęściej zaglądał mu w duszę. Chciał, żeby mówili, że nie mieli o niczym pojęcia. Nie wyobrażał ich sobie siedzących ze spuszczonej głowami, unikających swojego wzroku, zadreżających się świadomością, że powinni byli się domyślić, że widzieli objawy i nie uczynili nic, żeby zapobiec tragedii.

Więc chociaż niechętnie, ale jednak wrócił do tego świata, nawet dość przekonująco udając zainteresowanie. Bądź co bądź, był przecież psychiatrą, prawda?

— O czym?

Pete przewrócił oczami.

— O tym wszystkim, co wygadywał stary Gosselin!

— Posłuchaj: nie bez powodu mówią na niego „stary”. Ma co najmniej osiemdziesiąt lat, a ludzie w tym wieku łatwo ulegają hysterii.

Scout — również nie młodzieniaszek, czternaście lat i sporo ponad sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów przebiegu — niespodziewanie wyskoczył z kolein i pomimo napędu na dwie osie zarzucił tyłem najpierw w lewo, a potem w prawo. Henry sprawnie skontrował i niemal parsknął śmiechem, kiedy Pete wypuścił butelkę z ręki i wrzasnął:

— Kurwa, uważaj trochę!

Zdjął nogę z gazu, ale jak tylko wyczuł, że koła odzyskują przyczepność, celowo zbyt mocno ponownie go wdepnął, wprowadzając samochód w poślizg. Pete znowu krzyknął, Henry znów zwolnił, scout wskoczył w koleiny i sunął dalej gładko jak po torach. Jedną z zalet podjęcia decyzji o samobójstwie było to, że człowiek nie przejmował się byle duperelami. Reflektory kroily coraz bardziej gęsty śnieg, miliony płatków, wśród których, jeśli wierzyć popularnej mądrości, nie ma dwóch jednakowych.

Pete podniósł piwo z podłogi (rozlało się tylko trochę) i postukał się w pierś.

— Nie jedziesz za szybko?

— Skądże znowu — odparł Henry, po czym, jakby niedawna przygoda w ogóle nie przerwała mu toku rozumowania (bo i nie przerwała), podjął: — Ofiarami zbiorowej hysterii najczęściej padają osoby w podeszłym wieku i bardzo młode.

To doskonale udokumentowane zjawisko zarówno na moim poletku, jak i u barbarzyńców z sąsiedztwa, czyli socjologów. — Zerknąwszy na prędkościomierz, zobaczył, że jedzie ponad pięćdziesiąt na godzinę. Biorąc pod uwagę warunki, to chyba jednak było zbyt szybko. Zwolnił odrobinę. — Teraz lepiej?

Pete skinął głową.

— Nie zrozum mnie źle, świetny z ciebie kierowca, ale jednak trochę pada... A poza tym, przecież wieziemy zapasy. — Wskazał kciukiem za siebie, na dwie wypchane torby i dwa pudła na tylnym siedzeniu. — Oprócz hot dogów mamy trzy ostatnie opakowania makaronu z serem. Sam wiesz, że Beaver nie może bez tego żyć.

— Wiem. Ja zresztą też to lubię. Pamiętasz te prasowe historie z połowy lat dziewięćdziesiątych o czcicielach szatana w stanie Waszyngton? Okazało się, że wszystko zaczęło się od plotek rozpowszechnianych przez kilkoro starszków z dwóch miasteczek w pobliżu Seattle. Mniej więcej w tym samym czasie w Delaware i Kalifornii wybuchły afery z rzekomym wykorzystywaniem seksualnym małoletnich dziewcząt pracujących w ośrodkach pomocy społecznej. Przypuszczalnie to był tylko przypadek albo te dziewczyny wyczuły w jakiś sposób, że nadeszła właściwa pora na takie historie.

Jak łatwo płynęły mu te słowa z ust! Zupełnie jakby cokolwiek znaczyły. On mówił, siedzący obok niego człowiek słuchał z ogłupiałym podziwem i nikt (a już na pewno nie Pete) nie podejrzewałby, że Henry przez cały czas myśli o strzelbie, lince, rurze wydechowej, proszkach nasennych... Po prostu w głowie miał kilka zawsze gotowych do użytku, zapętlonych taśm, a jego język pełnił funkcję magnetofonu.

— Dawno temu w Salem starzy mężczyźni i młode dziewczyny karmili się wzajemnie swoimi histeriami i wiadomo, jaki był tego rezultat.

— Oglądałem z Jonesym ten film — powiedział Pete. — Grał tam Vincent Price. Bałem się jak cholera.

— Wcale się nie dziwię — odparł Henry i parsknął śmiechem, przez chwilę bowiem wydawało mu się, zupełnie nie wiadomo dlaczego, że Pete mówi o filmie według sztuki Arthura Millera.

— A kiedy ludzie najchętniej słuchają takich historii? Po żniwach, kiedy padają deszcze, dni stają się coraz krótsze i nie wiadomo, co robić z czasem. W Wenatchee to był kult szatana i ofiary z dzieci składane w okolicznych lasach, w Salem — czarownice, a tutaj, w Jefferson Tract, te dziwne światła na niebie, zaginieni myśliwi i tajemnicze przemieszczenia wojsk. Nie wspominając o czerwonych porostach na drzewach.

— Ja tam nic nie wiem o śmigłowcach i żołnierzach, ale światła na niebie widziało tylu ludzi, że aż postanowili zebrać posiedzenie rady miejskiej. Stary Gosselin mi o tym powiedział, kiedy ty nosiłeś puszki. A ci ludzie z Kineo naprawdę zaginęli. To nie histeria.

— Załatwmy to po kolei. Po pierwsze, nikt nie mógł zwołać posiedzenia rady miejskiej, ponieważ tutaj nie ma żadnych miast. Po drugie, zebranie odbędzie się oczywiście u starego Gosselina, w związku z czym co najmniej połowa uczestników będzie miała mocno w czubie, Pete parsknął coś pod nosem.

— Po trzecie, czy mają coś innego do roboty? A po czwarte, czyli w sprawie zaginionych myśliwych: najprawdopodobniej albo znudziło im się i wrócili do domów, albo nawalili się jak bombowce i postanowili spróbować szczęścia w kasynie w Carrabassett.

— Naprawdę tak myślisz? — zapytał Pete z tak wielkim przygnębieniem, że Henry'ego aż ogarnęło rozczulenie i poklepał go pocieszająco po kolanie.

— Nie przejmuj się tak bardzo. Na świecie pełno jest dziwnych i cudownych rzeczy.

Gdyby na świecie naprawdę było pełno dziwnych i cudownych rzeczy, Henry przypuszczalnie nie uznałby za stosowne się z nim rozstać, ale przecież był psychiatrą, a jedyną rzeczą, jaką psychiatrzy naprawdę potrafią robić (naturalnie poza wypisywaniem recept na prozac, paxil i ambien) jest mówienie kłamstw.

— Jak na mój gust, jednoczesne zniknięcie czworga myśliwych jest wystarczająco dziwne.

— Wręcz przeciwnie. — Henry się roześmiał. — Gdyby zaginał jeden, owszem, toby było dziwne. Gdyby dwóch, toby było niepokojące. Ale czworo? Po prostu dali gdzieś dyla razem, i to wszystko.

— Ile nam jeszcze zostało do Dziury w Murze?

W wolnym przekładzie znaczyło to mniej więcej: Czy zdążę wypić jeszcze jedno piwo?

Przy sklepie Henry wyzerował licznik dziennego przebiegu. Nabrał tego zwyczaju przed laty, kiedy pracował na stanowej posadzce, dostawał dwanaście centów za kilometr i miał pod opieką nieprzebrane tłumy stetryczalnych świrusów. Odległość z Dziury do sklepu wynosiła 35,5 kilometra, teraz zaś licznik wskazywał 20,3 kilometra, co oznaczało, że...

— Uważaj! — krzyknął Pete. Henry natychmiast oderwał wzrok od przyrządów i spojrzął przed siebie.

Samochód właśnie wjechał na szczyt łagodnego wzniesienia. Śnieg sypał gęsto, ale w światłach drogowych Henry bez trudu dostrzegł postać siedzącą na środku drogi jakieś trzydzieści metrów przed nimi. Postać miała na sobie grubą kurtkę, pomarańczową kamizelkę powiewającą w wietrze niczym peleryna Supermana oraz futrzaną rosyjską czapę. Furkoczące przy czapce pomarańczowe wstążki przywiodły Henry'emu na myśl dekorację punktów sprzedaży używanych samochodów. Człowiek siedział sztywno wyprostowany, niczym Indianin szykujący się do wypalenia fajki pokoju, i nawet nie drgnął, kiedy zalała go powódź światła z reflektorów. Przez ułamek sekundy Henry widział oczy tego człowieka — szeroko otwarte, nieruchome i zupełnie puste. Tak by wyglądały moje, gdybym się nie pikłował, przemknęło mu przez głowę.

Było za późno na hamowanie. Henry gwałtownie skręcił kierownicą w prawo i poczuł wstrząs, kiedy scout wyskoczył z kolein. Jeszcze raz mignęła mu blada, nieruchoma twarz. *Cholera, to kobieta!*

Samochód natychmiast wpadł w poślizg, lecz tym razem Henry nie kontrował, tylko starał się go pogłębić, zdawał sobie bowiem sprawę (nie, nie pomyślał o tym, bo wszystko działo się zbyt szybko), że to jedyna szansa dla osoby siedzącej na drodze. Niewielka, właściwie minimalna, ale jednak.

Pete wrzasnął przeraźliwie, kątem oka Henry dostrzegł, jak zasłania sobie twarz rękami, scout sunął już prawie w poprzek drogi i dopiero teraz Henry skontrował, starając się wyprostować samochód na tyle, żeby jego tylna część nie rąbnęła w głowę nieruchomej postaci. Kierownica obracała się z oleistą, towarzyszącą każdemu poślizgowi łatwością. Przez co najmniej trzy sekundy scout sunął Deep Cut Road pod kątem czterdziestu pięciu stopni, częściowo posłuszny Henry'emu Devlinowi, a częściowo wichurze. Reflektory oświetlały sosny rosnące po lewej stronie drogi. Trzy sekundy — niewiele, ale wystarczyło. Widział, jak mijają siedzącą postać — wyglądało to tak, jakby to ona się poruszała, a oni stali w miejscu, tyle że ona nawet nie drgnęła, nawet wtedy gdy tylny zderzak samochodu śmignął dwa, może trzy centymetry obok jej ucha.

Ominąłem cię! — wykrzyknął w duchu Henry. Ominąłem cię, suko! Zaraz potem zupełnie stracił panowanie nad samochodem i scout ustawił się w poprzek drogi. Przez nadwozie przebiegło potężne drzenie, kiedy koła ponownie ustawiły się w koleinach, tyle że poprzecznie. Samochód wciąż jeszcze próbował się obracać, wciąż jeszcze tył usiłował wyprzedzić przód, a potem koła trafiły na kamień albo może jakiś nieduży pień i z potwornym łomotem scout przewrócił się najpierw na stronę pasażera — szyby roztrzaskały się w ułamku sekundy — a następnie na dach. Podtrzymujący Henry'ego pas pękł, w związku z czym Henry grzmotnął lewym ramieniem w dach, jądrami zaś uderzył w kolumnę kierownicy. Udo trafiło w wyłącznik kierunkowskazów, wyłącznik się złamał, po udzie popłynęła krew. Posoka, jak mawiają myśliwi. Popłynęła posoka.

Silnik przewróconego scouta działał jeszcze przez kilka sekund, po czym grawitacja zrobiła swoje i silnik umilkł. Samochód leżał na dachu w całkowitej ciszy, lecz koła się obracały. Jeden reflektor zgasł, ale drugi wciąż oświetlał drzewa przy drodze.

Henry sporo rozmawiał z Jonesym o jego wypadku (a raczej słuchał, gdyż terapia polega na kreatywnym słuchaniu) i wiedział, że jego przyjaciel nie pamiętał tego zdarzenia. Natomiast Henry miał pewność, że ani na chwilę nie stracił przytomności i że zarejestrował wszystko we właściwej kolejności. Pamiętał, jak mocował się z zapięciem pasa, żeby jak najprędzej wydostać się z tego cholerstwa, podczas gdy Pete darł się rozpaczliwie, że ma złamaną nogę. Pamiętał szurgot działających wciąż wycieraczek i blask oświetlonych wskaźników. W końcu znalazł zapięcie pasa, za trzecim razem zdołał wdusić przycisk i zaraz potem zwałił się na dach, niszcząc przy okazji osłonę lampki. Po omacku sięgnął do klamki, od razu na nią trafił, pociągnął. Bez rezultatu.

— Moja noga! Cholera, moja noga!

— Nie krzycz, nic ci nie jest.

Zupełnie jakby mógł coś wiedzieć na ten temat. Szarpnął za klamkę jeszcze raz, lecz bez skutku. Zaraz potem uświadomił sobie dlaczego: samochód leżał przecież na dachu, więc należało pociągnąć w przeciwną stronę. Zrobił to i natychmiast musiał zacisnąć powieki, ponieważ naga żaróweczka zapłonęła jaskrawym światłem zaledwie kilka centymetrów od jego oczu. Pchnął drzwi, prawie pewien, że na nic się to nie zda, że rama na pewno się wygięła i nie uda mu się ich otworzyć.

Drzwi jednak odchyliły się z przeciągłym skrzypieniem. Przez szczelinę natychmiast wcisnął się wiatr, niosąc ze sobą kłęby zimnego, mokrego śniegu. Henry pchał coraz mocniej, nogi wysunęły mu się spod kierownicy i utknęły na dobre. Musiał zgiąć się wpół, zupełnie jakby zapragnął ucałować swoje obolałe jądra, i przemieścić się centymetr po centymetrze, a potem pchnąć ponownie. Tak bardzo uciskał sobie przeponę, że ledwie oddychał.

— Henry, pomóż mi! Utknąłem! Kurwa mać, nie mogę się ruszyć!

— Zaraz.

Sam by nie poznał własnego głosu, taki był zmęczony. Plama krwi na nogawce dżinsów szybko się powiększała, wiatr huczał na zewnątrz jak jakiś monstualny odkurzacz.

Zacisnął ręce na krawędzi drzwi — jak to dobrze, że nie zdjął rękawiczek! — i pchnął ze wszystkich sił. Przez sekundę nic się nie działo, a potem drzwi otworzyły się szerzej i Henry wyskoczył z samochodu jak korek z butelki. Leżał nieruchomo na wznak, dysząc ciężko i wpatrując się w zaśnieżoną kreskę nieba. Niebo wyglądało wtedy zupełnie normalnie, byłby gotów przysiąc to przed sądem nawet na stos Biblii. Zwykłe szare brzuszyska chmur i psychodeliczna ciapanina śniegu.

Pete wołał go raz po raz, z coraz większą paniką w głosie.

Henry przetoczył się na brzuch, ukląkł, a kiedy nic złego się nie stało, dźwignął się na nogi. Tylko przez kilka chwil stał chwiejnie w szalejącym wietrze, aby sprawdzić, czy krwawiąca noga utrzyma jego ciężar. Utrzymała, toteż utykając, przeszedł na drugą stronę przewróconego scouta, aby sprawdzić, jak może pomóc Pete'owi. Po drodze przyjrzał się kobiecie, której zawdzięczali ten pieprznik. Siedziała tak jak przedtem pośrodku drogi, ze skrzyżowanymi nogami lekko przysypanymi śniegiem. Kamizelka wciąż furkotała za jej plecami, tak samo jak pomarańczowe wstążki przy czapce. Nadal wpatrywała się przed siebie, w kierunku, z którego nadjechali. Głęboki, zakrzywiony ślad opony mijał jej nogę w odległości co najwyżej dwudziestu pięciu centymetrów. Henry nie miał pojęcia, jakim cudem jej nie uderzył.

— Henry, pomóż mi!

Przyśpieszył kroku, klęknął przy drzwiach po stronie pasażera, szarpnął mocno. Przez chwilę stawiały opór, ale zaraz potem otworzyły się do połowy. Chwycił Pete'a za ramiona, pociągnął — bez rezultatu.

— Rozepnij pas.

Pete nie mógł znaleźć klamry, chociaż była niemal pod jego ręką. Ostrożnie, tylko odrobinę zniecierpliwiony (Pete przecież mógł być w szoku), Henry zrobił to za niego i Pete z

łomotem osunął się na dach. Krzyknął z zaskoczenia i bólu, po czym gwałtownymi ruchami wy dostał się do połowy z samochodu. Henry chwycił go za ramiona, wyciągnął do końca, a następnie obaj padli na śnieg z szeroko rozpostartymi ramionami. Henry'ego ogarnęło tak silne poczucie *déjà vu*, że aż zakręciło mu się w głowie. Czy nie tak właśnie bawili się jako dzieci? Oczywiście, że tak. Pokazywali Dudditsowi, jak się robi śnieżne anioły.

Ktoś roześmiał się głośno. Zdziwił się, a zaraz potem uświadomił sobie, że to on się śmieje.

Pete usiadł i obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

— Z czego się cieszysz, do cholery? Ten kretyn o mało nas nie zabił! Uduszę sukinsyna!

— Nie sukinsyna, tylko jego mamusię we własnej osobie — poinformował go Henry, ale śmiał się tak bardzo, a wiatr huczał tak głośno, że nie przypuszczał, by Pete zdołał go zrozumieć. Nic go to zresztą nie obchodziło. Już dawno nie bawił się tak świetnie.

Pete dźwignął się mniej więcej w takim samym stylu, w jakim wcześniej uczynił to Henry, i Henry miał właśnie zamiar pogratulować przyjacielowi, że jak na kogoś ze złamaną nogą radzi sobie całkiem nieźle, kiedy nagle Pete krzyknął z bólu i zwałił się na ziemię. Henry podszedł, przykucnął i ostrożnie obmacał mu nogę. Wyglądało na to, że jest w porządku, ale co można stwierdzić przez dwie warstwy ubrania?

— Wcale jej nie złamałem... — wysapał Pete, połykając łzy bólu. — Po prostu zablokowała mi się, tak jak kiedyś, kiedy grałem w futbol. Gdzie ona jest? To na pewno kobieta?

— Na pewno.

Pete podniósł się, tym razem ze znacznie większym trudem, i trzymając się za kolano, pokuśtykał dokoła samochodu. Ocalały reflektor wciąż dziarsko świecił przed siebie.

— Mam nadzieję, że jest sparaliżowana albo ślepa — powiedział do Henry'ego. — Jeśli nie, to zaprowadzę ją na kopach z powrotem do Gosselina.

Henry wyobraził sobie utykającego i równocześnie podkopującego kobietę Pete'a, i ponownie parsknął śmiechem.

— Tylko nie zrób jej krzywdy! — zawołał za nim. Usiłował nadać głosowi rozkazujące brzmienie, ale podejrzewał, że niezbyt mu się to udało.

— Nie zrobię, chyba że będzie próbowała pyskować! — nadleciała z wiatrem odpowiedź. Zabrzmiało to jak zrzęczenie starej kobiety, wprawiając Henry'ego w jeszcze większe rozbawienie. Kiedy się trochę uspokoił, zsunął spodnie i kalesony, by obejrzeć ranę na udzie. Nie była głęboka, miała z dziesięć centymetrów długości i wciąż jeszcze krwawiła. To raczej nie powinno być nic poważnego.

— Co ty wyrabiasz, do jasnej cholery?! — wykrzykiwał Pete z drugiej strony przewróconego scouta.

Wycieraczki wciąż zamiatały przednią szybę. Chociaż tyrada przyjaciela była suto okraszona przekleństwami, w zdecydowanej większości zapożyczonymi od Beavera, to jednak Henry wciąż nie mógł oprzeć się wrażeniu, że słyszy urażoną wiekową nauczycielkę, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa starą pannę. Podciągając kalesony i spodnie, śmiał się do rozpuku.

— I czego tak tu siedzisz pośrodku chromolonej drogi w środku chromolonego lasu, w samym środku chromolonej burzy śnieżnej? Nawaliłaś się? Ćpałaś? Pogubiłaś wszystkie klepki? No, odezwij się wreszcie! Skoro prawie nas zabiłaś, to przynajmniej mogłabyś... Aaaa, niech mnie Freddy przeleci!

Henry wyłonił się z za scouta w samą porę, żeby zobaczyć, jak Pete pada w śnieg obok kobiecego wcielenia Buddy. Widocznie znowu dała o sobie znać uszkodzona noga. Kobieta nawet na niego nie spojrzała. Pomarańczowe wstążki powiewały jej wokół głowy. Głowę miała lekko uniesioną, wiatr chłostał jej twarz i sypał śniegiem w szeroko otwarte,

nieruchome oczy. Pomimo wszystko w Henrym obudziła się zawodowa ciekawość. Co to może być, do cholery?

3

— Auuuu! Niech to nagły poskręcany szlag trafi! Kurwa, jak to boli!

— Nic ci nie jest? — zapytał Henry i niemal natychmiast się roześmiał. Co za głupie pytanie.

— A jak myślisz, konowale od czubków? — wrzasnął Pete, ale kiedy Henry pochylił się, żeby mu pomóc, machnął ręką. — Nic mi nie będzie, już przechodzi. Nią się lepiej zajmij. Siedzi jak słupek soli.

Henry ukląkł przed kobietą. Chociaż skrzywił się przy tym z bólu — dawała o sobie znać nie tylko noga, ale i ramiona, a także kark — to jednak wciąż jeszcze nie mógł stłumić chichotów.

To nie było subtelne dziewczę w niebezpieczeństwie. Kobieta miała około czterdziestki i była mocno zbudowana. Chociaż miała na sobie grubą kurtkę i Bóg jeden wie, ile rzeczy pod spodem, solidne wypukłości sygnalizowały obecność biustu kwalifikującego się bez wątplenia do operacji zmniejszenia piersi. Włosy, które wydostały się spod czapki i powiewały razem ze wstążkami, raczej nie były ostrzyżone w żadnym konkretnym stylu. Dżinsy ciasno opinały uda, z których jedno dorównywało grubością dwóm udom Henry'ego. Pierwszym określeniem, jakie przyszło mu do głowy, było „wieśniaczka” — kobieta, która w niezbyt gustownym i kompletnym stroju wywiesza bieliznę przy domu, gdzie z nastawionego na cały regulator radia lecą Garth albo Shania... lub która regularnie robi zakupy u Gosselina. Pomarańczowa kamizelka i wstążki wskazywały na to, że przyjechała na polowanie, ale skoro tak, to gdzie podziła się strzelba? W dużych ciemnoniebieskich oczach ziała pustka. Henry rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu śladów, lecz ich nie dostrzegł. Widocznie zatarł je wiatr, niemniej wrażenie było dość niezwykłe, zupełnie jakby spadła z nieba.

Henry ściągnął rękawiczkę i pstryknął palcami tuż przed twarzą kobiety. Zamrugowała. Nie było to dużo, ale więcej, niż się spodziewał, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że przed chwilą ponaddwutonowy pojazd minął ją zaledwie o kilka centymetrów, nie wywołując żadnej reakcji.

— Hej! — zawołał. — Hej, obudź się!

Ponownie strzelił palcami, zauważając przy okazji, że już ich prawie nie czuje. Kiedy zrobiło się tak zimno? Nieźle się wkopaliśmy, pomyślał.

Kobieta beknęła. Odgłos był zaskakująco donośny, doskonale słyszalny nawet przez szum wiatru, i właśnie ten wiatr dmuchnął Henry'emu w twarz dziwnym zapachem — jakby czegoś gnijącego, polanego obficie spirytusem. Kobieta skrzywiła się, poruszyła, a następnie głośno wypuściła gazy. Brzmiało to tak, jakby ktoś przez kilka sekund darł mokre płótno. Może w miejscowym dialekcie to znaczy „dzień dobry”? — przemknęło Henry'emu przez głowę. Tak go rozbawił ten pomysł, że znowu się roześmiał.

— A niech mnie! — wysapał Pete. — Założę się, że wyrwała sobie dziurę w spodniach! Ciekawe, co piła? Bo na pewno coś piła, i jeśli mnie węch nie myli, to najprawdopodobniej płyn do odmrażania szyb.

Henry był skłonny przyznać mu rację. Nagle oczy kobiety ożyły, skierowały się na Henry'ego.

Zdumiało go, ile było w nich bólu.

— Gdzie Rick? — zapytała. — Muszę znaleźć Ricka, już tylko on został.

Znowu się skrzywiła, ściągając wargi. Brakowało jej co najmniej połowy zębów; te, które zostały, wyglądały jak sztachety w mocno zdekompletowanym płocie. Ponownie beknęła. Nieprzyjemny zapach był tak silny, że aż łzy napłynęły mu do oczu.

— Niech mnie jasna cholera! — wykrzyknął Pete. — Rety, co jej jest?

— Nie wiem.

Henry wiedział na pewno jedno: że oczy kobiety znów zrobiły się puste i że wpakowali się w niezłą kabałę. Gdyby był sam, być może usiadłby obok niej i otoczył ją ramieniem — byłoby to znacznie bardziej interesujące i zarazem niezwykle rozwiązanie jego problemów niż Sposób Hemingwaya. Musiał jednak pamiętać o Peterze, który przecież jeszcze nawet nie przeszedł swojej pierwszej kuracji przeciwalkoholowej, chociaż bez wątplenia było mu to pisane.

A poza tym Henry po prostu był ciekaw.

4

Pete siedział w śniegu, trzymał się oburącz za kolano, spoglądał na Henry'ego i czekał, co on wymyśli. Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ w przeszłości bardzo często to Henry pełnił funkcję mózgu w ich grupie. Nie mieli przywódcy, ale gdyby go mieli, zostałby nim właśnie Henry. Kobieta na nikogo nie patrzyła, tylko po prostu siedziała nieruchomo na ziemi.

Uspokój się, nakazał sobie Henry w myślach. Pooddychaj głęboko i uspokój się.

Napełnił płuca powietrzem, zaczekał chwilę, opróżnił je. Lepiej. Trochę lepiej. No dobrze, co z tą kobietą? Nieważne, skąd się wzięła, co tu robi i dlaczego cuchnie jak butelka płynu do odmrażania szyb. Ważne jest, co jej teraz dolega.

Przypuszczalnie była w szoku tak głębokim, że niewiele się różnił od katatonii. Świadczył o tym chociażby zupełny brak reakcji, kiedy rozpedzony scout przemknął obok niej bliżej niż na wyciągnięcie ręki. Z drugiej strony, nie odcięła się zupełnie od świata zewnętrznego, skoro zarejestrowała pstryknięcie palcami i nawet coś powiedziała. Pytała o jakiegoś Ricka.

— Henry...

— Zaczekaj chwilę.

Ponownie zdjął rękawiczki i klasnął w dłonie zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy. Odgłos był prawie niesłyszalny, lecz kobieta znowu drgnęła.

— Wstań!

Ujął ją za rękę, a ona odruchowo zacisnęła palce. Pochylił się, zbliżył twarz, znowu poczuł niezdrową, zagadkową woń. Ktoś, kto tak pachniał, nie mógł być całkiem zdrowy.

— Wstawaj! Trzymaj się mocno i wstań, kiedy doliczę do trzech! Raz... dwa... trzy!

Pociągnął ją mocno. Podniosła się, coś lekko trzasnęło jej w kolanach, znowu beknęła. Czapka zsunęła się jej na jedno oko, kobieta jednak jakby tego nie zauważyła.

— Popraw jej czapkę.

— Co?

Pete również wstał, chociaż nie trzymał się zbyt pewnie na nogach.

— Wolę ją cały czas trzymać. Popraw czapkę, żeby nie spadała jej na oczy.

Pete zrobił to ostrożnie. Kobieta skrzywiła się, pochyliła i ponownie zepsuła powietrze.

— Wielkie dzięki — mruknął kwaśno Pete. — Mnie też miło się z panią gawędziło.

Henry poczuł, że kobieta się chwieje, więc chwycił ją jeszcze mocniej.

— Ruszaj się! — krzyknął jej w twarz. — Idź ze mną! Doliczę do trzech, i masz iść! Raz... dwa... trzy!

Ruszył tyłem w kierunku przewróconego scouta. Patrzyła mu w oczy, toteż bał się choćby na chwilę odwrócić wzrok, żeby jej nie stracić.

— Złap mnie za pasek i prowadź — rzucił do Pete'a.

— Ale dokąd?

— Na drugą stronę wozu.

— Nie wiem, czy dam radę...

— Musisz. Pośpiesz się, Pete.

Po chwili poczuł, jak pod jego kurtkę wsuwa się ręka, szuka, wreszcie zaciska się na pasku. Powoli, powłócząc nogami, przesunęli się przez strumień światła z ocalałego reflektora. Po drugiej stronie leżącego na dachu samochodu byli przynajmniej częściowo osłonięci od wiatru.

Kobieta gwałtownym ruchem wyszarpnęła ręce i pochyliła się z otwartymi szeroko ustami. Henry odskoczył wstecz, żeby uniknąć ochlapania, jednak zamiast wymiocin z jej ust wydobyło się zdumiewająco głośne beknięcie, chwilę potem zaś ponownie zepsuła powietrze. Takiego pierdnięcia Henry nie słyszał jeszcze nigdy w życiu, a byłby gotów przysiąc, że zdążył poznać wszystkie szpitalne odgłosy w zachodniej części stanu Massachusetts. Oddychała głośno przez nos jak koń.

— Henry... — W głosie Pete'a słychać było przerażenie lub zdumienie, albo jedno i drugie. — Mój Boże, spójrz...

Z szeroko otwartymi ustami wpatrywał się w niebo. Henry powędrował wzrokiem za jego spojrzeniem i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Po nisko zawieszonych chmurach przesuwało się powoli dziewięć albo dziesięć kręgów jaskrawego światła. Musiał zmrużyć oczy, żeby im się przyjrzeć. W pierwszej chwili skojarzyły mu się z snopami blasku rzucanego w niebo przez kolorowe reflektory podczas hollywoodzkich premier, ale przecież tutaj, w środku lasu, nie było żadnych reflektorów, a nawet gdyby były i świeciły, to widziałby również snopy światła w wypełnionym śnieżnymi płatkami powietrzu. Źródło tego blasku znajdowało się nie na ziemi, lecz w chmurach albo nad nimi. Kręgi przesuwały się powoli, raczej chaotycznie; Henry'ego nagle ogarnął paraliżujący atawistyczny lęk. Miał wrażenie, że jego kręgosłup zamienił się w lodową kolumnę.

— Co to jest? — zapytał Pete. Zabrzmiało to niemal jak skamlenie. — Mój Boże, Henry, co to może być?

— Nie mam po...

Kobieta uniosła głowę, zobaczyła roztańczone światła i zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć. W jej głosie było tyle przerażenia, że Henry poczuł wielką ochotę, by przyłączyć się do jej wrzasków.

— Wrócili! Oni wrócili! Wrócili!

Potem zasłoniła rękami oczy i oparła czoło o oponę scouta. Już nie krzyczała, tylko jęczała jak schwyttane w pułapkę zwierzę, które wie, że się z niej nie wydostanie.

5

Trudno powiedzieć, jak długo (zapewne nie więcej niż pięć minut, im jednak wydawało się, że trwa to znacznie dłużej) obserwowali tańczące w chmurach kolorowe kręgi. Nakładały się na siebie, rozbiegały na boki, zakręcały gwałtownie, przenikały, nieruchomiały na krótko, by zaraz wznowić wędrówkę. W pewnej chwili Henry zorientował się, że jest ich już tylko pięć, a zaraz potem zrobiły się trzy. Kobieta znowu głośno wypuściła gazy. Podziałało to na niego jak kubeł zimnej wody: sterczeli na odludziu i podziwiali jakieś związane zapewne z elektrycznością zjawisko, które, chociaż bez wątplenia interesujące, w żaden sposób nie mogło pomóc im w dotarciu do ciepłego, suchego i osłoniętego od wiatru miejsca. Doskonale pamiętał ostatnie wskazanie licznika: 20,3. Od Dziury w Murze dzieliło ich jeszcze niemal dokładnie piętnaście kilometrów. W sprzyjających warunkach równało się to niezłemu spacerowi, teraz zaś, kiedy zamieć lada chwila mogła zamienić się w burzę śnieżną, trudno było mówić o sprzyjających warunkach. A do tego tylko ja jeden w tym towarzystwie jestem zdolny do marszu, pomyślał.

— Pete...

— Widziałeś? Widziałeś? To najprawdziwsze cholerne UFO, zupełnie jak w „Archiwum X”, słowo daję, prawdziwe pieprzone...

— Pete. — Złapał przyjaciela za brodę i zmusił, żeby spojrzał mu w oczy. W górze gasły właśnie ostatnie dwa światła.

— To po prostu jakieś zjawisko elektryczne, i tyle.

— Tak myślisz? — zapytał Pete z niemal komicznym rozczarowaniem.

— Tak. Pewnie ma jakiś związek z burzą. Ale nawet gdyby to była pierwsza fala inwazji Obcych z planety Alnitak, to jeszcze nie powód, żebyśmy zamienili się tu w sopele lodu. Musisz mi pomóc. Potrzebna mi ta twoja sztuczka. Dasz radę?

— Nie wiem — odparł Pete, posyłając pożegnalne spojrzenie w niebo. Został już tylko jeden świetlisty krąg, tak słaby, że ktoś, kto nie wiedział, czego szukać, łatwo mógłby go przeoczyć. — Halo, proszę pani! One już znikły, naprawdę, może się pani uspokoić. Halo!

Wciąż stała z czołem przyciśniętym do opony. Wstażki wciąż łopotwały przy jej czapce. Pete westchnął i odwrócił się z powrotem do Henry'ego.

— Co mam zrobić?

— Pamiętasz szałas drwali przy tej drodze?

Było ich osiem albo dziewięć: cztery drewniane słupy, a między nimi kilka krokwi przykrytych blachą falistą. Wiosną drwale trzymali tam sprzęt lub kryli się przed ulewami.

— Jasne.

— Możesz się zorientować, gdzie jest najbliższy?

Pete zamknął oczy, podniósł rękę i zaczął poruszać tam i z powrotem palcem wskazującym, równocześnie klaskając językiem o podniebienie. Pete nauczył się tego w szkole średniej, nie była to więc aż tak stara tradycja jak obgryzanie ołówków, a później żucie wykałaczek przez Beavera, albo zamiłowanie Jonesy'ego do horrorów i kryminałów, ale jednak liczyła już dobrych kilkadziesiąt lat. Zazwyczaj można było na nim polegać. Henry czekał z nadzieją, że tak będzie i tym razem.

Kobieta, zapewne zaintrygowana regularnym klaskaniem, podniosła głowę i rozejrzała się dookoła. Na czole miała wielką, rozmazaną czarną plamę.

Wreszcie Pete otworzył oczy.

— Tam — oznajmił, wskazując w kierunku Dziury. — Za zakrętem jest pagórek, za nim długi prosty odcinek, na końcu szałas. Po lewej stronie, dach częściowo się zawalił. Niejaki Stevenson dostał tam kiedyś krwotoku z nosa.

— To daleko stąd?

— Nie więcej niż kilometr.

— Jesteś pewien?

— Tak.

— Dasz radę tam dojść?

— Chyba tak, ale co z nią?

— Lepiej, żeby ona też dała. — Położył ręce na ramionach kobiety, odwrócił ją twarzą do siebie i pochylił się tak nisko, że niemal zetknęli się nosami. Jej oddech potwornie cuchnął (płyn do odmrażania połączony z wonią rozkładu), lecz Henry nie cofnął się nawet o centymetr. — Musimy iść! — Nie krzyczał, ale mówił głośno i wyraźnie, najbardziej kategorycznym tonem, na jaki potrafił się zdobyć. — Liczę do trzech i ruszamy! Raz... dwa... trzy!

Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą na drogę. Przez sekundę lub dwie stawiała opór, po czym poszła za nim potulnie, zupełnie nie reagując na wściekłe uderzenia wiatru. Mniej więcej po pięciu minutach marszu Pete potknął się i zatrzymał.

— Czekać! — syknął boleśnie. — To cholerne kolano znowu próbuje mnie załatwić.

Schylił się, żeby je pomasować, Henry zaś spojrzał w niebo. Światła zniknęły.

— I co? Będziesz mógł iść dalej?

— Powinienem dać radę — odparł Pete. — Idziemy.

6

Bez większych problemów minęli zakręt, bez większych problemów dotarli do połowy wzniesienia i tam Pete runął w śnieg, trzymając się za kolano i klnąc na czym świat stoi.

Dostrzegł chyba jednak spojrzenie, jakim obrzucił go Henry, ponieważ wydał odgłos będący czymś pośrednim między śmiechem a histerycznym parsknięciem.

— Nic się nie bój, dam sobie radę!

— Jesteś pewien?

— Jasne.

Ku przerażeniu Henry'ego (ale i rozbawieniu, ponuremu rozbawieniu, które od kilkunastu minut nie opuszczało go ani na chwilę) Pete zaczął okładać kolano pięściami.

— Pete...

— Ruszaj się, cholero! Rusz się, do cholery! — wrzeszczał, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. W tym czasie kobieta stała nieruchomo z opuszczonymi rękami, milcząca i cierpliwa jak nieczynna lodówka albo zmywarka.

— Pete, posłuchaj...

— Już mi lepiej. — Pete spojrzał na Henry'ego wzrokiem, w którym zdecydowanie dominowała wściekłość, lecz znalazło się miejsce również dla szczypty wesołości. — Wkopaliśmy się na dobre, co?

— Chyba tak.

— Wątpię, czy dolazłbym do Derry, ale na pewno jakoś dowlokę się do tego szałas. — Wyciągnął rękę. — Pomóż mi wstać, wodzu.

Henry chwycił rękę starego przyjaciela i pociągnął. Pete podniósł się na sztywnych nogach, jak po formalnym ukłonie, przez kilka sekund stał nieruchomo, po czym powiedział:

— Idziemy. Mam już dość tego wiatru. — Umilkł, by po krótkim namyśle dodać: — Trzeba było wziąć parę piw.

Za wierzchołkiem wzniesienia wiatr nieco zelżał. Kiedy dotarli do płaskiego odcinka za pagórkami, Henry zaczął już mieć nadzieję, że im się uda. Jednak w połowie drogi, kiedy w oddali zaczął majaczyć kształt, który mógł być tylko szopą dla drwali, kobieta zachwiała się, osunęła na kolana, a następnie runęła twarzą w śnieg. W ostatniej chwili odwróciła głowę, po czym znieruchomiała w białym puchu. Tylko wydobywająca się z jej ust para świadczyła o tym, że jeszcze żyła (a o ile by nam było łatwiej, gdyby umarła, przemknęło Henry'emu przez myśl). Po chwili kobieta ociężale przewróciła się na bok i głośno beknęła.

— Ty cholerna, kłopotliwa cipo — wycedził Pete. Był raczej zmęczony niż wściekły. — I co teraz? — zwrócił się do Henry'ego.

Henry ukląkł obok niej, kilka razy powtórzył rozkazującym tonem, że ma natychmiast wstać, pstrykał palcami, klaskał, policzył do trzech. Nic nie podziałało.

— Zostań z nią tutaj. Może znajdzie coś, na czym będziemy mogli ją pociągnąć.

— Powodzenia.

— Masz lepszy pomysł?

Pete klapnął w śnieg z bolesnym grymasem na twarzy i wyciągniętą nogą.

— Boję się, że nie. Szczerze mówiąc, nie mam żadnych pomysłów.

7

Henry potrzebował pięciu minut na dotarcie do szopy. Zraniona noga nie spisywała się zbyt dobrze, ale w sumie czuł się nie najgorzej. Miał wrażenie, że wszystko może się całkiem nieźle zakończyć, pod warunkiem że uda mu się dowlec Pete'a i kobietę do szopy i że skuter

śnieżny, który stał obok chaty, da się uruchomić. Poza tym to wszystko było cholernie interesujące — choćby te światła na niebie...

Dach z blachy falistej załamał się jak na zamówienie: z tyłu tworząc całkiem przytulne, osłonięte od wiatru schronienie. Spod cienkiej warstewki śniegu, którego nawiało od frontu, wystawała brudna brezentowa płachta, przysypana dodatkowo trocinami i ścinkami drewna.

— O to chodziło! — mruknął Henry, chwycił za skraj i pociągnął.

Brezent zdążył nieco przymarznąć do ziemi, ale po drugim szarpnięciu oderwał się z odgłosem niemal identycznym jak ten, który towarzyszył pierdnięciom kobiety. Włokąc za sobą płachtę, powędrował z powrotem do miejsca, gdzie Pete, z wyciągniętą przed siebie nogą, siedział w śniegu przy leżącej na boku kobiecie.

8

Poszło szybciej, niż Henry marzył. Wystarczyło położyć ją na płachcie, a dalej to już była bajka. Mimo swojej słusznej wagi, kobieta sunęła po śniegu jak po maśle. Całe szczęście, że nie było ciepłej, bo mokry śnieg znacznie utrudniłby transport. I na szczęście nie musieli pokonywać żadnych wzniesień.

Śnieg sięgał już sporo powyżej kostek i wciąż sypał, lecz płatki stawały się coraz większe. „Przestaje padać”, mówili w dzieciństwie w takich sytuacjach zawiedzionym tonem.

— Henry...

Pete sapał jak miech kowalski, ale to nie miało znaczenia, szopa była już całkiem blisko. Kuśtykał z usztywnioną nogą, żeby nie narażać kolana na nadmierne obciążenie.

— Tak?

— Ostatnio często myślę o Dudditsie. Trochę to dziwne, co?

— Tu się nie gra, tu się nie hałasuje...

— Właśnie. — Pete roześmiał się nerwowo. — Też myślisz, że to dziwne?

— Jeśli tak, to obaj jesteśmy dziwni.

— Jak to?

— Ja też często o nim myślę. Mniej więcej od marca. Wybieraliśmy się nawet z Jonesym, żeby go odwiedzić.

— Serio?

— Tak, ale Jonesy miał wypadek, i nic z tego nie wyszło.

— Ten staruch, który go rąbnął, w ogóle nie powinien siadać za kierownicą. Jonesy ma szczęście, że żyje.

— I to jakie — potwierdził Henry. — Kiedy był w karetce, ustała akcja serca. Musieli zastosować elektrowstrząsy.

Pete zatrzymał się i wytrzeszczył oczy.

— Serio? Aż tak źle z nim było?

Henry'emu przyszło do głowy, że chyba popełnił niedyskrecję.

— Tak, ale lepiej zachowaj to dla siebie. Carla mi o tym opowiedziała. Zdaje się, że Jonesy tego nie wie. Ja w każdym razie nigdy...

Przerwał w pół zdania i machnął ręką, ale Pete i tak doskonale go zrozumiał. Ja w każdym razie nigdy nie wyczułem, żeby wiedział, chciał powiedzieć Henry.

— Jasne, gęba na kłódkę.

— Tak będzie najlepiej.

— Więc nie widziałeś się z Dudditsem?

Henry pokręcił głową.

— Najpierw było całe to zamieszanie z Jonesym, a potem nadeszło lato, więc sam rozumiesz...

Tym razem to Pete pokiwał głową.

— Ale wiesz co? Całkiem niedawno znowu sobie o nim przypomniałem, kiedy robiliśmy zakupy w sklepie.

— Kiedy zobaczyłeś tego dzieciaka w koszulce z Beavistem i Buttheadem? — zapytał Pete, wypuszczając z ust obłoczki pary.

Tak właśnie było. „Dzieciak” miał dwanaście albo dwadzieścia pięć lat — w przypadku zespołu Downa trudno o precyzyjną ocenę — i rude włosy. Wędrował po sklepie najprawdopodobniej w towarzystwie ojca (identyczne kraciaste kurtki, identyczne marchewkowe włosy). Henry i Pete odruchowo przyjrzeni im się nieco uważniej, a wtedy męczyzna posłał im czytelne spojrzenie: Jeśli nie chcecie kłopotów, nie mówcie nic o moim dziecku. Jasne, że nic nie powiedzieli, przecież przyjechali tu po jedzenie i piwo, nie po kłopoty, a poza tym przecież kiedyś znali Dudditsa, wciąż go znali, wysyłali mu kartki z życzeniami i prezenty świąteczne. Duddits, na swój szczególny sposób, był kiedyś jednym z nich.

Oczywiście Henry nie mógł wyjawić Pete’owi, że częściej niż dotychczas myślał o Dudditsie już co najmniej od półtora roku, czyli mniej więcej od chwili, kiedy podjął decyzję o samobójstwie. Od tamtej pory niemal wszystko, co robił, miało albo przygotować go do tego wydarzenia, albo je odwlec.

Niekiedy nawet śnił mu się Duddits, zazwyczaj razem z Beaverem. Beaver mówił: „Daj to, naprawię”, a Duddits pytał „Ooo aphaee?”.

— Nie ma w tym nic złego, Pete — wysapał, wciągając pod częściowo zapadnięty dach brezent z leżącą nieruchomo kobietą, — Dzięki Dudditsowi staliśmy się tacy, jacy teraz jesteśmy. Był najlepszym, co przytrafiło nam się w życiu.

— Tak myślisz?

— No pewnie.

Henry usiadł ciężko na ziemi, by zebrać siły przed następnym zadaniem. Spojrzał na zegarek: prawie południe. Jonesy i Beaver przestali już zapewne podejrzewać, że ich przyjaciele spóźniają się z powrotem z powodu niespodziewanych opadów śniegu, i nabrali przekonania, że coś im się przydarzyło. Być może nawet jeden z nich uruchomił skuter śnieżny (jeżeli ten cholerny rupieć działa, ma się rozumieć) i wyruszy na poszukiwania. To by znacznie ułatwiło sprawę.

Spojrzał na kobietę. Włosy zasłoniły jej jedno oko, drugie patrzyło na niego — a raczej przez niego — z mrozącą krew w żyłach obojętnością.

Henry głęboko wierzył, że każdy człowiek w dzieciństwie przeżywa chwile, które zmuszają go do samookreślenia, i że dzieci w grupie reagują na nie znacznie rozsądniej niż w pojedynkę, kiedy to reakcją na stres często bywa okrucieństwo. Z jakiegoś powodu Henry i jego przyjaciele zareagowali tak jak należało. W ostatecznym rachunku niewiele to znaczyło, miło jednak od czasu do czasu sobie o tym przypomnieć, szczególnie jeśli było się człowiekiem, w którego duszy zapanował nieprzenikniony mrok.

Powiedział Pete’owi, co zamierza zrobić i co chce, żeby zrobił Pete, a następnie wstał i wziął się do roboty. Chciał, żeby jeszcze przed zmrokiem znaleźli się w bezpiecznym zaciszu chaty.

— W porządku — odparł Pete, chociaż głos trochę mu drżał ze zdenerwowania. — Mam tylko nadzieję, że ona mi tu nie umrze. I że te światła nie wrócą. — Wychylił się poza nawis dachu i spojrzał w niebo, na którym nisko wisiały ciemnoszare chmury. — Jak myślisz, co to było? Coś jakby błyskawice?

— Przecież to ty jesteś specem od kosmosu — przypomniał mu Henry. — Zaczynj od zbierania najmniejszych patyków.

Nie musisz nawet wstawać.

— Takich na podpałkę?

— Zgadza się.

Henry zrobił krok nad kobietą i poszedł na skraj lasu, gdzie wałało się mnóstwo drewna. Cekał go jeszcze piętnastokilometrowy marsz, ale przed wyruszeniem w drogę zamierzał rozpalić ogień. Cholernie duży ogień.

ROZDZIAŁ CZWARTY McCARTHY IDZIE DO TOALETY

1

Jonesy i Beaver siedzieli w kuchni i grali w cribbage'a, zwanego przez nich po prostu grą. Tak właśnie mawiał Lamar, ojciec Beavera — zupełnie jakby była to jedyna gra na świecie. Dla Lamara Clarendona, którego całe życie kręciło się wokół jego firmy budowlanej, przypuszczalnie była to jedyna gra, doskonale pasująca do atmosfery, jaka panowała wewnątrz barakowozów, przyczep mieszkalnych i tymczasowych pawilonów wznoszonych na placach budów dla robotników. Wystarczyło mieć deskę ze stu dwudziestoma otworami, cztery kołki i talię zatłuszczonych kart. W tę grę grało się wtedy, kiedy trzeba było na coś czekać: aż deszcz przestanie padać, na transport zamówionych materiałów albo na powrót przyjaciół, którzy pojechali do sklepu, żeby wspólnie zdecydować, co zrobić z nieznanym śpiącym teraz za zamkniętymi drzwiami jednej z sypialni.

Tyle że tak naprawdę to czekamy na Henry'ego, pomyślał Jonesy. Tylko Pete z nim jest, i tyle. To Henry będzie wiedział, co robić. Beaver miał rację.

Jednak Henry i Pete coraz bardziej się spóźniali. Było jeszcze za wcześnie, żeby mówić, że coś im się stało — być może po prostu zatrzymał ich śnieg — Jonesy zaczął się jednak zastanawiać, czy tak było w istocie, i wiedział, że Beavera dręczą takie same wątpliwości. Na razie żaden z nich o tym nie wspominał, bo przecież nie minęło południe i jeszcze wszystko mogło się dobrze skończyć, ale nienazwany po imieniu niepokój wisiał już w powietrzu.

Jonesy nie mógł skoncentrować się na planszy i kartach; co jakiś czas odruchowo zerkał na drzwi sypialni, w której spał McCarthy. Dość niezdrowo wyglądający McCarthy. Dwa albo trzy razy pochwyił podążające w tym samym kierunku spojrzenie Beavera.

Jonesy potasował karty, rozdał, rzucił dwie do kriba, po chwili doszły do nich dwie karty Beavera, pokazała się karta startowa i zaczęła się rozgrywka. Ten, kto najwyżej licytuje, też czasem przegrywa, mawiał Lamar z chesterfielDEM sterzącym z kącika ust, w firmowej czapeczce zsuniętej zawsze na lewe oko, jakby znał jakiś sekret, który mógłby wyjawić pod warunkiem, że cena będzie odpowiednia. Lamar Clarendon, ciężko pracujący i mało zarabiający ojciec rodziny, zmarł na zawał w wieku czterdziestu ośmiu lat. *Ten, kto najwyżej licytuje, też czasem przegrywa.*

Tu się nie gra, tu się nie hałasuje, przemknęło Jonesy'emu przez głowę, a zaraz potem, jak echo, rozległ się ten przeklęty głos ze szpitala: Proszę, przestańcie! Ja już nie wytrzymam! Dajcie mi zastrzyk! Gdzie jest Marcy? Boże, dlaczego ten świat jest taki bezwzględny? Dlaczego tak chętnie przytrząskuje ludziom palce, z taką rozkoszą wciąga ich w tryby i przerabia na miazgę?

— Jonesy...

— Tak?

— Dobrze się czujesz?

— Tak, a czemu pytasz?

— Trząśłeś się.

— Serio?

Jasne, że się trząśł. Dobrze o tym wiedział.

— Aha.

— Może to z przeciągu. Czujesz coś?

— Chodzi ci o niego?

— Przecież nie o Meg Ryan. Tak, o niego.

— Nie — odparł Beaver. — Parę razy wydawało mi się, że czuję, ale to była tylko wyobraźnia. Wiesz, te pierdnięcia...

— ...cholernie cuchnęły.

— Właśnie. Zresztą jak bekał, to też nieźle jechało. Byłem pewien, że nam się tu porzyga.

Jonesy skinął głową. Ja się boję, uświadomił sobie. Siedzę w środku zamieci i boję się jak cholera. Żeby Henry wreszcie wrócił.

— Jonesy...

— Co jest? Gramy w końcu czy nie?

— Jasne, gramy, ale... Myślisz, że nic im się nie stało?

— A skąd mam niby wiedzieć?

— Nie masz jakiegoś... przeczucia? Może coś... no wiesz... widzisz?

— Widzę tylko twoją gębę.

Beaver westchnął ciężko.

— Ale myślisz, że nic im nie jest?

— Chyba nie. — Mimo to ukradkiem zerknął najpierw na zegar (wpół do dwunastej), a potem na zamknięte drzwi do sypialni. Na środku pokoju pod sufitem obracał się powoli łowca snów. — Po prostu jadą powoli, i tyle. Niedługo powinni tu być. No dalej, grajmy.

— W porządku. Osiem.

— Piętnaście, — A niech cię. — Beaver wsadził sobie wykałaczkę do ust.

— Dwadzieścia pięć.

— Trzydzieści.

— Wymiękam. Kurczę na grillu!, zawsze, kiedy rozdajesz, licytujesz wyżej ode mnie.

— Licytuję wyżej nawet wtedy, kiedy ty rozdajesz — sprostował Jonesy. — Prawda kłuje w oczy, co?

W rozliczeniu Jonesy bez trudu ugrał tyle, ile chciał. Beaver wstał, przeciągnął się i oświadczył:

— Idę na dwór się odlać.

— Dlaczego? Nie wiesz, że mamy całkiem sensowny kibelek?

— Wiem, ale chcę sprawdzić, czy jeszcze potrafię napisać swoje imię na śniegu.

Jonesy parsknął śmiechem.

— Czy ty kiedyś wydorosłeś?

— Wolałbym nie. I nie rycz tak, bo go obudzisz.

Beaver ruszył do tylnych drzwi, Jonesy zaś zgarnął karty ze stolika i zaczął je tasować, myśląc o nieco odmiennej wersji cribbage'a, w którą grali, będąc dziećmi. Nazywali ją Grą Dudditsa i zwykle zasiadali do niej w pokoju gościnnym Cavellów. Różnica między nią a tradycyjnym cribbage'em polegała na tym, że Duddits licytował. „Ja daję dziesięć” — mówił Henry. — „A ty, Duddits?”. I wtedy Duddits, z szerokim uśmiechem, który nieodmiennie wprawiał Jonesy'ego w doskonały nastrój, „przebijał” na cztery, sześć, dziesięć, albo na przykład dwadzieścia cztery. Podstawowa zasada Gry Dudditsa polegała na tym, że nikt nie zgłaszał zastrzeżeń, nikt nie marudził „Duddits, to za mało” albo „Duddits, to za dużo”. Boże, ile przy tym było śmiechu! Państwo Cavellowie też się śmiali, jeśli akurat byli w pokoju, a kiedyś zdarzyło się i tak — mieli wtedy chyba po piętnaście albo szesnaście lat, a Duddits miał tyle, ile miał wcześniej i ile miał później, ponieważ Duddits Cavell się nie starzał i to właśnie było w nim takie cudowne i przerażające zarazem — że Alfie Cavell wybuchnął płaczem i powiedział: „Chłopcy, gdybyście wiedzieli, ile to znaczy dla mnie i dla żony... Gdybyście wiedzieli, ile to znaczy dla Douglasa...”.

— Jonesy...

Głos Beavera był wyprany ze wszelkich emocji. Przez otwarte na oścież tylne drzwi do domu wtargnęło mroźne powietrze. Ramiona Jonesy'ego od razu pokryły się gęsią skórką.

— Mógłbyś zamknąć te drzwi? W stodole mieszkasz czy co?

— Chodź tutaj. Zobacz.

Jonesy wstał i podszedł do drzwi. Otwierał już usta, żeby coś powiedzieć, lecz zamknął je bez słowa. Za chatą defilowały zwierzęta — tyle zwierząt, że wystarczyłoby ich dla całkiem sporego zoo. Głównie jelenie, zarówno łanie, jak i byki, ale były również szopy, bobry oraz wiewiórki, które poruszały się bez najmniejszego trudu, ponieważ śnieg nie zapadał się pod ich ciężarem. Zza szopy na narzędzia, w której stał skuter śnieżny, wyłoniły się trzy sylwetki — Jonesy w pierwszej chwili wziął je za wilki. Lecz kiedy dokładniej się przyjrzał, dostrzegł na karku jednego z nich obrożę z wiszącym przy niej kawałkiem linki — a więc były to zdziczałe psy. Wszystkie zwierzęta zmierzały na wschód, w górę zbocza Parowu. W pewnej chwili Jonesy zauważył dwa duże drapieżne koty przemykające wśród jeleni i aż przetarł oczy, by upewnić się, że nie śni. Nie śnił, koty wciąż tam były. Poruszały się niespiesznie, od czasu do czasu spoglądając bez szczególnego zaciekawienia na ludzi, bez najmniejszych oznak paniki towarzyszącej zawsze gromadnym ucieczkom przed ogniem. O żadnym ogniu nie mogło zresztą być mowy; zwierzęta po prostu przemieszczały się na wschód.

— Jezu Chryste... — wymamrotał Jonesy.

Beaver od pewnego czasu patrzył w górę. Teraz obrzucił zwierzęta obojętnym spojrzeniem, a następnie znowu skierował wzrok w niebo.

— No. A teraz popatrz, co się tam dzieje.

Jonesy podniósł oczy ku niebu i ujrzał kilkanaście kolistych kolorowych świateł, czerwonych, białych i błękitnych, tańczących wśród ciężkich chmur. To z pewnością właśnie te światła widział McCarthy, kiedy samotnie błąkał się po lesie. Poruszały się tam i z powrotem, omijały się, to znów nakładały na siebie. Ich połączony blask stawał się wówczas tak silny, że aż raził w oczy.

— Co to może być? — zapytał zdumiony.

— Nie mam pojęcia — odparł Beaver, nie odrywając od nich wzroku. Na jego bladej twarzy widać było niemal z surrealistyczną dokładnością każdy włoszek z kilkudniowej szczeciny. — W każdym razie zwierzętom na pewno się to nie podoba. Właśnie przed tym uciekają.

2

Obserwowali pochód przez dziesięć, może piętnaście minut. W pewnej chwili Jonesy uświadomił sobie, że słyszy niskie przytłumione brzęczenie, coś jakby buczenie transformatora. Zapytał Beavera, czy on też to słyszy, a Beaver tylko skinął głową, nie odrywając wzroku od kolorowych świateł na niebie. Zdaniem Jonesy'ego były wielkości żeliwnych klap na włazach do kanałów. Zaświtała mu myśl, że zwierzęta być może wcale nie uciekają przed światłami, tylko przed tym dźwiękiem, ale nic nie powiedział. I tak miałby problem z wykrztuszeniem choćby słowa; ogarnął go ogłupiający lęk, coś dokuczliwego i niezmiennego, niczym grypowa gorączka.

Wreszcie światła zaczęły przygasać i chociaż Jonesy nie zdołał zarejestrować chwili, kiedy nikły, ich liczba szybko się zmniejszała. Zwierząt też zrobiło się mniej, jednostajne buczenie wyraźnie przycichło. Beaver drgnął, jakby otrząsnął się z głębokiego snu.

— Aparat! Muszę zrobić parę zdjęć, zanim zupełnie zgasną!

— Wątpię, czy...

— Spróbuję! — prawie krzyknął. A potem, nieco ciszej: — Muszę spróbować. Przynajmniej cyknę te zwierzęta, dopóki tu jeszcze są. — Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w kierunku sypialni, najprawdopodobniej usiłując sobie pośpiesznie przypomnieć, pod którą stertą brudnych ubrań zostawił swój stary, poobijany aparat fotograficzny, lecz zaledwie po paru krokach stanął jak wryty i wykrztusił zduszonym, zupełnie niebeaverowym głosem: — Jonesy... Zdaje się, że mamy mały problem...

Jonesy obrzucił pożegnalnym spojrzeniem dogasające, coraz mniej liczne i coraz mniejsze światła, po czym odwrócił się do przyjaciela. Beaver stał w kuchni obok zlewozmywaka i gapił się przed siebie.

— Co jest? O co chodzi?

Czy to możliwe, żeby ten piskliwy, drżący głos należał do niego?

Beaver bez słowa wyciągnął rękę. Drzwi sypialni, w której położyli Ricka McCarthy'ego, były otwarte na oścież, drzwi łazienki natomiast, które na wszelki wypadek zostawili uchylone, były zamknięte.

Beaver zwrócił ku Jonesy'emu bladą, poważną twarz.

— Czujesz?

Jonesy czuł, mimo że przez otwarte wciąż drzwi płynęło mroźne świeże powietrze. Eter albo alkohol, owszem, ale i coś jeszcze. Odchody. Być może krew. Jakieś podziemne wyziewy, które po paru milionach lat wyrwały się wreszcie na wolność. Nie niewinne smrodki, z których dzieciaki chichoczą przy ognisku. To było coś znacznie silniejszego... i bardziej niepokojącego. Skojarzenie z pierdnięciami nasuwało się wyłącznie dlatego, że było najbardziej oczywiste i samo się narzucało, lecz w gruncie rzeczy był to smród czegoś albo już nieżywego, albo umierającego na jakąś okropną chorobę.

— Popatrz.

Na drewnianej podłodze czerwone krople znaczyły drogę od drzwi sypialni do drzwi łazienki. Zupełnie jakby McCarthy dostał krwotoku z nosa.

Jonesy był jednak dziwnie pewien, że chodziło o coś znacznie mniej trywialnego.

3

Spośród wszystkich rzeczy w życiu, jakich bardzo, ale to bardzo nie chciał robić — zadzwonić do swojego brata Mike'a z wiadomością, że mama umarła na zawał serca, powiedzieć Carli, że albo przestanie pić i łykać środki uspokajające, albo ją zostawi, przyznać się wychowawcy w obozie Agawam, że zmoczył łóżko — najtrudniejszą było chyba pokonanie kilku metrów dzielących go od drzwi jego sypialni w Dziurze. Miał wrażenie, że znalazł się we śnie, w którym, choćby nie wiadomo jak się starał, może się poruszać tylko z taką szybkością, jakby brnął po pas w wodzie.

W takich snach człowiek nigdy nie dociera tam, dokąd chciał dotrzeć, im jednak jakoś udało się przedostać na drugą stronę pokoju, Jonesy miał więc podstawy, by przypuszczać, że to jednak nie był sen. Zatrzymali się i wlepili spojrzenia w plamki krwi. Nie były duże; największa miała może wielkość dziesięciocentówki.

— Zdaje się, że wypadł mu jeszcze jeden ząb... — wyszeptał Jonesy.

Beaver zerknął na niego spod oka, podszedł do drzwi i zajrzał do środka. Po chwili odwrócił się i skinął palcem na przyjaciela. Jonesy dołączył do niego, starając się równocześnie ani na chwilę nie tracić z oczu drzwi łazienki.

Kołdra leżała na podłodze, jakby McCarthy odgarnął ją gwałtownie. Na poduszce zostało wgłębienie po jego głowie, na prześcieradle wyraźnie odcisnął się zarys ciała. Też na prześcieradle, mniej więcej w połowie, widniała duża czerwona plama.

— Nie wiedziałem, że tam rosną zęby — mruknął Beaver.

Tak mocno zacisnął szczęki, że przegryzł wykałaczkę na pół i kawałek drewnianka spadł na podłogę. — Nie zazdroszczę dentyście, który miałby w nich grzebać.

Jonesy nie odpowiedział, tylko wskazał na lewą stronę pokoju. Na podłodze, rzucone byle jak, walały się długie kalesony i bokserki McCarthy'ego. Bielizna była przesiąknięta krwią, a najbardziej bokserki; gdyby nie drobne fragmenty w okolicy gumki, można by pomyśleć, że zostały uszyte ze szkarłatnoczerwonego materiału.

— Zajrzyj do nocnika — wyszeptał Beaver.

— Dlaczego po prostu nie zapukamy i nie spytamy, co mu jest?

— Dlatego, do kurwy nędzy, że chcę najpierw wiedzieć, czego mam się spodziewać! — wycedził Beaver. Na chwilę przycisnął rękę do piersi, po czym wypluł przeżute resztki wykałaczkii. — Rety, ale mi pikawa zapieprza!

Serce Jonesy'ego również waliło jak młot, a po twarzy ściekały mu strużki potu. Mimo to wszedł do sypialni. Świeże powietrze z dworu niemal całkowicie oczyściło atmosferę w kuchni oraz dużym pokoju, ale tutaj panował potworny smród: gównno, podziemne wyziewy i eter. Jonesy poczuł, jak niewielki posilek, który zdołał jakoś w siebie wmusić, gwałtownie usiłuje przebyć w przeciwnym kierunku drogę, którą pokonał w jego przewodzie pokarmowym. Z najwyższym trudem skłonił go do pozostania na miejscu. Powoli zbliżył się do nocnika, ale za nic nie mógł się przemóc, żeby do niego zajrzeć. Przez głowę przemykały mu dziesiątki stopklatek z filmów grozy, każda zaś przedstawiała coś, co mógłby tam znaleźć. Wnętrznosci w krwawej zupie. Zęby. Albo odciętą głowę.

— No! — syknął Beaver.

Jonesy przymknął powieki, pochylił głowę, wstrzymał oddech i otworzył oczy. Zobaczył tylko białe emaliowane wnętrza połyskujące łagodnie w świetle sufitowej lampy.

Nocnik był pusty. Głośno wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby, po czym wrócił do Beavera, starannie omijając krwawe plamki na podłodze.

— Nic tam nie ma — powiedział. — Chodź, przestańmy wreszcie się wygłupiać.

Minęli zamknięte drzwi szafy z bielizną i stanęli przed obitymi boazerią drzwiami łazienki. Beaver spojrzął na Jonesy'ego, ten zaś pokręcił głową.

— Teraz twoja kolej — wyszeptał. — Ja zajrzałem do nocnika.

— Ale to ty go znalazłeś! — również szeptem odparł Beaver.

Jonesy usłyszał coś nowego, chociaż co najmniej przez kilkanaście sekund w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, że to słyszy — częściowo dlatego, że dźwięk był znajomy, częściowo zaś dlatego, że był całkowicie skoncentrowany na McCarthym, którego o mały włos nie zastrzelił. Przytłumione *tup, tup, tup*, coraz głośniejsze, coraz wyraźniejsze.

— Pieprzę to — powiedział zupełnie normalnym tonem, lecz jego głos zabrzmiał tak donośnie, że obaj aż podskoczyli. Zastukał w drzwi. — Panie McCarthy! Rick! Wszystko w porządku?

Nie odpowie, myślał w duchu. Nie odpowie, bo nie żyje. Siedzi martwy na tronie, zupełnie jak Elvis.

Jednak McCarthy nie umarł, ponieważ jęknął, a następnie powiedział:

— Trochę źle się czuję, panowie. Muszę zrzucić nieco balastu. Jak się pozbędę tego ciężaru z żołądka, na pewno... — Kolejny jęk, a potem przeciągłe pierdnięcie, wodniste i bulgoczące. Jonesy skrzywił się odruchowo. — ...zrobi mi się lepiej.

Sądząc po jego głosie, nic nie wskazywało na to, żeby kiedykolwiek miało mu się zrobić lepiej. Mówił jak człowiek, który z trudem oddycha i na dodatek musi się zmagać z potwornym bólem. Jęknął jeszcze raz, znacznie głośniej, znowu wypuścił gazy, a potem krzyknął.

— McCarthy! — Beaver pokręcił gałką, ale bez rezultatu. McCarthy, ich drogocenne leśne znalezisko, był uprzejmy zamknąć drzwi od wewnątrz. — Rick! Otwórz, człowieku! — Beaver starał się, żeby jego głos brzmiał beztrzesko, jakby chodziło tylko o niewinny żart, jakby to wszystko były jedynie wygłupy. Bez skutku.

— Nic mi nie jest. — McCarthy dyszał ciężko. — Ja tylko... Wiecie, jak to jest... Muszę sobie ulżyć. — Znowu ten obrzydliwy, bulgocząco-trzeszczący odgłos. Określenia „puszczenie powietrza” albo „puszczanie wiatrów” nie miały w tym wypadku racji bytu. To były znacznie bardziej brutalne, mięsiste odgłosy, jakby darcia ciała na strzępy.

— McCarthy! — zawołał Jonesy stanowczo. — Wpuść nas! — Czy jednak rzeczywiście chciał tam wejść? Skądże znowu. Chciał tylko, żeby McCarthy nigdy się nie pojawił, żeby

znalazł go ktoś inny. Co najgorsze, w głębi duszy żałował, że nie nacisnął mocniej języka spustowego, że od razu nie wyekspediował go na tamten świat, — McCarthy!

— Dajcie mi spokój! Dlaczego nie możecie sobie pójść i pozwolić człowiekowi w spokoju... w spokoju posiedzieć na kiblu?

Lup, lup, lup. Coraz głośniej, coraz bliżej.

— Rick! — Teraz przyszła kolej na Beavera. Wciąż desperacko trwał przy pogodnym tonie, niczym alpinista, który w niepewnej sytuacji rozpaczliwie przywarł do liny asekuracyjnej. — Skąd krwawisz, koleś?

— Krwawię? — W głosie McCarthy'ego słychać było autentyczne zdumienie. — Wcale nie krwawię!

Jonesy i Beaver wymienili zaniepokojone spojrzenia.

LUP-LUP-LUP.

Jonesy wreszcie poświęcił nieco uwagi nowemu dźwiękowi i natychmiast ogarnęła go ogromna ulga.

— To śmigłowiec. Założę się, że to jego szukają.

— Tak myślisz? — zapytał Beaver tonem człowieka, który nie chce zbyt szybko uwierzyć w swoje szczęście.

— Jasne. — Co prawda w głębi duszy Jonesy zdawał sobie sprawę, że ludzie ze śmigłowca mogą ścigać tajemnicze światła na niebie albo śledzić migrujące zwierzęta, ale wolał o tym nie myśleć, wolał się tym nie zajmować. Zależało mu wyłącznie na tym, żeby jak najprędzej pozbyć się McCarthy'ego, żeby oddać go komuś, kto odtransportuje go do szpitala w Machias albo w Derry. — Wyjdź i każ im wylądować.

— A jeśli...

LUPŁUPŁUPŁUP! Równocześnie za drzwiami znowu rozległy się obrzydliwe bulgoczące dźwięki, a zaraz potem kolejny krzyk McCarthy'ego.

— Idź wreszcie! — wrzasnął Jonesy. — Niech tu lądują! Zdejmij spodnie, pokaż im tyłek, zrób, co chcesz, byle tylko wylądowali!

— Dobra, dobra.

Beaver odwrócił się, szarpnął się gwałtownie w tył i wykrzyknął coś niezrozumiałego.

Z najskrytszych zakamarków umysłu Jonesy'ego wyskoczyły wszystkie koszmary, które mniej lub bardziej świadomie zdołał poupychać tam przez swoje dotychczasowe życie, i rzuciły się na niego, szczerząc szyderczo zęby. Odwrócił się na pięcie i zobaczył łanię stojącą w kuchni z głową nad kontuarem, obserwującą ich łagodnymi brązowymi oczami. Z trudem nabrał powietrza w płuca, zachwiał się i oparł o ścianę.

— A niech mnie karaluchy zadcpczą! — wychrypiał Beaver, po czym ruszył w kierunku zwierzęcia, klaszcząc w dłonie. — Hej, mała! Nie wiesz, jaka to pora roku? Zmykaj stąd, ale szybko! Spadaj, spryciulo!

Łania jeszcze przez chwilę stała bez ruchu, a potem oczy rozszerzyły się jej w niemal ludzkim przerażeniu, zawróciła raptownie, potrącając półkę z naczyniami — sztućce i garnki zadzwoniły, zaklekotały, coś spadło z łomotem do zlewozmywaka — dała ogromnego susa i znikła za drzwiami.

Beaver podążył za nią, starannie omijając niewielki stosik odchodów.

4

Masowa migracja zwierząt stopniała do cienkiego strumyczka maruderów. Łania przeskoczyła zgrabnie nad utykającym lisem, który najprawdopodobniej stracił łapę w sidłach, i znikła między drzewami. Zaraz potem zza zasłony nisko wiszących chmur wyłonił się lecący powoli śmigłowiec wielkości sporego autobusu. Był brązowy, z białym napisem ANG na burcie.

ANG — zastanawiał się Beaver. Co to jest ANG, do cholery? Zaraz potem przypomniał sobie: Air National Guard, powietrzny odpowiednik Straży Przybrzeżnej, najprawdopodobniej z bazy w Bangor.

Śmigłowiec szybko zniżał lot. Beaver wyskoczył na dwór i zaczął wymachiwać rękami nad głową.

— Hej! Pomocy! Potrzebujemy pomocy!

Maszyna zawisła jakieś dwadzieścia, może dwadzieścia pięć metrów nad ziemią — wystarczająco nisko, żeby wywołany przez jej wirniki minicyklon poderwał z ziemi tumany świeżego śniegu — a następnie powoli ruszyła w jego kierunku.

— Mamy tu chorego! Chorego!

Wiedział, że podskakując i machając rękami, wygląda jak małpa na kiju, ale nie miał wyboru. Śmigłowiec sunął powoli w jego stronę, nie zniżał jednak lotu i nic nie wskazywało na to, żeby miał zamiar lądować. Nagle ogarnął go okropny, paraliżujący lęk — nie miał pojęcia, czy odbierał coś od ludzi w śmigłowcu, czy powinien zawdzięczać to własnej paranoi, ale poczuł się jak cel w samym środku tarczy strzelniczej na strzelnicy w wesołym miasteczku: kto trafi Beavera, wygra radio z budzikiem.

Odsunęły się drzwi śmigłowca i z kabiny wychylił się człowiek w najgrubszej pikowanej kurtce, jaką Beaver kiedykolwiek widział. W ręce trzymał megafon. Kurtka ani megafon nie wywarły na Beaverze żadnego wrażenia, nie dało się tego natomiast powiedzieć o masce tlenowej, która zasłaniała tamtemu usta i nos. Na wysokości kilkunastu metrów nad ziemią zazwyczaj nie trzeba korzystać z masek tlenowych — naturalnie pod warunkiem, że wszystko jest w porządku z powietrzem.

Człowiek w grubej kurtce przemówił przez megafon. Jego wzmocniony głos był doskonale słyszalny mimo łomotu wirnika, brzmiał jednak dość dziwnie, najprawdopodobniej właśnie ze względu na maskę. Beaver miał wrażenie, że zwraca się do niego jakiś zrobotyzowany bóg.

— ILU WAS JEST? POKAŻ NA PALCACH!

Zdezorientowany i nieco wystraszony Beaver w pierwszej chwili pomyślał tylko o sobie i Jonesym; bądź co bądź, Henry i Pete nie wrócili jeszcze ze sklepu. Podniósł rękę z rozczapierzonymi dwoma palcami, jakby pokazywał znak zwycięstwa.

— ZOSTAŃCIE TAM, GDZIE JESTEŚCIE! — zadudnił głos. — TEN OBSZAR ZOSTAŁ OBJĘTY TYMCZASOWĄ KWARANTANNĄ! POWTARZAM: TEN OBSZAR JEST OBJĘTY KWARANTANNĄ! NIKOMU NIE WOLNO GO OPUSZCZAĆ!

Śnieg sypał coraz rzadszy, ale nagły podmuch wiatru sypnął Beaverowi w twarz tumanami białego pyłu poderwanymi z ziemi przez wirniki. Rozpaczliwie zacisnął powieki, zamachał rękami, wypluł śnieg, który wcisnął mu się do ust — przy okazji pozbył się również wykałaczką, bo gdyby przypadkowo ją połknął, narobiłby sobie niezłych kłopotów; matka zawsze przepowiadała mu, że umrze właśnie w ten sposób: zakrztusiwszy się przeżuwaną wykałaczką — i wrzasnął co sił w płucach:

— Jaka kwarantanna? Mamy tu chorego, musicie go stąd zabrać!

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że go nie słyszą, że nie mogą go usłyszeć, lecz mimo to wrzeszczał. W chwili kiedy wykrzykiwał słowo „chorego”, uświadomił sobie, że podał niewłaściwą liczbę osób: w chacie było ich przecież nie dwóch, lecz trzech. Zanim jednak podniósł trzy palce, przypomniał sobie o Henrym i Peterze. Co prawda nie było ich teraz, wkrótce powinni się jednak zjawić, czyli ilu ich w sumie jest? Trzech czy pięciu? Jak zwykle w takich sytuacjach, Beavera ogarnął umysłowy paraliż. W szkole zawsze miał obok siebie Henry’ego, za plecami zaś Jonesy’ego, którzy natychmiast śpieszyli z podpowiedzią. Tutaj był zupełnie sam, jeśli nie liczyć wiszącego nad jego głową ogromnego śmigłowca.

— NIE ODDALAJCIE SIĘ! NAJDALEJ W CIĄGU CZTERDZIESTU OŚMIU GODZIN SYTUACJA ZOSTANIE OPANOWANA! JEŚLI POTRZEBUJECIE ŻYWNOŚCI, SKRZYŻUJ RAMIONA NAD GŁOWĄ!

— Jest nas więcej! — wrzasnął Beaver do człowieka wychylającego się ze śmigłowca. Włożył w to tyle wysiłku, że aż przed oczami zatańczyły mu czerwone plamy. — Mamy chorego! Mamy CHOREGO!!!

Idiota w śmigłowcu wrzucił megafon do kabiny i pokazał Beaverowi kółko ułożone z kciuka i palca wskazującego. Wszystko w porządku! Beaver mało nie zaczął podskakiwać ze złości, opanował się jednak jakoś i podniósł rękę z rozczapierzonymi wszystkimi palcami: cztery palce za niego i przyjaciół, jeden za McCarthy'ego. Mężczyzna uśmiechnął się i pokiwał głową. Przez króciutką, cudowną chwilę Beaver myślał, że tamten naprawdę go zrozumiał, zaraz potem jednak człowiek w grubej kurtce pomachał mu z zapalem, powiedział coś do pilota i maszyna zaczęła się powoli wznosić. Beaver Clarendon stał w tumanach śniegu i dał się co sił w płucach:

— Jest nas pięciu! Potrzebujemy pomocy! Jest nas pięciu i potrzebna nam pieprzona POMOC!

Śmigłowiec znikł w chmurach.

5

Jonesy słyszał co nieco — na pewno dotarł do niego wzmocniony przez megafon głos — ale miał uwagę za bardzo zaprzątniętą McCarthyem, który krzyknął słabo kilka razy, a potem umilkł, żeby śledzić rozwój sytuacji na zewnątrz. Sączący się zza drzwi odór coraz bardziej przybierał na sile.

— McCarthy! — zawołał w chwili, kiedy Beaver wrócił z dworu. — Otwórz natychmiast, bo jak nie, to wyważymy drzwi!

— Zostawcie mnie w spokoju! — odpowiedział McCarthy piskliwym, przestraszonym głosem. — Muszę się odesrać, i tyle. Jak się odesram, na pewno poczuję się lepiej.

Takie obcesowe zachowanie człowieka, z którego ust do tej pory nie padło ani jedno mocniejsze słowo, zaniepokoiło Jonesy'ego nawet bardziej niż widok zakrwawionej bielizny i prześcieradła.

— Pomóż mi je wyważyć — zwrócił się do Beavera, nie zwracając uwagi na fakt, że ten jest cały oblepiony śniegiem. — Musimy go stamtąd wyciągnąć.

Beaver miał niepewną, wystraszoną minę. Śnieg szybko się topił na jego policzkach.

— Bo ja wiem? Ten gość z helikoptera mówił coś o kwarantannie... A jeśli on się zaraził jakimś świństwem? Ta czerwona plama na policzku...

Chociaż Jonesy nie pałał zbyt serdecznymi uczuciami do McCarthy'ego, poczuł wielką ochotę, żeby z całej siły rąbnąć przyjaciela. Nie dalej jak w marcu on sam leżał zakrwawiony na ulicy w Cambridge. Co by było, gdyby ludzie nie chcieli go dotknąć z obawy, że ma AIDS? Co by było, gdyby mu nie pomogli? Co by było, gdyby nikt nie zatamował krwotoku tylko dlatego, że pod ręką nie było jednorazowych rękawiczek?

— Beaver, on oddychał nam prosto w twarz. Jeśli naprawdę się czymś zaraził, to my też już to mamy. Więc jak, pomożesz mi czy nie?

Przez jakiś czas Beaver milczał, a potem Jonesy usłyszał w głowie znajome kliknięcie i na mgnienie oka ujrzał takiego Beavera, z jakim dorastał: w wytartej motocyklowej kurtce, tego, który krzyczał: „Hej, wy tam! Co robicie? Przestańcie natychmiast! Przestańcie, do jasnej cholery!”, i zrozumiał, że wszystko będzie w porządku.

Beaver podszedł do drzwi.

— Rick, może jednak otworzysz, co? Chcemy ci tylko pomóc, nic więcej.

Za drzwiami panowała całkowita cisza. Chociaż obaj wyteżali słuch, nie dotarło do nich nawet najłżejsze westchnienie, choćby najcichszy szmer. Słyszeć było tylko jednostajny pomruk generatora i cichnący łoskot odlatującego śmigłowca.

— No dobrze. — Beaver przeżegnał się. — Rozwalmy to w cholere.

Cofnęli się o dwa kroki i stanęli ramię w ramię, podświadomie naśladowując policjantów z obejrzanym niezliczonym filmów.

— Na „trzy” — powiedział Jonesy.

— Twoja noga wytrzyma?

Dopiero teraz Jonesy uświadomił sobie, że noga i biodro mocno mu dokuczają.

— Na pewno.

— Jasne. A moja dupa zaśpiewa jutro w operze.

— Na „trzy”. Gotów?

Beaver skinął głową.

— Raz... dwa... trzy!

Ruszyli równocześnie i razem uderzyli w drzwi, niczym prawie dwustukilogramowy pocisk. Drzwi ustąpiły z wręcz absurdalną łatwością, oni zaś z rozpędu wpadli do łazienki, ślizgając się na pokrytych warstwą krwi kafelkach.

— O kurwa... — wyjąkał Beaver, kiedy pomagając sobie nawzajem, odzyskali równowagę, po czym zasłonił ręką usta, w których wyjątkowo nie było wykałaczki. Oczy miał szeroko otwarte i przerażone. — Kurwa mać...

Jonesy nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

ROZDZIAŁ PIĄTY DUDDITS, CZĘŚĆ PIERWSZA

1

— Proszę pani...

Kobieta nie odpowiedziała. Leżała na brudnej płachcie i się nie odzywała. Pete widział jedno oko wpatrujące się w niego albo przez niego, na przykład w sam środek wszechświata. Głupie wrażenie. Między nimi trzaskały płomienie, rozpalały się coraz bardziej, zaczynały dawać coraz więcej ciepła. Od odejścia Henry'ego minęło około piętnastu minut.

Pete szacował, że Henry wróci najwcześniej za trzy godziny.

Trzy godziny to mnóstwo czasu, szczególnie pod takim impertynenckim spojrzeniem.

— Słyszysz mnie pani?

Nic. Jakiś czas temu ziewnęła i wtedy przekonał się, że brakuje jej co najmniej połowy zębów. Co to mogło być, do diabła? I czy na pewno chciał wiedzieć? Odpowiedź brzmiała zarówno tak, jak i nie. Był zaintrygowany — na jego miejscu każdy by był — ale jednocześnie wolałby nie mieć o niczym pojęcia. Ani kim ona była, ani kim był Rick i co się z nim stało, ani kim byli „oni”. „Wrócili! — wrzasnęła kobieta, kiedy zobaczyła światła na niebie. — Oni wrócili!”

— Proszę pani... — spróbował po raz trzeci.

Brak reakcji.

Powiedziała, że został tylko Rick, a potem dodała: „Oni wrócili”, przypuszczalnie mając na myśli światła na niebie. Od tamtej pory raczyła go już tylko paskudnymi pierdnięciami i beknięciami, jednym ziewnięciem, no i impertynenckim spojrzeniem nieruchomego oka. Henry znikł dopiero przed kwadransem — wyruszył pięć po dwunastej, a teraz zegarek Pete'a wskazywał dwadzieścia po — ale jemu wydawało się, że minęło co najmniej półtorej godziny. Zdaje się, że to będzie zupełnie popieprzony dzień, i jeśli zamierzał dotrzeć do jego końca we względnej kondycji psychicznej (wciąż przychodziła mu na myśl historyjka, którą czytał w ósmej klasie, nie pamiętał tytułu, ale było w niej o człowieku, który zamordował ojca tylko dlatego, że nie mógł wytrzymać jego spojrzenia, i wtedy, dawno temu, Pete zupełnie jej nie zrozumiał, lecz teraz rozumiał aż za dobrze), to potrzebował pomocy.

— Słyszysz mnie pani?

Ani mru-mru. Tylko to wpatrzone oko.

— Muszę wrócić do samochodu, bo czegoś zapomniałem. Nic się pani nie stanie. Zaczeka tu pani na mnie, prawda?

Bez odpowiedzi. Chwilę potem rozległo się kolejne przeciągłe pierdnięcie, kobieta skrzywiła się, jakby ją to zabolalo — a na pewno bolało, coś takiego po prostu musiało boleć. Chociaż Pete pamiętał o tym, żeby trzymać się pod wiatr, to jednak dotarł do niego powiew gęstego, gorącego, jakby nieludzkiego smrodu. Nie miało to również nic wspólnego z krowimi gazami. W dzieciństwie pracował dla Lionela Sylvestra, doił krowy, mnóstwo krów. Czasem taka krowa potrafiła pierdnąć człowiekowi prosto w nos, tak że mało nie spadł ze stołka, ale to śmierdziało zupełnie inaczej. Tak jakby... jakby... jakby znowu miał kilkanaście lat, dostał na urodziny albo na Gwiazdkę „Małego Chemika”, ale po godzinie znudził się eksperymentami z dołączonej książeczki, zmieszał wszystkie odczynniki i podpalił, żeby sprawdzić, czy to wybuchnie. Jak tylko o tym pomyślał, uzmysłowił sobie, że właśnie to go dręczy, to nie daje mu spokoju. Głupota, ale jednak. Ludzie nie wybuchają, prawda? Ludzie nie wybuchają. Mimo to będzie potrzebował pomocy. Oględnie mówiąc, w towarzystwie kobiety czuł się trochę nieswojo.

Wrzucił do ognia dwa kawałki drewna ze stosu zgromadzonego przez Henry'ego, zastanowił się, dodał jeszcze jeden. Strzeliły iskry, poszybowały chwiejnie w górę, ku częściowo zapadniętemu dachowi z blachy falistej.

— Wróć, zanim to się spali, ale gdyby chciała pani dorzucić do ognia, bardzo proszę.

Nic. Ogarnęła go chęć, żeby nią porządnie potrząsnąć, ale czekał go ponaddwukilometrowy spacer do scouta i z powrotem, więc powinien oszczędzać siły. Poza tym na pewno znowu by pierdnęła. Albo beknęła mu prosto w twarz.

— W porządku — mruknął. — Milczenie oznacza zgodę, jak powtarzała nam panna White w czwartej klasie.

Wstał z trudem, ściskając oburącz kolano, poślizgnął się i mało nie upadł, ale jakoś utrzymał równowagę. Potrzebował tego piwa, cholernie go potrzebował, a w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby mu je przynieść. Tylko on sam. Prawdopodobnie był alkoholikiem. Raczej nawet na pewno. W przyszłości być może postara się coś z tym zrobić, ale na razie jest zdany wyłącznie na siebie. No tak, przecież tej dziwki nie ma co liczyć, tylko pierdzi, beka i gapi się na niego. Jeśli będzie trzeba dorzucić do ognia, musi sobie jakoś sama poradzić, ale na pewno do tego nie dojdzie, on wróci na długo przedtem. Przecież to tylko trochę ponad dwa kilometry.

Noga powinna jakoś wytrzymać.

— Niedługo wróć — powiedział, masując kolano. Chyba jednak nie było najgorzej. Wrzuci piwo do torby, dołoży paczkę krakersów, i zaraz wróci. — Wszystko w porządku?

Odpowiedziało mu nieruchome spojrzenie.

— Milczenie oznacza zgodę — powtórzył, po czym ruszył z powrotem po Deep Cut Road, po szerokim śladzie plandeki i już prawie niewidocznych odciskach stóp jego i Henry'ego. Co dziesięć lub dwanaście kroków zatrzymywał się, żeby rozmasować kolano. Podczas jednego z pierwszych postojów obejrzał się; w szarym popołudniowym świetle ognisko sprawiało wrażenie mniejszego, niż było naprawdę. Mniejszego i bledszego. — To jakieś cholerne wariactwo — wymamrotał, po czym ruszył dalej.

2

Bez najmniejszych problemów pokonał prosty odcinek drogi i dotarł mniej więcej do połowy wzniesienia. Zachęcony powodzeniem przyśpieszył nieco kroku, zaufał nodze — ale dałeś się nabrać, głupku! — poczuł coś jakby uderzenie pioruna w kolano i runął na ziemię, miotając przekleństwa przez zaciśnięte zęby.

Wciąż jeszcze kłął, siedząc w śniegu, kiedy zorientował się, że dokoła niego dzieje się coś niezwykłego. Z lewej strony jakby nigdy nic minął go dorodny byk; zamiast uciec w podskokach, jak z pewnością uczyniłby przy innej okazji, zaledwie obrzucił go obojętnym spojrzeniem. Między nogami jelenia przemknęła ruda wiewiórka.

Pete otworzył usta i tak pozostał, zapomniawszy je zamknąć. Na drodze pojawiały się kolejne jelenie, zarówno byk, jak i łanie, przekraczały ją i znikwały w lesie po drugiej stronie. Wśród nich biegły, skakały lub maszerowały również inne zwierzęta.

— Dokąd idziecie, jeśli wolno spytać? — zwrócił się do białego królika, który przekicał tuż obok niego z położonymi uszami. — Na imprezę w rezerwacie? A może na casting do nowego filmu Disneya? Chyba że...

Głos uwiązał mu w gardle, w ustach zrobiło mu się nagle tak sucho, jakby ktoś nasypał mu tam piasku. Na lewo od niego, przez pozbawione liści rzadkie krzewy, przedzierał się czarny niedźwiedź. Był duży, otłuszczony przed snem zimowym, i choć nie zaszczycił go nawet jednym spojrzeniem, to jednak złudzenia, jakie Pete żywił do tej pory co do swojej pozycji w świecie w ogóle, a konkretnie tu, w gęstych lasach północy, legły w gruzach. Tutaj był tylko stertą białego mięsa, które z jakichś powodów jeszcze oddychało. Bez sztucera był bardziej

bezbronny niż wiewiórka, która przecież w każdej chwili mogła wspiać się na drzewo i ukryć na samym wierzchołku, gdzie nie zdołałby dotrzeć żaden niedźwiedź. Fakt, że akurat ten niedźwiedź całkowicie go zignorował, wcale nie podniósł Pete'a na duchu. Gdzie jest jeden niedźwiedź, znajdzie się ich zapewne więcej, a kolejny może nie być aż tak bardzo zaprzątnięty swoimi sprawami.

Upewniwszy się, że niedźwiedź odszedł, Pete dźwignął się na nogi. Serce waliło mu jak młot. Zostawił tę cholerną pierdzącą babę zupełnie samą, lecz jakie to miało znaczenie? Przecież i tak nie zdołałby obronić jej przed niedźwiedziem. Musiał koniecznie odzyskać broń, nie tylko swoją, ale i Henry'ego — jeśli zdoła tyle unieść, ma się rozumieć. Przez kolejne pięć minut — czyli do chwili, kiedy dotarł na szczyt wzniesienia — Pete myślał na zmianę o sztucerach i piwie, jak tylko jednak zaczął schodzić po przeciwległym stoku, jego myśli ponownie skoncentrowały się na piwie. Włożył je do torby, torbę przewiesił przez ramię. I nie będzie popijał po drodze. Pierwsze piwo otworzy dopiero wtedy, kiedy znowu usiądzie przy ognisku. To będzie jego nagroda, najwspanialsza, jaką można sobie wymarzyć.

Jesteś alkoholikiem. Wiesz o tym, prawda? Jesteś cholernym alkoholikiem.

Owszem, a co to oznacza? Tylko tyle, że nie wolno mu nic spieprzyć. Nie może dać się przyłapać na tym, że zostawił w lesie półprzytomną kobietę, a sam wyruszył po browar. Musi pamiętać o tym, żeby zaraz po powrocie do ogniska wyrzucić daleko w las puste butelki... chociaż Henry i tak się dowie. Kiedy są razem, wiedzą o sobie wszystko. Zresztą, nawet bez jakichś specjalnych więzi psychicznych trzeba by mocno się wyteńczyć, żeby przechytrzyć Henry'ego Devlina.

Jednak Pete przypuszczał, że Henry nie powie mu ani słowa na temat tego piwa — no, chyba że on sam zdecyduje się poruszyć temat albo nawet poprosi Henry'ego o pomoc. Kiedyś może to zrobi. W tej chwili nie myślał o sobie najlepiej. Peter Moore miał do siebie trochę pretensji o to, że zostawił tę kobietę samą w lesie. Henry... Z Henrym też działo się coś niedobrego. Pete nie miał pojęcia, czy Beaver również to odczuł, ale Jonesy na pewno. Henry był jakiś... pokręcony. Kto wie, może nawet...

Za jego plecami rozległo się wilgotne chrząknięcie. Pete wrzasnął, odwrócił się gwałtownie, kolano znowu mu strzeliło, ale nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. To ten niedźwiedź zaszedł go od tyłu, ten sam albo inny...

To nie był niedźwiedź, tylko łoś. Minał go, zerknąwszy nań obojętnie, Pete zaś osunął się na ziemię, klnąc na czym świat stoi i ściskając oburącz przeklęte kolano. Ależ z niego głupiec! Cholerny zapijaczony idiota!

Przez minutę albo dwie obawiał się, że już nie wstanie, że coś sobie naderwał i będzie tu leżał wśród procesji zwierząt, aż wreszcie Henry nadjedzie skuterem śnieżnym i zapyta: „A co ty tu robisz, do cholery? Dlaczego zostawiłeś ją samą?”. Tak jakby nie wiedział.

Wreszcie jednak zdołał się jakoś podnieść. Co prawda mógł już tylko żałośnie utykać, ciągnąc za sobą prawie całkowicie bezużyteczną nogę, ale i tak wołał to, niż leżeć w śniegu zaledwie parę metrów od parującej sterty świeżego łośowego gówna. Widział już przewróconego scouta z kołami i podwoziem przykrytymi cienką warstwą świeżego śniegu. Próbował sobie wmówić, że gdyby przewrócił się po tamtej stronie wzniesienia, wróciłby do ogniska, ale teraz, tak blisko celu, rozsądniej było iść naprzód, że przede wszystkim zależy mu na broni, że tych kilka butelek piwa to tylko nadzwyczajna premia za wysiłek...

Prawie w to uwierzył. A jeśli chodzi o powrót... Cóż, jakoś sobie poradzi. Przecież dotarł już aż tutaj, prawda?

Jakieś pięćdziesiąt metrów od samochodu usłyszał szybko narastające *tup-tup-tup*. Nadlatywał śmigłowiec. Pete z nadzieją podniósł wzrok i zebrał siły, żeby stanąć prosto i pomachać rękami — Boże, jeśli ktokolwiek potrzebował pomocy z nieba, to na pewno właśnie on! — ale maszyna ani na chwilę nie wyłoniła się zza gęstej powłoki chmur. Przez ułamek sekundy widział przemykający nad obłokami cień, ledwo uchwytany błysk

reflektorów, i zaraz potem łoskot oddalił się na wschód, a więc w kierunku, w którym zmierzały zwierzęta. Pete ze wstydem przyznał, że oprócz rozczarowania czuje też coś w rodzaju ulgi, a może nawet zadowolenia: gdyby śmigłowiec wylądował, on, Pete, nie zdążyłby napić się piwa, a przecież dotarł już tak daleko. Tak cholernie daleko.

3

Pięć minut później ukląkł i zaczął się ostrożnie wczołgiwać do wnętrza przewróconego samochodu. Szybko przekonał się, że kontuzjowane kolano nie za bardzo może mu służyć za oparcie (opuchnięte, rozpychało mu nogawkę spodni jak ogromny, bolesny bochen chleba), wpełził więc na brzuchu. Niezbyt mu się tam spodobało: zbyt mocne zapachy, za mała przestrzeń. Czuł się trochę tak, jakby wlaźł do grobu pachnącego wodą kolońską Henry’ego.

Zakupy rozsypały się w tylnej części samochodu, lecz Pete zignorował chleb, puszki, słoiki z musztardą i paczki z czerwonymi parówkami (był to jedyny mięsopodobny produkt, jakim handlował stary Gosselin). Interesowało go wyłącznie piwo. Wszystko wskazywało na to, że szczęśliwie stłukła się tylko jedna butelka. To się nazywa pijackie szczęście. Piwem też było czuć, i to mocno — wylała się reszta tego, które pił podczas jazdy — ale zapach piwa to przecież jeden z najpiękniejszych w świecie. Jeśli natomiast chodzi o wodę kolońską Henry’ego... No cóż, była niewiele lepsza od pierdnieć tej damulki. Trochę to dziwne, żeby zapach wody kolońskiej wywoływał skojarzenia z grobami, trumnami i pogrzebami, ale tak właśnie było.

— A właściwie po co komu woda kolońska w środku lasu? — zapytał, akcentując każde słowo obłoczkiem pary.

Prawda przedstawiała się w ten sposób, że nie było żadnej wody kolońskiej, tylko piwo. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Pete przypomniał sobie atrakcyjną kobietę od handlu nieruchomościami, która zgubiła kluczyki przed apteką w Bridgton. Od razu wyczuł, że się z nim nie spotka, że chce się znaleźć jak najdalej od niego. Czy coś podobnego działo się z nim teraz, kiedy czuł nieistniejący zapach wody kolońskiej? Nie miał pojęcia. Wiedział tylko tyle, że wcale, ale to wcale nie podoba mu się fakt, iż ten zapach kojarzy mu się ze śmiercią.

Uspokój się, głupku. Sam siebie straszysz. To duża różnica widzieć linię, a straszyć samego siebie. Zapomnij o tym i bierz to, po co przyszedłeś.

— Kurewsko dobry pomysł — doszedł do wniosku.

Torby na zakupy nie były papierowe, lecz foliowe z uchwytyami. Stary Gosselin przynajmniej na tyle zapuścił się w przyszłość. Pete chwycił jedną i natychmiast poczuł ostre ukłucie w prawej ręce. Tylko jedna stłuczona butelka, ale on, oczywiście, zdołał nadziać się na szkło. Sądząc po bólu, skaleczenie musiało być głębokie. To chyba kara za pozostawienie bez opieki chorej, półprzytomnej kobiety. Jeśli tak, to nie pozostanie mu nic innego, jak przyjąć ją po męsku i uznać, że i tak udało mu się wykpić tanim kosztem.

Zgarnął osiem butelek i począł wycofywać się tyłem, lecz niemal od razu znieruchomiał. Czy zadał sobie tyle trudu, żeby zdobyć głupie osiem piw? Na pewno nie. Starannie pozbierał pozostałe siedem, wcisnął je do torby i dopiero potem ruszył z powrotem, próbując zwalczyć paniczne przekonanie, że już za chwilę rzuci się na niego od tyłu jakieś niewielkie, ale cholernie zębate stworzenie i odgryzie mu jaja. Byłaby to druga część jego kary.

Trudno by to nazwać ucieczką, ale w każdym razie wycofywał się szybciej, niż wpełzał do środka, znowu strzeliło w kolano, rozpaczliwym szarpnięciem wydostał się na zewnątrz, przeturlał się na plecy i jęcząc cicho, spojrzał w górę, na opadające powoli wielkie, nieliczne płatki śniegu. Masował kolano, zaklinał je, żeby znowu zaczęło działać, jeszcze trochę, jeszcze chociaż odrobinę. Był już prawie pewien, że nic z tego nie będzie, ale jednak się udało. Syknął przeciągle, usiadł i popatrzył na dużą foliową torbę z czerwonym napisem **DZIĘKUJEMY, ŻE ZROBILIŚCIE PAŃSTWO ZAKUPY WŁAŚNIE U NAS.**

— A niby gdzie mieliśmy je zrobić, stary draniu? — warknął.

Postanowił, że przed wyruszeniem w drogę powrotną wypije jedno piwo. Tylko jedno. Dzięki temu będzie miał mniej do niesienia.

Wyłowił butelkę z torby, zdjął kapsel i czterema wielkimi łykami przełknął połowę zawartości. Piwo było zimne, śnieg na którym siedział, jeszcze zimniejszy, ale Pete od razu poczuł się lepiej. Na tym polegała magia piwa. Magia whisky, wódki i ginu była podobna, ale jeśli chodziło o alkohol, to całkowicie zgadzał się z Tomem T. Hallem: lubił piwo.

Patrząc na torbę po raz kolejny, przypomniał sobie rudzielca ze sklepu — zdziwiony uśmiech, skośne oczy, do których przylgnęło określenie mongoloidalne, jak u osób niedorozwiniętych umysłowo. Stąd był już tylko jeden mały krok do Dudditsa albo do Douglasa Cavella, jeśli ktoś chciałby być bardziej oficjalny. Pete nie miał pojęcia, dlaczego ostatnio jego myśli tak często kierowały się ku Dudditsowi, tak jednak właśnie było, w końcu więc Pete dał sobie słowo, że jak już będzie po wszystkim, pojedzie do Derry i odwiedzi starego Dudditsa. Zabierze ze sobą pozostałych — podejrzewał, że nie będzie musiał ich bardzo namawiać. Przypuszczałnie właśnie dzięki Dudditsowi wciąż jeszcze, mimo upływu tylu lat, byli przyjaciółmi. Większość dzieciaków szybko zapomina o kumplach ze studiów albo szkoły średniej, a co dopiero mówić o podstawówce. Duddits, ma się rozumieć, nie był ich kolegą ze szkoły, ponieważ Duddits nie chodził do szkoły podstawowej w Derry. Duddits uczył się w szkole specjalnej Mary M. Snoowe, zwanej przez dzieciaki z sąsiedztwa Akademią Niedorozwojów albo po prostu Szkołą Głupków. Gdyby sprawy potoczyły się zwyczajną drogą, nigdy by się z nim nie zetknęli, ale była przecież zarośnięta parcela przy Kansas Street i sąsiadujący z nią opuszczony budynek z cegły. Od frontu dało się jeszcze odczytać resztki napisu wykonanego białą farbą na murze: BRACIA TRACKER, TRANSPORT TOWARÓW I SKŁADOWANIE. Po przeciwnej stronie, od podwórza, na którym stały kiedyś ciężarówki... Tam namalowano coś zupełnie innego.

Teraz, siedząc na ziemi (wcale nie czuł, jak śnieg pod jego tyłkiem zamienia się w mokrą, zimną breję) i pijąc już drugie piwo (otworzył je zupełnie bezwiednie, cisnąwszy pierwszą butelkę daleko między drzewa, tam gdzie nieprzerwanie trwała pielgrzymka zwierząt), przypomniał sobie dzień, w którym poznali Dudditsa. Przypomniał sobie kretańską kurtkę Beavera, którą ten tak bardzo lubił, oraz głos Beavera, wysoki i jednocześnie mocny, oznajmiający koniec czegoś i początek czegoś innego, oznajmiający w tajemniczy, a zarazem całkowicie jasny i oczywisty sposób, że pewnego wtorkowego ranka, kiedy planowali rozegranie minimeczu w koszykówkę na podjeździe przed domem Jonesy'ego, życie każdego z nich zupełnie się zmieniło. Przypomniał to sobie, siedząc w środku lasu przy przewróconym samochodzie, czując zapach wody kolońskiej Henry'ego, której ten nie używał, pijąc radosną truciznę swego życia z butelki trzymanej w zakrwawionej ręce. Sprzedawca samochodów przypomniał sobie chłopca, który, mimo narastających problemów z matematyką, wciąż nie porzucił marzeń o tym, by zostać astronautą (najpierw pomagał mu Jonesy, potem Henry, a potem już nikt nie był w stanie mu pomóc), i przypomniał sobie pozostałych chłopców, szczególnie Beavera, który przewrócił świat do góry nogami swoim piskliwym wołaniem: „Hej, wy tam! Co robicie? Przestańcie natychmiast! Przestańcie, do jasnej cholery!”.

— Beaver — powiedział Pete i wznosił toast w ciemniejącym popołudniu, opierając się plecami o maskę leżącego na boku scouta. — Człowieku, byłeś wtedy wspaniały.

Wszyscy byli wtedy wspaniali. Wszyscy.

4

Ponieważ Pete jest w ósmej klasie i na ostatniej lekcji ma muzykę, w sali na parterze, zawsze wychodzi ze szkoły wcześniej od swoich trzech najlepszych przyjaciół, którzy kończą zajęcia na drugim piętrze — Jonesy i Henry mają wtedy literaturę amerykańską, czyli

właściwie zajęcia dodatkowe dla bystrzaków, Beaver zaś matematykę praktyczną, czyli w rzeczywistości matematykę dla głupoli. Pete bardzo się stara, żeby nie trafić tam w przyszłym roku, podejrzewa jednak, że przegra tę walkę. Co prawda potrafi dodawać, odejmować, mnożyć i dzielić, jako tako radzi sobie również z ułamkami, choć zajmuje mu to sporo czasu, teraz jednak pojawiło się coś zupełnie nowego: x. Pete nie rozumie iksa i boi się go.

Stoi zaraz za bramą, przez którą wychodzą właśnie ósmio- i smarkaci siódmoklasiści, przestępuje z nogi na nogę, szura stopami i udaje, że pali: lewa ręka zasłania usta, w prawej, ukrytej pod nią, rzekomo tkwi papieros.

Z drugiego piętra wreszcie zaczynają schodzić dziewiątoklasiści, a wśród nich, jak niekoronowani królowie (choć Pete, ma się rozumieć, nigdy nie powiedziałby czegoś takiego na głos) jego przyjaciele: Jonesy, Beaver i Henry. Królem wśród królów jest Henry, którego kochają wszystkie dziewczęta, mimo że nosi okulary. Pete jest szczęśliwcem, że ma takich przyjaciół, i zdaje sobie z tego sprawę. Przypuszczalnie ma najwięcej szczęścia spośród wszystkich ósmoklasistów w Derry, pal ichto iksy, i to bynajmniej nie tylko dlatego, że dzięki starszym przyjaciołom może się nie obawiać osiłeków ze swojej klasy.

— Hej, Pete! — wykrzykuje Henry, kiedy cała trójka wychodzi za bramę. Jak zwykle, Henry sprawia wrażenie zaskoczonego, że go tutaj widzi, ale i bardzo zadowolonego. — Co porabiasz?

— Nic takiego — odpowiada Pete. — A ty?

— SSDD — mówi Henry, wycierając okulary.

Gdyby zakładali klub, SSDD bez wątpienia stałoby się ich mottem. Później uda im się nauczyć tego Dudditsa — w jego wykonaniu będzie to coś w rodzaju siii sziii deiidiiiiee, jedna z niewielu rzeczy, których nie uda się zrozumieć jego rodzicom, co całej czwórce, ma się rozumieć, sprawi mnóstwo radości. Z Dudditsem jednak zetkną się za półtorej godziny, Pete więc odpowiada jak echo:

— Jasne, SSDD.

To samo gówno, tylko kiedy indziej. Jednak w głębi serca chłopcy wierzą jedynie w pierwszą część tej sentencji, ponieważ są głęboko przekonani, że przeżywają od nowa wciąż ten sam dzień. Jest rok 1978 w Derry i zawsze tak będzie. Naturalnie często rozmawiają o przyszłości, o tym, że na własne oczy zobaczą dwudziesty pierwszy wiek — Henry będzie prawnikiem, Jonesy pisarzem, Beaver kierowcą ciężarówek, a Pete astronautą — ale tylko tak mówią, zupełnie tak samo jak w kościele, kiedy automatycznie recytują wyznanie wiary, nie mając w gruncie rzeczy najmniejszego pojęcia o tym, co naprawdę wydobywa się z ich ust, ponieważ tak naprawdę obchodzi ich tylko krótka spódniczka Maureen Chessman, stopniowo podjeżdżająca coraz wyżej i wyżej. W głębi serca wierzą święcie, iż pewnego dnia spódniczka znajdzie się tak wysoko, że zobaczą majtki Maureen, i równie gorąco wierzą w to, że Derry jest wieczne i że oni też są wieczni. Zawsze będzie podstawówka, zawsze kwadrans po drugiej, zawsze będą maszerować Kansas Street, żeby pograć w koszykówkę na podjeździe przed domem Jonesy'ego (Pete też ma kosz na podjeździe, ale wolą grać u Jonesy'ego, bo jego ojciec zamontował tablicę trochę niżej, dzięki czemu po mocnym wybiciu udaje im się czasem włożyć piłkę z góry), zawsze będą rozmawiać o tych samych sprawach: o lekcjach, nauczycielach, kolegach, którzy się pokłócili lub dopiero się pokłócą, i co wyniknie z tych kłótni, kto zrobił ostatnio coś ekstra (na razie na pierwszym miejscu listy jest pewien siódmoklasista, Norm Parmeleau, obecnie zwany Makaronem Parmeleau — przezwisko to będzie prześladować go przez lata, nawet jeszcze w dwudziestym pierwszym wieku, o którym chłopcy wiele mówią, choć za bardzo w niego nie wierzą — który pewnego dnia w szkolnej stołówce zatkał sobie nos makaronem i serem, po czym wciągnął to wszystko i połknął; jemu też, tak jak wielu dzieciakom, tani rozgłos pomylił się z prawdziwą sławą), kto z kim chodzi (jeśli chłopak odprowadza dziewczynę do domu po lekcjach, przypuszczalnie chodzą ze sobą; jeśli trzymają się przy tym za ręce albo całują, jest to

całkowicie pewne), kto wygra w lidze baseballowej (powinni wreszcie zwyciężyć cholerni Boston Patriots, ale na pewno znowu im się nie uda, niech to szlag trafi). Tematy są wciąż te same, a mimo to nieodmiennie dla nich fascynujące, kiedy tak wracają wciąż z tej samej szkoły {Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego} wciąż tą samą ulicą {stworzyciela nieba i ziemi} pod wciąż tym samym październikowym niebem {na wieki wieków} z wciąż tymi samymi przyjaciółmi (amen). To samo gówno, tylko kiedy indziej, taka właśnie prawda rozbrzmiewa w ich sercach, i w tej kwestii całkowicie zgadzają się z K.C. and The Sunshine Band, chociaż gdyby ich zapytać, stwierdziliby jednogłośnie, że rock and roll to jest to, a disco to syf. Zmiany dopadną ich zniemacka, bez żadnego ostrzeżenia, tak jak zwykle w tym wieku. Gdyby zmiany potrzebowały zgody uczniów podstawówki, przestałyby być zmianami.

Dzisiaj dyskutują też o polowaniu, ponieważ w przyszłym miesiącu pan Clarendon po raz pierwszy zabierze ich do Dziury w Murze. Będą tam przez trzy dni, z których dwa powinni spędzić w szkole, ale z tym akurat nie ma najmniejszego problemu i nawet nie muszą ukrywać powodu, dla którego opuszczą lekcje. W południowej części stanu Maine być może obowiązują już inne, miejscowe zwyczaje, ale tu wciąż jeszcze żyje się po bożemu i polowanie nadal traktuje się jako nieodłączny element wychowania młodego człowieka, szczególnie jeżeli ów młody człowiek jest chłopcem. Myśl o tym, że przyjdzie im skradać się przez las z bronią gotową do strzału, podczas gdy ich koledzy i koleżanki ze szkoły będą ślęczeć nad książkami, wprawia ich w szampański humor. Mijają Akademię Niedorozwojów, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Uczniowie tej szkoły kończą lekcje niemal o tej samej porze co oni, ale większość wraca z matkami do domów specjalnym autobusem, nie żółtym, lecz błękitnym, na którego tylnym zderzaku podobno tkwi naklejka z napisem **POPIERAJ ZDROWIE PSYCHICZNE, BO JAK NIE, TO MASZ W CZAPĘ!** Kiedy Henry, Beaver, Jonesy i Pete maszerują drugą stroną ulicy, z bramy szkoły Mary M. Snowe wychodzą nieliczne mniej upośledzone dzieciaki, którym wolno samodzielnie wracać do domu. Na ich twarzach maluje się nieustający wyraz naiwnego zdziwienia. Jak zwykle Pete i przyjaciele widzą je, ale nie zwracają na nie uwagi. Tamci stanowią dla nich jedynie element tła dla prawdziwego świata.

Henry, Jonesy i Pete słuchają pilnie Beavera, który opowiada im, że jak tylko dotrą do Dziury w Murze, będą musieli zejść do Parowu, bo w nim często można spotkać duże sztuki.

— Widzieliśmy tam z tatą chyba milion jeleni — mówi, a suwaki przy jego starej motocyklowej kurtce podzwaniają zgodnie.

Sprzecniają się, kto ustrzeli największego jelenia i gdzie najlepiej trafić, żeby zwierzę nie cierpiało, tylko padło od pierwszego strzału.

— Mój ojciec mówi, że zwierzęta nie cierpią tak jak ludzie — informuje ich Jonesy. — Jego zdaniem Bóg stworzył je trochę inne od nas, żebyśmy mogli na nie polować.

Śmieją się i przekomarzają, kto pierwszy się porzyga przy patroszeniu, i Akademia Niedorozwojów zostaje coraz bardziej z tyłu. Przed nimi, po tej samej stronie ulicy, pojawia się przysadzisty budynek z czerwonej cegły, w którym niegdyś mieściła się siedziba firmy braci Tracker.

— Ja na pewno nie puszcę pawia — zarzeka się Beaver. — Byłem przy patroszeniu mnóstwo razy i wcale mnie to nie rusza. Pamiętam, jak kiedyś...

— Panowie! — wykrzykuje zniemacka Jonesy. — Chcecie zobaczyć cipkę Tiny Jean Schlossinger?

— Kto to jest Tina Jean Sloppinger? — pyta Pete, ale od razu widać, że jest zaintrygowany. Nie miałby nic przeciwko obejrzeniu jakiegokolwiek cipki. Korzysta z każdej okazji, żeby zajrzeć do egzemplarzy „Penthouse’a” i „Playboya”, które jego ojciec trzyma w warsztacie za skrzynią z narzędziami. Cipki są w porządku. Co prawda nie staje mu do nich i nie podobają mu się aż tak bardzo jak gołe cycki, ale to chyba dlatego, że jest jeszcze taki młody.

Tak, cipki są w porządku.

— Schlossinger! — poprawia go Jonesy ze śmiechem. — Schlossinger, nie Sloppinger. Schlossingerowie mieszkają dwa domy od nas i... — Przerywa nagle, jakby przypomniał sobie o czymś niecierpiącym zwłoki, odwraca się do Henry'ego i pyta: — Słuchaj, ci Schlossingerowie to Żydzi czy republikanie?

Tym razem to Henry parska śmiechem, ale w tym śmiechu nie ma ani odrobiny okrucieństwa.

— Zdaje się, że mogą być i tym, i tym... albo kimś zupełnie innym. Zresztą, mniejsza o religię i politykę. Jeśli naprawdę masz fotkę Tiny Jean Schlossinger z cipką na wierzchu, to ja chcę ją zobaczyć.

Beaver przysłuchuje im się z narastającym podnieceniem, policzki mu płoną, oczy błyszczą, wtyka sobie do ust nową wykałaczkę, chociaż jeszcze nie zdążył zniszczyć starej. Suwaki przy jego kurtce, którą odziedziczył po starszym bracie, podzwaniają szybciej niż zwykle.

— Czy to blondynka? — pyta. — Blondynka i ze szkoły średniej? Prawdziwa laska? Czy ma... — Porusza rękami przed klatką piersiową, a kiedy Jonesy z szerokim uśmiechem kiwa głową, Beaver odwraca się do Pete'a i wyrzuca z siebie jednym tchem: — Głupku, ona w tym roku była w szkole średniej Królową Piękności! Wydrukowali jej zdjęcie w gazecie! Jechała na platformie z Richiem Grenadeau!

— Tak, ale Tigersi przegrali rocznicowy mecz, a Grenadeau złamał sobie nos — wtrąca Henry. — Pomyślcie tylko: pierwsza szkolna drużyna z Derry, która awansowała do rozgrywek stanowych, a ci idioci...

— Pieprzyć Tigersów — przerywa mu Pete. Co prawda szkolnym futbolem interesuje się trochę bardziej niż znienawidzonym iksem, ale tylko trochę. Skojarzył już tę dziewczynę, przypomniał sobie jej fotografię na ukwieconej platformie obok quarterbacka Tigersów, oboje w koronach ze złocistej folii, uśmiechnięci i machający do tłumu. Jasne włosy dziewczyny opadały bujnymi falami w stylu Farrah Fawcett, suknia bez ramiączek odsłaniała górną część piersi.

Pierwszy raz w życiu Pete czuje autentyczne pożądanie — mięsiste i czerwone, ciężkie, od którego sztywnieje mu fiut i wysycha w ustach, a myśli zaczynają kłębić się bezładnie. Cipki są interesujące, ale perspektywa zobaczenia znajomej cipki, cipki Królowej Piękności, jest podwójnie albo nawet potrójnie interesująca. To po prostu trzeba zobaczyć, jak pisują niekiedy krytycy filmowi.

— Gdzie? — pyta Jonesy'ego schrypniętym głosem. Wyobraża sobie, że za jakiś czas spotyka tę dziewczynę, mijają, gdy ta czeka w towarzystwie rozchichotanych koleżanek na szkolny autobus, a ona nawet nie podejrzewa, że ten chłopak, który właśnie przeszedł obok, wie, co jest pod jej sukienką albo spodniami, widział, co ona ma w majtkach, wie, czy włosy na cipce ma tego samego koloru co na głowie. Pete płonie. — Gdzie to jest?

— Tam.

Jonesy wskazuje na ceglany budynek, w którym urzędowali kiedyś bracia Tracker. Po ścianach pną się winorośle, ale jesień tego roku była chłodna, toteż większość liści szerniała już i uschła. Część szyb jest powybijana, pozostałe okna są ślepe od brudu. Pete czuje się tutaj trochę nieswojo — częściowo dlatego, że na pustym placu za domem chłopcy ze szkoły średniej, albo nawet jeszcze starsi, grywają niekiedy w baseball, a starsi lubią bić młodszych, nie bardzo wiadomo dlaczego, może po prostu z nudów. Teraz to jednak nie jest problem, ponieważ baseball skończył się na cały rok, a starsi chłopcy przenieśli się do Strawford Park, gdzie aż do pierwszego śniegu będą trenowali futbol. (Jak tylko spadnie śnieg i chwyci mróz, włożą buty z łyżwami i zaczną okładać się po głowach kijami hokejowymi). Bardziej jednak chodzi o to, że w Derry czasem znikają dzieci. Można chyba nawet powiedzieć, że miasteczko z tego słynie. Do zniknięć dochodzi zazwyczaj w takich właśnie opuszczonych

miejscach jak dawna siedziba firmy braci Tracker. Mało kto o tym mówi, lecz wszyscy o tym wiedzą.

Ale cipka... I to nie jakaś nieosiągalna cipka z „Penthouse’a”, tylko żywa, prawdziwa cipka autentycznej dziewczyny z miasteczka... Tak, to inna sprawa. Zupełnie inna.

— U braci Tracker? — pyta Henry z niedowierzaniem. Zatrzymali się niedaleko budynku, nie zwracając najmniejszej uwagi na niedorozwiniętych uczniów maszerujących kaczym krokiem po drugiej stronie ulicy. — Nie żebym ci nie wierzył, Jonesy... zawsze ci wierzę... ale niby dlaczego akurat tutaj miałyby być zdjęcie cipki Tiny Jean?

— Nie mam pojęcia — przyznaje Jonesy — lecz widział je Davey Task i mówi, że to na pewno ona.

— Jakoś nie bardzo chce mi się tam wchodzić — odzywa się Beaver. — To znaczy, cholernie chciałbym zobaczyć cipkę Tiny Jean Slophanger...

— Schlossinger...

— ...ale ta chałupa stoi pusta, co najmniej odkąd byliśmy w piątej klasie...

— Beaver...

— ...i założę się, że pełno tam szczurów, a szczury...

— Beaver!

Jednak Beaver zamierza powiedzieć wszystko, co ma do powiedzenia.

— ...roznoszą wściekliznę.

— Wcale nie musimy wchodzić do środka — mówi Jonesy, a oni spoglądają na niego z zainteresowaniem, zupełnie jakby ujrzeli ciemnowłosego Szweda. Jonesy zwleka chwilę, a kiedy jest już całkowicie pewien, że w napięciu czekają na jego dalsze słowa, kiwa głową i ciągnie: — Davey mówi, że wystarczy zejść od tyłu i zajrzeć przez trzecie albo czwarte okno. W tym pokoju było biuro Phila i Tony’ego Trackerów. Na ścianie wisi jeszcze korkowa tablica, a na niej zostały tylko dwie rzeczy: mapa Nowej Anglii z zaznaczonymi trasami ciężarówek i zdjęcie Tiny Jean Schlossinger z gołą cipką.

Przez kilka sekund pożerają go wzrokiem, potem zaś Pete zadaje pytanie, które niemal jednocześnie przyszło na myśl wszystkim trzem:

— Jest goła?

— Nie. Davey mówi, że nawet nie widać cycków, ale trzyma podniesioną sukienkę. Nie ma majtek, więc wszystko widać jak na dłoni.

Pete jest trochę rozczarowany, że Królowa Piękności nie jest całkiem goła, jednak informacja, że ma zadartą sukienkę, rozpala ich jeszcze bardziej. Chyba po raz pierwszy dociera do nich, na czym tak naprawdę polega seks. Przecież każda dziewczyna mogłaby zdrzeć sukienkę do góry. Każda.

Teraz nawet Henry nie ma już żadnych pytań. Jeszcze tylko Beaver chce się upewnić, czy nie będą musieli wchodzić do środka. Prawie nie zdając sobie z tego sprawy, ruszają wolnym krokiem w kierunku podwórza za ceglanym budynkiem, pchani potężną i bezrozumną siłą, która bez trudu mogłaby się zmierzyć z oceanicznym przyływem.

5

Pete opróżnił drugą butelkę i cisnął ją w las w ślad za pierwszą. Od razu poczuł się znacznie lepiej, podniósł się ostrożnie i otrzepał tyłek ze śniegu. Czyżby noga w kolanie stała się odrobinę mniej sztywna? Chyba tak. Oczywiście nadal wyglądała okropnie, wydawało mu się jednak, że sprawuje się nieco lepiej. Na wszelki wypadek posuwał się naprzód niezwykle ostrożnie, kołyszając torbą wypełnioną butelkami z piwem. Teraz, kiedy natarczywy głos przekonujący go o konieczności NATYCHMIASTOWEGO wyruszenia po piwo ucichł, Pete był w stanie myśleć o kobiecie znacznie życzliwiej i z autentyczną troską. Miał nadzieję, że nie zauważyła jego zniknięcia. Będzie teraz szedł bardzo ostrożnie, co pięć minut zatrzyma

się, żeby rozmasować kolano — a może nawet trochę z nim pogadać, idiotyczny pomysł, to prawda, ale przecież jest tu zupełnie sam i warto spróbować wszystkiego, co nie zaszkodzi, a może pomóc — i szybko do niej wróci. I zaraz wypije jeszcze jedno piwo. Nie obejrzał się ani razu na przewrócony samochód, nie zauważył więc, że kiedy siedział przy nim i wspominał tamten październikowy dzień 1978 roku, bezwiednie napisał wielkimi literami w śniegu DUDDITS.

O to, dlaczego w opustoszałym biurze na korkowej tablicy miałyby wisieć zdjęcie dziewczyny, zapytał tylko Henry; Pete był teraz niemal pewien, iż uczynił to wyłącznie po to, by wywiązać się z roli sceptyka, jaką zazwyczaj odgrywał w ich grupie. Zapytał tylko raz, pozostali zaś po prostu uwierzyli, no bo właściwie czemu nie? Mając trzynaście lat, Pete mógł uczciwie powiedzieć, że przez połowę życia wierzył w Świętego Mikołaja, a poza tym...

Zatrzymał się na szczycie wzniesienia, bynajmniej nie dlatego że się zmęczył, ani nawet nie z powodu nogi, lecz dlatego że nagle usłyszał — a raczej poczuł we wnętrzu głowy, bez pomocy uszu — niski buczący odgłos, coś w rodzaju brzęczenia transformatora, tyle że cyklicznie narastający i cichnący. Nie, to wcale nie było nagle; słyszał ten dźwięk już od dłuższego czasu, lecz dopiero teraz w pełni zdał sobie z tego sprawę. Od razu pojawiły się różne dziwaczne myśli — na przykład o wodzie kolońskiej Henry'ego... i o Marcy. O kimś, kto miał na imię Marcy. On z pewnością nikogo takiego nie znał, teraz jednak to imię tkwiło w jego głowie.

Stał bez ruchu, oblizując spierzchnięte wargi. Ustał wahadłowy ruch torby z piwem. Podniósł głowę, pewien, że znowu zobaczy światła... i zobaczył, tyle że tylko dwa, a do tego bardzo słabe.

— Powiedzcie Marcy, żeby zrobiła mi zastrzyk — powiedział Pete głośno i wyraźnie, starannie wypowiadając każde słowo. Wiedział, że to są właściwe słowa — nie miał pojęcia jak ani dlaczego, ale właśnie one rozbrzmiewały w jego głowie. Czy pojawiły się tam za sprawą światła? Tego nie był pewien.

— Może tak, a może nie — dodał.

Śnieg przestał padać. W otaczającym go świetle istniały tylko trzy barwy: ciemna szarość nieba, ciemna zieleń świerków, nieskalana biel świeżego śniegu. Oprócz tego była jeszcze cisza.

Pete przechylił głowę w lewo, a potem w prawo, nasłuchując. Tak, cisza. Brak jakiegokolwiek dźwięku, brzęczenie ustało tak samo, jak śnieg przestał padać. Spojrzawszy w górę, zauważył, że blade, niewyraźne światła również znikły.

— Marcy? — zapytał głośno.

Przyszło mu do głowy, że może tak właśnie ma na imię kobieta, która spowodowała wypadek, ale zaraz odrzucił ten pomysł. Kobieta nazywała się Becky — był tego tak samo pewien jak imienia tamtej kobiety, dawno temu. Tej, która zgubiła kluczyki. Marcy to tylko puste słowo, pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. Coś mu po prostu odbiło, i tyle. Nie po raz pierwszy zresztą.

Ruszył w dół po zboczu, a jego myśli wróciły do tego dnia w 1978 roku, kiedy poznali Dudditsa. Dotarł już prawie do miejsca, w którym zaczynał się zupełnie poziomy odcinek drogi, kiedy kolano nie wytrzymało obciążenia, ugięło się w niekontrolowany sposób i eksplodowało przeraźliwym bólem.

Pete runął na ziemię i potoczył się po śniegu. Nawet nie słyszał trzasku, z jakim stłukły się butelki w torbie — wszystkie z wyjątkiem dwóch. Za głośno krzyczał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY DUDDITS, CZĘŚĆ DRUGA

1

Henry ruszył w kierunku chaty w tempie szybkiego marszu, ale kiedy śnieg prawie przestał padać, a wiatr znacznie przycichł, zwiększył tempo do truchtu. Biegał już od wielu lat, więc nie miał żadnych problemów z utrzymaniem stałego rytmu. Gdyby potrzebował, w każdej chwili mógł się zatrzymać i odpocząć, ale wątpił, żeby było to konieczne — uczestniczył już przecież w biegach ulicznych na dystansie przekraczającym piętnaście kilometrów, tyle że dość dawno temu i nigdy zimą, z dziesięcioma centymetrami śniegu pod stopami. Chociaż czego właściwie miałyby się obawiać? Ze potknie się, przewróci i złamie nogę? Ze dostanie zawału serca? W wieku trzydziestu siedmiu lat rzadko kto poważnie bierze pod uwagę możliwość zawału serca, nawet gdyby jednak Henry należał do grupy bardzo wysokiego ryzyka, byłby po prostu śmieszny, zaprzatając sobie tym głowę — szczególnie zważywszy na jego plany. Zatem jaki mógłby mieć powód do niepokoju?

Nawet dwa powody: Jonesy i Beaver. Pozornie obawa o nich była równie mało sensowna jak snucie hipotetycznych rozważań na temat ewentualnego ataku serca; przecież problemy zostały za nim, pod wiatr, razem z Pete'em i tajemniczą półprzytomną kobietą... Niestety problemy były również przed nim, w Dziurze, i to poważne problemy. Nie miał pojęcia, skąd o tym wiedział, jednak nie ulegało wątpliwości, że wie na pewno. Wiedział, jeszcze zanim pojawiły się zwierzęta, które podążały na wschód i mijały go niemal z całkowitą obojętnością.

Parę razy zerknął w niebo w poszukiwaniu tajemniczych świateł, nie zauważył jednak żadnego, po jakimś czasie patrzył więc już tylko przed siebie — i bardzo dobrze, ponieważ musiał schodzić z drogi lub omijać podążające na wschód zwierzęta. Co prawda nie uciekały w panice, ale ich oczy były szkliste i jakby nieprzytomne. Nigdy w życiu nie widział czegoś takiego. W pewnej chwili musiał uskoczyć w bok, by uniknąć zderzenia z dwoma pędzącymi na złamanie karku lisami.

Jeszcze tylko piętnaście kilometrów, powtarzał sobie. Wkrótce zamieniło się to w coś w rodzaju zaklęcia, nieznacznie różniącego się od tych, które przemykały mu przez głowę podczas joggingu, chociaż pełniło bardzo podobną funkcję. *Jeszcze tylko piętnaście kilometrów do Banburry Cross.* Tym razem jednak nie było żadnego Banburry Cross, lecz stara chata pana Clarendona, a właściwie Beavera, i w dodatku musiał się obejść bez koguciego konia. A poza tym co to takiego ten koguci koń? Kto wie? I co, na litość boską, się tu właściwie dzieje: tajemnicze światła na niebie, ta odbywająca się jakby w zwolnionym tempie ucieczka zwierząt (Chryste, co to było tam po lewej, nieco w głębi lasu? Czyżby najprawdziwszy cholerny niedźwiedź?), kobieta siedząca jakby nigdy nic pośrodku drogi, częściowo bez zębów i prawie na pewno bez mózgu. A te pierdnięcia... Dobry Boże! Jeden jedyny raz w życiu czuł coś podobnego z ust pacjenta cierpiącego na schizofrenię i raka jelit. „Nic na to nie można poradzić — powiedział znajomy internista, kiedy Henry usiłował opisać mu tę woń. — Człowiek może myć zęby dziesięć razy dziennie, bez przerwy płukać usta, a i tak będzie śmierdziało. Tak cuchnie ciało, które pożera samo siebie, bo rak to jest właśnie to, kiedy odpuścimy sobie medyczny żargon: po prostu autokanibalizm”.

Jeszcze trzynaście, jeszcze trzynaście kilometrów, a zwierzaki wciąż wędrują, wciąż idą do Disneylandu, a kiedy wreszcie tam dotrą, ustawią się w kółko i zaśpiewają „Jaki wspaniały świat”.

Rytmiczny, przytłumiony łomot obutych stóp. Okulary podskakujące na nosie. Oddech buchający kłębami siwej pary. Było mu dobrze, było mu ciepło, endorfiny robiły swoje. Cokolwiek mu dolegało, to z pewnością nie ich brak. Co prawda miał myśli samobójcze, ale poza tym z jego głową wszystko było w porządku.

Nie wątpił jednak, że przynajmniej część jego problemów — na przykład fizyczna i emocjonalna pustka przypominająca biel zalepionych śniegiem szyb podczas zamieci — ma podłoże czysto hormonalne. Nie wątpił również, że leki, które garściami zapisywał pacjentom, mogłyby mu przynajmniej trochę pomóc. Jednak podobnie jak Pete, który z pewnością wiedział, iż już w całkiem niedalekiej przyszłości czeka go uczestnictwo w programie rehabilitacyjnym i spotkaniach koła Anonimowych Alkoholików, Henry po prostu NIE CHCIAŁ, żeby mu pomagano, ponieważ w głębi duszy był przekonany, że ta pomoc będzie fałszywa, że jeśli ją przyjmie, zrezygnuje z jakiejś części siebie.

Zastanawiał się przez chwilę, czy Pete wrócił do samochodu po piwo — doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej tak. Henry sam by zaproponował, żeby je zabrać, dzięki czemu zaoszczędziłby przyjacielowi kłopotów, był jednak zbyt zaabsorbowany innymi sprawami, żeby o tym pamiętać. Pete na pewno pamiętał. Czy jednak uda mu się zmusić uszkodzone kolano do takiego wysiłku? Być może, ale nie na pewno.

„Wrócili! — krzyczała kobieta, patrząc w niebo. — Oni wrócili!”.

Henry opuścił głowę i przyśpieszył.

2

Jeszcze dziesięć kilometrów, jeszcze dziesięć kilometrów do Banbury Cross. Czy na pewno już tylko dziesięć? A może pozwolił sobie na zbyt wielki optymizm, może pozwolił na zbyt wiele starym, dobrym endorfinom? Nawet jeżeli tak, to co z tego? W jego obecnej sytuacji odrobina optymizmu z pewnością nie mogła zaszkodzić. Śnieg już prawie przestał padać, zwierzęta pojawiały się coraz rzadziej, i bardzo dobrze. Niedobre natomiast były myśli w jego głowie, w większości zupełnie obce, jakby nie jego. Na przykład Becky. Kim była Becky, do cholery? Imię zaczęło rezonować mu w głowie, stało się częścią mantry. Przypuszczalnie tak właśnie nazywała się kobieta, której o mało nie przejechał. *Czyja ty jesteś, dziewczynko mała? Na imię mam Becky, śliczna jestem cała.*

Tyle że wcale nie była śliczna, ani trochę. Była tęga, jakby ktoś niezbyt umiejętnie wyciosał ją z kawałka drewna, a teraz znalazła się pod niezbyt fachową opieką Petera Moore'a.

Dziesięć. Dziesięć. Jeszcze dziesięć kilometrów do Banbury Cross.

Biegł w równym tempie (najrówniejszym, jakie mógł osiągnąć, zważywszy na niepewne podłoże) i wsłuchiwał się w głosy w głowie. Jeden z nich był wyjątkowo dziwny — właściwie nie tyle głos, ile raczej dźwięk, jakby brzęczenie z rytmicznym podkładem

(czyja ty jesteś, czyja ty jesteś, śliczna jestem cała)

uwięzionym w tle. Pozostałe znał albo znali je jego przyjaciele. O jednym z nich opowiadał mu Jonesy, który słyszał go w szpitalu: „Proszę, przestańcie! Ja już nie wytrzymam!

Dajcie mi zastrzyk! Gdzie jest Marcy?”.

Głos Beavera: „Zajrzyj do nocnika”.

Odpowiedź Jonesy'ego: „Dlaczego po prostu nie zapukamy i nie spytamy, co mu jest?”.

Nieznajomy głos mówiący, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko uda mu się odesrać...

Nie, głos wcale nie był nieznajomy, to był głos Ricka, kolegi ślicznej Becky. Rick... McCarthy? McKinley? McKeen? Henry nie miał pewności, ale skłaniał się raczej ku McCarthy'emu — jak Kevin McCarthy w tym starym horrorze o najeźdźcach z kosmosu, którzy potrafili upodobnić się do ludzi. Jeden z ulubionych filmów Jonesy'ego. Wystarczyło wlać w niego parę drinków i wspomnieć o tym filmie, a Jonesy natychmiast wykrzykiwał kluczową kwestię: „Są! Oni tu są!”.

„Wrócili! Oni wrócili!” — wołała kobieta, spoglądając w rozświetlone niebo.

Dobry Boże, coś takiego zdarzało im się dawno temu, w dzieciństwie. Teraz było znacznie gorzej, zupełnie jakby chwycił oburącz kabel pod napięciem, tyle że zamiast prądu przez jego ciało popłynęła wzburzona rzeka głosów.

Ci wszyscy pacjenci, którzy skarżyli się na rozbrzmiewające w ich głowach głosy... Henry, wielki psychiatra (i młody Pan Bóg, jak kiedyś nazwał go jeden z nich), kiwał głową, jakby doskonale wiedział, o czym mówią. Rzeczywiście tak mu się wydawało, ale naprawdę dowiedział się dopiero teraz.

Głosy. Wsłuchiwał się w nie tak pilnie, że nie zwrócił uwagi na *tup–tup–tup* przelatującego śmigłowca, nie zauważył ciemnego rekiniego kształtu mknącego zaledwie kilka metrów nad dolną granicą pokrywy chmur. Wkrótce potem głosy zaczęły stopniowo cichnąć, zupełnie jak sygnały radiowe z odległych miejsc za dnia, kiedy w eterze wzrasta szum. Wreszcie Henry został sam na sam z własnymi myślami o tym, że coś straszego zdarzyło się albo zaraz się zdarzy w Dziurze i że coś równie okropnego zdarzyło się lub wkrótce się zdarzy pod blaszaną wiatą lub przy przewróconym scoucie.

Osiem kilometrów. Jeszcze osiem kilometrów.

Postanowił oderwać myśli od przyjaciela, którego niedawno opuścił, i od przyjaciół, do których zmierzał, oraz od tego wszystkiego, co działo się dokoła, i pozwolił swojemu umysłowi na wycieczkę do miejsc, które — wiedział o tym na pewno — odwiedził już Pete: w rok 1978, do braci Trackers i Dudditsa. Co prawda Henry nie miał bladego pojęcia, co mogło łączyć Dudditsa Cavella z tym cholernym pieprznikiem, wszyscy jednakże o nim myśleli i nie potrzebowali uciekać się do żadnych nadzwyczajnych sztuczek, żeby o tym wiedzieć. Pete wspomniał Dudditsa, kiedy ciągnęli kobietę na brezentowej płachcie, Beaver mówił o nim tego dnia, kiedy razem z Henrym poszedł na polowanie i kiedy Henry ustrzelił swojego jelenia. Wspominał, jak to we czterech zabrali kiedyś Dudditsa na zakupy świąteczne do Bangor. Było to krótko po tym, jak Jonesy zrobił prawo jazdy. Tamtej zimy Jonesy zawiózłby każdego w dowolnie wybrane miejsce. Beaver zaśmiewał się z tego, jak to Duddits martwił się, że Święty Mikołaj nie jest prawdziwy, i jak wszyscy czterej — chłopaczyska ze szkoły średniej, pewni tego, że świat do nich należy — w pocie czoła starali się go przekonać, że się myli, że Święty Mikołaj istnieje naprawdę. Oczywiście udało im się. Nie dalej jak w zeszłym miesiącu Jonesy zadzwonił do Henry'ego z Brookline, zupełnie pijany (Jonesy bardzo rzadko bywał pijany, szczególnie po wypadku; znacznie rzadziej niż Pete, i tylko ten jeden jedyny raz zadzwonił do Henry'ego w takim stanie) i oświadczył, że nigdy w życiu nie zdobył się na nic, co by było równie dobre i właściwe jak to, co zrobili we czwórkę w tamten październikowy dzień 1978 roku. „Byliśmy wtedy wspaniali” — powiedział przez telefon. Henry uświadomił sobie, że to samo powiedział niedawno Pete'owi. Ech, ten Duddits. Cholerny Duddits.

Osiem kilometrów... a może siedem. Osiem kilometrów... a może siedem.

Zamierzali obejrzeć gołą cipkę na zdjęciu przyczepionym do korkowej tablicy w opuszczonym biurze. Po tylu latach Henry nie pamiętał już, jak się nazywała ta dziewczyna, wiedział jednak, że chodziła z tym fiutem Grenadeau i że w 1978 została wybrana Królową Piękności szkoły średniej w Derry. Właśnie dlatego tak bardzo byli zainteresowani perspektywą obejrzenia jej cipki. W chwili kiedy weszli na podjazd prowadzący szerokim łukiem za dom, zobaczyli leżącą na ziemi bluzę z emblematem Tigersów. A trochę dalej leżało coś jeszcze.

„Wkurza mnie ten film, oni wszyscy wciąż są tam tak samo poubierani” — oświadczył Pete i Henry otworzył już usta, żeby odpowiedzieć, ale nie zdążył, bo...

— Ktoś krzyknął — rzekł głośno.

Poślizgnął się, przez chwilę walczył o odzyskanie równowagi, udało mu się i pobiegł dalej, myślami wciąż przebywając w tamtym odległym październikowym dniu. Myślał o Dudditsie,

myślał o tym, jak tym jednym krzykiem Duddits odmienił ich życie. Do tej pory byli przekonani, że na lepsze, ale teraz Henry'ego nawiedziły wątpliwości.

Głębokie wątpliwości.

3

Kiedy docierają do podjazdu od tylnej strony budynku — taki tam podjazd, ledwie szutrowe koleiny częściowo zarośnięte już chwastami — Beaver jest na czele pochodu, wściekły i podekscytowany jak nie wiadomo co. Henry domyśla się, że z Pete'em jest podobnie, ale Pete, choć o rok młodszy, lepiej nad sobą panuje. Beaver jest... Jak to się mówi? Podjarany. Niewiele brakuje, żeby Henry roześmiał się głośno, tak podoba mu się to słowo, lecz właśnie wtedy Beaver zatrzymuje się tak gwałtownie, że Pete prawie wpada na niego.

— Hej! — wykrzykuje Beaver. — Niech mnie Freddy przeleci! Bluza jakiegoś dzieciaka!

Rzeczywiście. Czerwono-biała, wcale nie stara ani nie brudna, nic nie wskazuje na to, żeby leżała tu od tysiąca lat. Właściwie wygląda na całkiem nową.

— Bluza, śmuza, co to kogo obchodzi? — mamrocze Jonesy. — Lepiej od razu...

— Wstrzymaj konie — mówi Beaver. — To całkiem dobra bluza.

Podnosi ją, a wtedy okazuje się, że nie ma racji. Nowa — owszem: świeżutka bluza Tigersów z 19 na plecach. Pete w ogóle nie interesuje się futbolem, ale pozostali doskonale wiedzą, że właśnie z tym numerem gra Richie Grenadeau. Dobra — ani trochę. Jest rozdarta na plecach, jakby ktoś, kto miał ją na sobie, próbował uciekać, ale został złapany i mocno pociągnięty do tyłu.

— Pomyliłem się — mówi Beaver z rozczarowaniem i rzuca ją z powrotem na ziemię. — Chodźcie.

Zaledwie po kilku krokach natrafiają na coś nowego. To coś nie jest czerwone ani białe, tylko żółte, przeraźliwie żółte. Taki kolor może się podobać wyłącznie dzieciom. Henry wysuwa się naprzód, schyla się i podnosi z ziemi plastikowe pudełko na drugie śniadanie ze Scooby-Doo i jego przyjaciółmi. Uciekają z czegoś, co przypomina nawiedzony dom. Podobnie jak bluza, pudełko jest całkiem nowe, na pewno nie leżało tu długo, i nagle Henry'ego ogarniają bardzo niedobre przeczucia. Zaczyna żałować, że w ogóle się tu znaleźli, że w ogóle skręcili na ten zarośnięty chwastami podjazd na tyłach opuszczonego budynku, że nie zostawili sobie tego na kiedy indziej. Niemal natychmiast — chociaż ma dopiero czternaście lat — uświadamia sobie, jak niemądre są jego życzenia. Kiedy chodzi o cipkę, albo idziesz, albo nie, i już. Nie ma czegoś takiego jak „kiedy indziej”.

— Wkurza mnie ten film, oni wszyscy wciąż są tam tak samo poubierani — mówi Pete, zaglądając Henry'emu przez ramię. — Zauważyliście, że w każdym odcinku mają na sobie takie same ciuchy?

Jonesy bierze pudełko od Henry'ego, odwraca je i ogląda od spodu. Dziki błysk znikł z jego oczu, ma lekko zmarszczone brwi i Henry jest prawie pewien, że jego przyjaciel również żałuje, że nie grają teraz w kosza przed jego domem.

Na spodzie pudełka znajduje się naklejka, na niej zaś napis: **NALEŻĘ DO DOUGLASA CAVELLA, KTÓRY MIESZKA PRZY MAPLE LANE 19, DERRY, MAINE. GDYBY MÓJ WŁAŚCICIEL POTRZEBOWAŁ POMOCY, PROSZĘ ZADZWONIĆ POD NUMER 949-1864. DZIĘKUJĘ.**

Henry otwiera usta, by powiedzieć, że pudełko i bluzę na pewno zgubił jakiś dzieciak z Akademii Głupków — wystarczy spojrzeć na tę naklejkę, to przecież prawie jak numer przy obroży psa! — ale zanim zdąży to zrobić, po drugiej stronie budynku, tam gdzie latem starsi chłopcy grywają w baseball, rozlega się krzyk. W tym krzyku jest mnóstwo cierpienia, lecz jest tam również zdziwienie, i kiedy Henry rusza biegiem w tamtą stronę, jest całkowicie

pewien, chociaż nie zdążył się nawet nad tym zastanowić, że tak może krzyżeć tylko ktoś, kto po raz pierwszy w życiu zaznał autentycznego strachu i cierpienia albo obu tych rzeczy naraz.

Pozostali biegną za nim, gnają co sił w nogach prawą koleiną, tą bliższą budynku. Na przedzie Henry, za nim Jonesy, Beaver i Pete.

Do ich uszu dociera rubaszny śmiech.

— Zjedz to! — mówi ktoś. — Jak zjesz, będziesz mógł sobie pójść. Kto wie, może nawet Duncan odda ci spodnie?

— Jasne, ale pod warunkiem że...

Drugi chłopak, przypuszczalnie Duncan, milknie raptownie i wytrzeszcza oczy na nowo przybyłych.

— Hej, wy tam! Co robicie? — woła Beaver. — Przestańcie natychmiast! Przestańcie, do jasnej cholery!

Kumple Duncana — jest ich dwóch, obaj w bluzach szkoły średniej w Derry — orientują się, że nie są już sami w to październikowe popołudnie i odwracają się równocześnie. Przed nimi, tylko w majtkach i jednym bucie, z twarzą wysmarowaną krwią, ziemią, smarkami i łzami, klęczy chłopiec, którego wieku Henry nie jest w stanie określić. Sądząc po delikatnym, ale wyraźnie widocznym owłosieniu klatki piersiowej, raczej nie jest już pełnym dzieckiem, chociaż równocześnie jest w nim coś bardzo, ale to bardzo dziecinnego. Ma lekko skośne oczy, jasnozielone, mokre od łez.

Za plecami tej grupki, na ceglanej ścianie widnieje już co prawda mocno spłowiały, lecz wciąż jeszcze czytelny napis wykonany dużymi białymi literami: TU SIĘ NIE GRA, TU SIĘ NIE HAŁASUJE, co przypuszczalnie miało oznaczać, że właściciele budynku nie życzyli sobie, by na ich podwórzu trenowali młodzi baseballiści, mający przecież do dyspozycji rozległy teren nieco dalej, ale kto to może wiedzieć na pewno? TU SIĘ NIE GRA, TU SIĘ NIE HAŁASUJE. Te słowa przez wiele lat miały często gościć na ich ustach, miały się stać jednym z tajnych haseł umożliwiających błyskawiczne nawiązanie porozumienia, chociaż pozbawionych samodzielnego znaczenia. Najbliższym odpowiednikiem były chyba: „Kto wie?” albo: „Co można poradzić?”. Należało to łączyć ze wzruszeniem ramion, uśmiechem lub wzniesieniem rąk ku niebu.

— A wy co za jedni? — pyta Beavera jeden z dużych chłopaków. Na lewej ręce ma rękawicę baseballową... a może rękawiczkę do gry w golfa — w każdym razie coś związanego ze sportem, a w niej zaschnięte psie gówno, które usiłuje wepchnąć do ust płaczącemu chłopcu.

— Co wy robicie? — pyta wstrząśnięty Jonesy. — Każecie mu to jeść? Co wam odbiło, do cholery?

Chłopak z psim gównem w ręce ma na nosie biały plaster opatrunkowy. Z ust Henry'ego wydobywa się dźwięk, który jest trochę okrzykiem zdumienia, a trochę histerycznym śmiechem. No tak, jakżeby inaczej? Przyszli tutaj, żeby obejrzeć zdjęcie gołej Królowej Piękności, a oto mają przed sobą miłościwie panującego Króla, który z powodu złamanego nosa był zmuszony przedwcześnie zakończyć sezon, teraz zaś z nudów zajmuje się takimi właśnie rzeczami, podczas gdy reszta drużyny trenuje w pocie czoła przed zbliżającym się meczem.

Richie Grenadeau nie widzi miny Henry'ego, ponieważ patrzy na Jonesy'ego. Jest zaskoczony, a w głosie Jonesy'ego brzmi tak bezbrzeżna, nieudawana odraza, że Richie w pierwszej chwili bezwiednie cofa się o krok, prędko jednak uświadamia sobie, że szczeniak, który odważył się odezwać w ten sposób, jest od niego co najmniej o trzy lata młodszy i czterdzieści kilogramów lżejszy. Ręka, która już nieco opadła, unosi się ponownie.

— Chcę, żeby zeżarł to gówno — mówi wyzywającym tonem. — Jak to robi, może się stąd zabierać. Spływaj, gnojku, chyba że chcesz połowę.

— Właśnie — odzywa się trzeci chłopak, większy nawet od Richiego: metr dziewięćdziesiąt wzrostu i nieprzeliczony archipelag czerwonego trądziku na twarzy. — Spadajcie stąd, bo jak nie, to...

— Ja ciebie znam — przerywa mu Henry.

Richie spogląda na niego. Jest trochę zaniepokojony, ale przede wszystkim wkurzony.

— Spierdalaj, synu. Mówię serio.

— Ty jesteś Richie Grenadeau. Twoje zdjęcie było w gazecie. Jak myślisz, co sobie pomyślą ludzie, kiedy powiemy wszystkim, co robiłeś?

— Niczego nikomu nie powiecie, bo będziecie martwi — mówi Duncan. Ciemnoblond włosy opadają mu aż na ramiona. — Zmiatajcie stąd. Gazem.

Henry nie zwraca na niego uwagi, wpatruje się w Richiego Grenadeau. Nie boi się ani trochę, chociaż nie ulega wątpliwości, że tamci trzej mogliby przerobić ich czterech na hamburgery. Nigdy w życiu nie czuł takiego gniewu jak teraz, nigdy nawet nie podejrzewał, że może być zdolny do takiego uczucia. Klęczący na ziemi chłopiec z pewnością jest niedorozwinięty, nie tak bardzo jednak, by nie rozumiał, że tamci chcą go skrzywdzić. Najpierw zdarli z niego bluzę, a potem...

Również nigdy w życiu Henry nie stanął jeszcze wobec tak realnej groźby zebrania autentycznych cięgów, lecz ani trochę go to nie obchodzi. Zaciska pięści i robi krok naprzód. Chłopiec pochyla głowę i chlipie rozpaczliwie. Ten odgłos jeszcze bardziej rozpala gniew Henry'ego.

— Właśnie, że powiemy. — Chociaż to tylko dziecięca groźba, w jego uszach wcale nie brzmi to po dziecinnemu. W uszach Richiego chyba też nie, ponieważ Richie cofa się o krok, a ręka, w której trzyma zaschnięte psie gówno, ponownie opada. Na jego twarzy maluje się autentyczny niepokój. — Trzech na jednego, w dodatku na młodszego i do tego stukniętego! Pewnie, że powiemy. Wszyscy się dowiedzą.

Duncan i ogromny chłopak — jedyny nie w szkolnej bluzie — stają po obu stronach Richiego. Zastaniają sobą ofiarę, lecz Henry wciąż słyszy rozpaczliwe pochlipywanie niedorozwiniętego chłopca i ma wrażenie, że za chwilę od tego zwariuje.

— No dobra, sami tego chcieliście — mówi ten wielki z uśmiechem, prezentując liczne braki w uzębieniu. — Już po was.

— Pete, jak tylko się ruszą, biegnij do domu. — Henry wciąż patrzy na Richiego Grenadeau. — Uciekaj do domu i zawiadom rodziców. — A do Richiego: — Nie złapiecie go. Biega szybciej niż ktokolwiek z was.

— W porządku — odpowiada Pete wysokim, ale wcale nie przestraszonym głosem.

— Im bardziej nas stłuczecie, tym gorzej dla was — odzywa się Jonesy. Henry'emu już dawno przyszło to do głowy, ale dla Jonesy'ego to objawienie, prawie śmieje się z radości. — Nawet gdybyście nas naprawdę pozabijali, nic wam to nie da. Pete naprawdę szybko biega i powie, co żeście zrobili.

— Ja też szybko biegam — cedzi Richie przez zęby. — Dogonię go.

Henry spogląda najpierw na Jonesy'ego, a potem na Beavera. Obaj twardo stoją, jak stali, Beaver nawet robi coś więcej: schyla się szybko, podnosi dwa kamienie wielkości kurzych jaj, tyle że z ostrymi krawędziami, i zaczyna nimi stukać. Mruży oczy, taksuje spojrzeniem to Richiego, to największego chłopaka, szybko porusza trzymaną w ustach wykałaczką.

— Jak ruszą, zajmij się Grenadeau — mówi Henry. — Tamci dwaj nie mają z Pete'em żadnych szans. — Przenosi wzrok na Pete'a, który co prawda jest blady, lecz ani trochę się nie boi. Przystępuje niecierpliwie z nogi na nogę, gotów w każdej chwili puścić się pędem. — Powiedz swojej mamie, gdzie jesteśmy. Niech zawiadomi policję. I nie zapomnij podać nazwiska tego bydlaka — dodaje, wskazując oskarżycielskim gestem na Grenadeau, który znowu ma niepewną minę. Nawet więcej niż niepewną: po prostu przestraszona.

— Richie Grenadeau — mówi głośno Pete, niemal tańcząc w miejscu. — Spokojna głowa, nie zapomnę.

— No, dalej, szczurzy fiucie — odzywa się Beaver. Trzeba mu przyznać, że zawsze ma w zanadru jakąś nową, oryginalną obelgę. — Zaraz znowu złamię ci ten głupi kinol. Zresztą, co za dupek rezygnuje z gry w drużynie tylko z powodu złamanego nosa?

Grenadeau nie odpowiada (może dlatego, że nie wie, któremu z nich powinien odpowiedzieć), i równocześnie dzieje się coś wspaniałego: drugi chłopak w szkolnej bluzie, Duncan, również traci pewność siebie. Na policzkach rozkwita mu intensywny rumieniec, sięga aż na czoło. Zwilża językiem usta i ukradkiem zerka na Richiego. Już tylko wielgas ma wyraźną ochotę do rozróby i Henry niemal ma nadzieję, że naprawdę do tego dojdzie, że on, Jonesy i Beaver dadzą tamtym wycisk, tęgi wycisk, za ten okropny bezradny płacz, który wciąż tłucze mu się po głowie i nie daje mu spokoju.

— Rich, może jednak powinniśmy... — zaczyna Duncan, ale wielgas nie pozwala mu dokończyć:

— Zabić ich! — warczy. — Zajebać na śmierć!

Robi krok naprzód i to prawie wystarczy.

— Henr... — zaczyna Duncan, ale wielgas nie pozwala mu dokończyć:

— Zabić ich! — warczy. — Zajebać na śmierć!

Robi krok naprzód i to prawie wystarczy. Henry wie, że jeśli typek zbliży się jeszcze choćby o metr, uwolni się spod władzy Richiego Grenadeau niczym pitbull, który tak długo szarpie się na smyczy, aż wreszcie ta pęka, a on rzuca się z furią na ofiarę.

Ale Richie nie pozwala mu na to, nie pozwala mu zrobić tego decydującego kroku, po którym musiałby nastąpić atak.

Chwyta osiłka za przedramię — grubsze niż biceps Henry'ego, porośnięte rudawymi włoskami.

— Zaczekaj chwilę, Scotty.

— Tak, zaczekaj — wtóruje mu prawie z przerażeniem Duncan i posyła Henry'emu spojrzenie, które mimo napiętej sytuacji wprawia Henry'ego w doskonały humor. Wygląda na to, że Duncan ma do nich żal albo pretensję, zupełnie jakby to Henry, Jonesy, Beaver i Pete uczynili coś niewłaściwego.

— Czego od nas chcecie? — pyta Richie. — Żebyśmy sobie stąd poszli?

Henry kiwa głową.

— A jeśli pójdziemy, to co zrobicie? Komu powiecie?

Henry orientuje się ze zdumieniem, że ogarniają go uczucia przypuszczalnie niemal identyczne z tymi, jakie płoną w Scottym: jakaś, całkiem spora, jego część wręcz PRAGNIE konfrontacji, chciałaby, żeby w odpowiedzi na pytanie Richiego wrzasnął: „Wszystkim! Kurwa, wszystkim!”. Zdaje sobie przy tym sprawę, że przyjaciele poprą go jak jeden mąż, nie zaprotestują ani słowem i nie będą do niego mieli żadnych pretensji, nawet gdyby wszyscy wylądowali w szpitalu.

Ale ten chłopiec... Ten nieszczęsny, zapłakany, upośledzony chłopiec... Jak tylko tamci skończyliby z Henrym, Beaverem i Jonesym (a może i z Pete'em, gdyby zdołali go dogonić), wzięliby się ponownie do niego i najprawdopodobniej tym razem nie skończyłoby się na nakarmieniu biedaka zaschniętym psim gównem.

— Nikomu. Nikomu nie powiemy.

— On kłamie — mówi Scotty. — Ten gnojek kłamie. Spójrz tylko na niego, Richie.

Ponownie rusza naprzód, ale Richie jeszcze mocniej zaciska palce na jego przedramieniu.

— Jeśli nikomu nic się nie stanie, to i nie będzie o czym opowiadać — zauważa Jonesy rozsądnym tonem.

Grenadeau zerka na niego, po czym znów patrzy na Henry'ego.

— Przysięgasz na Boga?

— Przysięgam na Boga — mówi Henry.

— Wszyscy przysięgnijcie! — żąda Grenadeau.

Jonesy, Beaver i Pete przysięgają na Boga.

Richie zastanawia się przez chwilę, która im czterem wydaje się ciągnąć w nieskończoność, po czym kiwa głową.

— Dobra, pieprzę was. Idziemy.

— Jeśli się zbliżą, uciekaj dokoła budynku — mówi szybko Henry do Pete'a, ponieważ tamci już są w ruchu. Robi to tylko na wszelki wypadek, ponieważ Richie wciąż trzyma Scotty'ego za przedramię, a to chyba dobry znak.

— Szkoda mi na was czasu — oznajmia wyniośle Richie Grenadeau.

Henry'ego ogarnia przemożna chęć, żeby parsknąć śmiechem, ale jakoś udaje mu się nad sobą zapanować. To byłby błąd, przecież wszystko jest na dobrej drodze. Jakaś jego maleńka częśćka wcale nie jest z tego powodu zadowolona, lecz znacznie większa część nie posiada się z radości.

— A w ogóle, to co wam odbiło? — pyta Richie. — O co to zamieszanie?

Henry chciałby odpowiedzieć pytaniem, i to wcale nie retorycznym, chciałby zapytać Richiego Grenadeau, jak mógł zrobić coś takiego. Ten płacz! Mój Boże... Milczy jednak, zdając sobie sprawę, że jego słowa mogłyby sprowokować tego dupka, cofnąć ich do punktu wyjścia.

Wygląda to prawie jak lekcja podstaw tańca: Richie, Duncan i Scott zmierzają w kierunku podjazdu (nonszalancko, od niechcienia, tak by nikt nie miał wątpliwości, że czynią to z własnej nieprzymuszonej woli), Henry wraz z przyjaciółmi obracają się tak, żeby przez cały czas mieć ich na oku, a równocześnie cofają się w stronę klęczącego i łkającego rozpaczliwie chłopca, starając się odgrodzić go od napastników.

Richie zatrzymuje się przy narożniku budynku.

— Jeszcze się z wami policzymy. Ze wszystkimi naraz albo z każdym osobno.

— No! — potwierdza Duncan.

— Pooglądacie sobie świat spod namiotu tlenowego! — dorzuca Scott.

Znowu niewiele brakuje, żeby Henry parsknął śmiechem.

Modli się w duchu, żeby żaden z jego przyjaciół niczego nie powiedział, niech to się wreszcie skończy, i już. Niesamowite, ale jego modlitwy zostają wysłuchane. To prawie cud.

Jeszcze jedno groźne spojrzenie Richiego i cała trójka niknie za budynkiem. Henry, Jonesy, Beaver i Pete zostają sami z chłopcem, który kołysze się w przód i w tył na klęczkach, z brudną, załzawioną i zasmarkaną twarzą skierowaną ku białemu niebu jak tarcza zepsutego zegarka. Nie mają pojęcia, co robić. Rozmawiać z nim? Tłumaczyć, że nie musi się już bać? Przecież nie zrozumie. Boże, ten płacz jest okropny! Jak to możliwe, żeby ktokolwiek, nawet nie wiadomo jak głupi i okrutny, zrobił coś takiego? Henry później zrozumie — przynajmniej częściowo — na razie jednak stanowi to dla niego zagadkę.

— Spróbuję czegoś — mówi niespodziewanie Beaver.

— Spróbuj. Wszystko jedno czego, ale spróbuj — odpowiada Jonesy drżącym głosem.

Beaver rusza naprzód, zatrzymuje się, obrzuca przyjaciół spojrzeniem, w którym jest wstyd, zuchowatość, a także — tak, to nie ulega wątpliwości — nadzieja.

— Jeśli komuś o tym powiecie, już nigdy się do was nie odezwę.

— Dobra, dobra, nie pieprz! — Głos Pete'a też jest roztrzęsiony. — Jeśli możesz go uciszyć, to po prostu zrób to, byle prędzej!

Beaver stoi przez chwilę w tym samym miejscu, w którym jeszcze niedawno stał Richie Grenadeau z psim gównem w ręce, a następnie powoli klęka. Henry dopiero teraz zauważa, że zapłakany chłopiec ma spodniki w identyczne wzorki jak pudełko na drugie śniadanie: są na nich Scooby-Doo, jego przyjaciele i nawiedzony dom.

Beaver obejmuje go i zaczyna śpiewać.

Jeszcze sześć kilometrów do Banbury Cross... a może tylko pięć. Jeszcze sześć kilometrów do Banbury Cross... a może tylko...

Henry znowu się poślizgnął, tym razem jednak nie miał najmniejszych szans na odzyskanie równowagi. Zbyt głęboko pograżył się we wspomnieniach i zanim zdążył się z nich otrząsnąć, było już za późno.

Wylądował na plecach z takim impetem, że aż powietrze uciekło mu z płuc z donośnym bolesnym westchnieniem: Uch! Płatki śniegu zawirowały dokoła w szaleńczym tańcu, rąbnął w coś tyłem głowy, aż zobaczył gwiazdy.

Przez jakiś czas leżał bez ruchu, czekając, aż da o sobie znać jakieś złamanie. Kiedy nic takiego nie nastąpiło, wsunął rękę pod plecy i ostrożnie pomacał się po krzyżu. Bolało, ale nawet nie tak bardzo. Kiedy mieli po dziesięć, jedenaście lat i spędzali całe zimy na sankach w Strawford Park, zdarzały mu się znacznie poważniejsze upadki, lecz on nic sobie z nich nie robił. Któregoś razu on i Henry jechali z Pete'em jego Szalonym Ślizgaczem, i Pete władował się prosto na ogromną sosnę u podnóża stoku, zwaną przez dzieciaki Drzewem Śmierci. Wykręcił się wtedy paroma siniakami i dwoma albo trzema obluzowanymi zębami. Problem polegał na tym, że już od dawna nie miał dziesięciu ani jedenastu lat.

— Wstawaj, cwaniaku, nic ci nie jest — powiedział i ostrożnie usiadł.

Grzbiet trochę bolał, ale do wytrzymania. Wszystko wskazywało na to, że poniósł straty wyłącznie na honorze, mimo to powinien chyba posiedzieć jeszcze minutę albo dwie. Do tej pory utrzymywał tak dobre tempo, że z pewnością sobie na to zasłużył. Poza tym te wspomnienia ogromnie go poruszyły. Richie Grenadeau, cholerny Richie Grenadeau, który, jak się później okazało, najzwyczajniej w świecie wymigiwał się od gry w szkolnej drużynie. Wcale nie miał złamanego nosa. „Jeszcze się z wami policzymy” — tak im powiedział, i przypuszczalnie mówił to całkiem serio, ale nigdy nie doszło do ponownej konfrontacji. Nigdy. Wydarzyło się natomiast coś zupełnie innego.

A wszystko to było bardzo dawno temu. Teraz czekało na niego Banbury Cross (a przynajmniej Dziura w Murze), a on nie miał koguciego konia, na którym mógłby się tam dostać, tylko co najwyżej zadyszana chabetę. Podniósł się z ziemi, zaczął strzepywać śnieg z tyłka, i właśnie wtedy ktoś wrzasnął w jego głowie:

Auuu! Auuu! Auuu!

Było to jak dźwięk z walkmana wzmocniony do takiego poziomu, żeby wypełnić salę koncertową, albo jak wystrzał z dubeltówki tuż za gałkami ocznymi. Henry zatoczył się, rozpaczliwie usiłując utrzymać równowagę, lecz gdyby nie sztywne gałęzie rosnącej nieopodal sosny, z pewnością znowu by się przewrócił.

Wciąż słysząc dzwonienie w uszach (poprawka: dzwoniła mu cała głowa), uwolnił się z objęć sosny i wrócił na drogę, nie bardzo wierząc, że jeszcze żyje. Podniósł rękę do nosa; na palcach zostały mu ślady krwi. Poczuł, że ma coś w ustach; wypluł na dłoń, przez chwilę przyglądał się zębowi ze zdziwieniem, a następnie cisnął go na bok, chociaż w pierwszym odruchu chciał schować go do kieszeni kurtki. O ile się orientował, nikt jeszcze nie zajmował się wszczepianiem ludziom ich własnych zębów, a szansę na to, żeby w środku lasu zgłosiła się po niego dobra wróżka, praktycznie równały się zeru.

Nie miał żadnej pewności, czyj to był krzyk, podejrzewał jednak, że Pete Moore właśnie narobił sobie niezłych kłopotów. Przez chwilę nasłuchiwał innych głosów, innych myśli, lecz niczego nie usłyszał. Doskonale. Wszystko wskazywało na to, że nawet bez tych dodatkowych atrakcji będzie to najbardziej niezwykle polowanie w jego życiu.

— W drogę, mistrzu — szepnął i ponownie ruszył truchtem w kierunku chaty. Przekonanie, że wydarzyło się tam coś niedobrego, nie tylko go nie opuściło, ale nawet się

nasiliło. Korciło go, żeby zwiększyć tempo, lecz — chociaż z trudem — zdołał nad sobą zapanować.

Zajrzyj do nocnika.

Dlaczego po prostu nie zapukamy i nie spytamy, co mu jest? Czy naprawdę to usłyszał? Teraz głosy już ucichły, przed chwilą jednak rozbrzmiewały równie wyraźnie jak ten przeraźliwy krzyk sprzed kilku minut. Pete? A może to ta kobieta, śliczna Becky?

— Pete. — Wypuścił to słowo z ust wraz z obłoczkiem pary. — To był Pete.

Nawet teraz nie był tego do końca pewien, ale prawie.

Przez chwilę obawiał się, że nie zdoła odzyskać rytmu, rytm jednak szybko wrócił — na dobrą sprawę, jeszcze zanim przestał się martwić: doskonała synchronizacja oddechu i poruszających się stóp, piękna w swojej prostocie.

Jeszcze pięć kilometrów do Banbury Cross. Wracam do domu. Tak jak wtedy, kiedy odprowadzaliśmy Dudditsa.

(jeśli komuś o tym powiecie, już nigdy się do was nie odezwę)

Henry wrócił do tamtego październikowego dnia, tak jakby wracał do głębokiego snu. Tak szybko i tak głęboko wpadł w studnię wspomnień, że nawet nie wyczuł pędzącego mu na spotkanie obłoku utkanego nie ze słów, myśli ani krzyków, lecz z czarno-czerwonego bytu, który miał dotrzeć w wiele miejsc i dokonać wielu rzeczy.

5

Beaver wysuwa się krok naprzód, zatrzymuje się, waha przez chwilę, klęka. Niedorozwinięty chłopiec nie widzi go; wciąż szlocha rozpaczliwie z zaciśniętymi powiekami, jego wąska pierś unosi się i opada spazmatycznie. I jego spodni, i motocyklowa kurtka Beavera wyglądają komicznie, ale nikt się nie śmieje. Henry myśli tylko o tym, żeby ten okropny płacz wreszcie ucichł. Ten płacz go zabija.

Beaver przysuwa się nieco na kolanach, a następnie bierze zapłakanego chłopca w ramiona.

Srebrną łódką płynie Jasio,

Hen, po niebie granatowym...

Henry nigdy jeszcze nie słyszał śpiewającego Beavera, chyba że przy włączonym radiu — Clarendonowie niezbyt regularnie uczęszczają do kościoła — więc czysty, wysoki głos przyjaciela wprawia go w zdumienie. Mniej więcej w ciągu roku głos Beavera ulegnie drastycznym zmianom i stanie się całkiem zwyczajny, teraz jednak, na tym zarośniętym chwastami podwórzu, wywiera na nich wszystkich oszałamiające wrażenie. Na niedorozwiniętym chłopcu również: przestaje płakać i wpatruje się w Beavera ze zdziwieniem i zachwytem.

Płynie szybko, płynie żwawo

Tam gdzie gwiazdek srebrnych mrowie.

Płyń ostrożnie, mój syneczku,

Byś nie trafił tam, w przestworzach,

Na komety ogon zimny,

Która pędzi z krzykiem, wrzawą,

Siejąc wszędzie wśród niewinnych

Dzieci strach i przerażenie.

Ostatni dźwięk zawisa w powietrzu i przez chwilę cały świat wsłuchuje się w niego z zachwytem. Henry'emu zbiera się na płacz. Niedorozwinięty chłopiec wciąż jak urzeczony wpatruje się w Beavera, który kołysał go delikatnie w rytmie melodii. Na jego twarzy maluje się wyraz bezgranicznego zachwyty. Zapomniał o rozciętej wardze i siniaku na policzku, o podartej bluzie i zgubionym pudełku na drugie śniadanie.

— Eeeszee... Eeeszee... — powtarza raz za razem.

Może to znaczyć cokolwiek, ale Henry doskonale go rozumie, i Beaver też.

— Już więcej nie mogę — mówi Beaver, uświadamia sobie, że wciąż obejmuje pólnagięgo chłopca i cofa ramię.

Twarz dzieciaka natychmiast się wykrzywia, lecz nie jest to ani grymas strachu, ani niezadowolenia, tylko czystego, bezbrzeżnego smutku. Łzy ponownie wypełniają zdumiewająco zielone oczy, spływają po policzkach, żłobiąc świeże ślady w brudzie. Chwyta Beavera za rękę, kładzie ją sobie na ramieniu.

— Eeeszee! Eeeszee! — powtarza żałośnie.

Beaver patrzy na nich z przerażeniem.

— Mama nigdy mi więcej nie śpiewała — mówi bezradnie. — Zawsze zasypiałem w tym miejscu...

Henry i Jonesy spoglądają na siebie, po czym wybuchają śmiechem. To raczej nie jest dobry pomysł, dzieciak pewnie się przestraszy i zaraz znowu zacznie płakać, ale nic nie mogą na to poradzić. Chłopiec wcale nie płacze, tylko uśmiecha się do nich szerokim, radosnym uśmiechem, odsłaniając imponujący garnitur śnieżnobiałych, niedużych, stłoczonych zębów, a potem znów kieruje spojrzenie na Beavera. Cały czas przytrzymuje jego rękę na swoim ramieniu.

— Eeeszee! — domaga się głośno.

— No to zaśpiewaj jeszcze raz to, co znasz! — radzi mu Pete.

Kończy się na tym, że Beaver musi zaśpiewać piosenkę jeszcze trzy razy, zanim wreszcie chłopiec pozwoli ubrać się w spodnie i podartą bluzę z numerem Richiego Grenadeau na plecach. Henry nigdy nie zapomni tej przedziwnej chwili i później będzie wielokrotnie przypominał ją sobie w najdziwniejszych okolicznościach: w momencie kiedy tracił dziewictwo podczas jakiejś imprezy, przy „Smoke on the Water” dudniącym w głośnikach na dole; wtedy gdy otworzył gazetę na stronie z nekrologami i ujrzał czarujący uśmiech Barry’ego Newmana nad potrójnym podbródkiem; kiedy karmił ojca, który padł ofiarą Alzheimera w nieprzyzwoicie młodym wieku pięćdziesięciu trzech lat i upierał się, że Henry jest kimś o imieniu Sammy.

— Mężczyzna zawsze spłaca swoje długi, Sammy — powtarzał ojciec, otwierał usta w oczekiwaniu na kolejną porcję owsianki, a potem mleko znowu płynęło mu po brodzie.

Właśnie w takich sytuacjach będzie wracał pamięcią do kołysanki Beavera, czerpiąc z tego wspomnienia radość i pociechę. Tu się nie gra, tu się nie hałasuje.

Wreszcie udaje im się całkowicie ubrać dzieciaka, z wyjątkiem jednego czerwonego adidasa. Usiłuje sam go nałożyć, ale wpycha go na stopę piętą do przodu. To naprawdę zdrowo pokręcony młody Amerykanin; Henry nie potrafi zrozumieć, jak tamci trzej mogli właśnie jego wybrać sobie na ofiarę. Nawet mniejsza o płacz, chociaż w życiu nie słyszał czegoś równie okropnego, ale skąd w nich tyle nienawiści?

— Daj, ja to zrobię — mówi Beaver.

— Oo eobiiiis?

Chłopiec jest tak komicznie zdumiony, że Henry, Jonesy i Pete ponownie wybuchają śmiechem. Henry oczywiście doskonale zdaje sobie sprawę, że nie należy się śmiać z ludzi upośledzonych umysłowo, lecz nic nie jest w stanie na to poradzić. Ten dzieciak robi takie zabawne miny jak postać z kreskówki.

Beaver tylko się uśmiecha.

— Pomogę ci nałożyć but, kolego.

— Uuj ut?

— Tak, twój. W ten sposób na pewno ci się nie uda, choćbyś zesrał się na kwadratowo.

Beaver zabiera mu adidasa, wsuwa na stopę, ściąga sznurowadła, wiąże je na kokardkę. Chłopiec przygląda się temu z ogromnym zainteresowaniem, a kiedy jest już po wszystkim,

wpatruje się przez chwilę w kokardę, po czym zarzuca Beaverowi ramiona na szyję i głośno całuje go w policzek.

— Jeśli powiecie komuś, że to zrobił... — zaczyna Beaver, ale mówi to z uśmiechem, najwyraźniej bardzo zadowolony.

— Tak, jasne. To już nigdy nie będziesz z nami gadał — kończy Jonesy, szczerząc zęby. Przez cały czas trzymał w ręku pudełko na drugie śniadanie; teraz kuca i podsuwa je chłopcu.

— To twoje, mistrzu?

Dzieciak rozpromienia się, jakby spotkał starego przyjaciela, chwytając go i przyciska do piersi.

— Uby–Uby–Du, hee eeseś? — śpiewa. — Aaay oś oo eoobieaa!

— Zgadza się — potwierdza Jonesy. — Mamy coś do zrobienia. Przede wszystkim musimy odprowadzić cię do domu.

Ty jesteś Douglas Cavell, zgadza się?

Chłopiec wciąż tuli do siebie pudełko, nagle całuje je z rozmachem, tak samo jak przed chwilą pocałował Beavera, i wykrzykuje:

— Ja Duddits!

— Świetnie — mówi Henry. Bierze go za jedną rękę, Jonesy za drugą i pomagają mu wstać. Maple Lane jest zaledwie trzy przecznice stąd. Mogą tam być za dziesięć minut, oczywiście pod warunkiem, że Richie wraz z przyjaciółmi nie uznał za stosowne zacząć się na nich gdzieś w pobliżu. — W takim razie, Duddits, idziemy do domu. Twoja mama na pewno już się o ciebie niepokoi.

Najpierw jednak wysyła Pete'a za narożnik budynku, żeby zbadał drogę. Kiedy Pete wraca z informacją, że nie dostrzegł nieprzyjaciela, przemieszczają się na skraj zbadanego terenu, po czym powtarzają procedurę. Całkiem bezpiecznie będą mogli się poczuć dopiero na ulicy, wśród ludzi; tymczasem Henry woli nie ryzykować. Wysyła Pete'a na kolejny rekonesans i poleca zagwizdać, jeśli droga będzie wolna.

— Oni ooszli — informuje go Duddits.

— Być może, ale jednak lepiej niech Pete się rozejrzy.

Duddits czeka spokojnie, oglądając obrazki na swoim pudełku. Henry wcale nie uważa, że naraża przyjaciela na niebezpieczeństwo. Nie przesadzał, mówiąc o jego szybkości; nawet gdyby Richie i jego kumple wyskoczyli z ukrycia, Pete wystartuje jak rakietka i w okamgnieniu zostawi ich daleko w tyle.

— Lubisz te filmy? — pyta Beaver, biorąc od chłopca pudełko. Mówi cicho i łagodnie. Henry przygląda się z umiarkowanym zainteresowaniem, ciekaw, czy dzieciak zacznie od razu domagać się zwrotu pudełka. Nic takiego się nie dzieje.

— To Uby–Du!

Ma złociste kręcone włosy. Henry wciąż nie potrafi określić jego wieku.

— Wiem, że to Scooby–Doo i jego przyjaciele, ale czy ci nie przeszkadza, że oni wszyscy wciąż ganiają w tych samych ciuchach? Pete ma rację: w każdym odcinku są ubrani tak samo.

— Aaj!

Beaver oddaje pudełko, niedorozwinięty chłopiec przyciska je do piersi i uśmiecha się do nich. To cudowny uśmiech, myśli Henry, również się uśmiechając. Kojarzy mu się z uczuciem, jakie ogarnia człowieka zaraz po wyjściu z morza; jest ci zimno, dygoczesz, szcękasz zębami, masz gęsią skórę, ale wystarczy, żebyś owinął się wielkim włóchatym ręcznikiem, a zaraz robi ci się rozkosznie ciepło.

Jonesy też się uśmiecha.

— Duddits, a który z nich to pies?

Chłopiec patrzy na niego, wciąż uśmiechnięty, ale i trochę zdezorientowany.

— Pies — włącza się Henry. — Który z nich jest psem?

Teraz zielone oczy wpatrują się w niego, coraz bardziej zagubione.

— Który z nich to Scooby? — pyta Beaver.

Twarz Dudditsa natychmiast się rozpogadza.

— Uby! — Wskazuje palcem. — Uby-Uby-Du! Oo on ees pees!

Tym razem wszyscy parszczą śmiechem, Duddits też.

W tej samej chwili rozlega się gwizd Pete'a. Ruszają naprzód, lecz zaledwie po kilku krokach Jonesy nagle woła:

— Czekaście!

Podbiega do jednego z brudnych okien, wspina się na palce i zagląda do środka, osłaniając oczy od blasku. Henry dopiero teraz przypomina sobie, po co tu tak naprawdę przyszli: żeby zobaczyć gołą cipkę Tiny Jean. Wydaje mu się, że to było tysiąc lat temu.

Mijają sekundy, wreszcie Jonesy woła:

— Henry, Beaver! Chodźcie tutaj! Zostawcie go na chwilę.

Beaver biegnie pierwszy, Henry odwraca się do chłopca i mówi:

— Zaczekaj tutaj, Duddits. Zaczekaj tu ze swoim pudełkiem, dobrze?

Duddits wpatruje się w niego z napięciem, wreszcie kiwa głową i Henry może dołączyć do przyjaciół przy oknie. Tłoczą się, ciasno im tam, Beaver narzeka, że ktoś depcze mu po palcach, ale jakoś sobie radzą. Minutę lub dwie później, zdziwiony zwłoką, zjawia się Pete i wciska głowę między ramiona Henry'ego i Jonesy'ego. Cztery chłopcy przyklejają się do brudnej szyby, piąty nieco z tyłu, z pudełkiem na drugie śniadanie przyciśniętym do piersi, spogląda w górę na niebo, na którym słońce usiłuje się przebić zza zasłony białych chmur. Po drugiej stronie szyby (pozostawia na niej półksiężycowe odciski czół) jest pusty pokój. Na pokrytej grubą warstwą kurzu podłodze walają się jakby duże szare kijanki — dopiero po chwili Henry rozpoznaje w nich zużyte kondomy. Na ścianie dokładnie naprzeciwko okna wisi korkowa tablica, a na niej mapa drogowa północnej Nowej Anglii oraz polaroidowa fotografia kobiety z uniesioną spódnicą.

Cipki nie widać, tylko skrawek białych majtek, a kobieta jest przeraźliwie stara. Na pewno ma co najmniej trzydziestkę.

— Niech mnie licho! — wykrzykuje Pete i obrzuca Jonesy'ego zde gustowanym spojrzeniem. — I po TO tu przyszliśmy?!

Jonesy ma niepewną minę, szybko jednak odzyskuje rezon, uśmiecha się i wskazuje kciukiem za siebie.

— Wcale nie. Przyszliśmy po NIEGO.

6

Henry otrząsnął się raptownie ze wspomnień, uświadomiwszy sobie w nagły i niespodziewany sposób, że już od dłuższego czasu jest najzwyczajniej w świecie przerażony. Coś całkiem nowego unosiło się tuż pod powierzchnią jego świadomości, utrzymywane tam żywą wizją pierwszego spotkania z Dudditsem. Teraz wystrzeliło gwałtownie na powierzchnię, tak że nie mógł go już dłużej ignorować.

Zahamował nagle na środku drogi, młóćąc powietrze rękoma, żeby znów nie upaść, i zamarł w bezruchu, dysząc ciężko i gapiąc się przed siebie szeroko otwartymi oczami.

Co teraz? Od chaty dzieliły go najwyżej cztery kilometry, tyle co nic, więc o co chodzi, na litość boską?

To jest obłok. To znaczy, coś w rodzaju obłoku. Nie wiem dokładnie, ale to czuję. Nigdy w życiu nie czułem niczego równie wyraźnie. Przynajmniej w dorosłym życiu. Muszę zejść z drogi, muszę. To jest obłok. To znaczy, coś w rodzaju obłoku. Nie wiem dokładnie, ale to czuję. Nigdy w życiu nie czułem niczego równie wyraźnie. Przynajmniej w dorosłym życiu. Muszę zejść z drogi, muszę przed tym uciec. Uciec przed filmem. W obłoku jest film. Taki, jakiego lubi Jonesy. Straszny.

— Bzdury! — wymamrotał, wiedząc doskonale, że nie ma racji.

Dopiero teraz do jego uszu dotarł narastający warkot pracującego na wysokich obrotach silnika. Odgłos zbliżał się od Dziury w Murze, zbliżał się szybko, odgłos silnika skutera śnieżnego, więc niemal na pewno był to Arktyczny Kot z szopy za chatą... ale równocześnie był to czarno-czerwony obłok z przerażającym filmem w środku, jakaś okrutna mroczna energia mknąca w jego kierunku.

Henry'ego sparaliżował zmasowany atak zapamiętanych z dzieciństwa okropności: stworów spod łóżek i z trumien, robaków wijących się pod odwróconymi kamieniami i futrzastej galarety, w jaką zamienił się martwy szczur za piecem w piwnicy. Pojawiły się też inne okropności, wcale nie dziecinne: ojciec zagubiony we własnym pokoju i bełkocący ze strachu; Barry Newman uciekający z gabinetu Henry'ego z wyrazem bezbrzeżnego przerażenia na twarzy, przerażenia spowodowanego tym, że zmuszono go, by stawiał czoło czemuś, z czym nie chciał albo nie mógł się zmierzyć; on sam, siedzący o czwartej nad ranem ze szklaneczką whisky w ręce i martwym światem nie tylko dookoła, ale również w swojej głowie, tysiąc lat przed świtem i bez nadziei na jakąkolwiek kołysankę. Wszystko to kłębiło się w tym czarno-czerwonym obłoku pędzącym ku niemu niczym ów błady biblijny jeździec, wszystko to, a nawet jeszcze więcej. Wszystkie paskudne myśli, podejrzenia i urojenia gnały ku niemu nie na spienionym koniu, lecz na starym skuterze śnieżnym z przerdzewiałą pokrywą silnika. Nie śmierć, lecz coś gorszego od śmierci. Szary.

Zejdź z drogi! — zawył jego umysł. — Zejdź z drogi! Ukryj się! Prędko!

Jego stopy zrobiły się tak ciężkie, że nie był w stanie się poruszyć. Rana na udzie, którą mu zrobiła dźwigienka kierunkowskazów, paliła go żywym ogniem. Zrozumiał, co czuje jeleni schwytny na drodze w potrzask reflektorów albo wiewiórka ziemna miotająca się w panice przed nadjeżdżającą kosiarką. Obłok pozbawił go instynktu samozachowawczego.

To dziwne, ale wyrwał się spod uroku dzięki tym wszystkim myślom o samobójstwie. Czy po to spędził pięćset bezsennych nocy, żeby teraz ktoś inny — albo coś innego — podjął za niego ostateczną decyzję? Nie, tak być nie może. Tamto cierpienie było zbyt duże. Nie mógł pozwolić, żeby poszło na marne, żeby jego ciało czekało bezradnie, aż zmiażdży je jakiś rozpedzony demon.

Ożył więc, lecz poruszał się jak w koszmarnym śnie, jakby powietrze stało się gęste niczym guma do żucia. Stopy podnosiły się i opadały w tempie podwodnego baletu. Czy to możliwe, że jeszcze całkiem niedawno biegł tą drogą?

Wspomnienie było całkiem wyraźne, wyobraźnia jednak nie potrafiła mu się podporządkować.

Mimo to wciąż się poruszał, gdyż wycie silnika zbliżało się z każdą chwilą, stawało się coraz głośniejsze. Wreszcie dotarł między drzewa po południowej stronie drogi. Przebył jakieś pięć metrów, ale to wystarczyło, żeby znaleźć się na terenie pokrytym nie grubą warstwą śniegu, lecz zaledwie jego cieniutkim nalotem, z trudem przykrywającym rudobrązowe igliwie.

Tam Henry, łkając rozpaczliwie, osunął się na kolana, ale natychmiast przycisnął do ust skryte w rękawicach dłonie, co by się bowiem stało, gdyby obłok usłyszał. W obłoku był Szary, Szary był obłokiem i co by było, gdyby usłyszał?

Wpełził za obrośnięty mchem pień dorodnej sosny, objął go oburącz, wychylił się i spojrzał zza zasłony spoconych, opadających na czoło włosów. Niemal natychmiast dostrzegł w popołudniowej szarówce maleńkie światełko. Podskakiwało, przesuwawało się i rosło, aż wreszcie przeistoczyło się w reflektor.

Im było bliżej, tym bardziej rozpaczliwie jęczał. Ciemność, której nadejście zwiastowało, zdawała się wisieć nad jego umysłem niczym zaćmienie, dławiąc wszelkie myśli i zastępując je przerażającymi obrazami: strużki mleka ściekające po brodzie ojca, panika w oczach Barry'ego Newmana, wychudzone ciała i ogromne oczy za drutem kolczastym, odarte ze

skóry kobiety i powieszoni mężczyźni. Ujrzał świat jakby z drugiej strony, której istnienia do tej pory nawet nie podejrzewał, i zrozumiał z okrutną jasnością, że wszystko jest już zarażone, a jeśli nie jest, to może być. Wszystko. W obliczu nadciągającego zagrożenia powody, które skłoniły go do rozważań nad samobójstwem, straciły jakiegokolwiek znaczenie.

Żeby nie krzyknąć, przycisnął usta do szorstkiego pnia, wpił się wargami w wilgotny mech, odcisnął w nim tak głęboki pocałunek, że aż poczuł gorzki smak kory. W tej samej chwili Arktyczny Kot przemknął obok niego i Henry bez trudu rozpoznał siedzącą na nim postać, człowieka stanowiącego ośrodek czarno-czerwonego obłoku, który wypełnił jego głowę niczym gorączka.

Wbił zęby w mech jeszcze głębiej, wrzasnął w sosnowy knebel, wciągnął nosem powietrze razem z fragmentami mchu, krzyknął jeszcze raz, a potem już tylko klęczał, obejmując z całej siły drzewo i wsłuchując się w cichnący na zachodzie warkot silnika. Odgłos umilkł, a on dalej trwał w całkowitym bezruchu.

Tam jest Pete, przemknęło mu nagle przez głowę. Tam jest Pete i ta kobieta.

Zataczając się, wrócił na drogę. Nie zdawał sobie sprawy, że znowu krwawi z nosa, że po policzkach płyną mu łzy.

Ponownie ruszył w kierunku Dziury w Murze, choć teraz nie biegł już, tylko zataczał się, powłócząc nogami. Nie przejmował się tym, bo nie miało to już żadnego znaczenia. Tam i tak było po wszystkim.

Czegokolwiek dotyczyły jego niedobre przeczucia, już się dokonało. Jeden z jego przyjaciół nie żył, jeden umierał, a jeden, niech Bóg ma go w swojej opiece, zamienił się w filmowego gwiazdora.

ROZDZIAŁ SIÓDMY JONESY I BEAVER

1

Beaver powiedział to jeszcze raz. Bez żadnych beaveryzmów, tylko to proste, całkiem zwyczajne słowo, które ciśnie się na usta zawsze wtedy, gdy człowiek staje oko w oko z czymś zbyt okropnym, żeby to zaakceptować albo przynajmniej przyjąć do wiadomości, że kiedyś, być może, będzie musiał to zaakceptować.

— Ja pierdolę... Ja pierdolę...

Pomimo z pewnością ogromnego cierpienia McCarthy zadał sobie jednak trud włączenia obu jarzeniówek: prostej nad lustrem i okrągłej na suficie. W ich jasnym, zimnym blasku wewnątrz łazienki wyglądało trochę jak policyjna fotografia miejsca zbrodni, a trochę jak surrealistyczna instalacja plastyczna; światło odrobinę migotało, informując w ten sposób uważnych obserwatorów, że płynąca przewodami energia pochodzi ze spalinowego generatora, a nie z linii przesyłowych miejscowej firmy energetycznej.

Płytki na podłodze były jasnoblękitne. Przy drzwiach widniały na nich tylko niewielkie krople krwi, im bliżej jednak stojącego obok wanny sedesu, tym większe się stawały, by wreszcie połączyć się i utworzyć krwawy wąż. Od węża rozchodziły się na boki cienkie strużki. Na płytkach pojawiły się krwawe tatuaże z wzorami podeszew ich butów, na plastikowej zasłonce prysznicza widniały zamazane odciski palców. Widocznie złapał się tego, żeby nie upaść, kiedy siadał, przemknęło Jonesy'emu przez głowę.

Ale nie to było najgorsze. Najgorsze było to, co Jonesy ujrzał oczami wyobraźni: McCarthy zataczający się wstecz na błękitnej podłodze z ręką wyciągniętą do tyłu, rozpaczliwie usiłujący się czegoś chwycić rozczapierzonymi palcami.

— O kurwa! — stęknął Beaver. Prawie szlochał. — Jonesy, ja nie chcę tego widzieć. Nie chcę, i już.

— Musimy. — Miał wrażenie, że słyszy swój głos dobiegający z ogromnej odległości. — Damy sobie radę. Jeśli kiedyś poradziliśmy sobie z Richiem Grenadeau i jego kumplami, to z tym też sobie poradzimy.

— Nie wiem, oj, nie wiem...

Jonesy też nie wiedział, wziął więc Beavera za rękę. Palce przyjaciela zacisnęły się kurczowo na jego dłoni, po czym razem zrobili kolejny krok naprzód. Jonesy starał się omijać krew, ale nie było to łatwe, krew bowiem była wszędzie. Nie tylko krew.

— Jonesy... — wyszeptał Beaver schrypniętym głosem. — Widzisz to coś na zasłonce?

Krwawe odciski palców częściowo pokrywała jakby złocistoczerwona pleśń. Na podłodze dostrzegli jej jeszcze więcej — nie na grubym krwawym wężu, lecz w okolicy końcówek cienkich odnóg.

— Co to?

— Pojęcia nie mam — odparł Jonesy. — Chyba to samo, co rośnie mu na policzku. Zamknij się na chwilę... McCarthy? Rick?

Siedzący na toalecie McCarthy nie odpowiadał. Z jakiegoś powodu uznał za stosowne nałożyć swoją pomarańczową czapkę, lecz zrobił to tak krzywo, jakby był pijany. Poza czapką niczego na sobie nie miał. Głowa opadła mu na pierś w parodii głębokiego namysłu (kto wie, a może to wcale nie parodia?), powieki były przymknięte, złączone ręce przyciskał do podbrzusza. Sedes wyglądał tak, jakby jakiś czas temu wylała się z niego kaskada krwi, na ciele McCarthy'ego jednak nie było ani śladu krwi, a przynajmniej Jonesy nie widział jej z miejsca, w którym stał.

Widział natomiast, i to wyraźnie, coś innego: dwie duże, luźne fałdy skórne na brzuchu mężczyzny. Dopiero po chwili uświadomił sobie, co mu to przypomina: tak samo wyglądał

brzuch Carli bezpośrednio po każdym z czterech porodów. Z boku skóra była tylko czerwona, z przodu natomiast pojawiły się świeże, wyraźne rozstępy. Gdyby McCarthy istotnie był brzemienny, mógłby urodzić co najwyżej jakiegoś pasożyta, na przykład tasiemca albo glistę, ale w plamach jego krwi rosła teraz jakaś tajemnicza substancja, a co sam powiedział, leżąc w łóżku Jonesy'ego z kołdrą podciągniętą pod brodę? „Oto stoję u waszych drzwi i kołaczę”. Jonesy głęboko żałował, że usłyszał to kołatanie i otworzył drzwi. Ba, żałował nawet, że go nie zastrzelił. Tak, to nie ulegało wątpliwości. Jego umysł funkcjonował z porażającą jasnością, tak jak często zdarza się w najbardziej stresujących sytuacjach, i właśnie ta jasność pozwoliła mu zrozumieć, że żałuje, iż nie wpakował kuli w McCarthy'ego, zanim rozpoznał pomarańczową myśliwską czapkę i kamizelkę. Na pewno by to nie zaszkodziło, mogłoby natomiast pomóc.

— Następnym razem na pewno się poprawię... — wymamrotał.

— Jonesy... Czy on jeszcze żyje?

— Nie mam pojęcia.

Zrobił kolejny krok naprzód i poczuł, jak palce przyjaciela wysuwają się z jego dłoni. Najwyraźniej Beaver nie miał zamiaru bardziej zbliżyć się do McCarthy'ego.

— Rick... — powiedział Jonesy przyciszonym głosem. Takim, jakim mówi się przy śpiącym dziecku. Albo przy nieboszczyku. — Rick, jak się...

Rozległo się donośne wilgotne pierdnięcie i łazienkę natychmiast wypełnił przeraźliwy smród gówna wymieszany z wonią kleju modelarskiego. Jonesy aż się zdziwił, że zasłonka prysznicowa jeszcze się nie rozpuściła.

Coś plusnęło w sedesie, lecz nie był to martwy odgłos gówna wpadającego do wody — a przynajmniej takie wrażenie odniósł Jonesy. Bardziej przypominało to pluśnięcie ryby w stawie.

— Boże, jak cuchnie! — wymamrotał Beaver, zasłaniając ręką nos i usta. — Ale skoro pierdzi, to żyje, no nie? Chybaby nie pierdział, gdyby...

— Cicho — przerwał mu Jonesy, trochę zdziwiony, że jego głos brzmi prawie normalnie. — Bądź przez chwilę cicho, dobrze?

I Beaver ucichł.

Jonesy pochylił się do przodu. Widział wszystko z wręcz niesamowitą dokładnością: nieduży strup na prawym łuku brwiowym McCarthy'ego, czerwone znamię na policzku, krew na plastikowej zasłonce, żartobliwy napis ŚWIĄTYNIA DUMANIA pochodzący jeszcze z czasów, kiedy w chacie brakowało instalacji wodno-kanalizacyjnej, toaleta była chemiczna, a wodę pompowało się ręcznie do zbiornika nad prysznicem.

Widział żelatynowy błysk oczu McCarthy'ego w szparach między niedomkniętymi powiekami oraz popękane usta, siniofioletowe w blasku jarzeniówek. Nie tylko czuł, ale i prawie widział cuchnące opary, unoszące się powoli żółtawymi kłębowymi niczym gaz musztardowy.

— McCarthy! Rick! Słyszysz mnie?

Strzelił z palców tuż przed półprzymkniętymi oczami. Bez rezultatu. Zwilżył językiem wewnętrzną część nadgarstka, podsunął McCarthy'emu najpierw pod nos, potem przed usta. Nic.

— On nie żyje — oświadczył, prostując się.

— Akurat — odparł Beaver absurdalnie oburzonym tonem, jakby Jonesy dopuścił się nie wiadomo jakiego naruszenia etykiety. — Przecież przed chwilą nadał paczkę! Słyszałem na własne uszy.

— Nie sądzę, żeby to było...

Beaver zdecydowanie ruszył naprzód, potracając Jonesy'ego, tak że ten boleśnie uderzył kontuzjowanym biodrem o krawędź umywalki.

— Dosyć tego, kolego! — Chwycił McCarthy’ego za piegowate, słabo umięśnione ramię i potrząsnął mocno. — Obudź się! No, obudź się wreszcie!

McCarthy zaczął powoli przechylać się w stronę wanny i przez chwilę Jonesy był gotów uwierzyć, że Beaver jednak miał rację, że tamten żyje, żyje i usiłuje wstać. Zaraz potem męczyzna zsunął się z sedesu i runął do wanny, pociągając za sobą zasłonkę, która opadła na niego jak delikatna półprzezroczysta lawina. Jego czaszka uderzyła z głuchym łomotem w emaliowaną powierzchnię, a ułamek sekundy później Jonesy i Beaver chwycili się kurczowo, krzycząc przeraźliwie z zaskoczenia i strachu. Ich połączone głosy wypełniły niewielkie pomieszczenie ogłuszającą kakofonią. Tyłek McCarthy’ego wyglądał jak rozdęty księżyc w pełni chwilę po uderzeniu gigantycznego meteorytu, który pozostawił po sobie ogromny czarny krater. Jonesy widział to tylko przez chwilę, zaraz potem bowiem ciało zsunęło się do wanny i skryło się pod półprzezroczystą błękitną zasłonką, mógłby jednak przysiąc, że otwór miał co najmniej ćwierć metra średnicy. Czy to możliwe? Ćwierć metra? Na pewno nie.

Coś znowu plusnęło w misce klozetowej, na tyle mocno, że kropelki wymieszanej z krwią wody sięgnęły aż podniesionej błękitnej deski. Beaver wykonał ruch, jakby zamierzał pochylić się i zajrzeć do środka, Jonesy jednak bez namysłu opuścił deskę i zatrzasnął przykrywę.

— Nie.

— Nie?

— Nie.

Beaver usiłował wyjąć z przedniej kieszeni kombinezonu kolejną wykałaczkę, niechcący wygarnął kilka, rozsypały się po zakrwawionej podłodze. Beaver przyglądał im się przez chwilę, po czym przeniósł spojrzenie na Jonesy’ego.

W oczach miał łzy.

— Zupełnie jak Duddits.

— Co ty wygadujesz, do cholery?

— Nie pamiętasz? Duddits też był prawie goły. Tamci dranie zabrali mu bluzę i spodnie, zostawili go w samych gatkach, ale my go uratowaliśmy!

Skinął energicznie głową, jakby Jonesy — albo może i on sam — nieco w to wątpił.

Jonesy w nic nie wątpił, chociaż McCarthy ani trochę nie przypominał mu Dudditsa. Wciąż widział jak McCarthy zsuwa się do wanny, jak trzęsą mu się tłuste piersi („cycki zamożności”, mawiał Henry, kiedy widział je pod czyjąś obcisłą koszulką), jak wystawia ku bezlitosnemu, zimnemu światłu jarzeniówek goły tyłek — blady męski bezwłosy tyłek, już trochę obwisły, niemal taki sam, jakie Jonesy widywał setkami w rozmaitych szatniach i przebieralniach, i niemal taki sam, jaki Jonesy zdołał sobie wyhodować (a raczej jaki hodował sobie aż do chwili wypadku, potem bowiem jego zadek zmienił nieco kształt już chyba na zawsze). Cechą, która różniła tyłek McCarthy’ego od tych wszystkich tyłków, była ogromna dziura, jakby ktoś odpalił mu w dupie flarę albo strzelił z bliska z dubeltówki, żeby... Właśnie: żeby co?

Z wnętrza sedesu dobiegło kolejne pluśnięcie, wieko podskoczyło. Coś próbowało się stamtąd wydostać.

— Siadaj na tym — powiedział Jonesy.

— Że co?

— Siadaj!

Tym razem Jonesy prawie krzyknął i Beaver z przestraszoną miną pośpiesznie usiadł na pokrywie. W bezlitosnym, zimnym świetle jarzeniówek jego skóra była niemal biała, każdy ciemny włos — niemal czarny, usta fioletowe. Nad głową Beavera wisiał napis ŚWIĄTYNIA DUMANIA. Wytrzeszczone błękitne oczy wypełniało przerażenie.

— No dobrze, już siedzę!

— Jasne. Wybacz. Nie ruszaj się stąd, dobrze? Cokolwiek tam jest, nie może się teraz wydostać. To znaczy może, ale tylko razem ze ściekami. Ja zaraz wrócę i...

— A dokąd się wybierasz? Jonesy, ja nie chcę zostać sam z trupozem w wychodku. Jeśli obaj uciekniemy...

— My nie uciekamy — przerwał mu Jonesy. — Jesteśmy u siebie i nie zamierzamy uciekać.

Zabrzmiało to bardzo szlachetnie, być może również dlatego, że nie uznał za stosowne wspomnieć o najbardziej niepokojącym aspekcie sytuacji: mianowicie o tym, że stworzenie zamknięte pod pokrywą muszli klozetowej może biegać szybciej od nich. Albo pełzać. Albo cokolwiek. Przed jego oczami w przyśpieszonym tempie przesuwały się sceny z niezliczonych horrorów. Carla nie chciała chodzić z nim na nie do kina, kiedy zaś przynosił do domu kasety z wypożyczalni, musiał oglądać je w swoim gabinecie w piwnicy. Teraz jednak okazało się, że właśnie te filmy, a dokładnie coś, co widział w jednym z nich, mogło ocalić im życie. Jonesy zerknął na złotoczerwony nalot na krwawych odciskach dłoni McCarthy'ego. A przynajmniej ocalić ich przed stworzeniem w sedesie. Ta dziwna niby-pleśń... Licho wie, co to było.

„Coś” w misce klozetowej znowu podskoczyło, uderzyło od spodu w pokrywę, ale Beaver bez trudu zdołał utrzymać ją na miejscu. Doskonale. Może to „coś” po prostu utonie? Niestety, szansę na to były raczej nikłe. Przecież dość długo mieszkało w nieszczęsnym McCarthym, kto wie, czy nie przez całe cztery dni, kiedy błąkał się po lesie. Spowolniło pojawianie się zarostu na jego twarzy, przyczyniło się do wypadnięcia kilku zębów oraz najprawdopodobniej stanowiło bezpośrednią przyczynę pierdnieć, których nie udało się zignorować nawet w najlepiej wychowanym towarzystwie — brzmiało to jak serie z działka szybkostrzelnego, a śmierdziało jak najgorsza trucizna — samo jednak czuło się znakomicie, rośło i rozwijało się...

Jonesy wyobraził sobie gigantycznego tasiemca wyłaniającego się ze sterty surowego mięsa i zawartość żołądka podeszła mu do gardła.

— Hej, Jonesy...

Beaver zaczął się podnosić z jeszcze bardziej przerażoną miną niż do tej pory.

— Siedź!

Beaver usiadł, i w samą porę. Uderzenie w pokrywę było znacznie bardziej zdecydowane i silniejsze niż do tej pory.

Oto stoję u waszych drzwi i kołaczę.

— Pamiętasz, jak w „Zabójczej broni” kumpel Mela Gibsona bał się wstać ze sracza? — zapytał Beaver. Co prawda się uśmiechał, głos miał jednak chrapliwy, a oczy przerażone.

— Teraz jest tak samo, no nie?

— Nie — odparł Jonesy. — Tutaj nic nie wybuchnie. Poza tym, ja nie jestem Melem Gibsonem, a ty jesteś dużo za biały, żeby być Dannym Gloverem. Posłuchaj: pójdę do szopy...

— Nie ma mowy, nie zostanę tutaj sam!

— Zamknij się i słuchaj. W szopie powinna być taśma izolacyjna, zgadza się?

— Tak, wisi na gwoździu. To znaczy, o ile...

— Wisi na gwoździu. Obok farb, jeśli się nie mylę. Wielka rolka. Pójdę po nią, owiniemy kibel tak, żeby żadna siła nie otworzyła pokrywy, a potem...

Rąbnięto od spodu jeszcze mocniej, jakby słyszało ich i rozumiało. A właściwie skąd mamy wiedzieć, czy nie słyszy i nie rozumie, przemknęło Jonesy'emu przez głowę. Beaver aż się skrzywił.

— ...a potem znikamy stąd — dokończył Jonesy.

— Na skuterze?

Skinął głową, chociaż szczerze mówiąc, zupełnie zapomniał o Arktycznym Kocie.

— Tak, na skuterze. Po drodze zgarniemy Henry’ego i Pete’a.
Beaver pokręcił głową.
— Ten gość ze śmigłowca mówił o jakiejś kwarantannie. Może właśnie dlatego jeszcze nie wrócili? Może zatrzymali ich na...
Łup!
Tym razem skrzywili się obaj.
— ...punkcie kontrolnym albo czymś w tym rodzaju.
— Możliwe — zgodził się Jonesy. — Wiesz co? Chyba jednak wolę odbywać kwarantannę z Pete’em i Henrym, niż siedzieć tu z tym... tym...
— A może po prostu spuścimy wodę? Co ty na to?
Jonesy potrząsnął głową.
— Dlaczego?
— Dlatego że obaj widzieliśmy dziurę, jaką to zrobiło w tym biedaku. Nie mam pojęcia, co to jest, ale na pewno nie pozbędziemy się tego, po prostu pociągając za sznurek. Jest za duże.
— Kurwa mać!
— No właśnie.
— W porządku, idź po tę taśmę.
Jonesy zatrzymał się w drzwiach.
— Beaver...
Beaver uniósł brwi.
— Siedź mocno.
Obaj zarechotali, przez chwilę patrzyli na siebie — Jonesy w otwartych drzwiach łazienki, Beaver na zamkniętym sedesie — po czym Jonesy ruszył szybkim krokiem przez pokój (wciąż rechotał, im dłużej bowiem o tym myślał, tym zabawniejsze mu się wydawało: siedź mocno, ale heca!) w kierunku kuchennych drzwi. Był roztrzęsiony, podekscytowany, przerażony i zarazem przedziwnie radosny. Siedź mocno. Święty Jezu na bananie.

2

Beaver słyszał śmiech Jonesy’ego aż do chwili, kiedy przyjaciel wyszedł z chaty. Mimo wszystko był zadowolony: to był paskudny rok dla przyjaciela, ten okropny wypadek, i w ogóle... Przez chwilę wszyscy trzej myśleli, że już po nim i to było okropne, przecież biedny Jonesy miał dopiero trzydzieści osiem lat. Rok nie był też dobry dla Pete’a, który za dużo pił, ani dla Henry’ego, który chwilami zamykał się w sobie w sposób, jakiego Beaver nie rozumiał i jaki ani trochę mu się nie podobał. Teraz można już chyba było powiedzieć, że ten rok okazał się do kitu również dla Beavera Clarendona.

Co prawda może nie powinno się oceniać całego roku na podstawie tylko jednego dnia, ale musiał uczciwie przyznać, że kiedy wstawał rano z łóżka, nie podejrzewał, że po południu w jego wannie wyląduje nieboszczyk, a on sam będzie siedział na kiblu tylko po to, żeby nie wylazło stamtąd coś, co...

— Nie, dziękuję — powiedział głośno. — Nie mam ochoty o tym myśleć. Po prostu nie mam, i już.

Wcale nie musiał. Za minutę albo dwie, najdalej za trzy, Jonesy zjawi się z rolką taśmy. Co robić przez ten czas? Dokąd pójść, przynajmniej w wyobraźni, żeby poczuć się lepiej?

Oczywiście do Dudditsa. Kiedy myślał o Dudditsie, zawsze czuł się dobrze. I o Robercie. Te myśli zawsze mu pomagały.

Uśmiechnął się na wspomnienie niewysokiej kobiety w żółtej sukience, która tamtego dnia stała na podjeździe przed domem przy Maple Lane. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiedy przypomniał sobie wyraz jej twarzy, gdy ich zobaczyła. Zawołała wtedy...

— Duddits! — wykrzykuje nieduża, podobna do strzyżyka kobieta w żółtej kwiecistej sukience, i biegnie w ich stronę.

Duddits maszeruje radośnie z nowymi przyjaciółmi, gada coś po swojemu, w lewej ręce ściska żółte pudełko na drugie śniadanie, prawą trzyma za rękę Jonesy'ego. Jego słownictwo składa się z wyrazów, w których są prawie wyłącznie samogłoski. Beaver wciąż się dziwi, jak dużo potrafi z tego zrozumieć.

Na widok małej, drobnej kobiety Duddits wypuszcza rękę Jonesy'ego i pędzi ku niej co sił w nogach. Ten widok przypomina Beaverowi scenę z jakiegoś musicalu o piosenkarzach, Von Crippsach, von Crappsach, czy coś w tym rodzaju.

— A-aaa! A-aaa! — woła Duddits.

Mama! Mama!

— Gdzie byłeś? Gdzie byłeś tak długo, ty niedobry chłopcze?

Duddits jest o tyle większy od kobiety, że Beaver odruchowo napina mięśnie, spodziewając się, że kobieta za chwilę zostanie rozplaszczona jak Kojot po zderzeniu z jakimś pojazdem prowadzonym przez Strusia Pędziwiatra. Ona jednak chwyta go w objęcia i obraca się z nim kilka razy, jego stopy ledwie muskają chodnik, na twarzy rozkwita radosny uśmiech.

— Chciałam już dzwonić na policję, ty spóźnialski, paskudny...

Przypomina sobie o Beaverze i jego kolegach (albo może dopiero teraz naprawdę zdaje sobie sprawę z ich obecności), stawia syna na ziemi, odwraca się ku nim i z poważną twarzą robi dwa kroki w ich stronę. Staje dokładnie pośrodku pola do gry w klasy namalowanego niezdarnie przez jakieś dziewczynki. Beaverowi przemyka przez głowę, że Duddits nigdy w życiu nie zdoła samodzielnie narysować nawet czegoś tak prostego. W blasku słońca, który wreszcie przedarł się przez chmury, na policzkach kobiety lśnią ślady łez.

— Oho... — mruczy Pete. — Zaraz nam się dostanie.

— Zachowajcie spokój — mówi szybko Henry przyciszonym głosem. — Pozwólcie jej się wygadać, a potem ja wszystko wytłumaczę.

Niewłaściwie jednak ocenili Robertę Cavell. Pomylili się, sądząc, że — podobnie jak uczyniłaby w tej sytuacji zdecydowana większość dorosłych — założy z góry, iż kilkunastoletni chłopcy na pewno są winni, chyba że jakimś cudem uda im się dowieść, że jest inaczej. Roberta Cavell nie jest taka, nie jest taki również jej mąż Alfie. Cavellowie są inni. Są inni dzięki Dudditsowi.

— Czy on się zgubił? — pyta. — Zabłądził? Boję się puszczać go samego do szkoły, ale jemu tak bardzo na tym zależy, tak bardzo chce być taki sam jak wszyscy chłopcy...

Bierze Beavera i Pete'a za ręce, ściska je mocno, to samo robi z rękami Jonesy'ego i Henry'ego.

— Proszę pani... — zaczyna Henry.

Pani Cavell przygląda mu się uważnie, jakby chciała odczytać jego myśli.

— Nie, on nie zabłądził... — szepcze. — To było coś gorszego, prawda?

— Proszę pani... — duka znowu Henry, ale szybko rezygnuje z prób upiększania czegokolwiek. Kobieta wpatruje się w niego oczami Dudditsa, tak samo jasnozielonymi jak one, tyle że inteligentnymi, bystrzymi i przenikliwymi. — Nie, proszę pani. — Wzdycha. — Nie zabłądził.

— Zawsze bez problemu wraca do domu. Mówi, że nie zabłądzi, bo widzi linię. Ilu ich było?

— Tylko kilku — odzywa się Jonesy i zerka ukradkiem na Henry'ego. Duddits dostrzega na trawniku sąsiada kilka mleczy, kładzie się na brzuchu, dmucha z całych sił i obserwuje z

zainteresowaniem, jak wiatr roznosi podczepione pod miniaturowe spadochroniki nasiona. — Dokuczali mu trochę.

— Duzi chłopcy — dodaje Pete.

Kobieta przenosi spojrzenie z Jonesy'ego na Pete'a, potem na Beavera, potem na Henry'ego.

— Chodźcie z nami — mówi. — Chcę tego wysłuchać. Duddits zawsze po południu dostaje wielką szklankę ZaRexa, ale myślę, że wy chyba wolelibyście mrożoną herbatę. Zgadza się?

Wpatrują się w Henry'ego, który zastanawia się i wreszcie kiwa głową.

— Dziękujemy. Tak, chętnie napijemy się mrożonej herbaty.

Prowadzi ich do domu przy Maple Lane 19, w którym przez najbliższe lata będą spędzać tak dużo czasu. Właściwie prowadzi ich Duddits, radośnie podskakując i wymachując żółtym pudełkiem. Chociaż ogląda się na nich co chwila, zatrzymuje się i przyśpiesza, przez cały czas zachowuje identyczny, mniej więcej trzydziestocentymetrowy odstęp od krawędzi trawnika. Beaver dostrzega to, ale nie przywiązuje do tego faktu większej wagi. Dopiero sporo lat później, po historii z małą Rinkenhauer, przypomni sobie słowa pani Cavell: „Duddits widzi linię”.

4

— Jonesy?

Cisza. Beaver byłby gotów przysiąc, że od zniknięcia Jonesy'ego minęło już sporo czasu, pewności jednak nie miał, ponieważ rano zapomniał włożyć zegarek. Głupio postąpił, ale nie powinno go to dziwić. Zawsze był głupi. W porównaniu z Jonesym i Henrym, zarówno on jak i Pete byli po prostu głupi. Oczywiście ani Henry, ani Jonesy nigdy nie dali im tego odczuć, i między innymi to właśnie było w nich takie wspaniałe.

— Jonesy!

Wciąż cisza. Prawdopodobnie nie mógł znaleźć taśmy, i tyle.

Jakiś wredny głosik głęboko w czaszce Beavera szeptał, że taśma nie ma z tym nic wspólnego, że Jonesy najzwyczajniej w świecie wziął dupę w troki i zostawił go siedzącego na kłocie jak Danny Glover w tamtym filmie, lecz Beaver zignorował ten głos, ponieważ Jonesy nigdy w życiu by tak nie postąpił. Byli przecież przyjaciółmi i zamierzali nimi pozostać aż do końca.

Zgadza się — odparł głosik. — Byliście przyjaciółmi, a to właśnie jest koniec.

— Jonesy, jesteś tam?

Nic. Być może rolka taśmy spadła z gwoźdźca, na którym wisiała.

Pod nim również cisza i spokój. Kurczę, to chyba niemożliwe, żeby McCarthy wysrał im do kibla jakiegoś potwora? Potwór z Sedesu, ale heca! Poza tym, nawet gdyby jednak coś takiego się stało, to Potwór z Sedesu przypuszczalnie już dawno by się utopił albo postanowił wypłynąć drugim końcem. Nagle przypomniał mu się króciutki fragment historyjki, którą na zmianę czytawali Dudditsowi — całe szczęście, że było ich aż czterech, bo kiedy Dudditsowi coś się spodobało, mógł tego słuchać w nieskończoność.

— Yaaaj aaasen! Yaaaj aaasen! — wykrzykiwał, biegnąc ku któremuś z nich z książką uniesioną wysoko nad głowę. — Yaaj aaasen!

Znaczyło to „czytaj basen”, czyli „Basen McElligota” autorstwa dr. Seussa, który zaczynał się w ten sposób:

Młdzieńcze, zaśmiał się człowiek,

Znudzisz się tutaj z czasem,

Rybki żadnej nie złowisz,

To McElligota basen!

W basenie były jednak ryby, a przynajmniej tak uważał bohater historyjki. Mnóstwo ryb. Mnóstwo ogromnych ryb.

Pod nim panowała jednak cisza. Nie dochodziły żadne pluski, żadne łomotanie od spodu w pokrywę. I to już od dłuższego czasu. Może udałoby mu się zajrzeć do środka, podnieść na chwilę deskę i sprawdzić, czy...

„Siedź mocno” — takimi słowami pożegnał go Jonesy.

Jonesy jest już pewnie kilometr albo dwa stąd — odezwał się ponownie wredny głosik. — Dwa kilometry albo więcej.

— Nieprawda — powiedział głośno Beaver. — Na pewno nie.

Przesunął się nieco na pokrywie, podświadomie oczekując plusku i uderzenia, ale nic takiego nie nastąpiło. Przypuszczalnie tajemnicze „coś” było już w szambie piętnaście metrów stąd. Co prawda Jonesy twierdził, że jest na to za duże, ale na dobrą sprawę żaden z nich tego nie widział, więc niczego nie mogli być pewni. Tak czy inaczej, monsieur Beaver Clarendon zamierzał na wszelki wypadek trwać na posterunku; dlatego że obiecał i dlatego że kiedy człowiek niepokoił się albo bał się czegoś, czas zawsze zdawał się płynąć w zwolnionym tempie. A także dlatego, że ufał Jonesy’emu. Jonesy i Henry nigdy nie sprawili mu przykrości i nie nabijali się z niego ani z Pete’a. Nigdy też nie sprawili przykrości ani nie nabijali się z Dudditsa.

Beaver roześmiał się półgłosem. Duddits i żółte pudełko na drugie śniadanie. Duddits na brzuchu, dmuchający w mleczko. Duddits biegający po podwórku, wesoły jak ptaszek. Ci, którzy nazywają takich jak on „dziećmi specjalnej troski”, nie mają o niczym pojęcia. Owszem, Duddits był specjalny, był prezentem od popieprzonego świata, który zazwyczaj nikogo nie obdarowuje prezentami, ale kto tu mówi o jakiejś trosce? Duddits był tylko ich, był specjalnie dla nich, a oni go pokochali.

5

Siedzą w nasłonecznionej kuchni (chmury rozstały się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki), piją mrożoną herbatę i obserwują Dudditsa, który trzema wielkimi łykami wlał w siebie porcję przerażająco pomarańczowego ZaRexa, po czym pobiegł bawić się na podwórzu.

Mówi głównie Henry, wyjaśnia pani Cavell, jak to tamci chłopcy „trochę go szturchali”. Opowiada, że trochę przesadzili i podarli mu bluzę, że Duddits przestraszył się i zaczął płakać. Nie wspomina ani słowem o tym, że Richie Grenadeau i jego kumple rozebrali chłopca prawie do naga, że chcieli zmusić go do zjedzenia psiej kupy, a kiedy pani Cavell pyta, czy znają tych dużych chłopców, Henry waha się tylko przez chwilę, po czym mówi, że nie, że tamci są ze szkoły średniej, że żadnego z nich nie zna, a już na pewno nie z nazwiska. Pani Cavell spogląda kolejno na Beavera, Jonesy’ego i Pete’a, lecz oni jedynie kręcą głowami. Być może postępują niemądrze, być może narażają siebie i Dudditsa na niebezpieczeństwo, nie mogą jednak całkowicie zapomnieć o prawach rządzących ich życiem. I tak Beaver nie jest w stanie pojąć, skąd wzięła się odwaga, która pozwoliła im zainterweniować. Później pozostali przyznają, że oni też tego nie rozumieją. Są zdumieni własną odwagą, dziwią się też, że nie wylądowali w szpitalu.

Pani Cavell przygląda im się ze smutkiem i Beaver uświadamia sobie, że ona doskonale wie, iż nie mówią całej prawdy, że wie, iż ukrywają przed nią bardzo; bardzo wiele, i że być może z tego powodu nie będzie mogła dzisiaj zasnąć.

W końcu jednak uśmiecha się prosto do niego, do Beavera, a jemu przebiega po karku radosny dreszcz.

— Ile masz suwaków przy kurtce! — mówi z podziwem.

Beaver uśmiecha się szeroko.

— Prawda, proszę pani? Dostałem ją po bracie. To była jego pierwsza kurtka motocyklowa. Chłopaki trochę się ze mnie nabijają, ale ja i tak bardzo ją lubię. Fonzie miał prawie taką samą.

— „Szczęśliwe lata”... My też to oglądamy. To jeden z ulubionych seriali Dudditsa. Może wpadlibyście któregoś dnia, żeby obejrzeć go razem z nami. Razem z nim.

Jej uśmiech staje się znacznie smutniejszy, jakby zdawała sobie sprawę, że nic takiego nigdy się nie wydarzy.

— Jasne, byłoby super — mówi Beaver.

— Aha — potwierdza Pete.

Przez jakiś czas obserwują w milczeniu, jak Duddits bawi się na podwórku. Stoi tam podwójna huśtawka. Duddits biega między krzeselkami, popycha je, niekiedy zatrzymuje się raptownie, krzyżuje ramiona na piersi, unosi twarz ku niebu i śmieje się głośno.

— Wygląda na to, że już wszystko w porządku — mówi Jonesy i dopija swoją herbatę. — Chyba już o wszystkim zapomniał.

Pani Cavell zamierzała wstać, teraz jednak zmienia zdanie i kieruje na niego niemal zdziwione spojrzenie.

— Och, skądże znowu. On pamięta. Może nie tak jak ja albo wy, ale pamięta. Dziś w nocy prawdopodobnie będą go dręczyły koszmary, a kiedy do niego przyjdziemy, nie będzie nam potrafił o nich opowiedzieć. To właśnie jest najgorsze: że nie potrafi powiedzieć, co widzi, czuje i myśli. Brakuje mu słów. — Wzdycha ciężko. — Tamci chłopcy też o nim nie zapomną. Co będzie, jeśli gdzieś się na niego zaczają? Albo na was?

— Damy sobie radę — odpowiada zuchowato Jonesy, lecz wzrok ma niepewny.

— Wy, być może, ale co z Dudditsem? Oczywiście mogę odprowadzać go do szkoły, kiedyś i tak to robiłam, i prędzej czy później musiałabym do tego wrócić, ale on tak bardzo lubi wracać sam do domu...

— Czuje się wtedy jak duży chłopiec — odzywa się Pete.

Pani Cavell pochyla się na stole i kładzie dłoń na jego rękę. Pete oblewa się rumieńcem.

— To prawda. Czuje się wtedy jak duży chłopiec.

— Wie pani co? — mówi Henry. — Przecież my możemy odprowadzać go do domu. Wszyscy chodzimy do podstawówki, a to tylko dwa kroki stąd.

Roberta Cavell siedzi bez słowa, niewielka, podobna do ptaka kobieta w sukience w żółte kwiaty, i uważnie wpatruje się w Henry’ego, jak ktoś oczekujący w napięciu na pointę skomplikowanego dowcipu.

— Jasne, że możemy to robić — popiera go Beaver. — Chyba że pani nie chce, ma się rozumieć...

Coś skomplikowanego dzieje się z twarzą pani Cavell: drżą mięśnie, bezgłośnie poruszają się usta, trzepoczą powieki. Kobieta wyjmuje z kieszeni chusteczkę i wyciera nos. Stara się nie parsknąć śmiechem, myśli Beaver. Kiedy w drodze powrotnej, już po rozstaniu z Jonesym i Pete’em, mówi o tym Henry’emu, ten wytrzeszcza na niego oczy. Ona starała się nie rozpłakać! — wyjaśnia. A potem dodaje serdecznie: Głupku!

— Naprawdę chcielibyście? — pyta, a kiedy Henry w imieniu wszystkich kiwa głową, dodaje: — Dlaczego?

Henry rozgląda się z taką miną, jakby chciał powiedzieć: Teraz niech się tym zajmie ktoś inny.

— Bo go lubimy — odpowiada Pete.

Jonesy kiwa głową.

— Podoba mi się, jak nosi nad głową pudełko na drugie śniadanie...

— Tak, on to robi zupełnie zajebiście — potwierdza Pete.

Henry kopie go w kostkę pod stołem, Pete powtarza w myślach to, co przed chwilą powiedział — niemal widać, jak to robi — i rumieni się aż po uszy. Pani Cavell nie daje

jednak po sobie poznać, że coś jest nie tak, tylko wpatruje się w Henry'ego przenikliwym spojrzeniem.

— Wychodzi z domu za kwadrans ósma.

— Właśnie wtedy zawsze tędy przechodzimy. Prawda, chłopaki?

I chociaż w rzeczywistości siódma czterdzieści pięć to dla nich trochę za wcześnie, wszyscy gorliwie potwierdzają.

— Naprawdę byście się tego podjęli? — pyta po raz kolejny tonem pełnym niedowierzania.

— Jasne — odpowiada Henry. — No, chyba że Duddits... wie pani...

— Chyba że Duddits by nie chciał — śpieszy mu z pomocą Jonesy.

— Oszaleliście? — Beaver ma wrażenie, że kobieta mówi do siebie, że stara się samą siebie przekonać, że ci chłopcy rzeczywiście siedzą z nią w kuchni, że to wszystko dzieje się naprawdę. — Chodzić razem z dużymi chłopcami? Z chłopcami z „prawdziwej” szkoły? Czułby się jak w niebie.

— No dobrze — mówi Henry. — Przychodzimy za piętnaście ósma, odprowadzamy go do szkoły, a potem przyprowadzamy go do domu.

— Kończy lekcje o...

— Przecież dobrze wiemy, o której kończą się lekcje w Szkole Głupków! — wrywa się Beaver. Pół sekundy później, nawet zanim zdąży dostrzec znieruchomiałe twarze, orientuje się, że powiedział coś znacznie gorszego niż „zajebicie” i zasłania usta dłonią. Jonesy tak mocno kopie go pod stołem, że Beaver mało nie przewraca się do tyłu razem z krzesłem.

— Proszę się na niego nie gniewać. — Henry mówi bardzo prędko i niewyraźnie, co zdarza mu się tylko wtedy, kiedy jest zawstydzony albo zdenerwowany. — Niech się pani nie gniewa, on tylko...

— Nie gniewam się. Przecież wiem, że ludzie tak właśnie nazywają tę szkołę. Alfie i ja też tak czasem mówimy. — Niewiarygodne, ale wyskok Beavera nie wywarł na niej najmniejszego wrażenia. — No więc dlaczego?

Choć wciąż patrzy na Henry'ego, odpowiada Beaver, mimo palących policzków:

— Bo on jest w porządku.

Pozostali zgodnie kiwają głowami.

Mniej więcej przez następne pięć lat codziennie odprowadzają Dudditsa do szkoły i przyprowadzają do domu, chyba że akurat jest chory albo że oni pojedą do Dziury w Murze. Pod koniec tego okresu Duddits nie uczęszcza już do szkoły Mary M. Snowe, czyli do Akademii Niedorozwojów, lecz do szkoły zawodowej w Derry, gdzie uczy się piec ciasteczka (po dudditsowemu: eec aaaseyyyka), wymieniać akumulatory w samochodach, wydawać resztę i wiązać krawat (węzeł jest zawsze nienaganny, chociaż czasem wypada nawet w połowie koszuli). Pod koniec tego okresu już prawie nikt — z wyjątkiem jej rodziców, którzy nigdy tego nie zapomną — nie pamięta o sprawie Josie Rinkenhauer. W tym czasie Duddits bardzo urósł, tak że teraz jest z nich najwyższy: postawny nastolatek o przedziwnej dziecinnej twarzy. W tym czasie zdążyli nauczyć go grać w pachisi i uproszczoną wersję monopolu, wynaleźli Grę Dudditsa i wiele razy zaśmiewali się przy niej tak głośno, że Alfie Cavell (znacznie wyższy od żony, lecz w jego wyglądzie również było coś ptasiego) stawał w kuchni u szczytu schodów prowadzących do pokoju w piwnicy i wołał, żeby się uspokoił, bo nie słyszy, co mówią w telewizji, albo domagał się wyjaśnień, co ich tak rozbawiło. Czasem starali się mu wyjaśnić, że Duddits zastosował siedmiokrotne przebicie w licytacji albo że zaliczył mniej niż poprzednik, lecz Alfie niczego nie rozumiał, stał tylko z bezradnym uśmiechem u szczytu schodów, mówił to, co zwykle, czyli „Starajcie się ryczeć odrobinę ciszej”, po czym wycofywał się i zamykał drzwi, zostawiając ich samych. Tak, Gra Dudditsa była najlepsza, po prostu zajebista, jak mawiał Pete. Nierzadko Beaver obawiał się całkiem serio, że pęknie ze śmiechu, Duddits zaś jakby nic siedział po turecku przy wielkiej tablicy do

cribbage'a i uśmiechał się jak Budda. Ale zabawa! Wszystko to dopiero ich czekało, na razie zaś była ta kuchnia, niespodziewane słońce i Duddits bawiący się na podwórku huśtawkami. Duddits, który uczynił im tak wielką łaskę, zjawiając się w ich życiu. Duddits — wiedzą o tym od samego początku — który jest zupełnie inny niż wszyscy.

— Nie rozumiem, jak mogli mu to zrobić — odzywa się niespodziewanie Pete. — On tak płakał... Nie rozumiem, jak mogli go dręczyć.

Roberta Cavell spogląda na niego ze smutkiem.

— Starsi chłopcy słyszą płacz w inny sposób. Mam nadzieję, że nigdy tego nie zrozumiecie.

6

— Jonesy! Hej, Jonesy!

Tym razem doczekał się odpowiedzi, co prawda ledwo słyszalnej, ale jednak. Szopa, w której stał skuter śnieżny, w pewnym sensie zastępowała strych, w związku z czym gromadzono tam różne niepotrzebne rupiecie. Wśród nich znajdowała się również rowerowa fanfara, którą uruchamiało się, naciskając gumową gruszkę. Teraz do uszu Beavera dotarło jej trąbienie: *Tuuut! Tuuut-tut!* Gdyby usłyszał to Duddits, przypuszczalnie popłakałby się ze śmiechu. Wprost uwielbiał donośne, zabawne odgłosy.

Półprzeźroczysta zasłonka zaszeleściła nieco i ciało Beavera od razu pokryło się gęsią skórą. Niewiele brakowało, żeby zerwał się na nogi, myśląc, że to poruszył się McCarthy, w porę jednak uprzytomnił sobie, że on sam zawadził o jej skraj łokciem. Pod spodem wciąż cisza. „Coś” albo zdechło, albo się wyniosło. Na pewno.

No... Prawie na pewno.

Sięgnął wstecz, wymacał przycisk spłuczki, zawahał się, cofnął rękę. Siedź mocno, powiedział Jonesy, więc będzie siedział, ale dlaczego, do jasnej cholery, Jonesy nie wraca? Skoro nie może znaleźć taśmy, to dlaczego nie wróci bez niej?

Z pewnością minęło już chociaż dziesięć minut, jemu zaś wydawało się, że co najmniej godzina, a on wciąż musiał tkwić jak głupek na zamkniętym sedesie obok leżącego w wannie trupa, którego tyłek wyglądał tak, jakby ktoś zdetonował tam łaskę dynamitu. Kto wymyślił te bzdury, że jak się człowiek odesra, to od razu poczuje się lepiej?

— Przynajmniej zatrąb jeszcze raz — wymamrotał Beaver.

— Zatrąb jeszcze raz, do cholery, żebyś wiedział, że tam jesteś!

Ale Jonesy nie zatrąbił.

7

Jonesy nie mógł znaleźć taśmy.

Szukał wszędzie, lecz nigdzie jej nie było. Wiedział na pewno, że gdzieś musi być, ale nie wisiała na żadnym z wbitych w ścianę gwoździ, nie leżała na zagraconym stole, nie schowała się za puszkami z farbą ani pudełkami z gwoździami. Sprawdzał pod stołem, sprawdzał w skrzynkach ustawionych przy przeciwległej ścianie, sprawdzał nawet w skuterze w pojemniku pod siedzeniem pasażera. Był tam zapasowy, jeszcze nierozpakowany reflektor i wiekowa paczka papierosów, i nic więcej. Minuty upływały bezlitośnie. Wydawało mu się, że słyszy wołanie Beavera, nie chciał jednak przerywać poszukiwań ani tym bardziej wracać bez taśmy, zatrąbił więc tylko starą rowerową trąbką, ściskając z całej siły w dłoni nieco zetlałą, czarną gumową gruszkę. Bekliwy dźwięk, jaki się rozległ, z pewnością przypadłby Dudditsowi do gustu.

Im dłużej trwały bezowocne poszukiwania, tym bardziej niezbędna wydawała mu się taśma. Znalazł co prawda wielki kłęb sznurka, ale jak obwiązać sedes sznurkiem, na litość

boską? W którejś z kuchennych szuflad powinna być przezroczysta taśma samoprzylepna, lecz to „coś” w sraczu było na nią chyba za silne. Sądząc po pluskach i łomotach, mogło być rozmiarów sporej ryby.

Jonesy stał przy skuterze śnieżnym, rozglądał się z irytacją dokoła i co chwila przesuwając dłońmi po włosach (nie włożył rękawic, toteż zdążyły mu już zdrętwieć palce). Z ust przy każdym wydechu wydobywały mu się kłęby pary.

— Gdzie to może być, do nagłej cholery? — wykrzyknął i z wściekłością rąbnął pięścią w stół. Wstrząs był tak silny, że przewróciła się mała piramidka pudełek z gwoździami i śrubkami i spomiędzy nich wytoczyła się potężna rolka czarnej taśmy izolacyjnej. Przez cały czas miał ją prawie przed oczami.

Złapał ją, wepchnął do kieszeni kurtki — dobrze, że przynajmniej pamiętał o kurtce, chociaż nie uznał za stosowne jej zapiąć — i odwrócił się w kierunku drzwi. W tej samej chwili usłyszał krzyk Beavera. Wcześniejsze wołania z trudem docierały do wnętrza szopy, ale ten przeraźliwy, rozpaczliwy krzyk słyhać było doskonale.

Jonesy popędził co sił w nogach.

8

Matka Beavera często powtarzała, że te wykałaczkę kiedyś go wykończą, ale z pewnością nie wyobrażała sobie, w jaki stanie się to sposób.

Siedząc wciąż na sedesie, Beaver grzebał w przedniej kieszeni kombinezonu w poszukiwaniu wykałaczkę, lecz żadnej nie znalazł — wszystkie rozsypały się po podłodze. Dwie albo trzy upadły z dala od plam krwi, żeby jednak do nich sięgnąć, musiałby podnieść się z sedesu i pochylić się do przodu.

Beaver zastanawiał się, co robić. „Siedź mocno” — polecił mu Jonesy, ale przecież w misce klozetowej na pewno niczego już nie było. Trafiony, zatopiony, jak mawiali w filmach wojennych. A nawet gdyby jednak coś tam jeszcze było, to przecież podniesie tyłek tylko na sekundę albo dwie. Nawet jeśli „coś” podskoczy akurat wtedy, to przecież bez trudu zdąży usiąść z powrotem, być może przy okazji miażdżąc temu „czemuś” kark (naturalnie zakładając, że w ogóle go ma).

Wpatrywał się tęsknie w wykałaczkę. Trzy albo cztery leżały tak blisko, że bez trudu zdołałby do nich sięgnąć, ale nie miał najmniejszego zamiaru wkładać do ust zakrwawionych wykałaczek — szczególnie biorąc pod uwagę miejsce, z którego pochodziła krew... Poza tym nurtowało go coś jeszcze. Ta dziwaczna futrzasta substancja najwyraźniej wyrastała właśnie z krwi, z plam na podłodze i zasłonce, rosła również na zakrwawionych wykałaczkach, nie było jej natomiast na tych, które leżały z boku. Były świeże i czyste, i jeśli kiedyś w życiu naprawdę potrzebował psychicznej protezy w postaci kawałeczka drewna, który można było obracać i gnieść w zębach, to właśnie dzisiaj.

— Pieprzę to — mruknął, pochylił się do przodu i wyciągnął rękę.

Czubkom palców zabrakło zaledwie kilkunastu milimetrów do najbliższej czystej wykałaczkę. Napiął jeszcze bardziej mięśnie ud, pośladki oderwały się na chwilę od pokrywy, palce zacisnęły się na wykałaczce — Mam cię jednak! — i w tym samym ułamku sekundy „coś” rąbnęło od spodu w pokrywę, grzmotnęło w nią z niewiarygodną siłą, pokrywa i deska uderzyły go w tyłek i pchnęły naprzód. Beaver rozpaczliwie usiłował chwycić się zasłonki, lecz ta trzymała się już tylko na kilku żabkach i nie dała mu żadnego oparcia.

Poślizgnął się we krwi, po czym runął na twarz niczym człowiek wystrzelony z katapulty. Donośny trzask, jaki rozległ się za jego plecami, świadczył o tym, że deska z dużą siłą rąbnęła w zbiornik.

Coś mokrego i ciężkiego wylądowało mu na plecach, coś jakby ogon albo wielka dżdżownica, albo mięsista macka wcisnęło się między jego nogi i chwyciło i tak już obolałe

jądra w żelazny wężowy uścisk. Beaver wrzasnął przeraźliwie, oderwał podbródek od zakrwawionych płytek (na jego skórze zdążył już się odcisnąć delikatny zygzakowaty wzór).

Oczy usiłowały wyskoczyć mu z orbit. „Coś” na jego plecach sięgało od karku aż do krzyża, wilgotne i pulsujące. Wydawało piskliwy, skwierczący odgłos, niczym wściekła małpa.

Beaver wrzasnął ponownie, popęzł w kierunku drzwi, poderwał się na klęczki, usiłując strząsnąć napastnika. Umieśniony sznur między jego nogami znowu się zacisnął i gdzieś w głębi oceanu bólu, który wypełnił jego krocze, rozległ się cichy, wydmuszkowaty trzask.

Boże! — przemknęło Beaverowi przez głowę. Święty Jezu na bananie, to moje jajko!

Jęcząc rozpaczliwie, spocony z przerażenia, z wywieszonym językiem, zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy: przetoczył się na plecy, usiłując zmiażdżyć swoim ciężarem nieproszonego pasażera. „Coś” zaświergotało mu wprost do ucha tak głośno, że mało nie ogłuchł, po czym zaczęło wić się gwałtownie. Beaver chwycił w obie ręce mięsisty ogon, zupełnie gładki z wierzchu, od spodu zaś pokryty jakby niezliczonymi drobniutkimi haczykami z twardych włosów. I wciąż mokry. Co to mogło być? Woda? Krew? To i to?

— Aaaaa! Kurwa, puść mnie! Spierdalaj! Odwal się, do cholery! Moje jaja! Jezu, co się stało z moimi jajami?!

Zanim zdążył zacisnąć palce, w kark wbiły mu się niezliczone, ostre jak igły zęby. Beaver zawył przeraźliwie; sekundę później ciężar znikł z jego pleców. Usiłował się podnieść, musiał dźwignąć się na rękach, ponieważ nogi odmawiały mu posłuszeństwa, ale ręce były niewiele silniejsze. Podłogę łazienki, i tak śliską od krwi McCarthy’ego, pokrywała teraz cienka warstewka mętnej wody z roztrzaskanej spłuczki.

Kiedy wreszcie zdołał się jakoś podnieść, zobaczył coś wiszącego, na drzwiach mniej więcej w połowie ich wysokości. To coś trochę przypominało dziwną łasicę, co prawda bez łap, za to z grubym złotoczerwonym ogonem. Nie miało głowy, tylko oślizgłe zgrubienie, w którym lśniło dwoje smolście czarnych oczu.

Dolna część zgrubienia rozchyliła się nagle, odsłaniając ułożone koliście zęby, po czym stworzenie zaatakowało jak błyskawica. Ogon owinęło wokół klamki, celowało w twarz człowieka. Beaver krzyknął i odruchowo zasłonił się ręką. Ułamek sekundy później nie miał trzech palców. Nie poczuł bólu — albo go nie było, albo nie zdołał się przebić przez ból zmiażdżonego jądra. Usiłował się cofnąć, tuż za nim znajdowała się jednak zdemolowana toaleta. Nie miał dokąd uciekać.

To naprawdę siedziało w nim? — przemknęło mu przez głowę. To naprawdę siedziało w nim, w środku?

Zaraz potem stwór uwolnił klamkę z uścisku macki, ogona czy czegoś, i skoczyło na niego. Połowę szczątkowej głowy zajmowały wybałuszone czarne ślepia, drugą połowę niezliczone ostre zęby. Hen, daleko, w zupełnie innym wszechświecie, gdzie istniało jeszcze normalne życie, Jonesy wykrzykiwał jego imię, ale było już za późno. Dużo za późno.

Stwór z donośnym młaśnięciem wylądował na piersi Beavera. Śmierdział tak samo jak pierdnięcia McCarthy’ego: olejem napędowym, eterem i metanem. Dolna część muskularnego, smukłego ciała owinęła się wokół klatki piersiowej, głowa wysunęła się naprzód, zęby zacisnęły się na nosie Beavera.

Krzycząc przeraźliwie, okładając napastnika pięściami, Beaver runął do tyłu na sedes. Pokrywa tkwiła w roztrzaskanej spłuczce, deska opadła na miskę sedesową. Beaver złamał ją i wpadł tyłkiem w sedes.

— Beaver! Beaver, co tu się...

Poczuł, jak stworzenie sztywnieje — całkiem dosłownie, jak kutas podczas wzwodu. Uścisk wzmocnił się, potem zelżał. Czarnooka idiotyczna twarz odwróciła się w kierunku, z którego dobiegał głos Jonesy’ego. Przez zasłonę krwi Beaver ujrzał przyjaciela stojącego w drzwiach łazienki z szeroko otwartymi ze zdumienia ustami i rolką taśmy izolacyjnej w ręce

(*Już nie będzie mi potrzebna, już nie*). Zupełnie bezbronny, sparaliżowanego przerażeniem. Następnego w karcie dań.

— Uciekaj! — wrzasnął Beaver głosem bulgoczącym od krwi. Wyczuł, że stwór szykuje się do skoku, więc chwycił w objęcia jego gibkie ciało i z całej siły przycisnął do piersi. — Uciekaj! Zamknij drzwi! Spa...

Spał to! — chciał krzyknąć. Zamknij drzwi i spał to, spał nas oboje, spał nas żywcem! Będę siedział z dupskiem w sraczu i trzymał to z całych sił, i jeśli poczuje, że to umiera razem ze mną, umrę szczęśliwy! Stworzenie wyrывało się jednak zbyt gwałtownie, a ten pieprzony Jonesy wciąż stał z rozdziawioną gębą i rolką taśmy izolacyjnej w opuszczonej ręce i, cholera jasna, wyglądał zupełnie jak Duddits, tępy jak muł i bez żadnych nadziei na poprawę. Chwilę później stworzenie ponownie odwróciło się do Beavera, cofnęło szczątkową, karykaturalną głowę, i zanim ta głowa wystrzeliła naprzód i świat eksplodował po raz ostatni, Beaver zdążył jeszcze pomyśleć: Te cholerne wykałaczk! Mama zawsze powtarzała, że...

Zaraz potem zalała go czerwien i czerń, a z bardzo, bardzo daleka dobiegły jego krzyki, już ostatnie.

9

Jonesy ujrzał Beavera siedzącego na sedesie z czymś, co przypominało ogromną złocistoczerwoną dżdżownicę w objęciach. Krzyknął, a wtedy stwór odwrócił ku niemu głowę, chociaż właściwie trudno było mówić o głowie: zaledwie czarne oczy rekina i wypełniona zębami paszcza. W tej paszczy tkwiło coś, co chyba nie mogło być szczątkami odgryzionego nosa Beavera... ale zdaje się, że nimi było.

Uciekaj! — wrzasnął wewnętrzny głos, lecz niemal równocześnie odezwał się inny: Ratuj go! Ratuj Beavera!

Oba nakazy były równie silne, toteż nie wykonał żadnego ruchu. Tkwił w miejscu jak posąg, przekonany, że waży co najmniej pół tony. Stworzenie pożerające Beavera wydawało dziwny odgłos, coś jakby irytujący świergot albo ćwierkanie. Jonesy miał wrażenie, że ten dźwięk wlewa mu się prosto do głowy i zmusza go do myślenia o czymś sprzed wielu, wielu lat — ale nie wiedział o czym.

A potem Beaver ryknął na niego, żeby uciekał, żeby zamknął drzwi; stwór odwrócił się ponownie ku swojej ofierze, jakby zapomniał o niej tylko na chwilę, i rzucił się ku oczom Beavera, ku jego cholernym oczom, a Beaver krzyczał, wył, szarpał się i wił, tkwiąc tyłkiem w tym przeklętym sraczu, a stwór świergotał, ćwierkał i kąsał, mięsisty ogon owinięty wokół piersi Beavera zsunął się do pasa, wyszarpnął mu koszulę, przywarł do skóry, zagłębił się w nią, nogi Beavera podrygiwały na terakotowej podłodze, buty rozbryzgiwały wymieszaną z wodą krew, rozedrgany cień miotał się po ścianie, ten rdzawy mech, czy co to było, rósł już prawie wszędzie...

Wreszcie Beaver szarpnął się po raz ostatni. Napastnik oderwał się i zsunął z jego ciała na ułamek sekundy przed tym, jak Beaver runął bezwładnie na leżące w wannie zwłoki McCarthy'ego. Stworzenie spadło na podłogę i węzowym ruchem popęzło, a raczej popędziło w kierunku Jonesy'ego, który wreszcie ożył, cofnął się o krok i w ostatniej chwili zatrzasnął drzwi. Zaraz potem stwór rąbnął w nie od środka z niemal identycznym łomotem jak wtedy, kiedy uderzał od spodu w klapę sedesu. Uderzenie było tak silne, że drzwi aż zadygotały. W szparze pod drzwiami mignął cień, po czym nastąpiło ponowne uderzenie. W pierwszym odruchu Jonesy chciał biec po krzesło, żeby podstawić je pod gałkę, w porę jednak sobie uświadomił, że nie miałyby to najmniejszego sensu, bo przecież drzwi otwierały się do środka. Pytanie brzmiało: czy stworzenie wie, na jakiej zasadzie działają klamki i obrotowe gałki w drzwiach, i czy będzie w stanie jej dosięgnąć.

Niemal natychmiast (zupełnie jakby to „coś” potrafiło czytać w myślach, a przecież nie sposób było tego wykluczyć) z drugiej strony drzwi dobiegł szeleszczący odgłos i Jonesy poczuł, jak gałka porusza mu się w dłoni. Natychmiast chwycił ją także lewą ręką. Nacisk mimo to nie ustawał, aż wreszcie wydało mu się niemal pewne, iż lada chwila gałka się przekreśli; ogarnęła go panika i niewiele brakowało, żeby odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Powstrzymało go przed tym wspomnienie zdumiewającej szybkości, z jaką poruszało się stworzenie. Dogoni mnie, zanim dobiegnę do połowy pokoju, pomyślał. Dlaczego pokój jest tak cholernie wielki? Dogoni mnie, wskoczy mi na nogę, popęźnie w górę i wlezie mi w...

Jonesy jeszcze bardziej wzmocnił uchwyt. Żyły wystąpiły mu na karku, mięśnie miał napięte jak postronki, obnażył wyszczerzone zęby. Bolało go biodro. Cholerne biodro! Nie miał przez nie najmniejszych szans na ucieczkę, a wszystko dzięki temu pieprzonemu emerytowanemu profesorowi. Przeklęty stary dureń w ogóle nie powinien prowadzić samochodu, wielkie dzięki, profesorku, naprawdę wielkie dzięki; skoro nie może uciekać i nie da rady utrzymać drzwi, to co dalej?

To samo, co przydarzyło się Beaverowi, ma się rozumieć. Tak, to był na pewno jego nos w wypełnionej zębami paszczy.

Jęcząc rozpaczliwie, Jonesy z całej siły trzymał gałkę. Nacisk wzrósł jeszcze bardziej... po czym ustał. Za cienką przegrodą drzwi stworzenie zajazgotało gniewnie. Nozdrza Jonesy'ego wypełnił znany mu już dobrze smród.

Jak ono się tam trzymało? Przecież nie miało kończyn, a przynajmniej ich nie zauważył, tylko ten sprężysty złocistoczerwony ogon, zatem jakim cudem...

Po drugiej stronie, dokładnie na wysokości swojej głowy, usłyszał chrzęst i skrobanie. Od razu domyślił się, co to oznacza. Stworzenie trzymało się zębami. Ogarnęło go paraliżujące przerażenie. Ten stwór, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, żył we wnętrzościach McCarthy'ego, rósł tam i żerował niczym gigantyczny tasiemiec z jakiegoś trzeciorzędnego horroru. Albo jak rak, tyle że z zębami. Kiedy osiągnął właściwe rozmiary, kiedy dojrzał do tego, by — jeśli można tak powiedzieć — rozszerzyć swoje zainteresowania, po prostu... po prostu wygryzł sobie drogę na wolność.

— Nie... O nie... — załkał Jonesy.

Gałka zaczęła się obracać w przeciwną stronę. Jonesy bez trudu potrafił sobie wyobrazić łasicowate stworzenie wgrzyzające się po drugiej stronie drzwi w drewno, z ogonem (a może to była macka?) owiniętym wokół gałki, prężące się, prężące się coraz bardziej.

— Nie... nie... nie! — stękał rozpaczliwie.

Zawisł na gałce całym ciężarem ciała, ale i tak czuł, że to może nie wystarczyć, że nie da rady. Miał spoconą nie tylko twarz, ale nawet dłonie.

Tuż przed jego wytrzeszczonymi z wysiłku oczami na gładkiej powierzchni drzwi wyrósł kolisty archipelag maleńkich wzgórków. Były to ślady przeraźliwie ostrych zębów, zagłębiających się coraz bardziej w drewno. Wkrótce w drzwiach pojawi się otwór, a on będzie musiał spojrzeć z bliska w paszczę, w której znikł odgryziony nos Beavera.

Dopiero to go otrzeźwiło. Beaver umarł. Jego przyjaciel nie żył.

— Zabiłeś go! — wrzasnął Jonesy głosem drżącym z żalu i strachu. — Zabiłeś Beavera!

Miał rozpalone policzki, płynące po nich łzy były jeszcze bardziej gorące. Beaver w swojej czarnej skórzanej kurtce („Ile masz suwaków przy kurtce!” — powiedziała z podziwem mama Dudditsa tego dnia, kiedy ją poznali); zdrowo podchmielony Beaver tańczący na studniówce jak Kozak, w przysiadzie, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i wymachujący nogami; Beaver na weselu Carli i Jonesy'ego, obejmujący go mocno i szepczący mu do ucha: „Człowieku, masz być szczęśliwy, musisz być szczęśliwy za nas wszystkich!”. Wtedy po raz pierwszy zrozumiał, że Beaver nie jest szczęśliwy. O Henrym i Peterze wiedział od dawna, to było oczywiste, ale żeby Beaver? A teraz Beaver nie żył, leżał częściowo w wannie, a

częściowo na podłodze łazienki, bez nosa, na pieprzonym Oto Stoję U Drzwi I Kołaczę McCarthym.

— Zabiłeś go, draniu! — wrzasnął do wżgórków na powierzchni drzwi. Najpierw było ich sześć, potem dziewięć, teraz już co najmniej dwanaście.

Jakby pod wpływem jego gniewu nacisk na gałkę zelżał. Jonesy rozejrzył się rozpaczliwie w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby pomóc mu w jego wysiłkach, niczego nie znalazł, opuścił wzrok na podłogę i zobaczył rolkę taśmy izolacyjnej. Być może udałoby mu się po nią schylić, ale co z tego? Potrzebowałby dwóch rąk, żeby ją rozwinać, a nawet zębów, żeby oderwać kawałek, lecz nawet gdyby przeciwnik dał mu dość czasu, to czy osiągnąłby w ten sposób cokolwiek?

Gałka znów się poruszyła. Jonesy chwycił ją ze wszystkich sił, ale był już bardzo zmęczony, adrenalina w jego mięśniach powoli zamieniała się w ołów, dłonie robiły się coraz bardziej śliskie od potu, a smród... Intensywny odór był jakby czystszy, bardziej przejrzysty, niewymieszany z wonią pożeranego za życia ciała McCarthy'ego. Jak to możliwe, że po tej stronie drzwi czuć go tak wyraźnie? Chyba że...

Na jakieś pół sekundy przed momentem, kiedy czworokątny w przekroju pręt łączący gałki po obu stronach drzwi pękł na dwie części, Jonesy'emu przemknęła przez głowę myśl, że zrobiło się trochę ciemniej, tylko odrobinę, jakby ktoś zakradł się od tyłu i stanął między nim a otwartymi na oścież tylnymi drzwiami.

Pręt pękł. Gałka została Jonesy'emu w ręce, drzwi zaś od razu uchyliły się nieco za sprawą wiszącego na nich ciężaru. Jonesy wrzasnął, gałka wypadła mu z ręki, spadła prosto na rolkę taśmy, odbiła się i potoczyła w bok.

Odwrócił się, żeby uciekać, i ujrzał szarego człowieka.

Był obcy, ale nie całkiem. Jonesy widywał jego rozmaite wcielenia w dziesiątkach filmów i programów telewizyjnych o „zjawiskach paranormalnych” oraz odwiedzinach z kosmosu, na pierwszych stronach popołudniówek (szczególnie tych wyspecjalizowanych w atakowaniu bezbronych, ogłupiających ofiar stojących w tasiemcowych kolejkach do kas w supermarketach), w filmach takich jak „ET”, „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” i „Ogień na niebie”. Zobaczył Szarego jakby przeniesionego wprost z plakatu reklamującego kolejną serię „Z Archiwum X”.

Stojąca przed Jonesym postać miała oczy takie jak tamte wyobrażenia: wielkie czarne oczy, bardzo podobne do oczu stworzenia, które wygryzło sobie drogę na wolność z tyłka McCarthy'ego. Również usta przypominały usta postaci z ekranu telewizora, to znaczy prawie ich nie było. Tylko szara skóra była zupełnie inna: zbyt luźna, za obszerna, wisiała ogromnymi fałdami jak na słońcu umierającym ze starości. Z bruzd, zmarszczek i załamań płynęła jakaś bladożółta, przypominająca ropę substancja. Dostrzegł ją także w kącikach pozbawionych wyrazu oczu, a rozbryzgi i niewielkie kałuże ciągnęły się przez cały pokój aż od kuchennych drzwi. Od jak dawna Szary był tutaj? Czy widział, jak Jonesy biegnie z szopy z rolką bezużytecznej taśmy izolacyjnej w ręce?

Tego Jonesy nie wiedział, wiedział natomiast, że Szary umiera i że musi jak najszybciej go ominąć, ponieważ z łazienki dobiegł wilgotny łomot: to łasicowaty stwór spadł na podłogę. Wkrótce ruszy w pościg.

Marcy, powiedział Szary.

Jonesy usłyszał to zupełnie wyraźnie, chociaż wąska szczelina ust na szarej twarzy nawet nie drgnęła. Szary powiedział to w jego głowie, w ten sam sposób usłyszał kiedyś płacz Dudditsa.

— Czego chcesz?

Stwór z łazienki prześlizgnął mu się po stopach, ale Jonesy prawie tego nie poczuł. Nie zauważył, jak długie ciało owija się wokół bosych, bezpalcych stóp Szarego.

Proszę, przestańcie! — odezwał się ponownie Szary w głowie Jonesy'ego. To było kliknięcie. Więcej: to była linia. Czasem ją widziałeś, czasem słyszałeś, tak jak wtedy słyszał broczące wyrzutami sumienia myśli Defuniaka. Ja już nie wytrzymam! Dajcie mi zastrzyk! Gdzie jest Marcy?

To śmierć mnie wtedy szukała, pomyślał Jonesy. Wymknąłem jej się na ulicy, nie trafiła do mnie w szpitalu, chociaż pomyliła się tylko o jeden albo dwa pokoje. Od tamtej pory wciąż mnie szukała, aż w końcu znalazła.

Głowa szarej istoty eksplodowała, rozpadła się na kawałki, a ze środka wydobył się obłok pachnącego eterem, czerwopomarańczowego pyłu.

Jonesy wciągnął go do płuc.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROBERTA

Teraz już siwowłosa, pięćdziesięcioośmioletnia wdowa (wciąż jednak podobna do ptaka i uwielbiana sukienki, te rzeczy po prostu się nie zmieniają), matka Dudditsa siedziała przed telewizorem w mieszkaniu na parterze w West Derry Acres, w którym mieszkała obecnie z synem. Po śmierci Alfiego sprzedała dom przy Maple Lane. Mogłaby sobie pozwolić na to, żeby go zatrzymać — Alfie zostawił im mnóstwo pieniędzy, z polisy ubezpieczeniowej dostała jeszcze więcej, oprócz tego odziedziczyła po nim udziały w firmie importującej części samochodowe, którą założył w 1975 — był jednak za duży i za bardzo wypełniony wspomnieniami, szczególnie pod i nad salonem, w którym spędzała z Dudditsem najwięcej czasu. Na górze znajdowała się sypialnia, gdzie ona i Alfie spali, rozmawiali, kochali się i snuli plany na przyszłość. Na dole był pokój, w którym Duddits tak często przebywał ze swymi przyjaciółmi. Z punktu widzenia Roberty ci chłopcy zostali zesłani przez Opatrzność, byli aniołami o dobrych sercach i niewyparzonych buziach, którzy naprawdę oczekiwali od niej, iż uwierzy, że kiedy Duddits mówił „fut”, to chciał powiedzieć Fudd, Fudd zaś, jak wyjaśniali z niewzruszoną powagą, było to imię nowego pieska Pete’a, Elmera Fudda, w skrócie zwanego właśnie Fuddem. Ma się rozumieć, udawała, że w to wierzy.

Zbyt wiele wspomnień, zbyt wiele duchów dawnych, lepszych czasów. Potem, rzecz jasna, Duddits zachorował. Od tego czasu minęły już dwa lata, lecz żaden z jego przyjaciół o tym nie wiedział, ponieważ przestali go odwiedzać, ona zaś nie mogła się zdobyć na to, by zadzwonić do Beavera, który zawiadomiłby pozostałych.

Teraz siedziała przed telewizorem, w którym miejscowi dziennikarze wreszcie przestali przerywać jej ulubione popołudniowe seriale i rozpoczęli trwający bez przerwy program informacyjny. Roberta słuchała pilnie, zaniepokojona, ale i zafascynowana wydarzeniami w północnej części stanu. Najgorsze w tym wszystkim, że na dobrą sprawę nikt nie wiedział, co tam się naprawdę dzieje, ani nawet czy było to coś rzeczywiście ważnego. Na odludnych obszarach Maine, mniej więcej dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północ od Derry, zaginęło bez wieści kilku lub nawet kilkunastu myśliwych. To akurat łatwo zrozumieć. Roberta nie miała stuprocentowej pewności, podejrzewała jednak, że dziennikarze mówią o Jefferson Tract, gdzie od lat polowali chłopcy, przywożąc krwawe opowieści, które tak fascynowały i równocześnie przerażały Dudditsa.

Czy zaginięcie myśliwych należało wiązać z burzą śnieżną, podczas której spadło od piętnastu do dwudziestu centymetrów białego puchu? Nikt nie wiedział tego na pewno, nie ulegało jednak wątpliwości, że co najmniej czworo myśliwych polujących w okolicach Kineo rzeczywiście zaginęło bez śladu. Na ekranie co jakiś czas pojawiały się ich zdjęcia, dziennikarze z poważnymi minami recytowali nazwiska: Otis, Roper, McCarthy, Shue. Shue była kobietą.

Z powodu zaginięcia kilku albo nawet kilkunastu myśliwych z pewnością nie przerywano by popołudniowych seriali, ale to nie było wszystko. Ludzie widzieli na niebie zagadkowe różnobarwne światła. Dwaj myśliwi z Millinocket, którzy przed dwoma dniami polowali w rejonie Kineo, opowiadali o ogromnym obiekcie w kształcie cygara unoszącym się nad leśną przecinką, którą biegła linia wysokiego napięcia. Statek powietrzny nie miał żadnych widocznych wirników ani czegoś, co przypominałoby silniki. Po prostu wisiał nieruchomo jakieś pięć metrów nad przewodami, emitując niskie buczenie, od którego drżały im kości i zęby. Obaj myśliwi twierdzili, że właśnie wtedy stracili po kilka zębów, kiedy jednak otworzyli usta, by zaprezentować ubytki, Roberta pomyślała, że ich pozostałe zęby również wyglądają tak, jakby lada chwila zamierzały wypaść. Myśliwi usiłowali podjechać bliżej starym chevroletem pikapem, ale silnik odmówił posłuszeństwa. Jeden z nich miał

elektroniczny zegarek, który przez trzy godziny po tym zdarzeniu odmierzał czas wstecz, po czym całkiem się zepsuł. Nakręcany zegarek drugiego myśliwego działał bez zarzutu. Podobno w ciągu minionego tygodnia wielu innych myśliwych oraz stałych mieszkańców okolicy widziało niezidentyfikowane obiekty latające: niektóre w kształcie cygara, inne bardziej tradycyjne, spodkowate. W żargonie wojskowym taki nagły wzrost liczby „widzeń” nosił nazwę rzucawki.

Zaginieni myśliwi, UFO... Doskonała historia na główny temat w lokalnych wiadomościach o szóstej po południu (Tylko Od Nas Dowiesz Się Szybko i Dokładnie, Co Wydarzyło Się Przy Twojej Ulicy!), ale to jeszcze nie koniec. Były i inne, gorsze wiadomości, a raczej plotki — Roberta modliła się, żeby pozostały plotkami — wystarczająco niepokojące, żeby trzymać ją przed ekranem niemal od dwóch godzin. Wypiła w tym czasie mnóstwo kawy i coraz bardziej się denerwowała.

Najbardziej alarmujące doniesienia dotyczyły rzekomego awaryjnego lądowania dużego obiektu latającego w lasach niedaleko miejsca, gdzie dwaj myśliwi mieli jakoby widzieć unoszącą się w powietrzu maszynę w kształcie cygara. Równie duży niepokój wywoływały pogłoski, iż znaczna część Aroostook County, być może nawet trzysta kilometrów kwadratowych lasów należących w większości do firm papierniczych i rządu, została objęta kwarantanną.

Wysoki, bladej mężczyzna o głęboko osadzonych oczach udzielił krótkiego wywiadu w bazie Air National Guard w Bangor. Stojąc przed tablicą z napisem DOM WARIATÓW, oświadczył, że wszystkie plotki są fałszywe oraz że weryfikowane są liczne sprzeczne doniesienia. Podpis na ekranie informował tylko, iż człowiek ów nazywa się Abraham Kurtz. Roberta nie mogła się zorientować ani jaką pełni funkcję, ani jaki ma stopień, ani nawet czy w ogóle jest wojskowym. Był ubrany w prosty, pozbawiony dystynkcji kombinezon zapinany na suwak. Nawet jeśli było mu zimno — a każdemu, kto przy takiej pogodzie miał na sobie tylko kombinezon, powinno być zimno — to w żaden sposób tego nie okazywał. W jego oczach, dużych i okolonych białymi rzęsami, Roberta dostrzegła coś, co ani trochę jej się nie podobało. To były oczy kłamcy.

— Czy może pan przynajmniej potwierdzić, że uszkodzony statek powietrzny nie pochodzi z zagranicy ani... eee... spoza Ziemi? — zapytał jakiś reporter bardzo młodym głosem.

— ET dzwonić do domu — odparł Kurtz i roześmiał się.

Zawtórowało mu kilkoro dziennikarzy i nikt z wyjątkiem Roberty, oglądającej relację w mieszkaniu w West Derry Acres, nie zauważył, że to wcale nie była odpowiedź na zadane pytanie.

— Czy może pan potwierdzić, że w rejonie Jefferson Tract nie ogłoszono kwarantanny?

— Chwilowo nie mogę tego ani potwierdzić, ani temu zaprzeczyć. Traktujemy tę sprawę bardzo poważnie. Możecie być pewni, panie i panowie, że staramy się jak najlepiej wykorzystać pieniądze podatników.

Zaraz potem odwrócił się i odszedł w kierunku śmigłowca z obracającym się powoli wirnikiem i dużymi literami ANG na burcie.

Cyferki w prawym dolnym narożniku ekranu informowały, że nagrania dokonano o 9.45. Kolejny materiał — rozedrgany film zarejestrowany „z ręki” nad Jefferson Tract — nakręcono z cessny wynajętej przez ekipę Channel 9 News. Lot był niespokojny i padał śnieg, nie tak gęsty jednak, by przesłonić dwa śmigłowce, które pojawiły się z boków maszyny niczym wielkie brunatne ważki. Odtworzono rozmowę radiową, tak niewyraźną, że Roberta musiała skorzystać z przesuwanej się u dołu ekranu transkrypcji: *Nad tym obszarem nie wolno wykonywać żadnych lotów. Proszę natychmiast zawrócić. Powtarzam: loty nad tym obszarem są zakazane. Proszę zawrócić.*

Czy obszar, nad którym nie wolno latać, to to samo co obszar objęty kwarantanną? Roberta Cavell uważała, że tak, choć oczywiście zdawała sobie sprawę, że osobnicy tacy jak Kurtz z

pewnością usiłowałyby wykręcać kota ogonem. Napisy na śmigłowcach były doskonale widoczne: ANG. Możliwe, iż w jednym z nich siedział sam Abraham Kurtz.

Pilot cessny: *Kto kieruje tą operacją?*

Radiostacja: *Zawracajcie natychmiast albo zostaniecie do tego zmuszeni.*

Cessna zawróciła, ponieważ i tak kończyło się paliwo — zupełnie jakby to cokolwiek wyjaśniało. Potem reporterom nie udało się zdobyć żadnych nowych informacji, stacja powtarzała więc w różnych wariantach wciąż to samo, nazywając to „doniesieniami z ostatniej chwili”. Korespondenci wielkich sieci telewizyjnych przypuszczalnie byli już w drodze.

Właśnie wstała, żeby wyłączyć telewizor (za bardzo denerwowała się tym wszystkim), kiedy Duddits krzyknął. Serce Roberta zatrzymało się na sekundę, po czym zaczęło łomotać w szaleńczym tempie. Odwróciła się gwałtownie, uderzyła kolaniem w stolik. Przewróciła się filiżanka z kawą, brązowy płyn zaczął szybko wsiąkać w rozłożony „TV Guide”.

Po krzyku nastąpiło histeryczne szlochanie. W taki sposób mogłoby płakać dziecko, lecz na tym właśnie polegała przypadłość Dudditsa: chociaż miał już ponad trzydzieści lat, wciąż jeszcze był dzieckiem i miał umrzeć jako dziecko, na długo przed czterdziestką.

Przez chwilę nie mogła wykonać żadnego ruchu, a kiedy wreszcie ożyła, przez głowę przeniknęła jej myśl, że dobrze byłoby mieć przy sobie Alfiego... albo jeszcze lepiej któregoś z chłopców. Tyle że, ma się rozumieć, oni już od dawna nie byli chłopcami. Chłopcem pozostał tylko jej Duddits. Zespół Downa przemienił go w Piotrusia Pana i Duddits już niedługo miał umrzeć w krainie Nigdy–Nigdy.

— Biegnę, Duddie! — zawołała. Rzeczywiście, poruszała się najszybciej, jak mogła, ale czuła się potwornie stara, serce chlupotało jej w piersi, artretyzm wbijał igły w stawy biodrowe. Nie dla niej kraina Nigdy–Nigdy. — Już idę! Mamusia już idzie!

Wciąż łkał rozpaczliwie, jakby pękło mu serce. Owszem, rozplakał się tego dnia, kiedy po umyciu zębów zaczęły mu krwawić dziąsła, i płakał potem wiele razy, ale nigdy nie krzyczał tak przeraźliwie, nigdy nie łkał z taką koszmarną desperacją.

— Duddie, co się stało?

Wpadła do jego pokoju. Była tak pewna, że dostał krwotoku, iż w pierwszej chwili naprawdę zobaczyła krew, ale zaraz potem okazało się, że to łzy. Duddits siedział z podkulonymi nogami w szpitalnym łóżku, kołysał się w przód i w tył, i płakał. Oczy wciąż miał jasnozielone, lecz reszta barw znikła z jego twarzy. Znikły również śliczne jasne włosy, prawie takie same jak młodego Arta Garfunkela. Sączący się przez okno zimowy blask ześlizgiwał się po łysej głowie, załamywał się w buteleczkach na nocnej szafce (tabletki przeciwko infekcjom, tabletki przeciwbólowe, ale nie było tam tabletek, które powstrzymałyby to, co się z nim działo), odbijał się od ustawionego przy samym łóżku wieszaka do kroplówek.

Na pierwszy rzut oka nie działo się nic złego, a już na pewno nic, co tłumaczyłoby grymas ogromnej, niemal groteskowej udręki na jego twarzy.

Usiadła na łóżku obok syna, objęła kołyszącą się rozpaczliwie głowę, przytuliła do piersi. Nawet teraz, w stanie skrajnego podniecenia, jego skóra była chłodna. Umierająca krew nie mogła rozgrzać twarzy. Dawno temu, jeszcze w szkole średniej, czytała „Draculę”; towarzyszący jej podczas lektury miły niepokój wieczorem stawał się nieco mniej niewinny, kiedy gasły światła, a pokój wypełniał się cieniami.

Na duchu podtrzymywała ją wtedy świadomość, że wampiry nie istnieją, teraz jednak wiedziała już, że jest inaczej. Istniał co najmniej jeden, nieporównanie groźniejszy od księcia z Transylwanii. Nazywał się nie Dracula, lecz białaczką, i nie sposób było zabić go, wbijając drewniany kołek w serce.

— Duddits... Duddie, co się stało?

Wreszcie wykrzyczał to, przytulony do jej piersi, a ona zapomniała o wszystkim, co się działo albo nie kilkaset kilometrów na północ od Derry. Napięła wszystkie mięśnie, zacisnęła zęby, w głowie rozbłysło jej okrutne jaskrawe światło, a serce zalał roztopiony ołów.

— Beaaaaee! Beaaaaee! Maa—aa, Beaaaaee eee yee!

Nie musiał tego powtarzać, nie musiał mówić wyraźniej. Słuchała go całe życie i rozumiała bez trudu.

Beaver! Beaver! Mamo, Beaver nie żyje!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY PETE I BECKY

1

Pete leżał w wypełnionej śniegiem koleinie i krzyczał tak długo, aż wreszcie zabrakło mu sił, potem więc już tylko leżał, próbując jakoś uporać się z bólem, dojść z nim do ładu. Nie potrafił. Ten ból nie szedł na żadne kompromisy, prowadził najkrótszą drogą do agonii. Do tej pory Pete nie zdawał sobie sprawy, że taki ból w ogóle istnieje — gdyby tak było, zostałyby z kobietą, z Marcy, chociaż ona wcale tak się nie nazywała. Chyba wiedział, jak naprawdę się nazywa, ale czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? To przecież on miał poważne problemy, to z jego kolana promieniował przeraźliwy, gorący ból.

Trzęsąc się jak galareta, leżał tak na drodze, z plastikową torbą u boku. DZIĘKUJEMY, ŻE ZROBILIŚCIE PAŃSTWO ZAKUPY WŁAŚNIE U NAS. Sięgnął do niej, by sprawdzić, czy może jednak ocalała choć jedna butelka, i wtedy w kolano uderzyła błyskawica bólu, przy którym jego dotychczasowe doznania w jednej chwili wyblakły jak stare fotografie. Pete wrzasnął jeszcze raz, po czym zemdlął.

2

Nie miał pojęcia, jak długo leżał nieprzytomny. Kiedy się ocknął, było jeszcze jasno, ale nie czuł stóp, a i ręce już mu nieco zdrętwiały, i to pomimo rękawic.

Leżał częściowo na boku, obok torby, wokół której zdążyła już gdzieniegdzie zamarznąć brązowa breja. Ból w kolanie nieco przycichł — być może zawdzięczał to właśnie odrętwieniu związanemu z niską temperaturą — i Pete zdał sobie sprawę z tego, że znowu może myśleć. I bardzo dobrze, ponieważ wszystko wskazywało na to, iż napytał sobie biedy. Musiał jak najprędzej wrócić pod wiatę, do ogniska, i to o własnych siłach. Gdyby leżał i czekał na powrót Henry'ego na skuterze śnieżnym, przypuszczalnie doczekałby tego w postaci sopla lodu. Sopla ściskającego kurczowo w dłoni uchwyty torby z rozbitymi butelkami z piwem; dziękujemy, pieprzony alkoholiku, że zrobiłeś zakupy właśnie u nas, serdecznie dziękujemy. Oprócz tego była jeszcze ta kobieta. Ona też mogła umrzeć, a to wszystko jedynie dlatego, że Pete Moore koniecznie musiał się napić.

Spojrzał z odrazą na torbę. Mógłby cisnąć ją jak najdalej między drzewa, ale pewnie przy okazji znowu nadwerężyłby kolano, a tego nie chciał ryzykować. Przykrył więc ją tylko śniegiem, jak pies, który zasypuje swoje odchody, i zaczął się czołgać.

Szybko się przekonał, że kolano, niestety, nie zdrętwiało nawet w połowie tak bardzo jak stopy albo ręce. Z zaciśniętymi zębami i mokrymi od potu włosami zsuwającymi się na oczy podciągał się naprzód na łokciach i odpychał zdrową nogą. Zwierzęta znikły; powszechna ucieczka dobiegła końca, został tylko on sam: chrapliwy świszczący oddech i stłumione bolesne jęki za każdym razem, kiedy kolano zawadzało o jakąś przeszkodę. Pot spływał mu po ramionach i grzbiecie, lecz stopy i ręce wciąż były zdrętwiałe.

Może by zrezygnował, gdyby mniej więcej w połowie płaskiego prostego odcinka drogi nie dostrzegł ogniska pod wiatą. Przygasło nieco, lecz wciąż się paliło. Popęzł ku niemu ze zdwojoną energią. Starał się zamieniać kolejne uderzenia bólu w energię psychiczną, którą wysyłał ku pomarańczowemu płomieniowi. Pragnął się tam dostać. Każdy ruch oznaczał straszliwe cierpienie, ale tak bardzo pragnął się tam dostać. Nie chciał zamarznąć w śniegu.

— Dam sobie radę, Becky — wymamrotał. — Dam sobie radę.

Dopiero za którymś razem zdał sobie sprawę, że wypowiada jej imię.

Kiedy znalazł się już całkiem blisko ognia, zatrzymał się, by spojrzeć na zegarek, i zmarszczył brwi. Zegarek pokazywał jedenastą czterdzieści, co nie miało najmniejszego sensu. Doskonale pamiętał, że sprawdził godzinę przed wyruszeniem w drogę powrotną do scouta i że było wtedy dwadzieścia po dwunastej. Przyjrzał się nieco uważniej i szybko odkrył przyczynę zamieszania: zegarek szedł wstecz, wskazówka sekundowa przesuwała się w przeciwnym niż zazwyczaj kierunku spazmatycznymi skokami nierównej długości. Nawet go to szczególnie nie zdziwiło. Chyba nic nie mogło go już zdziwić. Przeszedł się nawet tak bardzo przejmować swoją nogą. Czuł potworne zimno, jego ciałem wstrząsały niekontrolowane dreszcze, kiedy z rozpaczliwą determinacją pokonywał ostatnie pięćdziesiąt metrów.

Kobieta nie leżała na brezentowej płachcie, lecz po drugiej stronie ognia, jakby usiłowała dostać się do zgromadzonego zapasu drewna, ale nie zdołała tam dotrzeć.

— Cześć, złotko! — wysapał. — Już wróciłem. Miałem trochę problemów z kolaniem, mimo to wróciłem. Zresztą to wszystko i tak twoja wina, więc nie narzekaj, dobrze? Słyszysz mnie, Becky? Masz na imię Becky, zgadza się?

Może i tak, ale nie odpowiedziała, tylko leżała bez ruchu z otwartymi oczami. To znaczy, na pewno miała otwarte jedno, lecz nie miał pojęcia, czy to było to samo oko co przedtem, czy drugie. Nie robiło już na nim tak niepokojącego wrażenia — być może dlatego, że teraz miał inne powody do niepokoju. Na przykład ogień. Dogasał już, jednak w ognisku leżało sporo zwęglonego drewna, więc Pete był przekonany, że nie zjawił się za późno. Trzeba dorzucić trochę gałęzi, dołożyć ładny stosik, a potem walnąć się na ziemię — byle pod wiatr od rozkosznej Becky, bo te jej pierdnięcia były po prostu okropne — i czekać na powrót Henry'ego. Nie pierwszy raz Henry będzie musiał pić razem z nim piwo, którego on, Pete, nawarzył.

Popęłznął w kierunku kobiety i zgromadzonego po tamtej stronie ognia zapasu drewna, a kiedy znalazł się na tyle blisko, by znowu poczuć specyficzny zapaszek, zrozumiał, dlaczego przestało go niepokoić jej spojrzenie. Najwycyzejniej w świetle było martwe. Kobieta doczołgała się na drugą stronę ogniska i umarła. Cienka warstewka śniegu wokół jej bioder przybrała ciemnoczerwoną barwę.

Pete uniósł się na łokciach i przyglądał się jej przez chwilę, ale wzbudziła w nim nie więcej zainteresowania niż zegarek odmierzający czas wstecz. Zależało mu tylko na tym, żeby jak najprędzej dołożyć do ognia i wreszcie się ogrzać. O kobiecie pomyśli potem. Być może za miesiąc, siedząc wygodnie na kanapie w bawialni, z nogą w gipsie i filiżanką kawy w ręce.

Wreszcie dotarł do drewna. Zostały już tylko cztery kawałki, ale za to duże. Henry bez wątpienia wróci, zanim zdążą się wypalić, a po drodze na pewno zbierze więcej. Dobry stary Henry. Co prawda w epoce miękkich soczewek kontaktowych i chirurgii laserowej wciąż parady w okularach w rogowej oprawie, ale zawsze można na niego liczyć.

Myśli Pete'a usiłowały samodzielnie wrócić do scouta, a konkretnie do chwili, kiedy do niego wpełzł i poczuł zapach wody kolońskiej, której Henry wcale nie używał. „Lepiej tam nie wchodzić” — jak mawiają dzieci. Zupełnie jakby wspomnienia stanowiły cel same w sobie. Wystarczy tej wody kolońskiej, wystarczy Dudditsa. Wystarczy tu się nie gra, tu się nie hałasuje. I bez tego miał o czym myśleć.

Wkładał kolejno gałęzie do ognia, krzywiąc się z bólu przy gwałtowniejszym ruchu, ale jednocześnie ciesząc się z każdego snopu iskier, które wzbijały się aż pod dach z blachy falistej, wirowały jak szalone robaczki świętojańskie, po czym gasły.

Henry niedługo wróci. Tego musiał się trzymać. Wystarczy, że będzie patrzył w ogień, powtarzał to sobie w duchu.

Nie wróci. Nie wróci, bo w chacie wydarzyło się coś niedobrego. Coś, co miało związek z...

— Z Rickiem — powiedział głośno, obserwując, jak płomienie napoczynają nowe drewno. Niebawem pożrą je łąpczywie i urosną.

Pomagając sobie zębami, ściągnął rękawiczki i wysunął ręce w stronę ognia. Rana na prawej dłoni była długa i głęboka. Na pewno zostanie po niej blizna, ale co z tego? Przyjacielskie urazy też się zablizniają, a oni przecież wciąż są przyjaciółmi, czyż nie? Oczywiście. Banda z Kansas Street, Karmazynowi Piraci z plastikowymi szablami i mieczami świetlnymi z „Gwiezdných wojen”. Raz udało im się dokonać prawdziwie bohaterskiego czynu. Nawet dwa razy, jeśli liczyć historię z małą Rinkenhauer. W gazecie wydrukowano wtedy ich zdjęcie, cóż więc znaczyła jedna dodatkowa blizna? Nawet jeśli kiedyś — być może, tylko być może — zabili człowieka? Jeżeli zresztą był ktoś, kto na pewno zasługiwał na śmierć, to właśnie...

Nie, dzisiaj nie miał najmniejszego zamiaru się tam udać. Za nic w świecie.

Widział jednak linię, chciał tego czy nie, ale ją widział, najwyraźniej od wielu, wielu lat. Przede wszystkim zobaczył Beavera i nawet usłyszał go w samym środku głowy.

Jonesy, jesteś tam?

— Beaver, nie wstawaj — powiedział Pete, obserwując coraz śmielej poczynające sobie płomienie. Ogień buchał mu w twarz gorącym powietrzem, w ciepłe szybko ogarniała go senność. — Zostań tam, gdzie jesteś. Po prostu... po prostu siedź mocno.

O co tu chodziło? Co to za hocki-klocki, jak mawiał dawno temu Beaver, nieodmiennie wprawiając ich w dobry humor. Pete czuł, że gdyby zechciał, mógłby się tego dowiedzieć, tak wyraźna była linia. Mignęła mu podłoga z błękitnych kafelków, półprzezroczysta zasłonka prysznicowa, pomarańczowa czapka — czapka Ricka, czapka McCarthy'ego, czapka pana Oto Stoję U Drzwi I Kołacze — i wiedział, że gdyby się trochę wysilił, mógłby również poznać całą resztę. Nie miał pojęcia, czy to była przeszłość, przyszłość czy terażniejszość, ale gdyby zechciał, mógłby dowiedzieć się wszystkiego.

— Nie chcę — powiedział i odepchnął to od siebie.

Na ziemi zostało jeszcze trochę patyków i drobnych gałązek. Pete wrzucił je do ognia, po czym spojrzął na kobietę. Jej otwarte oko nie było już ani trochę groźne, tylko puste i zamglone jak oko martwego jelenia. Tyle krwi... Przypuszczalnie wykrwawiła się na śmierć. Coś w niej pękło, krew się wylała, i koniec. Może spodziewała się czegoś takiego i usiadła na środku drogi po to, żeby ktoś, kto się tu zjawi, na pewno ją zauważył. Tak się stało, ale proszę, co z tego wyszło. Biedna dziwka. Biedna, pechowa dziwka.

Pete przesunął się nieco w lewo, chwycił za skraj brezentowej płachty i popęzł, ciągnąc ją za sobą. Kobieta jechała na płachcie jak na sankach; teraz płachta zamieni się w cafun.

— Przykro mi, Becky, czy jak tam się nazywałaś. Naprawdę mi przykro, ale nawet gdybym tu został, w niczym bym ci nie pomógł. Nie jestem lekarzem, tylko pieprzonym sprzedawcą samochodów, a ty... i tak nie miałaś żadnych szans, tak chciał powiedzieć, lecz głos uwiązł mu w gardle, kiedy zobaczył ją od tyłu. Do tej pory widział ją tylko od przodu, ponieważ umarła zwrócona twarzą do ognia. Siedzenie spodni zostało rozerwane, jakby wreszcie dała sobie spokój z niewinnymi gazami i zaczęła pierdzieć dynamitem. Poszarpane strzępy dżinsowego materiału powiewały na wietrze, a razem z nimi resztki ciepłej bielizny. Miała na sobie dwie pary grubych rajstop: białe i różowe. Na nogawkach dżinsów i plecach kurtki rosło coś jakby pleśń — albo było złocistoczerwone, albo taką barwę nadawały mu płomienie.

Coś z niej wyszło. Coś wyszło z jej ciała...

...i teraz mnie obserwuje.

Pospiesznie spojrzął w stronę lasu. Nic. Pielgrzymka zwierząt ustała. Był sam.

Wcale nie.

Rzeczywiście. Gdzieś blisko było coś jeszcze, coś, co niezbyt dobrze czuło się w zimnie, coś, co wołało ciepłe wilgotne miejsca. Tyle że...

Tyle że za bardzo urosło. No i skończyło mu się pożywienie.

— Jest tam kto?

Myślał, że wołając w ten sposób, poczuje się głupio, ale nic takiego nie nastąpiło. Zaczął się tylko bać znacznie bardziej niż kiedykolwiek do tej pory.

Jego wzrok spoczął na zygzakowatym złocistoczerwonym szlaku. Zaczynał się obok Becky, prowadził na skraj osłoniętej dachem przestrzeni i niknął za stykającym się z ziemią fragmentem blachy falistej. Chwilę później z góry dobiegł niezbyt głośny, ale wyraźny szurgot, a potem jakby coś ześlizgnęło się po pochylonym dachu.

— Odejdź — wyszeptał. — Odejdź i zostaw mnie w spokoju. Ja... Mam już dosyć.

Znowu coś zaszurało. Rzeczywiście, miał już dosyć, ale na swoje nieszczęście stanowił też potencjalny pokarm. Pete przypuszczał, że stworzenie na dachu nie będzie długo czekać, być może po prostu nie mogło długo czekać, ponieważ w tych warunkach czuło się jak gekon w zamrażarce. W związku z tym przy pierwszej nadarzającej się okazji skoczy na niego z góry.

W tej samej chwili uświadomił sobie z przerażeniem, że opętany myślami o piwie zapomniał zabrać broń z samochodu. W pierwszym odruchu chciał wczołgać się głębiej pod dach, ale to mógłby być błąd, tak jak ucieczka w ślepej uliczce. Zamiast tego chwycił wystający z ognia koniec jednej z niedawno dorzuconych gałęzi. Nie wyjął jej jeszcze, ale przygotował się, by to uczynić. Drugi koniec płonął jasnym płomieniem.

— No, chodź tu — wycedził w górę. — Lubisz ciepło? Mam dla ciebie coś ciepłutkiego. Chodź, ogrzej się. Ogrzej się, ile tylko chcesz!

Nic, w każdym razie nie doczekał się żadnej reakcji z dachu. Tylko za jego plecami rozległo się delikatne pacnięcie, kiedy z jednej z najniższych świerkowych gałęzi spadła na ziemię pecyna śniegu. Zacisnął mocniej palce i częściowo wyjął gałąź z ognia, ale zaraz opuścił ją z powrotem.

— Chodź, skurwielu! Jestem ciepły, smaczny i czekam!

Cisza, ale tamten na pewno był na gorze i nie mógł długo czekać. Wkrótce się pokaże.

3

Czas mijał. Pete nie potrafił określić, ile dokładnie go minęło, ponieważ zegarek całkowicie odmówił posłuszeństwa. Chwilami jego umysł pracował z nadzwyczajną intensywnością, tak jak wówczas, gdy przebywali z Dudditsem (choć w miarę jak oni dorosli i starzeli się, a Duddits wciąż był taki sam, zdarzało się to coraz rzadziej, zupełnie jakby ich przeistaczające się ciała i umysły stopniowo traciły zdolność odbierania sygnałów nadawanych przez Dudditsa). Teraz czuł się podobnie, chociaż nie do końca tak samo. To chyba jednak było coś nowego, być może miało jakiś związek ze światłami na niebie. Zdawał sobie sprawę, że Beaver nie żyje i że coś okropnego stało się Jonesy'emu, ale nie miał pojęcia co.

Cokolwiek się zdarzyło, Henry też o tym wiedział, chociaż nie tak dokładnie. Henry obracał w swojej głowie tylko jedną myśl: Banburry Cross, Banburry Cross, w Banburry Cross usłyszysz twój głos.

Płomień powoli wędrował w górę gałęzi i Pete zaczął się zastanawiać, co zrobi, kiedy w ręce zostanie mu tylko bezużyteczny osmalony kikut i czy to coś na dachu jednak nie weźmie go na przeczekanie. Chwilę później w jego głowie wybuchła przeraźliwa, paniczna myśl, wypisana czerwonymi, pulsującymi literami. Musiał wykrzyknąć ją na głos, w przeciwnym razie zapewne rozsądziłaby mu czaszkę. W związku z tym nie miał najmniejszych szans, żeby usłyszeć delikatny szelest, z jakim coś zsunęło się po pochyłości dachu.

— Nie róbcie nam krzywdy! *Ne nous blessez pas!*

Ta prośba nie miała zostać wysłuchana, ponieważ... ponieważ...

Ponieważ to nie są mali bezbronni ET, czekający skromniutko, aż ktoś da im kartę telefoniczną, żeby mogli zadzwonić do domu. To jest zaraza. Święty Jezu, to rak, a my jesteśmy jak wielka radioaktywna dawka chemoterapii. Słyszycie mnie, chłopcy?

Pete nie miał pojęcia, czy chłopcy słyszą, on natomiast słyszał aż za dobrze. Zbliżali się, zbliżali się chłopcy, przybywali Karmazynowi Piraci i żadne błagania nie mogły ich powstrzymać. Tamci ciągle błagali, a Pete razem z nimi.

— Nie róbcie nam krzywdy! Prosimy! *S'il vous plait! Ne nous blessez pas! Ne nous faites pas mai, nous sommes sans defense!* — Ze szlochem: — Prosimy! Na miłość boską, jesteśmy bezbronni!

Oczami wyobraźni ujrzał rękę, psią kupę, płaczącego, prawie nagiego chłopca. W tym czasie coś na dachu wciąż pełzało, umierało, lecz nie chciało umrzeć, głupie, ale nie do końca, korzystało z okazji, by zejść Pete'a od tyłu, podczas gdy on krzyczał, leżąc u boku martwej kobiety, wsłuchany w rozlegające się w jego głowie odgłosy jakiejś apokaliptycznej rzezi.

„Rak” — powiedział mężczyzna z białymi rękami.

— Proszę! — krzyknął Pete. — Proszę, jesteśmy bezbronni!

Prawda czy nie, było już za późno.

4

Skuter śnieżny, nie zmniejszając prędkości, minął kryjówkę Henry'ego i pomknął na zachód. Henry mógł już wyjść z ukrycia, ale nie wychodził. Nie był w stanie. Inteligencja, która zajęła miejsce Jonesy'ego, nie wyczuła jego obecności, ponieważ zajmowało ją co innego albo może dlatego, że Jonesy jednak...

Nie. Niemożliwe. Myśl, że w tym przerażającym obłoku mogła pozostać choćby cząstka dawnego Jonesy'ego, nie miała najmniejszego sensu.

Teraz, kiedy tamto znikło — a przynajmniej się oddaliło — odezwały się głosy. Wypełniły głowę Henry'ego, niemal doprowadzając go do szaleństwa swoją paplaniną, tak samo jak doprowadzał go do szaleństwa płacz Dudditsa, przynajmniej do chwili, kiedy wreszcie przebrnął przez okres dojrzewania. Jeden głos należał do mężczyzny, który mówił coś o jakimś grzybie

(szybko ginie, chyba że znajdzie żywego nosiciela)

a potem o karcie telefonicznej i... chemoterapii? Tak, o wielkiej dawce chemoterapii. To był głos szaleńca. Kto jak kto, ale Henry potrafił to ocenić.

Dużo gorsze były pozostałe głosy, to właśnie przez nie zaczął wątpić we własne zdrowie psychiczne. Nie potrafił rozpoznać wszystkich, ale wśród tych, które znał, były głosy Waltera Cronkite'a, Królika Bugsa, Jacka Webba, Jimmy'ego Cartera, Margaret Thatcher. Głosy mówiły po angielsku i francusku.

— *Il n'y a pas d'infection ici* — powiedział Henry i rozplakał się.

Był zdumiony i zarazem szczęśliwy, że w jego sercu zostało jeszcze miejsce na łzy, chociaż przypuszczał, iż dawno już znikł stamtąd zarówno prawdziwy płacz, jak i szczerzy śmiech. Były to łzy przerażenia i współczucia, łzy, które bez trudu przedzierały się przez skorupę egoizmu i kruszyły ukrytą pod nią skałę.

— Tu nie ma żadnej infekcji, prosimy, Boże, przestańcie, nie róbcie tego, nie róbcie, *nous sommes sans defense, NOUS SOMMES SANS...*

Potem od zachodu nadleciał świdrujący łoskot i Henry złapał się oburącz za głowę, niemal pewien, że krzyki, ból i przeraźliwy hałas rozsadzą mu głowę od środka. To była...

5

To była po prostu rzeź.

Pete siedział przy ogniu, ignorując straszliwy ból promieniujący z kolana, nieświadom tego, że trzyma przy samej skroni płonąca gałąź z ogniska. Wrzaski w jego głowie nie były w stanie całkiem zagłuszyć dobiegającego z zachodu łoskotu ciężkich karabinów maszynowych. Krzyki — nie róbcie nam krzywdy, jesteśmy bezbronni, niczym was nie zarazimy — zaczęły wreszcie stopniowo cichnąć, ustępując miejsca zwykłej panice. To nie działa, nic nie mogło zadziałać, było już po wszystkim.

Pete dostrzegł kątem oka jakieś poruszenie i odwrócił się w chwili, kiedy to coś, co było na dachu, rzuciło się na niego. Mignęło mu długie muskularne ciało podobne trochę do łasicy, poruszające się raczej dzięki umięśnionemu ogonowi niż na łapach, a zaraz potem drobne i ostre jak igły zęby wbiły mu się w kostkę. Krzyknął i tak mocno podkulił zdrową nogę, że mało nie uderzył się w podbródek kolaniem. Stworzenie trzymało się mocno jak pijawka. Czy to właśnie one błagały o litość? Jeśli tak, to niech je szlag trafi, wszystkie, co do jednego!

Odruchowo chwycił je zranioną ręką — w zdrowej wciąż trzymał płonąca gałąź — i odniósł wrażenie, że jego palce zacisnęły się na porośniętej sierścią galarecie. Stworzenie natychmiast uwolniło jego kostkę, Pete przez ułamek sekundy patrzył wprost w czarne, pozbawione wyrazu oczy, następnie zaś zęby wbiły się w jego dłoń, rozszarpując ją tam, gdzie kończyła się poprzednia rana.

Zabolało jak koniec świata. Głowa stworzenia — jeżeli to była głowa — wpychała się w ranę, zęby szarpały i cięły coraz głębiej. Pete rozpaczliwie wymachiwał ręką, próbując strącić napastnika, płynąca obficie krew tworzyła w powietrzu szkarłatne wachlarze, by po chwili spaść na śnieg, brezentową płachtę lub kurtkę martwej kobiety. Kilka kropli dotarło nawet do ognia, który zareagował zirytowanymi syknięciami. Stworzenie wydawało przenikliwy ćwierkający odgłos i owinęło wokół przedramienia Pete'a gruby jak węgorz ogon, starając się je unieruchomić.

Pete nie posłużył się świadomie pochodnią, ponieważ zupełnie o niej zapomniał. Myślał tylko o tym, żeby jak najszybciej pozbyć się upiornego napastnika, więc na oślep uderzył w niego lewą ręką. W pierwszej chwili, kiedy stworzenie zajęło się ogniem, jakby było z papieru, nie zrozumiał, co się dzieje, zaraz potem jednak krzyknął przeraźliwie — częściowo dlatego, że pojawiło się nowe źródło bólu, a częściowo z radości. Zerwał się na równe nogi — o dziwo, kolano w ogóle nie zaprotestowało, zatoczył prawą ręką szeroki łuk i z całej siły rąbnął wijącym się cielskiem w jeden ze stojących jeszcze słupów. Rozległ się głośny chrzęst, świergot zamienił się w stłumiony pisk. Przez trwającą całą wieczność sekundę zęby zacisnęły się jeszcze mocniej, po czym uchwyt zelżał, stworzenie zsunęło mu się po ręce i wylądowało na ziemi. Pete natychmiast skoczył na nie obiema nogami, poczuł jak rozpaczliwie wije mu się pod podeszwami butów, sięgnął w kolanie nie wytrzymały, noga zgięła mu się w przeciwną stronę i runął ciężko na bok. Znieruchomiał na przysypanej cienką warstwą śniegu ziemi z twarzą zaledwie kilkanaście centymetrów od głowy stworzenia, które zamieszkało na jakiś czas we wnętrzościach Becky, a potem ją zabiło.

Nie widział, że słup, w który uderzył, zaczął się powoli przechylać na zewnątrz. Płonące stworzenie drgało i podskakiwało na zmrożonej ziemi, jego czarne oczy szybko mętniały. Szczelina na zgrubieniu udającym głowę rozchyliła się — trudno ją było nazwać pyskiem — wyłoniły się ułożone koliście zęby.

— Nie! Nie! Nie! — wrzeszczał Pete, uderzając co sił lewą ręką, aż wreszcie udało mu się odsunąć je od siebie na większą odległość, a następnie rozpaczliwym machnięciem zdrowej nogi wepchnąć w ogień.

Czubek buta uderzył w przechylony wspornik, który właśnie postanowił jednak podtrzymać jeszcze dach przez jakiś czas, ale potraktowany w tak obcesowy sposób zmienił zdanie i trzasnął jak zapałka. Połowa dachu z blachy falistej runęła na ziemię, sekundę lub

dwie później nie wytrzymał również drugi słupek i cały dach runął na ognisko, wzbijając w powietrze chmurę iskier.

Przez jakiś czas nic się nie działo. Potem rumowisko zaczęło się podnosić i opadać, jakby oddychało, aż wreszcie spod resztek wiaty wyczołgał się Pete. Miał szklisty wzrok i ziemistą cerę, płonął lewy mankiet jego kurtki. Przyglądał mu się tępo, z nogami wciąż pod zwałonym dachem, po czym przysunął rękę do twarzy, wziął głęboki wdech i zdmuchnął płomień niczym gigantyczną urodzinową świeczkę.

Ze wschodu zbliżał się warkot silnika skutera śnieżnego. To Jonesy... albo to, co z niego zostało. Obłok. Pete nie ludził się, że tamten (tamto?) okaże mu choć odrobinę litości. To nie był litościwy dzień w Jefferson Tract. Powinien się ukryć, ale głos, który mu to podszeptował, był słaby i mało zdecydowany. Z jednego mógł na pewno być zadowolony: wszystko wskazywało na to, że lada chwila jego problemy alkoholowe przejdą do historii.

Zbliżył do oczu zmaltretowaną prawą rękę. Brakowało jednego palca — najprawdopodobniej piekł się teraz w ognisku razem z tym, co go pożarło. Dwa kolejne wisiały na pasemkach skóry. W ranach już pojawił się złocistoczerwony meszek — zarówno w tych zadanych przez stworzenie, jak i tych wcześniejszych, od stłuczonej butelki w samochodzie. Trochę dziwnie się poczuł, nie ulegało bowiem wątpliwości, że to coś karmi się jego krwią i ciałem.

Przez głowę przemknęła mu myśl, że być może nie zdąży umrzeć wystarczająco szybko.

Dobiegające z zachodu odgłosy kanonady ucichły, ale to jeszcze nie koniec, na pewno. Chwilę później, jakby na potwierdzenie słuszności jego domysłów, rozległa się potężna eksplozja, która zagłuszyła wciąż jeszcze odległe brzęczenie skutera śnieżnego oraz wszystko inne. To znaczy, wszystko z wyjątkiem mrowienia w poranionej ręce. Złocistoczerwone porosty zżerały go tak samo jak rak, który wreszcie zabił jego ojca, wchłonawszy mu najpierw połowę żołądka i niemal całe płuca.

Pete przesunął językiem po zębach. Kilku brakowało.

Zamknął oczy i czekał.

CZEŚĆ II

SZARZY

*Duch się wylania z umysłu śpiącego,
Wyciąga ręce, do życia wrócić chce.
To nie przyjaciel stoi obok mnie,
Ręka na mym ramieniu w cierni zamienia się.*

Theodore Roethke

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY KURTZ I UNDERHILL

1

Jedynym wartym uwagi miejscem na obszarze działań był niewielki sklepik z mydłem i powidłem zwany Gosselin's Country Market. Zwiadowcy Kurtza dotarli tu wkrótce po tym, jak zaczął padać śnieg, a kiedy o wpół do jedenastej Kurtz zjawił się we własnej osobie, zaczęły już ściągać główne siły i opanowywać sytuację.

Sklep stał się Bazą Błękitną, stodołę zaś, sąsiadującą z nią stajnię (mocno zaniedbaną, ale wciąż stojącą) oraz corral ochrzczono Błękitną Zagrodą. Pojawili się tam już pierwsi internowani.

Archie Perlmutter, nowa prawa ręka Kurtza (Calvert, który do tej pory pełnił tę funkcję, w zupełnie nieodpowiedzialny sposób umarł przed dwoma tygodniami na atak serca) miał przed sobą notes z kilkunastoma nazwiskami. Perlmutter zjawił się w Bazie Błękitnej wyposażony w notebook i palmtop tylko po to, by przekonać się, że na obszarze Jefferson Tract wszelki sprzęt elektroniczny jest CA-DO-DU, czyli całkowicie do dupy. Listę otwierali właściciel sklepu, stary Gosselin, i jego żona.

— W drodze jest znacznie więcej — powiedział Perlmutter.

Kurtz zerknął przelotnie na nazwiska, po czym oddał listę adiutantowi. Za ich plecami ustawiano ogromne samochody campingowe oraz przyczepy, wznoszono maszty oświetleniowe. O zmroku teren miał być oświetlony jak stadion Jankesów podczas finału rozgrywek ligowych.

— Mielibyśmy jeszcze dwóch, ale zabrakło nam, o tyle. — Perlmutter podniósł rękę z wysuniętymi palcem wskazującym i kciukiem. Ich koniuszki dzieliło najwyżej pół centymetra. — Przyjechali na zakupy, czyli po piwo i hot dogi.

Na bladej twarzy Perlmuttera kwitły dwa krwistoczerwone rumieńce. Hałas był tak duży, że musiał podnieść głos, by Kurtz go usłyszał. Śmigłowce nadlatywały dwójkami i lądowały na szosie prowadzącej do drogi międzystanowej numer 95, którą można było pojechać na północ do nudnego miasteczka Presque Isle albo na południe, do mnóstwa nudnych miasteczek, takich jak choćby Bangor lub Derry. Śmigłowce działały bez zarzutu, pod warunkiem że ich piloci nie korzystali z ultranowoczesnych systemów nawigacyjnych, które również były CA-DO-DU.

— Wjechali do strefy czy wyjechali z niej? — spytał Kurtz.

— Wjechali. — Perlmutter nie mógł się zdobyć na to, by spojrzeć przełożonemu w oczy. — Przez las prowadzi gruntowa droga, którą miejscowi zważają Deep Cut Road. Nie ma jej na zwykłych mapach, ale zdobyłem kartograficzną, na której...

— W porządku. Albo tam zostaną, albo będą się starali wyjść. Tak czy inaczej, wszystko w porządku.

Teraz, kiedy śmigłowce znalazły się z dala od niepowołanych oczu, z niektórych wyładowywano szybkostrzelne działka kalibru 12 milimetrów. Zanosilo się na to, że operacja dorówna rozmiarami Pustynnej Burzy albo nawet ją przerosnie.

— Pearly, mam nadzieję, że wiesz, po co tu jesteś?

Perlmutter doskonale wiedział. Był młody, chciał wyrzucić dobre wrażenie, prawie nie mógł spokojnie ustać z niecierpliwości. Jak spaniel, który zwietrzył obiad, pomyślał Kurtz.

A wszystko to bez nawiązywania kontaktu wzrokowego.

— Moje zadanie jest trojakiemu rodzaju, proszę pana.

Trojakiemu, pomyślał Kurtz. Trojakiemu, jak wam to się podoba?

— Jestem tu po to, żeby a — przechwycić, b — przekazać przechwycone osoby personelowi medycznemu i c — posegregować je i czekać na dalsze rozkazy.

— Otóż to. Właśnie na tym...

— Bardzo pana przepraszam, ale na razie nie mamy ani jednego lekarza, tylko paru sanitariuszy, a w dodatku...

— Stul pysk. — Kurtz nie powiedział tego głośno, a mimo to kilku nieopodal uwijających się przy różnych zadaniach mężczyzn, w pozbawionych dystynkcji zielonych kombinezonach (wszyscy, nawet Kurtz, mieli na sobie identyczne stroje), przystanęło na chwilę, spojrzęło w jego stronę, a następnie pośpiesznie wróciło do pracy. Z policzków Perlmuttera znikły krwistoczerwone wypieki, a on cofnął się o krok, zwiększając o kilkadziesiąt centymetrów odległość dzielącą go od Kurtza.

— Pearly, jeżeli przerwiesz mi jeszcze raz, dostaniesz po ryju. Jeśli to będzie za mało i znowu mi przerwiesz, wylądujesz w szpitalu. Czy to jasne?

Okupując to ogromnym wysiłkiem, Perlmutter spojrzęł wreszcie na twarz Kurtza, popatrzył mu w oczy i zasalutował tak energicznie, że niemal strzeliły iskry.

— Tak jest, proszę pana!

— To też możesz sobie darować. — Wzrok Perlmuttera natychmiast ześlizgnął się z jego twarzy. — I patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię, chłopcze.

Perlmutter zrobił to, choć z ociąganiem. Twarz miał teraz ziemistoszarą i chociaż hałas czyniony przez stojące na szosie śmigłowce był ogłuszający, to odniósł wrażenie, iż wokół ich dwóch nagle zrobiło się całkiem cicho, jakby znaleźli się w jakiejś przedziwnej kieszeni powietrznej. Był przekonany, że wszyscy na nich patrzą i widzą jego przerażenie. A to przez te oczy Kurtza, a raczej wypełniającą je bezdenną pustkę. Perlmutter słyszał o oczach starych jak świat, ale oczy Kurtza były stare jak tysiąc światów, jak cały wszechświat.

Mimo to jakoś wytrzymał ich spojrzenie. Zajrzał w tę pustkę. Na razie chyba nie udało mu się wyrzucić zbyt korzystnego wrażenia. Musiał uczynić wszystko, co w jego mocy, żeby jak najprędzej odwrócić niekorzystną tendencję.

— Świetnie. W każdym razie znacznie lepiej. — Chociaż Kurtz mówił dość cicho, Perlmutter doskonale słyszał każde słowo. — Powiem ci to tylko jeden jedyny raz, wyłącznie dlatego, że jesteś tu nowy i nie wiesz jeszcze, którą dziurą się sra, a którą sika. Kazano mi przeprowadzić tutaj operację phooka. Czy wiesz, co to jest phooka?

— Nie.

Perlmutter musiał niemal zadać sobie gwałt, żeby nie dodać „proszę pana”.

— Według Irlandczyków, którzy jako naród nigdy nie wygrzebali się z bagna przesądów, phooka to upiorny koń porywający podróżników i unoszący ich w dal na swym grzbiecie. W tym wypadku termin ten oznacza operację zarazem ściśle tajną i całkowicie jawną. Paradoks, Perlmutter! Na szczęście ogólne założenia takiego hokus-pokus były przygotowywane już od 1947, czyli od czasu kiedy nasze siły powietrzne po raz pierwszy uzyskały dostęp do pozaziemskiego artefaktu. To dobra nowina. Zła nowina jest taka, że przyszłość, na której nadejście się przygotowaliśmy, już nadeszła, i że muszę jej stawić czoło razem z osobnikami takimi jak ty. Rozumiesz, mądralo?

— Tak, pro... Tak jest.

— Mam nadzieję. Musimy działać błyskawicznie i bezwzględnie, tak jak phooka. Musimy odwalić całą brudną robotę, jaka na nas spadnie, i wyjść stąd zupełnie czyści. Właśnie tak, na niebiosy: czyści i uśmiechnięci!

Kurtz obnażył zęby w uśmiechu tak bezwzględny i zarazem szyderczy, że niewiele brakowało, by Perlmutter zaczął krzyżeć. Wysoki i lekko przygarbiony, Kurtz wyglądał trochę jak urzędnik, a jednak było w nim coś przerażającego. Dało się to dojrzeć w jego oczach, dało się wyczuć w sposobie, w jaki trzymał przed sobą ręce... Nie to jednak czyniło go tak groźnym, nie dlatego nazywano go Grobowym Kurtzem. Perlmutter nie wiedział dokładnie, co było tego powodem i chyba nie chciał wiedzieć. W tej chwili zależało mu tylko na jednym: żeby ta rozmowa wreszcie się skończyła i żeby był po niej cały i w jednym

kawałku. Po cholere lecieć czterdzieści czy pięćdziesiąt kilometrów na zachód, żeby nawiązać kontakt z Obcymi? Perlmutter właśnie miał przed sobą jednego z nich.

Na szczęście koszmarny uśmiech nie trwał długo.

— Więc jak, nadajemy na tej samej fali?

— Tak jest.

— Służymy pod tym samym sztandarem? Sikamy do tego samego dołka?

— Tak jest.

— Powiedz mi więc, Pearly, jacy mamy stąd wyjść?

— Czyści?

— Właśnie! I jacy jeszcze?

Przez okropną, ciągnącą się w nieskończoność sekundę nie mógł sobie przypomnieć, ale wreszcie to do niego dotarło.

— I uśmiechnięci, proszę pana.

— Powiedz do mnie jeszcze raz „proszę pana”, to cię znokautuję.

— Przepraszam... — wyszeptał Perlmutter.

Wcale nie udawał skruchy.

Szosa, a raczej jej skrajem, z trudem przeciskając się obok śmigłowców, nadjechał szkolny autobus. Prawymi kołami prawie wpadł do rowu, w związku z czym był tak bardzo przechylony, iż wydawało się, że lada chwila się przewróci. MILLINOCKET SCHOOL DEPT. głosił duży czarny napis na żółtym boku. Autobus oczywiście został zarekwirowany, w środku zaś siedzieli Owen Underhill i jego ludzie. Drużyna A. Na jego widok Perlmutter od razu poczuł się lepiej. W przeszłości i on, i Kurtz współpracowali z Underhillem, tyle że przy różnych okazjach.

— Do wieczora będziesz miał swoich lekarzy — powiedział Kurtz. — Tylu, ilu zechcesz. Czy to wystarczy?

— Wystarczy.

Idąc w kierunku autobusu, który zatrzymał się przed sklepem, Kurtz zerknął na zegarek kieszonkowy. Prawie jedenasta. Cholera, ależ ten czas leci, kiedy człowiek się dobrze bawi! Towarzyszył mu Perlmutter, lecz z jego ruchów znikła wszelka gorliwość.

— Na razie, Archie, masz ich dokładnie obejrzeć, obwąchać, wysłuchać i udokumentować wszystkie przypadki Ripley, jakie uda ci się znaleźć. Oczywiście wiesz o Ripley?

— Tak jest.

— To dobrze. Nie dotykaj tego.

— Nie ma mowy! — wykrzyknął Perlmutter i z powrotem się zarumienił.

Przez twarz Kurtza przemknął błady uśmieszek, ani trochę nie prawdziwszy od niedawnego rekiniego uśmiechu.

— Doskonale. Macie maski gazowe?

— Właśnie dotarły. Na razie dwanaście pudeł, ale więcej jest już w...

— Dobrze. Potrzebujemy zdjęć Ripley. Im więcej dokumentacji, tym lepiej. Obiekt A, obiekt B, i tak dalej. Rozumiesz?

— Tak.

— I żaden z naszych... gości nie ma prawa się stąd wydostać, jasne?

— Oczywiście!

Perlmutter powiedział to takim tonem, jakby coś takiego w ogóle nie mieściło mu się w głowie.

Usta Kurtza rozciągnęły się na boki, grymas rozszerzał się coraz bardziej, aż wreszcie ponownie zamienił się w uśmiech rekina. Oczy spoglądały na wylot przez Perlmuttera, ich spojrzenie sięgało aż do środka Ziemi. Perlmutter zaczął się w duchu zastanawiać, czy kiedy już będzie po wszystkim, ktokolwiek żywy opuści Bazę Błękitną. Poza Kurtzem, ma się rozumieć.

— Działajcie dalej, obywatelu Perlmutter. W imieniu rządu rozkazuję wam działać dalej.

Archie Perlmutter odprowadził Kurtza wzrokiem do autobusu, z którego właśnie wysiadał zwalsty jak szafa Underhill. Jeszcze nigdy widok czyichś pleców nie sprawił mu aż takiej radości.

2

— Cześć, szefie — powiedział Underhill.

Tak jak wszyscy był ubrany w zielony kombinezon pozbawiony dystynkcji, ale tylko on i Kurtz byli uzbrojeni.

W autobusie siedziało dwudziestu kilku mężczyzn; większość właśnie kończyła wczesny lunch.

— Co oni tak wsuwają?

Dzięki swoim ponad stu dziewięćdziesięciu centymetrom wzrostu wyraźnie górował nad Underhillem, ale ten z kolei był od niego cięższy co najmniej o trzydzieści kilogramów.

— Burger kingi. Zajechaliliśmy po drodze. Myślałem, że autobus się nie zmieści, ale Yoder był pewien, że się zmieści, i miał rację. Chce pan whoppera? Pewnie zdążyły już trochę wystygnąć, ale chyba mają tu jakąś kuchenkę mikrofalową?

— Mówiąc to, Underhill patrzył w stronę sklepu.

— Opuść sobie. Za dużo cholesterolu.

— A jak tam pachwina?

Przed sześciu laty, podczas gry w squasha, Kurtz doznał poważnej kontuzji pachwiny. Pośrednio stało się to przyczyną ich jedyne go jak do tej pory konfliktu — zdaniem Owena Underhilla mało istotnego, ale z Kurtzem nigdy nic nie było do końca wiadomo. Miał twarz pokerzysty, lecz myśli w jego głowie śmigają z prędkością światła, bezustannie powstawały nowe plany, a uczucia zmieniały się jak w kalejdoskopie. Niektórzy sądzili — i wcale nie było ich mało — że Kurtz jest najzwyczajniej w świecie szalony. Owen Underhill nie miał wyrobionego zdania na ten temat, wiedział jednak na pewno, iż w towarzystwie tego człowieka należało zachować daleko posuniętą ostrożność.

— Pachwinka jak złoto — powiedział Kurtz, sięgnął do krocza, ścisnął sobie jądra i obdarzył Underhilla widokiem swoich wyszczerzonych w uśmiechu zębów.

— To dobrze.

— A co u ciebie? Wszystko w porządku?

— Pachwina jak złoto.

Kurtz parsknął śmiechem.

Szosa nadjeżdżał powoli i ostrożnie, choć z dużo mniejszymi problemami niż szkolny autobus, nowiutki lincoln navigator z trzema ubranymi na pomarańczowo myśliwymi w środku. Wszyscy trzej, chłopcy na schwał, wybałuszali oczy na śmigłowce i zwijających się jak w ukropie żołnierzy w zielonych kombinezonach, a przede wszystkim na broń. Dobry Boże, Wietnam zawitał do północnego Maine. Wkrótce mieli dołączyć do pozostałych w Błękitnej Zagrodzie.

Jak tylko luksusowa terenówka zatrzymała się za szkolnym autobusem, otoczyło ją sześciu albo siedmiu żołnierzy. Trzej siedzący w niej prawnicy albo bankowcy z problemami cholesterolowymi i grubymi pakietami akcji, pracowicie odgrywający w życiu rolę poczciwych chłopaków, wciąż jeszcze łudzili się, że żyją w Ameryce czasów pokoju. Już niedługo mieli zostać pozbawieni tych złudzeń, znaleźć się w stodole (albo w corralu, jeśli lubili świeże powietrze), gdzie nikt nie zamierzał honorować ich kart kredytowych. Mogli zatrzymać telefony komórkowe, ponieważ w tej głuszy były one całkowicie bezużyteczne, ale dzięki nim mogli przynajmniej liczyć na rozrywkę w postaci bezskutecznego naciskania klawisza REDIAL.

— Dobrze wszystko uszczelniliście? — zapytał Kurtz.

— Tak mi się wydaje.

— Wciąż szybko się uczysz, co?

Owen wzruszył ramionami.

— Ilu ludzi łącznie przebywa w Strefie Błękitnej?

— Przypuszczalnie około ośmiuset. W Strefach Pierwszej A i Pierwszej B nie więcej niż setka.

Było to całkiem niezłe, naturalnie pod warunkiem, że nikt się nie wymknął. W kwestii ewentualnego zarażenia kilku uciekinierów nie miało żadnego znaczenia; zupełnie inaczej miały się sprawy ze sterowaniem informacjami. W dzisiejszych czasach bardzo trudno było przeprowadzić operację phooka. Zbyt wielu ludzi z kamerami wideo, za dużo śmigłowców stacji telewizyjnych, zbyt wiele oczu.

— Chodźmy do sklepu — zaproponował Kurtz. — Szykują mi CD, ale jeszcze nie jest gotowe.

— *Un momento.*

Underhill wbiegł po schodkach do autobusu, by po chwili pojawić się z zatłuszczoną torebką od Burger Kinga w ręce oraz przewieszonym przez ramię magnetofonem kasetowym.

— To cię kiedyś zabije — powiedział Kurtz, wskazując torebkę ruchem głowy.

— Gramy główne role w najnowszej ekranizacji „Wojny światów”, a pan przejawia się wysokim poziomem cholesterolu?

Za ich plecami jeden z nowo przybyłych barczystych myśliwych właśnie domagał się głośno umożliwienia mu kontaktu z jego prawnikiem, co oznaczało, że najprawdopodobniej był bankowcem. Kurtz zaprowadził Underhilla do sklepu. W górze znowu pojawiły się wielobarwne światła; goniły się i przeskakiwały z chmury na chmurę niczym postaci z kreskówek Disneya.

3

W biurze starego Gosselina czuć było salami, cygara, piwo, musztardę oraz siarkowodor — ktoś albo się tu spierdział, albo gotował jajka na twardo, pomyślał Kurtz. A może i to, i to. W powietrzu unosił się również dyskretny, ale jednak wyczuwalny zapach alkoholu etylowego. Ich zapach. Był już wszędzie. Ktoś inny może usiłowałby sobie wmówić, że to tylko złudzenie wywołane stresem i niepewnością, Kurtzowi jednak te doznania były całkowicie obce. Tak czy inaczej wydawało mu się dość mało prawdopodobne, żeby sto pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych lasu otaczającego sklep Gosselina miało przed sobą świetlaną przyszłość jako atrakcyjny dla żywych istot ekosystem. Cóż, niekiedy trzeba zedrzeć ze starego mebla lakier i politurę i zacząć wszystko od nowa.

Kurtz usiadł za biurkiem i otworzył jedną z szuflad. W środku leżało kartonowe pudełko z nadrukiem CHEM/U.S./10 SZT. Punkt dla Perlmuttera. Kurtz wyjął pudełko i otworzył. Wewnątrz znajdowały się nieduże przezroczyste maski zasłaniające nos i usta. Rzucił jedną Underhillowi, po czym sam nałożył inną, szybko dopasowawszy elastyczne paski.

— Czy to konieczne? — zapytał Underhill.

— Nie wiemy. Nie traktuj tego jako przywileju. Za godzinę wszyscy będą je nosić. Z wyjątkiem naszych gości w Błękitnej Zagrodzie, ma się rozumieć.

Underhill bez słowa rozpakował maskę i dopasował paski, Kurtz zaś odchylił się do tyłu i oparł głowę o powieszony na ściennej tablicy najświeższe pismo z Urzędu Ochrony Pracowników.

— A czy one chociaż działają?

Głos Underhilla nie był prawie wcale stłumiony, a na przezroczystym plastiku nie pojawił się nawet ślad pary wodnej. Powierzchnia maski sprawiała wrażenie całkowicie gładkiej i pozbawionej porów, a jednak oddychało się przez nią zupełnie swobodnie.

— Działają na Ebolę, węglik, supercholera. Czy działają na Ripley? Być może. Jeśli nie, to już po nas, żołnierzu. Zresztą i tak już może być po nas, ale zegar wciąż działa i gra toczy się dalej. Czy powinienem wysłuchać tego, co masz na kasecie, która zapewne jest w tym magnetofonie?

— Nie musi pan słuchać wszystkiego, ale trochę na pewno by się przydało, żeby nabrał pan wyobrażenia.

Kurtz skinął głową, zakręcił w powietrzu palcem wskazującym i rozparł się jeszcze wygodniej w fotelu starego Gosselina.

Underhill zdjął z ramienia pasek, postawił magnetofon na biurku, po czym wcisnął PLAY. Z głośnika rozległ się bezbarwny głos automatu:

— Nasłuch radiowy Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Szerokie pasmo. 62914A44. Materiał ściśle tajny. Czas nagrania: godzina 0627, czternasty listopada dwa tysiące jeden. Po sygnale rozpocznie się odtwarzanie zarejestrowanego materiału. Osoby nie posiadające autoryzacji pierwszego stopnia proszone są o wciśnięcie klawisza STOP.

— No jasne. — Kurtz pokiwał głową. — Takie coś w zupełności wystarczy, żeby zniechęcić wszystkich nieupoważnionych, nie sądzisz?

Po krótkiej ciszy rozległ się elektroniczny pisk, a potem młody kobiecy głos powiedział:

— Raz. Dwa. Trzy. Prosimy, nie róbcie nam krzywdy. *Ne nous blessez pas.* — Dwusekundowe milczenie, po czym głos młodego mężczyzny: — Pięć. Siedem. Jedenaście. Jesteśmy bezbroni. *Nous sommes sans défense.* Prosimy, nie róbcie nam krzywdy, jesteśmy bezbroni. *Ne nous faites...*

— Boże, to zupełnie jak międzygalaktyczny kurs językowy Berlitz!

— Rozpoznał pan te głosy?

Kurtz pokręcił głową i przyłożył palec do ust. Następny głos należał do Billa Clintona.

— Trzyście. Siedemnaście. Dziewiętnaście. Nie ma groźby zarażenia. *Il n'y a pas d'infection ici.* — Kolejna dwusekundowa przerwa i z taśmy przemówił Tom Brokaw:

— Dwadzieścia trzy. Dwadzieścia siedem. Dwadzieścia dziewięć. Umieramy. *On se meurt, on crève.* Umieramy.

Underhill wcisnął STOP.

— Gdyby chciał pan wiedzieć, to pierwszy głos należał do aktorki Sarah Jessiki Parker, a drugi do Brada Pitta.

— Kto to taki?

— Aktor.

— Aha.

— Po każdej przerwie odzywa się inny głos. Wszystkie głosy są lub powinny być znane większości ludzi zamieszkujących tę okolicę: Alfred Hitchcock, Paul Harvey, Garth Brooks, Tim Sample — to satyryk, bardzo popularny w północnej części Maine — i setki innych. Niektórych jeszcze nie udało nam się zidentyfikować.

— Setki? Kiedy nasłuchowi udało się to przechwycić?

— Trudno mówić o jakimś przechwyceniu, ponieważ od samego początku mieliśmy do czynienia z bardzo silną, wyraźną transmisją na wielu częstotliwościach. Zagłuszamy ją dopiero od 8.00, więc przypuszczalnie sporo ludzi ją usłyszało, ale wątpię, żeby zrozumieli, o co chodzi. A nawet jeśli zrozumieli... — Underhill wzruszył ramionami. — Tamci wciąż nadają, głosy są autentyczne. Kilka specjalistycznych porównań, które zdążyliśmy przeprowadzić, wykazało, że są identyczne z oryginałami. Ci klienci mogliby nieźle namieszać w naszym przemyśle rozrywkowym.

Łoskot wirników bez trudu przenikał przez ściany budynku. Kurtz nie tylko go słyszał, ale i czuł. Łoskot przenikał przez ściany, przez tablicę, przez pismo z Urzędu Ochrony Pracowników, wwiercał się w szarą, galaretowatą substancję składającą się głównie z wody i ponaglał go: dalej dalej dalej pośpiesz się pośpiesz się pośpiesz się... Krew chętnie posłuchałaby wezwania, lecz Kurtz siedział spokojnie, patrzył na Owena Underhilla i myślał o nim. Śpiesz się powoli — to bardzo mądra maksyma. Szczególnie kiedy ma się do czynienia z kimś takim jak Owen. A jak tam pachwina, dobre sobie.

Już mi kiedyś podskoczyłeś, spryciarzu, myślał Kurtz. Może nie całkiem wszedłeś mi w drogę, ale korciło cię, żeby to zrobić, mam rację? Myślę, że mam, i dlatego wolę mieć cię na oku.

— Powtarzają w kółko te same cztery wiadomości — powiedział Underhill, a następnie zaczął: je wyliczać na palcach lewej ręki: — Nie róbcie nam krzywdy. Jesteśmy bezbronni. Nie ma groźby zarażenia. I ostatnia...

— Nie ma groźby zarażenia — mruknął Kurtz. — Dowcipnisie.

Oglądał przecież fotografie złocistoczerwonego świństwa rosnącego na drzewach wokół Punktu Zero. I na ludziach. W większości trupach. Technicy nazwali to „grzybem Ripley”, od nazwiska babki, którą Sigourney Weaver grała w tych filmach o kosmosie. Większość ich była za młoda, żeby pamiętać innego Ripleya, tego od działu „Niewiarygodne, ale prawdziwe” w różnych gazetach. „Niewiarygodne, ale prawdziwe” znikło jakiś czas temu, zupełnie bowiem nie pasowało do nowych, politycznie poprawnych czasów, ale akurat do tej sytuacji pasowałoby jak ulał. W porównaniu z tym, co działo się teraz, wszystkie bliźnięta syjamskie i dwugłowe cielęta starego Ripleya wydawały się zupełnie normalne.

— Ostatnia brzmi Umieramy — ciągnął Underhill. — Zasluguje na szczególną uwagę ze względu na dwie francuskojęzyczne wersje. Pierwsza jest całkiem normalna, druga zaś, *on crève*, to slang, mniej więcej odpowiednik naszego „wyciągamy kopyta” albo „zaraz odwalimy kite”. — Spojrzał wprost na Kurtza, który w tej chwili bardzo żałował, że nie ma z nimi Perlmuttera. Zobaczyłby, że to jednak jest możliwe. — Czy to prawda? Rzeczywiście odwałą kite, nawet bez naszej pomocy?

— Skąd ten francuski, Owen?

Underhill wzruszył ramionami.

— W tych okolicach to wciąż drugi język.

— Aha. A liczby pierwsze? Żeby pokazać, że mamy do czynienia z istotami myślącymi? Tak jakby ktokolwiek inny mógł tutaj dotrzeć z innego układu słonecznego, wymiaru czy z czego tam oni pochodzą?

— Pewnie tak. Co z „latarkami”, szefie?

— Większość pospadała w lesie. Jak tylko wyczerpie się energia, rozsypują się na kawałki. Te, które udało nam się przechwycić, wyglądają jak konserwy, z których ktoś pozdzierał etykiety. Sporo potrafią, jeśli wziąć pod uwagę ich rozmiary. Napędziły miejscowym piętrem.

Każda „latarka”, rozpadając się, rozsiewała zarodniki grzybów Ripley, czy co to było, podobnie zresztą jak sami Obcy. Ci, którzy jeszcze żyli, zgromadzili się wokół swojego statku jak pasażerowie wokół zepsutego autobusu, gędzili, że nikomu nie grozi zarażenie, *il n'y a pas d'infection ici*, niech będzie pochwalony i poproszę jeszcze trochę ciasteczek. Jeśli ten syf dotarł do ciebie, było już po tobie. To znaczy, nikt nie wiedział tego na pewno, było na to jeszcze za wcześnie, ale należało przyjąć takie założenie.

— Ilu E.T. jeszcze tam zostało? — zapytał Owen.

— Najwyżej stu.

— Czy ktoś się orientuje, jak mało tak naprawdę wiemy?

Kurtz machnął lekceważąco ręką. Jemu nie zależało na wiedzy, od tego, żeby wiedzieć, byli inni. Wystarczała mu świadomość, że żaden z tych gości nie był zaproszony na przyjęcie. Jednak Underhill nie dawał łatwo za wygraną.

— Ci, co ocaleli... To załoga?
— Nie wiem, ale chyba nie. Za dużo ich jak na załogę, za mało jak na kolonistów, stanowczo za mało jak na oddział uderzeniowy.
— Tu chodzi o coś więcej, prawda, szefie?
— Jesteś tego pewien, zgadza się?
— Tak.
— Dlaczego?
Underhill wzruszył ramionami.
— Intuicja?
— To nie intuicja — odparł Kurtz niemal łagodnym tonem.
— To telepatia.
— Co takiego?
— Niezbyt silna, ale jednak. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Ludzie coś wyczuwają, jeszcze nie wiedzą co, lecz za parę godzin będą już wiedzieli. Nasi szarzy przyjaciele to telepaci i wszystko wskazuje na to, że rozsiewają swoje zdolności tak samo jak ten grzybek.
— A niech mnie! — wymamrotał Owen Underhill.
Kurtz obserwował spokojnie, jak tamten myśli. Zawsze lubił patrzeć na ludzi, którzy myślą, szczególnie jeśli dobrze to robili, teraz zaś dodatkowo słyszał myśli Underhilla; przypominało to szum oceanu zamknięty w muszli.
— W tym środowisku grzyb nie czuje się dobrze, oni zresztą też — powiedział wreszcie Underhill. — A co z telepatią?
— Jeszcze za wcześnie na oceny. Jeśli zdolności telepatyczne się utrzymają i jeśli rozprzestrzenia się poza to leśne zadupie, w którym jesteśmy, to wszystko się zmieni. Wiesz przecież o tym, zgadza się?
Underhill wiedział.
— Nie mogę w to uwierzyć... — wyszeptał.
— Myślę teraz o samochodzie. O jakim?
Owen patrzył na niego w milczeniu, przypuszczalnie zastanawiając się, czy Kurtz mówi serio. Wreszcie doszedł do wniosku, że tak, i pokręcił głową.
— Skąd mam niby... O fiacie?
— O ferrari. Teraz myślę o lodach. O jakich?
— Pistacjowych.
— Sam widzisz.
Przez jakiś czas Owen nic nie mówił, po czym z wyraźnym wahaniem zapytał Kurtza o imię swego brata.
— Kellogg — odparł Kurtz bez wahania. — Jezu, co to za imię dla dzieciaka?
— Panieńskie nazwisko mojej matki. Boże, więc to telepatia...
— Chyba już niedługo przyjdzie nam pożegnać się z „Milionerami” i „Idź na całość”. Jeżeli to się rozprzestrzeni, ma się rozumieć.
Na zewnątrz rozległ się pojedynczy wystrzał, a zaraz potem krzyk.
— Nie musieliście tego robić! — wołał ktoś z gniewem i strachem w głosie. — Nie musieliście tego robić!
Czekali przez chwilę, lecz krzyk się nie powtórzył.
— Potwierdzone straty Szarych wynoszą osiemdziesięciu ośmiu osobników — poinformował Kurtz. — Przypuszczalnie są znacznie większe. Po śmierci ulegają błyskawicznemu rozkładowi: zostaje po nich tylko breja, a potem ten grzyb, porosty czy licho wie, co to jest.
— W całej Strefie?
Kurtz pokręcił głową.

— Wyobraź sobie klin skierowany cienkim końcem na wschód. Gruby koniec to Błękitny Chłoptaś, my jesteśmy mniej więcej pośrodku. Na wschód od nas zapędzili się tylko nieliczni kolesie o szarej karnacji. „Latarki” pojawiały się niemal wyłącznie nad klinem.

— Tu wszystko ma zostać spalone do gołej ziemi, prawda? — zapytał Underhill. — Nie tylko statek, Szarzy i „latarki”, ale po prostu wszystko?

W tej chwili nie jestem przygotowany, żeby rozmawiać na ten temat.

No pewnie, przemknęło Owenowi przez głowę. Już ci wierzę. Natychmiast zastanowił się, czy Kurtz odczytał jego myśli. Nie sposób było odgadnąć. Nie z tych wyblakłych oczu.

— Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że istotnie zamierzamy wyeliminować wszystkich Szarych. W śmigłowcach szturmowych będą wyłącznie twoi ludzie. Jesteś dowódcą Błękitnych. Czy to jasne?

— Tak jest, proszę pana.

Kurtz nie poprawił go. W tej sytuacji i w obliczu doskonale widocznej dezaprobaty, jaką Underhill darzył to zadanie, „proszę pana” było chyba całkowicie na miejscu.

— Ja jestem Błękitny Jeden.

Owen skinął głową.

Kurtz podniósł się z fotela i wyjął kieszonkowy zegarek. Minęło południe.

— Ta sprawa na pewno się rozniesie — powiedział Underhill. — W Strefie znalazło się mnóstwo obywateli amerykańskich. Tego po prostu nie da się utrzymać w tajemnicy. Ilu ma te... implanty?

Kurtz prawie się uśmiechnął. Łasice, właśnie. Tutaj i teraz — wielu, przez kolejnych parę lat — sporo, ale znacznie mniej. W przeciwieństwie do niego Underhill nic o nich nie wiedział. Paskudztwa. Jedną z zalet bycia szefem polegała na tym, że człowiek nie musiał odpowiadać na pytania, które mu się nie podobały.

— O tym, co się będzie działo później, zadecydują spece od informacji i interpretacji faktów. Nasze zadanie polega na tym, żeby jak najszybciej zareagować na coś, co różni ważni ludzie, łącznie z tym, którego głos prawie na pewno masz nagrany na tej taśmie, uznali za oczywiste i realne zagrożenie dla obywateli Stanów Zjednoczonych. Rozumiesz, chłopcze?

Underhill jeszcze przez chwilę patrzył wprost w wyblakłe oczy Kurtza, po czym wreszcie odwrócił wzrok.

— Jeszcze jedno — dodał Kurtz. — Pamiętasz, co to phooka?

— Irlandzki koń-widmo.

— Mniej więcej. Pamiętaj, że on jest mój. Tylko mój, niczyj poza tym. W Bośni ludzie widzieli cię podobno na moim phooka. Czy to prawda?

Owen nie zaryzykował odpowiedzi, ale Kurtz jakby tego nie zauważył. Nadal przyglądał mu się w skupieniu.

— Nie chcę, żeby to się powtórzyło. Milczenie jest złotem. Kiedy galopujemy na phooka, musimy być niewidzialni. Rozumiesz mnie?

— Tak.

— Na pewno?

— Tak — powtórzył Owen.

Był bardzo ciekaw, ile Kurtz potrafi wyczytać w jego myślach. On bez najmniejszego trudu mógł odczytać nazwę miejscowości, którą teraz Kurtz miał przed oczami. Przypuszczalnie Kurtzowi na tym właśnie zależało. Bosanski Novi.

Mieli już startować, chłopcy Underhilla zastąpili ludzi z ANG, którzy podstawili im cztery CH-47, wirniki obracały się coraz szybciej, a tu nagle Kurtz polecił wstrzymać odlot.

Underhill przekazał rozkaz dalej, po czym przekreślił głowę odrobinę w lewo. Był teraz na kanale łączącym go wyłącznie z Kurtzem.

— Bardzo przepraszam, ale co to ma znaczyć, do kurwy nędzy? — zapytał.

Jeżeli naprawdę musieli to zrobić, chciał załatwić sprawę jak najprędzej i mieć ją za sobą. To było gorsze niż Bosanski Novi, dużo gorsze. Argumenty, że Szarzy to nie ludzie, nie miały najmniejszego sensu. Przynajmniej dla niego. Istoty, które potrafiły zbudować Błękitnego Chłoptasia albo przynajmniej nim przylecieć, musiały być czymś więcej niż ludźmi.

— To nie moja wina, żołnierzu. Chłopcy od pogody w Bangor twierdzą, że to gównu szybko posuwa się na zachód. Ruszamy za pół godziny, najpóźniej za czterdzieści pięć minut. Przyrządy nawigacyjne szlag trafił, więc lepiej zaczekać, jeśli można. A można. Potem jeszcze mi podziękujesz.

Wątpię.

— Zrozumiałem. — Przesunął głowę w prawo. — Conklin?

Tylko bez stopni wojskowych, szczególnie przez radio.

— Jestem, sie... Jestem.

— Przekaż ludziom, że czekamy trzydzieści do czterdziestu pięciu. Powtarzam: trzydzieści do czterdziestu pięciu.

— Zrozumiałem, trzydzieści do czterdziestu pięciu.

— Może czegoś posłuchamy?

— Tak jest. Jakieś konkretne życzenia?

— Puść, co chcesz, byle nie hymn oddziału.

— Zrozumiałem, hymnu nie będzie.

W głosie Conklina nie było ani cienia uśmiechu. Jeszcze jeden, któremu to wszystko nie podobało się co najmniej tak samo jak Owenowi. Rzecz jasna w 1995 Conklin też brał udział w misji nad Bosanskim Novim. W słuchawkach Owena zabrzmiał Pearl Jam; zdjął je i powiesił sobie na szyi jak chomąto. Nie lubił Pearl Jam, ale w tym towarzystwie był w zdecydowanej mniejszości.

Archie Perlmutter i jego ludzie miotali się jak kurczaki z pourzynanymi głowami. Ręce podrywały się do salutów, pośpiesznie opadały, zawrócone w pół drogi, salutujący posyłali ukradkiem niepewne spojrzenia w kierunku małego zwiadowczego helikoptera, w którym siedział Kurtz ze słuchawkami na uszach i rozłożonym egzemplarzem „Derry News” w rękach. Wyglądało na to, że jest całkowicie pochłonięty lekturą, Owen był jednak niemal pewien, że widział każdy niedokończony salut, rejestrował każde naruszenie rozkazów odnoszących się bezpośrednio do tej operacji i każdy nawrót do zwykłych, codziennych obyczajów. Po lewej ręce Kurtza siedział Freddy Johnson. Johnson towarzyszył Kurtzowi mniej więcej od chwili, kiedy arka Noego osiadła na szczycie Araratu. On również był nad Bosanskim i ponad wszelką wątpliwość złożył Kurtzowi szczegółowy raport, gdy ten musiał zostać z tyłu, kiedy ze względu na kontuzję pachwiny nie mógł zasiąść na grzbiecie swego ukochanego irlandzkiego rumaka.

W czerwcu 1995 US Air Force straciły maszynę zwiadowczą w wyznaczonej przez NATO strefie zakazu lotów. Serbowie narobili mnóstwo wrzawy wokół zestrzelonego samolotu kapitana Tommy’ego Callahana i z pewnością narobiliby jej jeszcze więcej wokół pilota, gdyby zdołali go złapać. Dla dowódców Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, prześladowanych wspomnieniami o Wietnamczykach z Północy, którzy triumfalnie prezentowali dziennikarzom z całego świata poddanych praniu mózgu pilotów US Air Force, odzyskanie Tommy’ego Callahana stało się zadaniem priorytetowym.

Ratownicy mieli już dać za wygraną, kiedy ktoś podający się za kapitana Callahana skontaktował się z nimi za pomocą nadajnika pracującego na niskich częstotliwościach. Do zweryfikowania tożsamości tego człowieka wykorzystano informacje uzyskane od dziewczyny Tommy’ego ze szkoły średniej. Test wypadł pomyślnie, człowiek ów bowiem

powiedział, że w pierwszej klasie, po wyjątkowo suto zakrapianej imprezie, nazwano go Pawiarzem, i że przydomek ten towarzyszył mu aż do końca nauki w college'u.

Chłopcy Kurtza wyruszyli po Callahana dwoma śmigłowcami znacznie mniejszymi od tych, których używali dzisiaj. Dowodził Owen Underhill, uznawany powszechnie — chyba nawet on sam tak myślał — za następcę Kurtza. Zadanie Callahana polegało na tym, żeby rozpalic mocno dymiące ognisko, a następnie stanąć z boku i czekać. Zadanie Underhilla polegało na tym, żeby zgarnąć Callahana, samemu pozostając niewidocznym. Zdaniem Owena zachowanie tak daleko posuniętej dyskrecji wcale nie było konieczne, ale Kurtz działał właśnie w taki sposób: jego ludzie mieli być niewidzialni, jego ludzie dosiadali irlandzkich rumaków.

Operacja przebiegła bez najmniejszych zakłóceń. Co prawda jugosłowiańska obrona przeciwlotnicza wystrzeliła kilka rakiet ziemia–powietrze, ale żadna z nich nawet nie zbliżyła się do celu; większość sprzętu wojskowego, jakim dysponował Milošević, nadawała się wyłącznie na złom. W chwili kiedy Callahan wdrapował się na pokład śmigłowca, Owen zobaczył pierwszych i zarazem ostatnich Bośniaków w życiu: pięcioro lub sześcioro dzieci, najstarsze w wieku około dziesięciu lat, przyglądało im się z poważnymi minami. Myśl, że rozkaz Kurtza nakazujący bezwzględną eliminację wszystkich świadków odnosi się również do gromadki brudnych, zabiedzonych dzieciaków, jakoś nie przyszła mu do głowy. Kurtz nigdy nie wspominał o tym zdarzeniu.

Dopiero dzisiaj.

Owen nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że Kurtz jest strasznym człowiekiem. W wojsku jednak służyło wielu strasznych ludzi, niewątpliwie znacznie więcej diabłów niż świętych, i znaczna ich część lubowała się w tajemnicach. Trudno było powiedzieć, co czyniło Kurtza wyjątkowym — wysokiego, melancholijnego mężczyznę o białych rzęsach i nieruchomych oczach. Niełatwo dało się wytrzymać ich spojrzenie, ponieważ nie wyrażały żadnych uczuć: ani miłości, ani rozbawienia, ani nawet ciekawości. Najgorszy był właśnie ten brak ciekawości.

Przed sklep zajęchało poobijane subaru, z którego wysiedli dwaj starzy ludzie. Jeden z nich ścisnął łaskę w ogorzalej ręce, obaj mieli na sobie myśliwskie kamizelki w czarno–czerwonej szachownicy, a na głowach spłowiałe czapki z napisami CASE oraz DEERE. Ze zdumieniem gapili się na otaczających ich żołnierzy. Wojsko u starego Gosselina? Co tu się dzieje, u licha? Każdy z nich liczył sobie co najmniej osiemdziesiąt lat, wciąż jednak rozpiełała ich ciekawość, której brakowało Kurtzowi. Widać to było w ich postawie, nawet w ruchach głowy.

Wszystkie te pytania, których Kurtz nie uznał za stosowne postawić. *Czego chcą? Czy naprawdę zamierzają nas skrzywdzić? Czy nie zaszkodzimy sobie, rozprawiając się z nimi? Czy walcząc z wiatrem, nie ściągniemy na siebie trąby powietrznej? Co takiego było we wcześniejszych spotkaniach, fenomenach świetlnych, anielskich włosach i czerwonym pyle, uprowadzeniach ludzi, które zaczęły się pod koniec lat sześćdziesiątych, że władcy tego świata poczuli się tak bardzo zagrożeni? Czy kiedykolwiek podjęto uczciwą próbę porozumienia się z tymi istotami?*

I wreszcie ostatnie, najważniejsze pytanie: Czy Szarzy byli tacy jak my? Czy pod jakimkolwiek względem przypominali ludzi? Czy to było najzwyczajniejsze, ordynarne morderstwo?

Tych pytań również nie dałoby się dostrzec w spojrzeniu Kurtza.

5

Śnieg nie sypał już tak gęsto, przejaśniło się i dokładnie trzydzieści trzy minuty po zarządzeniu dodatkowego oczekiwania Kurtz dał rozkaz startu. Owen przekazał go

Conklinowi, wirniki zaczęły obracać się coraz szybciej, wzbijając w powietrze tumany świeżego śniegu. Chwilę potem maszyny uniosły się nad korony drzew, ustawiły się za śmigłowcem Underhilla i ruszyły na zachód, w kierunku Kineo. Kiowa 58 z Kurtzem na pokładzie leciał nieco niżej i na prawo od nich. Owenowi nasunęło się skojarzenie z westernem: oni byli oddziałem kawalerii, a maszyna Kurtza indiańskim zwiadowcą, trzymającym się nieco na uboczu. Nie widział tego, ale był niemal pewien, że Kurtz wciąż czyta gazetę. Być może swój horoskop. „Ryby: tego dnia okryjesz się niesławą, więc lepiej nie wstawaj z łóżka”.

Przemykające w dole sosny i świerki to nikły w białej zadymce, to znów się z niej wyłaniały. Śnieg uderzał w dwie przednie szyby chinooka, tańczył na szkle, po czym znikał. Helikopterami potężnie rzucało, ale Owen nie miał nic przeciwko temu. Nałożył słuchawki na uszy. Jakiś inny zespół, być może Matchbox Twenty. Nic nadzwyczajnego, lecz w każdym razie lepszy od Pearl Jam. Owen obawiał się, że usłyszy hymn oddziału... ale wysłuchałby go. Tak, na pewno.

Z chmur i w chmury, od czasu do czasu kawałek ciągnącego się, zdawałoby się bez końca, lasu, wciąż na zachód, na zachód, na zachód.

— Błękitny Dwa do dowódcy Błękitnych.

— Słyszę cię, Drugi.

— Nawiazałem kontakt wzrokowy z Błękitnym Chłoptasiem, czekam na potwierdzenie.

Przez chwilę Underhill nie mógł niczego potwierdzić, ale potem już mógł. Widok, który ujrzał, sprawił, że zabrakło mu tchu w piersi. Fotografia — wszystko jedno, na papierze czy na monitorze komputera — to jedno. To było coś zupełnie innego.

— Błękitny Dwa, potwierdzam. Dowódca Błękitnych do wszystkich Błękitnych: utrzymać pozycję w szyku. Powtarzam: utrzymać pozycję w szyku.

Piloci kolejno potwierdzili otrzymanie rozkazu. Kurtz tego co prawda nie uczynił, ale zastosował się do polecenia. Chinooki i kiowa zawisły w powietrzu niewiele ponad kilometr od uszkodzonego statku kosmicznego. Prowadziła do niego szeroka aleja powalonych drzew.

Teren był bagnisty, martwe drzewa sięgały nagimi gałęziami ku białemu niebu, jakby usiłowały rozedrzeć zasłonę z chmur. Tu i ówdzie leżały łachy śniegu, znacznie częściej jednak można było dojrzeć czarne lustra wody.

Statek, ogromny szary dysk prawie pięćsetmetrowej średnicy, runął na martwe drzewa w środkowej części bagna, rozrzucając ich szczątki we wszystkie strony. Błękitny Chłoptaş (wcale nie był błękitny, ani trochę) znieruchomiał ostatecznie na skraju mokradeł, tam gdzie zaczynał się łańcuch skalistych wzgórz. Znaczna część kadłuba zaryła się w grząski grunt; widoczną, gładką powierzchnię przysypały fragmenty drzew i czarna ziemia.

Ocaleli Szarzy skupili się głównie w pobliżu sterczącego w górę fragmentu kadłuba. Gdyby nie chmury zasłaniające słońce, staliby w jego cieniu. Cóż, ktoś najwyraźniej uważał, że był to raczej koń trojański niż wrak statku kosmicznego, ale te istoty, nagie i bezbronne, nie prezentowały się zbyt groźnie. „Nie więcej niż setka”, powiedział Kurtz, lecz teraz było ich już znacznie mniej, najwyżej sześćdziesięciu. Na śnieżnych łachach Owen dostrzegł kilkanaście ciał w różnych fazach czerwonego rozkładu, kilka leżało twarzami w dół w płytkiej wodzie. Tu i tam, zaskakująco jaskrawe na tle śniegu, widoczne były złocistoczerwone plamy tak zwanego grzyba Ripley... tyle że nie wszystkie były jaskrawe. Owen podniósł lornetkę do oczu. Część plam wyraźnie zszarzała — widocznie nie odpowiadała im temperatura albo skład atmosfery, albo obie te rzeczy naraz. Tak, nie ulegało wątpliwości, że marnie sobie radzą, i to zarówno Szarzy, jak i złocistoczerwony grzyb, który ze sobą przywieźli.

Czy to świństwo rzeczywiście mogło się rozprzestrzeniać? Mocno w to wątpił.

— Halo, dowódca Błękitnych! — odezwał się Conklin. — Jesteś tam, chłopie?

— Jestem. Zamknij się na chwilę.

Owen pochylał się do przodu, sięgnął pod łokciem pilota (Tony Edwards, porządny człowiek) i przełączył nadajnik na wspólny kanał. Nie przyszło mu do głowy, że Kurtz nie bez powodu przypomniał mu o Bosanskim Novim; nie przyszło mu do głowy, że popełnia straszliwy błąd; nie przyszło mu do głowy, że nie docenił rozmiarów szaleństwa Kurtza. Zrobił to prawie nieświadomie, niemal odruchowo — tak przynajmniej miało mu się wydawać później, kiedy wciąż na nowo wracał pamięcią do tego zdarzenia. Ledwo uchwytne ruch palca, kliknięcie przełącznika. Pozornie tak niewiele, a przecież wystarczyło, żeby całkowicie zmienić bieg jego życia.

Niemal natychmiast w słuchawkach rozległ się głos, którego raczej nie rozpoznałby żaden z „chłopców” Kurtza. Wszyscy znali Eddiego Vedera; Walter Cronkite to była zupełnie inna para kaloszy.

— ...zarażenia. *Il n'y a pas d'infection ici.* — Dwie sekundy przerwy, a potem głos, który mógłby należeć do Barbry Streisand: — Sto trzynaście. Sto siedemnaście. Sto dziewiętnaście.

Tamci znowu zaczęli wyliczanie liczb pierwszych od jednego, ponieważ kiedy jechał szkolnym autobusem do sklepu Gosselina, padały już liczby czterocyfrowe.

— Umieramy — ciągnął głos Barbry Streisand. — *On se meurt, on creve.* — Znowu przerwa, a następnie głos Davida Lettermana: — Sto dwadzieścia siedem. Sto...

— Wyłącz to! — ryknął Kurtz. Underhill po raz pierwszy usłyszał w jego głosie autentyczny gniew, niemal wściekłość.

— Owen, dlaczego lejesz tę truciznę w uszy moich chłopców?

Odpowiadaj natychmiast!

— Chciałem tylko sprawdzić, czy coś się zmieniło, szefie.

Oczywiście było to kłamstwo, oczywiście Kurtz o tym wiedział i oczywiście Underhill mógł mieć pewność, że prędzej czy później przyjdzie mu za to zapłacić. Znowu nie rozstrzelał gromadki umorusanych dzieciaków. Kto wie, może tym razem popełnił jeszcze poważniejsze wykroczenie. Mało go to obchodziło. Pieprzyć widmowe irlandzkie konie. Jeśli naprawdę mieli to zrobić, to chciał, żeby chłopcy Kurtza (Powietrzny Dźwig w Bośni, Błękitni tutaj, jakiś inny kryptonim w innym miejscu, tylko twarze wciąż te same, młode i zawzięte) usłyszeli Szarych po raz ostatni. Przybyszów z odległego układu słonecznego, być może nawet z innego wszechświata lub strumienia czasu, posiadaczy wiedzy, która na zawsze miała pozostać nieznaną ich gospodarzom, a raczej katom.

Kurtza, rzecz jasna, nic to nie obchodziło. Niech posłuchają przez chwilę Szarych zamiast Pearl Jam, Jar of Flies lub Rage Against the Machine. Niech posłuchają Szarych odwołujących się naiwnie do lepszej strony ludzkiej natury.

— I co, zmieniło się? — zatrzeszczał w słuchawkach głos Kurtza. Zielony kiowa wciąż wisiał nieco z boku, poniżej formacji maszyn bojowych, tuż nad wierzchołkiem ogromnej sosny targanym wichrem wzniesionym przez łopaty wirnika.

— Zmieniło się coś, Owen?

— Nie, szefie. Ani trochę.

— Więc wyłącz te bzdury. Szkoda czasu, na rany Chrystusa!

Owen odczekał chwilę, po czym odparł, wymawiając z premedytacją każde słowo:

— Tak jest, proszę pana!

6

Kurtz siedział sztywno wyprostowany w prawym fotelu kiowy — jakby kij połknął, tak to się zazwyczaj określa w książkach i filmach. Chociaż dzień był pochmurny, nałożył przeciwsłoneczne okulary, lecz i tak Freddy, jego pilot, zerkał na niego jedynie ukradkiem, kątem oka. Szkła okularów zachodziły daleko na boki twarzy, w związku z czym nie sposób

było domyślić się, gdzie w tej chwili patrzy Kurtz. Raczej nie należało się sugerować kierunkiem, w którym akurat była skierowana jego głowa.

Na kolanach Kurtza leżało najświeższe wydanie „Derry News”. (TAJEMNICZE ŚWIATŁA NA NIEBIE, ZNIKNIĘCIE MYŚLIWYCH PRZYCZYNA PANIKI W REJONIE JEFFERSON TRACT, głosił nagłówek na pierwszej stronie). Kurtz wziął gazetę w ręce i powoli, niespiesznie zaczął ją składać. Był w tym całkiem dobry, wkrótce więc gazeta zamieniła się w to, czym była teraz kariera Owena Underhilla: bezwartościowy papierowy kapelusz. Ten Underhill z pewnością przypuszczał, że czeka go jakaś kara dyscyplinarna, po której otrzyma drugą szansę. Nie zdawał sobie chyba sprawy (i bardzo dobrze, ponieważ dzięki temu stanowił łatwiejszy cel), że to właśnie była jego druga szansa.

Kurtz tylko ten jeden, jedyny raz dał komuś drugą szansę, i gorzko teraz tego żałował. Żeby wykręcić mu taki numer po rozmowie, którą odbyli na zapleczu sklepu... po jasnym, jednoznacznym ostrzeżeniu...

— Kto wyda rozkaz? — zapytał Owen na zamkniętym kanale.

Kurtza zaskoczyły i trochę zaniepokoiły rozmiary jego własnej wściekłości. W znacznej mierze wynikały one z zaskoczenia, jednego z najprostszych uczuć, znanego nawet najmłodszym dzieciom. Owen ugodził go w czuły punkt. Chciałem tylko sprawdzić, czy coś się zmieniło, wierutna bzdura, może to sobie w dupę wsadzić. W długiej i skomplikowanej karierze Kurtza, której początki sięgały aż do lat siedemdziesiątych i Kambodży, Owen Underhill był przypuszczalnie najlepszym zastępcą, jakiego miał, lecz mimo to Kurtz postanowił go zniszczyć. Za sztuczkę z radiem, za to, że poprzedni raz niczego go nie nauczył. Nie chodziło o jakieś zasmarkane dzieciaki w Bosanskim Novim ani o pieprzące coś bez ładu i składu głosy teraz. Nie chodziło o posłuszeństwo rozkazom ani nawet o zasady. Chodziło o linię. O jego linię. Linię Kurtza.

No i jeszcze to „proszę pana”. To przekłete, pogardliwe „proszę pana”.

— Szefie? — Owen był trochę zaniepokojony. I słusznie. Powinien być, na rany Jezusa. — Szefie, kto wyda...

— Freddy, przełącz mnie na kanał ogólny — polecił Kurtz.

Kiowa, znacznie lżejszy od maszyn bojowych, zakołysał się mocno w gwałtownym podmuchu wiatru, lecz ani Freddy, ani Kurtz nie zwrócili na to najmniejszej uwagi.

— Słuchajcie, chłopcy — powiedział Kurtz, spoglądając na cztery stalowe ważki wiszące nad drzewami, poniżej powłoki chmur. Przed nimi rozpościerało się bagno, w nim zaś przechylony pod sporym kątem statek kosmiczny i zgromadzona pod uniesioną częścią kadłuba załoga. — Słuchajcie, chłopcy, bo tatuś wygłosi kazanie. Słuchacie mnie? Czekam na waszą odpowiedź.

Tak, tak, potwierdzam, Roger, słucham, a w tym wszystkim tu i ówdzie jakieś zabłąkane „proszę pana”, ale nic nie szkodzi, zapomnienie a celowe nieposłuszeństwo to dwie zupełnie różne rzeczy.

— Nie jestem mówcą, chłopcy, nie zarabiam gadaniem na życie, ale chcę, żebyście wiedzieli, że to nie jest, powtarzam: że to nie jest przypadek z kategorii „widzisz to, co jest naprawdę”. Widzicie przed sobą kilkadziesiąt szarych bezpłciowych humanoidów, nagich, jak ich Bóg stworzył, i moglibyście, a przynajmniej niektórzy z was mogliby powiedzieć: „Kurde, ależ to biedaki, nadzy i bezbronni, ani chuja, ani pizdy, stoją obok rozpieprzonego kosmicznego autobusu i błagają o litość, chyba tylko ostatni drań mógłby wysłuchać ich żalonych głosów i mimo to dać im łupnia”. Powiadam wam, chłopcy, że to ja jestem tym draniem, tym potworem, tą postindustrialną postmodernistyczną kryptofaszystowską męską lubującą się w przemocy świnią, tak mi Jezu dopomóż, i jeśli ktoś akurat tego słucha, to nazywam się Abraham Peter Kurtz, emerytowany oficer US Air Force, numer służbowy 241771699, i to właśnie ja dowodzę tym atakiem, to właśnie ja biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność za tę masakrę. — Przerwał na chwilę i wciąż wpatrzony w wiszące

nieruchomo śmigłowce, wziął głęboki wdech, po czym ciągnął: — Jestem tutaj również po to, żeby wam powiedzieć, że Szarzy zajmują się nami co najmniej od lat czterdziestych, a ja zajmuję się nimi od lat siedemdziesiątych, i że jeśli jakiś gość zbliża się do was z podniesionymi rękami i woła, że się poddaje, to wcale nie znaczy, słodki Jezu, że nie ma w dupie paru ampułek z nitrogliceryną. Nasi wielcy mędrcy, chluba narodu, najtęższe umysły, twierdzą prawie zgodnie, że Szarzy pojawili się wtedy, kiedy zaczęliśmy detonować bomby wodorowe i atomowe, i że przylecieli, tak jak ćmy przylatują do światła. Nie znam się na tym, nie jestem myślicielem, pozostawiam myślenie innym, lecz wzrok jeszcze mi dopisuje, wiem, co widzę, i mogę wam powiedzieć, chłopcy, że te szare sukinsyny są tak samo nieszkodliwe jak lis w kurniku. Przez tych kilkadziesiąt lat udało nam się paru złapać, ale żaden nie przeżył. Zaraz po śmierci rozkładają się gwałtownie i zostaje z nich to, co widzicie tam w dole, a co nazywacie grzybem Ripley. Czasem wybuchają. Rozumiecie? Wybuchają. Grzyb, który w sobie noszą — chociaż niektórzy mędrcy sądzą, że tak naprawdę to właśnie ten grzyb jest szefem, a Szarzy to tylko ruchome opakowanie — szybko ginie, jeśli nie znajdzie nowego, żywego nosiciela. Powtarzam: żywego nosiciela, a tak się przypadkiem składa, słodki Jezu, że nosicielem, którego najbardziej sobie upodobali, jest stary poczciwy *Homo sap.* Wystarczy porcja, która zmieści się pod paznokciem małego palca, i już po zabawie, można pakować manatki i zabierać się do domu.

Nie była to całkiem prawda, a raczej nie miało to zupełnie nic wspólnego z prawdą, nikt jednak nie walczył równie zaciekle jak przerażony żołnierz. Kurtz wiedział o tym z doświadczenia.

— Nasi szarzy przyjaciele to telepaci i wygląda na to, że potrafią dzielić się z nami na odległość swoimi umiejętnościami. Zarażamy się tym nawet wtedy, gdy nie zarazimy się grzybem, i chociaż niektórzy z was mogliby pomyśleć, że to całkiem niezła rzecz, świetna zabawa, która ułatwi i ubarwi wam życie, to ja wam przypomnę, co czeka parę kroków dalej: schizofrenia, paranoja, oderwanie od rzeczywistości i wreszcie całkowite, powtarzam — całkowite pieprzone szaleństwo. Nasi mędrcy, niech ich Bóg błogosławi, są zdania, że na razie nasze nowo nabyte telepatyczne zdolności są krótkotrwałe, ale nie muszą wam chyba mówić, jak przedstawiałyby się sprawy, gdybyśmy pozwolili Szarym zamieszkać wśród nas i poczuć się jak w domu. Chcę, żebyście wysłuchali bardzo uważnie tego, co wam teraz powiem. Chcę, żebyście wysłuchali tego tak uważnie, jakby zależało od tego wasze życie, dobra? Ludzie, których uprowadzili, a potem wypuścili — większość tych, którzy twierdzą, że coś takiego im się przytrafiło, kłamie jak najęta, ale nie wszyscy — prędzej czy później odkrywali w sobie różne implanty. Niektóre to tylko nieszkodliwe instrumenty, być może nadajniki albo jakieś czujniki, ale zdarzały się również żywe istoty, które zżerały od środka swoich gospodarzy, rosły, tyły, a wreszcie rozrywały ich na kawałki. To robota właśnie tych niewinnych szarych golasów, których widzicie tam, w dole. Twierdzą, że niczym nas nie zarażą, chociaż wiemy doskonale, że są wypełnieni tym złocistoczerwonym świństwem aż po dziurki w tyłkach, naturalnie jeśli je mają. Siedzę w tych sprawach po uszy od dwudziestu pięciu lat i mówię wam, że to jest właśnie to, że tak wygląda inwazja, że zaczęła się największa awantura w historii ludzkości i że właśnie wy stanowicie pierwszą linię obrony. To nie są mali bezbronni E.T. czekający skromniutko, aż ktoś da im kartę telefoniczną, żeby mogli zadzwonić do domu. To jest zaraza. Słodki Jezu, to rak, a my jesteśmy jak wielka dawka chemoterapii i naświetlań. Słyszycie mnie, chłopcy?

Tym razem nie było żadnych „tak jest, Roger, zrozumiałem”, żadnych potwierdzeń, tylko dziki, radosny ryk, naładowany gorliwością. Aż zahuczało w słuchawkach.

— Rak, chłopcy. Oni to rak. Nie jestem mówcą, więc lepiej nie potrafię tego ująć. Rak. Owen, rozumiesz mnie?

— Rozumiem, szefie.

Spokojnie. Spokojnie i bezbarwnie, niech go szlag trafi.

Cóż, niech sobie będzie spokojny, dopóki może. Owen Underhill był już skończony. Kurtz z upodobaniem przyjrzał się papierowemu kapeluszu, który wykonał własnymi rękami. Owen Underhill już nie istniał.

— Co jest tam w dole, Owen? Co łązi wokół statku? Co zapomniało włożyć gacie i buty przed wyjściem z domu?

— Rak, szefie.

— Właśnie. W takim razie wydaj rozkaz i bierzmy się do roboty. Wyśpiewaj go, Owen.

Powoli, niemal celebrując każdy ruch — doskonale wiedział, że chłopcy wpatrują się w jego maszynę, jeszcze nigdy bowiem nie uraczył ich takim kazaniem, chyba tylko we śnie, a najzabawniejsze, że wcale się do tego nie przygotowywał — podniósł obie ręce i przekręcił czapkę daszkiem do tyłu.

7

Owen zobaczył, że Tony Edwards odwraca czapkę tyłem do przodu, usłyszał, jak Bryson i Bertinelli odbezpieczają działka, i zrozumiał, że to się dzieje naprawdę. Ruszali do akcji. Miał do wyboru: albo zabrać się z nimi, albo stanąć na drodze i dać się rozjechać. Kurtz nie zostawił mu innej możliwości.

Było jeszcze coś, coś, co zapamiętał z odległej przeszłości, kiedy miał ile? Siedem? Osiem lat? Może nawet mniej. Bawił się właśnie na trawniku przed swoim domem w Paducah; ojciec był jeszcze w pracy, matka zapewne na zebraniu kółka parafialnego, przygotowując kolejny piknik dobroczynny (w przeciwieństwie do Kurtza, kiedy Randi Underhill mówiła „słodki Jezu”, to naprawdę tak myślała), gdy nagle przed dom sąsiadów zajechała karetka. Bez syreny, za to z mnóstwem migających świateł. Z samochodu wyskoczyli dwaj ludzie w kombinezonach bardzo podobnych do tego, jaki teraz Owen miał na sobie, i pobiegli chodnikiem prowadzącym do drzwi państwa Rapeloew, rozkładając po drodze nosze na kółkach. Radzili sobie tak sprawnie, że wyglądało to prawie jak magiczna sztuczka.

Po niespełna dziesięciu minutach pojawili się znowu, z panią Rapeloew na noszach. Miała zamknięte oczy. Pan Rapeloew wyszedł za nimi, nawet nie zamykając za sobą drzwi. Chociaż był w wieku ojca Owena, nagle jakby postarzał się o kilkadziesiąt lat. To też była magiczna sztuczka. Kiedy sanitariusze wstawiali nosze do karetki, pan Rapeloew spojrzął w prawo i zobaczył Owena klęczącego na trawie w krótkich spodenkach, z piłką w rękach. „To chyba udar! — zawołał. — Szpital Świętej Marii! Powiedz mamie, Owen!”. Zaraz potem wsiadł do karetki, a ta natychmiast odjechała. Przez jakieś pięć minut Owen dalej bawił się piłką, podrzucając ją i łapiąc, co chwilę jednak zerkał na otwarte drzwi w domu sąsiadów i myślał, że powinien je zamknąć, że w ten sposób dokonałby tego, co jego matka nazywała Aktem Chrześcijańskiego Miłosierdzia.

Wreszcie wstał i przeszedł na sąsiedni trawnik. Państwo Rapeloe zawsze byli dla niego dobrzy. Może w żaden szczególny sposób (nic takiego, o czym warto byłoby pisać do domu w środku nocy, jak mawiała jego matka), ale pani Rapeloew zawsze pamiętała o tym, żeby poczęstować go ciasteczkami, pan Rapeloew zaś uczył go robić papierowe samolociki, które naprawdę latały. I to trzy różne rodzaje. Tak więc państwo Rapeloew z pewnością zasługiwali na to, by okazać im chrześcijańskie miłosierdzie, lecz przestępując próg ich domu, Owen doskonale zdawał sobie sprawę, iż znalazł się tu bynajmniej nie z tego powodu. No, chyba że ludziom dokonującym aktów chrześcijańskiego miłosierdzia zawsze stawały siusiaki.

Przez pięć minut — albo piętnaście, a może pół godziny... nie miał pojęcia, ponieważ czas płynął jak we śnie — po prostu wędrował po opustoszałym domu, niczego nie dotykając, z siusiakiem twardym jak korzeń, tak twardym, że aż pulsował jak drugie serce, i chociaż wydawałoby się, że coś takiego powinno boleć, to jednak wcale nie bolało, wręcz przeciwnie, było bardzo przyjemne. Dopiero wiele lat później uzmysłowił sobie, czym była ta wędrowka:

grą wstępną. Fakt, że nie miał nic przeciwko państwu Rapeloew, wręcz przeciwnie, że nawet ich lubił, w jakiś sposób jeszcze tę przyjemność potęgował. Gdyby go ktoś przyłapał (nic takiego nie nastąpiło) i zapytał, dlaczego to zrobił, Owen odpowiedziałby „Nie wiem” i byłaby to szczerą, najprawdziwszą prawdą.

Zrobił raczej niewiele. W łazience na parterze znalazł szczoteczkę do zębów podpisaną DICK. Tak miał na imię pan Rapeloew. Owen zamierzał nasikać na szczoteczkę, starał się z całych sił, ale jego siusiak był tak twardy i nabrzmiaty, że nic nie chciało z niego lecieć, więc tylko na nią napluł, a następnie odstawił na miejsce. W kuchni wylał szklankę wody na płytki grzejne kuchenki elektrycznej, po czym wyjął z przeszklonej szafki duży porcelanowy półmisek.

— Powiedział, że to był upał — oznajmił głośno, trzymając go wysoko nad głową. — Widocznie chodziło o to, że za dużo się opalała i w końcu słońce jej zaszkodziło.

Potem cisnął półmisek w kąt kuchni, a ten roztrzaskał się na tysiąc kawałków. Zaraz później uciekł. Cokolwiek w nim siedziało, cokolwiek postawiło mu siusiaka i rozdeptało gałki oczne do takich rozmiarów, że z trudem mieściły się w oczodołach, pękło jak balon, i gdyby jego rodzice nie przejęli się tak bardzo chorobą pani Rapeloew, niemal na pewno zorientowaliby się, że dzieje się z nim coś dziwnego. A tak, nawet jeśli coś zauważyli, to uznali, że on również martwi się o panią R. Przez cały następny tydzień spał niewiele, a jeśli już udało mu się zasnąć, to dręczyły go koszmarne sny. W jednym z nich pani Rapeloew wróciła ze szpitala tak opalona, że aż czarna, wysuszona, z pomarszczoną i popekaną skórą. Dręczyły go wstyd i poczucie winy (nie tak bardzo jednak, by skłonić go do wyznania grzechów; co powiedziała by swojej głęboko wierzącej matce, gdyby go spytała, co, na litość boską, go opętało?), zarazem jednak ani na chwilę nie zapomniał o bezwładniającej rozkoszy, jaką odczuwał, stojąc w łazience z opuszczonymi spodenkami i próbując nasikać na szczoteczkę do zębów pana Rapeloew, ani cudownego dreszczu, jaki wstrząsnął jego ciałem, kiedy porcelanowy półmisek roztrzaskał się na podłodze. Gdyby był starszy, najprawdopodobniej spuściłby się wtedy w spodnie. Czystość tkwiła w całkowitym braku sensu, radość — w dźwięku, zadowolenie — w majestatycznym pulsowaniu wyrzutów sumienia i powracającej obawie, że wszystko się wyda. Pan Rapeloew powiedział, że to był upał, ale kiedy ojciec Owena wrócił do domu, wyjaśnił mu, że chodziło nie o upał, lecz o udar. W mózgu pani Rapeloew pękło jakieś naczynko krwionośne i to właśnie był udar.

A teraz to wszystko do niego wróciło.

Kto wie, może tym razem jednak się spuszcze, pomyślał. To coś znacznie bardziej imponującego niż sikanie na szczoteczkę do zębów. A potem, kiedy już odwrócił sobie czapkę na głowie: chociaż ogólna koncepcja pozostaje taka sama.

— Jesteś tam, Owen? — Głos Kurtza. — Jeśli zaraz mi nie odpowiesz, uznam, że albo...

— Jestem, szefie. — Brak drżenia czy wahania w głosie. Oczami wyobraźni widział małego spoconego chłopca trzymającego nad głową porcelanowy półmisek. — Chłopcy, jesteście gotowi kopnąć wielką międzygalaktyczną dupę?

Odpowiedział mu entuzjastyczny ryk, w którym zdołał wyróżnić jedno „No pewnie!” i jedno „Rozwalimy ich na kawałki!”.

— Czego chcecie przy tym słuchać?

„Hymnu oddziału!” i „Naszego hymnu!”, i „Pierdolonych Stonesów!”.

— Jeśli ktoś nie chce brać w tym udziału, to ma ostatnią szansę, żeby się wycofać.

Cisza. Na innej częstotliwości, której Owen miał już nigdy nie słuchać, Szarzy błagali o litość znanymi głosami. Na prawo i nieco poniżej unosił się niewielki kiowa OH-58. Owen nie potrzebował lornetki, żeby dostrzec Kurtza siedzącego obok pilota w czapce skierowanej daszkiem do tyłu. Kurtz nie spuszczał go z oka. Na kolanach miał gazetę, nie wiadomo dlaczego złożoną w trójkąt. Od sześciu lat Owen Underhill nie potrzebował drugiej szansy, i bardzo dobrze, ponieważ Kurtz nie uznawał czegoś takiego jak druga szansa. Owen

podejrzewał, że w głębi duszy przez cały ten czas zdawał sobie z tego sprawę. Na razie jednak nie miał czasu o tym myśleć. Pomyśli później, jeżeli będzie musiał. W jego głowie rozblęsnęła ostatnia w miarę sensowna myśl — to ty jesteś rakiem, Kurtz, to ty — po czym zgasła. Miejsce po niej wypełniła czarna, całkowita pustka.

— Dowódca Błękitnych do Błękitnych. Ruszamy do ataku. Otworzyć ogień z odległości dwustu metrów. W miarę możliwości nie ostrzeliwać Błękitnego Chłoptasia, za to rozwalić co do jednego wszystkich szarych sukinsynów. Conk, zagraj nam hymn.

Gene Conklin pstryknął przełącznikiem i włączył discmana leżącego na podłodze kabiny Błękitnego Dwa. Owen, już bez śladu siebie samego w środku, pochylił się naprzód w swojej maszynie i podkręcił głośność.

W jego słuchawkach zabrzmiał głos Micka Jaggera. Owen podniósł rękę, Kurtz zasalutował — nie wiedział i nic go to nie obchodziło, czy był to salut szydery, czy prawdziwy — i Owen opuścił rękę. Przy dźwiękach piosenki Rolling Stonesów, przy dźwiękach hymnu, którego zawsze słuchali, idąc do akcji, śmigłowce obniżyły pułap, zwały szyk i ruszyły w kierunku celu.

8

Szary — ci, którzy jeszcze zostali — zgromadzili się pod nawisem sterczącego z bagna kadłuba ich statku, na końcu szerokiej alei powalonych i roztrzaskanych drzew, którą wyrąbał podczas awaryjnego lądowania. Początkowo nawet nie próbowali kryć się ani uciekać; wręcz przeciwnie, mniej więcej połowa z nich wyszła naprzeciw nadlatującym maszynom i uniosła ręce o długich palcach, tak żeby było wyraźnie widać, iż są puste. Wielkie czarne oczy połyskiwały matowo w sączącym się przez chmury szarym świetle.

Śmigłowce nie zwolniły, chociaż wszyscy członkowie załóg usłyszeli w głowach ostatnią transmisję: „Nie róbcie nam krzywdy, jesteśmy bezbroni, umieramy”. W te słowa, niczym świński ogon, wkręcił się tekst piosenki śpiewanej przez Micka Jaggera: „Pozwólcie, że przedstawię się wam, światowy jestem człowiek, ulubieniec dam; wiele lat przebywam na padole tym, niejedna duszyczka poszła za mną jak w dym...”.

Ciężkie maszyny bojowe w tym samym ułamku sekundy wykonały ciasny zwrot i chwilę potem ożyły działka kalibru 12 mm. Pociski ryły śnieg i wilgotną ziemię, amputowały gałęzie poranionym już wcześniej drzewom, krzesaly blade iskry z kadłuba ogromnego statku, rozrywały na strzępy Szarych stojących nieruchomo z uniesionymi rękami. Poodrywane ramiona spadały na ziemię, brocząc czymś przypominającym różową żywicę, głowy eksplodowały jak granaty, czerwone rozbryzgi dosięgały zarówno statku, jak i stojących, leżących lub padających właśnie ciał — nie była to krew, lecz dziwaczna, przypominająca porosty lub mech substancja, jakby głowy Szarych były wypełnione nią po brzegi, jakby przede wszystkim pełniły funkcję zwykłych pojemników. Kilku Szarych zostało przeciętych w pół i runęło na ziemię z wciąż podniesionymi błagalnie rękami. Chwilę potem ich ciała bładły i jakby zaczynały wrzeć.

„Byłem już tu, przyznam się wam, gdy Chrystus cierpiał i wątpił sam...” — wyznawał Mick Jagger.

Kilku Szarych, tych stojących najbliżej kadłuba, odwróciło się, jakby zamierzali rzucić się do ucieczki, ale nie mieli dokąd uciekać. Większość została natychmiast skoszona seriami pocisków, nieliczni zaś, którzy przeżyli — było ich najwyżej czterech — skryli się w skąpym cieniu swego statku. Coś tam majstrowali, coś kombinowali, i Owena nagle ogarnęło paskudne przecucie.

— Załatwię ich! — zatrzeszczał w słuchawkach podekscytowany głos Deforesta z Błękitnego Cztery. Nie czekając na zgodę Underhilla, ale oczekując jej lada moment, pilot

sprowadził chinooka niemal nad samą ziemię, tworząc miniaturową zamieć ze śniegu, ziemi i błotnistej wody.

— Nie zgadzam się, powtarzam, nie zgadzam się, wracaj natychmiast na pozycję plus pięćdziesiąt! — ryknął Owen i niemal równocześnie rąbnął Tony'ego w ramię. Tony, tylko nieznacznie odmieniony przez przezroczystą maskę zakrywającą nos i usta, posłusznie przyciągnął orczyk do siebie i dowódca Błękitnych poderwał się chwiejnie w górę w rozedrganym powietrzu. Poprzez ryk silnika, łomot perkusji i zawrozczenie chóru — „Współczując diabłu” leciało dopiero pierwszy raz — Owen usłyszał niezadowolone głosy załogi. Kiowa był już daleko; o Kurtzu dało się powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że jest głupcem, do tego zaś dysponował wręcz niesamowitym instynktem.

— Szefie, ale...

Deforest był nie tylko rozczarowany. Był po prostu wściekły.

— Powtarzam: natychmiast wracać na pozycje wyjściowe! Wszyscy Błękitni, natychmiast...

Eksplozja wbiła go w fotel i cisnęła chinookiem w górę jak zabawką. Tony Edwards kłął na czym świat stoi i walczył ze sterami, z tyłu ktoś krzychał, stracili jednak tylko Pinky'ego Brysona, który akurat wychylał się, żeby lepiej widzieć, i wypadł, kiedy fala uderzeniowa dotarła do śmigłowca.

— Mam go, mam go, mam go! — cedził Tony przez zaciśnięte zęby, Owen jednak odniósł wrażenie, że minęło co najmniej trzydzieści sekund, zanim pilot rzeczywiście zdołał opanować maszynę. Było to najdłuższe trzydzieści sekund jego życia. Hymn ucichł, co raczej nie napawało szczególnym optymizmem co do losów Conklina i chłopców z Błękitnego Dwa.

Kiedy Tony zawrócił śmigłowiec, Owen spostrzegł, że przednia szyba z perspeksu jest pęknięta w dwóch miejscach. Z tyłu ktoś wciąż krzychał; okazało się, że to Mac Cavanaugh, który w jakiś sposób zdołał stracić dwa palce.

— Niech to szlag trafi! — wymamrotał Tony, po czym dodał: — Uratowałeś nasze tyłki, szefie. Dzięki.

Owen prawie go nie słyszał, jego uwagę przykuł bowiem wrak statku Szarych. Kadłub rozpadł się co najmniej na trzy części; trudno było ocenić to dokładnie, ponieważ w powietrzu wciąż jeszcze latały mniejsze i większe fragmenty, dodatkowo zaś zrobiło się jakby mgliście i czerwonomarańczowo. Znacznie lepiej były widoczne szczątki maszyny Deforesta. Chinook leżał na boku w bagnie, wokół niego na powierzchnię wydostawały się wielkie bąble powietrza, tuż obok, niczym gigantyczne wiosło, unosiła się urwana łopata wirnika. Kilkadziesiąt metrów dalej pulsowała kula jaskrawopomarańczowego ognia. Tyle zostało z Conklina i Błękitnego Dwa.

Na wspólnej częstotliwości wybuchło potworne zamieszanie.

— Szefie, halo, szefie, widzę... — To był Blakey z Błękitnego Trzy.

— Trójka, tu dowódca. Masz natychmiast...

— Szefie, tu Trzeci. Widzę żywych ludzi, powtarzam, widzę żywych ludzi z Drugiego! Trzech... Nie, czterech! Schodzę na...

— Zabraniam, powtarzam, zabraniam! Natychmiast wracaj na pozycję plus pięćdziesiąt... Poprawka: na pozycję plus sto pięćdziesiąt, jeden pięć zero! Natychmiast!

— Ale, proszę pana... To znaczy, szefie... Widzę Friedmana, on się pali, kurwa, on się pali!

— Słuchaj mnie, Blakey. — Nie sposób było nie rozpoznać chrapliwego głosu Kurtza. Kurtza, który już wcześniej oddalił się od zagrożenia. Zupełnie jakby wiedział, co się zaraz stanie, przeniknęło Underhillowi przez głowę. — Zabieraj zaraz stamtąd swój śmierzący tyłek, bo jak nie, to daję ci słowo, że za tydzień będziesz przerzucał wielbłądzie gówno w bardzo gorącym kraju, w którym woda jest całkowicie zakazana. Bez odbioru.

Trzeci umilkł. Zaraz potem oba ocalałe chinooki wspięły się na pułap stu pięćdziesięciu metrów. Owen w milczeniu obserwował rozszerzającą się ciągle chmurę Ripley i zastanawiał się, czy Kurtz wiedział, czy tylko przeczuwał, i czy on i Blakey zdołali w porę uciec. Cokolwiek twierdzili Szarzy, niebezpieczeństwo zarażenia istniało i wynosiło równe sto procent. Oni sami byli chodzącą zarazą. Owen nie miał pojęcia, czy było to wystarczające usprawiedliwienie dla tego, co właśnie zrobili, podejrzewał jednak, iż rozbitkowie z maszyny Raya Deforesta są już żywymi trupami. Albo nie wiadomo czym, Bóg jeden bowiem wiedział, w co mieli się teraz zmienić.

Radio ożyło.

— Owen.

Tony spojrzął na niego z uniesionymi brwiami.

— Owen.

Underhill westchnął i przełączył się na kanał łączący go bezpośrednio z Kurtzem.

— Jestem, szefie.

9

Kurtz wciąż trzymał na kolanach kapelusz z gazety. Zarówno on i Freddy, jak i wszyscy chłopcy z grupy szturmowej mieli na twarzach maski. Przypuszczalnie mieli je również ci biedacy na ziemi. Maski najprawdopodobniej były zupełnie bezużyteczne, Kurtz jednak, który nie miał najmniejszego zamiaru zarazić się Ripley, wolał dmuchać na zimne. Poza tym musiał przecież dawać przykład. Jeśli zaś chodzi o Freddy'ego Johnsona... Cóż, miał co do niego pewne plany.

— Jestem, szefie — usłyszał w słuchawkach głos Underhilla.

— To był pokaz doskonałego strzelania, jeszcze lepszego latania i wyśmienitego myślenia. Ocalałeś życie swoje i chłopców. Znowu jesteśmy razem. Zaczynamy od początku, rozumiesz?

— Tak jest, szefie. Rozumiem i doceniam.

A jeśli w to wierzysz, pomyślał Kurtz, to znaczy, że jesteś głupszy, niż na to wyglądasz.

10

Za plecami Owena Cavanaugh wciąż jęczał, ale coraz ciszej. Joe Blakey ciągle milczał jak zakłęty; być może zaczął sobie zdawać sprawę ze złowrogich następstw wynikających z pojawienia się zlocistoczerwonej mgiełki, której może zdołali, a może nie zdołali uniknąć.

— Wszystko w porządku, chłopcze? — zapytał Kurtz.

— Mamy rannego, ale ogólnie rzecz biorąc, jest dobrze.

Za to sprzątaczkę będą miały kupić roboty. Zdaje się, że zostawiliśmy po sobie niezły burdel.

Śmiech Kurtza przypominał krakanie wrony.

11

— Freddy.

— Tak, szefie?

— Musimy mieć oko na Owena Underhilla.

— W porządku.

— Jeśli będziemy musieli szybko zniknąć — wiesz, Cesarska Dolina — Underhill ma tu zostać.

Freddy Johnson nic nie odpowiedział, tylko skinął głową i dalej pilotował śmigłowiec. Porządny chłopak. Wiedział, kogo się trzymać. Nie tak jak inni.

— Freddy, chcę jak najszybciej wrócić do tego zaszranego sklepiku. Nie oszczędzaj koni. Muszę tam być co najmniej piętnaście minut przed Owenem i Blakeyem. Dwadzieścia, jeśli to możliwe.

— Tak, szefie.

— Muszę też mieć bezpieczne satelitarne połączenie z Cheyenne Mountain.

— Da się zrobić, szefie. Będzie pan je miał za pięć minut.

— Za trzy, chłopcze. Postaraj się, żeby było za trzy.

Kurtz rozsiadł się wygodnie w fotelu i obserwował przemykający w dole las. Tyle drzew, tyle zwierząt, całkiem sporo ludzi, o tej porze roku w większości ubranych w pomarańczowe lub kraciaste kamizelki. Pomyśleć, że za tydzień, a może nawet już za siedemdziesiąt dwie godziny, zrobi się tu pusto i martwo jak na Księżycu. Szkoda, ale na szczęście w Maine nikt nie mógł uskarżać się na niedostatek lasów.

Kurtz przeniósł wzrok na kapelusz z gazety, zakręcił nim na palcu. Jeśli to będzie możliwe, wsadzi go Underhillowi na głowę, jak tylko ten przestanie oddychać.

— Chciał jedynie sprawdzić, czy coś się zmieniło — powiedział cicho.

Freddy Johnson, który wiedział, kogo się trzymać, udał, że niczego nie słyszy.

12

Mniej więcej w połowie drogi do sklepiku Gosselina — szybki kiowa Kurtza zamienił się już w ledwo widoczny punkcik nad horyzontem — Owen jak urzeczony wpatrywał się w prawą rękę Tony’ego Edwardsa, zaciśniętą na jednym z uchwytów wygiętego orczyka chinooka. Tuż przy paznokciu kciuka, cienka jak włos, widniała złocistoczerwona kreska. Owen zdążył już obejrzeć swoje ręce, zrobił to co najmniej równie dokładnie jak higienistka w szkole w dawno minionych czasach, kiedy państwo Rapeloew byli jeszcze ich sąsiadami. Niczego jak dotąd nie dostrzegł, ale skoro ślad pojawił się już na ręce Tony’ego, to on przypuszczalnie też nie będzie musiał długo czekać.

Underhillowie byli baptystami, więc Owen doskonale znał historię Kaina i Abla. „Głos krwi brata twego wołał do mnie z ziemi” — powiedział Bóg, po czym zesłał Kaina do krainy Nod, na wschód od rajy. Miał tam żyć z małymi ludźmi, jeśli wierzyć jego matce. Zanim jednak Bóg puścił go wolno, nazaczył go, tak by nawet mali ludzie z krainy Nod wiedzieli, z kim mają do czynienia. Widząc złocistoczerwony ślad na kciuku Tony’ego i szukając takiego samego na własnych rękach, Owen był prawie pewien, że wie, jaki kolor miało znamię Kaina.

ROZDZIAŁ JEDENASTY WĘDRÓWKA JAJOTŁUKA

1

Henry przekonał się, że samobójstwo ma głos. Próbowano się przed nim usprawiedliwić. Problem polegał na tym, że niezbyt biegle władało angielskim, w związku z czym najczęściej posługiwało się własnym pidżynem. Było to jednak mało istotne, liczył się bowiem sam akt mówienia. Jak tylko Henry dopuścił samobójstwo do głosu, jego życie stało się znacznie łatwiejsze. Zdarzały mu się nawet przespane noce (niewiele, ale wystarczająco często) i nie miewał już naprawdę złych dni.

Aż do dzisiaj.

Co prawda na skuterze śnieżnym siedziało ciało Jonesy'ego, jednak to coś, co znajdowało się we wnętrzu jego starego przyjaciela, było pełne obcych obrazów i celów. Możliwe, że siedział tam również Jonesy — Henry tak w każdym razie przypuszczał — ukrył się jednak zbyt głęboko i stał się zbyt słaby, żeby przydać się na cokolwiek. Wkrótce zapewne całkiem zniknie, i tak będzie dla niego lepiej.

Henry obawiał się, że istota kierująca Jonesym wyczuje jego obecność, ale Arktyczny Kot minął go, nie zmniejszając prędkości, i popędził dalej. W kierunku Pete'a. A potem dokąd? Po co? Henry nie chciał o tym myśleć, nie chciał się tym przejmować.

Po jakimś czasie ruszył w dalszą drogę do Dziury w Murze, nie dlatego żeby spodziewał się tam jeszcze cokolwiek zastać, ale dlatego że po prostu nie miał dokąd pójść. Kiedy dotarł do bramy z tabliczką, na której widniało tylko jedno słowo — CLARENDON — wypłuł na rękę kolejny ząb, przyjrzał mu się, po czym rzucił go gdzieś na bok. Śnieg przestał padać, lecz niebo wciąż było zasnuwane chmurami, a wiatr chyba z wolna przybierał na sile. Czy w radiu mówili coś o podwójnym uderzeniu burzy śnieżnej? Nie pamiętał, nie był pewien, czy to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Na zachód od niego rozległa się potężna eksplozja. Spojrzał bez większego zainteresowania w tę stronę, ale niczego nie zobaczył. Coś uległo katastrofie lub wybuchło; w tej samej chwili umilkła większość głosów w jego głowie. Nie miał pojęcia, czy te wydarzenia miały ze sobą jakiś związek ani czy powinien się tym przejmować. Przeszedł przez otwartą bramę i kroczył po śladach skutera, zbliżył się do chaty.

Generator terkotał jednostajnie, drzwi do domu stały otworem. Henry przyjrzał się uważnie płaskiemu granitowemu głazowi pełniącemu funkcję progu. W pierwszej chwili pomyślał, że są na nim ślady krwi, ale przecież krew, wszystko jedno świeża czy zaschnięta, nie połyskiwała złocistą czerwienią. Miał przed sobą coś organicznego, być może mech albo jakiś porost... I coś jeszcze.

Odchylił głowę do tyłu i powoli wciągnął powietrze. Przed oczami stało mu wyraźne jak obraz, absurdalne wspomnienie sprzed miesiąca, kiedy zaprosił do restauracji byłą żonę i wachał wino nalane przez kelnera, myśląc: My wachamy wino, psy obwąchują sobie tyłki, a wszystko sprowadza się mniej więcej do tego samego. Zaraz potem, w krótkim, lecz równie wyraźnym rozbłysku, pojawiło się inne wspomnienie: strużki mleka płynące po podbródku ojca. Uśmiechnął się do Rhondy, ona uśmiechnęła się do niego, a on pomyślał, jak bardzo by chciał, żeby to wszystko wreszcie się skończyło, i żeby skończyło się szybko i bezboleśnie.

Teraz nie czuł jednak wina, tylko bagnistą, duszącą woń. Przez kilka sekund nie mógł jej z niczym skojarzyć, a potem spłynęło na niego olśnienie: kobieta, przez którą mieli wypadek. Tutaj też cuchnęło jej pierdnięciami.

Henry stanął na granitowym progu, zdając sobie sprawę, że czyni to po raz ostatni, i czując na barkach ciężar tych wszystkich lat: żartów, rozmów, piw, czasem czegoś mocniejszego, walki o żarcie w 1996 (a może to był 1997), huku wystrzałów, woni prochu i krwi

oznaczającej nadejście sezonu polowań na jelenie, zapachu śmierci, przyjaźni i dziecięcej wspaniałości.

Ponownie pociągnął nosem. Odór był tutaj znacznie silniejszy, bardziej chemiczny niż organiczny. Zajrzał do środka. Złocistoczerwone nie wiadomo co pokrywało niemal całą podłogę, lecz tu i ówdzie wciąż było widać gołe deski. Na indiańskim dywanie urosło tego tyle, że nie dało się już rozpoznać wzoru. Cokolwiek to było, najwyraźniej znacznie lepiej radziło sobie w cieple niż w zimnie, ale i tak tempo wzrostu mogło budzić niepokój.

Podniósł już nogę, by wejść do środka, lecz w ostatniej chwili zrezygnował, cofnął się o dwa albo trzy kroki i po prostu stał nieruchomo na śniegu, myśląc o swoim krwawiącym nosie i brakujących zębach, które miał jeszcze, kiedy obudził się tego ranka. Jeśli ten przypominający mech twór rozsiewał jakieś wirusy w rodzaju Eboli lub Hanty, to jakiegokolwiek działanie miało tyle samo sensu co zamykanie wrót stodoły po tym, jak koń został już ukradziony. Z drugiej strony jednak, po co niepotrzebnie ryzykować?

Odwrócił się i ruszył dokoła chaty w kierunku Parowu, wciąż trzymając się ścieżki wytyczonej przez Arktycznego Kota, żeby nie brnąć w świeżym śniegu.

2

Drzwi szopy również były otwarte na oścież. Henry nagle ujrzał Jonesy'ego, zupełnie jak żywego: zatrzymał się na chwilę w drodze po skuter, oparł się o futrynę, przechylił lekko głowę, nasłuchując... Czego?

Niczego. Nie krakały wrony, nie wrzeszczały sroki, dzięcioły nie stukały w drzewa, wiewiórki nie skrobały pazurkami w pnie. Słychać było tylko wiatr oraz od czasu do czasu głucho pacnięcie śnieżnej czapy, która spadła z sosnowej lub świerkowej gałęzi. Zwierzęta i ptaki znikły, przeprowadziły się wszystkie naraz jak menażeria z filmu rysunkowego.

Henry skupił się, usiłując sobie przypomnieć wnętrze szopy. Pete poradziłby sobie z tym znacznie lepiej. Pete zamknąłby oczy, przez chwilę poruszałby palcem wskazującym w lewo i prawo, a potem opowiedziałby wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Cóż, tym razem będzie musiał sobie poradzić bez nadzwyczajnych zdolności przyjaciela. Był tam przecież nie dalej niż wczoraj, szukał czegoś, czym mógłby otworzyć zatrzaśnięte na amen drzwiczki szafki kuchennej. Zauważył wtedy to, czego teraz potrzebował.

Wykonał kilka głębokich wdechów i wydechów, napełnił płuca powietrzem, przysłonił ręką nos i usta, po czym wszedł do środka. Przez kilka sekund stał nieruchomo, czekając, aż jego wzrok przyzwyczai się do półmroku. W miarę możliwości wołałby nie dać się niczemu zaskoczyć.

Kiedy już wszystko wyraźnie widział, przeszedł przez puste miejsce, w którym jeszcze niedawno stał skuter śnieżny. Na podłodze zostały tylko stare i nowe plamy oleju, ale na ciśniętej w kąt zielonej płachcie, którą był przykryty skuter, dostrzegł wyraźne złocistoczerwone ślady.

W części warsztatowej panował niesamowity bałagan: poprzewracane słoiki ze starannie posegregowanymi gwoździami, wkrętami i śrubkami, stara gwintownica, należąca jeszcze do Lamara Clarendona, przewrócona na podłogę, wszystkie szuflady z narzędziami powysuwane, szafki pootwierane i wybebeszone. Któryś z nich, Beaver albo Jonesy, przeszedł tędy jak trąba powietrzna, szukając czegoś w popłochu.

Jonesy.

Henry nie miał pojęcia, co to było, wiedział jednak na pewno, że szukającym był Jonesy i że ogromnie mu zależało na znalezieniu tego czegoś. Im obu zależało. Ciekawe, czy to znalazł. Tego zapewne również miał się nigdy nie dowiedzieć, chwilowo jednak zanadto się tym nie przejmował, dostrzegł bowiem to, po co przyszedł: wisiało na gwoździu nad stertą puszek z farbami i pistoletów lakierniczych.

Wciąż zasłaniając ręką nos i usta, z wstrzymanym oddechem, Henry podszedł tam szybkim krokiem. Na gwoździu wisiały zakrywające usta i nos maski dla lakierników. Zgarnął je wszystkie i odwrócił się w samą porę, by dostrzec jakieś poruszenie za drzwiami. Co prawda nie krzyknął, ale serce podskoczyło mu do gardła i choć całkiem niedawno wciągnął pełen haust powietrza, to nagle zrobiło mu się bardzo, ale to bardzo duszno. Nic tam nie ma, to na pewno tylko jego wyobraźnia... Nie, jednak coś tam było. Światło dostawało się do środka nie tylko przez otwarte drzwi, lecz również przez niewielkie brudne okienko nad warsztatem. Henry najzwyczajniej w świecie przestraszył się własnego cienia.

Czterema wielkimi krokami opuścił szopę, ściskając w prawej ręce elastyczne taśmy masek. Jeszcze cztery kroki po śladach skutera śnieżnego i dopiero wtedy wypuścił powietrze z pękających płuc. Zgiął się wpół, oparł ręce na udach tuż nad kolanami i dyszał ciężko, czekając, aż sprzed oczu znikną mu roztańczone czarne plamy.

Ze wschodu dobiegały odgłosy strzałów. Sądząc po częstotliwości i głośności, nie była to broń myśliwska, lecz automatyczna. Oczami wyobraźni Henry ujrzał obraz równie wyraźny jak wspomnienie mleka spływającego po brodzie ojca albo widok Barry'ego Newmana uciekającego w popłochu z jego gabinetu. Zobaczył padające dziesiątkami i setkami jelenie, sarny, kuny, łasice i króliki, uciekające gremialnie przed złościczerwoną zarazą, zobaczył śnieg zbrukany niewinną (choć z pewnością zakażoną) krwią. Wizja ta sprawiła mu zaskakująco głęboki ból, dotarła aż do miejsca, które nie było martwe, tylko pogrążone w letargu. Właśnie to miejsce tak gwałtownie reagowało na płacz Dudditsa, śląc sygnały osiagające w końcu tak wielkie natężenie, że Henry'emu wydawało się, iż lada chwila eksploduje mu głowa.

Wyprostował się, zobaczył na rękawiczce świeżą krew i krzyknął w niebo „Kurwa mać!” z wściekłością, ale i rozbawieniem. Pieczołowicie zasłaniał sobie usta i nos, zdobył maski, zamierzał nałożyć jedną albo nawet dwie przed wejściem do chaty, zupełnie zapomniał natomiast o ranie uda, której się nabawił podczas wywrotki scouta na Deep Cut Road. Jeżeli w szopie było coś, czym mógł się zarazić, na przykład jakieś wyziewy wydzielane przez tajemniczy grzyb, to najprawdopodobniej już się tym zaraził. Zresztą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zaraziłby się tak czy inaczej, bo przecież przedsięwzięte przez niego środki ostrożności nie należały do szczególnie wyrafinowanych. Wyobraził sobie tablicę ostrzegawczą z wielkim czerwonym napisem: UWAGA, TEREN SKAŻONY BIOLOGICZNIE! UPRASZA SIĘ O WSTRZYMYWANIE ODDECHU I ZASŁANIANIE RĘKĄ OTWARTYCH RAN!

Zarechotał ponuro, a następnie skierował się z powrotem do chaty. Dobry Boże, przecież i tak nie zamierzał żyć wiecznie.

Kanonada na wschodzie nie milkła.

3

Stojąc ponownie przed otwartymi drzwiami, Henry obmacał tylne kieszenie w płonnej nadziei znalezienia tam chusteczki... i rzeczywiście jej nie znalazł. Dwie rzadko dość istotne, za to niezbyt nagłaśniane atrakcje długiego przebywania w leśnej głuszy polegały na tym, że można było sikać tam, gdzie się stało, i smarzać na ziemię wtedy, kiedy miało się na to ochotę. Było w tym coś głęboko satysfakcjonującego — przynajmniej z męskiego punktu widzenia. Jeśli się trochę zastanowić, to doprawdy trudno było uwierzyć, jak kobiety mogły kochać najlepszych z nich i choćby tolerować pozostałych...

Zdjął kurtkę, koszulę i gruby podkoszulek. Został tylko w spranym T-shircie Red Sox z napisem GARCIPARRA 5 na plecach, zaraz jednak ściągnął go, złożył w coś na podobieństwo bandażu i owinął sobie lewą nogę w miejscu, w którym w nogawce dżinsów widniało otoczone krwawą plamą rozdarcie. Znowu nasunęło mu się porównanie z

zamykaniem drzwi stajni po tym, jak złodzieje wyprowadzili wszystkie konie, ale przecież trzeba do końca przestrzegać rytuału, czyż nie tak? W każdym formularzu trzeba schludnie i czytelnie wypełnić wszystkie wolne miejsca. Na tej zasadzie opierało się całe jego życie i Henry nie widział powodu, dla którego miałby się jej sprzeniewierzyć nawet teraz, przypuszczalnie u jego kresu.

Ukrył ponownie pod ubraniem pokrytą gęsią skórą górną połowę ciała, a następnie nałożył na twarz dwie maski lakiernicze. Wyobraził sobie, że dwoma kolejnymi okrywa uszy, ostatnią zaś, piętą, jedno oko, i parsknął śmiechem.

— Jeśli ma mnie załatwić, to i tak mnie załatwi — powiedział głośno, w duchu jednak dodał zaraz potem, że to nie powód, by całkowicie zrezygnować z ostrożności. Odrobina ostrożności jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła, jak mawiał stary Lamar.

Nawet w tym krótkim czasie, jaki Henry spędził w szopie na narzędzia, panoszący się wewnątrz chaty grzyb (albo porosty, albo cokolwiek to było) poczynił znaczne postępy. Indiański dywan znikł całkowicie pod jego warstwą i gdyby Henry nie wiedział, że tam jest, z pewnością nie zdołałby się tego domyślić. Żłocistoczerwone plamy pokazały się na kanapie, kuchennej ladzie i na dwóch z trzech wysokich stołków ustawionych przy niej od strony pokoju. Zygzakowata czerwona kreska pięła się w górę po stołowej nodze; ten widok przywiódł mu na myśl mrówki, które gromadzą się wzdłuż nawet najwyższej ścieżki z rozsypanego cukru. Najbardziej przygnębiające wrażenie wywierała żłocistoczerwona pajęczyna zwisająca z sufitu nad dywanem. Dopiero po kilkunastu sekundach Henry uświadomił sobie, co to jest: należący jeszcze do Lamara Clarendona łowca snów. Henry mocno wątpił, czy kiedykolwiek się dowie, co się tutaj naprawdę zdarzyło, lecz jedno nie ulegało żadnej wątpliwości: tym razem łowca snów upolował autentyczny koszmar.

Chyba nie wybierasz się dalej, prawda? Nie po tym, jak zobaczyłeś, w jakim tempie to się rozprzestrzenia? Jonesy wyglądał całkiem w porządku, kiedy cię mijał na skuterze, ale w środku wcale nie był w porządku i ty o tym wiesz. Czujesz to. Chyba więc nie zamierzasz wejść do środka?

— Chyba jednak wejdę — powiedział Henry głosem stłumionym przez dwie maski z grubej bibuły. — Jeżeli to mnie dorwie, to po prostu się zabiję.

Śmiejąc się jak Stubb z „Moby Dicka”, wszedł do chaty.

4

Grzyb rósł większymi lub mniejszymi kępkami albo pokrywał płaskie powierzchnie gęstą, ale niezbyt grubą warstwą — z jednym wyjątkiem. Wyjątek ten, w postaci sporego pagórka, znajdował się tuż przed drzwiami łazienki. Wystrzelające z niego odrosty wspinały się po futrynie na wysokość niemal półtora metra. Od strony pokoju pagórek rozdzielał się na dwa wydłużone, oddalające się od siebie garby, które Henry’emu skojarzyły się niezbyt przyjemnie z rozrzuconymi nogami. Zupełnie jakby grzyb porastał czyjeś zwłoki. Z zakamarków pamięci wypłynęło wspomnienie artykułu, który dość pobieżnie przeglądał na zajęciach z medycyny. Artykuł ten zawierał kilka wstrząsających fotografii z biura koronera, w tym również jedną przedstawiającą nagie ciało ofiary, znalezione w lesie mniej więcej cztery dni po zabójstwie. W zgięciu kolana, między palcami stopy i przy samym karku zdążyły wyrosnąć muchomory.

Cztery dni — proszę bardzo, ale przecież tutaj jeszcze rano nie było ani śladu żadnego żłocistoczerwonego grzyba! Minęło zaledwie...

Spojrzał na zegarek i zauważył, że wskazówki zatrzymały się na za dwadzieścia dwunasta. Znajdował się teraz w Strefie Bezczasowej.

Odwrócił się raptownie i zajrzał za drzwi, niemal pewien, że coś się tam kryje. Nic nie było, tylko oparty o ścianę garand Jonesy’ego. Henry przyjrzał mu się uważnie, nie dostrzegł

żadnych podejrzanych śladów, wziął więc sztucer do ręki. Zabezpieczony, pocisk w komorze. Doskonale. Zarzucił go sobie na ramię i ponownie skupił uwagę na wywołującym niemiłe skojarzenia pagórku przed wejściem do łazienki. W powietrzu wisiała ostra woń eteru wymieszana z czymś siarkopochodnym i chyba nawet jeszcze bardziej nieprzyjemnym. Bardzo powoli, krok za krokiem zbliżał się do łazienki, obawiając się (i będąc o tym coraz bardziej przekonany), iż czerwony pagórek z przypominającymi nogi odgałęzieniami jest wszystkim, co zostało z jego przyjaciela Beavera. Spodziewał się, że lada chwila ujrzy jego czarne włosy i doca martensa, którego Beaver nazywał swoim „dowodem solidarności z lesbijkami”. Ubzdurał sobie kiedyś, że doc martens to sekretny znak, dzięki któremu rozpoznają się lesbijki, i nikt nie potrafił wybić mu tego z głowy. Równie głęboko wierzył w to, że światem tak naprawdę rządzą ludzie o nazwiskach Rothschild lub Goldfarb, najprawdopodobniej ukryci w gigantycznym bunkrze w Kolorado. Taki właśnie był Beaver, który najchętniej dawał wyraz zdumieniu, wołając „a niech mnie Freddy przeleci!”.

Sytuacja przedstawiała się jednak tak, że nie mógł w żaden sposób przekonać się, czy ów wzgórek to naprawdę szczątki jego przyjaciela, czy w ogóle szczątki kogokolwiek. Być może po prostu zbyt gorliwie zinterpretował sugestywny kształt. Coś błysnęło w przypominającej porosty masie i Henry pochylił się nad pagórkiem, zastanawiając się, czy złocistoczerwona substancja kiełkuje już na niczym nieosłoniętych, wilgotnych powierzchniach jego oczu. Błyszczący przedmiot okazał się gałką od drzwi do łazienki. Nieco z boku, częściowo przykryta kępą niby-porostów, leżała rolka taśmy izolacyjnej. Przypomniał sobie bałagan w szopie, powysuwane szuflady, poprzewracane słoiki... Czyżby tego właśnie szukał Jonesy? Idiotycznej rolki taśmy izolacyjnej? W głębi duszy wiedział, że tak właśnie było, ale dlaczego? Dlaczego, na litość boską?

W ciągu minionych mniej więcej pięciu miesięcy, kiedy samobójcze myśli nawiedzały go coraz częściej i towarzyszyły mu coraz dłużej, gędząc w swoim niezrozumiałym pidżynie, Henry niemal całkowicie wyzbył się ciekawości. Teraz ciekawość wręcz go zżerała, jakby długotrwałe uspienie pobudziło jej apetyt. Niestety, nie miał czym jej nakarmić. Czyżby Jonesy zamierzał użyć taśmy do zablokowania drzwi? Jeśli tak, to przeciwko komu albo czemu? Zarówno on, jak i Beaver musieli przecież zdawać sobie sprawę, że to niezbyt skuteczna metoda w walce z grzybem, który po prostu wcisnąłby swoje macki pod drzwiami.

Henry zajrzał do łazienki i z jego gardła wyrwał się charkoczący odgłos. Cokolwiek się tutaj działo, zaczęło się i skończyło właśnie w tym pomieszczeniu, co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości. Wnętrze łazienki wyglądało jak czerwona jaskinia, błękitne kafelki niemal całkowicie znikły pod warstwą grzyba, który wspinał się również na sedes i umywalkę. Deska była podniesiona, pokrywa chyba roztrzaskana, błękitna zasłonka prysznicowa całkowicie zmieniła kolor i, zerwana z większości zaczepów, leżała w wannie.

Z wanny wystawał ciężki bucior, także pokryty złocistoczerwonym grzybem, doc martens, nie ulegało najmniejszej wątpliwości. A więc jednak Henry’emu udało się odnaleźć Beavera. Nagle przed oczami stanęły mu wspomnienia z tego dnia, kiedy uratowali Dudditsa, tak jasne i wyraźne, jakby to było najdalej wczoraj. Beaver w swojej kretyńskiej skórzanej kurtce, Beaver z Dudditsowym pudełkiem na drugie śniadanie w ręce, Beaver...

— A niech mnie Freddy przeleci — odezwał się Henry głośno. — Tak wtedy powiedział. Zawsze tak mówił.

Łzy pociekły mu po policzkach. Jeśli ten grzyb potrzebował właśnie wilgoci — a sądząc po gęstwinie wyrastającej z sedesu, na pewno mu ona nie przeszkadzała — to miałby teraz na nim niezłą ucztę. Henry’ego nic to nie obchodziło. Miał przecież sztucer Jonesy’ego. Owszem, grzyb zapewne zdąży go napocząć, jego głowa jednak w tym, żeby zabrać się stąd, zanim stanie się choćby drugim daniem. Gdyby doszło co do czego, ma się rozumieć.

Na razie wszystko wskazywało na to, że dojdzie.

Był pewien, że w kącie szopy widział stertę jakichś starych szmat. Mógłby je przynieść, rozłożyć na podłodze, podejść do wanny i przyjrzeć się dokładnie jej zawartości — ale po co? Przecież i tak wiedział, że to Beaver, a nie miał najmniejszej ochoty oglądać swego starego przyjaciela, autora takich niepowtarzalnych powiedzonek, jak „Całuj mnie w złamasa”, w charakterze zwłok pokrytych warstwą złocistoczerwonych porostów. Gdyby istniała jakakolwiek szansa, że dzięki temu dowie się czegoś o tym, co się tutaj działo, wtedy owszem, być może. Takiej nadziei jednak raczej nie było.

Najbardziej pragnął jak najszybciej stąd zniknąć. Wszechobecny grzyb działał mu na nerwy, dodatkowo zaś dręczyło go przekonanie, że nie jest zupełnie sam.

Wycofał się z łazienki. Na stole w aneksie kuchennym leżała książka z czerwonymi roztańczonymi diabłami na miękkiej okładce. Bez wątpienia własność Jonesy’ego, porośnięta kępką złocistoczerwonych porostów.

Na zachodzie odezwał się jazgoczący odgłos, błyskawicznie przybierał na sile, wreszcie zamienił się w ogłuszający łoskot. Śmigłowce, tym razem niejeden, lecz znacznie więcej. Sądząc po natężeniu hałasu, leciały tuż nad koronami drzew. Henry skulił się odruchowo, przez głowę przemknęły mu oderwane, chaotyczne obrazy z rozmaitych filmów o wojnie wietnamskiej. Był niemal pewien, że lada chwila otworzą ogień z broni pokładowej albo zrzucą na chatę bomby z napalmem.

Poleciały dalej, nie czyniąc nic takiego, ale na kuchennych półkach rozdzwoniły się talerze i kubki. Henry wyprostował się, gdy tylko hałas zaczął cichnąć, by bardzo szybko przeistoczyć się w niegroźne brzęczenie, a wreszcie całkiem umilknąć. Być może śmigłowce leciały na wschód, by przyłączyć się do rzezi zwierząt. Niech sobie lecą, gównu go to obchodzi. On i tak zamierza zaraz się stąd zwijać, a potem...

Właśnie: co potem?

Wciąż się nad tym zastanawiał, kiedy w jednej z dwóch sypialni na parterze rozległ się szeleszczący odgłos. Po chwili zapadła cisza, trwała wystarczająco długo, by Henry prawie zdołał sam siebie przekonać, że to jedynie wytwór wyobraźni, po czym do jego uszu doszły dziwne ćwierkania, coś jakby dźwięki wydawane przez mechaniczną zabawkę, na przykład papugę, na chwilę przed całkowitym rozkręceniem sprężyny lub rozładowaniem baterii. Całe ciało Henry’ego pokryło się gęsią skórą, zaschło mu w ustach, włoski na karku nastroszyły mu się jak kolce jeżozwierza.

Uciekaj! Uciekaj natychmiast!

Nie czekając, aż ten wewnętrzny głos całkowicie nad nim zapanuje i zmusi go do posłuszeństwa, zdjął sztucer z ramienia i ruszył wielkimi krokami w kierunku sypialni. Do jego krwi trafił potężny zastrzyk adrenaliny, świat stał się nagle jaskrawy i nadzwyczajnie wyraźny. Wybiórcze postrzeganie, cudowny, lecz niedoceniany dar, z którego korzystają ludzie żyjący w spokoju i bezpieczeństwie, przestało działać, i Henry ujrzał mnóstwo niedostrzeżonych wcześniej szczegółów: krwawy ślad łączący sypialnię z łazienką, samotny kapeć, czerwoną kępkę w kształcie odcisku ręki na ścianie. Sekundę później znalazł się w sypialni.

Leżało na łóżku, czymkolwiek było. Henry’emu najbardziej przypominało łasicę albo bobra z amputowanymi łapami i długim krwistym ogonem ciągnącym się z tyłu jak pępowina. Jednak żadne zwierzę, jakie do tej pory widział — może z wyjątkiem mureny w bostońskim Akwarium — nie miało tak nieproporcjonalnie wielkich czarnych oczu. I jeszcze jedno podobieństwo do mureny: kiedy stworzenie rozdziawiło wąską kreskę szczątkowego pyska, ukazała się paszcza wypełniona zdumiewająco długimi, cienkimi jak szpilki do włosów i ostrymi zębami.

Nieco dalej, na zakrwawionym prześcieradle, walało się co najmniej sto pomarańczowobrazowych jaj. Były wielkości sporych kamyków, pokryte mętym, przypominającym smarki śluzem. We wszystkich poruszały się cieniutkie jak włosy cienie.

Łasicopodobna istota uniosła się niczym kobra w koszyku zaklinacza węży, zaćwierkała głośno, po czym jakby spróbowała ruszyć w jego stronę, lecz nieszczególnie jej to wyszło. Szkliste czarne oczy lśniły wściekłością, ogon (choć Henry był skłonny przypuszczać, iż jest to raczej coś w rodzaju szczątkowej, lecz chwytnej kończyny) przez chwilę uderzał na boki, a następnie otoczył w opiekuńczym geście tyle jaj, do ilu zdołał sięgnąć.

Dopiero teraz Henry uświadomił sobie, że monotonicznie powtarza w kółko jedno słowo, jak jakiś beznadziejny czubek naszprycowany thorazyną. Słowo to brzmiało „nie”. Podniósł broń do ramienia, wycelował, przez sekundę lub dwie wodził muszką za odrażającą głową stworzenia. Poruszało nią tak, jakby zdawało sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Oczywiście, że sobie zdaje, przemknęła mu zdumiewająco rzeczowa myśl. Wie, co to jest, i stara się utrudnić mi robotę. Zaraz potem nacisnął spust.

Odległość była niewielka, stworzenie zaś, mimo widocznych wysiłków, nieszczególnie radziło sobie z unikami — albo było zbyt wyczerpane po złożeniu jaj, albo nie służyła mu niska temperatura. Ze względu na otwarte na oścież drzwi frontowe w chacie zrobiło się całkiem zimno. Huk wystrzału zabrzmiał z siłą gromu, uniesiona głowa rozbryznięta się na strzępy, które w większości wylądowały na ścianie za łóżkiem. Krew miała tę samą złocistoczerwoną barwę co grzyb. Zdekapitowane ciało zsunęło się z łóżka na rozrzucone w nieładzie ubranie, którego Henry nigdy do tej pory nie widział: brązowa kurtka, pomarańczowa kamizelka, dżinsy z mankietami (nikt z nich nie nosił dżinsów z mankietami, w podstawówce bowiem tępiono bezlitośnie wszystkich, którzy paradowali w takim stroju). Stoczyło się tam również kilkanaście jaj. Większość wylądowała albo na ubraniu, albo na książkach Jonesy’ego i ocalała, parę jednak pękło, spadając na podłogę. Z każdego wyciekła jakaś spieniona ciecz, w której wiło się rozpaczliwie coś na kształt grubego włosa, wpatrującego się w Henry’ego przesywającym spojrzeniem czarnych oczu wielkości łebka szpilki.

Miał ochotę krzyczeć, lecz odwrócił się bez słowa i wyszedł na nogach, w których było dokładnie tyle samo czucia, co w stołowych. Czuł się jak marionetka kierowana przez kogoś, kto usilnie się stara, ale dopiero co zaczął się uczyć fachu. Nie wiedział, dokąd idzie aż do chwili, kiedy dotarł do kuchni i otworzył szafkę ze zlewozmywakiem.

— Jam jest jajotłuk, jam jest jajotłuk, jam jest mors!

Nie zaśpiewał tego, lecz wyrecytował donośnym, sugestywnym głosem. Do tej pory nawet nie podejrzewał, że ma go w swoim repertuarze. Takim głosem mógł się posługiwać jakiś egzaltowany dziewiętnastowieczny aktor. Nie wiadomo czemu wyobraził sobie Edwina Bootha w kostiumie d’Artagnana, w kapeluszu z piórem i z innymi akcesoriami, deklamującego utwory Johna Lennona, i roześmiał się krótko, lecz równie głośno.

Tracę zmysły, przemknęło mu przez głowę, ale nawet się nie zaniepokoił. Wolał d’Artagnana recytującego „Jam jest mors” od rozbryzniętej na ścianie głowy tego stworzenia, od obrośniętego złocistoczerwonym świństwem doca martensa sterczącego z wanny, a przede wszystkim od tych popękanych jaj, z których wypełzały wijące się włosy z oczami. Z oczami wpatrzonymi wyłącznie w niego.

Za wiaderkiem z tworzywa sztucznego i płynem do mycia naczyń znalazł to, czego szukał: żółty pojemnik z płynną podpałką do grilla. Niezdarny lalkarz kilkoma chaotycznymi szarpnięciami wysunął naprzód jego ramię i po kilku próbach zdołał zacisnąć mu palce na pojemniku. W drodze powrotnej do sypialni Henry zatrzymał się tylko na tyle, żeby zgarnąć z okapu kominka pudełko z zapalkami.

— Ja jestem nim, ty jesteś mną, a wszyscy jesteśmy wszystkim! — oznajmił, a następnie przekroczył próg sypialni Jonesy’ego, zanim przerażony człowiek zamknięty w jego głowie

zdołał odzyskać nad nim kontrolę, zawrócić go i zmusić do panicznej ucieczki. Ten człowiek chciał, żeby Henry uciekał aż do chwili, kiedy padnie nieprzytomny na ziemię. Albo martwy.

Jaja na łóżku również zaczęły pękać. Dwadzieścia albo więcej włosów wiło się na przesiąkniętym krwią prześcieradle i na poduszce. Jeden uniósł małą głowę i zaczął na Henry'ego głośno tak wysokim, że prawie niesłyszalnym.

Wciąż nie pozwalając sobie na żadną, nawet najmniejszą przerwę (gdyby przerwał choć na chwilę, nigdy już nie zdołałby zacząć na nowo), Henry zbliżył się do stóp łóżka. Jeden z włosów natychmiast ruszył w jego stronę po podłodze, poruszając się dzięki ruchom ogona niczym plemnik oglądany pod mikroskopem.

Henry rozdeptał go, równocześnie zdejmując przykrywkę z pojemnika, wycelował dyszę w łóżko, nacisnął, a następnie poruszał ręką w lewo i w prawo, nie zapominając także o podłodze. Kiedy łatwopalny płyn dosięgał wijących się włosów, wydawały odgłosy jak dopiero co urodzone kocięta.

— Jajotłuk... Jajotłuk... Mors!

Rozdeptał kolejny włos, zauważył, że jeszcze jeden uczeplił się nogawki jego dżinsów, i usiłuje przegryźć się przez materiał miękkimi jeszcze zębami.

— Jajotłuk — wymamrotał Henry, po czym zdrapał go krawędzią buta, strząsnął na podłogę i również rozdeptał.

Nagle zorientował się, że jest dosłownie skąpany we własnym pocie; gdyby w takim stanie wyszedł na dwór (a wszystko wskazywało na to, że będzie musiał to uczynić), przypuszczalnie natychmiast złapałby zapalenie płuc.

— Nie mogę tu zostać, odpocząć nie mogę! — wykrzyknął swoim nowym, scenicznym głosem.

Otworzył pudełko, ale tak mu się trzęsły ręce, że połowa zapalek znalazła się na podłodze. W jego kierunku pełzło coraz więcej żywych włosów. Może nie były mądre, ale wiedziały, że jest ich wrogiem. Na pewno o tym wiedziały.

Wreszcie zdołał utrzymać w palcach zapalną, przycisnął ją łebkiem do bocznej ścianki pudełka, przytrzymał kciukiem za drugi koniec. Nauczył się tej sztuczki od Pete'a bardzo, bardzo dawno temu. To właśnie przyjaciele zawsze uczą cię najlepszych sztuczek, prawda? Na przykład, w jaki sposób urządzić staremu kumpłowi pogrzeb wikinga i jednocześnie pozbyć się gromady paskudnych węzopodobnych stworzeń.

— Jajotłuk!

Potał zapalną, buchnął mały ogienek. Woń płonącej siarki bardzo przypominała tę, która powitała go zaraz za progiem chaty, oraz smród gazów tamtej kobiety.

— Jajotłuk!

Rzucił zapalną w nogi łóżka, tam gdzie najobficiej spryskał pościel podpałką do grilla. Płomyk przygasł, zbłękitniał, lecz kiedy Henry był już niemal pewien, że zgaśnie, z cichym „puff!” rozlał się w jeziorko żółtawego ognia.

— Mors!

Płomienie żwawo popęzły po prześcieradle, zmieniły kolor krwawych plam z czerwonego na czarny, dotarły do stosu jaj, skosztowały ich, po czym przystąpiły do uczy. Jaja pękały, wydając ciche pyknięcia, włosy płonęły, miaucząc jak kocięta, spieniony płyn syczał przeraźliwie w zetknięciu z ogniem.

Henry wycofał się powoli z sypialni, znacząc drogę strużką płynu zapalającego. Wystarczyło mu go aż do połowy indiańskiego dywanu. Cisnął go na bok, zapalił kolejną zapalną i rzucił ją na dywan. Tym razem płomienie od razu wystrzeliły w górę, nie żółte, lecz pomarańczowe. Żar, który uderzył w jego twarz, podziałał na niego w zaskakujący sposób: ogarnęła go chęć, a raczej przemożne pragnienie, by zerwać z twarzy idiotyczne maski i po prostu wejść w płomienie. Witaj ogniu, witaj lato, witaj ciemności, stara przyjaciółko.

Powstrzymała go dość prosta, ale ważna prawda. Gdyby zdecydował się na ten krok, okazałoby się, że drzemiące do tej pory spokojnie uczucia obudziły się w nim zupełnie na próżno i że nigdy się nie dowie, co tu się tak naprawdę wydarzyło. Szansę na to, że dowie się tego od ludzi, którzy latali helikopterami i strzelali do zwierząt, były co prawda nikłe, ale jednak były. Chyba że tamci jego też zastrzelą, gdy tylko im się pokaże...

Już przy drzwiach nawiedziło go wspomnienie tak wyraźne i żywe, że poczuł się tak, jakby zaraz miało mu pęknąć serce: Beaver klęczący przed Dudditsem i pomagający mu włożyć but, który Duddits próbuje wepchnąć odwrotnie na stopę. Daj, ja to zrobię — mówi Beaver. Duddits patrzy na niego ze zdumieniem, którego nie sposób nie pokochać, i pyta: Oo eobiiiiis?

Po policzkach Henry'ego znowu popłynęły łzy.

— Na razie, Beaver. Kocham cię, chłopie. Naprawdę.

I wyszedł w chłód.

6

Przy stosie drewna opałowego leżała na ziemi brezentowa płachta — znacznie starsza od tej, na której ciągnęli kobietę, wypłowiła, przymarznięta do gruntu. Henry zdołał ją oderwać dopiero po kilkukrotnym szarpnięciu. Pod płachtą w potwornym nieładzie walały się narty, rakiety śnieżne, łyżwy, a nawet wielki świder do lodu.

Patrząc na tę żalostną kolekcję od dawna nieużywanego sprzętu zimowego, Henry nagle poczuł, jak bardzo jest zmęczony — tyle że „zmęczony” było stanowczo zbyt łagodnym określeniem. Pokonał na piechotę ponad piętnaście kilometrów, z czego większość truchtem, miał wypadek samochodowy, odkrył martwe ciało przyjaciela z dzieciństwa, miał wszelkie podstawy, by przypuszczać, że jego dwaj inni przyjaciele również nie żyją.

Gdyby nie to, że mam manię samobójczą, pewnie bym kompletnie zwariował, pomyślał i parsknął śmiechem. Dobrze było się śmiać, ale od tego zmęczenie nie mijało. Musiał jednak jakoś się stąd wydostać, musiał zawiadomić jakieś władze. Być może już wiedzieli, nawet na pewno, sądząc po odgłosach, chociaż metoda, jaką wybrali do rozwiązania problemu, zupełnie mu się nie podobała... Czy jednak wiedzieli o łasicach? I jajach? On, Henry Devlin, najlepiej im o tym opowie. To oczywiście, przecież jest jajotłukiem.

Rzemyki zastępujące sznurówki w butach do biegówek dawno już padły ofiarą myszy, udało mu się jednak znaleźć parę nart, które gdzieś, około roku 1954 stanowiły zapewne ostatni krzyk mody. Wiązania oczywiście zardzewiały, zdołał jednak rozchylić je na tyle, by wsunąć w nie parę rozczłapanych, przesiąkniętych wilgocią butów.

Z wnętrza chaty dobiegał ciągły trzeszczący odgłos. Henry oparł rękę o ścianę i wyraźnie poczuł ciepło. Pod okapem stała kolekcja zabytkowych kijków o uchwytach oplecionych grubą warstwą brudnych pajęczyn. Henry nie bardzo miał ochotę tego dotykać — wspomnienie masy jaj i wijących się, podobnych do włosów stworzeń wciąż jeszcze było bardzo żywe — ale na szczęście miał rękawiczki. Odgarnął pajęczyny i zaczął pośpiesznie grzebać w kijkach. Za oknem, we wnętrzu chaty tańczyły już iskry.

Dobrał dwa kijki, tylko nieznacznie za krótkie dla kogoś tak wysokiego jak on, po czym niezdarnie doczłapał do narożnika budynku. W starych butach, na starych nartach, ze sztucercem Jonesy'ego przewieszonym przez ramię, czuł się trochę jak niemiecki komandos z filmu według jednej z powieści Alistaira MacLeana. Okno, obok którego stał jeszcze przed chwilą, eksplodowało z zaskakująco głośnym hukiem, zasiewając odłamkami świeży śnieg — zupełnie jakby ktoś zrzucił duży kryształowy wazon z pierwszego piętra. Kilka ostrych okruchów dosięgło jego nóg. Gdyby marudził trochę dłużej przy doborze kijków, przypuszczalnie nie miałby teraz co najmniej połowy twarzy.

Wzniósł oczy ku niebu, przyłożył do ust tubę ze złączonych dłoni, i krzyknął co sił w płucach:

— Ktoś mnie chyba lubi tam, w górze!

Przez okno wychylały się już płomienie, lizały chciwie okap, wewnątrz pękały i łamały się kolejne sprzęty. Zbudowana tuż po drugiej wojnie światowej chata Lamara Clarendona płonęła jak stóg siana. To musiał być sen.

Henry odsunął się na bezpieczną odległość i ominął dom szerokim łukiem. Z komina buchały snopy iskier, bezskutecznie usiłując osiągnąć chmur. Ze wschodu wciąż dobiegał terkot broni maszynowej. Ktoś się tam nieźle starał. Chyba nawet za bardzo. Zaraz potem coś tam wybuchło, i to potężnie. Co to takiego? Nie wiadomo. Jeśli uda mu się dotrzeć cało do ludzi, być może mu powiedzą.

— Chyba że mnie też rozwałą.

Jego głos zabrzmiał jak schrypnięte krakanie. Dopiero teraz uświadomił sobie, że prawie umiera z pragnienia. Pochylił się ostrożnie (poprzednio miał na nogach narty dobre dziesięć lat temu), nabrał śniegu w dłonie i napełnił nim usta. Śnieg topniał powoli, do gardła Henry'ego płynęła strużka zimnej wody... Cudowne uczucie. Henry Devlin, psychiatra i autor artykułu o Sposobie Hemingwaya, niegdyś chudy prawiczek, a teraz chudy dryblas w okularach wiecznie zsuwających się na czubek nosa, siwowłosa, bez przyjaciół, którzy albo umarli, albo uciekli, albo się przeistoczyli, otóż ten właśnie człowiek stał przy otwartej na oścież bramie prowadzącej do miejsca, które za chwilę miał opuścić już na zawsze, stał z przypiętymi nartami, stał i obzerał się śniegiem jak dzieciak zajadający lody, stał i patrzył, jak płonie ostatnia rzecz, z którą łączyły go naprawdę dobre wspomnienia. Płomienie wspięły się już na dach wyłożony cedrowym gontem, zardzewiałymi rynnami płynęła z sykiem woda z roztopionego śniegu. Za otwartymi szeroko drzwiami trwała radosna kanonada, witajcie, zapraszamy do środka, no chodźcie prędzej, zanim wszystko spali się do końca. Złocistoczerwony kozuch na granitowym progu szerniał, skurczył się, rozsypał w popiół.

— Świetnie... — mruknął Henry. Nie zdając sobie z tego sprawy, rytmicznie zaciskał palce na uchwytych kijków. — Doskonale.

Stał tak jeszcze przez kwadrans, a kiedy miał już dosyć, odwrócił się plecami do ognia i ruszył w kierunku, z którego niedawno przybył.

7

Zostało mu niewiele energii. Miał do przebycia ponad trzydzieści siedem kilometrów, a właściwie niemal czterdzieści, powinien więc narzucić sobie ostre tempo, żeby w ogóle dotrzeć do celu. Trzymał się szlaku wytyczonego przez skuter śnieżny, ale zatrzymywał się na odpoczynek znacznie częściej niż podczas niedawnej wędrówki w przeciwną stronę. No tak, ale wtedy byłem młodszy, pomyślał z przekąsem.

Dwukrotnie spoglądał na zegarek, zapominając, że znajduje się w Strefie Bezczasowej. Niebo wciąż zasłaniała gęsta warstwa szarych chmur, mógł więc stwierdzić tylko tyle, że jest dzień, oczywiście już po południu, ale ile — tego nie potrafił ustalić. W normalnych okolicznościach dość istotną podpowiedź stanowiłoby natężenie głodu, ale nie dzisiaj, nie po tym, co zobaczył na łóżku Jonesy'ego. I w łazience. Miał wrażenie, że już nigdy nie weźmie niczego do ust, jeśli zaś musiałby coś zjeść, to z pewnością nic choćby odrobinę czerwonego. A grzyby? Też wielkie dzięki.

Jazda na nartach, a przynajmniej bieg na takich zabytkowych biegówkach jak te, bardzo przypominała jazdę na rowerze: tego się po prostu nie zapomina. Co prawda upadł na pierwszym podbiegu, ponieważ narty niespodziewanie wyjechały spod niego, jednak już przy zjeździe poradził sobie całkiem przyzwoicie. Miał podstawy, by przypuszczać, że deski smarowano po raz ostatni mniej więcej wtedy, kiedy prezydentem był pewien hodowca

fistaszków, sądził jednak również, że jeśli będzie się trzymał trasy wytyczonej i utwardzonej przez skuter śnieżny, to wszystko powinno pójść dobrze. Zdumiała go liczba tropów przecinających Deep Cut Road; do tej pory przez całe życie widział w sumie może dziesiątą część tego. Niemal wszystkie ślady wiodły z zachodu na wschód. Na tym odcinku droga prowadziła na północny zachód — wyglądało na to, że z jakiegoś powodu zarówno kierunek zachodni, jak i pośrednie były dla miejscowej populacji zwierząt nie do przyjęcia.

Jestem w trakcie wędrówki, pomyślał. Może ktoś kiedyś napisze o tym wielki poemat zatytułowany „Wędrówka Henry’ego”?

— Jasne — powiedział głośno. — Czas się zatrzymał, świat zgiął się wpół, a Henry dzielnie szusował w dół. — Roześmiał się, lecz w wyschniętym gardle jego śmiech zabrzmiał jak charkotliwy kaszel. Zjechał na skraj szlaku i wepchnął sobie do ust pełną garść śniegu. — Smaczne i zdrowe! — oznajmił. — Świeży śnieg pozwoli wam długo utrzymać się w doskonałej formie!

Podniósł wzrok na chmury i to był błąd. Zakręciło mu się w głowie, niewiele brakowało, by runął na plecy. W ostatniej chwili zdołał odzyskać równowagę. Obłoki jakby nieco ściemniały. Czyżby znowu miało padać? A może po prostu zbliżała się noc? Albo i noc, i śnieg? Bolały go nie tylko kolana i kostki, lecz również — lub raczej przede wszystkim — ramiona i mięśnie piersiowe. Pogodził się już z myślą, że nie dotrze do sklepu Gosselina przed zmierzchem; teraz zaświtała mu niepokojąca myśl, że być może nie dotrze tam w ogóle.

Zsunął z uda prowizoryczny bandaż. Serce podeszło mu do gardła, kiedy zobaczył na przesiąkniętych krwią dżinsach doskonale widoczną, jaskrawoszkarłatną nitkę. Przed oczami zatańczyły mu białe i czarne plamy; gdy tylko odzyskał wzrok, sięgnął po nie drżącymi palcami.

Ciekawe co zrobisz, mądralo? — przemknęła mu przez głowę szydercza myśl. Zdejmiesz ją i wyrzucisz?

Tak właśnie uczynił, ponieważ okazało się, że to naprawdę nic z podartej koszulki. Przez chwilę przyglądał się jej, leżącej na śniegu, a następnie znowu nałożył opatrunek. Jak na człowieka, który zaledwie cztery godziny temu całkiem serio rozważał różne metody ostatecznego i nieodwołalnego rozwiązania wszelkich gnębiących go problemów (pętla, wąż ogrodniczy podłączony do rury wydechowej, foliowy worek na głowę albo jakże popularny Sposób Hemingwaya, zwany również Pożegnaniem Policjanta), to całkiem nieźle się przestraszył.

Bo nie chcę skończyć w ten sposób. Nie chcę być pożarty żywcem przez...

— Stwory z Planety X — dokończył głośno.

Jajotłuk ruszył w dalszą drogę.

8

Świat się skurczył, jak zawsze, kiedy zaczyna brakować sił, a zadanie nie jest jeszcze wykonane albo nawet nie całkiem zaczęte. Życie Henry’ego ograniczało się teraz do czterech prostych, powtarzanych regularnie ruchów: odepchnięcie prawą ręką, lewa noga do przodu, odepchnięcie lewą ręką, prawa noga do przodu. Ból przycichł, przynajmniej na jakiś czas, jakby przesunął się do innej, równoległej rzeczywistości. Do tej pory Henry’emu zdarzyło się coś takiego tylko jeden raz, w szkole średniej, kiedy grał jako obrotowy w szkolnej drużynie koszykówki. Podczas decydującego meczu w fazie eliminacji trzech z czterech podstawowych graczy wyleciało z boiska za przewinienia osobiste już na trzy minuty przed końcem trzeciej kwarty. Już do końca meczu trener nie pozwolił Henry’emu choćby przez chwilę odpocząć na ławce rezerwowych. Jakoś wytrzymał, lecz kiedy rozległa się końcowa syrena (o dziwo Tigersom udało się zwyciężyć), Henry znajdował się jakby w stanie

pogodnego uśpiania. W połowie drogi do szatni ugięły się pod nim nogi i runął na podłogę wśród wiwatujących, wrzeszczących i poklepujących się po plecach zawodników.

Tutaj nikt nie wiwatował ani nie wrzeszczał, tylko ze wschodu wciąż dobiegał chyba trochę słabnący terkot broni maszynowej. Znacznie bardziej niepokojące były strzały z kierunku, w którym zmierzał Henry. Czyżby z okolic sklepu? Nie sposób się zorientować.

Ze zdumieniem zauważył, że nuci najmniej lubianą przez niego piosenkę Rolling Stonesów „Współczując diabłu” (*Moja to zastuga, że Piłat ręce umył, i los swój przypieczętował, dziękujemy pięknie, jesteście wspaniałą publicznością, do zobaczenia*) i natychmiast umilkł, ponieważ piosenka wymieszała się w jego głowie z widokiem Jonesy’ego w szpitalu w marcu tego roku, wychudzonego, skurczonego, jakby pozbawionego esencji, która opuściła jego obolałe i zdumione ciało, żeby utworzyć wokół niego ochronny kokon. Zdaniem Henry’ego, Jonesy wyglądał jak ktoś, kto wkrótce umrze, i chociaż nie umarł, to chyba właśnie wtedy Henry zaczął naprawdę poważnie myśleć o samobójstwie. Do galerii gnębiących go obrazów — błękitnobiałe mleko spływające po podbródku ojca, niknące za drzwiami gigantyczne, roztrzęsione pośladki uciekającego w popłochu Barry’ego Newmana, Richie Grenadeau wpychający zaschnięte psie gówno do ust nagiemu, zapłakanemu Dudditsowi Cavellowi — dołączyła wychudzona twarz Jonesy’ego z zamglonymi oczami, Jonesy’ego, którego zmieciono z ulicy bez żadnego powodu, Jonesy’ego, który najwyraźniej miał ochotę wynieść się stąd na dobre. Podobno jego stan był stabilny, jednak Henry wyczytał zupełnie co innego w oczach starego przyjaciela. Współczucie dla diabła? Dajcie spokój. Nie istniał Bóg, nie istniał diabeł, nie istniało współczucie, i wystarczyło sobie to uzmysłwić, żeby wpaść w poważne tarapaty. Od tej pory twoje dni w charakterze poważnego klienta dokonującego nieustających zakupów w jarmarcznym sklepie zwanym Ameryką były policzone.

Ponownie usłyszał swój głos — Nie wiecie jednak, na czym polega moja gra — i zmusił się do zamilknięcia. Głupie, bezsensowne i smakowite, czyli po prostu Ameryka. Może więc zmienić repertuar na Pointer Sisters?

Zaczął śpiewać, wpatrzony w przesuwające się rytmicznie czuby nart i poprzeczne pręgi pozostawione w śniegu przez skuter śnieżny. Pot spływał mu po twarzy, kapał z nosa, zamarzał na górnej wardze, a on nucił wciąż to samo, bez przerwy, wciąż od nowa: Wiem, że damy radę, wiem, że damy radę, o tak tak tak, na pewno jakoś sobie poradzimy...

Lepiej. Znacznie lepiej. W tym „wiem, że damy radę” też była Ameryka, nawet jeszcze więcej Ameryki, mnóstwo Ameryki, to było jak półciężarówka fordą na parkingu przed kręgielnią, jak wyprzedaż damskiej bielizny u J C Penney, jak martwy gwiazdor rocka w wannie.

9

Wreszcie dotarł do wiaty, pod którą zostawił Pete’a i kobietę. Pete znikł bez śladu.

Dach z przerdzewiałej blachy falistej runął na ziemię, Henry więc podniósł go jak metalową kołdrę i zajrzał pod spód. Pete’a tam nie było, zobaczył natomiast kobietę. Leżała w innym miejscu niż wtedy, kiedy wyruszał do Dziury w Murze, i wszystko wskazywało na to, że podczas jego nieobecności spotkała ją przykra przygoda: umarła. Ubranie i twarz kobiety pokrywała warstwa tego samego złocistoczerwonego kozucha, który panoszył się w chacie, Henry jednak dostrzegł coś interesującego: o ile zagadkowa substancja doskonale radziła sobie na ciele kobiety (szczególnie w nozdrzach i jedynym widocznym oku), o tyle dokoła niej, a także w wyraźnie wyżłobionym śladzie, który pozostawiła za sobą, czołgając się do ognia, miała poważne problemy, zszarzała, szerniała i przestała się rozprzestrzeniać. Bliżej wygasłego ognia grzyb wyglądał nieco lepiej, lecz i tam najdalej wysunięte wypustki miały barwę popiołu wulkanicznego.

Dla Henry'ego było oczywiste, że grzyb dogorywa.

Podobnie zresztą jak dzień, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Henry opuścił blaszany całun na ciało ślicznej Becky i rubinowe resztki ogniska, a następnie spojrzął na ślad pozostawiony przez skuter śnieżny. Bardzo żałował, tak samo jak całkiem niedawno w chacie, że nie ma z nim jakiegoś indiańskiego tropiciela, który wyczytałby wszystko ze śladów, albo na przykład dobrego znajomego Jonesy'ego, niejakiego Herkulesa Poirot.

Ślad zbliżał się do zniszczonej wiaty, po czym prowadził dalej na północny zachód, w kierunku sklepu Gosselina. W śniegu widniał podłużny odcisk przypominający zarysem ludzkie ciało, obok były dołki jak po niezbyt celnych uderzeniach kijem golfowym.

— I co powiesz, Herkulesie? — zapytał Henry. — Cóż to może oznaczać, *mon ami*?

Herkules milczał.

Nucąc pod nosem, Henry pochylił się nad jednym z dołków. Nie zdawał sobie sprawy, że porzucił Pointer Sisters i wrócił do Stonesów. Wydawało mu się, że dostrzega jakiś sensowny wzór w układzie zagłębień po lewej stronie podłużnego odcisku. Przypomniał sobie łąkę na prawym rękawie kurtki Pete'a, na samym łokciu. Pete poinformował go kiedyś z trudną do wytłumaczenia dumą, że przyszła mu ją pewna dziewczyna, która nie chciała słyszeć o tym, by pojechał na polowanie w podartej kurtce... Było to trochę smutne i zarazem trochę zabawne, z jakim zapałem Pete zaczął snuć marzenia oparte na tym pojedynczym akcie kobiecego miłosierdzia, wynikającym zapewne przede wszystkim z zamiłowania jego „przyjaciółki” do porządku niż z jakichkolwiek głębszych uczuć, jakie mogła żywić do swego nasączonego piwem przyjaciela.

Teraz jednak nie miało to najmniejszego znaczenia, liczyło się natomiast to, że Henry był niemal pewien, iż potrafi z dużym prawdopodobieństwem odtworzyć przebieg wydarzeń. Pete wyczołgał się spod zawalonego dachu. Jonesy — albo coś, co go opanowało, obłok — podjechał, zatrzymał się na chwilę i zabrał go ze sobą.

Po co?

Tego Henry nie wiedział.

Nie wszystkie plamy na śniegu w odcisku ciała jego przyjaciela pochodziły z umierającego grzyba. Część z nich była plamami krwi. Pete był ranny. Czyżby poharatał go walący się dach? A może coś jeszcze?

Od wgłębienia prowadził zygzakowaty, płytki ślad, na którego końcu leżało coś, co Henry w pierwszej chwili wziął za zwęglony patyk. Bliższe oględziny pozwoliły mu jednak stwierdzić, iż jest to łaśnicowata istota, częściowo zwęglona i martwa. Odsunął ją na bok czubkiem buta. Pod spodem leżała zbita, zamrożona masa jaj. Stworzenie prawdopodobnie zniosło je tuż przed śmiercią.

Roztrzęsiony, zgarnął stopami śnieg na ciało małego potwora i na jaja, po czym znowu odwinął zastępczy bandaż, by obejrzeć ranę na nodze. Dopiero teraz uświadomił sobie, jaka piosenka wydobywa się z jego ust, i natychmiast umilkł. Z nieba zaczęły spadać nieliczne, roztańczone płatki śniegu.

— Skąd to mi się wzięło, do cholery? — zapytał na głos. — Czemu ta pieprzona piosenka tak się mnie uczepliła?

Nie oczekiwał odpowiedzi, mówił głównie po to, żeby cokolwiek usłyszeć, bo to było przecież straszne miejsce, może nawet nawiedzone miejsce, lecz jednak odpowiedź nadeszła.

— Bo to nasza piosenka. To nasz hymn, słuchamy go zawsze, kiedy idziemy do akcji.

Do akcji? Do jakiej akcji?

Dobiegające ze wschodu odgłosy kanonady znacznie osłabły. Rzeź zwierząt już się prawie dokonała, ale przecież byli jeszcze ludzie, długa tyraliera myśliwych w polowych mundurach, uzbrojonych w broń maszynową, niestrudzenie powiększających kolekcję nie przeznaczonych do podziwiania trofeów, zasłuchanych w melodię i słowa wciąż tej samej piosenki. Jeździłem

czołgiem, generałem byłem, wojna szalała i śmierć wokół siała... Jakże się cieszę, że poznać mogę was.

Co tu się właściwie dzieje, do cholery? Nie w dzikim, zwariowanym, cudownym świecie zewnętrznym, lecz w jego własnej głowie. Wcześniej pojawiały się tam niekiedy przeblyski ukazujące mu w jaskrawym, wszystko tłumaczącym świetle całe jego życie — a jeśli nawet nie całe, to przynajmniej od chwili, kiedy poznał Dudditsa — nigdy jednak nie było to coś tak silnego. Czyżby nadeszła pora, by zbadać nowy, wspaniały sposób widzenia linii?

Nie. Nie, nie, nie.

I natychmiast, jakby szyderczo, piosenka w głowie: *wojna szalała i śmierć wokół siała*.

— Duddits! — krzyknął w szarzejące, umierające popołudnie. Wielkie płatki opadały, wirując dostojnie, niczym pierze z rozprutej poduszki. Jakaś myśl próbowała się narodzić, ale była zbyt wielka, stanowczo zbyt wielka.

— Duddits! — zawołał ponownie teatralnym głosem jajotłuka i przynajmniej jedno stało się jasne: odmówiono mu luksusu samobójstwa. Było to okropne, przerażające, choćby ze względu na te dziwne myśli, które nie dawały mu spokoju. *To ja wykrzychałem, kto do Kennedych strzelał*. Znowu zapłakał, zdumiony i przerażony, zupełnie sam w środku lasu. Wszyscy jego przyjaciele z wyjątkiem Jonesy'ego nie żyli, a Jonesy był w szpitalu. Gwiazdor filmowy w szpitalu razem z Szarym.

— Co to znaczy? — jęknął. Przycisnął ręce do skroni, odniósł bowiem wrażenie, że głowa za chwilę mu pęknie; zardzewiałe kijki trzepotały bezużytecznie, przytrzymywane sparciałymi paskami, niczym połamane łopaty śmigła. — Boże, co to wszystko ma znaczyć?

W odpowiedzi znowu usłyszał słowa piosenki: *Jakże się cieszę, że poznać mogę was. Wiecie już chyba, jak imię moje brzmi*.

I śnieg, tylko śnieg, czerwony od krwi zamordowanych zwierząt, których ciała wały się jak okiem sięgnąć, prawdziwe Dachau dla jeleni, kun, królików, łasic, niedźwiedzi...

Henry wrzasnął przeraźliwie, ścisnął głowę jeszcze mocniej i krzyczał tak głośno, iż przez chwilę był niemal pewien, że zaraz zemdleje. Wrażenie to jednak minęło i przynajmniej na jakiś czas odzyskał jasność umysłu. Przed jego oczami pojawił się wyraźny obraz Dudditsa, takiego, jakiego zobaczyli po raz pierwszy, Dudditsa nie w krwawych rozbłyskach wojny, o której śpiewali Stonesi, lecz w całkiem zwyczajnym świetle pochmurnego październikowego popołudnia, Dudditsa wpatrującego się w nich skośnymi, w pewien szczególnie mądrymi oczami. Duddits był najlepszym, co spotkało nas w życiu — tak Henry powiedział Pete'owi.

— Oo eobiiiiis? — zapytał głośno. — Uuj ut?

Tak, uuj ut. Odwróć go, włóż stopę tak jak trzeba, i wszystko będzie w porządku.

Lekko uśmiechnięty (choć na policzkach powoli zamarzały mu resztki łez), Henry zacisnął ręce na uchwytach kijków i podążył dalej po śladach skutera.

10

Dziesięć minut później dotarł do przewróconego scouta i niemal równocześnie zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy: że mimo wszystko jest potwornie głodny i że w samochodzie jest żywność. Ślady przy scoucie były tak wyraźne, że nie potrzebował pomocy żadnego tropiciela, by się domyślić, że Pete tu wrócił. Nie potrzebował również pomocy Herkulesa Poirot, aby odgadnąć, że zapasy żywności, które wieźli ze sklepu Gosselina — albo większa ich część — wciąż jeszcze są we wnętrzu maszyny. Dobrze wiedział, po co wrócił Pete.

Zatrzymał się przy drzwiach pasażera, przez które wczołgał się i wyczołgał Pete, po czym schylił się, by rozluźnić wiązania, lecz nagle zamarł w bezruchu. Ta strona była osłonięta od wiatru, dzięki czemu to, co napisał w śniegu Pete, siedząc przy samochodzie i pijąc piwo, wciąż było doskonale widoczne. DUDDITS.

Ciałem Henry'ego wstrząsnął dreszcz. Poczuł się tak, jakby przyszedł na grób ukochanej osoby i nagle usłyszał głos przemawiający do niego spod ziemi.

11

We wnętrzu samochodu wałało się roztrzaskane szkło, były też ślady krwi. Ponieważ najwięcej śladów krwi znajdowało się na tylnej kanapie, Henry miał pewność, że to krew Pete'a, który najwyraźniej pokaleczył się podczas wyprawy po piwo. Ciekawe, że nigdzie nie było ani śladu złocistoczerwonego paskudztwa. Rozrastało się w błyskawicznym tempie, skoro więc tutaj się nie pojawiło, należało wysnuć logiczny wniosek, że kiedy Pete przyszedł tu po piwo, nie był jeszcze zarażony. Może później, ale wtedy na pewno nie.

Zgarnął chleb, masło orzechowe, mleko i sok pomarańczowy, wyczołgał się z samochodu, oparł się plecami o tylną klapę i zaczął w błyskawicznym tempie pochłaniać kromki chleba posmarowane masłem orzechowym. Za nóż służył mu palec wskazujący, który starannie wylizywał po każdym użyciu. Posiłek ogromnie mu smakował, zaraz potem dwoma wielkimi haustami wlał w siebie całą zawartość kartonu z sokiem pomarańczowym, ale było tego trochę za mało.

— Wiesz, czego pragniesz tak naprawdę? — przemówił w mroczniejące popołudnie. — Mięsa. Najlepiej czerwonego. Czerwonego mięsa.

Czerwonego czy nie, rzeczywiście go pragnął i trudno było mu się dziwić — bądź co bądź, wiele nocy spędził na rozmyślaniach o dubeltówkach, wisielczych pętlach i torbach foliowych. Co prawda teraz wydawało mu się to dziecinadą, ale tak przecież było, nie mógł zaprzeczyć. W związku z tym...

— W związku z tym, szanowni członkowie Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, pozwolę sobie zacytować zmarłego niedawno Jamesa „Beavera” Clarendona: „Mówię ci, pieprz to i wrzuć dziesiątka do puszek Armii Zbawienia, a jeśli masz jakieś wąty, to obciągnij mi druta”. Serdecznie dziękuję państwu za uwagę.

Rozprawivszy się w ten sposób z Amerykańskim Towarzystwem Psychiatrycznym, ponownie wczołgał się do wnętrza scouta, i tym razem szczęśliwie unikając pokaleczenia odłamkami szkła, chwycił sporą paczuszkę owiniętą w nieco przetłuszczony papier (na brzeżku widniała cena napisana drżącą ręką starego Gosselina: \$ 2,79), wrócił na swoje stanowisko przy tylnej klapie, odwinął papier i rozerwał folię. W środku było dziewięć pulchnych parówek. Czerwonych.

Co prawda jego wyobraźnia próbowała podsunąć mu obraz beznogiego odrażającego stworzenia wijącego się na łóżku Jonesy'ego i gapiącego się na niego pustymi czarnymi oczami, jednak Henry uwolnił się od tego wspomnienia z szybkością i łatwością charakterystyczną dla człowieka, który ani na chwilę nie stracił woli przeżycia.

Parówki były gotowe do spożycia, niemniej podgrzewał każdą płomykiem zapalniczki, wpychał w bułkę i pochłaniał w dwóch albo trzech kęsach. Uśmiechnął się na myśl o tym, jakie wrażenie wywarłby na postronnym obserwatorze. Cóż, według dość powszechnej opinii większość psychiatrów z biegiem czasu dość mocno upodabnia się do swoich pacjentów...

Najważniejsze, że wreszcie się najadł oraz że z jego umysłu wreszcie znikły poodrywane, chaotyczne obrazy i myśli. Piosenka również. Miał nadzieję, że nigdy już do niego nie wrócą. Nigdy.

Popił mlekiem, beknął, oparł głowę o karoserię przewróconego samochodu i przymknął powieki. O śnie jednak nie mogło być mowy: czekał go jeszcze niemal dwudziestokilometrowy bieg narciarski przez ciemny, opustoszały las.

Przypomniał sobie powtórzone przez Pete'a plotki zasłyszane u Gosselina o zaginionych myśliwych i światłach na niebie. Z jaką łatwością rozprawił się z nimi Wielki Amerykański Psychiatryczny, z jakim niewyszukanym wdziękiem nawiązał do przypadków zbiorowej hysterii w

stanach Waszyngton i Delaware! Jak gdyby nigdy nic odgrywał rolę uczonego mądrali, a w tym samym czasie w głębi duszy bawił się myślą o samobójstwie zupełnie jak dziecko, które podczas kąpieli w wannie właśnie odkryło, że ma palce u stóp i z zapałem eksperymentuje, usiłując dokładnie poznać ich budowę i działanie. Zdania płynęły z jego ust tak gładko i potoczyście, jakby uczestniczył w programie telewizyjnym, lecz od tego czasu wszystko się zmieniło. Teraz on był jednym z zaginionych myśliwych, a w dodatku widział rzeczy, których nie znajdzie się w Internecie, nawet korzystając z najbardziej rozbudowanych wyszukiwarek.

Siedział tak z odchyłoną do tyłu głową, zamkniętymi oczami i pełnym żołądkiem. Sztucer Jonesy'ego stał obok, oparty o koło scouta. Płatki śniegu głąskały go po czole i policzkach niczym delikatne kocie łapki.

— To jest właśnie to, na co czekała publiczność — powiedział z goryczą. — Bliskie spotkania trzeciego stopnia. Do licha, może nawet czwartego albo piątego. Wybacz, Pete, że nabijałem się z ciebie. To ty miałeś rację, nie ja. Do diabła, nawet gorzej: to stary Gosselin miał rację. Tyle są warte studia na Harvardzie.

Jak tylko usłyszał własne słowa, wszystko zaczęło się układać w sensowną całość. Coś wylądowało albo rozbiło się w okolicy. Rząd USA zdecydował się na zbrojną odpowiedź. Czy Biały Dom poinformował świat, co tu się naprawdę dzieje? Raczej nie, to nie byłoby w ich stylu, ale Henry podejrzewał, że wkrótce będą musieli to zrobić. Nie da się schować tak wielkiego terenu w hangarze numer 57.

Czy wiedział coś więcej? Być może, i być może nawet więcej, niż wiedzieli ludzie dowodzący śmigłowcami i korpusem ekspedycyjnym. Wszystko wskazywało na to, iż sądzą, że mają do czynienia z zarazą, Henry jednak przypuszczał, że nie jest ona aż tak groźna, jak się wydawało. Złocistoczerwone paskudztwo zarażało nowego nosiciela, rozwijało się błyskawicznie... a potem ginęło. To ani właściwe miejsce, ani właściwa pora roku na hodowlę międzygalaktycznej odmiany grzybicy stóp, jeśli właśnie z tym mieli do czynienia. Tak, coraz więcej przemawiało za hipotezą katastrofy, ale jak w takim razie wytłumaczyć światła na niebie? A implanty? Przez całe lata ludzie twierdzący, że zostali uprowadzeni przez kosmitów, opowiadali o szczegółowych badaniach oraz właśnie o implantach — relacje te tak doskonale wpasowywały się we Freudowskie koncepcje analizy snów i przywidzeń, że kwitowano je co najwyżej pobłażliwym śmiechem.

Henry uświadomił sobie, że zasypia, i ocknął się tak gwałtownie, że druga, nierozpakowana paczka parówek zsunęła mu się z kolan na śnieg. Nie, wcale nie zasypiał: on już spał. Dzień zszarzał jeszcze bardziej, świat stracił sporą część i tak już mocno przygaszonych barw. Na spodniach miał bezładny wzorek z opadających leniwie płatków śniegu. Jeszcze chwila i pewnie zaczęłyby chrapać.

Otrzeptał się i wstał, krzywiąc się boleśnie, kiedy mięśnie zaprotestowały przeciwko nawet tak niedużemu wysiłkowi. Niemal z odrazą spojrzął w dół na leżące w śniegu parówki, lecz w końcu schylił się, podniósł je i wetknął do kieszeni kurtki. Za kilka godzin może zmienić zdanie na ich temat. Miał nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale kto wie.

— Jonesy jest w szpitalu — oświadczył niespodziewanie. Nie miał pojęcia, co to miało oznaczać. — Jonesy jest w szpitalu razem z Szarym. Musi tam zostać. OIOM.

Szaleństwo. Bełkotliwe szaleństwo. Przypinając ponownie narty, modlił się w duchu, żeby w tej pozycji nie chwycił go atak korzonków albo żeby dysk mu nie wyskoczył, a następnie w gęstniejącym zmierzchu ruszył dalej przed siebie śladami skutera śnieżnego.

Kiedy się zorientował, że co prawda pamiętał o parówkach, zapomniał natomiast o sztucerze Jonesy'ego (nie wspominając o własnym), był już za daleko, żeby wrócić.

Zatrzymał się mniej więcej po trzech kwadransach i z głupią miną gapił się na ślad skutera. Zrobiło się już znacznie ciemniej, nie tak ciemno jednak, by nie zauważyć, że ślad raptownie, bez żadnej widocznej przyczyny skręca w lewo i niknie między drzewami.

W cholernym, pieprzonym lesie. Dlaczego Jonesy (i Pete, jeśli Pete rzeczywiście z nim był) skręcił nagle w las? Dlaczego nie zostali na Deep Cut Road, gładkiej i równej, biegnącej prosto jak strzełił między dwoma szpalerami czarnych drzew?

— Deep Cut Road prowadzi na północny zachód — wymamrotał, stojąc na nartach prawie stykających się czubami, z paczką parówek wystającą z kieszeni. — Do szosy, którą jeździ się do sklepu, jest stąd najwyżej pięć kilometrów. Jonesy wie o tym, Pete też, a mimo to skręcili... — rozstawił ręce jak wskazówki zegara, próbując określić kierunek — ...prosto na północ. Dlaczego?

Chyba znał odpowiedź na to pytanie. Tam gdzie powinien znajdować się sklep, niebo było jasne jak nad stadionem podczas rozgrywanego wieczorem meczu. Z tego właśnie kierunku dobiegał również, na przemian słabnący i przybierający na sile, nieprzerwany klekot śmigłowców. Henry przypuszczał, że w miarę jak będzie się zbliżał, do jego uszu zaczną docierać coraz więcej odgłosów: warkot silników ciężkich pojazdów, basowe mruczenie generatorów... Na wschodzie wciąż jeszcze było słychać stukot wystrzałów, wszystko jednak wskazywało na to, że główna akcja przeniosła się tam, dokąd zmierzał.

— Założyli bazę u Gosselina, a Jonesy wołał ominąć ich z daleka.

Henry czuł, że trafił w dziesiątkę, ale przecież Jonesy'ego już nie było, prawda? Tylko czerwono-czarny obłok.

— Nieprawda. Jonesy też tam jest. Jonesy jest w szpitalu razem z Szarym. Szary to ten obłok. — A potem, nie wiadomo dlaczego (przynajmniej on nie wiedział): — Oo eobiiiiś? Uuj ut?

Skierował wzrok w górę, na padający wciąż jeszcze trochę nieśmiało, ale coraz gęściej śnieg, jakby wierzył, że gdzieś tam w górze jest jakiś Bóg, obserwujący z autentycznym, choć niezbyt zaangażowanym zainteresowaniem naukowca śledzącego poczynania wszędobylskiego pantofelka.

— Co ja wygaduję, do jasnej cholery? Co to wszystko ma znaczyć?

Naturalnie nie otrzymał odpowiedzi, pojawiło się natomiast dziwne wspomnienie. Od marca on, Pete, Beaver i żona Jonesy'ego mieli wspólną tajemnicę. Carla doszła do wniosku, że jej mężowi wcale nie jest potrzebna do szczęścia informacja o tym, iż po wypadku dwukrotnie ustawała akcja jego serca: po raz pierwszy jeszcze w karetce, po raz drugi wkrótce po przyjeździe do szpitala. Owszem, Jonesy wiedział, że niewiele brakowało, by przeniósł się na tamten świat, nie zdawał sobie jednak sprawy (przynajmniej o ile było wiadomo Henry'emu), jak niewiele, i nawet jeśli jego udziałem stały się jakieś niezwykle doznania na granicy życia i śmierci, to albo zachował je dla siebie, albo zapomniał o nich, być może dzięki narkozie i potężnym dawkom środków przeciwbólowych.

Z południa z oszałamiającą prędkością nadleciał przeraźliwy grzmot. Henry odruchowo rzucił się na ziemię, zasłaniając uszy rękami. Wrażenie było takie, jakby tuż nad niską pokrywą chmur przemknęła cała eskadra myśliwców. Niczego nie zobaczył, ale kiedy grzmot ucichł równie szybko, jak się pojawił, Henry podniósł się z bijącym mocno sercem i wypiekami na twarzy. O rety! Chyba tak właśnie było w bazach lotniczych wokół Iraku na krótko przed początkiem Pustynnej Burzy.

Czyżby miało to oznaczać, że Stany Zjednoczone Ameryki wypowiedziały wojnę przybyszom z innej planety? Czyżby żył teraz w powieści Herberta George'a Wellsa? Łomoczące w przyspieszonym tempie serce ominęło jedno lub dwa uderzenia. Jeśli tak, to należało przypuszczać, że ten nieprzyjaciel dysponuje bardziej imponującym arsenałem niż dwieście zardzewiałych scudów.

Daj spokój. I tak nie masz na to żadnego wpływu. Najważniejsze jest to, co ciebie czeka w najbliższej przyszłości. Właśnie, co cię czeka?

Już prawie nie słyszał odrzutowców, podejrzewał jednak, że prędzej czy później wrócą. Być może z przyjaciółmi.

— Dwie ścieżki spotkały się w zaśnieżonym lesie, tak to szło? Chyba właśnie tak.

W gruncie rzeczy nie miał wyboru: nawet gdyby podążył śladem skutera śnieżnego, najdalej za pół godziny straciłby go z oczu w gęstniejącej ciemności. Padający śnieg również nie ułatwiał mu sytuacji. Bardzo szybko zabłądziłby w lesie, co zapewne już przytrafiło się Jonesy'emu.

Henry westchnął głęboko i podążył dalej wiodącą prosto jak strzełił drogą.

13

Kiedy wreszcie dotarł w pobliże miejsca, gdzie Deep Cut Road łączyła się z asfaltową szosą zwaną Swanny Pond Road, był tak wycieńczony, że z trudem mógł ustać na nogach. Miał wrażenie, że jego mięśnie ud zamieniły się w ogromne, wilgotne herbaty ekspresowe. Nawet widok świateł rozjaśniających horyzont na północnym zachodzie ani dobiegające stamtąd już całkiem wyraźne dźwięki nie były w stanie dodać mu sił. Czekał go jeszcze jeden długi, dość stromy podjazd; zaraz za nim kończyła się Deep Cut Road, a zaczynała Swanny Pond Road. Istniała spora szansa, że kogoś tam spotka, szczególnie że z pewnością wykorzystywano ją do przemieszczania oddziałów wojska.

— No dalej — wycharczał. — No dalej... Ruszaj... — Jednak się nie ruszył. Nie chciał tam iść. — Lepiej pod górę niż z góry — wymamrotał zupełnie bez sensu, a w dodatku niepotrzebnie, bo przecież innej drogi nie było. Chyba że z powrotem.

Schylił się, nabrał w dłoń świeżego śniegu — w ciemności wyglądało to jak mała poduszka — zjadł go trochę, nie dlatego żeby odczuwał taką potrzebę, ale dlatego że naprawdę nie miał ochoty ruszać w dalszą drogę. Światła przy sklepie były co prawda bardziej zrozumiałe i łatwiej wytłumaczalne od tych, które razem z Pete'em podziwiał na niebie („Oni wrócili!” — krzyknęła Becky, zupełnie jak dziewczynka siedząca przed telewizorem w tym starym filmie Spielberga), ale nie wiedzieć czemu znacznie mniej mu się podobały. Ten ryk silników, warkot generatorów... Wszystko to było jakby głodne.

— Zgadza, się, króliczku — powiedział, a następnie, ponieważ naprawdę nie miał wyboru, rozpoczął walkę z ostatnim wzniesieniem dzielącym go od prawdziwej drogi.

14

Zatrzymał się na szczycie, podparł kijkami i długo łapał powietrze szeroko otwartymi ustami. Wiatr wiał tu znacznie mocniej, bez trudu przenikał przez ubranie. Henry czuł rytmiczne pulsowanie w ranie na udzie i po raz kolejny przez głowę przemknęła mu myśl, czy pod prowizorycznym opatrunkiem rozwija się już kolonia złocistoczerwonego paskudztwa. Było za ciemno, żeby sprawdzić, i bardzo dobrze, bo przecież w tej sytuacji jedyną dobrą wiadomością mógł być brak wiadomości...

— Czas się zatrzymał, świat zgiął się w pół, jajotłuk dzielnie szusował w dół.

Wcale go to nie rozbawiło, ruszył więc w kierunku skrzyżowania w kształcie litery T, gdzie kończyła się Deep Cut Road.

Po tej stronie zbrocze było bardziej strome, zatem po chwili nie szedł, tylko jechał. Nabierając prędkości, nie miał pojęcia, czy odczuwa przerażenie, szaleńczą radość, czy może jest to jakaś niezdrowa mieszanka tych dwóch uczuć. Wiedział natomiast na pewno, że pędzi zbyt szybko zarówno ze względu na niemal zerową widoczność, jak na swoje również zerowe umiejętności. Drzewa migały po obu stronach drogi i nagle zaświtała mu myśl, że być może

już za chwilę wszystkie jego problemy jednak znajdą ostatecznie rozwiązanie, tyle że nie dzięki Sposobowi Hemingwaya, lecz w wyniku czołowego zderzenia z pniem jakiejś sosny.

Pęd powietrza zerwał mu czapkę z głowy. Odruchowo podniósł rękę, by ją złapać, natychmiast stracił równowagę, zachwiał się... Lada chwila się przewróci, i bardzo dobrze, może upadek wyhamuje trochę pęd, byle nie złamał sobie jakiejś pieprzonej nogi, szybko się pozбира i...

Uderzyły w niego strumienie światła z potężnych, zainstalowanych na samochodach reflektorów. Na ułamek sekundy przed tym, jak go całkowicie oślepiły, Henry dostrzegł wojskową półciężarówkę stojącą w poprzek szosy i rozstawionych w rzadką tyralierę żołnierzy.

— STÓJ! — rozkazał potworny, wzmocniony głos. Jakby głos samego Boga. — STÓJ, BO BĘDZIEMY STRZELAĆ!

Henry przewrócił się w zupełnie niekontrolowany sposób, nie zdołał ani trochę zamortyzować upadku. Narty nagle wyjechały spod niego, poczuł ostry ból w kostce, zgubił jeden kijek, drugi złamał się w połowie długości, powietrze uszło mu z płuc z bolesnym stęknieniem. Przez kilka sekund zjeżdżał po zboczach z szeroko rozkraczonymi nogami, aż wreszcie znieruchomiał jak duża, ułożona niestarannie z tułowia i powykręcanych kończyn swastyka.

Powoli wracał mu wzrok. Usłyszał, jak całkiem blisko chrzęści śnieg, wyteżył wszystkie siły i jakoś zdołał usiąść. Na razie nie miał pojęcia, czy coś sobie złamał, czy nie.

Jakieś trzy metry od niego stało sześciu ludzi, ich nieprawdopodobnie długie cienie kładły się na roziskrzonym śniegu cienkimi jak sztylety krechami. Wszyscy mieli na twarzach zakrywające nos i usta maski z przezroczystego plastiku. Wyglądały znacznie bardziej profesjonalnie niż lakiernicze maski, które Henry znalazł w szopie, ale włożono je bez wątpienia w tym samym celu.

Mężczyźni celowali w niego z pistoletów maszynowych. Henry'emu przemknęła przez głowę myśl, że chyba dobrze się stało, iż zostawił przy scoucie garanda Jonesy'ego i swojego winchestera. Gdyby miał ze sobą broń, najprawdopodobniej byłby już podziurawiony jak sito.

— Nie wydaje mi się, żebym się zaraził — wycharczał. — Nie wiem dokładnie, co to jest, ale...

— WSTAWAJ! — rozległ się ponownie głos Boga. Dobiegał z półciężarówki. Stojący przed nim ludzie zasłaniali go częściowo przed blaskiem, dzięki czemu Henry dostrzegł jeszcze u podnóża wzniesienia kilkunastu mężczyzn. Tamci również byli uzbrojeni.

— Nie wiem, czy dam ra...

— WSTAWAJ! — powtórzył Bóg ze zniecierpliwieniem, a jeden z celujących w niego ludzi wykonał wymowny ruch łufą.

Henry podniósł się z najwyższym trudem. Trzęsły mu się nogi, kostka stanowczo protestowała, wszystko jednak jako tako działało, przynajmniej na razie. Tak oto kończy się wędrówka jajotłuka, pomyślał i wybuchnął śmiechem. Tamci spojrzeli na siebie niepewnie i choć nadal trzymali go na muszkach, to i tak poczuł się trochę lepiej, widząc, że są jednak zdolni do całkiem ludzkich reakcji.

W jaskrawym blasku reflektorów Henry zauważył leżący w śniegu przedmiot, który wypadł mu z kieszeni. Powoli, zdając sobie sprawę, że w każdej chwili mogą go zastrzelić, schylił się i wyciągnął rękę.

— NIE RUSZAJ TEGO! — ryknął Bóg z półciężarówki, a sześć wypełnionych wieczną ciemnością łuf pistoletów maszynowych spojrzało na niego z wyteżoną uwagą.

— Skosztuj gówna i umrzyj — zacytował jedno z ulubionych powiedzonek Beavera, podniósł paczuszkę, uśmiechnął się i wysunął ją w kierunku celujących w niego ludzi. — Przybywam w pokoju. Czy ktoś ma ochotę na parówkę?

ROZDZIAŁ DWUNASTY JONESY W SZPITALU

1

To był sen.

Nie wyglądał na sen, ale musiał nim być. Po pierwsze dlatego, że piętnasty marca już się raz zdarzył i byłoby rażąco niesprawiedliwością zmuszać go do ponownego przeżycia tego dnia, po drugie zaś, doskonale pamiętał mnóstwo wydarzeń, które rozegrały się między połową marca a połową listopada — pomagał dzieciakom przy odrabianiu lekcji, Carla godzinami dyskutowała z przyjaciółkami przez telefon, wygłaszał odczyt na Harvardzie — w tym także, ma się rozumieć, wielomiesięczną rehabilitację, te niezliczone jęki, paroksyzmy bólu, którymi jego poskładane na nowo stawy broniły się przed ponownym uruchomieniem. Wiele razy mówił Jeannie Morin, swojej rehabilitantce, że nie da rady, a ona dokładnie tyle samo razy powtarzała mu, że owszem, da. Łzy na jego twarzy, uśmiech na jej, aż wreszcie okazało się, że to ona miała rację. Jednak dał radę, jednak zwyciężył, ale jaką za to zapłacił cenę...

Pamiętał to wszystko, a nawet więcej: jak po raz pierwszy wstał z łóżka, jak po raz pierwszy samodzielnie wytarł sobie tyłek, pamiętał pewien wieczór na początku maja, kiedy kładąc się spać, po raz pierwszy pomyślał, że chyba jednak z tego wyjdzie, oraz inny wieczór, również w maju, tyle że sporo później, kiedy po raz pierwszy od wypadku kochał się z Carłą, a potem opowiedział jej stary dowcip: „Jak pieprzą się jeżozwierze? Bardzo ostrożnie”. Pamiętał fajerwerki podczas obchodów Memorial Day, oglądane przy akompaniamencie potwornego bólu biodra i uda. Pamiętał, jak Czwartego Lipca zjadał arbuza, wypluwając pestki na trawę, podczas gdy Carla grała z siostrą w badminton. Biodro i udo wciąż bolały, ale już nie tak bardzo. Pamiętał wrześnieowy telefon od Henry’ego (*Tak tylko dzwonię, żeby sprawdzić, co słychać*) i rozmowę o tysiącu spraw, w tym również o zbliżającym się corocznym wypadzie do Dziury w Murze. „Pewnie, że się wybieram”, powiedział wtedy Jonesy, nie podejrzewając nawet, jak niewiele radości sprawi mu ciężar sztucera w rękach. Rozmawiali o pracy (Jonesy wrócił na uczelnię na ostatnie trzy tygodnie semestru letniego, poruszając się całkiem sprawnie za pomocą tylko jednej kuli), o rodzinach, o książkach, które czytali, i o obejrzanych filmach. Podobnie jak w styczniu, Henry wspominał o tym, że Pete za dużo pije; Jonesy, który miał już za sobą jedną wojnę z żoną nadużywającą substancji uzależniających, nie podjął tematu, kiedy jednak Henry przekazał sugestię Beaver’a, żeby w drodze powrotnej z polowania odwiedzić w Derry Dudditsa Cavella, Jonesy zgodził się z entuzjazmem. Zbyt długo już się nie widzieli, jeśli zaś chodziło o podniesienie człowieka na duchu, to nic nie mogło się równać z solidną dawką Dudditsa. Poza tym...

— Słuchaj, czy my przypadkiem nie umawialiśmy się już, że wpadniemy do niego? Zdaje się, że mieliśmy pojechać w dzień św. Patryka. Nie pamiętam tego, ale znalazłem wpis w moim kalendarzu.

— Zgadza się — odparł Henry. — Tak właśnie było.

— I kto wymyślił, że szczęście sprzyja Irlandczykom?

Mając takie wspomnienia, Jonesy był stuprocentowo pewien, że piętnasty marca już minął. Istniało mnóstwo dowodów na poparcie tego przekonania, a wśród nich na pierwszym miejscu biurkowy kalendarz ze wspomnianym wpisem. A jednak te koszmarnie idy wróciły, co było bardzo, ale to bardzo nie w porządku.

Do tej pory wspomnienia Jonesy’ego z tego dnia wygaszały około godziny dziesiątej rano. Siedział w swoim gabinecie, pił kawę i szykował stos książek, które miał zabrać piętro niżej, na wydział historii. Nie był szczęśliwy, choć za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć dlaczego. Według tego samego kalendarza, w którym wytropił wpis o planowanej na

siedemnastego marca wizycie u Dudditsa, piętnastego marca miał się spotkać ze studentem nazwiskiem David Defuniak. Jonesy nie pamiętał, czego dotyczyło to spotkanie, lecz później znalazł przeznaczoną dla niego notatkę jednego z asystentów o poważnych wątpliwościach dotyczących wśród semestralnej pracy Defuniaka na temat bezpośrednich rezultatów podbojów normańskich, najprawdopodobniej więc o to właśnie chodziło. Czy jednak był to wystarczający powód, aby unieszczęśliwić profesora Gary'ego Jonesa?

Nieszczęśliwy czy nie, nucił coś pod nosem, podkładając pod melodię raczej mało sensowne słowa: *Wiem, że damy radę, wiem, że damy radę, o tak tak tak, na pewno jakoś sobie poradzimy...* Dalej były już tylko strzępy wspomnień: wydziałowej sekretarce życzył miłego dnia św. Patryka, wyjął egzemplarz „Phoenixa” ze skrzynki przed budynkiem, wrzucił ćwierć dolara do futerału ogolonego na łyso saksofonisty przy moście wiodącym do Cambridge — zrobiło mu się go żal, bo wiatr był chłodny, a biedaczysko miał na sobie tylko dziurawy sweter — jednak w zdecydowanej większości jego wspomnienia z tego dnia przypominały czarną otchłań. Świadomość powróciła dopiero w szpitalu razem z monotonnym głosem dobiegającym z sąsiedniego pokoju: „Proszę, przestańcie! Ja już nie wytrzymam! Dajcie mi zastrzyk! Gdzie jest Marcy? Chcę Marcy!”. A może to było raczej: „Gdzie jest Jonesy? Chcę Jonesy'ego!”. Stara, podstępna śmierć. Śmierć udająca pacjenta. Zgubiła jego ślad — to było całkiem możliwe, w takim ogromnym szpitalu pełnym bólu, ociekającym cierpieniem — i teraz starała się go odnaleźć. Próbowwała podstępem. Usiłowała zwieść go na tyle, żeby sam się jej pokazał.

Tym razem nie ma już jednak miłosiernej, spowijającej wszystko ciemności. Tym razem nie tylko życzy Colleen miłego dnia św. Patryka, ale nawet opowiada jej dowcip: „Jak nazywa się po japońsku gabinet dziekana? Jamachama”. Potem wychodzi z budynku, a Jonesy z przyszłości, ten listopadowy, siedzi w jego głowie jak pasażer na gapę. Jonesy z przyszłości słyszy myśl marcowego *Ale piękny dzień się zrobił*, kiedy ten rusza na spotkanie swego przeznaczenia w Cambridge. Usiłuje mu wytłumaczyć, że to nie najlepszy pomysł, że to zupełnie idiotyczny pomysł, że mógłby sobie zaoszczędzić mnóstwa cierpień, wsiadając do taksówki albo autobusu, lecz nie jest w stanie do niego dotrzeć. Może jednak autorzy książek fantastycznonaukowych, którymi zaczytywał się w podstawówce i szkole średniej, mieli rację: nie sposób zmienić przeszłości, bez względu na to, jak bardzo się człowiek stara.

Wchodzi na most i choć wieje chłodny wiatr, to ciepło słonecznych promieni na twarzy i widok roziskrzonych niezliczonych zmarszczek na powierzchni rzeki sprawiają mu dużą przyjemność. Nuci fragment „I znów zaświeci słońce”, by zaraz zmienić repertuar na Pointer Sisters: *Wiem, że damy radę, wiem, że damy radę, o tak tak tak, na pewno jakoś sobie poradzimy...* Wymachuje do rytmu teczka. W teczce jest kanapka z pastą jajeczną. Mniam—mniam, myśli Henry. SSDD, myśli Henry.

Oto i saksofonista, ale cóż za niespodzianka: nie stoi przy wejściu na most, lecz trochę dalej, obok domów studenckich MIT-u, przed jedną z cuchnących indyjskich restauracji. Drży z zimna, jest wygolony na łyso, zacięcia na nagiej czaszce świadczą o tym, że nie urodził się fryzjerem. Dźwięki, które wydobywają się z saksofonu, świadczą o tym, iż nie urodził się również muzykiem. Jonesy chętnie by mu doradził, żeby zajął się raczej stolarstwem, aktorstwem albo terroryzmem, wszystko jedno czym, byle nie muzyką, czyni jednak coś wręcz przeciwnego, a mianowicie zachęca go do kontynuowania niefortunnie wybranej profesji, wrzucając do wyłożonego czerwonym suknem futerału nie ćwierćdolarówkę, jak mu się później wydawało, lecz całą garść drobniaków. Odpowiedzialnością obarcza pierwszy ciepły słoneczny dzień po długiej zimie oraz nadspodziewanie dobry przebieg rozmowy z Defuniakiem.

Saksofonista przewraca oczami, kiwa głową, dziękuje Jonesy'emu, nie przerywając gry na instrumencie. Jonesy'emu przychodzi do głowy kolejny dowcip: „Jak się nazywa saksofonista z kartą kredytową? Optymista”.

Idzie dalej, wymachując teczką, nie zwracając najmniejszej uwagi na ostrzeżenia zamkniętego w jego głowie Jonesy'ego, tego, który wrócił pod prąd z listopada niczym jakiś podróżujący w czasie łośoś. *Jonesy, stój! Zatrzymaj się choć na chwilę, wystarczy dosłownie parę sekund Zawiaż sznurowadło albo zrób coś w tym rodzaju...* (Nic z tego, ma na nogach mokasyny. Wkrótce zamieni je na gips). *To się stanie na tamtym skrzyżowaniu, przy przystanku czerwonej linii. Zbliży się tam już pewien paskudny staruch, zdezelowany profesor historii w granatowym lincolnie. Skosi cię jak zboże.*

Nic z tego. Stara się jak może, ale bez rezultatu. Telefony nie działają. Nie można zmienić przeszłości, nie można zabić własnego dziadka, nie można zastrzelić Lee Harvey Oswald kłęczącego przy oknie na piątym piętrze składnicy książek z kolbą kupionego w sklepie wysyłkowym karabinu przyciśniętą do ramienia, nie można powstrzymać samego siebie przed wejściem na skrzyżowanie Massachusetts Avenue i Prospect Street z teczką w ręce i egzemplarzem „Phoenka” — którego nie zdążysz przeczytać — pod pachą. *Bardzo nam przykro, ale nastąpiło zerwanie linii gdzieś w rejonie Jefferson Tract, mamy tam prawdziwy pierdolnik, chwilowo nie ma mowy o...*

I właśnie wtedy — o Boże, to coś nowego! — wiadomość jednak dociera do adresata. W chwili kiedy Jonesy jest już przy skrzyżowaniu, kiedy zatrzymuje się na krawężniku, kiedy właśnie ma wejść na jezdnię — wiadomość dociera!

— Co takiego? — pyta.

Stojący obok mężczyzna, to on pierwszy pochylił się nad nim w niedalekiej przyszłości, która oto może zostać w cudowny sposób anulowana, patrzy na niego podejrzliwie.

— Ja nic nie mówiłem.

Jonesy prawie go nie słyszy, w jego głowie bowiem rozbrzmiewa jakiś głos, podejrzenie podobny do jego własnego, i ten głos krzyczy, żeby został na chodniku, żeby nie wchodził na jezdnię...

A potem słyszy czyjś płacz, spogląda na drugą stronę ulicy i, Boże, widzi tam Dudditsa, prawie nagiego, tylko w majtkach, z twarzą wysmarowaną czymś brązowym. Na pierwszy rzut oka wygląda to jak czekolada, ale Jonesy wie lepiej. To psie gówno, ten drań Richie jednak zmusił go do zjedzenia, a ludzie łożą tam i z powrotem jakby nigdy nic, jakby Dudditsa wcale tam nie było.

— Duddits! — woła Jonesy. — Trzymaj się, już idę!

Nie rozglądając się, wpada na jezdnię, pasażer w jego głowie może się tylko bezradnie przyglądać, nareszcie rozumie, jak doszło do wypadku, ten starzec za kierownicą w początkowej fazie Alzheimerera, który w ogóle nie powinien prowadzić samochodu — owszem, ale nie tylko. Druga część prawdy, ukryta do tej pory w ciemności otaczającej wypadek, przedstawiała się następująco: zobaczył Dudditsa po drugiej stronie ulicy i pobiegł do niego, zapomniawszy się rozejrzeć.

Widzi coś jeszcze, coś na kształt rozległego schematu, coś podobnego do gigantycznego łowcy snów łączącego wszystkie lata od chwili, kiedy w roku 1978 poznali Dudditsa, z teraźniejszością i przyszłością.

Kątem lewego oka dostrzega rozbłysk słońca w przedniej szybie. Nadjeżdża samochód, za szybko, dużo za szybko.

— Hej, uważaj! — krzyczy mężczyzna, który stał obok niego na chodniku, ten od „ja nic nie mówiłem”, lecz Jonesy prawie go nie słyszy, ponieważ na chodniku za Dudditsem stoi jeleń, potężny byk, niemal wysokości człowieka. Na ułamek sekundy przed uderzeniem Jonesy widzi, że to w rzeczywistości człowiek, a nie żaden jeleń, człowiek w pomarańczowej czapce i pomarańczowej kamizelce myśliwskiej. Na jego ramieniu, niczym odrażająca maskotka, siedzi jakiś beznogi stwór podobny do łasicy, z ogromnymi czarnymi ślepiami. Ogon, a może macka, oplata szyję mężczyzny. Jak mogłem pomylić go z jeleniem? —

rozbłyskuje Jonesy'emu ostatnia myśl. Zaraz potem uderza w niego rozpedzony lincoln, Jonesy ląduje na jezdni, a padając, słyszy tępy, przytłumiony trzask pękającego biodra.

2

Tym razem nie ma ciemności. Nie wiadomo, czy to lepiej, czy gorzej, ale w Uliczce Pamięci zainstalowano jaskrawe sodowe światła. Film jest jednak niespójny, poplątany, jakby montażysta wypił podczas lunchu o parę drinków za wiele i zapomniał, jak powinna przebiegać akcja. Z pewnością ma to częściowo związek z przedziwnym wynaturzeniem czasu: Jonesy zdaje się żyć równocześnie w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

„Właśnie w ten sposób przenosimy się z miejsca na miejsce — odzywa się głos, który Jonesy dobrze zna, ponieważ to właśnie ten głos błagał o Marcy i o zastrzyk. — Jak tylko przyspieszenie przekroczy pewną graniczną wartość, podróż w przestrzeni zamienia się w podróż w czasie. Podstawą każdej podróży jest pamięć”.

Człowiek z chodnika, ten od „ja nic nie mówiłem”, pochyla się nad nim i pyta, czy wszystko w porządku, kiedy widzi, że tak nie jest, rozgląda się dokoła i pyta:

— Czy ktoś ma telefon komórkowy? Trzeba wezwać pogotowie.

Jonesy unosi głowę, widzi na jego podbródku niewielkie zacięcie, biedaczysko pewnie nawet nie zauważył, że dziś rano zaciął się przy goleniu. Jakie to urocze, myśli Jonesy, i zaraz potem cięcie, na ekranie pojawia się stary przyk w płaszczu i fedorze, nazwijmy go Cojazrobiłem. Łazi w kółko i wciąż pyta ludzi o to samo. Spojrzał na chwilę w bok, usłyszał łomot — co ja zrobiłem? Nigdy nie lubił takich dużych samochodów — co ja zrobiłem? Nie pamięta nazwy swojej firmy ubezpieczeniowej, ale wie, że reklamują się jako Ludzie o Dobrych Rękach — co ja zrobiłem? W kroku ma mokrą plamę i kiedy Jonesy tak leży na jezdni, mimo wszystko zaczyna mu współczuć. Chętnie wstałby, klepnąłby tamtego w ramię i powiedział: Co zrobiłeś? Ano, zlałeś się w portki, kolego. Ni mniej, ni więcej.

Kolejny przeskok. Dokoła zgromadził się już spory tłumek. Wszyscy wydają się niezmiernie wysocy. Jonesy'emu przemyka przez głowę myśl, że ogląda pogrzeb jako zwłoki spoczywające w otwartej trumnie, to zaś z kolei przywodzi mu na myśl opowiadanie Raya Bradbury'ego, chyba zatytułowane „Tłum”, w którym ludzie gromadzący się na miejscu wypadku — zawsze ci sami — decydują o losie ofiary, wymieniając uwagi na jej temat. Jeżeli szepczą między sobą, że nie jest tak źle, że na szczęście kierowca w ostatniej chwili zdążył skręcić — wszystko skończy się dobrze. Jeśli jednak w tłumie zaczną przeważać opinie w rodzaju „marnie wygląda” albo „wątpię, żeby się z tego wylizał” — nieszczęśnik umiera. Zawsze ci sami ludzie, zawsze te same pozbawione wyrazu, głodne twarze. Podpatrywacze, nieodmiennie złaknieni krwi i jęków ofiary.

W otaczającym go tłumie, tuż za plecami tego od „ja nic nie mówiłem”, Jonesy dostrzega Dudditsa Cavella, ubranego i całkiem w porządku, czyli już bez wąsów z psiego łajna.

Jest tam również McCarthy, czyli ten „stoję u drzwi i kołaczę”. I jeszcze ktoś, zupełnie szary człowiek, tyle że to wcale nie człowiek, tylko Obcy, który zaszedł go od tyłu, kiedy Jonesy stał w drzwiach łazienki. Na pozbawionej wyrazu twarzy dominują ogromne czarne oczy, szara skóra jest tam naciągnięta nieco mocniej niż na pozostałych częściach ciała, ET-dzwonić-do-domu nie poddał się jeszcze niszczącemu działaniu środowiska. Ale podda się, z pewnością. Prędzej czy później rozpuści się w tym świetle jak w kwasie.

Twoja głowa wybuchła, usiłuje mu powiedzieć Jonesy, lecz z jego ust nie wydobywa się żaden dźwięk, ba, usta nawet nie chcą się otworzyć. Mimo to ET-dzwonić-do-domu chyba go słyszy, ponieważ ledwo dostrzegalnie potakuje.

— Traci przytomność — odzywa się ktoś z tłumu.

Tuż przed kolejnym cięciem, zanim zmieni się scena, Jonesy słyszy głos Cojazrobiłem, tego, który w niego wjechał i zmiądzzył mu biodro jak porcelanowy talerz:

— Ludzie mówią, że jestem podobny do Lawrence’a Welka.

3

Chociaż leży nieprzytomny w karetce, to jednak przez cały czas śledzi rozwój wydarzeń, doświadczając autentycznego przeżycia pozacielesnego. I bardzo dobrze, bo oto pojawia się całkowita nowość, coś, o czym do tej pory nie miał najmniejszego pojęcia: sanitariusz rozcina mu spodnie, pokazuje się coś, co kiedyś było jego biodrem, a teraz wygląda jak zdeformowana współczesna rzeźba, potem ciach, ciach i po koszuli, potem trach, trach pobudzanie mięśnia sercowego elektrowstrząsami, a po co to? Dlaczego? Otóż dlatego, że Jonesy najzwyczajniej w świecie odwalił kitę w karetce! Kurwa, dlaczego nikt mu o tym nigdy nie powiedział? Myśleli może, że nie będzie zainteresowany, że nie warto zwracać mu głowy takimi drobnostkami?

— Gotowe! — woła drugi sanitariusz, elektrody dotykają skóry, kierowca odwraca się i Jonesy rozpoznaje w nim matkę Dudditsa. Zaraz potem następuje wyładowanie, mięśnie prężą się spazmatycznie i chociaż obserwujący to Jonesy nie ma ciała, to jednak czuje uderzenie, czuje potężne ŁUP! w najodleglejszych koniuszkach nerwów. Święty Jezu, Chryste Panie, alleluja.

Ten na noszach podskakuje jak ryba wyjęta z wody, po czym nieruchomieje. Sanitariusz skulony nad instrumentami patrzy na monitor, kręci głową i mówi:

— Nic z tego, płaska krecha, próbujemy jeszcze raz.

Kolejne wyładowanie, kolejny przeskok i Jonesy leży w sali operacyjnej.

Chwileczkę, poprawka, to nie do końca prawda. Część Jonesy’ego jest w sali, część natomiast tuż obok, za szklaną ścianą. W tym pomieszczeniu oprócz niego są jeszcze dwaj lekarze, lecz nie poświęcają najmniejszej uwagi wysiłkom zespołu operacyjnego zajętego Jonesym. Grają w karty. Nad ich głowami obraca się powoli łowca snów z Dziury w Murze.

Jonesy nie ma wielkiej ochoty przyglądać się temu, co się dzieje za szklaną ścianą — nie podoba mu się ani krwawy krater w miejscu, gdzie kiedyś miał biodro, ani widoczne na jego dnie i po bokach bladoszare odłamki strzaskanych kości.

Chociaż w swoim bezcielesnym stanie nie ma żołądka, a więc nie może odczuwać mdłości, to wrazenia, jakich doznaje, prawie niczym się od nich nie różni.

— To dzięki Dudditsowi jakoś się określiliśmy — odzywa się za jego plecami jeden z pochłoniętych grą w karty lekarzy. — Duddits był najlepszym, co nas spotkało w życiu.

— Tak sądzisz? — pyta drugi.

Dopiero teraz Jonesy uświadamia sobie, że lekarzami są Henry i Pete. Odwraca się do nich i wtedy okazuje się, że jednak nie jest całkowicie odcielesniony, ponieważ w szybie oddzielającej go od sali operacyjnej dostrzega swoje odbicie.

Już nie jest Jonesym, już nie jest nawet człowiekiem. Ma szarą skórę, oczy sterczą mu z beznosej twarzy jak wielkie czarne żarówki. Stał się jednym z nich, jednym z...

Jednym z Szarych, myśli. Tak nas właśnie nazywają: Szarzy. Niektórzy mówią też „kosmiczne czarnuchy”.

Otwiera usta, żeby to powiedzieć, a może żeby poprosić starych przyjaciół o pomoc — zawsze sobie pomagali, jeśli tylko mogli — lecz właśnie wtedy następuje kolejne cięcie (wszystko przez tego cholernego montażystę, który przyszedł pijany do pracy), leży w łóżku, w szpitalnym łóżku, a ktoś całkiem niedaleko woła: „Gdzie jest Jonesy? Chcę Jonesy’ego!”.

No proszę, myśli ze zgryźliwą satysfakcją. Zawsze wiedziałem, że chodziło o mnie, nie o jakąś Marcy. To śmierć mnie woła, może nawet sama Śmierć, więc muszę być zupełnie cicho, jeśli chcę się przed nią schować, nie zdołała przepchać się do mnie przez tłum, spróbowała w karetce, ale jej się nie udało, a teraz szuka mnie w szpitalu, przebrana za pacjenta.

„Proszę, przestańcie! — jęczy Śmierć wciąż tym samym, żalonym i zarazem wabiącym tonem. — Ja już nie wytrzymam! Dajcie mi zastrzyk! Gdzie jest Jonesy? Chcę Jonesy’ego!”.

Będę tu leżał, aż przestanie, myśli Jonesy. I tak nie mógłbym wstać. Właśnie wmontowano mi w biodro kilogram żelastwa i minie dobrych parę dni, zanim zdołam się podnieść. Może nawet cały tydzień.

Jednak ku swemu przerażeniu zdaje sobie sprawę, że wstaje, odsuwa przykrycie i podnosi się z łóżka, i chociaż czuje, jak rozlżą się i pękają dopiero co założone szwy na biodrze i brzuchu, jak po nodze i podbrzuszu spływa mu ciepła krew, ponad wszelką wątpliwość wpompowana mu w żyły podczas transfuzji, to jednak, utykając, wędruje przez pokój, przez plamę słonecznego blasku na podłodze (przez chwilę widzi w niej swój bardzo ludzki cień, a więc chwilowo nie jest Szarym, i bardzo dobrze, bo z Szarych niewiele już zostało) aż do drzwi. Wychodzi na korytarz, mija zaparkowane przy ścianie łóżko na kółkach ze stojącym na nim basenem, niezauważony przechodzi obok dwóch roześmianych pielęgniarek oglądających rodzinne zdjęcia, coraz bardziej zbliża się do źródła monotonnego głosu. Nie może się zatrzymać, wie, że znalazł się w obłoku, nie w czarno-czerwonym jednak, nie w takim, jaki widzieli lub wyczuwali Henry i Pete; ten obłok jest szary, a on unosi się w jego środku, jedyna nieprzeistoczona cząstka. To właśnie mnie szukali, przemyka mu przez głowę. Nie wiem, jak to możliwe, ale właśnie mnie szukali, właśnie ja jestem im potrzebny, ponieważ... ponieważ obłok nie potrafi mnie zmienić?

Mniej więcej.

Mija troje otwartych drzwi. Czwarte są zamknięte, wisi na nich tabliczka z napisem: PROSZĘ WEJŚĆ, NIE MA NIEBEZPIECZEŃSTWA ZARAŻENIA, IL N’Y A PAS D’INFECTION ICI.

To kłamstwo, myśli Jonesy. Ten Cruise, Curtis, czy jak mu tam, może być szaleńcem, ale pod jednym względem na pewno ma rację: zarażić się jest łatwo jak cholera.

Krew płynie mu po nogach, dolna część szpitalnej koszuli zmieniła kolor na szkarłatnoczerwony, on jednak nie czuje bólu. Ani nie boi się zarażenia. Jest jedyny i niepowtarzalny, i obłok może go nieść, ale nie może go zmienić. Otwiera drzwi i wchodzi do środka.

4

Czy dziwi go widok Szarego z wielkimi czarnymi oczami leżącego w szpitalnym łóżku? Ani trochę. Kiedy w chacie Jonesy odwrócił się i zobaczył tamtego stojącego dwa albo trzy kroki za nim, głowa Szarego eksplodowała. Po czymś takim każdy wylądowałby w szpitalu. Teraz głowa jest znowu cała. Współczesna medycyna potrafi działać cuda.

Pokój wręcz tonie w złocistoczerwonych odcieniach. Grzyb rośnie na podłodze, na parapetach, żaluzjach, wspiął się na sufitową lampę i butelkę z glukozą (w każdym razie Jonesy przypuszcza, że jest w niej glukoza), złocistoczerwone frędzle zwisają z klamki przy drzwiach łazienki i z ramy łóżka.

Jonesy podchodzi do szarej istoty przykrytej aż po wąską bezwłosą klatkę piersiową. Na stoliku przy łóżku leży samotna kartka z życzeniami. SZYBKIEGO POWROTU DO ZDROWIA! — głosi napis nad rysunkiem przedstawiającym smutnego żółwia z opatrunkiem na skorupie, poniżej zaś widnieje ręczny dopisek: *Od Stevena Spielberga i wszystkich kumpli z Hollywood.*

To tylko sen, pełen sennej symboliki i podświadomych skojarzeń, myśli Jonesy, w głębi duszy jednak wie, że tak wcale nie jest. To jego własny umysł miksuje rozmaite bodźce, przetwarza je na strawną papkę, miesza przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, podobnie jak dzieje się w snach, ale Jonesy zdaje sobie sprawę, że popełniłby ogromny błąd, traktując to

wszystko tylko jak poszatowaną i potem pozlepianą na chybił trafił bajkę z krainy podświadomości. Przynajmniej część tego dzieje się naprawdę.

Wyłupiaste czarne oczy patrzą wprost na niego. Kołdra porusza się, faluje, wysuwa się spod niej czerwonawe stworzenie wielkości łasicy, takie jak to, które załatwiło Beavera. Pomagając sobie silnym ogonem, wczołguje się wyżej na poduszkę, obserwuje go mniejszymi, ale równie czarnymi i błyszczącymi oczami, a następnie zwija się w kłębek obok wąskiej szarej głowy. Nic dziwnego, że McCarthy był odrobinę niedysponowany, myśli Jonesy.

Krew wciąż sływa mu po nogach, lepka jak miód i ciepła jak gorączka. Tworzy na podłodze niewielką kałużę. Można by pomyśleć, że lada chwila załęgnie się tam kolonia złocistoczerwonego grzyba, lecz Jonesy wie lepiej. Jest jedyny w swoim rodzaju. Obłok może go nieść, ale nie zdoła go zmienić.

Tu się nie gra, tu się nie hałasuje... A zaraz potem: *Ciii, zachowaj to dla siebie.*

Szara istota unosi rękę w geście znużonego powitania. Ma trzy długie palce zakończone różowymi paznokciami, spod których wycieka jakaś żółtawa substancja. Widać ją również w fałdach szarej skóry oraz w kącikach oczu.

Masz rację, rzeczywiście przydałby ci się zastrzyk, myśli Jonesy. Najlepiej z napalmu albo lizolu. Załatwiłoby cię to na...

Okropne podejrzenie eksploduje mu w głowie, jest tak silne, że ogarnięty przerażającą fascynacją odruchowo robi kilka kroków w kierunku łóżka, zostawiając za sobą rozmazane czerwone ślady.

Chyba nie będziesz pił mojej krwi jak wampir?

Szary uśmiecha się bez uśmiechu.

Według waszej terminologii jesteśmy kimś w rodzaju wegetarian.

A ogoniasty? Wskazuje na beznogą łasicę, ta zaś obnaża zęby w groteskowym grymasie. On też jest wegetarianinem?

Przecież wiesz, że nie, odpowiada Szary, w ogóle nie poruszając wąskimi ustami. Niezły z niego brzuchomówca, zbiłby fortunę w każdej rewii. Ale wiesz też, że nie musisz się go obawiać.

Dlaczego? Czym się różnię od innych?

Konający Szary (to jasne, że kona, jego ciało rozpada się, gnije od wewnątrz) nie odpowiada, i przez głowę Jonesy'ego znowu przelatuje: *Tu się nie gra, tu się nie hałasuje.* Jest pewien, że Szary z wielką ochotą przeniknąłby znaczenie tej myśli, ale nic z tego; inność Jonesy'ego polega również na tym, że potrafi szczelnie zamknąć przed intruzami niektóre obszary swego umysłu. *Vive la différence*, mógłby powiedzieć, ale tego nie mówi.

Czym się różnię od innych?

Kto to jest Duddits? — pyta Szary, a kiedy Jonesy nie odpowiada, ponownie się porusza. *Jak widzisz, obaj zadajemy pytania, na które nie możemy uzyskać odpowiedzi. Odlóżmy je na razie na bok, dobrze? Twarzami do dołu. To będzie nasz... Jak to się nazywa w tej grze?*

Crib, mówi Jonesy.

Wyraźnie czuje smród rozkładu, ten sam smród, który przyniósł ze sobą McCarthy. Tak, nie ulega wątpliwości, że powinien był od razu zastrzelić tego ugrzecznionego sukinsyna, powinien palnąć mu w łeb, zanim tamten zdołał dotrzeć do ciepłego miejsca. Wtedy to, co tamten w sobie nosił, zdechłoby w śniegu pod jakimś drzewem.

Właśnie: *crib*. Pojawia się również łowca snów; wisi pod sufitem i obraca się powoli nad głową szarego. *Odlóżmy na bok te wszystkie rzeczy, które chcemy przed sobą ukryć, i policzymy je później. To będzie nasz crib.*

Czego chcesz ode mnie?

Szary wpatruje się w Jonesy'ego bez mrugnięcia. Nic dziwnego, nie ma przecież ani powiek, ani rzęs.

Kto to jest Duddits? — pyta niespodziewanie głosem Pete'a.

Jonesy jest tak zaskoczony, że niewiele brakuje, by szczerze i uczciwie odpowiedział. Tamtemu oczywiście właśnie o to chodziło: żeby wziąć go z zaskoczenia. Może Szary umiera, ale nadal jest silny. Trzeba się go strzec. Jonesy wysyła mu obrazek wielkiej brązowej krowy z tabliczką na szyi. Napis na tabliczce głosi DUDDITS.

Szary znowu uśmiecha się w głowie Jonesy'ego.

Krowa? Duddits to krowa? Wątpię.

Skąd jesteś? — pyta Jonesy.

Z Planety X. Przybывamy z umierającej planety, żeby objadać się pizzą, brać tanie kredyty i uczyć się włoskiego u Berlitz.

Tym razem Szary posługuje się głosem Henry'ego, by zaraz wrócić do własnego... Tyle że, jak Jonesy uświadamia sobie obojętnie, głos Szarego jest jego głosem. Doskonale wie, jak skomentowałyby to Henry: że to wszystko halucynacje wywołane wstrząsem po śmierci Beavera.

Teraz już nie, poprawia się w duchu Jonesy. Już by tak nie powiedział. Teraz jest jajotłukiem i wie, co jest grane.

Henry? Wkrótce umrze — informuje go obojętnie Szary. Trójpalczysta ręka przesuwa się po kołdrze, obejmuje dłoń Jonesy'ego. Szara skóra jest ciepła i sucha.

Co to znaczy? Jonesy boi się o Henry'ego, lecz konająca istota nie odpowiada. Kolejna karta wędruje do *criba*, więc Jonesy musi zagrać z ręki. *Po co mnie tu wezwwałś?*

Szary wyraża zdziwienie, choć wyraz jego twarzy wciąż nie ulega zmianie.

Nikt nie chce umierać w samotności. Chcę, żeby ktoś przy mnie był. Wiesz co? Obejrzymy telewizję!

Nie chcę oglądać tele...

To mój ulubiony film, tobie też się na pewno spodoba. Nazywa się Współczując Szarym. Ogoniasty! Pilot!

Ogoniasty obdarza Jonesy'ego szczególnie nieprzychylnym spojrzeniem, zsuwa się z suchym szelestem z poduszki, chwytą w pysk leżącego na szafce, obrośniętego grzybem pilota i podaje go Szaremu, który uwalnia rękę Jonesy'ego (dotyk wcale nie był odrażający, ale Jonesy i tak odczuwa ulgę), celuje z pilota w telewizor i naciska duży czerwony przycisk. Na ekranie pojawia się odrobinę nieostry, ale w miarę wyraźny obraz wnętrza szopy na narzędzia. Centralne miejsce zajmuje jakiś duży przedmiot przykryty zieloną płachtą. Jeszcze zanim otworzą się drzwi i Jonesy zobaczy siebie wchodzącego do środka, staje się dla niego jasne, co się wydarzyło. Gwiazdorem filmu *Współczując Szarym* jest Gary Jones.

Co prawda spóźniliśmy się na napisy — odzywa się konająca istota z wygodnej łoży w samym środku jego umysłu — *ale film dopiero się zaczyna.*

Tego właśnie obawia się Jonesy.

5

Drzwi otwierają się i do szopy wchodzi Jonesy. Wygląda dość malowniczo, ma bowiem na sobie własną kurtkę, rękawice Beavera i starą pomarańczową czapkę Lamara. Jonesy'emu siedzącemu na krześle przy łóżku Szarego wydaje się przez chwilę, że Jonesy z filmu jednak się zaraził, ponieważ ma na ubraniu mnóstwo czerwonej substancji, ale szybko sobie uświadamia, że to tylko resztki Szarego, który eksplodował w chacie w odległości zaledwie dwóch kroków od tamtego. To znaczy, nie cały, tylko jego głowa.

Ale ty wcale nie eksplodowałeś, prawda? Co to było? Rozsiewanie zarodników?

Ciii! — ucisza go Szary, Ogoniasty zaś obnaża przerażający garnitur zębów, jakby upominając w ten sposób Jonesy'ego, żeby ten poświęcał więcej uwagi manierom. *Uwielbiam tę piosenkę, a ty?*

Ścieżkę dźwiękową tworzy „Współczując diabłu” Rolling Stonesów, co wydaje się całkiem na miejscu, zważywszy na zbieżność tytułu z tytułem filmu (To mój ekranowy debiut, przemyka Jonesy’emu przez głowę. Niech tylko zobaczą to Carla i dzieciaki!), lecz Jonesy’emu wcale się nie podoba, wręcz zasmuca go z jakiegoś powodu.

Jak możesz to lubić? — pyta, ignorując wyszczerzone zęby Ogoniastego. Ogoniasty nie stanowi dla niego żadnego zagrożenia i obaj doskonale o tym wiedzą. — *Jak możesz? Przecież tego właśnie słuchali, kiedy was mordowali.*

Oni zawsze nas mordują — odpowiada Szary. — A teraz milcz i oglądaj film. Ta część trochę się ciągnie, ale dalej jest znacznie lepiej.

Jonesy kładzie ręce na zakrwawionych kolanach — krwotok nareszcie ustał — i koncentruje się na „Współczując Szarym” z jedynym i niepowtarzalnym Gary Jonesem w roli głównej.

6

Jedyny i niepowtarzalny Gary Jones ściąga płachtę ze skutera śnieżnego, zdejmuje ze stołu warsztatowego akumulator, wkłada go na miejsce i podłącza przewody, bardzo uważając na to, żeby połączyć plus z plusem i minus z minusem. W ten sposób wyczerpuje niemal całą swoją wiedzę techniczną — jest przecież profesorem historii, a nie mechanikiem; jeśli chodzi o drobne roboty domowe, to nigdy nie zdobył się na więcej niż zasugerowanie dzieciom, żeby od czasu do czasu zamiast „Xeny” obejrzały jakiś program z History Channel. Kluczyk tkwi w stacyjce, po przekręceniu zapalają się wszystkie światełka — a więc przynajmniej prawidłowo podłączył akumulator — lecz silnik milczy.

Nawet nie zawarczy. Rozrusznik stęka przez chwilę, i to wszystko.

— Cholera jasna, niech to nagły szlag trafi, kurwa jego mać — recytuje półgłosem bez większych emocji. Skąd zresztą miałyby się brać te emocje, jest przecież miłośnikiem filmów grozy, dwadzieścia pięć razy oglądał „Inwazję porywaczy ciał” (widział nawet beznadziejny remake, ten z Donaldem Sutherlandem) i doskonale wie, co się dzieje. Ukradziono mu ciało i tyle, ale widzowie nie obejrzą ani armii zombi, ani nawet ich małego oddziału. Jest specjalny. Podejrzewa, że Pete, Henry i Beaver również są specjalni (to znaczy, Beaver był specjalny), on jednak jest najbardziej specjalny z nich wszystkich. Najspecjalniejszy. Nie powinno się tak mówić, to błąd nie tylko gramatyczny, ale i logiczny, ale to prawda i nic nie można na to poradzić. Pete i Beaver byli specjalni, Henry jest specjalniejszy, a on, Jonesy, najspecjalniejszy. Proszę bardzo, gra nawet główną rolę w filmie! I co wy na to, jak powiedziałyby jego najstarszy syn?

Szara istota w szpitalnym łóżku przenosi wzrok z ekranu telewizora, na którym Jonesy I siedzi okrakiem na skuterze śnieżnym, na Jonesy’ego II, który siedzi na krześle w zakrwawionej szpitalnej koszuli.

Co ukrywasz? — pyta.

Nic.

Dlaczego wciąż widzisz przed sobą ceglany mur? Co to jest 19, oprócz tego, że to liczba pierwsza? Kto powiedział „pieprzyć Tigersów”? Co to znaczy? Co to jest ceglany mur? Kiedy on jest? Co oznacza, dlaczego wciąż go widzisz?

Czuje, jak Szary usiłuje się do niego dobrać, ale na razie jest całkowicie bezpieczny. Obłok może go nieść, lecz nie jest w stanie go zmienić. Ani nawet całkowicie otworzyć. Jeszcze nie.

Jonesy przyciska palec do ust i odsyła Szaremu jego własne słowa: *Milcz i oglądaj film.*

Umierający wpatruje się w niego wylupiastymi czarnymi oczami (to oczy owada, uświadamia sobie Jonesy, oczy modliszki), jeszcze przez chwilę próbuje wdrzeć się do jego umysłu, po czym rezygnuje. Nie ma pośpiechu, przecież prędzej czy później i tak się tam dostanie i dowie się wszystkiego, co będzie mu potrzebne.

Tymczasem oglądają film. Kiedy Ogoniasty wpełza Jonesy'emu na kolana i zwija się tam w kłębek — z tymi swoimi ostrymi jak igły zębami i smrodkiem odmrażacza do szyb — ten ledwo to zauważa.

Jonesy I, Jonesy z szopy (tyle że tak naprawdę to jest teraz Szary) sięga na zewnątrz. Ma w czym wybierać, całkiem niedaleko jest mnóstwo umysłów, w jednym z nich błyskawicznie odszukuje potrzebną informację. To coś takiego, jakby otworzyć folder w komputerze i zamiast słów znaleźć w nim zapierającą dech w piersi trójwymiarową animację.

Źródłem, z którego czerpie Szary, jest niejaki Emil „Dawg” Brodsky z Menlo Park w New Jersey. Brodsky jest wojskowym mechanikiem w stopniu sierżanta, prawdziwą złotą rączką, tyle że tutaj, w zespole Kurtza, sierżant Brodsky nie ma żadnego stopnia. Podobnie jak wszyscy. Do przełożonych mówi „szefie”, do podwładnych (a ponieważ takich nie ma, to do nielicznych niższych stopniem) — „ej, ty!”. Do tych, których nie potrafi sklasyfikować, zwraca się „kolego” albo „stary”.

W górze przemykają myśliwce, lecz nie jest ich wiele (jak tylko rozstąpią się chmury, będzie można skorzystać z krążących po niskiej orbicie satelitów), a poza tym Brodsky nie ma z nimi nic wspólnego. Samoloty startują z bazy ANG w Bangor, on zaś jest tutaj, na Jefferson Tract. Brodsky zajmuje się śmigłowcami oraz pojazdami kołowymi i gąsienicowymi, których zjawia się coraz więcej. (Okolo południa zamknięto wszystkie drogi w tej części stanu; od tej pory poruszają się po nich niemal wyłącznie oliwkowozielone ciężarówki z zasłoniętymi numerami). Jego zadanie polega również na uruchomieniu co najmniej czterech generatorów, które mają zaopatrzyć w energię bazę szybko rozrastającą się wokół sklepu Gosselina. Z energii tej będą korzystały detektory ruchu, reflektory oświetlające teren, szperacze oraz centrala dowodzenia urządzana pośpiesznie w dużym samochodzie campingowym.

Kurtz podkreślał, że oświetlenie jest niezwykle ważne. W otoczeniu sklepu ma być jasno jak w dzień. Najwięcej słupów z reflektorami stoi wokół stodoły i znajdującego się tuż za nią padoku. Na polu, gdzie kiedyś pasło się czterdzieści mlecznych krów starego Reggie Gosselina, stoją teraz dwa namioty. Większy ma na zielonym dachu wielki napis KANTYNA, mniejszy, całkiem biały, pozbawiony jest jakichkolwiek oznaczeń. W dużym ustawiono wydajne grzejniki naftowe, w mniejszym nie, ponieważ nie ma takiej potrzeby. Mieści się tam tymczasowa kostnica. Na razie leżą w niej tylko trzy ciała (jedno z nich należało do pewnego bankiera, który próbował uciec, idiota), wkrótce jednak może być ich znacznie więcej, chyba że nastąpi jakieś zdarzenie, które utrudni lub uniemożliwi zbieranie ciał. Z punktu widzenia Kurtza takie zdarzenie byłoby bardzo pożądane, rozwiązałoby bowiem mnóstwo problemów.

Cała ta wiedza spływa do Jonesy'ego niejako przy okazji. Główne zadanie to Emil Brodsky z Menlo Park.

Brodsky idzie szybko po rozmiętym, częściowo zaśnieżonym, a częściowo błotnistym terenie między lądowiskiem śmigłowców a przeznaczonym dla ripleyowców padokiem (jest ich tam już całkiem sporo, łążą tam i z powrotem z charakterystycznym dla wszystkich niedawno uwięzionych osób wyrazem zdumienia i ośpienia na twarzach, zagadują strażników, proszą o papierosy i informacje, wysilają się na żałosne pogróżki). Emil Brodsky jest krępy i bardzo krótko ostrzyżony, ma twarz buldoga, która wygląda tak, jakby pozlepiano ją z tanich papierosów. (W rzeczywistości, o czym Jonesy doskonale wie, Brodsky to gorliwy katolik, który w życiu nie wypalił nawet jednego papierosa). Jest teraz zajęty jak jednoręki alpinista. Na uszach ma słuchawki, przy ustach mikrofon, rozmawia przez radio z dowódcą konwoju cystern jadącego I-95 (powinni tu dotrzeć jak najprędzej, bo śmigłowce wrócą z akcji z prawie pustymi zbiornikami), równocześnie rozmawia też z maszerującym obok niego Cambrym o centrum dowodzenia, które Kurtz chce mieć gotowe o dziewiątej wieczorem, a najpóźniej o północy. Cała operacja powinna się zakończyć za czterdzieści osiem godzin,

takie przynajmniej krążą plotki, ale nikt niczego nie wie na pewno. Również według plotek, Błękitny Chłoptaş został już zniszczony, lecz Brodsky nie bardzo wie, skąd ta wiadomość, skoro żadna z maszyn jeszcze nie wróciła. Tak czy inaczej, zadanie jest bajecznie proste: rozstawić sprzęt, przeciągnąć kable, wsadzić wtyczkę i nacisnąć guzik.

O bogowie, nagle robi się aż trzech Jonesych: jeden ogląda telewizję w zagrzybiałym szpitalnym pokoju, drugi jest w szopie obok chaty, trzeci zaś pojawia się nie wiadomo skąd w ostrzyżonej na krótko, katolickiej głowie Emila Brodsky'ego. Brodsky zatrzymuje się nagle i gapi się w siwe niebo.

Dopiero po dwóch albo trzech krokach Cambry zauważa, że Brodsky'ego nie ma już obok niego, że tkwi jak słup pośrodku błotnistego pola. W całym tym ogromnym zamieszaniu, wśród biegających ludzi i toczących się maszyn, wygląda jak robot, któremu wyczerpały się akumulatory.

— Coś się stało, szefie? — pyta Cambry.

Brodsky nie odpowiada, w każdym razie nie jemu. *Otwórz pokrywę silnika i pokaż mi świece — mówi do Jonesy'ego I, tego z szopy.*

Jonesy ma trochę problemów z podniesieniem pokrywy, ale Brodsky mu podpowiada. Następnie Jonesy pochyla się nad niewielkim silnikiem, nie dlatego żeby sam tam czegoś szukał, lecz po to, by przesłać Brodsky'emu obraz zarejestrowany przez jego oczy, pełniące teraz funkcję kamer.

— Co jest, szefie? — pyta Cambry z narastającym niepokojem. — Co się stało?

— Nic się nie stało — mówi Brodsky powoli i wyraźnie, po czym zsuwa słuchawki z uszu, ponieważ rozprasza go rozbrzmiewająca w nich gadanina. — Daj mi chwilę pomyśleć.

Do Jonesy'ego: *Ktoś wykręcił świece. Rozejrzyj się. Tak, są. Tam, na końcu stołu.*

Istotnie, na końcu stołu warsztatowego stoi wypełniony benzyną słoik po majonezie. W przykrywcę zrobiono gwoździem dwa otworki, żeby nie gromadziły się opary. W benzynie, niczym spreparowane okazy zanurzone w formalinie, leżą dwie świece Champion.

— Dobrze je osusz — mówi Brodsky na głos, a kiedy coraz bardziej zdumiony Cambry pyta, co ma osuszyć, każe mu się zamknąć.

Jonesy wyławia świece, osusza je, wraca do skutera i wkręca je zgodnie z instrukcjami Brodsky'ego. Spróbuj teraz — mówi Brodsky, tym razem nie poruszając ustami. Silnik od razu ożywa. — Sprawdź paliwo.

Jonesy sprawdza i dziękuje.

— Nie ma sprawy, szefie.

Brodsky rusza dalej, tak szybko, że Cambry musi podbiec truchtem. Dostrzega zdziwienie na twarzy Dawga, kiedy ten orientuje się, że nie ma słuchawek na uszach.

— Co to było, do cholery?

— Nic — odpowiada Brodsky, chociaż coś to było, i owszem. Rozmowa? Konsultacja? Tak, właśnie. Tyle że nie potrafi sobie przypomnieć, czego dotyczyła, doskonale pamięta natomiast poranną odprawę, jeszcze przed świtem, zanim weszli do akcji. Jedno z poleceń Kurtza dotyczyło składania meldunków o wszystkich nadzwyczajnych wydarzeniach. Czy to było nadzwyczajne wydarzenie? Co to właściwie było?

— Chyba miałem jakiś skurcz mózgu — mówi Brodsky. — Za dużo spraw, za mało czasu. No, ruszaj się.

Cambry rusza się, Brodsky podejmuje przerwana dwutorową rozmowę — konwój w słuchawkach, Cambry obok niego — wciąż jednak myśli o innej rozmowie, którą przed chwilą zakończył. Nadzwyczajna czy nie? Dochodzi do wniosku, że raczej jednak nie, a już na pewno nie było to coś, o czym mógłby powiedzieć temu niekompetentnemu kretynowi Perlmutterowi. Z punktu widzenia Pearly'ego istnieje tylko to, o czym został poinformowany w rozkazie dziennym. Kurtz? Nigdy. Owszem, szanuje tego starego drania, ale jeszcze bardziej się go boi. Jak wszyscy. Kurtz jest sprytny, Kurtz jest odważny, ale Kurtz to również

najbardziej pojebana małpa w całej dżungli. Brodsky omija z daleka nie tylko jego samego, ale nawet miejsca, na które padł jego cień.

Underhill? Może więc pogadać z Underhillem?

Dobry pomysł, chociaż nie do końca. W takich okolicznościach człowiek może nawet nie zauważyć, kiedy mu palma odbije. Owszem, przez parę minut słyszał głosy, albo raczej głos, ale teraz czuje się całkiem w porządku. Mimo to...

Jonesy wyjeżdża z szopy i z rykiem silnika skręca w Deep Cut Road. Mijając Henry'ego, wyczuwa jego obecność — Henry chowa się za drzewem, prawie wbija zęby w mech, żeby nie krzyknąć — udaje mu się jednak ukryć to przed spowijającym go obłokiem. Niemal na pewno ostatni raz jest w pobliżu przyjaciela, który nie ma żadnych szans, by ujsć stąd z życiem.

Jonesy bardzo żałuje, że nie może się z nim pożegnać.

7

Nie mam pojęcia, kto nakręcił ten film — mówi Jonesy — ale Oscary raczej mu nie grożą. W gruncie rzeczy...

Rozgląda się i widzi jedynie przykryte śniegiem drzewa, z przodu rozwija się przed nim Deep Cut Road, pod nim trzęsie się i wibruje skuter. Nie ma żadnego szpitala, żadnego Szarego. Wszystko to był tylko sen.

Jednak nie. Znowu jest pokój, ale nie szpitalny, bez łóżka, telewizora i wieszaka na kropłówkę. Zupełnie pusty, jeśli nie liczyć korkowej tablicy na ścianie. Na tablicy wisi mapa drogowa północnej Nowej Anglii z podkreślonymi niektórymi trasami — trasami firmy transportowej Braci Tracker — oraz polaroidowa fotografia kilkunastoletniej dziewczyny z zadartą sukienką i odsłoniętymi złocistymi włosami łonowymi. Jonesy patrzy na Deep Cut Road przez okno tego pokoju. Jest całkowicie pewien, że to samo okno znajdowało się w pokoju szpitalnym, ale tamten pokój był do niczego, musiał stamtąd wyjść, ponieważ... ponieważ...

Tam nie było bezpiecznie, myśli. Zupełnie jakby tu albo gdziekolwiek było bezpiecznie! A jednak... Tutaj przynajmniej jest bezpieczniej. Być może. To jego ostateczny azyl ozdobiony zdjęciem, które mieli nadzieję ujrzyć tamtego październikowego popołudnia w 1978 roku. Tina Jean Sloppinger czy jak jej tam było.

Część tego, co widziałem, widziałem naprawdę. Odzyskane autentyczne wspomnienia, jak powiedziałyby Henry. Naprawdę zobaczyłem wtedy Dudditsa. Dlatego wyszedłem na jezdnię. A co do Szarego... Przecież teraz nim jestem, czyż nie? Z wyjątkiem maleńkiej cząstki zamkniętej w tym zakurzonym, pustym, beznadziejnym pokoiku z gumoleum na podłodze i zdjęciem tej dziewczyny na tablicy. Cały stałem się Szarym, no nie?

Cisza. Ale taka odpowiedź mu wystarczy.

Jak do tego doszło? Skąd się tu wziąłem? I dlaczego? Po co?

Wciąż bez odpowiedzi, on sam zaś też nie potrafi żadnej dostarczyć. Cieszy się, że ma miejsce, w którym wciąż może być sobą, i zarazem jest wstrząśnięty łatwością, z jaką stracił całą resztę. Ponownie żałuje, głęboko i z całego serca, że nie zastrzelił McCarthy'ego.

8

Huk potężnej eksplozji był tak silny, że choć z pewnością nastąpiła w odległości wielu kilometrów, to i tak z mnóstwa gałęzi posypał się śnieg. Postać na skuterze śnieżnym nawet się nie obejrzała. To statek. Żołnierze wysadzili go w powietrze. Już nie ma byrum.

Kilka minut później po prawej stronie pojawiła się zwalona wiata. W śniegu, z jedną nogą wciąż uwięzioną pod dachem z blachy falistej, leżał Pete. Wyglądał jak trup, ale nim nie był.

W tej grze udawanie nieboszczyka nie miało najmniejszego sensu; Jonesy doskonale słyszał myśli Pete'a. Kiedy zatrzymał przy nim skuter, Pete podniósł głowę i uśmiechnął się bez śladu wesołości. Lewy rękaw kurtki był szerniały i częściowo roztopiony, przy prawej ręce pozostał tylko jeden sprawny palec, odkrytą skórę gęsto porastał byrus.

— Ty nie jesteś Jonesy — powiedział Pete. — Co z nim zrobiłeś?

— Wstawaj, Pete — polecił Szary.

— Nie chcę nigdzie z tobą jechać. — Podniósł prawą rękę (bezwładne palce, złocistoczerwone kępki byrusa) i otarł nią czoło. — Spieprzaj stąd. Wskakuj na swojego kucyka i znikaj.

Szary pochylił głowę, która kiedyś należała do Jonesy'ego (całkowicie bezsilny Jonesy obserwował to wszystko z okna swojej kryjówki w budynku braci Tracker) i spojrzął Pete'owi w oczy. Pete niemal natychmiast zaczął krzyżeć, ponieważ rosnący na jego ciele byrus stwardniał, wbił głębiej korzenie, zanurzył je w mięśniach i nerwach. Uwięziona pod zwalonym dachem noga została gwałtownie wyszarpięta, wrzeszczący Pete zwinął się jak embrion, z ust i nosa popłynęła mu krew. Kiedy krzyk ustał, z ust Pete'a wypadły kolejne dwa zęby.

— Wstawaj — powtórzył Szary.

Szlochając i przyciskając do piersi zmasakrowaną rękę, Pete spróbował się podnieść. Pierwsza próba zakończyła się niepowodzeniem. Szary w milczeniu siedział na pomrukującym cicho skuterze i patrzył.

Jonesy wyraźnie czuł ból, rozpacz i strach przyjaciela. Najgorszy był właśnie ten strach, postanowił więc zaryzykować.

Pete.

Tylko szeptał, ale Pete usłyszał. Podniósł głowę, pokazał wyniszczoną twarz porośniętą złocistobrazowym grzybem, zwanym przez Szarego byrusem. Obliznął usta i wtedy Jonesy zobaczył, że byrus rośnie również na jego języku. Kosmiczne pleśniawki. Kiedyś Pete Moore pragnął zostać astronautą. Kiedyś stawiał czoło większym i silniejszym chłopcom w obronie kogoś mniejszego i słabszego. Zastugiwał na coś lepszego.

Tu się nie gra, tu się nie hałasuje.

Pete prawie się uśmiechnął. Było to piękne i zarazem wzruszające. Tym razem zdołał się podnieść, a następnie, powłóczęc nogami, ruszył w kierunku skutera.

W pustym biurowym pokoiku, do którego został zesłany, Jonesy zobaczył, że gałka u drzwi kręci się w lewo i w prawo.

Co to ma być? — zapytał Szary. — Co to znaczy: tu się nie gra, tu się nie hałasuje? Co tam robisz? Natychmiast wracaj do szpitala i oglądaj ze mną film! A przede wszystkim, jak się tam dostałeś?

Tym razem to Jonesy miał okazję zignorować pytanie. Uczynił to z wielką przyjemnością.

Ja tam wejść — zapowiedział Szary. — Wejść, jak tylko będę gotów. Może myślisz, że zdołasz się tam ukryć, ale się mylisz.

Jonesy wciąż milczał, nie uważał bowiem za rozsądne prowokować istoty władającej teraz jego ciałem, nie przypuszczał jednak, żeby się mylił. Z drugiej strony bał się wystawić nos ze swojej kryjówki. Gdyby spróbował, zostałby połknięty w całości. Był tylko nasionkiem niesionym przez obłok, drobiną niestrawionego pożywienia w trzewiach Obcego.

W takiej sytuacji lepiej siedzieć cicho.

9

Pete usiadł za Szarym i objął Jonesy'ego w pasie. Dziesięć minut później minęli przewróconego scouta; dopiero teraz Jonesy dowiedział się, dlaczego Pete i Henry tak długo nie wracali ze sklepu. Dziwne, że przeżyli. Chętnie przyjrzałby się dokładniej, ale Szary

wprowadził skuter z powrotem na przysypaną śniegiem wypukłość między koleinami i popędził przed siebie.

Jakieś pięć kilometrów dalej, tuż za szczytem dość stromego wzniesienia, czekała na nich kula oślepiającego, jasnożółtego światła. Wisiała kilkanaście centymetrów nad drogą i sprawiała wrażenie gorącej jak gwiazda, lecz z pewnością taka nie była, ponieważ śnieg nawet nie zaczął się topić. Niemal na pewno było to jedno z zagadkowych światel, które razem z Beaverem widzieli w chmurach nad ciągnącymi przez Parów zwierzętami.

Racja — powiedział Szary. — *Wasi nazwali je „latarkami”. To jedno z ostatnich. Może nawet ostatnie.*

Jonesy bez słowa wyglądał przez okno swojej celi. Czuł uścisk obejmujących go w pasie ramion; Pete trzymał się go instynktownie, jak potwornie poobijany bokser, który klinczuje rozpaczliwie, żeby nie upaść na ring. Opierająca się na jego ramieniu głowa była ciężka jak kamień. Pete stał się inkubatorem dla byrusa, a byrusowi było w nim całkiem nieźle; w przeciwieństwie do świata zewnętrznego Pete był ciepły. Szary zaś najwyraźniej do czegoś go potrzebował — Jonesy na razie nie miał pojęcia do czego.

Światło prowadziło ich mniej więcej przez kilometr, potem zaś gwałtownie skreśliło w las, zawisło między dwiema wielkimi sosnami i czekało, obracając się powoli nad śniegiem. Jonesy usłyszał, jak Szary każe Pete’owi trzymać się ze wszystkich sił.

Skuter przedarł się przez głębszy śnieg nawiany na pobocze drogi, podskoczył, opadł, wznosząc fontanny białego puchu, i wjechał między drzewa, gdzie leżała znacznie cieńsza warstwa śniegu, miejscami zaś wcale go nie było. Gąsienica Arktycznego Kota klekotała tam gniewnie na zmarzniętym gruncie przysypanym brunatnym igliwem. Jechali teraz prosto na północ.

Dziesięć minut później podrzuciło ich mocno na granitowym gładzie i Pete ze stłumionym okrzykiem zsunął się na ziemię. Szary zatrzymał maszynę. Poprzedzające ich światło również się zatrzymało, wirując tuż nad śniegiem. Zdaniem Jonesy’ego wyraźnie przygaślo.

— Wstawaj — rzucił Szary, odwróciwszy się na siodełku.

— Nie mogę — odparł Pete. — Jestem wykończony, kolego. Po prostu...

Nie dokończył, ponieważ jego ciałem zaczęły wstrząsać gwałtowne drgawki, z gardła wydobyło się przeraźliwe wycie, obie ręce uderzały w ziemię z potworną siłą.

Przestań! — ryknął Jonesy. — *Zabijesz go!*

Szary w ogóle nie zwracał na niego uwagi, trwał w półobrocie i obserwował ze śmiertelną, pozbawioną jakichkolwiek emocji cierpliwością, jak byrus szarpie ciałem Pete’a. Wreszcie Jonesy poczuł, że Szary rozluźnia uchwyt i Pete chwiejnie stanął. Świeże rozcięcie na policzku w błyskawicznym tempie zarastało byrusem. W półprzytomnych oczach błyszcząły łzy.

Z najwyższym trudem wspiał się na skuter i ponownie objął Jonesy’ego w pasie.

Złap się kurtki — szepnął Jonesy, jak tylko Szary dodał gazu. — *Tu się nie gra, tu się nie hałasuje, no nie?*

Jasne — potwierdził Pete bardzo, ale to bardzo słabym głosem.

Tym razem Szary nie zareagował. Ruchome światło, zdecydowanie mniej jaskrawe, ale wciąż doskonale widoczne, ponownie ruszyło na północ — w każdym razie tak się wydawało Jonesy’emu, Skuter musiał kluczyć między drzewami i omijać gęste skupiska krzewów, więc po pewnym czasie Jonesy zupełnie stracił orientację. Z tyłu wciąż dobiegały stłumione odgłosy kanonady, zupełnie jakby odbywały się tam zawody strzeleckie.

Mniej więcej godzinę później Jonesy dowiedział się, dlaczego Szary zawracał sobie głowę Pete'em. Nastąpiło to krótko po tym, jak „latarka”, świecąca zaledwie odległym wspomnieniem swego początkowego blasku, wreszcie zgasła.

Znikła z niezbyt głośnym pyknięciem, jakby w odległości kilkunastu metrów ktoś strzelił z papierowej torebki, i na ziemię posypały się jakieś resztki.

Znajdowali się na zalesionym grzbiecie wzniesienia w zupełnie bezludnej okolicy. Przed nimi rozciągała się przysypana śniegiem, lesista dolina, ograniczona z drugiej strony zerodowanymi nagimi wzgórzami. Na dodatek szybko zapadał zmrok.

W piękny pasztet nas wpakowałeś, pomyślał Jonesy, ale Szary nie przejawiał najmniejszych oznak niepokoju. Po prostu zatrzymał skuter i siedział bez ruchu.

Pólnoc — powiedział wreszcie. Nie do Jonesy'ego.

— Skąd niby mam wiedzieć? — odparł głośno Pete znużonym, obojętnym tonem. — Przecież stąd nawet nie widać, gdzie zachodzi słońce, a poza tym szlag trafił mi jedno oko.

Szary odwrócił głowę Jonesy'ego, dzięki czemu ten przekonał się, że Pete mówi prawdę. Powieka lewego oka Pete'a powędrowała w górę, nadając jego twarzy wyraz niedowierzającego zdumienia, z gałki ocznej zaś wyrastała bujna kępka byrusa. Najdłuższe włókna sięgały niemal do połowy policzka, inne powędrowały w górę, ku przerzedzonym włosom.

Wiesz.

— Może wiem. I może nie chcę, żebyś ty wiedział.

Dlaczego?

— Dlatego że wątpię, żeby to nam wszystkim wyszło na dobre, złamasie — powiedział Pete i Jonesy'ego ogarnęła absurdalna duma.

Złocistoczerwona kępka w oku poruszyła się gwałtownie, Pete krzyknął rozzwierając i zakrył rękami twarz. Przez chwilę — bardzo krótką, ale i tak o wiele za długą — Jonesy wyobraził sobie, jak korzenie byrusa sięgają wzdłuż nerwu wzrokowego aż do mózgu, obejmują go i ściskają jak szarą wilgotną gąbkę.

Powiedz mu! Powiedz mu, na litość boską!

Byrus znieruchomiał, ręce Pete'a zsunęły się z twarzy, śmiertelnie bladej wszędzie tam, gdzie nie pokrywała jej czerwonawa narośl.

— Gdzie jesteś, Jonesy? — wychrypiął. — Znajdzie się tam miejsce dla nas dwóch?

Odpowiedź, ma się rozumieć, brzmiała „nie”. Jonesy nie rozumiał, co się z nim stało, zdawał sobie jednak sprawę, iż podstawowym warunkiem bardzo wątpliwego ocalenia było to, żeby nie ruszał się z miejsca. Gdyby nawet tylko uchylił drzwi, byłoby po nim.

Pete skinął głową.

— Tak tylko pytałem. — A potem, do tamtego: — Tylko nie rób mi tego więcej, kolego.

Szary przyglądał mu się oczami Jonesy'ego i nie czynił żadnych obietnic.

Pete westchnął, podniósł lewą, poparzoną rękę, wyprostował palec, przymknął oczy — a raczej oko — i zaczął poruszać palcem w prawo i lewo, w prawo i lewo. Niewiele brakowało, by Jonesy wreszcie wszystko zrozumiał. Jak się nazywała ta dziewczynka? Rinkenhauer? Chyba tak. Za nic nie mógł sobie przypomnieć imienia, ale takiego nazwiska jak Rinkenhauer nie sposób zapomnieć. Ona też chodziła do szkoły Mary M. Snowe vel Akademii Niedorozwojów, chociaż Duddits uczęszczał już wtedy do zawodówki. A Pete? Pete zawsze miał talent do pamiętania różnych rzeczy, jednak po poznaniu Dudditsa...

Słowa, których podświadomie szukał, odnalazły Jonesy'ego w jego małym, obskurnym pokoiku, z którego wyglądał przez okno na skradziony świat, tyle że to nawet nie były słowa, lecz składające się niemal wyłącznie z samogłosek, w przedziwny sposób piękne dźwięki:

Yyy iyydziii lüüee, Iiit? Czy widzisz linię, Pete?

Oczarowany Pete odpowiedział ze zdziwioną miną, że owszem, widzi. Wtedy też poruszał palcem w lewo i w prawo, w lewo i w prawo, tak samo jak teraz.

Palec znieruchomiał, czubek drżał leciutko jak końcówka różdżki nad żyłą wodną, aż wreszcie Pete wskazał kierunek nieco w lewo od tego, w jakim do tej pory poruszał się skuter.

— Tam — powiedział i opuścił rękę. — Tam jest północ. Prosto na tę skałę z samotną sosną. Widzisz ją?

Widzę.

Szary niezwłocznie ruszył i skręcił we wskazanym kierunku. Jonesy był ciekaw, ile benzyny zostało jeszcze w zbiorniku.

— Czy mogę już zejść?

Pete'owi chodziło oczywiście o to, czy może już umrzeć.

Jeszcze nie.

Ponownie ruszyli w drogę.

11

Ominęli skałę, wspięli się na szczyt najwyższego wzniesienia w okolicy i tam Szary zatrzymał się ponownie, żeby jego zastępcze światełko wskazało mu dalszą drogę. Pete uczynił to i niezwłocznie ruszyli dalej, tym razem nie prosto na północ, lecz lekko skręcając na zachód. Dzień gasł coraz szybciej. W pewnej chwili usłyszeli zbliżające się szybko śmigłowce — chyba dwa, a może nawet cztery. Szary natychmiast wjechał w największą gęstwinię, nie zwracając najmniejszej uwagi na gałęzie, które z rozmachem waliły Jonesy'ego po twarzy. Pete znowu zsunął się z maszyny. Szary wyłączył silnik i wciągnął półprzytomnego, jęczącego rozpaczliwie Pete'a pod drzewa. Czekali w bezruchu, aż maszyny przelecą nad ich głowami. Jonesy czuł, jak Szary sięga w górę do jednego z członków załogi i błyskawicznie prześwietla jego umysł, być może porównując znajdujące się tam informacje z tymi dostarczonymi przez Pete'a. Kiedy helikoptery oddaliły się na południowy wschód, przypuszczalnie wracając do bazy, Szary uruchomił silnik i pojechali dalej. Znowu zaczął padać śnieg.

Godzinę później zatrzymali się na kolejnym wzniesieniu i Pete po raz trzeci spadł ze skutera. Już prawie nie miał twarzy; niemal całą pokrywała zbita masa byrusa. Nie mógł również mówić, ponieważ byrus wypełniał jego usta.

Już nie wytrzymam. Już nie mogę. Zostaw mnie.

— W porządku — odparł Szary. — Wypełniłeś swoje zadanie.

Pete! — krzyknął rozpaczliwie Jonesy. A potem, do Szarego: *Nie! Nie rób tego!*

Szary, rzecz jasna, całkowicie go zignorował. Przez ułamek sekundy Jonesy widział zrozumienie i ulgę w oku Pete'a, przez niewiele dłuższy czas mógł dotknąć jego umysłu, umysłu przyjaciela z dzieciństwa, który zawsze czekał na niego przed szkołą, udając, że pali papierosa, który zamierzał zostać astronautą i zobaczyć świat z wysoka, jednego z czwórki chłopców, która uratowała Dudditsa.

Tylko przez ułamek sekundy. Potem coś przeskoczyło z umysłu Szarego i rosnący na Peterze byrus nie tyle poruszył się, ile stęzał. Rozległ się okropny trzask, czaszka Pete'a pękła w kilku miejscach, jego twarz — a raczej to, co z niej zostało — zapadła się i pomarszczyła, czyniąc go niewyobrażalnie starym, Pete osunął się na ziemię, a śnieg od razu zaczął się gromadzić na plecach jego kurtki.

Ty draniu.

Szary nie odpowiedział. Nie obchodziły go przekleństwa ani gniew Jonesy'ego. Znowu patrzył przed siebie. Przybierający wciąż na sile wiatr nagle osłabł, w gęstniejącej zasłonie śniegu otworzyła się dziura i w odległości jakichś ośmiu kilometrów na północny zachód od nich Jonesy dostrzegł poruszające się światła — nie „latarki”, lecz reflektory samochodów. Mnóstwo reflektorów. Cały konwój ciężarówek. Wojskowych ciężarówek. Ta część stanu Maine przeszła pod niepodzielne władanie wojska.

— *I wszyscy szukają ciebie, dupku* — wysyczał, kiedy skuter ruszył w dalszą drogę. Śnieg znowu zgęstniał, zasłaniając widok, lecz Jonesy zdawał sobie sprawę, że Szary bez trudu odnajdzie drogę. Pete doprowadził go na skraj strefy objętej kwarantanną, w tej jej części, gdzie raczej nie spodziewano się problemów. Liczył na to, że Jonesy poprowadzi go dalej, ponieważ Jonesy był inny. Na przykład nie miał byrusa. Z jakiegoś powodu byrus go nie lubił.

Nigdy nie uda ci się stąd wydostać — wycedził Jonesy z satysfakcją.

Oczywiście, że mi się uda — odparł Szary. — *My zawsze umieramy i zawsze żyjemy, zawsze przegrywamy i zawsze zwyciężamy. Może to ci się podobać albo nie, ale przyszłość należy do nas.*

Jeśli to prawda, to trudno o lepszy powód, żeby żyć w przeszłości — powiedział Jonesy, lecz Szary milczał. Szary jako istota, jako świadomość, przestał istnieć, wtopił się z powrotem w obłok. Pozostało go tylko tyle, ile było trzeba, żeby sterować ruchami Jonesy'ego i utrzymywać skuter śnieżny na wytyczonym kursie. Jonesy, jadący jako bezradny pasażer we własnym ciele, mógł czerpać wątłą pociechę jedynie z dwóch rzeczy: z tego, że Szary najwyraźniej nie miał pojęcia, w jaki sposób dobrać się do pokoiku na zapleczu biura Braci Tracker, oraz z tego, że nic nie wiedział o Dudditsie. O tym, że tu się nie gra, tu się nie hałasuje.

Jonesy zamierzał zrobić wszystko, żeby Szary się nie dowiedział.

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY SKLEP GOSELINA

1

W oczach Archiego Perlmuttera, szkolnego prymusa, który w nagrodę za doskonałe wyniki w nauce dostąpił zaszczytu wygłoszenia mowy pożegnalnej w imieniu odchodzącego rocznika (temat: „Blaski i cienie demokracji”), wzorowego skauta, gorliwego prezbiterianina i absolwenta West Point, sklep Gosselina wyglądał zupełnie nierealnie. Skąpany w blasku, który wystarczyłby do oświetlenia małego miasteczka, przypominał filmową dekorację, i to nie z byle jakiego filmu, lecz z gigantycznego przedsięwzięcia na miarę Jamesa Camerona, gdzie koszty wyżywienia ekipy równają się dwuletnim wydatkom na żywność ludności Haiti. Nawet wciąż gęstniejący śnieg nie zdołał stłumić tego blasku ani zmienić wrażenia, że cały ten kram, od odrapanego sidingu poczynając, przez wyprowadzony przez okap blaszany komin, na archaicznym dystrybutorze paliwa kończąc, został sklecony byle jak na potrzeby planu zdjęciowego.

A tak wyglądałaby scena pierwsza, myślał Pearly, żwawo maszerując z przypiętym do sztywnej podkładki plikiem kartek pod pachą (Arenie Perlmutter zawsze uważał się za człowieka obdarzonego rozwiniętym zmysłem artystycznym... i komercyjnym). *Wnętrze starego wiejskiego sklepu. Wiekowi tubylcy siedzą przy piecu — nie przy takim małym, jak na zapleczu, ale przy wielkim, jak w samym sklepie. Na zewnątrz sypie śnieg. Starcy rozmawiają o światłach na niebie, zaginionych myśliwych, pojawiających się nie wiadomo skąd szarych ludzikach. Właściciel sklepu — powiedzmy, że nazywa się stary Rossiter — wydyma pogardliwie wargi mówi: „Do kaduka, gadacie jak stare baby!”. W tej samej chwili na zewnątrz wybucha oślepiająca jasność (mniej więcej tak jak w „Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia”) i ogromne UFO osiada majestatycznie na ziemi. Ze statku kosmicznego wysypują się żądni krwi Obcy, siejąc dokoła zniszczenie promieniami śmierci. To coś w rodzaju „Dnia Niepodległości”, tyle że, i to jest właśnie najlepsze, w środku lasu!*

Towarzyszący mu Melrose (trzeci pomocnik kucharza, jeden z nielicznych uczestników tej małej przygody, których ranga nie stanowiła starannie skrywanej tajemnicy), musiał zdrowo przebierać nogami, żeby za nim nadażyć. Zamiast wojskowych butów miał na nogach płócienne pantofle — Perlmutter wyciągnął go prosto z namiotu kuchennego — w związku z czym ślizgał się tak bardzo, że tylko z najwyższym trudem mógł utrzymać równowagę. Mijający ich ludzie również poruszali się szybkim krokiem, wielu mówiło coś do połączonych ze słuchawkami mikrofonów lub rozmawiało przez krótkofalówki. Wrażenie sztuczności i filmowości pogłębiały ogromne przyczepy i samochody campingowe, widoczne w tle sylwetki śmigłowców z obracającymi się leniwie wirnikami (pogarszająca się pogoda zmusiła wszystkie do powrotu do bazy) oraz nieustający warkot silników i generatorów.

— Czego on ode mnie chce? — wysapał ponownie Melrose jeszcze bardziej żalonym tonem niż zwykle.

Mijali teraz padok obok stodoły Gosselina. Stary, nadszarpnięty zębem czasu płot (minęło co najmniej dziesięć lat od chwili, kiedy po tym padoku po raz ostatni biegały konie) wzmocniono stalowymi linkami i drutem kolczastym. Linki były pod prądem — w tej chwili przypuszczalnie napięcie było zbyt niskie, żeby zabić, ale na pewno wystarczające, żeby powalić dorosłego człowieka. W razie potrzeby napięcie można było znacznie zwiększyć. Zza ogrodzenia obserwowało ich około trzydziestu mężczyzn, wśród nich również właściciel sklepu (u Jamesa Camerona grałby go jakiś czerstwy starzec w rodzaju Bruce’a Derna). Jeszcze jakiś czas temu więźniowie wykrzykiwali groźby i żądania, po tym jednak, jak zobaczyli, jaki los spotkał próbującego ucieczki bankiera z Massachusetts, szybko przestali być buńczuczni.

Widok człowieka, który dostaje kulę w głowę, może każdego pozbawić rezonu. Do zmiany nastroju wśród więźniów zapewne przyczynił się też fakt, iż wszyscy ludzie w mundurach mieli teraz na twarzach przezroczyście maski. To również dawało wiele do myślenia.

— Może pan wie, szefie? — To już nie był żałosny ton, to było prawie skamlenie. Widok amerykańskich obywateli za drutem kolczastym najwyraźniej podzielał na Melrose'a bardzo deprymująco. — Czego on może ode mnie chcieć? Przecież ja jestem tylko trzecim pomocnikiem kucharza!

— Nie wiem — odparł Pearly zgodnie z prawdą.

Na wprost nich, u wylotu tak zwanej Alejki Trzepaczkowej, pojawili się Owen Underhill i jeden z mechaników. Mechanik prawie wrzeszczał coś Underhillowi do ucha, przekrzykując hałas czyniony przez helikoptery. Perlmutter przypuszczał, że piloci niebawem dostaną rozkaz wyłączenia silników; przy tej gównianej pogodzie i tak nic nie wzbije się w powietrze. Wyjątkowo wczesna zamieć śnieżna, „nasz podarunek od Boga”, jak powiedział Kurtz. Nie sposób było zgadnąć, czy mówił takie rzeczy całkiem serio, czy tylko sobie kpił. Wydawało się, że zawsze mówi serio, czasem jednak się śmiał i wtedy Archie Perlmutter dostawał gęsiej skórki. W filmie rolę Kurtza odtwarzałby James Woods albo może Christopher Walken. Co prawda żaden z nich nawet go nie przypominał, ale czy George C. Scott wyglądał jak Patton? Sprawa zamknięta.

Perlmutter gwałtownie skręcił w stronę Underhilla, Melrose usiłował wykonać identyczny manewr i z rozmachem usiadł w błocie. Perlmutter postukał Underhilla w ramię; kiedy tamten się odwrócił, Pearly nagle bardzo zapragnął, żeby jego maska była przynajmniej częściowo nieprzezroczysta, gdyż wtedy by ukryła wyraz zaskoczenia, jaki z pewnością pojawił się na jego twarzy. Przez dwie lub trzy godziny, kiedy się nie widzieli, Owen Underhill postarzał się o dziesięć lat.

— Kurtz za piętnaście! — wykrzyknął mu do ucha. — Nie zapomnij!

Underhill machnął niecierpliwie ręką na znak, że nie zapomni, po czym odwrócił się z powrotem do mechanika. Perlmutter dopiero teraz go rozpoznał: Brodsky, zwany przez kumpli Dawgiem.

Wóz sztabowy Kurtza (ogromny samochód campingowy, w którym, gdyby to był film, mogłaby mieszkać główna gwiazda albo nawet sam James Cameron) stał kilkanaście metrów od nich. Pearly ruszył w tamtą stronę, ignorując sypiący mu prosto w oczy śnieg. Melrose z grubsza otrzepał kombinezon i dogonił go po chwili.

— Naprawdę pan nie wie, szefie? — wyjęczał.

— Naprawdę.

Perlmutter rzeczywiście nie miał pojęcia, dlaczego Kurtz zapragnął porozmawiać z trzecim pomocnikiem kucharza akurat teraz, kiedy właściwie na wszystko brakowało czasu. Podobnie jak Melrose podejrzewał jednak, że nie chodziło o nic przyjemnego.

2

Owen przycisnął maskę do ucha Emila Brodsky'ego i powiedział:

— Opowiedz mi jeszcze raz! Nie wszystko, tylko o tym, co nazwałeś pieprzeniem w głowie!

Brodsky nie protestował, ale zczekał jakieś dziesięć sekund, żeby poukładać sobie wszystko po kolei. Owen go nie poganiał, chociaż czekało go spotkanie z Kurtzem, potem odprawa, a później jeszcze nie wiadomo jak bardzo ponure zadania. Miał przecucie, że to coś naprawdę ważnego. Na razie nie podjął jednak decyzji, czy powie o tym Kurtzowi.

Wreszcie Brodsky przyłożył Owenowi do ucha swoją maskę i zaczął opowieść. Tym razem była znacznie bardziej szczegółowa, ale zasadniczo wcale się nie zmieniła. Szedł przez pole za sklepem, rozmawiając równocześnie z Cambrym i z konwojem, kiedy nagle poczuł

się tak, jakby ktoś obcy zawładnął jego umysłem. Nie wiadomo, w jaki sposób znalazł się w zagraconej szopie z kimś, kogo nie widział. Ten człowiek chciał uruchomić skuter śnieżny i potrzebował jego pomocy.

— Kazałem mu otworzyć pokrywę silnika! — krzyczał Brodsky Owenowi do ucha. — Zrobił to, a wtedy ja zajrzałem tam jakby jego oczami, ale myślałem cały czas po swojemu, rozumie pan?

Owen skinął głową.

— Od razu zobaczyłem, co jest nie tak: po prostu ktoś wykręcił świecę. Kazałem mu się rozejrzeć, rozejrzał się... to znaczy, obaj się rozejrzeliśmy... Świece były na stole, w słoiku z benzyną. Mój ojciec po sezonie robił to samo ze świecami z naszej kosiarki.

Brodsky umilkł, przypuszczalnie dlatego, że wyobraził sobie, jak jego opowieść musi brzmieć w uszach Underhilla.

Owen, coraz bardziej zafascynowany, ponaglił go niecierpliwym gestem.

— To już prawie wszystko. Powiedziałem mu, żeby je osuszył i wkręcił. Często pomagałem w ten sposób różnym ludziom, ale tym razem mnie tam nie było, bo byłem tutaj...

To nie mogło się zdarzyć naprawdę.

— I co dalej?

Chociaż obaj krzyczeli ile sił w płucach, mieli zapewnioną nie gorszą dyskrecję niż ksiądz i spowiednik w zaciszu konfesjonału.

— Zapalił od razu. Przypomniałem mu, żeby sprawdził, ile ma paliwa. Był cały zbiornik.

— Brodsky pokręcił z niedowierzaniem głową. — Potem mi podziękował, a ja powiedziałem: „Nie ma sprawy, szefie”. Później wylądowałem z powrotem w swojej głowie. Myśli pan, że zwariowałem?

— Nie. Ale wolałbym, żebyś na razie nikomu o tym nie opowiadał.

Brodsky uśmiechnął się szeroko pod maską.

— O to może pan być spokojny. Zgłosiłem się tylko dlatego, że dostaliśmy rozkaz, aby meldować o wszystkich niezwykłych rzeczach, więc pomyślałem, że...

— Jak się nazywał? — zapytał Owen znienacka ostrym tonem, nie dając mu czasu do namysłu.

— Jonesy Trzeci — odparł odruchowo Dawg, po czym wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

— Cholera! Nie miałem pojęcia, że to wiem!

— Myślisz, że to jakieś indiańskie imię? Coś takiego jak Sonny Sześć Trupów albo Ron Dziewiąty Księżyc?

— Możliwe, ale... — Brodsky zawahał się, po czym wybuchnął: — To było okropne! Nie wtedy, ale później... Kiedy o tym myślałem... Czułem się tak, jakbym, jakby... jakby mnie ktoś zgwałcił — dokończył znacznie ciszej.

— Więc nie myśl o tym — poradził mu Owen. — Chyba masz coś do roboty?

— Och, tylko parę tysięcy rzeczy — odparł Brodsky z uśmiechem.

— W takim razie bierz się do nich.

— Tak jest!

Brodsky cofnął się o krok i odwrócił. Owen patrzył już na padok, w którym kiedyś trzymano konie, a teraz ludzi. Większość zatrzymanych przebywała w stodole, nieliczni zaś, którzy postanowili zostać na zewnątrz, zbili się w ciasne grupki.

Tylko jeden stał samotnie na uboczu: wysoki, chudy jak wieszak, w wielkich okularach, które upodabniały go do sowy.

Brodsky również na niego spojrział, po czym odwrócił się z powrotem do Underhilla.

— Nie zgłosił pan do raportu, prawda? Nie pośle pan do doktora od czubków?

Żaden z nich nie zdawał sobie naturalnie sprawy, że człowiek w staromodnych okularach, który nie wiadomo czemu przykuł na chwilę ich uwagę, jest właśnie psychiatrą.

— Możesz być spo...

Owen nie dokończył, ponieważ w samochodzie Kurtza rozległ się huk wystrzału, a zaraz potem czyjś przeraźliwy krzyk.

— Szefie? — wyszeptał Brodsky. Owen nie mógł go usłyszeć, ale bez trudu odczytał to słowo z jego ust. To samo dotyczyło następnego: — O, kurwa!

— Ruszaj przed siebie, Dawg — polecił Underhill. — To nie twoja sprawa.

Brodsky wpatrywał się w niego przez sekundę lub dwie, niepewnie przesuając po wargach koniuszkiem języka. Owen odpowiedział nieruchomym spojrzeniem, emanującym — przynajmniej taką miał nadzieję — opanowaniem i spokojem. Chyba podziałało, ponieważ Brodsky skinął głową, zrobił w tył zwrot i odszedł.

Zza drzwi samochodu campingowego wciąż dobiegały krzyki. W chwili kiedy Owen ruszył w tamtą stronę, odezwał się do niego mężczyzna stojący samotnie na padoku:

— Hej, zaczekaj! Zaczekaj chwilę! Muszę z tobą pogadać.

No jasne, pomyślał Underhill, nie zwalniając kroku. Założę się, że masz mi do opowiedzenia tasiemcową historię i co najmniej tysiąc powodów, dla których powinniśmy natychmiast zwolnić cię do domu.

— Overhill? Nie, Underhill. Tak się nazywasz, prawda? Jasne, że tak. Muszę z tobą porozmawiać. To ważne dla nas obu.

Owen zatrzymał się, mimo iż krzyki nie ustawały, stopniowo zamieniając się w bolesne jęki. Nieciekawie, ale przynajmniej wszystko wskazywało na to, że nikt nie zginął. Przyjrzał się uważniej mężczyźnie w okularach. Wysoki jak tyczka, kościsty i drżący z zimna, mimo puchowej kurtki.

— Dla Rity to też ważne! — wołał mężczyzna, przekrzykując łoskot wirników. — I dla Katriny!

Wypowiedzenie tych dwóch imion stanowiło dla chudzielca nie lada wysiłek, jakby były kamieniami, które z największym trudem wtoczył na szczyt wysokiego wzgórza i którym wreszcie pozwolił się poturlać w dół, jednak Owen, zaszokowany faktem, że zupełnie obcy człowiek zna imiona jego żony i córki, prawie tego nie zauważył. Chętnie od razu podszedłby do niego, żeby porozmawiać, ale niestety nie miał czasu. Śpieszył się na spotkanie. Poza tym fakt, że jeszcze nikt nie zginął, wcale nie oznaczał, że coś takiego nie stanie się w najbliższej przyszłości.

Owen uważnie przyjrzał się mężczyźnie za ogrodzeniem, zapamiętał jego twarz, a następnie pokonał ostatnie kilkanaście kroków dzielących go od samochodu Kurtza.

3

Perlmutter czytał „Jądro ciemności”, widział „Czas Apokalipsy” i wielokrotnie zdarzało mu się myśleć, że nazwisko Kurtz aż za bardzo pasowało do jego właściciela. Byłby gotów postawić sto dolarów (naprawdę sporą sumę dla takiej brzydzącej się hazardem, artystycznej duszy jak on), że szef wcale się tak nie nazywał, tylko na przykład... Arthur Holsapple, Dagwood Elgart albo nawet Paddy Maloney. Kurtz? Mało prawdopodobne. Czyste pozerstwo, tak samo jak wykładana macicą perłową czterdziestkapiątka Pattona. Jego ludzie — część z nich, ale nie Archie Perlmutter, była z Kurtzem od czasów Pustynnej Burzy — uważała go za absolutnego szajbusa. Perlmutter całkowicie się z nimi zgadzał. Kurtz był szajbnięty jak Patton, czyli, krótko mówiąc, zupełnie mu odbiło. Przypuszczalnie przy porannym goleniu wpatrywał się w swoje odbicie i powtarzał „Okropność... Okropność...” szeptem Marlona Brando.

Tak więc niepokój, który odczuwał Pearly, wprowadzając trzeciego pomocnika kucharza do nadmiernie ogrzanego wnętrza centrali dowodzenia, nie był dla niego niczym nowym. Kurtz wyglądał zupełnie w porządku. Siedział w bujanym trzcinowym fotelu w części

mieszkalnej, bez kombinezonu, tylko w podkoszulku i długich kalesonach. Na oparciu fotela wisiał pas z pistoletem; nie była to wykładana macicą perłową czterdziestkapiątka, lecz standardowy pistolet automatyczny kalibru 9 mm.

Aparatura pracowała na najwyższych obrotach. Faks buczał bez przerwy, wypluwając niekończącą się wstęgę papieru, średnio co piętnaście sekund, i mac wykrzykiwał: „Masz pocztę!” radosnym głosem robota, z głośników trzech radiostacji dobiegał nieprzerwany jazgot rozmów. Na udającej sosnową boazerię okleinie nad biurkiem wisiały dwie oprawione fotografie. Kurtz nigdy się z nimi nie rozstawał. Ta po lewej stronie, opatrzona podpisem INWESTYCJA, przedstawiała ślicznego jak aniołek chłopca w mundurze skautowskim, wyprężonego na baczność, z ręką uniesioną w salucie do kapelusza. Ta po prawej, z podpisem DYWIDENDA, była lotniczym zdjęciem Berlina z wiosny 1945 roku. Dwa lub trzy względnie całe budynki otaczało morze gruzów.

Kurtz machnął lekceważąco ręką.

— Nie przejmujcie się, chłopcy, to tylko hałas. Zwykle zajmuje się tym Freddy Johnson, ale posłałem go do stołówki, żeby trochę sobie podjadł. Powiedziałem mu, że może się nie śpieszyć, może zafundować sobie cztery dania i deser, ponieważ, i to jest bardzo dobra wiadomość, sytuacja jest już prawie całkowicie opanowana!

Obdarzył ich uśmiechem w stylu Franklina Delano Roosevelta i zaczął bujać się w fotelu. Pas z pistoletem kołysał się niczym wahadło.

Melrose uśmiechnął się z rezerwą, Perlmutter również, nieco szerzej. Rozgryzł Kurtza, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Szef był pozerem—egzystencjalistą, i tyle. Na sto procent. Co prawda wykształcenie artystyczne nieszczególnie pomagało w robieniu błyskawicznej kariery wojskowej, ale miało też zalety. Jedną z nich była umiejętność tworzenia niebanalnych etykiet.

— Jedyne rozkazy, jakie wydałem porucznikowi Johnsonowi... przepraszam, tym razem mamy się obejść bez stopni... mojemu drogiemu przyjacielowi Johnsonowi, to taki, żeby się pomodlił przed obżarstwem. Modlicie się, chłopcy?

Skinienie głową Melrose'a było równie ostrożne jak jego uśmiech. Perlmutter uczynił to od niechcenia. Był przekonany, że Kurtz wymyślił sobie nie tylko nazwisko, ale i demonstracyjnie podkreślaną wiarę w Boga.

Kurtz wciąż się kołysał, patrząc z uśmiechem na mężczyzn stojących przed nim w powiększających się powoli kałużach stopionego śniegu.

— Najlepiej modlą się dzieci — ciągnął. — Prostota, sami rozumiecie. „Bóg jest wielki, Bóg jest dobry, podziękujmy mu za jedzenie”. Czy to nie proste? Czy to nie wspaiałe?

— Tak, sze...

— Stul pysk — przerwał Kurtz Perlmutterowi pogodnym tonem. Wciąż się bujał, pistolet wciąż kołysał się na końcu pasa. Kurtz przeniósł wzrok z Pearly'ego na Melrose'a. — A ty co myślisz, chłopczyku? Podoba ci się taka modlitwa?

— Tak jest, pro...

— Albo *Allah akhbar*, jak mawiają nasi arabscy przyjaciele. „Bóg jest jeden”. Czy może być coś prostsze? To trafienie w sam środek pizzy, jeśli wiecie, co chcę przez to powiedzieć.

Milczeli. Kurtz kołysał się coraz szybciej, pistolet również, i niepokój Perlmuttera zaczął stopniowo przybierać na sile, zupełnie jak trochę wcześniej tego samego dnia, zanim zjawił się wreszcie Underhill i trochę rozładował atmosferę. Naturalnie to również było tylko udawane, niemniej...

— Albo Mojżesz przy krzewie gorejącym! — wykrzyknął Kurtz, a jego pociągłą twarz o końskiej szczęce wykrzywił szalony uśmiech. — „Z kim mam przyjemność?” — pyta Mojżesz, a wtedy Bóg wali mu tę mowę, że jest, kim jest i tak dalej. Ale dowcipniś z tego

Boga, nie ma co; czy to prawda, panie Melrose, że nazwał pan naszych gości z dalekich planet kosmicznymi czarnuchami?

Melrose'owi opadła szczęka.

— Odpowiedz, chłopcze.

— Proszę pana, ja tylko...

— Jeżeli podczas tej operacji jeszcze raz powiesz do mnie „proszę pana”, najbliższe dwa lata spędzisz w pierdlu. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Chwytasz? Kumasz?

— Tak, szefie.

Melrose wyprężył się na baczność. Był śmiertelnie blady, w związku z czym dwie czerwone, spowodowane zimnem plamy na jego policzkach jeszcze bardziej rzucały się w oczy. Każdą z nich przecinał elastyczny pasek podtrzymujący maskę.

— A więc nazwałeś naszych gości kosmicznymi czarnuchami, czyż nie?

— Może wymknęło mi się coś w tym rodzaju, ale...

Z wręcz niewiarygodną szybkością (mógłby to być jeden z efektów specjalnych w filmie Jamesa Camerona), Kurtz wyszarpnął pistolet z rozhuśtanej kabury i wystrzelił, nie celując. Płócienny pantofel na lewej stopie Melrose'a eksplodował fontanną krwi i strzępów ciała. Znaczna część tej siekaniny wylądowała na nogawce spodni Perlmuttera.

Nie widziałem tego, pomyślał Pearly. To się nie zdarzyło.

Jednak przeraźliwe wrzaski Melrose'a, który gapił się z niedowierzaniem na swoją zmasakrowaną lewą stopę, świadczyły o czymś innym. Perlmutter zerknął w dół, zobaczył wystające z rany odłamki kości i poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

Kurtz nie zerwał się z fotela aż tak błyskawicznie, jak przed chwilą sięgnął po broń, ale i tak zrobił to szybko. Przerażająco szybko. Złapał Melrose'a za poły kombinezonu i zbliżył twarz do wykrzywionej twarzy trzeciego pomocnika kucharza.

— Przestań skamleć, chłopcze.

Melrose dalej skamlał. Z rany lała się krew, przednia część stopy została niemal odstrzelona. Świat w oczach Pearly'ego zszarzał, kontury zaczęły tracić ostrość. Przywrócił im ją ogromnym wysiłkiem woli. Gdyby teraz zemdłał, jeden Bóg wie, jak zachowałyby się Kurtz. Perlmutter słyszał o nim różne opowieści, lecz do tej pory zbywał wzruszeniem ramion dziewięćdziesiąt procent z nich, traktując je albo jako wytwory nadmiernie pobudzonej wyobraźni, albo jako owoce realizowanej z premedytacją przez Kurtza strategii, mającej na celu utrwalenie jego wizerunku demonicznego szaleńca.

Teraz już wiem, co o tym myśleć, przemknęło Perlmutterowi przez głowę. On nie tworzy mitu. On nim jest.

Ze spokojną, niemal chirurgiczną precyzją Kurtz przyłożył lufę pistoletu do środka białego jak twaróg czoła Melrose'a.

— Zakończ te babskie lamenty, chłopcze, albo ja zakończę je za ciebie. W magazynku mam pociski z wydrążonymi czubkami. Powinien to już zauważyć nawet ktoś tak mało rozgarnięty jak ty.

Melrose zdołał jakoś zdusić krzyki do poziomu żalonych, zawodzących jęków. Kurtzowi to wystarczyło.

— Chodziło mi o to, żebyś mnie dobrze słyszał, chłopcze. Musisz mnie dobrze słyszeć, żeby potem powtórzyć to innym. Przypuszczam, że twoja stopa, a raczej to, co z niej zostało, wystarczająco silnie da wyraz ogólnej koncepcji, szczegóły jednak trzeba będzie przekazać ustnie. Słuchasz mnie więc? Słuchasz mnie i pilnie notujesz wszystko w pamięci?

Wciąż szlochając, z oczami jak wielkie szklane gałki, Melrose zdołał skinać głowę.

Błyskawicznie niczym atakujący wąż, Kurtz odwrócił głowę i Perlmutter ujrzał jego twarz w całej okazałości. Wielkimi literami było na niej wypisane szaleństwo. W tej chwili resztki zaufania, jakimi jeszcze Perlmutter darzył swego dowódcę, nieodwracalnie legły w gruzach.

— A co z tobą, chłopcze? Słuchasz mnie? Ty też jesteś posłańcem. Wszyscy nimi jesteśmy.

Pearly kiwnął głową. Zaraz potem otworzyły się drzwi i, ku jego niewysłowionej uldze, do samochodu wszedł Owen Underhill.

— Owen! Jak miło cię widzieć! Na Boga, jeszcze jeden posłaniec! Czy i ty mnie słuchasz, chłopcze? Czy ty również poniesiesz dobrą nowinę z tego cudownego miejsca?

Underhill bez słowa skinął głową. Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

— To dobrze! Doskonale! — Kurtz ponownie skupił uwagę na trzecim pomocniku kucharza. — A więc słuchaj, Melrose. Cytuję z „Przepisów dotyczących trybu postępowania dla oficerów Armii Stanów Zjednoczonych”, część 16, rozdział 4, paragraf 3: „Używanie obraźliwych określeń związanych z uprzedzeniami rasowymi, etnicznymi lub płciowymi wpływa niewłaściwie na morale i jest sprzeczne z zasadami obowiązującymi w Siłach Zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Winni takiego postępowania mają natychmiast stanąć przed sądem polowym lub ponieść karę wymierzoną przez właściwy organ dowódczy”. Koniec cytatu. „Właściwy organ dowódczy” to ja, „winni takiego postępowania” to ty. Rozumiesz, Melrose? Załapałeś? Wszystko jasne?

Melrose usiłował coś wybełkotać, lecz Kurtz nie dopuścił go do głosu. Owen Underhill wciąż stał nieruchomo przy drzwiach ze wzrokiem wbitym w Kurtza. Śnieg topił się na jego ramionach i włosach, spływał po przezroczyściej masce jak pot.

— To, co ci przed chwilą zrobiłem, w obecności tych oto świadków, jest właśnie „trybem postępowania”, a to z kolei oznacza, że w wojsku nie można nikogo wyzywać od czarnuchów, makaroniarzy, czerwonoskórych, szkopów, i tak dalej. Oznacza to również, a nawet tym bardziej, że nikogo nie wolno wyzywać od kosmicznych czarnuchów. Czy to jasne, trzeci pomocniku kucharza?

Melrose usiłował skinąć głową, lecz wysiłek okazał się dla niego zbyt wielki, zatoczył się i z pewnością by upadł, gdyby nie podtrzymał go Perlmutter. Pearly modlił się w duchu, żeby Melrose nie zemdłał przed końcem wykładu. Bóg jeden wie, do czego byłby zdolny Kurtz, gdyby chłopak miał czelność wyłączyć światła, zanim szef z nim skończył.

— Wytłuczemy tych dupków co do jednego, przyjacielu, a jeśli jeszcze kiedyś się tu zjawia, pouryamy im te szare łby i nasramy do środka. Jeśli to ich niczego nie nauczy, wykorzystamy ich własną technologię, którą właśnie poznajemy, i złożymy im wizytę w statkach kosmicznych zbudowanych przez General Electric, General Motors, a nawet, jak mi Bóg miły, Microsoft, spalimy ich miasta, gniazda albo pieprzone mrowiska, spalimy łąny fioletowego zboża i zrównamy z ziemią majestatyczne fioletowe góry, tak nam dopomóż Bóg, *Allah akbar*, nasikamy im ogniem do jezior i oceanów... Ale zrobimy to wszystko tak jak należy i zgodnie z przepisami, nie obrażając niczyich uczuć, bez względu na różnice płci, rasy albo wyznania. Zrobimy to po prostu dlatego, że tamci zjawili się w niewłaściwej dzielnicy i zapukali do niewłaściwych drzwi. To nie Niemcy w 1938 ani nie Oxford w stanie Missisipi w 1963. Jak pan myśli, panie Melrose, czy uda się panu przekazać innym tę wiadomość?

Melrose błysnął białkami oczu, kolana się pod nim ugięły. Perlmutter usiłował ponownie go podtrzymać, lecz tym razem nie miał szans. Melrose zwałił się na podłogę.

— Pearly... — wyszeptał Kurtz.

Kiedy spoczęło na nim rozjarzone spojrzenie, Perlmutter doszedł do wniosku, że jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał.

Mocz rozpiekał mu pęcherz, musiał z całych sił ścisnąć nogi, żeby nie zlać się w spodnie. Był pewien, że gdyby Kurtz w takim nastroju, w jakim znajdował się obecnie, zobaczył powiększającą się ciemną plamę w kroczu swego adiutanta, zastrzeliłby go od razu, nie zniżając się... Ale taka myśl wcale nie przyniosła mu ulgi.

— Tak, pro... szefie?

— Przekażesz wiadomość? Będziesz dobrym posłańcem? Myślisz, że on coś z tego zapamiętał, czy może za bardzo zajmował się swoją cholerną stopą?

— Ja... To znaczy... — Kątem oka zauważył, że Underhill prawie niedostrzegalnie skinął głową. — Myślę, szefie, że wszystko dokładnie zapamiętał.

Kurtz najpierw jakby się trochę zdziwił stanowczością oceny, lecz potem zrobił zadowoloną minę. Odwrócił się do Underhilla.

— A ty, Owen? Myślisz, że będzie z niego dobry posłaniec?

— Chyba tak — odparł Underhill. — Pod warunkiem że zajmą się nim lekarze, zanim wykrwawi się na śmierć.

Kąciki ust Kurtza opadły.

— Zajmij się tym, Pearly, dobrze?

— Tak jest.

Mijając Underhilla w drzwiach, spojrział na niego z wdzięcznością, lecz tamten albo tego nie zauważył, albo nie dał po sobie poznać.

— Tylko szybko, panie Perlmutter. Owen, chcę z tobą pogadać *mano a mano*, jak mawiają Irlandczycy. — Kurtz jakby nigdy nic przeszedł nad ciałem Melrose'a i zniknął w maleńkiej kuchni. — Napijesz się kawy? Freddy ją zrobił, więc nie wiem, czy się do czegoś nadaje... podejrzewam, że nie za bardzo, ale...

— Chętnie. Niech pan nalewa, a ja spróbuję powstrzymać krwotok.

Kurtz wychylił się zza przepierzenia i w udawanym zdziwieniu uniósł brwi.

— Naprawdę myślisz, że to konieczne?

Perlmutter nigdy do tej pory nie przypuszczał, iż kiedykolwiek będzie się szczerze cieszył z tego, że może wyjść z ciepłego, suchego wnętrza wprost w przybierającą szybko na sile burzę śnieżną.

4

Henry stał przy ogrodzeniu (nie dotykał drutów, widział już bowiem, czym to grozi) i czekał, aż Underhill wyjdzie z samochodu campingowego, w którym najwyraźniej mieścił się sztab, centrala dowodzenia czy coś w tym rodzaju. Kiedy jednak otworzyły się drzwi, z pojazdu wyskoczył jak oparzony jeden z mężczyzn, którzy weszli tam wcześniej, i pogonił dokądś ile sił w nogach. Jego poważną twarz, kojarzącą się Henry'emu z obliczem urzędnika średniego szczebla, wykrzywił grymas przerażenia. Niewiele brakowało, żeby nabierając prędkości, rozciągnął się jak długi. Henry nagrodził go w duchu rzęsistymi oklaskami.

Mężczyzna jakoś zdołał utrzymać równowagę, jednak w połowie drogi do kilku stłoczonych ciasno naczep poślizgnął się powtórnie i tym razem z rozmachem siadł na błotnistej ziemi. Podkładka pod papiery, którą ścisnął pod pachą, pojechała niczym miniaturowe sanie.

Henry uznał, że taki popis zasługuje na autentyczne oklaski, ale choć uderzał w dłonie z całych sił, nie mógł przedrzeć się przez hałas, który powodowały śmigłowce, przyłożył więc ręce do ust i krzyknął:

— Brawo! Czekamy na powtórkę!

Człowiek o twarzy urzędnika wstał, nie patrząc na niego, podniósł podkładkę i pobiegł dalej.

Jakieś dwadzieścia metrów od Henry'ego stała przy płocie grupka złożona z ośmiu lub dziewięciu mężczyzn. Jeden z nich, korpulentny, w pomarańczowej puchowej kurtce, podszedł do niego.

— Chyba nie powinieneś tego robić, kolego. — A następnie dodał przyciszonym głosem: — Oni zastrzelili mojego szwagra.

Tak, Henry wyraźnie widział to w jego głowie. Szwagier korpulentnego, podobnie zbudowany, opowiada z zapałem o swoim adwokacie, o swoich prawach, o swoim stanowisku w jakiejś firmie brokerskiej z Bostonu. Żołnierze kiwają głowami, tłumaczą, że to tylko tymczasowy środek zapobiegawczy, że sytuacja szybko się stabilizuje i że do rana wszystko się wyjaśni, a równocześnie popychają dwóch postawnych myśliwych w kierunku stodoły. Niespodziewanie szwagier odwraca się, przedziera przez kordon, kłusuje w kierunku samochodów, bum, bum, i po wszystkim.

— A jak myślisz, co zrobią z nami? — zapytał Henry, przerywając korpulentnemu mężczyźnie opowieść o tym zdarzeniu.

Tamten umilkł w pół słowa, przez chwilę wpatrywał się w niego z otwartymi ustami, a następnie cofnął się o krok, jakby nagle przyszło mu do głowy, że Henry jest zarażony jakimś paskudztwem. Zabawne, ponieważ wszyscy byli tym czymś zarażeni — albo tak uważali ci przysłani przez rząd czyściciele, co w sumie na jedno wychodziło.

— Chyba nie mówisz serio! — wykrztusił wreszcie korpulentny, a zaraz potem niemal z oburzeniem dodał: — Przecież jesteśmy w Ameryce!

— Naprawdę? Jesteś pewien, że tak wygląda Ameryka?

— Oni tylko... Jestem pewien, że... — Henry czekał z zainteresowaniem na ciąg dalszy, ale się nie doczekał. — To przed chwilą to był strzał, prawda? — zapytał mężczyzna. — I zdaje się, że słyszałem jakieś krzyki...

Z połączonych naczep wybiegli dwaj ludzie z noszami. W pewnej odległości za nimi, z rzucającym się w oczy ociąganiem, podążał wykazujący skłonności do akrobacji człowiek o twarzy urzędnika. Podkładka znowu tkwiła bezpiecznie pod jego pachą.

— Zgadza się. — Odprowadzili wzrokiem sanitariuszy z noszami, którzy znikli w samochodzie campingowym. Kiedy urzędnik znalazł się w pobliżu ogrodzenia, Henry zawołał: — I jak tam, akrobato? Dostałeś medal?

Korpulentny aż się skulił, tamten zaś popatrzył kwaśno na Henry'ego i najwolniej, jak się dało, począł w kierunku samochodu.

— To tylko... to tylko krótkotrwała sytuacja nadzwyczajna — wymamrotał rozmówca Henry'ego. — Jestem przekonany, że do jutra wszystko się wyjaśni.

— Proszę to powiedzieć swojemu szwagrowi.

Mężczyzna spojrzał na niego niemal ze strachem, po czym wrócił do swoich towarzyszy, których poglądy z pewnością były bardziej zbliżone do jego własnych. Henry ponownie skoncentrował uwagę na ogromnym samochodzie campingowym, czekając na Underhilla. Miał wrażenie, że Underhill jest jego jedyną nadzieją... ale była to bardzo wątpliwa nadzieja, bez względu na skalę wątpliwości, które ogarniały Underhilla.

Tym bardziej że Henry miał w zanadrzu tylko jedną kartę. Tą kartą był Jonesy. Oni nie wiedzieli o Jonesym.

Pytanie brzmiało: czy powiedzieć o tym Underhillowi? Henry'ego gnębiło paskudne przecucie, że tak czy inaczej może to nie mieć żadnego znaczenia...

5

Pięć minut później z samochodu wyniesiono na noszach człowieka. W oślepiającym blasku reflektorów jego śmiertelnie błada twarz wydawała się niemal fioletowa. Henry ucieszył się, że to nie Underhill, ponieważ Underhill różnił się od tych wszystkich szaleńców.

Minęło dziesięć minut. Underhill wciąż się nie pojawiał, lecz Henry nadal czekał w gęstniejącym śniegu. Więźniów (tak, byli więźniami, co do tego nikt nie mógł mieć cienia wątpliwości) pilnowali rozstawieni co kilkanaście metrów żołnierze. Jeden z nich zbliżył się niespiesznie. Kiedy Henry został schwytyany przy skrzyżowaniu Deep Cut Road z szosą, blask reflektorów niemal go oślepił — niewiele wtedy widział, nie mógł więc rozpoznać tego

człowieka po twarzy, pojął za to z mieszaniną niepokoju i zachwytu, że umysły także mają łatwo dostrzegalne cechy, równie wyraźne jak pięknie wykrojone usta, złamany nos albo zez. Ten człowiek też tam był, szturchnął go kolbą pistoletu maszynowego, uznawszy, że Henry zbyt wolno maszeruje do półciężarówki. Najdziwniejsze było to, że Henry nie miał pojęcia, jak tamtemu na imię, wiedział natomiast, że ma brata imieniem Frankie, który w szkole średniej został oskarżony o gwałt, lecz do skazania nie doszło z powodu braku dowodów. Wiedział znacznie więcej, miał przed sobą coś w rodzaju rozsypanej na podłodze zawartości kosza na odpadki — dopiero po jakimś czasie uzmysłowił sobie, że tak wygląda strumień świadomości, a raczej to, co ze sobą niesie. Zdumiewające, jak w zdecydowanej większości prozaiczne były to rzeczy.

— O, to nasz mądrala — powiedział żołnierz przyjaźnie. — Chcesz hot doga, mądralo? — zapytał z uśmiechem.

— Już mam — odparł Henry, również się uśmiechając. A potem, jak to się często zdarzało, do głosu doszedł Beaver: — A niech mnie Freddy przeleci.

Uśmiech znikł z twarzy żołnierza.

— Zobaczmy, czy za dwanaście godzin też będziesz taki mądry. — Rzeka płynąca przez jego głowę przyniosła obraz ciężarówki wypełnionej ciałami. — Wyhodowałeś już sobie Ripley, cwaniaczku?

Byrus, pomyślał Henry. On mówi o byrusie. Tak to się naprawdę nazywa. Jonesy wie.

Nie odpowiedział. Żołnierz odczekał kilka sekund, po czym odwrócił się z zadowoloną miną człowieka, który zwyciężył na punkty. Zaintrygowany Henry skupił się, wyobraził sobie strzelbę — całkiem przypadkowo „wyszedł” mu sztucer, a konkretnie garand Jonesy’ego — i pomyślał: Mam broń i za chwilę strzełę ci w plecy, dupku.

Żołnierz odwrócił się znacznie szybciej, znowu stał twarzą do niego, wyraz zadowolenia podzielił los niedawnego uśmiechu. Miał niepewną, podejrzliwą minę.

— Co powiedziałeś, mądralo? Mówiłeś coś, prawda?

— Tak się tylko zastanawiałem, czy Frankie dał ci choć raz szturchnąć tę dziewczynę.

Żołnierz wybałuszył na niego pozbawione jakiegokolwiek wyrazu oczy, zaraz potem rozblęła w nich dzika wściekłość.

Poderwał broń. Henry miał wrażenie, że czarny wylot lufy uśmiecha się kusząco. Szarpnął za zatrzaski, rozpiął kurtkę, rozsunał ją na boki.

— Proszę, strzelaj! — Parsknął śmiechem. — Pokaż, jaki z ciebie Rambo!

Brat Frankiego mierzył do niego jeszcze przez chwilę, po czym Henry poczuł, jak wściekłość słabnie. Niewiele brakowało — przez parę sekund żołnierz gorączkowo poszukiwał jakiegoś sensownego wytłumaczenia, usiłował sfabrykować chociaż odrobinę wiarygodną historię — ale trwało to zbyt długo, do głosu doszły przednie płaty mózgu, wepchnęły czerwoną bestię z powrotem do kryjówki. Jakie to znajome.

Na świecie roiło się od Richiech Grenadeau. To oni byli smoczymi kłami rzeczywistości.

— Masz czas do jutra, mądralo.

Henry nie zareagował, wolał nie drażnić już czerwonej bestii, chociaż Boże, jakie to było proste... Dowiedział się czegoś ważnego, a raczej uzyskał potwierdzenie swoich podejrzeń.

Żołnierz usłyszał jego myśl, ale niezbyt wyraźnie. Gdyby było inaczej, odwróciłby się znacznie prędzej. Nie zapytał, skąd Henry wie o jego bracie, ponieważ w głębi duszy znał tę samą prawdę co Henry: wszyscy, ilu ich tu było, zostali zarażeni telepatią. Złapali ją zupełnie jak jakiegoś idiotycznego wirusa.

— Tyle że ja mam poważniejsze objawy — powiedział głośno, zapinając kurtkę.

Podobnie jak Pete, Beaver i Jonesy, tyle że Pete i Beaver już nie żyli, Jonesy zaś... Jonesy...

— Jonesy zachorował najpoważniej ze wszystkich.

Gdzie był teraz? Na południu. Jonesy dał nogę na południe. Cała ta pracownica zamontowana kwarantanna okazała się niewarta funta kłaków. Co prawda te świrusy brały pod uwagę taką możliwość, zakładając, że jeden, dwa albo trzy odosobnione przypadki nie mają żadnego znaczenia, Henry jednak podejrzewał, że się mylili.

I to bardzo.

6

Owen stał z kubkiem kawy w ręce i czekał, aż sanitariusze znikną razem ze swoim ciężarem. Dawka morfiny szczęśliwie zamieniła łkania i szlochy Melrose'a w ciche pojękiwania. Pearly również wyszedł i Owen został sam na sam z Kurtzem.

Kurtz siedział w fotelu, przypatrując się Underhillowi z lekko zdziwionym rozbawieniem. Niebezpieczny szaleniec znikł bez śladu niczym pośpiesznie ściągnięta maska.

— Myślę o liczbie — powiedział. — O jakiej?

— Siedemnaście. Jest wielka i czerwona, jak numer na wozie gaśniczym.

Kurtz z zadowoleniem skinął głową.

— Teraz ty.

Owen wyobraził sobie znak ograniczenia prędkości do 60 kilometrów na godzinę.

— Czarna szóstka na białym tle — powiedział Kurtz po chwili.

— Blisko, szefie.

Na kubku Kurtza widniał napis KOCHAM DZIADUNIA. Kurtz podniósł go do ust, Owen również pociągnął mały łyk. Od razu poczuł się odrobinę lepiej. To był paskudny dzień i paskudna robota, a kawa Freddy'ego smakowała całkiem przyzwoicie.

Kurtz zdążył już włożyć kombinezon. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyjął sporą apaszkę, przez chwilę przyglądał się jej krytycznie, po czym ukląkł z bolesnym grymasem (dla nikogo nie było tajemnicą, że cierpiał na artretyzm) i zaczął ścierać z wykładziny podłogowej krew Melrose'a. Do tej pory Owen uważał się za człowieka, którego nie jest łatwo zaszokować, ale tym razem jednak doznał szoku.

— Proszę pana... — Cholera! — Szefie...

— Zamknij się — warknął Kurtz, nie podnosząc głowy. Przesuwał się od plamy do plamy, skrupulatny jak najlepsza sprzątaczką. — Ojciec uczył mnie, żeby zawsze po sobie sprzątać. Może wtedy następnym razem trochę się zastanowisz. Jak miał na imię mój ojciec, chłopcze?

Owen dostrzegł tylko niewyraźne mignięcie, niczym błysk białych majtek pod sukienką.

— Paul?

— Patrick, ale blisko. Anderson uważa, że to fala, która dopiero nabiera prędkości. Fala telepatii. Sądzisz, że to fascynująca teoria, Owen?

— Raczej tak.

Kurtz skinął głową, nie przerywając sprzątania.

— A nie uważasz, że powinna na zawsze pozostać teorią?

Owen roześmiał się. Kurtz wciąż nie przestawał go zadziwiać. „Gra niepełną talią”, mawiało się czasem o niezbyt stabilnych psychicznie osobach, ale problem z Kurtzem polegał na czymś odwrotnym: on grał więcej niż pełną talią — tu dodatkowy as, tu dwójka... Szczególnie należało uważać na dwójki, bo bywały niekiedy szalone.

— Siadaj, Owen. Usiądź na dupie, wypij kawę jak normalny człowiek i pozwól mi się tym zająć. Potrzebuję tego.

Underhill zastosował się do polecenia. Pięć minut później Kurtz z wysiłkiem dźwignął się z kłeczek, trzymając apaszkę dwoma palcami, zaniósł ją do kuchni, wyrzucił do kosza, po czym wrócił na fotel, pociągnął łyk kawy, skrzywił się i odstawił kubek.

— Zimna.

Owen natychmiast podniósł się z miejsca.

— Zrobię no...

— Nie trzeba. Siadaj. Musimy pogadać.

Owen usiadł.

— Trochę się poprzytkaliśmy tam, w górze, nie sądzisz?

— Nie powiedziałbym, żeby...

— Wiem. Nie powiedziałbyś, lecz obaj wiemy, co się stało.

Kiedy jest gorąco, ludziom puszczają nerwy, ale to już przeszłość. To musi być przeszłość, bo ja jestem dowódcą, a ty moim zastępcą, i mamy jeszcze sporo roboty. Myślisz, że uda nam się ją razem dokończyć?

— Tak jest, proszę pana. — Kurwa, znowu! — To znaczy, szefie.

Kurtz obdarzył go chłodnym uśmiechem.

— Zdaje się, że przed chwilą trochę mnie poniosło. — Uroczy, szczerzy aż do bólu, prostolinijny. Owen dawał się zwodzić przez wiele lat, ale nie teraz. — Wszystko szło jak zwykle, odgrywałem tradycyjną rolę, dwie trzecie Pattona, jedna trzecia Rasputina, dodać trochę wody, wymieszać i podawać, aż tu nagle bach! Wszystko szlag trafił. Pewnie myślisz, że jestem szalony, co?

Ostrożnie, ostrożnie. Tu działała najprawdziwsza telepatia. Owen nie miał pojęcia, jak głęboko Kurtz potrafił zajrzeć do jego duszy.

— Tak jest, szefie. Odrobinę.

Kurtz rzeczowo skinął głową.

— Odrobinę. To chyba właściwe słowo. Robię w tym fachu od wielu lat, ponieważ tacy jak ja są potrzebni, ale trudno ich znaleźć, a do tej roboty niezbędny jest ktoś trochę szurnięty, kto wykona ją jak należy i równocześnie nie zwariuje do końca. Linia, po której stąkam, jest cholernie wąska. To właśnie ta słynna linia, o której tak chętnie mędrkują psychiatrzy i psycholodzy. Odwalamy tutaj największe i najpaskudniejsze sprzątanie w historii ludzkości, oczywiście jeśli przyjąć, że ta heca z Herkulesem i stajnią Augiasza to mit. Nie oczekuję od ciebie współczucia, tylko zrozumienia. Jeśli się zrozumiemy, jakoś przebrniemy przez tę cholerną robotę aż do końca.

Jeśli nie... — Wzruszył ramionami. — Jeśli nie, wtedy będę musiał dokończyć ją bez ciebie. Nadażasz za mną?

Owen mocno w to wątpił, zorientował się już jednak, dokąd Kurtz chce go zaprowadzić, toteż skinął głową. Czytał kiedyś o małym ptaszku, który za milczącą zgodą krokodyla żyje w jego paszczy. Teraz sam stał się takim ptaszkiem.

Kurtz usiłował wpoić mu przekonanie, że wybaczył mu jego postępek sprzed ataku na statek Obcych, że uwierzył, jakoby Underhilla „poniosło”, tak jak jego „poniosło” przed chwilą, gdy przestrzelił stopę Melrose’owi. A to, co zdarzyło się sześć lat temu w Bośni? Teraz nie miało już najmniejszego znaczenia. Może była to prawda, a może krokodylowi znudziła się wreszcie bezustanna bieżanina ptaszka i szykował się do zatrzaśnięcia paszczy. Owen nie potrafił wyczytać w umyśle Kurtza, czy ten mówi prawdę, zdawał więc sobie sprawę, że musi być bardzo ostrożny. Ostrożny i gotów w każdej chwili do odlotu.

Kurtz ponownie sięgnął do kieszeni kombinezonu i wydobył z niej stary zegarek w kopercie.

— Należał do mojego dziadka i wciąż działa. Chyba dlatego, że jest nakręcany. Zero elektryczności. Elektroniczny jeszcze nie ożył.

— Mój też nie.

Usta Kurtza drgnęły w ćwierćsekundowej imitacji uśmiechu.

— Zgłoś się do Perlmuttera, jeśli znajdziesz czas, i poudawaj przez chwilę, że go lubisz. Chociaż taki zarobiony po uszy, znalazł jednak czas, żeby zamówić dostawę trzystu nakręcanych timexów. Przyleciały ostatnim transportem przed burzą. Pearly jest nieoceniony, ale gdyby jeszcze przestało mu się wydawać, że występuje w jakimś pieprzonym filmie...

— Mam wrażenie, szefie, że dzisiaj poczynił pewne kroki w tym kierunku.

— Może i tak. — Kurtz zastanawiał się nad czymś, a Underhill cierpliwie czekał. — Wiesz co, chłopcze? Powinniśmy pić teraz whisky. Jesteśmy jak Irlandczycy czuwający przy konającym.

— Naprawdę?

— No pewnie. Mój ukochany phooka wyciągnie dzisiaj kopyta.

Owen uniósł brwi.

— Tak, tak. Jak tylko wyzionie ducha, przestanie być niewidzialny i zamieni się w zwykłą martwą szkapę, którą każdy może kopnąć. Pierwsi będą politycy, oni są w tym najlepsi.

— Chyba nie całkiem rozumiem...

Kurtz zerknął jeszcze raz na stary zegarek, przypuszczalnie kupiony w jakimś lombardzie... lub ukradziony nieboszczykowi. Underhill nie byłby ani trochę zaskoczony, gdyby tak właśnie przedstawiała się prawda.

— Jest teraz siódma. Mniej więcej za czterdzieści godzin prezydent wystąpi przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ. Jeszcze nigdy tylu ludzi nie słuchało z zapartym tchem żadnego przemówienia. To będzie fragment największej hecy w historii ludzkości i zarazem największy przekręt od chwili, kiedy Bóg Ojciec Wszechmogący stworzył kosmos, a następnie zamieszał w nim palcem, nadając planetom ruch wirowo-obrotowy.

— Jaki przekręt?

— To wspaniała historia, Owen. Jak wszystkie doskonałe kłamstwa, zawiera całkiem sporo prawdy. Prezydent poinformuje zafascynowany świat, świat zasłuchany w każde jego słowo, że szóstego lub siódmego listopada w północnej części stanu Maine rozbił się statek kosmiczny z istotami pozaziemskimi na pokładzie. To prawda. Powie, że nie byliśmy zupełnie zaskoczeni, ponieważ nasi przywódcy, razem z przywódcami pozostałych krajów zasiadających w Radzie Bezpieczeństwa, już co najmniej od dziesięciu lat wiedzieli o nasilającej się aktywności UFO. To również prawda, z tą małą poprawką, że u nas, w Ameryce, niektórzy wiedzieli o tym od końca lat czterdziestych. Wiemy też, że w 1974 Rosjanie zestrzelili nad Syberią statek Szarych, i do dzisiaj nie wiedzą, że my wiemy. To był przypuszczalnie bezzałogowy statek zwiadowczy, jeden z wielu, jakie wtedy kręciły się w różnych miejscach. Sądząc po tym, z jaką ostrożnością Szarzy przygotowywali grunt pod pierwsze kontakty, cholernie się nas boją.

Owen słuchał go z chorobliwą fascynacją. Miał nadzieję, że nie było jej widać na jego twarzy i że w żaden sposób nie zaznaczyła swojej obecności w wierzchnich warstwach myśli, do których Kurtz mógł mieć dostęp.

Kurtz wyjął z kieszeni wymiętą paczkę marlboro. Podsunął ją Owenowi, który najpierw pokręcił głową, potem zaś wziął jeden z czterech pozostałych w paczce papierosów.

Kurtz również wetknął sobie papierosa w usta, podał ogień Underhillowi, sam też zapalił.

— Cały czas mieszam prawdę z przekrętem, a to chyba nie jest dobry pomysł. Trzymajmy się przekrętu, dobrze?

Owen nie odpowiedział. Ostatnio niewiele palił, w związku z czym po pierwszym zaciągnięciu zakręciło mu się w głowie, ale smak był cudowny.

— Prezydent powie, że rząd Stanów Zjednoczonych postanowił z trzech powodów objąć kwarantanną miejsce katastrofy oraz najbliższą okolicę. Pierwszy powód jest natury czysto logistycznej: ze względu na odosobnienie tych obszarów oraz niewielką liczbę przebywających tu ludzi, wprowadzenie kwarantanny było w ogóle możliwe. Gdyby Szarzy rozbili się w Brooklynie, albo nawet na Long Island, sprawa przedstawiałaby się zupełnie inaczej. Drugi powód jest taki, że nie mamy jasności co do intencji przybyszów. Powód trzeci, najbardziej przemawiający do wyobraźni, to fakt, że Obcy przywieźli ze sobą niebezpieczną substancję nazwaną przez osoby, które miały z nią kontakt, „grzybem Ripley”. Co prawda nasi goście zapewniali nas żarliwie, że nie istnieje niebezpieczeństwo zarażenia,

niemniej mieli ze sobą coś bardzo, ale to bardzo zaraźliwego. Prezydent powie również zasłuchanemu i przerażonemu światu, iż nie można wykluczyć, iż właściwym pasażerem statku był właśnie ów grzyb, Obcy zaś stanowią wyłącznie coś w rodzaju żywych inkubatorów. Tezę tę zilustruje film, na którym jeden z Szarych wybucha jak bomba, zamieniając się w chmurę zarodników Ripley. Materiał filmowy poddano małej obróbce, żeby poprawić jakość, ale, ogólnie rzecz biorąc, jest prawdziwy.

Kłamiesz, pomyślał Owen. Film jest sfałszowany od początku do końca, tak samo jak ta rzekoma autopsja Obcego. A dlaczego kłamiesz? Ponieważ możesz. To proste, prawda? Łatwiej ci kłamać, niż mówić prawdę.

— Zgadza się, kłamię — przyznał Kurtz gładko, spojrzawszy spod oka na Underhilla, a następnie ponownie skoncentrował uwagę na swoim papierosie. — Ale fakty są prawdziwe i łatwe do zweryfikowania. Część Szarych naprawdę wybucha i zamienia się w czerwone dmuchawce. To zarodniki Ripley. Jeżeli ktoś wciągnie je razem z powietrzem, po pewnym czasie — na razie jeszcze nie wiemy, czy po dwóch godzinach, czy po dwóch dniach — ma zamiast płuc i mózgu sałatkę z Ripley. Wygląda jak chodząca kępa sumaka, a potem umiera.

Prezydent ani słowem nie wspomni o naszej dzisiejszej wyprawie myśliwskiej. Przedstawi wersję, według której na pokładzie mocno uszkodzonej jednostki albo nastąpiła eksplozja, albo statek został wysadzony w powietrze przez załogę. Tak czy inaczej, wszyscy Szarzy zginęli. Ripley, która początkowo rozprzestrzeniała się dość szybko, również umiera, przypuszczalnie ze względu na niewielką odporność na niskie temperatury. Rosjanie z pewnością to potwierdzą. Niestety, trzeba było zlikwidować wiele zwierząt, które miały kontakt z zarazą.

— A co z ludźmi?

— Około trzystu ludzi, w tym mniej więcej dwustu trzydziestu przyjezdnych myśliwych, znajduje się pod obserwacją. U niektórych co prawda stwierdzono już objawy zakażenia Ripley, jednakże okazuje się, że standardowa kuracja antybiotykowa ceftinem lub augmentinem daje całkiem satysfakcjonujące rezultaty.

— To była chwila dla naszych sponsorów — wtrącił Owen, Kurtz zaś parsknął radosnym śmiechem.

— Trochę później trzeba będzie ogłosić, że Ripley okazała się bardziej odporna na działanie antybiotyków, niż przypuszczaliśmy, i że część pacjentów zmarła. Podamy nazwiska tych, którzy rzeczywiście umarli, albo na Ripley, albo z powodu tych pieprzonych implantów. Wiesz, jak nasi ludzie mówią na nie?

— Tak. Gówniane łasice. Czy prezydent wspomni o nich?

— W żadnym razie. Nasi specjaliści doszli do wniosku, że to by było za bardzo niepokojące dla wielce szanowanej opinii publicznej. Tak samo zresztą jak zastosowane przez nas rozwiązanie problemu tu, na miejscu, w bazie przy uroczym wiejskim sklepie Gosselina.

— Można by je nazwać nawet ostatecznym rozwiązaniem — zauważył Owen. Wypalił papierosa niemal do filtra i zdusił niedopałek na krawędzi pustego już kubka.

Kurtzowi nawet nie drgnęła powieka.

— Rzeczywiście, można to tak nazwać. Musimy zlikwidować około trzystu pięćdziesięciu ludzi, głównie mężczyzn, ale może się też trafić parę kobiet i dzieci. Na drugiej szali kładziemy jednak ochronę całej ludzkości przed śmiertelnie groźną zarazą, a być może nawet przed podporządkowaniem obcej rasie. Chyba sam przyznasz, że to dość pokaźny ciężar.

Hitlerowi spodobałby się ten przekręt. Owen nie zdołał powstrzymać tej myśli, ale z całych sił starał się ją zamaskować. Chyba mu się udało, ponieważ Kurtz nie dał po sobie poznać, że ją odczytał. O żadnej pewności jednak, ma się rozumieć, nie mogło być mowy.

— Ilu mamy teraz? — zapytał Kurtz.

— Około siedemdziesięciu. Dwa razy tyle jest w drodze z Kineo. Jeżeli pogoda się nie pogorszy, powinni dotrzeć gdzieś o dziewiątej.

Jeśli wierzyć zapowiedziom, pogoda miała się pogorszyć, ale dopiero po północy.

— Aha. — Kurtz skinął głową. — Do tego jakichś pięćdziesięciu z północy, mniej więcej siedemdziesięciu z St. Cap's i tych wszystkich dziur na południu... No i nasi. Nie możemy o nich zapominać. Maski, jak na razie, raczej się sprawdzają, ale i tak stwierdziliśmy już cztery przypadki Ripley. Oczywiście ludzie o tym nie wiedzą.

— Na pewno?

— Ujmijmy to w taki sposób: ich zachowanie nie daje żadnych podstaw do przypuszczeń, że cokolwiek podejrzewają. Teraz lepiej?

Owen wzruszył ramionami.

— Oficjalna wersja będzie taka — ciągnął Kurtz — że wszyscy internowani zostali przetransportowani drogą lotniczą do ściśle tajnej bazy medycznej, gdzie zostaną poddani szczegółowym badaniom oraz, jeśli zajdzie taka potrzeba, specjalistycznemu leczeniu. Potem na ich temat zapadnie cisza i tylko od czasu do czasu będą się pojawiać kontrolowane przecieki: postępująca infekcja mimo wyczerpanych wysiłków czołowych specjalistów... szaleństwo... straszliwe deformacje, których nawet lepiej nie opisywać... długo oczekiwane wybawienie w postaci śmierci. Opinia publiczna powinna powitać to z ulgą.

— Podczas gdy w rzeczywistości...

Chciał zmusić Kurtza, żeby powiedział to wprost, ale powinien był się domyślić, że nic z tego nie wyjdzie. Co prawda w prowizorycznej centrali dowodzenia na pewno nie było podsłuchu, niemniej Kurtz nie zamierzał rezygnować z ostrożności. Wyciągnął prawą rękę, zrobił z niej pistolet i patrząc Owenowi prosto w oczy, bezgłośnie wypalił trzy razy. On ma oczy krokodyla, przemknęło Underhillowi przez głowę.

— Wszystkich? — zapytał. — Nawet tych, którzy nie wykazują żadnych oznak zakażenia? A jeśli tak, to co z nami? Co z naszymi ludźmi, którzy się nie zarazili?

— Chłopcy, którzy są zdrowi, będą zdrowi. Ci, którzy złapali Ripley, zarazili się przez głupotę i nieostrożność. Jeden z nich... To było tak: wśród zatrzymanych jest czteroletnia dziewczynka, słodka jak aniołek, ładna i sprytna, że aż strach. Aż dziwne, że nie śpiewa i nie stepuje.

Kurtz chyba uważał, że jest dowcipny, i zapewne w pewien specyficzny sposób był, lecz Underhilla coś ścisnęło za gardło. Czteroletnia dziewczynka, pomyślał. Czteroletnia dziewczynka, i co wy na to?

— Jest naprawdę niesamowita, ale i zarażona — ciągnął Kurtz. — Wyraźnie widoczna Ripley na nadgarstku, skroni i w kąci oka. Klasyczne miejsca. No więc ten chłopak dał jej batonik czekoladowy, jakby była jakimś głodującym bośniackim dzieckiem, albo kimś takim, a ona zrewanżowała mu się buziakiem. Same słodkości, tylko zrobić zdjęcia, tyle że teraz nasz bohater ma na policzku ślad wcale nie po całusie. — Skrzywił się z odrazą. — Zaciął się przy goleniu, maleńka ranka, prawie jej nie widać, lecz to wystarczyło. Już po zabawie. To samo było z pozostałymi. Reguły są dla wszystkich takie same: kto jest nieostrożny, ten ginie. Niektórym przez pewien czas jakoś się udaje, ale prędzej czy później ich to też dopada. Na szczęście w większości chłopcy są czysti jak łaźnia. Oczywiście już do końca życia będziemy musieli regularnie zgłaszać się na badania, a od czasu do czasu przebadają nas też niespodziewanie, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: jeśli ktoś dostanie raka, wykryją mu go i wytną, zanim zdąży się z tego zrobić coś groźnego.

— A co z „czystymi” cywilami?

Kurtz pochylił się konfidencjonalnie do przodu. Był teraz stuprocentowo, czarująco, przekonująco normalny. Powinieneś czuć się zaszczycony, że możesz oglądać go takiego, jaki jest naprawdę, bez przywdziewanej na użytek gawiedzi maski („dwie trzecie Pattona, jedna trzecia Rasputina”). Dawniej Underhill czuł się zaszczycony, bo dawał się na to nabierać. Teraz wiedział już, że to właśnie jest maska.

Mimo wszystko — i to było najgorsze — nie był tego w stu procentach pewien.

— Owen, Owen, Owen! Rusz głową, uruchom mózg, który dostałeś od dobrego Boga. Owszem, możemy mieć na oku naszych ludzi, nie wywołując jednocześnie podejrzeń ani ogólnoświatowej paniki — a w każdym razie nie wywołując większej paniki niż ta, która wybuchnie zaraz po tym, jak nasz z trudem wybrany prezydent zarżnie phooka. Na pewno nie uda nam się coś takiego z ponad trzema setkami cywili. Założmy jednak, że przewozimy ich wszystkich do Nowego Meksyku i na pięćdziesiąt albo siedemdziesiąt lat osiedlamy we wzorcowej wiosce zbudowanej i utrzymywanej za pieniądze podatników. Co zrobimy, jeśli któryś ucieknie? Albo jeżeli — i chyba tego najbardziej boją się nasi jajogłowi — Ripley zmutuje? Jeżeli zamiast spokojnie wykitować, zmieni się w coś znacznie groźniejszego i mniej wrażliwego na czynniki zewnętrzne, które teraz łatwo rozprawiają się z nią w Maine?

Jeśli Ripley jest inteligentna, to jest też niebezpieczna. Jeżeli nie jest inteligentna, to nie możemy wykluczyć, że służy Szarym jako coś w rodzaju kosmicznej latarni morskiej: tu jestem, przybywajcie, mam dla was całą planetę do pożarcia...

— Czyli, krótko mówiąc, powinniśmy dmuchać na zimne?

Kurtz odchylił się do tyłu razem ze swoim fotelem bujanym i rozpromienił się od ucha do ucha.

— Otóż to! Właśnie o to chodzi.

Nieprawda, pomyślał Owen Underhill. Chodzi o to, że troszczymy się jedynie o siebie. Jesteśmy bezlitośni, ale nawet Kurtz troszczy się o swoich chłopców. Cywile to tylko cywile. Łatwo ich poświęcić.

— Jeżeli wątpisz w istnienie Boga albo w to, że przynajmniej od czasu do czasu Bóg sprawdza, czy nie dzieje nam się jakaś krzywda, to spójrz tylko, jak łatwo i szybko wychodzimy z tego bagna. Najpierw zjawiły się „latarki”. Trudno było ich nie zauważyć; jedno ze zgłoszeń pochodzi od samego Reginalda Gosselina, właściciela sklepu. Potem przybyli Szarzy, akurat o tej porze roku, kiedy po tych lasach kręci się trochę ludzi. Dwóch z nich widziało nawet samą katastrofę.

— Szczęśliwy przypadek.

— Nie żaden szczęśliwy przypadek, tylko łaska boska! Statek się rozbija, wiadomo gdzie i kiedy, a mróz zabija zarówno Szarych, jak i galaktyczny łupież, który ze sobą przywlekli. — Kurtz odliczał, zginając długie białe palce. — Ale to nie wszystko. Spróbowali sztuczki z implantami, lecz nic z tego nie wyszło. Implanty nie tylko nie zdołały ułożyć sobie harmonijnego współżycia z nosicielami, ale szybko doprowadziły do ich, a przy okazji i swojej śmierci. Równie szybko udało się zlikwidować zwierzęta z zainfekowanego obszaru. Na razie doliczyliśmy się ponad stu tysięcy sztuk i wszystkie właśnie pieką się na największym grillowym przyjęciu w historii tego kraju. Wiosną albo latem mielibyśmy kłopot z owadami, które mogłyby wynieść zarodniki Ripley poza strefę. W listopadzie ten problem nie istnieje.

— Jakież zwierzęta na pewno zdołały się wydostać.

— Ludzie być może też, ale Ripley rozmnaża się bardzo wolno. Poradzimy sobie dzięki temu, że odizolowaliśmy zdecydowaną większość nosicieli, ponieważ zniszczyliśmy statek i ponieważ to, co nam tu przywlekli, raczej tylko żarzy się, a nie płonie. Przekazaliśmy im prostą wiadomość: jeśli chcecie, przybywajcie w pokoju albo walcie od razu ze wszystkich działań, ale nigdy w ten sposób, bo to po prostu nie działa. Wątpię, żeby zdecydowali się na ponowne odwiedziny, a jeśli nawet, to nieprędko. Czaili się przez pół wieku, zanim zdecydowali się przystąpić do działania. Trochę szkoda, że nie udało nam się przechwycić ich statku, bo nasi jajogłowi mogliby się sporo dowiedzieć, chociaż z drugiej strony, pewnie roiliby się tam od Ripley. Wiesz, czego najbardziej się obawialiśmy? Że albo Szarzy, albo Ripley trafią na kogoś, kto sam się nie zarazi, ale stanie się nosicielem i pozaraża innych, daleko poza strefą.

— Jest pan pewien, że nie znaleźli?

— Prawie pewien. A nawet jeśli... Cóż, właśnie po to tu jesteśmy. Szczęście było po naszej stronie, żołnierzu. Raczej nikt nie został ukrytym nosicielem, Szarzy nie żyją, Ripley nie wystawiła nosa poza Jefferson Tract. Szczęście albo Bóg, co wolisz.

Kurtz pochylił głowę, zacisnął palce na grzbiecie nosa, jakby chciał powstrzymać kichanie, a kiedy ponownie spojrzął na Underhilla, miał oczy wypełnione łzami. Krokodyle łyzy, pomyślał Owen, chociaż w gruncie rzeczy wcale nie był tego pewien. Nie mógł sprawdzić, ponieważ nie miał dostępu do umysłu dowódcy. Albo fala telepatii już się cofała, albo Kurtz znalazł sposób, żeby zatrzaskać drzwi. Kiedy znowu się odezwał, Underhill był prawie pewien, że słyszy autentycznego Kurtza, a nie postać z kreskówki.

— Jestem już zmęczony, Owen. Gdy tylko z tym skończymy, chcę wreszcie odpocząć. Mamy tu roboty jeszcze na jakieś cztery dni, może tydzień, jeśli ta burza śnieżna rzeczywiście poszaleje tak, jak zapowiadają. Największy syf czeka nas jutro rano. Jakoś wytrzymam, ale potem... Już dawno należy mi się emerytura, więc powiem im wprost: albo mi zapłaćcie, albo mnie zastrzelcie. Myślę, że mi zapłacą — sporo wiem, a oni wiedzą, że wiem — ale szczerze mówiąc, prawie mnie to nie obchodzi. Brałem już udział w gorszych awanturach — w 1989 na Haiti załatwiliśmy w ciągu godziny prawie ośmiuset ludzi, i wciąż jeszcze śni mi się to po nocach — ale teraz będzie ciężiej. I to dużo ciężiej. Ci biedacy na padoku i w stodole są Amerykanami. Jeżdżą chevroletami, robią zakupy w Kmart, oglądają Oprah... Na myśl o tym, że mam strzelać do Amerykanów, że mam ich zmasakrować, robi mi się niedobrze. Zrobię to tylko dlatego, że inaczej się nie da, że trzeba zakończyć tę historię, i dlatego, że większość ich i tak by umarła, i to w okropnych męczarniach. Rozumiesz?

Owen Underhill milczał. Miał nadzieję, że jego twarz nie wyraża żadnych uczuć, bał się jednak odezwać, ponieważ był pewien, że jego głos zdrzży z przerażenia. Oczywiście wiedział, co się zbliża, co innego jednak wiedzieć, a co innego o tym usłyszeć...

Kurtz nie spuszczał go z oka.

— Nie twierdę, że twój dzisiejszy wygląd poszedł całkiem w niepamięć, że nic się nie stało, że zaczynamy wszystko od nowa. Mogę jednak spróbować o tym zapomnieć, pod warunkiem że weźmiesz się w garść, dorośniesz i pomożesz mi przebrnąć przez to gówno. Nie potrzebuję telepatii, żeby wiedzieć, co o tym myślisz, ale jesteś mi potrzebny, i już.

Wilgotne oczy, lekko drżący kącik ust... Trudno było uwierzyć, że to ten sam Kurtz, który zaledwie dziesięć minut temu prawie odstrzelił stopę jednemu ze swoich ludzi.

Jeżeli mu pomogę, to nieważne, czy choć raz nacisnę spust, czy nie, pomyślał Underhill. Będę tak samo przeklęty jak ci, co zaganiali Żydów do komór gazowych w Oświęcimiu.

— Gdybyśmy zaczęli o jedenastej, myślę, że skończylibyśmy do wpół do dwunastej... Najdalej do południa. I po wszystkim.

— Nie licząc snów...

— Zgadza się. Nie licząc snów. Pomożesz mi, Owen?

Underhill skinął głową. Skoro doszedł tak daleko, nie mógł ot tak, po prostu się wycofać. Przynajmniej zrobi wszystko, żeby to odbyło się w najbardziej humanitarny sposób. Żeby to było humanitarne masowe morderstwo. Później, rzecz jasna, dostrzeże absurdalność sytuacji, ale w obecności Kurtza, w zasięgu jego wzroku, nie sposób było patrzeć na świat z właściwego punktu widzenia. Jego szaleństwo było znacznie bardziej zaraźliwe niż Ripley.

— Doskonale. — Kurtz opadł na fotel, zadowolony i wyczerpany. Zajrzał do paczki z papierosami, podsunął ją Owenowi. — Zostały jeszcze dwa. Zapalisz?

— Dzięki. Nie tym razem, szefie.

— W takim razie zabieraj się stąd. Gdybyś potrzebował czegoś na sen, zgłoś się do medyków.

— Nie trzeba. — Oczywiście, że potrzebował, i to bardzo, ale nie zamierzał niczego łykać. Lepiej zachować przytomność umysłu.

— W porządku. Zmykaj. — Kurtz odprowadził go do drzwi. — I jeszcze jedno...

Owen odwrócił się, zapinając kurtkę. Wyraźnie słyszał dochodzące z zewnątrz zawodzenie wiatru. Wiało potężnie, znacznie mocniej niż podczas pierwszej, porannej zamieci.

— Dzięki. — Z lewego oka Kurtza wytoczyła się absurdalnie wielka łza i spłynęła po policzku. Kurtz tego nie zauważył. W tej chwili Owen kochał go i żałował, na przekór wszystkiemu, nawet na przekór temu, że go nienawidził. — Dzięki, chłopcze.

7

Henry stał w gęstniejącym śniegu, odwrócony tyłem do wiatru i co chwilę zerkał przez lewe ramię na drzwi samochodu campingowego, czekając na pojawienie się Underhilla. Był zupełnie sam; burza śnieżna zagoniła wszystkich zatrzymanych do stodoły, gdzie wstawiono piecyk. Wśród zgromadzonych wokół źródła ciepła ludzi z pewnością krążyły już coraz bardziej fantastyczne domysły. I dobrze. Lepsze domysły od widocznej gołym okiem prawdy.

Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że drapie się po nodze, i rozejrzał się szybko dookoła. Nikogo: ani strażników, ani więźniów. Mimo syjącego śniegu teren był oświetlony jak w bezchmurny słoneczny dzień.

Schylił się, rozwiązał prowizoryczny opatrunek na udzie i rozchylił rozdarte dżinsy. Zaraz po przywiezieniu został poddany identycznemu badaniu w trochę zatłoczonej półciężarówce (w drodze do sklepu Gosselina zgarnęli jeszcze pięć osób). Był wtedy czysty.

Teraz sytuacja uległa zmianie. Przez środek rany wiła się cieniutka, błyszcząca czerwona nić. Gdyby nie wiedział, co to jest, mógłby ją wziąć za świeży ślad krwi. Byrus, przemknęło mu przez głowę. No tak. Już po wszystkim. Można się pakować. Miło było, ale się skończyło.

Coś mignęło na skraju jego pola widzenia. Wyprostował się błyskawicznie i ujrzał Underhilla zamykającego za sobą drzwi samochodu. Henry pośpiesznie założył opatrunek i podszedł do ogrodzenia. Jakiś głos w jego głowie pytał natrętnie, co robi, jeżeli Underhill minie go obojętnie. Głos chciał również wiedzieć, czy Henry rzeczywiście zamierza spisać Jonesy'ego na straty.

Czekał bez ruchu, patrząc, jak Underhill z pochyloną głową brnie pod wiatr w coraz głębszym śniegu.

8

Pograżony głęboko w myślach Kurtz bujał się w fotelu, palił papierosa i patrzył na drzwi. W jaką część historyjki, którą zafundował Underhillowi, tamten był skłonny uwierzyć? Owen miał głowę na karku, potrafił walczyć o przeżycie, wierzył w ideały... Przypuszczalnie uwierzył we wszystko, ponieważ, koniec końców, ludzie wierzą zazwyczaj w to, w co chcą uwierzyć. John Dillinger też potrafił walczyć o przeżycie, i to jak, a jednak poszedł z Anną Sage do Biograph Theater. „Melodramat na Manhattanie”, tak nazywało się przedstawienie. Po spektaklu agenci federalni zastrzelili go w bocznej alejce jak psa, którym zresztą był. Anna Sage także wierzyła w ideały, co jednak nie uchroniło jej przed deportacją do Polski.

Jutro bazę wokół sklepu Gosselina opuści tylko on i czternastoosobowa grupa wybrańców: dwunastu mężczyzn i dwie kobiety, tworzący Straż Imperium. Owen mógłby być wśród nich, ale nie będzie. Jeszcze dzisiaj rano, zanim puścił skamlenia Szarych przez ogólny kanał, miał ogromne szansę, żeby się wśród nich znaleźć, lecz teraz wiele się zmieniło. Tak powiedział kiedyś Budda i przynajmniej pod tym względem ten skośnooki poganin miał rację.

— Zawiodłem się na tobie, chłopcze — powiedział Kurtz. Maskę, którą zsunął z twarzy, żeby zapalić, ocierała mu się o podbródek. — Zawiodłem się na tobie.

Raz mógł mu darować taki występ. Ale dwa razy?

— Nigdy — wyszeptał. — Nigdy w życiu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY NA POŁUDNIE

1

Szary wjechał do parowu, którego dnem biegł niewielki, zamrożony strumyk, i tą właśnie drogą pokonał ostatnie dwa kilometry dzielące go od I-95. Dwieście lub trzysta metrów przed celem — drogą sunęło powoli kilka ciężkich pojazdów wojskowych — zahamował, by skonsultować się z umysłem Jonesy'ego, a raczej z jego dostępną częścią. Jonesy potrafił ukryć w swojej małej twierdzy zaledwie drobną część przepastnego archiwum, Szary więc łatwo znalazł to, czego szukał. Producent Arktycznego Kota nie wyposażył go w wyłącznik reflektora. Szary zsiadł, poszukał sporego kamienia, podniósł go prawą ręką Jonesy'ego i rozbił reflektor. Zaraz potem wrócił na siodło i pojechał dalej. W zbiorniku została już tylko reszka paliwa, ale to nie przeszkadzało. Skuter wypełnił swoje zadanie.

Przepust, którym poprowadzono strumień pod autostradą, był wystarczająco wysoki, żeby zmieścić się tam skuter, lecz bez kierowcy. Szary ponownie zsiadł z maszyny, ustawił gaz i wpuścił ją do rury. Zatrzymała się po trzech metrach, ale to całkowicie wystarczyło, żeby ukryć ją przed wzrokiem każdego, kto, stojąc przy barierce na poboczu autostrady, badałby teren wokół nasypu — oczywiście już po burzy, bo przy tak gęsto padającym śniegu żadna obserwacja nic by nie dała.

Potem Szary kazał Jonesy'emu wspiąć się na nasyp, zatrzymać się przy barierkach i położyć na wznak na śniegu. W ten sposób był osłonięty przed wiejącym coraz mocniej wiatrem. Krótkotrwała, lecz męcząca wspinaczka uwolniła w organizmie człowieka niewielką dawkę endorfin; Jonesy czuł wyraźnie, jak jego porywacz rozkoszuje się nimi, tak jak on rozkoszowałby się smakowitym koktajlem albo kubkiem gorącej kawy po spędzeniu na stadionie chłodnego październikowego popołudnia.

Bez większego zdziwienia uzmysłowił sobie, że nienawidzi Szarego.

A potem Szary znikł jako istota, jako coś, czego można było nienawidzić. Zastąpił go obłok, taki sam jak ten, który ukazał się Jonesy'emu w chacie po tym, jak eksplodowała głowa człokopodobnego stworzenia. Obłok wyruszał na zwiad tak samo jak wtedy, kiedy szukał Emila Dawga. Potrzebował Brodsky'ego, ponieważ Szary nie znalazł w głowie Jonesy'ego informacji o tym, jak uruchomić skuter śnieżny. Teraz potrzebował czegoś innego — logika podpowiadała, że nowego środka transportu.

A co zostało w środku? Co pilnowało drzwi biura, za którymi ukrywała się reszta Jonesy'ego, wyrzuconego z własnego ciała niczym worek ze śmieciami? Również obłok, ma się rozumieć, tyle że ten, który Jonesy wciągnął w płuca. Powinien był od tego umrzeć, ale nie wiadomo dlaczego tak się nie stało.

Obłok nie potrafił myśleć, w każdym razie nie tak jak Szary. Gospodarz (nie był nim już Jonesy, ale właśnie Szary) wyszedł, zostawiając dom pod opieką termostatów, lodówki i pieca oraz, na wszelki wypadek, czujnika dymu i systemu alarmowego, który w razie potrzeby zawiadamiał policję.

A jednak pod nieobecność Szarego istniała szansa na opuszczenie pokoiku. Nie po to, żeby odzyskać kontrolę nad domem — gdyby podjął taką próbę, czerwony obłok natychmiast zaalarmowałby Szarego, który niezwłocznie wróciłby z wyprawy i prawie na pewno schwytałby Jonesy'ego, zanim ten zdołałby wrócić do pokoiku z korkową tablicą na ścianie, zakurzoną podłogą i zarośniętym brudem oknem... Tyle że w tym brudzie pojawiły się cztery półksiężycowate plamy, prawda? Cztery plamy w miejscach, gdzie czterej chłopcy przyciskali kiedyś czoła w nadziei zobaczenia zdjęcia, które teraz wisiało przypięte do tablicy. Zdjęcia Tiny Jean Schlossinger z zadartą spódniczką.

Nie, przejęcie kontroli nie leżało w jego możliwościach i powinien pogodzić się z tą prawdą, chociaż była gorzka.

Mógłby jednak dostać się do archiwum.

Czy warto ryzykować? Czy w ten sposób mógł cokolwiek zyskać? Niewykluczone, gdyby wiedział, na czym zależy Szaremu. Poza dalszą podróżą, ma się rozumieć. A skoro już przy tym jesteście: ciekawe, dokąd się wybiera?

Odpowiedź była tym bardziej zaskakująca, że zabrzmiała po dudditsowemu:

Ouuuunie. Aaay jeehee aa ouuuuunie.

Szary jedzie na południe.

Jonesy cofnął się od swojego jedyne okna na świat.

I tak niewiele przez nie widział z powodu padającego śniegu, ciemności i drzew. Poranna śnieżycą to była tylko przystawka; teraz nadeszła pora na główne danie.

Szary jedzie na południe.

Jak daleko? I po co? Jaki ma plan?

Duddits milczał.

Jonesy odwrócił się i przekonał się ze zdziwieniem, że na tablicy nie ma już ani mapy, ani fotografii dziewczyny, pojawiły się tam natomiast cztery kolorowe zdjęcia czterech chłopców. Wszystkie wykonano na tym samym tle — budynek szkoły podstawowej w Derry — wszystkie również miały ten sam podpis: SZKOLNE LATA, 1978. Pierwsza z lewej wisiała fotografia Jonesy'ego. Miał na twarzy szeroki, ufny uśmiech, na którego widok bolało go serce. Obok był Beaver, bez jednego przedniego zęba, który stracił na ślizgawce. Rok albo dwa lata później wstawiono mu sztuczny — w każdym razie na pewno jeszcze w podstawówce. Dalej Pete, o szerokiej twarzy, śniadej cerze i przeraźliwie krótkich włosach. Odpowiedzialność za tę fryzurę ponosił jego ojciec, który często powtarzał, że nie po to walczył w Korei, żeby teraz jego syn nosił hipisowskie kłaki. A na końcu Henry w swoich grubych szklach. Jonesy tak właśnie wyobrażał sobie Danny'ego Dunna, bohatera dziecięcej powieści detektywistycznej, którą z wypiekami na twarzy czytał właśnie mniej więcej w tamtym czasie.

Beaver, Pete, Henry. Jak bardzo ich kochał i w jak okrutny sposób los zerwał więzy ich przyjaźni. Okrutny i niesprawiedliwy.

Nagle ujrzał zupełnie żywego Beavera Clarendona, szepczącego z wytrzeszczonymi oczami:

— Człowieku, ucięło mu głowę! Ale pierdolnik! Znaczy się, święty Jezu na bananie!

Mój Boże, pomyślał Jonesy, i nagle sobie przypomniał. Jedyne wydarzenie związane z ich pierwszą wspólną wyprawą myśliwską do Dziury w Murze, które wypadło mu z pamięci albo raczej, które stamtąd wypchnął. Czyżby wszyscy je wypchnęli? Całkiem możliwe. Prawie na pewno, później bowiem, przez te wszystkie lata, wielokrotnie przecież wracali w rozmowach do wydarzeń z dzieciństwa... z wyjątkiem tego jednego.

Ucięło mu głowę... W oczach miał pełno błota...

Coś się z nimi wtedy stało, coś mocno związanego z tym, co działo się z nim teraz.

Gdybym tylko wiedział, co to było, pomyślał Jonesy. Gdybym tylko wiedział.

2

Andy Janas wysforował się daleko przed pozostałe trzy maszyny jadące w małym konwoju. W przeciwieństwie do niego tamci kierowcy niezbyt dobrze radzili sobie w takiej gównianej pogodzie. Wychowywał się w północnej Minnesocie i dla niego taka jazda to była bułka z masłem. W wyprodukowanym specjalnie dla wojska półciężarowym chevrolecie z dołączanym napędem na cztery koła czuł się jak u siebie w domu. Przy tej pogodzie, ma się rozumieć, włączył napęd na obie osie. Jego ojciec miał mądre dzieci.

O dziwo, nawierzchnia autostrady była prawie czysta, a to dzięki kilku wojskowym pługom, które przejechały tędy najwyżej pół godziny temu. Na asfalcie zdążyła się utworzyć zaledwie cztero — lub pięciocentymetrowa warstwa świeżego śniegu, ale coś takiego nie stanowiło żadnej przeszkody dla jego pojazdu. Przypuszczał, że już niedługo dogoni pługi, wtedy zaś nie pozostanie mu nic innego, jak zmniejszyć prędkość i grzecznie podążyć za nimi. Jedyny problem stanowił przybierający na sile wiatr, tworzący z płatków śniegu gęstą białą zasłonę. No, ale od czego są światełka odblaskowe na barierach. Kierowcy pozostałych maszyn chyba nie wiedzieli, jak łatwo można utrzymać kierunek dzięki pomocy tych małych, błyszczących punkcików... a może reflektory ciężarówek i hummerów świeciły zbyt wysoko? Zresztą podczas naprawdę silnych podmuchów wiatru nawet odblaskowe światełka nikły z oczu, świat robił się zupełnie biały i trzeba było zdjąć nogę z gazu aż do chwili, kiedy robiło się trochę spokojniej. Najważniejsze, żeby przy okazji nie zjechać z trasy. To mu na pewno nie groziło, a zresztą gdyby się coś stało, miał przecież radiostację. Poza tym z tyłu również jechały pługi, dzięki czemu była przejezdna cała południowa nitka autostrady od Presque Isle aż do Millinocket.

W skrzyni ładunkowej leżały dwa duże, owinięte w kilka warstw folii pakunki. Pierwszy zawierał ciała dwóch jeleni, które padły na Ripley, drugi zaś (Janas wahał się, czy uznać to za bardzo, czy też tylko trochę przerażające) zwłoki Szarego przekształcające się dość szybko w coś podobnego do gęstej czerwono-pomarańczowej zupy. Oba były przeznaczone dla lekarzy w Bazie Błękitnej, utworzonej wokół miejsca zwanego...

Janas podniósł wzrok na podniesioną osłonę przeciwsłoneczną. Tkwiły tam kartka i długopis przytrzymywane grubą gumką. Na kartce widniał nagryzmołony pośpiesznie napis: skl Gosselina, zj. 16, w lewo.

Powinien dotrzeć na miejsce za godzinę, może nawet szybciej. Lekarze powiedzą mu bez wątpienia, że mają pod dostatkiem padliny, i oba martwe jelenie zostaną spalone, ale powinni się ucieszyć na widok Szarego — oczywiście pod warunkiem że do tego czasu nie zamieni się całkiem w koncentrat pomidorowy. Niska temperatura powinna nieco zahamować tempo rozkładu, ale tak czy inaczej nie był to problem Andy'ego Janasa. Jego zadanie polegało na tym, żeby dotrzeć na miejsce, przekazać ładunek, a następnie zdać upoważnionej osobie relację z podróży przez północną, najspokojniejszą część strefy. Przy okazji na pewno zdąży napić się gorącej kawy i wtrząchnąć podwójną porcję jajecznic. A może jakaś litościwa dusza doleje mu do kawy kapeńkę czegoś mocniejszego? Przydałoby się. Uzupełniłby poziom procentów w organizmie, a potem zaszłyby się w jakimś

stój

Janas zmarszczył brwi, potrząsnął głową, podrapał się za uchem, jakby ukłuła go tam mucha albo komar. Przeklęty wiatr dmuchał już tak mocno, że kołysał ciężkim samochodem. Widoczność spadła do zera. Janas był pewien, że chłopaki z konwoju mają teraz pełne portki, ale nie on, nie Twardziel z Minnesoty. Wystarczy delikatnie zdjąć nogę z gazu, nie dotykać hamulca (korzystanie z hamulców przy takiej pogodzie było najlepszym sposobem na to, żeby przyjemną jazdę zamienić w bardzo, ale to bardzo nieprzyjemną) i spokojnie zaczekać, aż

stój

— Że co?

Zerknął na radiostację, ale z głośnika dobiegał tylko szum i jakaś gadanina w tle.

stój

— Auu! — wrzasnął Janas i złapał się rękoma za głowę, która nagle zabolęła jak diabli. Oliwkowozielony pikap bujał się gwałtownie, wpadł w poślizg, wrócił na tor jazdy, gdy tylko ręce kierowcy opadły z powrotem na kierownicę. Stopa Janasa wciąż nie dotykała pedału gazu, więc wskazówka prędkościomierza szybko zsuwała się w dół skali.

Pługi przetały wąską ścieżkę dokładnie pośrodku dwupasmowej południowej nitki autostrady. Janas skręcił w prawo, w głębszy śnieg, nienaruszony przez lemiesz i uzupełniony tym, co zostało odgarnięte na boki. Światelka odblaskowe na barierze jarzyły się w mroku niczym kocie oczy.

stój

Janas zawył z bólu, gdzieś z bardzo, bardzo daleka usłyszał swój głos:

— Już dobrze, dobrze! Staję! Tylko przestań! Przestań mnie szarpać!

Przez łyzy dostrzegł jakąś ciemną postać przy barierce nie dalej niż piętnaście metrów przed samochodem. Chwilę potem, kiedy postać znalazła się bliżej, okazało się, że to mężczyzna w puchowej kurtce.

Ręce Andy'ego Janasa już do niego nie należały, zamieniły się w rękawiczki, w których tkwiły ręce kogoś innego. Uczucie było zupełnie nowe i okropnie nieprzyjemne. Bez jego udziału skręciły kierownicę bardziej w lewo i pikap zatrzymał się przed człowiekiem w kurtce.

3

Teraz, kiedy Szary był zajęty czymś innym, nadarzała się jedyna i niepowtarzalna okazja. Jonesy zdawał sobie sprawę, że gdyby zaczął się zastanawiać, z pewnością straci odwagę, więc się nie zastanawiał, tylko od razu przystąpił do działania: odsunął zasuwkę i otworzył drzwi.

Jako dziecko nigdy nie zapuścił się do siedziby firmy braci Tracker (budynek zawalił się podczas wielkiej burzy w 1985), był jednak przekonany, że wewnątrz wyglądało zupełnie inaczej niż to, które teraz ukazało się jego oczom. Zaraz za małym pokojem zaczynało się pomieszczenie tak ogromne, że nie mógł dojrzeć jego końca. W górze wisały ciągnące się bez końca rzędy jarzeniówek, pod nimi zaś, w nieskończenie długich rzędach wysokości dorosłego mężczyzny, stały miliony kartonowych pudeł.

Wcale nie miliony, poprawił się w myślach. Miliardy.

Tak, ta ocena była z pewnością bliższa prawdy. Między pudłami biegły tysiące wąskich alejek. Jonesy stał oto u wrót magazynu wieczności i sama myśl o tym, żeby tu cokolwiek znaleźć, napawała żalostí. Gdyby odszedł od drzwi swojej kryjówki i stracił je z oczu, zgubiłby się błyskawicznie. Szary mógłby przestać się nim przejmować, ponieważ Jonesy wędrowałby aż do śmierci, bezskutecznie poszukując wyjścia z ułożonego z kartonowych pudeł labiryntu.

Nieprawda. Nie zgubiłbym się tutaj, tak jak nie zgubiłbym się we własnej sypialni. Nie muszę też niczego szukać. Doskonale wiem, co gdzie jest, bo przecież to miejsce należy do mnie. Witaj we własnej głowie, chłopczyku.

Jak tylko to sobie uświadomił, zrobiło mu się słabo... ale nie mógł sobie teraz pozwolić na żadne słabości ani wahania. Przecież Szary, ten ulubieniec publiczności, nieustraszony najeźdźca z kosmosu, nie będzie w nieskończoność zajmował się kierownicą wojskowej półciężarówki. Jeśli Jonesy zamierza ukryć w bezpiecznym miejscu część tych pudeł, powinien natychmiast wziąć się do roboty. Do rozstrzygnięcia pozostawał tylko jeden drobny problem: które powinien wybrać?

Duddits, usłyszał w głowie własny szept. To musi mieć coś wspólnego z Dudditsem. Wiesz o tym. Ostatnio dużo o nim myślisz. Tamci też dużo o nim myśleli. To właśnie Duddits pozwolił wam wytrwać razem tyle lat. Zawsze o tym wiedziałeś, ale teraz wiesz coś jeszcze, zgadza się?

Tak. Wiedział, że jego marcowy wypadek wydarzył się dlatego, iż wydawało mu się, że Richie Grenadeau i jego kumple znowu dręczą Dudditsa. Tyle że słowo „dręczą” było chyba żałośnie nieadekwatne do tego, co działo się na podwórzu za budynkiem braci Tracker, prawda? Należałoby raczej powiedzieć „torturują”. Kiedy zobaczył, że wszystko to dzieje się na nowo, bez zastanowienia wybiegł na jezdnię wprost pod...

Ucięło mu głowę — odezwał się nagle Beaver z podwieszonych pod sufitem magazynu głośników. Zabrzmiało to tak potężnie, że Jonesy aż się wzdrygnął. — Leżała w rowie, w oczach miał pełno błota. Prędzej czy później każdy morderca musi zapłacić za swoją zbrodnię. Ale pierdolnik!

Głowa Richiego. Głowa Richiego Grenadeau. Ale Jonesy nie miał teraz na to czasu. Był intruzem we własnej głowie i powinien się związać.

Kiedy po raz pierwszy ujrzał ten gigantyczny magazyn, wszystkie pudła były jednakowe i pozbawione jakichkolwiek oznaczeń. Teraz zobaczył, że te najbliższe niego mają wykonane kopiowym ołówkiem napisy DUDDITS. Zdumiewający, szczęśliwy zbieg okoliczności? Skądże znowu. Przecież każde z tych miliardów pudeł zawierało jego wspomnienia, a jeśli chodzi o wspomnienia, to zdrowy umysł nie powinien mieć żadnych problemów z dotarciem do dowolnego z nich.

Potrzebuję czegoś, żeby je przewieźć. Spojrzał w bok i bez większego zdziwienia zobaczył czerwony dwukołowy wózek. To przecież magiczne miejsce, które można dowolnie kształtować, najcudowniejsze zaś było to, że każdy człowiek miał takie na własność.

Pospiesznie ustawił na wózku kilka pudeł z napisem DUDDITS i truchtem zawiązał je do biura. Zrzucił je byle jak, nie przejmując się tym, że zawartość jednego czy dwóch rozsypała się na podłodze. Porządkami zajmie się później, teraz ma na głowie ważniejsze sprawy.

Biegając z powrotem, rozglądał się w poszukiwaniu Szarego, ale Szary wciąż jeszcze zajmował się kierowcą. Kierowca nazywał się Janas. Oczywiście był obłok, lecz obłok nie potrafił go wyczuć. Był głupi jak... jak grzyb.

Ładując kolejną partię pudeł z serii DUDDITS, zauważył, że tuż obok piętrzą się pudła z napisem DERRY. Było ich stanowczo zbyt wiele, żeby zabrać wszystkie. Pytanie brzmiało, czy warto zabierać choć kilka?

Zastanawiał się nad tym, pchając wózek w kierunku biura. To oczywiste, że pudła ze wspomnieniami dotyczącymi Derry znajdowały się w pobliżu wspomnień o Dudditsie. Czy te z Derry były równie istotne? Jak miał rozstrzygnąć ten problem, skoro nawet nie wiedział, czego tak naprawdę chce Szary?

Wiedział. Oczywiście, że wiedział.

Szary jedzie na południe.

Na południe stąd było Derry.

Jonesy popędził z powrotem do magazynu, pchając przed sobą pusty wózek. Załaduje tyle pudeł z DERRY, ile się zmieści. Oby tylko wybrał właściwe. I oby w porę wyczuł powracającego Szarego. Jeśli Szary go tam przyłapie, rozgniecie go jak muchę.

4

Janas patrzył z przerażeniem, jak jego lewa ręka sięga do klamki i otwiera drzwi, wpuszczając do wnętrza zimno, śnieg i wiatr.

— Proszę, niech pan tego nie robi, zawiozę pana, dokąd pan chce, tylko niech pan już tego więcej nie robi, proszę...

Coś przemknęło przez umysł Andy'ego Janasa, coś podobnego do trąby powietrznej z oczami. Czuł, jak to coś przegląda jego rozkazy, marszrutę... oraz wiadomości na temat Derry, które właściwie równały się zeru. Parę razy był w Bangor, ale nigdy w życiu nie zahaczył o Derry.

Trąba powietrzna znikła, na sekundę ogarnęła go niewysłowiona ulga — *nie mam tego, czego szuka, zaraz mnie wypuści* — lecz zaraz potem zrozumiał, że to, co go pojmało, nie ma najmniejszego zamiaru go wypuścić. Po pierwsze dlatego, że potrzebowało samochodu. Po drugie dlatego, że musiało go uciszyć.

Janas podjął beznadziejną, ale zażartą walkę. Jego niespodziewany opór pozwolił Jonesy'emu przewieźć do biura pełen wózek pudeł z zawartością dotyczącą Derry. Po chwili zaś Szary ponownie zapanował nad funkcjami motorycznymi Janasa.

Prawa ręka kierowcy podniosła się do osłony przeciwsłonecznej, zacisnęła się na długopisie i szarpnęła, zrywając gumkę. Nie! — krzyknął Janas, ale było za późno. Ruch ręki był tak szybki, że nawet go nie zauważył, długopis wbił się w oko jak sztylet, rozległo się wilgotne pyknięcie, Janas zaś szarpnął się za kierownicą jak poruszana przez niedoświadczonego lalkarza marionetka. Długopis zagłębiał się coraz bardziej, do połowy, do dwóch trzecich, przebita gałka oczna spływała po policzku niczym dziwaczna łza. Ostry czubek natrafił jakby na cienką chrząstkę, przebił ją, wniknął w miękisz mózgu.

Ty draniu, przeniknęła mu ostatnia myśl. Ty draniu, kim jest...

W jego głowie rozblęskło oślepiające światło, a potem zapadła ciemność. Osunął się bezwładnie na kierownicę. Wśród śnieżycy rozległo się przeraźliwe trąbienie.

5

Szary niewiele dowiedział się od Janasa, ale jedna informacja była bardzo cenna: Janas nie był sam, w pewnej odległości za nim podążała reszta konwoju, od którego się odłączył, ciężarówki zmierzały do miejsca, które Janas nazywał jednocześnie Błękitną Bazą i sklepem Gosselina. Był tam człowiek, którego Janas się bał, dowódca, lecz Szarego nic nie obchodził jakiś Pierdolnięty Kurtz/szef/Szalony Abe. Nie musiał go obchodzić, ponieważ nie miał najmniejszego zamiaru pojawiać się w pobliżu sklepu Gosselina. Tu było zupełnie inaczej, a te istoty, choć tylko częściowo rozumne i składające się głównie z emocji i uczuć, też były inne. Walczyły. Szary nie miał pojęcia dlaczego, ale tak właśnie było.

Najlepiej szybko z nimi kończyć. Nie powinien mieć z tym większego problemu.

Posługując się rękami Jonesy'ego, Szary wywłókł Janasa zza kierownicy, zaniósł na skraj autostrady i zrzucił z nasypu. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby popatrzeć, jak zwłoki zsuwają się po zboczu do koryta zamarzniętego strumienia. Po powrocie do samochodu zerknął na dwa zawinięte w folię pakunki w skrzyni ładunkowej i skinął głową. Martwe zwierzęta na nic mu się nie przydadzą, ale zawartość drugiego pakunku mogła się okazać bardzo cenna. Dosłownie roilo się tam od tego, czego potrzebował.

Raptownie podniósł głowę, oczy Jonesy'ego otworzyły się szeroko mimo kąśliwego wiatru niosącego tumany śniegu. Właściciel ciała opuścił kryjówkę. Był teraz zupełnie bezbronny. To dobrze, ponieważ natrętna obecność tej mamroczącej coś bez przerwy, a niekiedy przeraźliwie skrzeczącej świadomości zaczęła go już trochę irytować.

Zaczekał jeszcze trochę, starając się o niczym nie myśleć, żeby Jonesy nie nabrał podejrzeń... a potem skoczył znienacka.

Nie wiedział, czego oczekiwać, ale na pewno nie tego.

Nie jaskrawego białego światła.

6

Niewiele brakowało, żeby Jonesy wpadł. Na pewno by wpadł, gdyby nie jarzeniówki, którymi oświetlił swój magazyn wspomnień. Nawet jeżeli to miejsce nie istniało, to dla niego było wystarczająco realne, żeby stało się realne również dla Szarego.

Jonesy, pchający właśnie wózek wyładowany kolejną porcją pudeł z napisem DERRY, zobaczył nagle, jak u wylotu alejki nie wiadomo skąd ani w jaki sposób zmaterializował się Szary w postaci humanoida z Dziury w Murze i ze szpitalnego łóżka. Różnica polegała jedynie na tym, że w wyłupiastych czarnych oczach lśniło życie, a także głód. Szary przyłapał go poza biurowym pokoikiem, do którego z jakiegoś powodu nie mógł się dostać, i zamierzał się z nim rozprawić.

Jednak jego szara głowa niemal natychmiast szarpnęła się do tyłu i zanim trójpalczysta ręka zasłoniła oczy pozbawione powiek czy choćby rzęs, Jonesy dostrzegł na trójkątnej twarzy grymas, który musiał świadczyć co najmniej o zdziwieniu, a być może nawet o bólu. Szary przed chwilą wrócił z wypełnionej sypiącym gęsto śniegiem ciemności. Nie spodziewał się zimnego, jaskrawego blasku niezliczonych jarzeniówek. Jonesy najpierw zdziwił się, dlaczego ten grymas wydaje mu się dziwnie znajomy, a potem zrozumiał: Szary pożyczyl go od swego gospodarza. Jonesy miał przed sobą skurczoną i poszarzałą karykaturę samego siebie.

Korzystając z bezcennych ułamków sekund, popędził co sił w nogach w kierunku drzwi biura. Prawie nie zdawał sobie sprawy z tego, że pcha przed sobą obciążony wózek. Wyczuł raczej, niż zobaczył, jak Szary wyciąga ku niemu trójpalczaste ręce (szara skóra wyglądała jak bardzo stare niedogotowane mięso), wpadł do pokoju, dosłownie w ostatniej chwili zatrzaskał drzwi, odwracając się gwałtownie, zahaczył zrekonstruowanym biodrem o wózek (choć wszystko działo się wyłącznie w jego głowie, to jednak było zaskakująco realistyczne) i zasunął zasuwkę. Zaraz potem, na wszelki wypadek, zablokował zatrzask pokrętleń pośrodku gałki. Czy zatrzask był już przedtem, czy wymyślił go sobie w ostatniej chwili? Nie pamiętał.

Cofnął się, spocony jak mysz, i tym razem dla odmiany nadział się tyłkiem na uchwyty wózka. Gałka obracała się gwałtownie w lewo i prawo, w lewo i prawo. Tam, za drzwiami, stał Szary. Władał jego ciałem i pozostałą częścią umysłu, ale jednak nie mógł tu wejść. Nie mógł wyłamać drzwi, nie mógł otworzyć zamka.

Dlaczego? Jak to możliwe?

— Duddits... — wyszeptał Jonesy. — Tu się nie gra, tu się nie hałasuje.

Gałka zagrzechotała jeszcze mocniej.

— Wpuść mnie! — wychrypiał Szary. Zdaniem Jonesy'ego, to wcale nie był głos potężnego wysłannika z innej galaktyki, lecz po prostu kogoś, komu odmówiono czegoś, na czym cholernie mu zależało, i kto wścieka się z tego powodu. Czy dlatego, że przykładał zachowanie Szarego do znanych sobie szablonów? Uczłowieczał go? Tłumaczył? — Wpuść mnie natychmiast!

— Nie ma mowy — odparł Jonesy bez zastanowienia. *A on na to: „Bo tupnę... bo chuchnę... i domek want zdmuchnę!”*

Ale Szary tylko szarpnął gałką jeszcze mocniej niż do tej pory. Nie przywykł do tego, żeby ktoś przeciwstawiał mu się w ten sposób (ani w żaden inny), więc był bardzo, ale to bardzo wkurzony. Chwilowy opór Janasa zaskoczył go, teraz jednak gra toczyła się na całkiem innym poziomie.

— Gdzie jesteś? — zawołał gniewnym tonem. — Jak tam się dostałeś? Wychodź!

Jonesy nie odpowiedział. Stał bez słowa wśród porzucanych pudeł i nasłuchiwał. Był niemal pewien, że Szary, choćby nie wiadomo jak się starał, nie zdoła się tu wedrzeć, mimo to wolał go nie prowokować.

Po kilku kolejnych szarpnięciach Szary odszedł, Jonesy zaś potruczał do okna i zapatrzył się w śnieżną noc.

Szary usadowił ciało Jonesy'ego za kierownicą półciężarówki i wcisnął pedał gazu. Samochód ruszył gwałtownie, wszystkie cztery koła zabuksowały w śniegu, straciły przyczepność, pikap zsunął się po minimalnej pochyłości i z donośnym łoskotem uderzył bokiem w energochłonną barierę.

— Kurwa mać! — wrzasnął Szary, zupełnie nieświadomie sięgając po zgromadzone w głowie Jonesy'ego wulgaryzmy. — Święty Jezu na bananie! Całuj mnie w złamasa! Ale pierdolnik! Pieprzony gruchot!

Sięgnął po umiejętności Jonesy'ego. Jonesy owszem, miał jakie takie pojęcie o zasadach prowadzenia samochodu w takich warunkach atmosferycznych, rzecz jasna nie mógł jednak równać się pod tym względem z Janasem. Niestety, Janas umarł, a wraz z nim przepadły wszystkie zapisy w jego banku pamięci. Pozostały tylko skromne umiejętności Jonesy'ego. Najważniejsze było to, żeby wydostać się poza coś, co Janas nazywał Strefą. Poza Strefą nic już nie będzie mu groziło.

Stopa Jonesy'ego znowu nacisnęła pedał gazu, tym razem znacznie delikatniej. Chevrolet posłusznie ruszył z miejsca, a ręce Jonesy'ego skierowały go z powrotem na niknącą powoli pod warstwą świeżego śniegu ścieżkę przetartą przez pługi.

— Krótki Jeden, tu Krótki Cztery — odezwał się głos z radiostacji zamontowanej pod tablicą rozdzielczą. — Jeden wóz zjechał z drogi, musiałem zawrócić, żeby go wyciągnąć. Odebrałeś?

Szary sięgnął do archiwum. Wiedza Jonesy'ego dotycząca wojska w ogóle, a wojskowej łączności radiowej w szczególności, nie była imponująca, pochodziła głównie z książek oraz czegoś zwanego filmami, powinna jednak wystarczyć. Wziął do ręki mikrofon, poszukał przycisku, który zdaniem Jonesy'ego powinien znajdować się z boku, znalazł go, wcisnął i powiedział:

— Odebrałem.

Czy Krótki Cztery zorientuje się, że Krótki Jeden to już nie Andy Janas? Szary raczej w to wątpił, oczywiście cały czas opierał się na archiwum Jonesy'ego.

— Spróbujemy jakoś go stamtąd wywlec, bo skurczybyk wiezie żarcie, rozumiesz?

Szary ponownie wcisnął przycisk.

— Skurczybyk wiezie żarcie, rozumiem.

Nastąpiła długa cisza, podczas której zaczął się już zastanawiać, czy aby na pewno powiedział to, co trzeba. A może wpadł w jakąś pułapkę? Jednak głos z radiostacji przemówił ponownie:

— Wygląda na to, że będziemy musieli poczekać na pługi, ale ty możesz jechać dalej, nic tu po tobie. Odbiór.

Krótki Cztery nie sprawiał wrażenia zachwyconego. Zawartość archiwum Jonesy'ego sugerowała, iż miało to związek z faktem, że dzięki swoim umiejętnościom Janas wysforował się zbyt daleko do przodu, żeby teraz pomóc. Była to doskonała wiadomość. Oczywiście Szary i tak pojechałby dalej, dużo lepiej jednak było mieć oficjalne pozwolenie Krótkiego Cztery — jeśli tak właśnie należało zinterpretować jego słowa.

Na wszelki wypadek zajrzał jeszcze raz do archiwum gospodarza (wyobrażał je sobie teraz tak samo jak on: jako ogromny skład kartonowych pudeł), po czym odparł:

— Zrozumiałem, Krótki Cztery. Bez odbioru. — A potem, na dokładkę: — Miłego wieczoru.

Biała substancja była odrażająca. Zdradliwa. Mimo to Szary zaryzykował nieco szybszą jazdę. Dopóki znajdował się na terenie kontrolowanym przez ludzi Pierdolniętego Kurtza, nie

mógł czuć się bezpiecznie. Jak tylko wydostanie się z sieci, szybko zdoła uporać się z zadaniem.

To, czego zamierzał dokonać, miało ścisły związek z miejscem zwanym Derry. Kiedy ponownie zajrzał do magazynu, zrozumiał ze zdumieniem jedno: jego gospodarz albo o tym wiedział, albo to wyczuł, ponieważ w chwili gdy Szary wrócił, Jonesy przewoził właśnie pudła z materiałami dotyczącymi Derry.

Zaniepokojony, pośpiesznie przeszukał pozostałe pudła, i się odprężył. To, czego potrzebował, wciąż było na miejscu.

Tuż obok pudła zawierającego najistotniejsze informacje leżało przewrócone inne, mniejsze i bardzo zakurzone pudełko. Czarnym ołówkiem napisano na nim słowo DUDDITS. Jeżeli istniały inne pudełka z takim samym napisem, to je usunięto. To jedno najprawdopodobniej zostało przeoczone.

Szary otworzył je bardziej z ciekawości niż z autentycznej potrzeby. (Ciekawość również zaczerpnął z należącego do Jonesy'ego bogatego zbioru uczuć i emocji). Wewnątrz leżał niewielki jaskrawożółty pojemnik z tworzywa sztucznego, pokryty rysunkami przedstawiającymi dziwaczne postaci (archiwum Jonesy'ego dostarczyło dwóch określeń: „kreskówka” oraz „Scooby-Doo”). Na spodzie znajdowała się naklejka z napisem: NALEŻĘ DO DOUGLASA CAVELLA, KTÓRY MIESZKA PRZY MAPLE LANE 19, DERRY, MAINE. GDYBY MÓJ WŁAŚCICIEL POTRZEBOWAŁ POMOCY, PROSZĘ ZADZWONIĆ POD NUMER

Dalej następowały nieczytelne liczby — przypuszczalnie jakiś kod komunikacyjny, który Jonesy już zapomniał. Szary odsunął pojemnik na bok. Przypuszczalnie był zupełnie nieistotny... chociaż z drugiej strony, dlaczego Jonesy zdecydował się na tak wielkie ryzyko, żeby ukryć pudła z napisem DUDDITS i do tego kilka z napisem DERRY?

DUDDITS = PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA. Szary dowiedział się tego już podczas pierwszego spotkania z Jonesym w „szpitalu”. Gdyby wtedy wiedział, czy choćby podejrzewał, jak upierdliwy stanie się jego gospodarz, od razu wykasowałby mu całą świadomość. Ani „dzieciństwo”, ani „przyjaciel” nie wywoływały u Szarego żadnych emocjonalnych skojarzeń, rozumiał jednak ich znaczenie. Nie rozumiał natomiast, jaki związek mógł mieć przyjaciel z dzieciństwa Jonesy'ego z tym, co działo się tutaj i teraz.

A może jego gospodarz oszalał? Wydziedziczony z własnego ciała uciekł w objęcia obłądu, potem zaś po prostu zgarnął pudła stojące najbliżej jego „twierdzy”, przypisując im znaczenie, którego nigdy nie miały?

— Jonesy — powiedział Szary, uruchamiając struny głosowe Jonesy'ego.

Te stworzenia były geniuszami w dziedzinie mechaniki (musiały nimi być, żeby przeżyć w takim klimacie), zachodzące w ich głowach procesy myślowe przebiegały natomiast dziwnymi, krętymi ścieżkami, karmione w znacznie większym stopniu emocjami niż intelektem. Stworzenia były całkowicie pozbawione zdolności telepatycznych; to, czego teraz doświadczały za sprawą byrusa i kim (czyli „latarek”), napełniało je zdumieniem i przerażeniem. Szary nie mógł uwierzyć, że jeszcze nie wymordowały się nawzajem. Przecież istoty nie potrafiące naprawdę myśleć, po prostu musiały być szalone, to nie ulegało wątpliwości.

Tymczasem stworzenie zamknięte w tym zagadkowym, odizolowanym pokoju wciąż milczało jak zakłète.

— Jonesy!

Cisza. Ale Jonesy słuchał, Szary był tego pewien.

— Nie ma potrzeby tak cierpieć. Spróbuj spojrzeć na nas inaczej. Nie jak na najeźdźców, tylko jak na wybawców. Jak na przyjaciół. Bo nimi właśnie jesteśmy.

Szarego zdumiała liczba kartonowych pudeł. Jak na tylko częściowo myślącą istotę, Jonesy miał zaskakująco pojemną pamięć. Pytanie na później: po co stworzeniom o tak

niskim poziomie intelektualnym tak gigantyczne zasoby pamięci? Czyżby miało to jakiś związek z ich nadmiernie rozbudowanym życiem uczuciowym? A uczucia te były bardzo niepokojące. Te Jonesy'ego też. Całe mnóstwo niepokojących, czekających w gotowości uczuć.

— Wojna... głód... czystki etniczne... zabijanie w imię pokoju... mordowanie pogan w imieniu Jezusa... lincze na homoseksualistach... zabójcze mikroby w rakietach wycelowanych we wszystkie większe miasta na Ziemi... Daj spokój, Jonesy! Czym Jest byrus w porównaniu z wąglikiem czwartej generacji? Święty Jezu na bananie, przecież za pięćdziesiąt lat i tak już cię nie będzie! To jest dobre! Odpręż się i korzystaj!

— Zmusiłeś tego chłopaka, żeby wbił sobie długopis w oko.

Mrukliwe, ale lepsze niż nic. Wiatr ciągle wiał, co jakiś czas któreś z kół traciło na chwilę przyczepność, Szary prowadził wóz, korzystając z umiejętności Jonesy'ego. Widoczność spadła niemal do zera. Zmniejszył prędkość do trzydziestu kilometrów na godzinę, chociaż na dobrą sprawę powinien w ogóle zatrzymać samochód. Być może zrobi to, dopiero jednak wtedy, kiedy opuści obszar kontrolowany przez Kurtza. Tymczasem pogawędzi ze swoim gospodarzem. Co prawda wątpił, by udało mu się wywabić Jonesy'ego z pokoju, ale rozmowa przynajmniej umili im czas.

— Musiałem, przyjacielu. Potrzebowałem tego samochodu. Tylko ja już zostałem.

— A ty nigdy nie przegrywasz.

— Zgadza się — potwierdził Szary.

— Tyle że nigdy jeszcze nie znalazłeś się w podobnej sytuacji, prawda? Nigdy nie spotkałeś kogoś, komu nie mogłeś dobrać się do skóry.

Czyżby Jonesy naigrawał się z niego? Szary poczuł ukłucie gniewu, a potem Jonesy powiedział coś, co Szaremu już wcześniej przyszło do głowy.

— Chyba powinienes zabić mnie wtedy w szpitalu. A może to był tylko sen?

Szary nie śpieszył się z odpowiedzią, między innymi dlatego, że nie był do końca pewien, co to jest sen. Coraz bardziej irytował go ten buntownik zabarykadowany w umyśle, który już od dawna powinien znajdować się w jego wyłącznym władaniu — chociażby dlatego że nie lubił myśleć o sobie jako o Szarym. Kłóciło się to zarówno z jego osobistą koncepcją postrzegania własnego bytu, jak i z koncepcją całej naprawdę myślącej rasy, do której należał. Już sam pomysł przypisania go do określonego rodzaju napawał go szczerą niechęcią. Na razie jednak był niewolnikiem tych schematów i miał nim pozostać dopóty, dopóki nie wchłonie resztek stawiającego zaciekły opór umysłu Jonesy'ego. Nagle zaświtała mu niepokojąca myśl, że kto wie, czy to nie jego koncepcje okażą się bezsensowne...

Czuł się naprawdę fatalnie w tej sytuacji.

— Kto to jest Duddits?

Brak odpowiedzi.

— Kto to jest Richie? Dlaczego był głównym? Dlaczego go zabiliście?

— Nie zabiliśmy!

Lekkie drżenie w głosie. No proszę, pocisk w celu!

— Zabiliście albo przynajmniej tak wam się wydaje.

— To kłamstwo!

— Zastanów się, co mówisz. Przecież mam przed sobą twoje wspomnienia. Właśnie otworzyłem jedno z pudeł... Jest w nim śnieg. Śnieg i brązowy mokasyn. Chodź, popatrz.

Przez sekundę miał dziką, niczym nieuzasadnioną nadzieję, że Jonesy go posłucha. Gdyby tak się stało, natychmiast przeniósłby go z powrotem do szpitala, gdzie obejrzałby w telewizorze własną śmierć. Szczęśliwe zakończenie filmu, który wspólnie oglądali. A potem nie byłoby już żadnego Szarego, tylko to, co Jonesy nazwał obłokiem.

Wpatrywał się z napięciem w gałkę, czekając, aż się obróci. Nie obróciła się.

— Wychodź.

Nic.

— Zabiłeś Richiego, tchórze! Razem z przyjaciółmi. Wy po prostu... wyśniliście mu śmierć!

I chociaż Szary wciąż nie wiedział, czym są sny, to jednak był pewien, że ma rację. Albo przynajmniej, że Jonesy w to wierzy.

Wciąż nic.

— Wychodź! Wyjdź i... — W pośpiechu przetrząsał wspomnienia Jonesy'ego. Większość tkwiła w pudłach z napisem FILMY, Jonesy najwyraźniej kochał filmy ponad wszystko, więc Szary zaczerpnął fragment kwestii z jednego z nich: — ...i walcz jak mężczyzna!

Nadal nic.

Ty draniu, pomyślał Szary, po raz kolejny zanurzając się w kuszącym oceanie emocji gospodarza. Ty sukinsynu. Ty uparty dupku. Całuj mnie w złamasa, palancie.

W czasach, kiedy Jonesy był jeszcze Jonesym, często dawał wyraz złości, wałąc w coś pięścią. Szary uczynił to teraz, grzmotnął w środek kierownicy, tak że odezwał się klakson.

— Opowiedz mi! Nie o Richiem, nie o Dudditsie, tylko o sobie! O tym, co czyni cię innym! Chcę wiedzieć, co to takiego.

Bez odpowiedzi, ale Szary wyraźnie usłyszał, jak Jonesy przestępuje z nogi na nogę, szura stopami, wzdycha. Szary uśmiechnął się jego ustami.

— Porozmawiaj ze mną. W ten sposób czas nam szybciej zleci. Kim był Richie poza tym, że miał numer 19? Dlaczego wściekliście się na niego? Bo był Tigersem? Tigersem z Derry?

Kim jest Duddits?

Cisza.

Samochód pełził jeszcze wolniej, reflektory nie radziły sobie z szalejącą śnieżycą. Cichy głos Szarego ociekał słodyczą.

— Zgubiłeś jedno pudełko z Dudditsem, wiesz o tym? W środku jest inne pudełko, żółte, a na nim jakiś Scooby-Doo i inne postaci. Kim one są? To nie są prawdziwi ludzie, zgadza się? Czy to film? Telewizja? Chcesz to pudełko? Wyjdź, Jonesy, to je dostaniesz.

Szary zupełnie zdjął stopę z pedału gazu, skierował samochód trochę w lewo, w głęboki śnieg, i pozwolił mu się zatrzymać. Działo się coś ważnego, chciał się na tym całkowicie skoncentrować. Nie zdołał siłą zmusić Jonesy'ego do opuszczenia jego fortecy, ale przecież wojny wygrywa się różnymi sposobami.

Pikap stał obok barierki w szalejącej śnieżycy. Szary zamknął oczy i natychmiast przeniósł się do rześkiego oświetlonego magazynu. Za jego plecami ciągnęły się kilometrami stopy kartonowych pudeł, przed sobą miał nędzne, byle jakie i z jakiegoś powodu bardzo mocne drzwi. Szary oparł na nich trójpalczystą rękę i mówił łagodnym, choć zarazem nagłym tonem:

— Kim jest Duddits? Dlaczego zadzwoniłeś do niego po tym, jak zabiliście Richiego? Wpuść mnie, musimy pogadać. Dlaczego schowałeś część pudeł z materiałami o Derry? Co chciałeś przede mną ukryć? Teraz to bez znaczenia, mam wszystko, czego chciałem, więc możesz mnie wpuścić. Lepiej teraz niż później.

To musiało się udać. Wyobraził sobie puste spojrzenie Jonesy'ego, jego rękę sunącą powoli w kierunku zasuwki i gałki.

— My zawsze zwyciężamy — ciągnął. Siedział za kierownicą z zamkniętymi oczami Jonesy'ego, a gdzieś daleko, w innym wszechświecie, wiatr wył i kołysał samochodem. — Otwórz drzwi, Jonesy. Otwórz je zaraz.

Milczenie. A potem, z odległości zaledwie kilku centymetrów, znienacka jak wiadro lodowatej wody na rozgrzane ciało:

— Wypchaj się gównem.

Szary poderwał się tak raptownie, że tył głowy Jonesy'ego uderzył w tylną szybę pikapu. Silny, niespodziewany ból stanowił kolejną przykrą niespodziankę.

Ponownie rąbnął pięścią, potem drugą, potem poprawił pierwszą, i tak na zmianę, walił na oślep w kierownicę, oznajmiając światu trąbieniem nienawistnym Morse'em swoją wściekłość. Chociaż prawie pozbawiony uczuć, należący do pozbawionego uczuć gatunku, skapał się cały we wzburzonych emocjach swojego gospodarza, ba, dał się nawet porwać ich wartkiemu prądowi. Najgorsza w tym wszystkim była świadomość, iż stało się tak wyłącznie z powodu uporczywej obecności Jonesy'ego, tkwiącego niczym niespokojny wrzód w samym środku czegoś, co bez niego byłoby refleksyjną osobowością, skoncentrowaną na rzeczywiście ważnych celach.

Szary walił w kierownicę, nienawidził swego emocjonalnego wytrysku — umysł Jonesy'ego określił to mianem *tantrum* — ale równocześnie był nim zachwycony. Zachwycał go gniewny dźwięk klaksonu, zachwycało go pulsowanie krwi w skroniach Jonesy'ego, zachwycał go łomot serca i schrypnięty głos wykrzykujący co chwila: „Ty kutasie! Ty cholerny kutasie!”.

Jednak nawet przez mgłę szaleństwa dostrzegł bez większego trudu, na czym polega prawdziwe zagrożenie. Do tej pory zawsze bez najmniejszych problemów zmieniali kolejne planety na swoje podobieństwo. Tak było i tak miało być aż do końca świata.

Ale teraz...

Coś się ze mną dzieje, pomyślał Szary, zdając sobie równocześnie sprawę, że w gruncie rzeczy jest to myśl Jonesy'ego. Staje się człowiekiem.

Najbardziej przerażające było to, że wcale go to tak bardzo nie przerażało.

8

Jonesy otrząsnął się z drzemki, w której jedynym dźwiękiem był jednostajny, kojący głos Szarego, i zobaczył, że jego ręce spoczywają na drzwiach, gotowe w każdej chwili odsunąć zasuwkę i zwolnić zatrzask w gałce. Niewiele brakowało, żeby ten sukinsyn najzwyczajniej w świecie go zahipnotyzował.

— My zawsze zwyciężamy — ciągnął głos po drugiej stronie drzwi. Był spokojny, co bardzo się chwaliło po takim stresującym dniu, ale i złowrogo pożądlivy. Głos uzurpatora, który nie spocznie, dopóki nie osiągnie celu. — Otwórz drzwi, Jonesy... Otwórz je...

Niewiele brakowało, żeby to uczynił. Był już całkiem przytomny, a jednak by to uczynił. Powstrzymało go wspomnienie dwóch dźwięków: ponurego trzasku, z jakim pękła czaszka Pete'a w chwili, kiedy ścisnął ją byrus, oraz znacznie cichszego, wilgotnego pyknięcia, kiedy czubek długopisu zagłębił się w gałkę oczną Janasa.

Jonesy uświadomił sobie, że jeszcze przed chwilą wcale nie był przytomny. Oprzytomniał dopiero teraz.

Całkowicie.

Opuścił ręce, zbliżył usta do drzwi i powiedział głośno i wyraźnie:

— Wypchaj się gównem.

Wyczuł gwałtowne szarpnięcie Szarego, poczuł nawet ból od uderzenia w tylną szybę. Co w tym dziwnego? Przecież to były jego włókna nerwowe, jego głowa. Gniewne zdumienie Szarego sprawiło mu ogromną satysfakcję, a chwilę później uświadomił sobie to, co tamten już wiedział: Obcy w jego głowie stawał się coraz bardziej człowiekiem.

Czy gdybyś miał swoje ciało, w dalszym ciągu byłbyś Szarym? — zastanawiał się Jonesy. Mocno w to wątpił. Może Różowym, ale nie Szarym.

Nie wiedział, czy jego nieproszony gość spróbuje jeszcze kiedyś sztuczki z hipnozą, wołał jednak nie ryzykować. Odwrócił się i podszedł do okna, potykając się po drodze o jedno pudło i omijając pozostałe. Boże, ale bolało go biodro! Taki ból nie miał najmniejszego sensu w chwili, kiedy tkwiło się we własnej głowie (która, jak zapewniał go kiedyś Henry, była całkowicie pozbawiona nerwów czuciowych; to znaczy, może nie głowa, ale z

pewnością wypełniająca ją szara, wilgotna substancja), niemniej Jonesy go czuł, i to jak. Czytał kiedyś o potwornych cierpieniach stających się udziałem pacjentów, którzy przeszli amputację i skarżyli się na ból w odjętych kończynach. Przypuszczalnie z nim było tak samo.

Z okna znowu roztaczał się widok na zarośnięty zwirowy podjazd, który biegł w roku 1978 wzdłuż tylnej ściany siedziby firmy braci Tracker. Niebo zasnuwały niskie, białe chmury; najwyraźniej tam, za oknem, czas zatrzymał się we wczesne popołudnie. Jedyna zaleta tego widoku polegała na tym, że dopóki Jonesy go podziwiał, był tak daleko od Szarego, jak to tylko możliwe.

Przypuszczał, że gdyby naprawdę chciał, chyba mógłby go zmienić — mógłby na przykład widzieć to, co w tej chwili Szary widział jego oczami — ale nie miał na to najmniejszej ochoty. Na co mu widok szalejącej śnieżycy? Na co mu skradziona wściekłość Szarego?

Pomyśl o czymś innym, nakazał sobie w duchu.

Ale o czym?

O czymkolwiek. Na przykład...

Zadzwonił telefon na biurku. Trochę to przypominało „Alicję w krainie czarów”, ponieważ jeszcze kilka minut temu w pokoju nie było ani telefonu, ani biurka. Znikły porzucane zużyte kondomy, podłoga wciąż była brudna, ale nie pokrywała jej gruba warstwa kurzu. Najwyraźniej w jego głowie przebywał jakiś porządniś, który doszedł do wniosku, że skoro Jonesy będzie tu przez jakiś czas mieszkał, to w pokoju powinien panować przynajmniej względny porządek.

Trochę go to rozbawiło, trochę przygnębiło.

Telefon zadzwonił ponownie, Jonesy podniósł więc słuchawkę.

— Halo?

W słuchawce rozległ się głos Beavera. Jonesy’emu zjeżyły się włosy na głowie, po grzbiecie przebiegły mu elektryczne mrówki. Telefon od nieboszczyka. Czyż nie takie właśnie filmy uwielbiał? Przynajmniej jeszcze jakiś czas temu.

— Ucięło mu głowę, Jonesy. Leżała w rowie, a w oczach miał pełno błota.

Kliknięcie, potem martwa cisza. Jonesy odłożył słuchawkę i wrócił do okna. Podjazd zniknął, zniknęło całe Derry. Miał przed sobą Dziurę w Murze pod bladym porannym niebem. Dach był czarny, nie zielony, co oznaczało, że cofnął się przed rok 1982, kiedy to czterech osiłków ze szkoły średniej (no, może z wyjątkiem Henry’ego, którego nigdy nie dałoby się nazwać osiłkiem) pomagało ojcu Beavera układać nową zieloną dachówkę.

Tyle że Jonesy wcale nie potrzebował takich ułatwień, by umiejscowić ten obraz w czasie, tak samo jak nie potrzebował nikogo, kto by mu powiedział, że i zielona dachówka, i Dziura w Murze już nie istnieją, że Henry spalił chatę do fundamentów. On po prostu to wiedział. Za chwilę otworzą się drzwi i wybiegnie z nich Beaver. Był rok 1978, ten, w którym wszystko się zaczęło, i za chwilę z chaty wybiegnie Beaver w bokserkach i skórzanej motocyklowej kurtce z niezliczonymi suwakami. Był rok 1978, oni byli młodzi, a jednak inni. Zmienili się. Zasada „codziennie to samo gówno” przestała obowiązywać. Tego właśnie dnia zaczęli zdawać sobie sprawę, jak wielka dokonana się przemiana.

Zafascynowany Jonesy patrzył z zapartym tchem.

Otworzyły się drzwi.

Z chaty wybiegł czternastoletni Beaver Clarendon.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

HENRY I OWEN

1

Henry nie spuszczał z oka Underhilla brnącego przez śnieg w oślepiającym blasku reflektorów. Underhill szedł pod wiatr, trzymał więc głowę opuszczoną. Henry otworzył usta, by go zawołać, zanim jednak zdążył to uczynić, poczuł wyraźną, wręcz przygniatającą obecność Jonesy'ego. Zaraz potem spadło na niego wspomnienie, całkowicie przesłaniając i Underhilla, i rzęsiście oświetlony, zaśnieżony świat. Nagle znowu był rok 1978, nie październik, lecz listopad, mnóstwo krwi, krew na trzciniowych pałkach, odłamki szkła w błotnistej wodzie, a potem łomotanie do drzwi.

2

Łomotanie do drzwi i podmuch zimnego powietrza wrywają Henry'ego z okropnego, pogmatwanego snu pełnego krwi, potłuczonego szkła, smrodu benzyny i spalonej gumy.

Podrywa się na posłaniu i widzi, że obok siedzi Pete. Jego naga, bezwłosa pierś pokrywa gęsia skórka. Henry i Pete śpią na podłodze w śpiworach, ponieważ przegrali losowanie. Beaver i Jonesy wylosowali łóżko (później w chacie pojawi się trzecia sypialnia, na razie jednak są tylko dwie, jedną zaś boskim prawem dorosłości zagarnął dla siebie Lamar), lecz teraz jest tam tylko Jonesy. On też siedzi, też jest wystraszony i zdezorientowany.

Scooby-Doo, gdzie jesteś, myśli Henry bez żadnego konkretnego powodu, szukając okularów na parapecie. Wciąż czuje smród benzyny i płonących opon. Mamy coś do zrobienia.

— Miał wypadek — mówi Jonesy schrypniętym głosem i odgarnia kołdrę. Podobnie jak Pete i Henry, położył się spać w skarpetkach i długich kalesonach, ale bez podkoszulka.

— I wpadł do wody — odzywa się Pete z miną świadczącą o tym, że nie ma najmniejszego pojęcia, co mówi. — Zgubił but...

— Brązowy mokasyn — podejmuje Henry. On również nie wie, o co chodzi, i nie chce wiedzieć.

— Beaver!

Jonesy niezgrabnie wyskakuje z łóżka, nadeptuje Pete'owi na rękę.

— Auu! — krzyczy Pete. — Uważaj, co robisz, ty ślepy dziadygo!

— Zamknij się! — Henry potrząsa go za ramiona. — Cicho bądź, bo obudzisz pana Clarendona!

Nie byłoby to trudne, ponieważ drzwi ich sypialni są otwarte na oścież, podobnie zresztą jak frontowe drzwi chaty. Nic dziwnego, że jest im zimno, wieje jak diabli. Teraz, kiedy Henry odzyskuje wzrok (tak przynajmniej o tym myśli), widzi wiszącego w głównym pokoju łowcę snów, który obraca się powoli w lodowatym listopadowym powietrzu wpadającym przez otwarte drzwi.

— Gdzie Duddits? — pyta Jonesy zaspanym, półprzytomnym głosem. — Wyszedł z Beaverem?

— Jest w Derry, głupku.

Henry wstaje, wkłada ciepły podkoszulek. W gruncie rzeczy wcale nie uważa Jonesy'ego za głupka. On też miał przed chwilą silne wrażenie, że Duddits jest z nimi.

To sen, myśli. Duddits nam się przyśnił. Siedział na nasypie i płakał. Było mu przykro. On tego nie chciał. Jeśli ktoś tego chciał, to tylko my.

Wciąż słyhać płacz, dobiega z zewnątrz, przez otwarte frontowe drzwi, ale to nie Duddits, tylko Beaver.

Wymykają się z domu, wciągając po drodze różne fragmenty garderoby, lecz żaden nie zawraca sobie głowy wkładaniem butów. Zbyt długo by to trwało. Na szczęście, sądząc po liczbie pustych puszek po piwie na stole w kuchni, trzeba by czegoś znacznie poważniejszego od otwartych drzwi i szepczących dzieciaków, żeby obudzić Lamara Clarendona.

Henry czuje pod stopami lodowato zimny granitowy próg, zimny tak, jak zimna musi być śmierć, lecz prawie nie zwraca na to uwagi. Niemal od razu dostrzega Beavera. Klęczy przy klonie, na którym jest ambona, zupełnie jakby się modlił. Ma na sobie swoją czarną motocyklową kurtkę z poprzywiązywanyimi pomarańczowymi chusteczkami — pomysł jego ojca, który nie zdołał wytłumaczyć synowi, że w czymś takim nie chodzi się na polowania. Wygląda to dość zabawnie, jednak w wykrzywionej cierpieniem, mokrej od łez twarzy wzniesionej ku nagim gałęziom klonu nie ma nic a nic zabawnego.

Henry biegnie ku niemu, Pete i Jonesy kilka kroków za nim, ich oddechy zawisają w powietrzu niczym małe puszyste obłoczki. Pokryta igłami ziemia pod stopami Henry'ego jest niemal równie twarda i zimna jak granitowy próg.

Pada na kolana obok Beavera, przerażony i zdumiony jego łzami. Beaver nie roni łez jak nieustraszony bohater filmu, któremu wolno okazać chwilę słabości po śmierci wiernego psa lub dziewczyny, Beaver płacze jak bóbr. U nosa wiszą mu dwa ogromne gile. W filmach nigdy nie pokazują takich rzeczy.

— Cholera — mówi Pete.

Henry spogląda na niego niecierpliwie i widzi, że Pete wcale nie patrzy na Beavera, lecz nieco dalej, na parującą kałużę wymiocin. Widać tam wyraźnie żółte ziarenka kukurydzy (zdaniem Lamara Clarendona, właśnie na łonie natury najłatwiej docenić zalety puszkowanej żywności) i włókna pieczonego kurczaka. Żołądek Henry'ego kurczy się nieprzyjemnie, ale szybko się uspokaja. Chwilę potem Jonesy rzuca pawia. Odgłos przypomina przeciągłe wilgotne beknięcie, wymiociny są brązowe.

— Cholera! — Tym razem Pete prawie krzyczy.

Beaver nie zwraca na nic uwagi.

— Henry!

Jego oczy, skryte za podwójnymi soczewkami łez, są wielkie i przerażone, ich spojrzenie zdaje się wwiercać w czoło Henry'ego i badać zawartość jego umysłu.

— Wszystko w porządku, Beaver. Miałeś zły sen.

— No jasne!

Głos Jonesy'ego jest niższy niż zwykle, mocno schrypnięty. Jonesy odchrząkuje — brzmi to jak okropne zgrzytanie, jeszcze gorzej niż wtedy, kiedy rzygał — schyla się i spluwa na ziemię. Ręce opiera na kolanach, a nagi grzbiet pokrywa gęsia skórka.

Beaver nie zwraca na niego najmniejszej uwagi, podobnie jak na Pete'a, który klęka przy nim i obejmuje go ramieniem. Beaver patrzy wyłącznie na Henry'ego.

— Ucięło mu głowę... — szepcze.

Jonesy również osuwa się na kolana i teraz wszyscy klęczą: Henry i Pete po obu stronach Beavera, Jonesy z przodu.

Jonesy podnosi rękę, żeby zetrzeć z podbródka resztki wymiocin, ale Beaver zaciska na niej palce. Czterej chłopcy nagle stają się jakby całością. Ta jedność trwa bardzo krótko, jest jednak równie intensywna jak ich sen. Bo to był sen, ale teraz już nie śpią, są całkiem przytomni i nie mogą ignorować swoich uczuć. Beaver przenosi na Jonesy'ego spojrzenie przerażonych, załzawionych oczu i kurczowo ściska jego rękę.

— Leżała w rowie, w oczach miał pełno błota.

— Tak... — szepcze Jonesy roztrzęsionym głosem. — Jezu, to prawda...

— Pamiętacie? — pyta Pete. — Powiedział, że jeszcze się z nami policzy. Ze wszystkimi razem albo z każdym osobno. Tak właśnie powiedział.

Henry słyszy to wszystko z wielkiej odległości, ponieważ znowu śni, znowu jest na miejscu wypadku, na dnie rowu tuż obok nasypu, gdzie grunt jest błotnisty, ponieważ przez wał przesiąka woda z pobliskiej rzeki. Dobrze zna to miejsce, jest przy szosie numer siedem łączącej Derry z Newport. W rowie płonie przewrócony samochód, czuć smród paliwa i palonej gumy. Duddits płacze. Siedzi na nasypie, przyciska do piersi żółte pudełko ze Scooby-Doo i zalewa się łzami.

Przez boczne okno leżącego na dachu samochodu wystaje ręka. Jest szczupła, ma paznokcie pomalowane jaskrawoczerwonym lakierem. Dwie osoby siła uderzenia wyrzuciła z pojazdu. Jedna z nich leży prawie dziesięć metrów od wraku, twarzą do ziemi, lecz Henry i tak rozpoznaje ją po gęstych, zlepionych krwią jasnych włosach. *To Duncan, ten, który mówił, że i tak nikomu nic nie powiemy, bo będziemy martwi.* Tak się jednak złożyło, że to on leży martwy w rowie.

Coś unosi się na wodzie obok nogi Henry'ego, szturcha go w goleń.

— Nie ruszaj tego! — woła Pete, lecz Henry schyla się i bierze przedmiot do ręki. To brązowy mokasyn. Ledwo zdążył to stwierdzić, kiedy Beaver i Jonesy zgodnie wydają przeraźliwy wrzask. Stoją obok siebie po kostki w błocie, obaj w myśliwskich strojach: Jonesy w nowiutkiej pomarańczowej puchowej kurtce, kupionej specjalnie na tę okazję u Searsa (pani Jones została w domu z koszmarnym przekonaniem, że mimo wszystkich zabezpieczeń jej syn zginie podczas polowania od jakiejś zabłąkanej kuli), Beaver w sfatygowanej motocyklowej kurtce („Ile masz suwaków!” — powiedziała z podziwem mama Dudditsa, w ten sposób zdobywając dozą miłości i uwielbienie Beavera) z przywiązanymi pomarańczowymi chustkami. Nie patrzą na trzecie ciało, leżące przy drzwiach kierowcy, Henry natomiast przygląda mu się przez chwilę (wciąż trzymając w ręce brązowy mokasyn niczym małe, przyniesione przez wodę czółno), zanim zacznie do niego docierać, że coś jest nie w porządku. Tak bardzo, tak straszliwie nie w porządku, że jeszcze przez sekundę lub dwie nie będzie w stanie uzmysłwić sobie, co to takiego. A potem nagle dostrzega, że nad kołnierzem szkolnej kurtki, w którą ubrane są zwłoki, niczego nie ma. Beaver i Jonesy krzyczą, ponieważ zobaczyli to, co powinno tam być, zobaczyli głowę Richiego Grenadeau leżącą twarzą do góry, gapiącą się w niebo z kępy zbryzganych krwią trzciniowych pałek. Henry od razu wie, że to Richie, mimo że na nosie tamtego nie ma już plastra. Bez najmniejszego trudu rozpoznaje typka, który usiłował nakarmić Dudditsa kawałkiem psiego gówna.

Duddits siedzi na nasypie i płacze, płacze tak strasznie, że jego płacz wciska się do głowy niczym potworny, świdrujący ból. Jeżeli ten płacz potrwa jeszcze trochę, to Henry oszaleje. Rzuca mokasyn w błoto, omija szerokim łukiem płonący samochód i brnie przez błoto do obejmujących się mocno Beavera i Jonesy'ego.

— Beaver! BEAVER! — woła, ale dopiero kiedy chwyta go za ramiona i potrząsa ze wszystkich sił, Beaver jest w stanie oderwać wzrok od odciętej głowy.

— Ucięło mu głowę — mówi bezbarwnym tonem, jakby to nie było oczywiste. — Henry, jemu ucięło...

— Daj spokój głowie, zajmij się Dudditsem! Niech wreszcie przestanie płakać!

— Właśnie. — Pete patrzy jeszcze przez chwilę na gapiącą się w górę głowę Richiego, po czym odwraca wzrok. Drżą mu kąciki ust. — Niech on przestanie, bo zaraz zwariuję.

— Jakby ktoś pisał kredą po tablicy — mamrocze Jonesy.

W porównaniu z intensywnie pomarańczowym kolorem kurtki jego skóra ma barwę starego sera. — Uspokój go, Beaver.

— Ale... Ale...

— Weź się w garść, do cholery! — krzyczy Henry. — Zaśpiewaj mi tę cholerną piosenkę! Tę pieprzoną kołysankę!

Jeszcze przez kilka sekund Beaver ma taką minę, jakby nic nie rozumiał, potem jednak woła „Aha!” i w jego oczach pojawia się błysk. Wspina się na zbocze nasypu, do Dudditsa, który przyciska do piersi jaskrawożółty pojemnik na drugie śniadanie i szlocha tak samo jak tego dnia, kiedy go poznali.

Henry dostrzega coś, czemu nie ma czasu ani dokładnie się przyjrzeć, ani czego nie może przeanalizować: pod nosem Dudditsa brązowieje zaschnięta krew, lewy bark ma spowity bandażem, spod którego wystaje coś jakby biały plastik.

— Przestań, Duddits. Duddie, kochany, nie płacz. Nie płacz, nie patrz już na to, lepiej na to nie patrzeć, to takie okropne...

Początkowo Duddits nie reaguje, tylko wciąż płacze. Ta krew z nosa to właśnie od płaczu, myśli Henry, ale co wystaje mu spod tego bandaża?

Jonesy zaślania sobie uszy rękami, Pete przyciska rękę do czubka głowy, jakby przytrzymał pokrywkę na garnku z gotującą się wodą. Beaver obejmuje Dudditsa tak samo, jak uczynił kilka tygodni temu i zaczyna mu śpiewać wysokim, czystym głosem, zupełnie nie pasującym do kogoś takiego jak on:

— Srebrną łódką płynie Jasio, hen, po niebie granatowym...

Cud nad cuda, Duddits wyraźnie się uspokaja!

— Gdzie my jesteśmy, Henry? — pyta Pete, poruszając tylko kącikiem ust. — Gdzie my jesteśmy, do cholery?

— We śnie — mówi Henry i nagle wszyscy czterej są znowu pod klonem przy chacie, klęczą w samej bieliźnie i trzęsą się z zimna.

— Co? — Jonesy sięga rękami do ust, wyciera je, kontakt się przerywa, wraca rzeczywistość. — Co mówiłeś, Henry?

Henry wyraźnie czuje, jak rozchodzą się ich umysły i myśli: Żaden z nas nie jest do tego stworzony. Czasem człowiek powinien być sam.

Sam na sam ze swoimi myślami.

— Miałem okropny sen — mówi Beaver. Łatwo można by odnieść wrażenie, że tłumaczy się przed sobą, a nie przed przyjaciółmi. Powoli, jakby wciąż we śnie, rozpina kieszeń, grzebie w niej i wyjmuje okrągłego lizaka, ale zamiast rozpakować go i lizać, wsadza do ust plastikowy patyczek i zaczyna przesuwając tam i z powrotem, przygryzając lekko zębami. — Śniło mi się, że...

— Nieważne — przerywa mu Henry i poprawia okulary na nosie. — Wszyscy wiemy, co ci się śniło.

Nic dziwnego, przecież tam byliśmy, pcha mu się na usta, lecz jakoś dusi to w sobie. Ma dopiero czternaście lat, ale jest już wystarczająco mądry, żeby wiedzieć, że nie da się cofnąć tego, co zostało już powiedziane. „Karta stół” — mówi się podczas gry, kiedy ktoś poniewczasie dojdzie do wniosku, że trochę się pośpieszył i że chciałby zagrać inaczej. Gdyby to powiedział, musieliby zareagować. Jeśli nie powie, wtedy może... może problem sam się jakoś rozwiąże.

— Poza tym to wcale nie był twój sen — mówi Pete. — Ja myślę, że to był sen Dudditsa i że my wszyscy...

— Gównu mnie obchodzi, co myślisz! — przerywa mu Jonesy zaskakująco ostrym tonem. — Tak czy inaczej to był po prostu sen i nie wiem jak wy, ale ja zamierzam jak najprędzej o nim zapomnieć! Wszyscy powinniśmy o nim zapomnieć. Zgadza się, Henry?

Henry kiwa głową.

— W takim razie wracajmy do domu. — W głosie Pete’a brzmi ogromna ulga. — Stopy mi zaraz przy...

— Jeszcze jedno — wpada mu Henry w słowo.

Pozostali wpatrują się w niego niepewnie. W sytuacjach, kiedy potrzebują przywódcy, staje się nim właśnie Henry. Jeśli nie podoba się wam, jak to robię, niech to zrobi ktoś inny, myśli ze znużeniem. To nie jest przyjemna robota, możecie mi wierzyć.

— Co? — pyta Beaver. Ma to znaczyć: „Co znowu?”.

— Jak będziemy u Gosselina, ktoś z nas musi zadzwonić do Dudditsa. Na wypadek gdyby się bał.

Zapada cisza. Wszyscy próbują oswoić się z pomysłem, żeby rozmawiać przez telefon z nowo poznanym, niedorozwiniętym przyjacielem. Henry’emu przebiega przez głowę myśl, że najprawdopodobniej jeszcze nikt nigdy nie dzwonił do Dudditsa. To będzie pierwszy raz.

— Chyba masz rację — mówi wreszcie Pete i natychmiast zasłania usta ręką, jakby wymknęło mu się coś niestosownego.

Beaver, w idiotycznych bokserkach i w jeszcze bardziej idiotycznej kurtce, trzęsie się jak galareta. Zawinięty w papierek lizak drży na końcu plastikowego patyka.

— Kiedyś udławisz się czymś takim — mówi mu Henry.

— Moja mama też to ciągle powtarza. Możemy już wracać? Ząb na ząb mi nie trafia.

Ruszają z powrotem do chaty, gdzie dokładnie za dwadzieścia trzy lata nadejdzie kres ich przyjaźni.

— Myślicie, że Richie Grenadeau naprawdę nie żyje? — pyta Beaver.

— Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. — Jonesy patrzy na Henry’ego. — Dobra, zadzwonimy do Dudditsa. Mam numer, a rachunek wezmę na siebie.

— Wiesz co, Gary? — mówi Pete. — Rodzice cię rozpuszczają. Żeby szczeniak w twoim wieku mógł sam płacić za rozmowy zamiejscowe...

Zwykle Jonesy wścieka się, kiedy ktoś mówi na niego „Gary”, ale nie dzisiaj, dzisiaj ma na głowie inne sprawy.

— Płacę z kieszonkowego, a własny telefon dostałem na urodziny. Poza tym to wszystko przecież nie zdarzyło się naprawdę, rozumiecie?

Zgodnie kiwają głowami. To był tylko sen. Cholerny, pieprzony sen.

3

Niewiele brakowało, żeby nagły podmuch wiatru pchnął Henry’ego na elektryczne ogrodzenie. Ocknął się w ostatniej chwili, strząsnął z siebie wspomnienia jak ciężki płaszcz. Nawiedziły go w najmniej odpowiedniej chwili — chociaż na niektóre wspomnienia nigdy nie ma odpowiedniej chwili. Czekał na Underhilla, czatował na swoją jedyną szansę, żeby wyjść stąd na własnych nogach, a tymczasem Underhill mógłby minąć go na wyciągnięcie ręki, on zaś, śniąc na jawie, nawet by go nie zauważył.

Ale Underhill go nie minął. Stał z rękami w kieszeniach po drugiej stronie płotu i patrzył na Henry’ego. Płatki śniegu przylepiały się do przezroczystej maski, topiły się szybko od ciepła oddechu, a następnie spływały jak...

...jak łzy po twarzy Beavera wtedy, pod klonem, pomyślał Henry.

— Niech pan lepiej wejdzie do stodoły, tak jak reszta — powiedział Underhill. — Zamieni się pan tu w bałwana.

Język przrósł Henry’emu do podniebienia. Jego życie naprawdę zależało od tego, co powie temu człowiekowi, a nie mógł wykrztusić ani słowa. W głowie miał całkowitą pustkę.

I co z tego? — dopytywał się znajomy głos, głos ciemności. — *Po co się wysilać? Czy nie lepiej po prostu pozwolić im uczynić to, co i tak sam chciałeś uczynić?*

Nie, nie lepiej, ponieważ teraz nie chodziło tylko o niego. Mimo to wciąż nie mógł mówić.

Underhill ciągle stał bez ruchu i przyglądał mu się uważnie. Ręce w kieszeniach, zsunięty kaptur, krótko ostrzyżone ciemnoblonde włosy. Śnieg topniejący szybko na przezroczystej masce. Maski nosili wszyscy żołnierze, nie mieli ich natomiast zatrzymani. Nie mieli, bo ich

nie potrzebowali. Na zatrzymanych, podobnie jak na Szarych, czekało ostateczne rozwiązanie.

Henry walczył, usiłował coś wykrztusić, cokolwiek... i nie potrafił. Na jego miejscu powinien być Jonesy, on nigdy nie miał problemów z gadaniem. Jeszcze chwila i Underhill odejdzie, zostawiając go z mnóstwem „a gdyby” i „co by było”.

Jednak Underhill nie odchodził.

— Wcale się nie dziwię, że zna pan moje nazwisko, panie...

Henreid? Nazywa się pan Henreid?

— Devlin. Odbiera pan moje imię. Nazywam się Henry Devlin.

Bardzo ostrożnie, powoli, Henry wyciągnął rękę przez szeroką szczelinę między drutem kolczastym a linką, przez którą biegł prąd. Kiedy minęło pięć sekund, a Underhill nawet nie drgnął, cofnął ją równie ostrożnie na swoją stronę świata. Było mu potwornie głupio, ale powtarzał sobie w duchu, żeby nie zachowywał się jak kretyn, żeby nie traktował tego jak afrontu towarzyskiego na przyjęciu. Gdy tylko to uczynił, Underhill skinął uprzejmie głową, jakby jednak byli na przyjęciu, a nie w sercu burzy śnieżnej oświetlonej blaskiem potężnych reflektorów.

— Poznał pan moje nazwisko, ponieważ pojawienie się Obcych w rejonie Jefferson Tract wywołało skutek uboczny w postaci fali zdolności telepatycznych — powiedział z uśmiechem. — Trochę głupio to brzmi, ale to prawda. Zjawisko jest przejściowe, nieszkodliwe i zbyt słabe, żeby przydało się do czegoś więcej niż zabawy towarzyskiej, a na te nie mamy dzisiaj czasu.

Henry wreszcie odzyskał władzę nad własnym językiem.

— Nie przyszedł pan tutaj w tej śnieżycy dlatego, że wiedziałem, jak się pan nazywa. Przyszedł pan, ponieważ wiedziałem, jak nazywa się pańska żona. I córka.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Underhilla.

— Być może. Tak czy inaczej obaj powinniśmy skryć się przed zamiecią i trochę odpocząć. To był męczący dzień.

Underhill ruszył przed siebie, ale trasa jego marszu wiodła na szczęście wzdłuż ogrodzenia. Henry podążał równoległe do niego, chociaż musiał opłacić to znacznym wysiłkiem. Na ziemi leżała już co najmniej trzydziestocentymetrowa warstwa śniegu, wiatr wciąż przynosił więcej, a po tej, martwej stronie płotu nie było komu go udeptać.

— Panie Underhill... Owen... Zaczekaj chwilę. Posłuchaj mnie, mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Underhill w dalszym ciągu szedł ścieżką po swojej stronie płotu (która też była martwa, czyżby o tym nie wiedział?), z pochyloną głową, wciąż z uprzejmym uśmiechem na twarzy. Najgorsze było to, że Underhill chciał się zatrzymać, lecz jak na razie Henry nie dał mu wystarczającego powodu.

— Kurtz to szaleniec. — Henry wciąż dotrzymywał kroku Underhillowi, ale dyszał już ciężko i czuł, że nogi słabną mu z minuty na minutę. — To największy szaleniec, jakiego można sobie wyobrazić.

Underhill wciąż maszerował z pochyloną głową i idiotycznym półuśmiechem pod przezroczystą maską. Chyba nawet przyśpieszył kroku. Zanosilo się na to, że Henry będzie niebawem musiał biec po swojej stronie płotu — pod warunkiem że wystarczy mu siła.

— Rozstrzelacie nas z pistoletów i karabinów maszynowych... — wysapał. — Ciała trafiają do szopy... polejecie wszystko benzyną... pewnie z dystrybutora przy sklepie, po co marnować rządowe pieniądze... a potem pffff, wystarczy jedna zapałka... ale zrobi się smród, jak na pikniku w piekle...

Underhill szedł jeszcze szybciej, lecz już się nie uśmiechał. Henry nie wiadomo skąd znalazł energię, żeby pokonywać truchtem sięgające kolana zasy. Wiatr siekł mu twarz tysiącami drobnych ostrzy.

— Owen... masz na imię Owen, prawda?... Pamiętasz historyjkę o rybach?... Duża ryba zjada małą... Dużą rybę zjada większa... Tę — jeszcze większa... I tak w nieskończoność... Tutaj tak właśnie będzie... Kurtz ma swoich zaufanych ludzi... Jeden z nich chyba nazywa się Johnson...

Underhill spojrzał na niego z ukosa, a następnie jeszcze bardziej przyśpieszył kroku. Henry wciąż za nim nadażał, lecz nie przypuszczał, żeby zdołał to długo wytrzymać. Miał wrażenie, że ktoś wbił mu w bok rozżarzony pręt.

— To miało być twoje zadanie... druga część akcji... Straż Imperium... mówi ci coś ten kryptonim?

Od razu się zorientował, że nie. Kurtz nigdy nie wspomniał Underhillowi o planowanej operacji, w wyniku której mieli zostać zgładzeni niemal wszyscy Błękitni. Straż Imperium nic nie znaczyła dla człowieka po drugiej stronie ogrodzenia, a Henry oprócz rozpalonego pręta w boku miał już również żelazną obręcz na klatce piersiowej.

— Stój... Na litość boską, Underhill... Czy ty naprawdę... Czy ty nie...

Tamten wciąż maszerował przed siebie. Najwyraźniej Owen Underhill pragnął do końca zachować przynajmniej część złudzeń. Czy można było mieć o to żal?

— Johnson i kilku innych... co najmniej jedna kobieta... ty też mógłbyś być wśród nich, gdybyś nie nawalił... przekroczyłeś linię, jego linię... nie po raz pierwszy zresztą... poprzednio w miejscu, które nazywa Bossa Nova albo jakoś tak...

Kolejne spojrzenie z ukosa, dłuższe i uważniejsze. Postęp? Być może.

— Myślę, że potem przyjdzie pora i na Johnsona... tylko Kurtz wyjdzie stąd żywy... z reszty zostanie jedynie popiół i sterta kości... twoja pieprzona telepatia nic ci tu nie pomoże... nic nie wyczuwasz... nie jesteś nawet w stanie się do tego zbliżyć, bo to... bo to...

Pręt przebił żołądek i płuca, rozżarzony do białości koniec sięgnął mu aż pod pachę, jednocześnie nogi odmówiły mu posłuszeństwa i Henry upadł twarzą w zaspę. Gwałtownie usiłował nabrać powietrza, zamiast tego wciągnął nosem i ustami potężną porcję śniegu. Krztusząc się rozpaczliwie, podniósł się na kolana i zobaczył plecy Owena Underhilla, niknące za zasłoną z niesionych wiatrem śnieżnych płatków. Nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi, wiedząc tylko tyle, że to jego ostatnia szansa, krzyknął ostatkiem sił:

— Próbowaleś nasikać na szczoteczkę pana Rapeloew, a kiedy ci się nie udało, stłukłeś ich półmisek! Stłukłeś go i uciekłeś! Tak samo jak teraz uciekasz, ty pieprzony tchórze!

Daleko z przodu, prawie niewidoczny w szalejącej śnieżycy, Owen Underhill stanął jak wryty.

4

Przez kilka sekund stał bez ruchu, plecami do Henry'ego, który klęczał w śniegu, dysząc jak pies i czując, jak woda z topniejącego śniegu spływa mu po rozpalonej twarzy lodowatymi strumyczkami. Henry zdawał sobie również sprawę, że swędzi go zainfekowana rana, ale w stanie, w jakim się teraz znajdował, jakoś nie potrafił się tym przejmować.

Wreszcie Underhill zawrócił i podszedł do niego.

— Skąd wiesz o tych Rapeloew? Telepatia przecież słabnie. Jakim cudem dotarłeś aż tak głęboko?

— Wiem znacznie więcej. — Henry z najwyższym trudem podniósł się z klęczek. — Ja to mam w sobie. Jestem inny. Moi przyjaciele też byli inni. Było nas czterech. Dwaj nie żyją, ja jestem tutaj, a czwarty... Czwarty to twój największy problem. Nie ja, nie ludzie, których trzymacie w stodole, nie ci, których wciąż przywozicie, nawet nie Kurtz ani jego Straż Imperium, tylko właśnie on.

Walczył ze sobą z całych sił, nie chciał wypowiedzieć imienia, bo Jonesy zawsze był mu najbliższy — to znaczy, Beavera i Pete'a też kochał z całego serca, ale tylko Jonesy potrafił

dotrzymać mu kroku, biec z nim książka w książkę, film w film, pomysł w pomysł, tylko Jonesy posiadał sztukę snucia marzeń poza wszelkimi granicami, tylko on czasem widywał linię. Ale przecież Jonesy'ego już nie ma, prawda? Henry był tego prawie pewien. Co prawda wyczuł jego cząstkę w czarno-czerwonym obłoku, który minął go na skuterze śnieżnym, lecz do tej pory na pewno został już pożarty żywcem. Nawet jeśli jego serce jeszcze biło, to prawdziwy Jonesy był już równie martwy jak Pete i Beaver.

— Pański problem, panie Underhill, nazywa się Jonesy. Gary Jones z Brookline w stanie Massachusetts.

— Kurtz to też problem... — powiedział Underhill zbyt cicho, żeby usłyszeć go w szalejącym wicherze, niemniej Henry i tak go usłyszał. We wnętrzu głowy.

Underhill rozejrzał się dookoła. Henry uczynił to samo i zobaczył kilku ludzi uwijających się między zaparkowanymi w pewnej odległości przyczepami. Na szczęście najbliższy znajdował się jakieś trzydzieści metrów od nich. Jednak cały teren wokół sklepu i stodoły był bezlitośnie oświetlony i nawet przez zawrozcenie wiatru słychać było nieustanny warkot silników, stukot narzędzi, pokrzykiwania ludzi. Ktoś wydawał rozkazy przez megafon. Wszystko to sprawiało wrażenie, jakby śnieżnica uwięziła ich obu w miejscu zamieszkanym przez duchy. Biegający tam i z powrotem ludzie rzeczywiście wyglądali jak duchy, nikt nie wyłaniał się spośród wirujących kłębow śniegu.

— Nie możemy tu rozmawiać — rzekł Underhill. — Słuchaj mnie uważnie, chłopcze, tak żebym nie musiał niczego powtarzać.

Zaraz potem w głowie Henry'ego, wypełnionej taką gmatwaniną napływających w niekontrolowany sposób danych, że nawet nie próbował się w niej rozeznaczyć, wybuchła jasna i wyraźna myśl Underhilla: Chłopcze, On tak mówi. Już nawet zacząłem mówić tak jak on.

— Słucham — powiedział Henry.

5

W najbardziej odległej od stodoły części padoku stała szopa. Chociaż na zewnątrz było jasno jak w samo południe w jakimś diabelskim obozie koncentracyjnym, we wnętrzu szopy panował przyjemny półmrok i pachniało tam starym sianem. I jeszcze czymś, znacznie bardziej kwaśnym.

Przy ścianie siedzieli czterej mężczyźni i kobieta, wszyscy w pomarańczowych myśliwskich kurtkach. Palili skręta. W szopie były tylko dwa okna: jedno wychodziło na padok, drugie na ogrodzenie i las. Brudne szyby zatrzymywały część bezlitosnego blasku. W półmroku twarze pięciorga ludzi miały trupioszarą barwę.

— Chcesz się sztachnąć? — zapytał ten, który akurat palił.

Starał się zatrzymać dym w płucach, mówił więc cichym, zduszonym głosem, ale chętnie podsunął skręta Henry'emu.

Był to chyba najdłuższy skręt, jakiego Henry widział w życiu.

— Dzięki. Chcę natomiast, żebyście się stąd wynieśli.

Spojrzeli na niego tępo. Kobieta była żoną mężczyzny ze skrętem, a ten po lewej jej szwagrem. Pozostali dwaj po prostu się przyłączyli.

— Wracajcie do stodoły — wyraził się jaśniej.

— Nie ma mowy — odparł jeden z mężczyzn. — Za duży tłok. Wolimy mieszkać na uboczu, a ponieważ byliśmy tu pierwsi, panu zaś nie podoba się nasze towarzystwo, proponujemy, żeby to właśnie pan...

— Złapałem to. — Henry wskazał na prowizoryczny opatrunek na swojej nodze. — Byrus. Oni mówią na to Ripley. Niektórzy z was też to mają... Na przykład ty, Charles... — Spojrzał na otyłego, łysiejącego mężczyznę.

— Nieprawda! — wykrzyknął Charles, lecz pozostali już pośpiesznie odsuwali się od niego. Ten ze skrzętem (nazywał się Darren Chiles i pochodził z Newton w Massachusetts), rozpaczliwie starał się zatrzymać w płucach resztkę dymu.

— Owszem, masz. I to całkiem sporo. Ty zresztą też, Mona. Mona? Nie, Marsha.

— Nie mam! — Poderwała się na nogi, oparła plecami o ścianę i wpatrywała się w Henry'ego wielkimi przerażonymi oczami. Oczami łani. Już niedługo wszystkie łanie w tych lasach będą martwe i Marsha też. Henry miał nadzieję, że kobieta nie wyczyta tego w jego myślach. — Jestem zdrowa! Wszyscy jesteśmy zdrowi, z wyjątkiem pana! — Spojrzała na męża, który nie był olbrzymem, ale na pewno przerastał Henry'ego. Wszyscy byli od niego więksi. To znaczy, nie wyżsi, ale potężniejsi. — Wyrzuć go stąd, Dare.

— Są dwie odmiany Ripley — powiedział Henry. Do tej pory tylko tak przypuszczał, im dłużej jednak o tym myślał, tym bardziej prawdopodobne mu się to wydawało. — Nazwijmy je pierwotną i wtórną. Jestem przekonany, że wszyscy, którzy nie mają pierwotnej, to znaczy nie oddychali tym świństwem ani nie zapaskudzili sobie jakiejś rany, mogą przeżyć.

Teraz już wszyscy wpatrywali się w niego wielkimi oczami łani i Henry'ego na chwilę ogarnęła rozpacz. Dlaczego nie popełnił samobójstwa, kiedy była na to właściwa pora?

— Ja mam Ripley pierwotną — ciągnął, zdejmując opatrunek.

Żadne z nich nawet nie spojrzało na ranę, lecz on przyjrzał się jej uważnie. Było w niej gęsto od byrusa. Niektóre włókna miały już pięć albo sześć centymetrów, ich końcówki poruszały się jak wodorosty na rozfalowanym morzu. Czuł wyraźnie, jak byrus sięga korzeniami coraz głębiej, rozpycha się, wierci... i usiłuje myśleć. To właśnie było najgorsze: byrus usiłował myśleć.

Czterej mężczyźni i kobieta powoli przesuwali się w stronę drzwi. Henry przypuszczał, że rzucają się do ucieczki, jak tylko poczują powiew świeżego powietrza, oni jednak się zatrzymali.

— Czy może pan jakoś nam pomóc? — zapytała Marsha drżącym dziecięcym głosem. Darren, jej mąż, objął ją ramieniem.

— Nie wiem — odparł Henry. — Raczej nie... chociaż, być może... Idźcie już. Wyjdę stąd za pół godziny, może wcześniej, ale wydaje mi się, że powinniście być ze wszystkimi w stodole.

— Dlaczego? — spytał Darren Chiles z Newton.

A Henry, któremu po głowie pętał się dopiero cień pomysłu, który nie miał jeszcze niczego, co choćby przypominało jakikolwiek plan, odparł:

— Nie wiem. Po prostu tak myślę.

Wyszli, zostawiając go samego w szopie.

6

Pod oknem wychodzącym na ogrodzenie leżała bela starego siana. Kiedy Henry wszedł do szopy, siedział na beli Darren Chiles (jako właściciel i główny dysponent skrzęta zajął najwygodniejsze miejsce); teraz zasiadł na niej Henry. Położył ręce na kolanach i od razu poczuł, jak ogarnia go nieprawdopodobna senność — i to pomimo rozbrzmiewających w jego głowie głosów oraz coraz bardziej dokuczliwego swędzenia w lewej nodze. Swędzenie pojawiło się także w ustach, w jednej z dziur po straconych zębach.

Usłyszał Underhilla, jeszcze zanim ten odezwał się z drugiej strony okna. Usłyszał nie jego kroki, lecz odgłos zbliżającego się umysłu.

— Ściana osłania mnie od wiatru i daje trochę cienia — powiedział Underhill. — Zatrzymałem się, żeby zapalić. Gdyby ktoś się zjawił, ciebie tam nie ma.

— W porządku.

— Jeśli spróbujesz mnie okłamać, odejdę i już do końca swojego krótkiego życia nie będziesz miał okazji się do mnie odezwać, ani głośno, ani inaczej.

— W porządku.

— Jak pozbyłeś się ludzi, którzy tam byli?

— A bo co? — Jeszcze przed chwilą Henry byłby gotów przysiąc, że jest zbyt zmęczony, by odczuwać złość, ale okazało się, że nie miałby racji. — To miała być jakaś pieprzona próba czy coś w tym rodzaju?

— Nie gadaj głupot.

— Powiedziałem im, że mam pierwotną odmianę Ripley, co zresztą jest prawdą. Uciekli w popłochu. Ty też ją masz, prawda?

— Dlaczego tak myślisz?

W głosie Underhilla nie dało się wyczuć nawet śladu emocji. Henry, będąc psychiatrą, wiedział, jak należy to zinterpretować: niezależnie od wszystkiego Owen Underhill był bardzo opanowanym człowiekiem, to zaś z pewnością stanowiło krok we właściwym kierunku. Oczywiście nie zaszkodziłoby, gdyby zrozumiał, że tak naprawdę nie ma niczego do stracenia, pomyślał.

— Rośnie ci dokoła paznokci i odrobinę w jednym uchu.

— Posłałbyś z torbami właścicieli wszystkich kasyn w Las Vegas.

Henry zobaczył przez szybę, jak Underhill podnosi papierosa do ust. Wiało tak mocno, że mocno wątpił, czy uda mu się dopalić go do końca.

— Pierwotną Ripley łapie się bezpośrednio ze źródła, wtórną wtedy, kiedy dotknie się czegoś, na czym ona już rośnie: drzewa, mchu, zwierzaka albo człowieka. Wasz personel medyczny doskonale o tym wie. Chyba nawet ja dowiedziałem się tego właśnie od nich. Moja głowa jest jak jakaś cholerna antena satelitarna, która odbiera równocześnie kilkaset programów. Nie mam pojęcia, skąd pochodzi większość, ale to bez znaczenia. A teraz powiem ci coś, o czym wasi medycy nie wiedzą: Szarzy nazywają to czerwone świństwo byrusem, co dosłownie znaczy tyle, co „źródło życia”. W pewnych okolicznościach jego pierwotna wersja przekształca się w implanty.

— Czyli w gówniane łasice.

— Gówniane łasice? Nieźle. Podoba mi się. Powstają z byrusa, a potem rozmnażają się, składając jaja. W każdym razie tak właśnie powinno to wyglądać. Tutaj większość jaj obumiera. Nie wiem, czy z powodu niskiej temperatury, składu atmosfery czy czegoś innego. W każdym razie w naszym środowisku wszystko sprowadza się do byrusa. Tylko on może tu funkcjonować.

— Źródło życia...

— Tak, ale posłuchaj: Szarzy mają tu cholerne problemy. Między innymi właśnie dlatego czekali przez pół wieku, zanim zdecydowali się ujawnić. Weźmy na przykład łasice...

— Posłuchaj, Henry: czy to naprawdę ma jakikolwiek związek z naszą obecną...

— To ma ogromny związek z naszą obecną sytuacją. Dlatego, jeśli nie chcesz ponosić znacznej części odpowiedzialności za wyginięcie całego życia na statku kosmicznym Ziemia, zamknij się i słuchaj.

Krótkie milczenie, a potem:

— W porządku, słucham.

— Są jak te organizmy, których obecność w ustroju żywiciela przynosi pozytywne rezultaty. Bakterie hodujemy w naszych jelitach i celowo połykamy w niektórych przetworach mlecznych, na przykład w kefirach i jogurtach. Udostępniamy im wygodny lokal mieszkalny, a bakterie żyjące w przewodzie pokarmowym rewanżują nam się, poprawiając nasze trawienie. W normalnych warunkach — to znaczy, normalnych na jakiejś odległej planecie, której ekologia różni się od ziemskiej tak bardzo, że nawet nie próbuję sobie tego wyobrazić — łasice osiągają wielkość łyżeczki do kawy. Zdaje się, że bytując w organizmach

żeńskich osobników, wpływają w jakiś sposób na ich zdolności rozrodcze, ale nikogo nie zabijają. Po prostu żyją sobie, i już. My dajemy im pokarm, one dają nam telepatię... ale przy okazji zmieniają nas w telewizory. Jesteśmy telewizorami Szarych.

— Dowiedziałeś się tego dzięki temu, że jedna z nich mieszka w tobie? — W głosie Underhilla nie było odrazy, Henry jednak wyczuwał ją aż nadto wyraźnie w jego myślach. — „Normalna” łasica?

— Nie.

Tak mi się przynajmniej wydaje, dodał w duchu.

— W takim razie skąd wiesz to, co wiesz? A może po prostu zmyślasz? Może wygadujesz niestworzone historie, żeby się stąd wydostać?

— To, skąd wiem, nie ma najmniejszego znaczenia. Nie kłamię, i ty doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Przecież możesz czytać w moich myślach.

— Wiem tylko tyle, że wydaje ci się, że nie kłamiesz. Czy te moje nowe pieprzone zdolności będą się nasilać?

— Nie wiem. Być może, w miarę rozrastania się byrusa... Ale mnie i tak nigdy nie dorównasz.

— Bo ty jesteś inny.

Niedowierzenie, zarówno w głosie Underhilla, jak i w jego myślach.

— Dopiero dzisiaj przekonałem się tak naprawdę, jak bardzo. Zresztą mniejsza o to. Na razie chciałbym, żebyś zrozumiał, że Szarzy tkwią po szyję w gównie. Po raz pierwszy w swojej historii muszą naprawdę walczyć; po pierwsze dlatego, że w ludzkich organizmach łasice zamieniają się w zabójcze pasożyty. Żrą bez opamiętania i rosną. Są jak rak. Są gorsze od raka. Po drugie, ze względu na byrus. Na innych planetach radzi sobie doskonale, a na naszej, przynajmniej do tej pory, raczej kiepsko. Uczeni i lekarze, którzy kierują tym rodeo, są zdania, że to z powodu niskiej temperatury, lecz mnie się wydaje, że to nie jest prawda, albo przynajmniej, że to nie jest cała prawda Oczywiście nie wiem na pewno, bo oni też tego nie wiedzą, ale...

— Hola, hola! — Za oknem rozbłysł słaby ogienek. To Underhill zapalił kolejnego papierosa, osłaniając zapalniczkę od wiatru. — Zdaje się, że nie mówisz już o naszych jajogłowych?

— Nie.

— Więc uważasz, że nawiązałeś telepatyczną łączność z Szarymi?

— Przynajmniej z jednym. Przez pośrednika.

— To ten Jonesy, o którym mówiłeś?

— Owen, ja naprawdę nie wiem. Mogę się tylko domyślać. Chodzi o to, że oni przegrywają. Ty, ja, wasi ludzie, przypuszczalnie nie dożyjemy nawet najbliższych świąt. Nie ma co się oszukiwać. Dostaliśmy duże, skoncentrowane dawki. Ale...

— Tak, ja też to mam — przyznał Underhill. — I Edwards. Wyrosło na nim nie wiadomo kiedy.

— ...nawet jeżeli porośniesz tym świństwem od stóp do głów, wątpię, żebyś zdołał kogokolwiek zarazić. Część ludzi w stodole też się nie zarazi, choćby się w tym tarzali, a inni, mniej odporni, złapią to jak przeziębienie, ale to będzie już wtórna odmiana byrusa... albo Ripley, jeżeli wolisz.

— Zostańmy przy byrusie.

— W porządku. Na pewno znajdzie się parę osób, które zarażą się od nich, ale one będą miały mocno osłabionego byrusa trzy. Jeśli i one przekażą go dalej, powstanie odmiana byrus cztery — przypuszczam, że wykrywalna tylko na drodze mikroskopowego badania krwi. A potem koniec.

— Istnieje jeszcze coś takiego jak nawroty, więc nie bądź zbyt pewny siebie.

— Wiem, ale prawdopodobieństwo jest minimalne. Szarzy, których zadanie sprowadza się zapewne tylko do roznoszenia byrusa, już nie istnieją. Tych, którzy nie umarli po zetknięciu z naszym środowiskiem, jak Marsjanie z „Wojny światów”, rozstrzelaliście z działek i karabinów maszynowych. To znaczy, został jeszcze jeden, ale w sensie fizycznym jego też już nie ma. Łasice się nie sprawdziły. Jak każdy rak, prędzej czy później zżerają same siebie, te zaś, którym udało się wydostać z ciała nosiciela, szybko giną we wrogim środowisku. Byrus też nie działa jak należy, ale z nim jest trochę inna sprawa. Gdyby zostawić go w spokoju, dać mu czas, być może by się zmienił i dostosował do nowych warunków.

— Nie damy mu szans — oświadczył Underhill. — Zamienimy cały Jefferson Tract w jedną wielką bliznę.

Henry zaklął potężnie w duchu. Underhill chyba to częściowo odebrał, wyprostował się bowiem tak gwałtownie, że aż uderzył plecami w ścianę.

— To, co zrobicie tutaj, nie ma najmniejszego znaczenia — wyjaśnił Henry, zmuszając się do zachowania spokoju. — Ludzie, których wyłapaliście, nie zdołają go nikomu przekazać, łasice nie zdołają go nikomu przekazać, sam byrus też się na nikogo nie przeniesie. Gdybyście po prostu spakowali manatki i zabrali się stąd w cholerę, natura zajęłaby się tym sama i wymazała to gównem jak nieudane równanie. Szarzy zjawili się tu w taki sposób, w jaki się zjawili, ponieważ nie mogli uwierzyć, że coś takiego jest możliwe. Myślę, że to była misja samobójcza, którą dowodziła ich wersja waszego Kurtza. Oni po prostu nie potrafią sobie wyobrazić porażki. „Zawsze zwyciężamy”, tak myślą.

— Skąd...

— Dosłownie w ostatniej minucie, może nawet sekundzie, jeden z nich trafił na człowieka zupełnie innego od tych, z którymi Szarzy, łasice i byrus stykali się do tej pory. Jest całkowicie odporny i zdołał już wydostać się z waszej idiotycznej strefy, co oznacza, że cokolwiek tu zrobicie, nie będzie miało żadnego sensu.

— Gary Jones.

— Tak jest. Jonesy.

— Na czym polega jego inność?

Co prawda Henry wolałby nie drażnić tego problemu, zdawał sobie jednak sprawę, że nie może pozostawić Underhilla bez odpowiedzi.

— On, ja i nasi dwaj przyjaciele — ci, którzy już nie żyją — znaliśmy kiedyś kogoś, kto był zupełnie inny. Naturalny telepata, bez pomocy żadnego wirusa. Coś dla nas zrobił. Coś nam zrobił. Gdybyśmy spotkali go później, kiedy byliśmy starsi, chyba nic takiego by się nie wydarzyło, ale znalazł się na naszej drodze akurat wtedy, kiedy byliśmy najbardziej... najbardziej podatni na to, co miał nam przekazać. Wiele lat później Jonesy'emu przydarzyło się coś jeszcze, coś, co nie miało żadnego związku z tamtym niezwykłym chłopcem.

W głębi duszy Henry podejrzewał jednak, że prawda przedstawiała się nieco inaczej, że chociaż wypadek, w którym Jonesy mało nie zginął, wydarzył się w Cambridge, Duddits zaś nigdy w życiu nie zapuszczał się na południe od Derry, to jednak odegrał jakąś rolę również i w tej, decydującej przemianie Jonesy'ego. Tak, Henry był tego niemal pewien.

— I co, mam w to wszystko uwierzyć? Przełknąć to jak... jak syrop na kaszel?

Henry uśmiechnął się smutno w pachnącym sianem półmroku.

— Owen, ty już w to wierzysz. Nie zapominaj, że masz do czynienia z telepatą. Najsilniejszym telepatą w okolicy. Naprawdę ważne pytanie brzmi zupełnie inaczej. Najważniejsze pytanie to...

I Henry zadał je w myślach.

Stojąc przy tylnej ścianie szopy przy ogrodzeniu padoku, marznąc w cholernym wietrze, ze ściągniętą z twarzy maską, żeby móc palić papierosy, na które nie miał najmniejszej ochoty, Owen Underhill mógłby przysiąc, że nigdy w życiu nie było mu mniej do śmiechu. Jednak kiedy człowiek z szopy odpowiedział na jego wręcz boleśnie rozsądne pytanie z wręcz niewyobrażalną, zniecierpliwioną szczerością (ty już w to wierzysz... masz do czynienia z telepatą...), Owen parsknął śmiechem. Kurtz powiedział, że gdyby telepatyczna zaraza się rozprzestrzeniła, oznaczałoby to koniec społeczeństwa w jego dotychczasowej formie. Dopiero teraz Underhill naprawdę i do końca zrozumiał, co Kurtz miał na myśli.

— Najważniejsze pytanie to...

Co teraz zrobisz?

Chociaż potwornie zmęczony, Owen mógł odpowiedzieć tylko w jeden sposób:

— Będziemy musieli ruszyć za Jonesem. Ale czy to ma sens? Czy zdążymy?

— Myślę, że tak. W ostatniej chwili.

Owen usiłował wyczytać, co kryje się za tą odpowiedzią, lecz jego zdolności okazały się dalece niewystarczające. Mimo to był prawie pewien, że zdecydowana większość tego, co usłyszał od Henry'ego, jest prawdą. Albo ma rację, albo tak mocno wierzy, że to prawda, pomyślał. Jeden Bóg wie, że ja też chciałbym, żeby to była prawda. Każdy pretekst jest dobry, żeby stąd uciec, zanim rozpocznie się rzeź.

— Nie — powiedział stanowczo Henry, lecz Owen mógłby przysiąc, że w głosie Devlina po raz pierwszy zabrzmiała nuta niepewności. — Nie będzie żadnej rzezi. Nie możemy pozwolić na to, żeby Kurtz wymordował od dwustu do ośmiuset ludzi. Całkowicie niewinnych, zupełnie nieszkodliwych ludzi.

Owen skłamałby, twierdząc, że przykro mu z powodu widocznego już doskonale niepokoju nowego przyjaciela. Mało komu udało się kiedykolwiek posiąć taki zamęt w jego głowie, jak właśnie Henry'emu.

— Co proponujesz? Tylko pamiętaj, co powiedziałeś o tym, że tak naprawdę liczy się wyłącznie twój kumpel Jonesy.

— Tak, ale...

Wewnętrzny głos Henry'ego brzmiał odrobinę pewniej, lecz tylko odrobinę.

Ani przez chwilę nie zamierzałem po prostu odejść stąd i pozwolić im umrzeć.

— Nigdzie nie będziemy odchodzić — poprawił go Underhill. — Będziemy stąd uciekać jak szczury z płonącego domu.

Zaciągnął się płytko swoim trzecim już papierosem, po czym pstryknął go w górę i odprowadził wzrokiem. Rozpędzone zasłony śniegu chlastały pustą przestrzeń między szopą i stodołą, tworząc przy ich ścianach i wzdłuż ogrodzenia coraz wyższe zaspę. Ucieczka podczas takiej pogody zakrawała na szaleństwo. Musielibyśmy mieć skuter śnieżny albo ratrak, przemknęło Owenowi przez głowę. Najdalej o północy nawet samochody z napędem na cztery koła nie na wiele się przydadzą.

— Zabij Kurtza — powiedział Henry. — To najlepsze wyjście z sytuacji. Łatwiej uciekniemy, jeśli nie będzie komu wydawać rozkazów, a dodatkowo powstrzymamy masakrę.

Owen zaśmiał się oschle.

— Jakie to proste, prawda? Agent 00–Underhill, z licencją na zabijanie!

Pieczołowicie otoczył dłońmi zapalniczkę i zapalił czwartego papierosa. Mimo grubych rękawic prawie nie czuł już palców. *Lepiej, żebyśmy prędko coś ustalili. Zanim zamarzną na śmierć.*

— A co w tym wielkiego? — zapytał Henry, w głębi duszy jednak znał odpowiedź na to pytanie. Owen czuł wyraźnie, jak tamten broni się z całych sił, spycha tę świadomość jak najgłębiej, byle nie pogorszyć i tak już paskudnej sytuacji. — Wejdz tam i po prostu go stuknij!

— Bez szans. — Owen posłał Henry'emu obraz Freddy'ego Johnsona i pozostałych członków Straży Imperium pilnujących wejścia do samochodu Kurtza. — Ma tam założony podsłuch. Jeśli wydarzy się coś niepokojącego, twardzi chłopcy zjawią się w okamgnieniu. Kto wie, może jednak udałoby mi się go dorwać, chociaż i poza służbą, i na służbie ma ochronę jak szef kolumbijskiego kartelu kokainowego. Lubię myśleć, że i ja nie jestem najgorszy. Ale to by była misja samobójcza. Jeśli ma Freddy'ego Johnsona, to zapewne ma też Kate Gallagher i Marvella Richardsona... Carla Friedmana... Jocelyn McAvoy. Naprawdę twardzi chłopcy i dziewczyny. Ja zabiję Kurtza, oni zabiją mnie, szycy kierujące tą operacją spod Cheyenne Mountain natychmiast przysła tu jakiegoś kлона albo bliźniaka Kurtza, żeby podjął robotę tam, gdzie tamten przerwał. Albo po prostu zatrudnią do tego Kate. Na pewno jest wystarczająco świrnięta. Ludzie w stodole zyskają może dziesięć, może dwanaście godzin, żeby pokisnąć we własnym sosie, ale w końcu i tak zginą. Różnica sprowadzi się do tego, przystojniaczku, że zamiast jechać ze mną przez burzę śnieżną, zginiesz razem z nimi, a w tym czasie twój koleżka spokojnie dotrze... Właśnie, dokąd?

— Akurat tę informację, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym chwilowo zachować dla siebie.

Owen mimo wszystko spróbował wykorzystać swoje skromne zdolności telepatyczne. Przez ułamek sekundy widział niezbyt wyraźnie coś jakby wysoki, cylindryczny budynek, podobny nieco do silosu zbożowego, obraz ten jednak szybko zniknął, a w jego miejscu pojawił się biały koń albo jednorożec galopujący w kierunku wskazywanym przez drogowskaz z napisem BANBURRY CROSS.

— Zagłuszasz! — rzekł z pretensją w głosie.

— Lepiej potraktuj to jako lekcję techniki, którą powinienesz szybko opanować, jeśli chcesz, żeby ta rozmowa pozostała naszą tajemnicą.

— Hmm... — Owen wcale nie był tak rozczarowany, jak się wydawało. Po pierwsze, taka technika zagłuszania mogła rzeczywiście okazać się przydatna, po drugie zaś Henry wiedział, dokąd wybiera się jego zadżumiony przyjaciel. — Chcę, żebyś mnie uważnie wysłuchał.

— Proszę bardzo.

— Oto najprostsza, najbezpieczniejsza rzecz, jaką możemy zrobić. Przede wszystkim, jeśli mamy na to choć odrobinę czasu, obaj musimy się przespać.

— Zgadzam się. Ledwo trzymam się na nogach, — Potem, około trzeciej nad ranem, zacznę działania dywersyjne. Teoretycznie wszyscy mają tu być w pełnej gotowości aż do zakończenia operacji, jeśli jednak czujność Wielkiego Brata kiedykolwiek słabnie, to gdzieś między czwartą a szóstą rano. Przygotuję dywersję i zrobię zwarcie, żeby ogrodzenie nie było pod prądem. To akurat jest najłatwiejsze. Zjawię się tu w jakimś pojeździe pięć minut po wybuchu zamieszania...

Owen szybko odkrywał niezaprzeczalne zalety telepatii. Zamiast gadać przez kolejną minutę lub dwie, posłał Henry'emu obraz płonącego śmigłowca i pędzących ku niemu żołnierzy.

— ...i już nas nie ma.

— A Kurtz zostanie tutaj ze stodołą wypełnioną niewinnymi cywilami, których przerobi na chipsy. Jak tylko się z tym upora, to samo zrobi ze swoimi ludźmi. Ile to będzie? Mniej więcej trzysta trupów więcej, zgadza się?

Owen, który służył w wojsku od dziewiętnastego roku życia, w tym przez ostatnie osiem lat pod rozkazami Kurtza, posłał mu w odpowiedzi dwa twarde słowa: *straty własne*.

Niewyraźna sylwetka za brudną szybą poruszyła się i wstała ze starej beli siana.

Nie — padła równie twarda odpowiedź.

Nie? Co to znaczy „nie”?

Po prostu nie, i już.

Masz lepszy pomysł?

Ku swemu niewysłowionemu przerażeniu Owen pojął, że owszem, Henry’emu wydaje się, że ma. Fragmenty tego pomysłu — nawet przy największej dawce dobrej woli nie sposób byłoby tego nazwać planem — przemknęły przez głowę Underhilla niczym rozjarzone strzępy ogona komety. Owena po prostu zatkało, papieros wysunął mu się z palców i odleciał, porwany wiatrem.

Odbiło ci.

Wcale nie. Przecież potrzebujemy zamieszania, które pozwoliłoby nam niepostrzeżenie uciec. To właśnie to zamieszanie.

Przecież oni i tak zginą!

Niektórzy. Być może nawet większość. Ale będą mieli szansę. Na pewno znacznie większą niż w płonącej stodole.

— W ten sposób zneutralizujemy Kurtza — ciągnął na głos Henry. — Mając na głowie kilkuset uciekinierów, którzy z ochotą opowiedzą pierwszemu spotkanemu reporterowi o tym, jak to ogarnięty paniką rząd USA przygotował swoim obywatelom, tu, na amerykańskiej ziemi, repetę z My Lai, na pewno nie będzie się nami aż tak bardzo przejmował.

Nie znasz Abe Kurtza, pomyślał Owen. Nigdy nie słyszałeś o linii Kurtza.

On też o niej nie słyszał. Aż do dzisiaj.

Jednak propozycja Henry’ego miała jakiś obłąkańczy sens, a na dodatek przynajmniej częściowo zaspokajała potrzebę sprawiedliwości. W miarę jak ten ciągnący się w ślimaczym tempie czternasty dzień listopada zmierzał ku północy, a równocześnie szansę na przeżycie do końca tygodnia pomału rosły, idea sprawiedliwości znajdowała w Owenie Underhillu coraz wierniejszego wyznawcę.

— Henry...

— Słucham?

— Zawsze wstydzilem się tego, co zrobiłem w domu państwa Rapeloeów.

— Wiem.

— A jednak powtarzałem to potem wiele razy w wyobraźni. Jak to możliwe, żeby być aż tak pokreconym?

Henry, który pozostał doskonałym psychiatrą nawet wtedy, kiedy całkiem poważnie zaczął myśleć o samobójstwie, nie odpowiedział. Pokreconie stanowiło normalny stan większości ludzkich umysłów. Smutne, ale prawdziwe.

— No dobrze — zgodził się wreszcie Owen. — Ty kupujesz dom, ale ja go mebluję. Zgoda?

— Zgoda — odparł Henry bez wahania.

— Myślisz, że dam radę nauczyć się tego zagłuszania? Chyba mi się to przyda...

— Na pewno.

— W porządku. Wobec tego słuchaj.

Owen mówił prawie przez trzy minuty, czasem na głos, czasem jedynie w myślach. On i Henry osiągnęli już taki stan wzajemnego zrozumienia, że nieistotne stało się, w jaki sposób ze sobą rozmawiają. Myśli i słowa połączyły się w jedno.

ROZDZIAŁ SZESNASTY DERRY

1

W sklepie Gosselina jest potwornie gorąco. Czoło Jonesy'ego niemal od razu pokrywa się potem, a kiedy docierają we czwórkę do automatu telefonicznego (rzecz jasna, wisi na ścianie tuż obok pieca), wielkie krople spływają mu po policzkach, pod pachami zaś ma dżunglę po ulewnym deszczu — chociaż w wieku czternastu lat o żadnej dżungli nie może być jeszcze mowy. Nie żebym nie chciał, jak mawia Pete.

Zatem jest gorąco, a on wciąż jeszcze znajduje się częściowo we władaniu snu, który wcale nie zbladł, tak jak to się zazwyczaj dzieje z koszmarnymi snami (Jonesy nadal czuje smród benzyny i płonących opon, nadal widzi Henry'ego z mokasynem w ręce... no i głowę, wciąż widzi okropną, odciętą głowę Richiego Grenadeau). Chwilę potem telefonistka jeszcze bardziej pogarsza sytuację. Kiedy Jonesy podaje jej numer telefonu Cavellów, pod który często dzwonią z pytaniem, czy mogą wpaść (Roberta i Alfie oczywiście zawsze mówią „tak”, ale przecież chłopców uczono w domach, że trzeba zapytać), telefonistka pyta:

— Czy twoi rodzice wiedzą, że zamawiasz rozmowę zamiejscową?

Kobieta mówi z lekkim francuskim akcentem kogoś, kto urodził się w tych stronach, gdzie nazwiska Letourneau i Bissonette spotyka się częściej niż Smith i Jones. Cholerne Francuziki, tak mówi o nich ojciec Pete'a. Akurat teraz trafili na jedną z nich. O Boże.

— Sam płacę za moje rozmowy.

Rety, powinien się domyślić, że padnie właśnie na niego! Rozpina zamek błyskawiczny kurtki. Boże, jak tu gorąco! Nie sposób pojąć, jakim cudem te wszystkie stare przyki mogą wytrzymać tuż przy piecu. Przyjaciele tłoczą się wokół niego, co jest całkiem zrozumiałe, ponieważ chcą wiedzieć, co się dzieje, niemniej Jonesy wolałby, aby cofnęli się chociaż o krok. Jest przekonany, że przy nich robi mu się jeszcze cieplej.

— A gdybym do nich zadzwoniła, *mon fils*, do twoich *mère et père*, czy usłyszałabym to samo?

— Jasne. — Kropla potu spływa mu do oka, piecze jak diabli, ociera ją rękawem jak łzę.

— Tata jest w pracy, ale mama powinna być w domu. Dziewięćset czterdzieści dziewięć, sześćdziesiąt sześć, pięćdziesiąt osiem. Tylko gdyby mogła się pani pośpieszyć, bo...

— Łączę — przerywa mu, chyba nieco zawiedziona.

Jonesy ściąga kurtkę i rzuca ją na podłogę, zonglując przy tym słuchawką. Pozostali wciąż mają na sobie wierzchnie okrycia — Beaver nawet nie rozpiął kurtki motocyklowej. Jonesy nie pojmuje, jak wytrzymują w tym upale. Przeszkadza mu nie tylko temperatura, ale i zapachy, choć zwykle dosyć je lubił: musztarda, gotowana fasola, kawa, korniszony... Zbiera mu się na wymioty.

Kolejne kliknięcia w słuchawce informują go o przekazywaniu połączenia z centrali do centrali. Jak to potwornie długo trwa. Przyjaciele otaczają go ciasnym kręgiem. W głębi sklepu Lamar wpatruje się tępo w półkę z płatkami kukurydzianymi i pociera czoło, jakby usiłował w ten sposób pozbyć się ostrego bólu głowy. Biorąc pod uwagę, ile piwa wlał w siebie wczoraj wieczorem, głowa powinna rozpaść mu się na kawałki, myśli Jonesy. Jego też boli głowa, ale nie ma to nic wspólnego z piwem. Po prostu w tym przeklętym sklepie jest tak potwornie gorąco, że...

Prostuje się raptownie.

— Jest sygnał! — informuje przyjaciół, zaraz jednak żałuje, że to zrobił, ponieważ napierają na niego jeszcze bardziej. Oddech Pete'a potwornie cuchnie. Jak to robisz, mistrzu? — myśli Jonesy. Szorujesz je raz w roku, bez względu na to, czy tego potrzebują, czy nie?

Po trzecim sygnale ktoś podnosi słuchawkę.

— Halo?

To Roberta, jakby trochę roztargniona i przygnębiona, a nie pogodna, jak zwykle. Nietrudno odgadnąć przyczynę: w tle słychać płacz Dudditsa. Jonesy zdaje sobie sprawę, że Alfie i Roberta odbierają ten płacz inaczej niż oni, bo wprawdzie są dorośli, ale są też rodzicami, czują może trochę mniej i inaczej, ale jednak sporo, i ogarniają go poważne wątpliwości, czy to przedpołudnie należy do najbardziej udanych w życiu pani Cavell.

Boże, czy to możliwe, żeby tu było aż tak gorąco? Czym oni napalili w tym pieprzonym piecu? Plutonem?

— Halo, kto mówi? — pyta ze zniecierpliwieniem, a to jest zupełnie do niej niepodobne. Jeżeli będąc matką kogoś takiego jak Duddits, możesz się czegokolwiek nauczyć, to właśnie cierpliwości. Sama wiele razy im to powtarzała. Nie tym razem jednak. Teraz wydaje się po prostu wkurzona, co jest naprawdę czymś niezwykłym. — Jeśli chodzi o sprzedaż albo o coś w tym rodzaju, to niestety jestem teraz zajęta. Proszę...

Duddits wcale nie płacze, on ryczy i zawodzi. Rzeczywiście jest pani zajęta, myśli Jonesy. To trwa już od świtu i teraz wydaje się pani, że za chwilę nastąpi koniec świata.

Henry trąca Jonesy'ego łokciem i ponagla go niecierpliwym gestem. No, dalej! Pośpiesz się! Szturchnięcie jest bolesne, ale przydatne. Jeśli matka Dudditsa odłoży słuchawkę, Jonesy będzie musiał ponownie stawić czoło telefonistce.

— Pani Cavell... To znaczy, Roberta... To ja, Jonesy.

— Jonesy? — Jej ulga jest wręcz trudna do wyobrażenia. Od rana modliła się o telefon od przyjaciół syna, teraz jednak wydaje jej się, że śni. — To naprawdę ty?

— Jasne. Ja i wszyscy.

Podsuwa im słuchawkę.

— Dzień dobry, pani Cavell — mówi Henry.

— Cześć, jak leci? — To Pete.

— Witaj, śliczna. — Beaver szczerzy zęby. Od dnia, kiedy ją poznał, jest w niej beznadziejnie zakochany.

Lamar Clarendon krzywi się na dźwięk głosu swego syna, pociera czoło jeszcze mocniej, po czym wraca do kontemplacji opakowań z płatkami kukurydzianymi. „Proszę bardzo — powiedział Beaverowi, kiedy ten poinformował go, że zamierzają zadzwonić do Dudditsa. — Co prawda nie mam pojęcia, o czym będziecie z nim gadać, ale to w końcu wasza forsa!

— ...do Derry? — mówi Roberta, kiedy Jonesy ponownie przykłada słuchawkę do ucha. — Myślałam, że jesteście na polowaniu w okolicy Kineo czy gdzieś tam?

— Wciąż tam jesteśmy — odpowiada Jonesy. Spogląda na przyjaciół i zauważa ze zdziwieniem, że prawie wcale się nie spocili. Ledwo dostrzegalne lśnienie na czole Henry'ego, kilka kropelek na górnej wardze Pete'a, i to wszystko. — Pomyśleliśmy sobie, że... że zadzwonimy.

— Wiecie, prawda? — pyta bardzo poważnym tonem.

— No... — Wyciąga ze spodni flanelową koszulę, wachluje nią. — Tak.

Większość ludzi zasypałaby go teraz pytaniami: „Skąd wiecie?” albo „Na litość boską, co mu się stało?”, lecz Roberta Cavell nie zalicza się do „większości”, a w dodatku już prawie od miesiąca ma okazję obserwować, jak nadzwyczajne stosunki łączą tych czterech chłopców z jej synem.

— Zaczekaj chwilę, Jonesy. Przyprowadzę go do telefonu.

Jonesy czeka. Słyszy rozpaczliwy płacz Dudditsa i kojący głos Roberty. Próbuje go uspokoić, namawia, żeby podszedł do telefonu. Używa głównie magicznych słów: Jonesy, Beaver, Pete, Henry. Szloch się zbliża i chociaż dociera do Jonesy'ego przez telefon, to jednak bezlitośnie wwierca mu się w głowę. Ból jest okropny, szturchaniec Henry'ego to przy nim pieszczota. Jonesy dosłownie kapie się w swoim pocie. Utkwił spojrzenie w dwóch napisach umieszczonych nad telefonem. **PROSZĘ OGRANICZAĆ ROZMOWĘ DO 5 MIN.,**

głosi pierwszy, PROSZĘ NIE PRZEKLINAĆ, upomina drugi. Niby czemu, kurwa? — nabazgrał ktoś poniżej. A potem Duddits jest już przy aparacie, rozpaczliwy szloch rozlega się przy samym uchu Jonesy'ego. Ból się nasila, doprowadza do szaleństwa, lecz nie sposób wściekać się na Dudditsa. Oni są tutaj we czterech, on został tam zupełnie sam. Bóg jednocześnie skrzywdził go i pobłogosławił. Jonesy'emu aż kręci się w głowie, kiedy o tym myśli.

— Cześć, Duddits. To my. To ja, Jonesy...

Przekazuje słuchawkę Henry'emu.

— Czołem, Duddits. To ja, Henry...

Słuchawka trafia do ręki Pete'a.

— A to ja, Pete.

Pete podaje słuchawkę Beaverowi, który rozgląda się ukradkiem, po czym wciska się tak daleko w kąt, jak pozwala mu długość przewodu, odwraca się, żeby nikt, a szczególnie jego ojciec, niczego nie zauważył, i śpiewa dwie pierwsze linijki kołysanki. Potem milknie, nasłuchuje, po czym unosi kciuk i przekazuje słuchawkę Henry'emu.

— Duddits? Tu znowu Henry. To był tylko sen. To nie zdarzyło się naprawdę, rozumiesz? To nie zdarzyło się naprawdę, a teraz już jest po wszystkim.

Słucha pilnie. Jonesy korzysta z okazji, żeby ściągnąć flanelową koszulę. Zostaje w zupełnie przemoczonym podkoszulku. Nie ma pojęcia o miliardzie różnych rzeczy — na przykład o tym, co tak naprawdę połączyło ich czwórkę z Dudditsem — wie jednak na pewno, że długo tu nie wytrzyma. Czuje się tak, jakby siedział w piecu. Te stare pierniki pochylone nad szachownicą mają chyba kości z lodu.

Henry kiwa głową.

— Właśnie, coś jak straszny film. — Słucha ze zmarszczonymi brwiami. — Nie, to nie ty. Ani żaden z nas. My tego nie zrobiliśmy.

Nagle, nie wiadomo skąd ani jak, Jonesy wie na pewno, że to jednak oni. Może nie do końca świadomie, ale jednak. Bali się, że Richie spełni swoją pogroźkę i dobierze im się do skóry... więc go uprzedzili.

Pete wyciąga rękę.

— Pete chce z tobą rozmawiać — mówi Henry i oddaje słuchawkę.

Pete tłumaczy Dudditsowi, że nie ma się czym przejmować, że wszystko jest w porządku, że niedługo przyjdą do niego, będą grali i świetnie się bawili, ale tymczasem...

Jonesy podnosi wzrok i widzi, że zmienił się jeden z napisów nad automatem telefonicznym. Ten po lewej w dalszym ciągu głosi PROSZĘ OGRANICZAĆ ROZMOWĘ DO 5 MIN., ten po prawej natomiast brzmi następująco: PRZECIEŻ MOŻNA WYJŚĆ NA DWÓR, TAM JEST CHŁODNIEJ. Doskonały pomysł, po prostu wyśmienity, sytuacja została wszak opanowana. Jednakże zanim Jonesy zdąży wprowadzić zamiar w życie, Pete podsuwa mu słuchawkę.

— On chce z tobą rozmawiać.

Niewiele brakuje, żeby jednak uciekł, żeby machnął ręką na Dudditsa, na nich wszystkich, ale powstrzymuje go myśl, że to jego przyjaciele, że razem wpadli w ten okropny sen, razem zrobili coś, czego nie chcieli

(kłamca pieprzony kłamca dobrze wiesz że tego chciałeś wszyscy tego chcieliście)

a poza tym ich wzrok przyszpila go tam, gdzie teraz stoi, już nie tylko w palenisku pieca, ale dodatkowo nałożono mu żelazną rozżarzoną obręcz wokół klatki piersiowej. Ich wzrok przypomina mu, że tu jest jego miejsce, że nie wolno mu zostawić Dudditsa samego sobie. Tak się nie postępuje.

To nasz wspólny sen, który jeszcze się nie skończył, mówią ich oczy, najgłośniejszy oczy Henry'ego. Zaczął się tego dnia, kiedy znaleźliśmy go za budynkiem braci Tracker, na

kolanach i prawie nagiego. On widzi linię, teraz my też ją widzimy. Chociaż trochę inaczej, będziemy widzieć ją już zawsze, aż do śmierci.

W ich oczach jest coś jeszcze, coś niewyartykułowanego i nie do końca uświadomionego, coś, co również będzie im towarzyszyć aż do śmierci, rzucając cię na najszcześniejsze dni ich życia. To lęk przed tym, co zrobili, czego dokonali w zepchniętej w zapomnienie części wspólnego snu.

Tak naprawdę to właśnie każe mu zostać i wziąć do ręki słuchawkę, chociaż jest niemal pewien, że lada chwila umrze z gorąca.

— To ja — mówi. Nawet jego cholerny głos jest gorący. — Wszystko w porządku. Pogadaj jeszcze trochę z Henrym, bo tu jest potworny upał, muszę zaraz...

Duddits nie pozwala mu dokończyć.

— Ee yooot! Oooesy, ee yooot! Ayy! Ayy! Aaam eees ayy!

Od początku z łatwością rozumieli język Dudditsa, Jonesy doskonale rozumie go więc również i tym razem. *Nie wychodź! Jonesy, nie wychodź! Szary! Szary! Tam jest Szary!*

Jonesy'emu opada szczęka. Patrzy nad rozpalonym niemal do czerwoności piecem, omija wzrokiem skacowanego ojca Beavera, który właśnie taksuje przekrwionym spojrzeniem puszki z fasolą, omija panią Gosselin i starą kasę na korbkę, spogląda przez wystawową szybę. Szyba jest brudna i zawieszona reklamami rozmaitych produktów oraz ogłoszeniami o organizowanych w celach dobroczynnych piknikach i obiadach z okazji Czwartego Lipca — wszystkie z czasów, kiedy prezydentem był pewien plantator orzeszków ziemnych — ale i tak widzi, kto czeka na niego na zewnątrz. To ta sama istota, która podkraǳła się do niego od tyłu w chacie, ta sama, która ukradła mu ciało. Szara, zupełnie naga postać stoi obok dystrybutora na pozbawionych palców stopach i wpatruje się w niego czarnymi oczami. Oni wcale tak nie wyglądają, przemyka Jonesy'emu przez głowę. My tylko tak ich sobie wyobrażamy.

Jakby na potwierdzenie, Szary podnosi rękę. Z czubków palców sypie się jakiś złocistoczerwony pył i odlatuje z wiatrem.

To byrus, myśli Jonesy.

Wszystko nieruchomieje jak po wypowiedzeniu czarodziejskiego zaklęcia. Wnętrze sklepu Gosselina zamienia się w statyczną instalację, stopniowo znikają barwy, gubi się gdzieś trzeci wymiar, całość przeistacza się w pożółkłą fotografię, jego przyjaciele stają się przezroczysti, błyskawicznie znikają mu z oczu. Tylko dwie rzeczy są wciąż prawdziwe: ciężka czarna słuchawka telefonu i upał. Potworny upał.

— Ouuuú ee! — krzyczy mu Duddits do ucha, a potem głośno wciąga powietrze przez nos. Czyni tak zawsze, kiedy zależy mu na tym, by powiedzieć coś tak wyraźnie, jak tylko jest możliwe: — Ooonezy! Ooonezy! Ouuuú sieee! Ouuuú...

2

... się! Obudź się! Jonesy, Obudź się!

Jonesy podniósł głowę, lecz przez chwilę zupełnie nic nie widział, ponieważ oczy miał zasłonięte włosami mokrymi od potu. Odgarnął je na bok, licząc po cichu na to, że ujrzy swoją sypialnię, albo tę w chacie, albo — jeszcze lepiej — w domu w Brookline, ale niestety, wciąż był w biurowym pokoiku braci Tracker. Zasnął przy biurku i przyśniło mu się, jak to przed wieloma laty telefonowali do Dudditsa. Sen był bardzo realistyczny — no, może z wyjątkiem tego zabójczego gorąca. W rzeczywistości w sklepie starego Gosselina zawsze panował przejmujący chłód. Upał wkraǳł się do snu, ponieważ tutaj było gorąco. Boże, co najmniej trzydzieści pięć stopni, może nawet czterdzieści.

Ogrzewanie nawaliło, pomyślał, wstając z miejsca. Albo wybuchł pożar. Tak czy inaczej, muszę wyjść, zanim się upiekę.

Obszedł biurko, nie zwróciwszy uwagi, że coś się zmieniło, że kiedy się wyprostował, coś musnęło mu głowę. Dopadł drzwi i sięgał już do zasuwy, kiedy przypomniał sobie ostrzeżenie, które otrzymał we śnie od Dudditsa. *Jonesy, nie wychodź. Tam jest Szary.*

Był. Tuż za drzwiami. Zaczajony w magazynie wspomnień, do których miał teraz pełen dostęp.

Jonesy przycisnął do drzwi spoconą dłoń. Mokre włosy ponownie zsunęły mu się na oczy, lecz nie zwrócił na to uwagi.

— Szary... — wyszeptał. — Szary, jesteś tam? Jesteś, prawda?

Odpowiedziała mu cisza, ale i tak wiedział, że Szary tam stoi z przechyloną szarą głową i spojrzeniem wylupiastych czarnych oczu utkwionym w gałce. Czekał, aż drzwi się otworzą, aż Jonesy wybiegnie z pokoju, i wtedy... Właśnie, co wtedy?

Żegnajcie irytujące ludzkie myśli. Żegnajcie irytujące i rozprasające ludzkie emocje. Żegnaj Jonesy.

— Próbujesz mnie stąd wykurzyć?

Wciąż brak odpowiedzi, ale Jonesy nie potrzebował odpowiedzi. Przecież Szary miał dostęp do centrali sterowania, mógł więc dowolnie manipulować temperaturą. Jaką ustawił temperaturę? Tego Jonesy nie wiedział, czuł jednak, że robi się jeszcze goręcej. Obręcz na piersi paliła go coraz bardziej, z trudem oddychał, pulsowały mu tętnice na skroniach.

Okno. Co z oknem?

Jonesy poczuł gwałtowny przypływ nadziei i odwrócił się gwałtownie. Za oknem zapadła ciemność — to tyle, jeśli chodzi o niekończące się popołudnie z października 1978 — a na podjeździe pojawiły się na razie jeszcze niewielkie śnieżne zaspę. Nigdy, nawet kiedy Jonesy był dzieckiem, śnieg nie wydawał mu się równie pociągający. Wyobraził sobie, jak rozbija szybę i wyskakuje przez okno niczym Errol Flynn w starym filmie o piratach, wpada w największą zaspę, po czym przyciska cudownie zimny biały puch do rozpalonej twarzy...

...a Szary podkrada się od tyłu i zaciska palce na jego szyi. Tylko trzy palce u każdej ręki, ale za to bardzo silne, wystarczająco silne, żeby zabić go w okamgnieniu. Nawet gdyby Jonesy tylko stłukł szybę, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza, Szary natychmiast skorzystałby ze sposobności i wdarłby się do środka jak wygłodniały wampir. Ta część świata Jonesy'ego nie była bezpieczna. Ta część stanowiła terytorium podbite.

Tak czy inaczej, wszystko do dupy.

— Wyjdź — przemówił Szary zza drzwi głosem Jonesy'ego. — Załatwię to szybko. Chyba nie chcesz piec się żywcem? A może?

Jonesy dopiero teraz naprawdę zauważył biurko, którego nie było w pokoju, kiedy znalazł się tutaj po raz pierwszy. Zanim zasnął na nim, stanowiło zaledwie zarys biurka, a w najlepszym razie najprostszy i najtańszy model z niezbyt udanej serii, coś takiego, co kupuje się w Office Depot, jeśli dysponuje się mocno ograniczonymi funduszami. Potem — nie pamiętał dokładnie kiedy — pojawił się na nim telefon. Zwyczajny, czarny telefon, równie prosty jak ono samo.

Teraz jednak biurko pyszniło się dębową okładziną i deszczułkowym przykryciem, zupełnie jak to, które stało w gabinecie Jonesy'ego w Brookline, telefon zaś przeistoczył się w najnowszy model trimline. Jonesy otarł pot zalewający mu oczy, bezwiednie podniósł wzrok i zobaczył to, o co niedawno zawadził głową.

Był to łowca snów. Łowca snów z Dziury w Murze.

— Niech mnie szlag trafi... — wyszeptał. — Zaczynam się tu urządzać!

Oczywiście, i co w tym dziwnego? Nawet więźniowie osadzeni w celach śmierci starali się je czymś ozdobić. Skoro potrafił wymyślić biurko, telefon i łowcę snów, to może...

Jonesy zamknął oczy i spróbował się skupić. Usiłował wyobrazić sobie swój gabinet w Brookline. Przez chwilę miał z tym poważny problem, nie wiadomo skąd pojawiła się bowiem wątpliwość: skoro wspomnienia zostały tam, na zewnątrz, to w jaki sposób może z

nich korzystać tutaj, w pokoju? Na szczęście wyjaśnienie okazało się całkiem proste. Wspomnienia przez cały czas znajdowały się w jego głowie; kartonowe pudła stanowiły tylko coś, co można było określić mianem eksternalizacji. Po prostu tak właśnie, a nie inaczej wyobrażał sobie obszary swojej pamięci znajdujące się we władaniu Szarego.

W tej chwili to nie jest istotne. Skup się na tym, co ważne. Gabinet w Brookline. Przypomnij sobie swój gabinet w Brookline.

— Co robisz? — Pyszałkowata pewność siebie znikła z jego głosu. — Co tam robisz, do kurwy nędzy?

Jonesy uśmiechnął się lekko — nie mógł nic na to poradzić — lecz udało mu się nie zdekoncentrować. Gabinet, a szczególnie ściana przy drzwiach prowadzących do niewielkiej łazienki... Właśnie ta, a na ścianie termostat. Co teraz powinien zrobić? Może wypowiedzieć jakieś magiczne słowo, coś takiego jak abrakadabra?

Zgadza się.

— Duddits... — wyszeptał Jonesy z zaciśniętymi powiekami i mokrą od potu twarzą.

Po chwili otworzył oczy i spojrzał na ścianę. Na ścianę z termostatem.

3

— Przestań! — wykrzyknął Szary. Jonesy zdumiał się, jak dobrze zna ten głos. Czuł się tak, jakby słuchał zarejestrowanego na taśmie magnetofonowej któregoś z własnych, na szczęście niezbyt częstych ataków szału. (Detonatorem bywał najczęściej dziki bałagan w pokoju dziecięcym). — Natychmiast przestań!

— Całuj mnie w złamasa, palancie! — mruknął z uśmiechem Jonesy.

Ciekawe, ile razy jego dzieci marzyły, żeby rzucić mu w twarz coś takiego, kiedy miały już dość jego marudzenia?

Nagle uświadomił sobie coś bardzo niemiłego: przypuszczalnie nigdy już nie zobaczy swojego mieszkania w Brookline, a gdyby jednak je ujrzał, to tylko oczami należącymi do Szarego. Policzek, który nastawiał do pocałunków („Drapiesz, tatusiu!”, wykrzykiwał Misha), będzie teraz policzkiem Szarego, podobnie jak całowane przez Carlę usta. A w łóżku, kiedy chwyci go i wprowadzi w siebie...

Jonesy zadrzał, po czym wyciągnął rękę do termostatu nastawionego — teraz dopiero to zauważył — na czterdzieści dwa stopnie. Chyba jedyny domowy termostat na świecie, w którym można ustawić taką temperaturę. Nie bardzo wiedząc, czego oczekiwać, przekręcił pokrętkę o pół obrotu w lewo i niemal natychmiast poczuł na twarzy podmuch cudownie chłodnego powietrza. Dostawało się do pokoju przez kratkę wentylacyjną pod sufitem. No proszę, pomyślał o wszystkim.

— Jak to robisz? — wrzeszczał Szary za drzwiami. — Dlaczego twoje ciało nie wchłania byrusa? Skąd się w ogóle tutaj wzięłeś?

Jonesy parsknął śmiechem. Po prostu nie mógł już wytrzymać.

— Przestań! — powtórzył Szary, lecz tym razem uczynił to lodowatym tonem, takim samym jak ten, jakim Jonesy przedstawił Carli ultimatum: kuracja odwykowa albo rozwód, wybór należy do ciebie, kochanie. — Potrafię dużo więcej, niż tylko podkręcić ogrzewanie. Mogę cię tam spalić albo oślepić.

Jonesy skrzywił się na wspomnienie paskudnego odgłosu, z jakim długopis zagłębił się w oku Andy'ego Janasa. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Szary blefuje. Zostałeś już tylko jeden, a ja jestem ci niezbędny, pomyślał. Nie psuje się samochodu, którym się jedzie, a jeśli już, to dopiero po dotarciu do celu.

Powoli zbliżył się do drzwi, cały czas powtarzając sobie w duchu, że musi być bardzo, ale to bardzo ostrożny.

— Szary...

Cisza.

— Powiedz mi, jak teraz wyglądasz? Jak wyglądasz, kiedy jesteś sobą? Może trochę się zaróżowiłeś? Może masz więcej palców u rąk? Może na głowie zaczęły ci rosnać włosy? Może czujesz coś jakby bicie serca?

Wciąż cisza.

— Zaczynasz mnie przypominać? Zaczynasz myśleć jak ja? Pewnie wcale ci się to nie podoba, prawda?

Dopiero teraz Jonesy domyślił się, że Szarego nie ma za drzwiami. Czym prędzej odwrócił się i podbiegł do okna. Po drodze zauważył, że w pokoju zaszły kolejne zmiany — na jednej ścianie pojawił się drzeworyt Curriera i Ivesa, na drugiej reprodukcja van Gogha, na biurku ozdobny przycisk — lecz zarejestrował to tylko kątem oka. Chciał jak najprędzej sprawdzić, co knuje Szary, czym się teraz zajął.

4

Jechali już innym samochodem. Zamiast spartańsko urządzonej kabiny wojskowego pikapu Jonesy ujrzał luksusowo wykończone wnętrze dodge'a rama oraz tablicę rozdzielczą z tyłoma przełącznikami i pokrętłami co w małym odrzutowcu. Na pokrywie schowka na rękawiczki widniała nalepka z napisem KOCHAM MOJEGO COLLIE, Wspomniany collie spał z podwiniętym ogonem na podłodze po stronie pasażera. Wabił się Facio. Jonesy przypuszczał, że bez trudu mógłby poznać nazwisko i los, jaki spotkał właściciela Facia, ale po co miałyby to robić? Jedno było pewne: gdzieś na północ stąd chevrolet Janasa leżał w rowie, a w pobliżu spoczywało martwe ciało człowieka, który miał pecha przejeżdżać tamtędy swoim komfortowym samochodem. Jonesy nie miał natomiast pojęcia, dlaczego Szary oszczędził Facia.

Właśnie wtedy Facio uniósł nieco ogon i wypuścił gazy.

Jonesy już wiedział.

5

Okazało się, że jeśli bardzo się skupi, to patrząc przez okno biura braci Tracker, może zobaczyć świat swoimi oczami. Śnieg sypał jeszcze mocniej, lecz dodge, podobnie jak chevrolet Janasa, miał napęd na cztery koła, dzięki czemu posuwał się naprzód w miarę pewnie. W przeciwną stronę, w kierunku Jefferson Tract, sunęła kolumna zamontowanych wysoko reflektorów: wojskowe ciężarówki. W pewnej chwili po prawej stronie, zza śnieżnej kurtyny wyłoniła się zielona odbłaskowa tablica z napisem DERRY NASTĘPNE 5 ZJAZDÓW.

Chyba całkiem niedawno przejeżdżały tędy pługi, bo choć ruch był znikomy — o tej porze nawet przy dobrej pogodzie nie byłyby zbyt wielki — to nawierzchnia znajdowała się w całkiem przyzwoitym stanie. Szary przyśpieszył do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Minęli trzy zjazdy, które Jonesy doskonale znał z dzieciństwa (KANSAS STREET, PORT LOTNICZY, UPMILE HILL/STRAWFORD PARK), po czym zwolnili.

Nagle Jonesy zrozumiał albo przynajmniej tak mu się wydawało.

Spojrzał na pudła, które przytaszczył do pokoju. Większość była opatrzona napisem DUDDITS, kilka zaś DERRY. Te ostatnie przeniósł w ostatniej chwili, pod wpływem trudnego do wytłumaczenia impulsu. Szary co prawda sądzi, że dysponuje wszystkimi niezbędnymi wspomnieniami, a raczej informacjami, jeśli jednak domysły Jonesy'ego dotyczące celu ich podróży były słuszne (a wszystko na to wskazywało), to Szarego czekało niemiłe zaskoczenie. Jonesy nie wiedział, czy powinien się z tego cieszyć, czy bać się. Chyba bał się i cieszył równocześnie.

Pojawiła się zielona tablica z napisem ZJAZD 25 — WITCHAM STREET. Jego ręka włączyła prawy kierunkowskaz.

Zaraz po zjeździe skręcił w lewo w Witcham Street, a osiemset metrów dalej ponownie w lewo, w Carter Street. Ulica wspinała się stromo, prowadząc z powrotem w kierunku Upmile Hill i Kansas Street, po drugiej stronie niegdyś zalesionego łańcucha wzniesień, w pobliżu indiańskiej wioski. Co prawda nie była odśnieżana od dobrych kilku godzin, ale ram doskonale dawał sobie radę, mijając wielkie śnieżne kopce po obu stronach ulicy — samochody zaparkowane przy krawężniku mimo zakazu obowiązującego w trakcie opadów śniegu i bezpośrednio po nich.

W połowie zbocza Szary skręcił jeszcze raz, w wąski trakt zwany Dróżką Cartera. Koła rama zabuksowały w luźnym śniegu, tył zniosło trochę w bok. Facio podniósł łeb, zaskamlał, po czym znów położył się płasko na podłodze. Koła odzyskały przyczepność i potężny samochód kontynuował wspinaczkę.

Zafascynowany Jonesy stał przy swoim oknie na świat i czekał, aż Szary odkryje, że... No, odkryje.

W pierwszej chwili Szary nie zareagował, kiedy na szczycie wzniesienia światła drogowe rama oświetliły jedynie tumany sypiącego tu jeszcze gęściej i miotanego wiatrem śniegu. Był pewien, że zobaczy to za parę sekund... oczywiście, że zaraz to zobaczy... wielką białą wieżę górującą nad miastem, ze wspinającymi się spiralnie okienkami. Jeszcze chwila, jeszcze jedna mała chwilka...

Chwile jednak mijały, a nic się nie zmieniało. Ram pełził powoli po szczycie wzniesienia zwanego kiedyś Górą Ciśnień. Dróżka Cartera — oraz jeszcze trzy albo cztery, niewiele szersze od niej — kończyła się na obszernym, zupełnie płaskim kręgu. Było to najwyżej położone miejsce w administracyjnych granicach Derry. Wicher dał jak szalony, nieustanne osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, w porywach na pewno sporo ponad sto. W strumieniach światła rzucanych przez reflektory wozu śnieg śmigał niemal poziomo, jak rozmazane ostrza sztyletów.

Szary siedział bez ruchu. Ręce Jonesy'ego zsunęły się z kierownicy i opadły na fotel kierowcy niczym zestrzelone ptaki.

— Gdzie to jest? — wymamrotał wreszcie.

Podniósł lewą rękę do klamki, zmagając się przez chwilę, wreszcie otworzył drzwi. Wiatr natychmiast szarpnął nimi z potworną siłą, wyrwijąc mu je z ręki, Szary zaś, który zdążył już wysiąść, padł na kolana Jonesy'ego w zaspę. Podniósł się natychmiast i zgięty w pół z najwyższym trudem wyszedł przed samochód. Temperatura z pewnością spadła poniżej minus trzydziestu (również w biurze braci Tracker błyskawicznie się ochłodziło), lecz czarno-czerwony obłok zajmujący większą część umysłu Jonesy'ego i sterujący jego ciałem nic sobie z tego nie robił.

— Gdzie to jest? — wykrzyknął Szary prosto w paszczę lodowatego wichru. — Gdzie jest ta pieprzona wieża ciśnień?!

Jonesy nie musiał krzyczeć. Bez względu na wiatr czy burzę, Szary słyszał nawet jego najcichszy szept.

— Cha, cha! — roześmiał się szyderczo. — Ale niespodzianka, co? Wieży nie ma, mój szary przyjacielu. Nie ma jej od 1985.

6

Jonesy liczył się z tym, że Szary wpadnie w szal, rzuci się na pokrytą śniegiem ziemię, będzie walił w nią rękami i nogami. Mimo iż ze wszystkich sił starał mu się to utrudnić, Szary uzyskał niczym nieograniczony dostęp do laboratorium chemicznego wytwarzającego

substancje, które sterowały działaniem jego mózgu, i mógł tam robić wszystko, na co przyszła mu ochota.

Jednak Szary nie urządził przedstawienia, tylko pognał ciało Jonesy'ego przez nagi wierzchołek wzgórze w kierunku kamiennego postumentu wzniesionego w miejscu, gdzie spodziewał się ujrzeć budowlę zawierającą cały zapas wody pitnej dla miasta: ponad dwa i pół miliona litrów. Przewrócił się, wstał błyskawicznie, przewrócił się znowu, boleśnie nadwerężając zrekonstruowane biodro Jonesy'ego, upadł i znowu wstał, przez cały czas recytując litanie Beaverowych przekleństw: całuj mnie w złamasa, nasraj sobie w czapkę i włóż ją tył na przód, a niech mnie Freddy przeleci, ale pierdolnik. Kiedy coś takiego padało z ust Beavera, albo nawet Henry'ego lub Pete'a, było to zabawne; tutaj, na opustoszałym szczycie wzgórze, wyrzaskiwane wichrowi w twarz przez brnącego chwiejnie w śniegu potwora, stawało się przerażające.

Szary wreszcie dotarł do piedestału, całkiem dobrze widocznego w blasku reflektorów rama. Miał około półtora metra wysokości i został wzniesiony z nieociosanych kamieni. Ustawiono na nim dwie odlane z brązu postaci; chłopiec i dziewczynka trzymali się za ręce i stali z pochylonymi głowami, jakby pogrążeni w modlitwie lub żalu.

Chociaż wiatr usypał przed postumentem sporą zaspę, to jednak nie zdołał całkowicie zasłonić wykonanej również z brązu tabliczki. Szary padł na kolana Jonesy'ego, zgarnął śnieg i przeczytał:

WSZYSTKIM, KTÓRZY ZGINĘLI W BURZY
31 MAJA 1985
ORAZ DZIECIOM
WSZYSTKIM DZIECIOM
OD BILLA, BENA, BEV, EDDIEGO, RICHIEGO, STANA
I MIKE'A
Z KLUBU PRZEGRANYCH

Nieco niżej ktoś wykonał czerwonym sprayem dopisek:

KLAUN ŻYJE

7

Szary kłęczał bez ruchu co najmniej przez pięć minut, nie zwracając najmniejszej uwagi na postępujące odretwienie kończyn. Zresztą, czemu niby miałyby się tym przejmować? Przecież Jonesy był jak samochód z wypożyczalni: niczym się nie przejmuj, gaz do dechy, a niedopałki możesz gasić na tapicerce. Bezskutecznie usiłował rozgryźć znaczenie napisu. Burza? Dzieci? Przegrani? Jaki klaun? Najważniejsze pytanie brzmiało jednak: gdzie się podziała wieża ciśnień? Przecież ze wspomnień Jonesy'ego wynikało jasno, że powinna tu być!

Wreszcie wstał, utykając wrócił do samochodu, wsiadł, zatrzasnął drzwi i włączył ogrzewanie. Ciało Jonesy'ego dygotało jak w febrze. Wkrótce potem Szary znalazł się przed drzwiami pokoju i zażądał wyjaśnień.

— Dlaczego tak się wkurzyłeś? — zapytał Jonesy spokojnie, ale z uśmiechem na ustach. Ciekawe, czy Szary to wyczuwał. — Naprawdę spodziewałeś się, że będę ci pomagał? Daj spokój! Nie znam co prawda szczegółów, ale wiem całkiem nieźle, na czym polega ogólny plan: za jakieś dwadzieścia lat cała Ziemia ma się zamienić w wielką złocistoczerwoną kulę, zgadza się? Koniec problemów z dziurą ozonową, ale przy okazji i koniec z ludźmi.

— Nie kpiluj sobie ze mnie! Nawet nie próbuj!

Jonesy z trudem zwalczył pokusę, żeby doprowadzić Szarego do kolejnego ataku wściekłości. Co prawda nie wydawało mu się prawdopodobne, żeby jego nieproszony gość zdołał tupnąć, chuchnąć i drzwi zdmuchnąć, lepiej jednak było nie ryzykować. Poza tym czuł się wyniszczony emocjonalnie, miał stargane nerwy, a w ustach czuł dziwny posmak miedzi.

— Dlaczego jej tu nie ma?

Szary wduśił przycisk klaksonu. Obudzony niespodziewanym dźwiękiem Facio podniósł łeb i spojrzał na siedzącą za kierownicą postać dużymi, przestraszonymi oczami.

— Przecież nie możesz mnie okłamywać! Mam twoje wspomnienia!

— No... nie wszystkie. Pamiętasz?

— A których brakuje? Powiedz!

— Niby dlaczego? Co dasz mi w zamian?

Szary umilkł. Przez jakiś czas grzebał w pudłach, a potem do pokoju przez szparę pod drzwiami oraz kanałem wentylacyjnym zaczęły się przedostawać smakowite zapachy: prażona kukurydza, kawa, zupa rybna... Żołądek Jonesy'ego powitał je gwałtownymi podskokami.

— Oczywiście nie mogę zaproponować ci zupy rybnej twojej matki, ale dam ci jeść — powiedział Szary. — Zdaje się, że jesteś głodny, prawda?

— Chyba nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę, jak mnie używasz — odparł Jonesy z przekąsem.

— Na południe stąd jest zajazd czynny przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, czyli bez przerwy, prawda? Chyba że i tym razem mnie okłamujesz?

— Nie okłamałem cię. Sam przecież powiedziałeś, że nie mogę cię okłamać. Trzymasz stery w rękach, masz dostęp do archiwum, dysponujesz wszystkim, co tam jest... z wyjątkiem tych paru pudeł, które udało mi się tutaj dowlec.

— Gdzie jest to „tutaj”? Skąd wzięło się jakieś inne „tutaj” niż to, gdzie ja jestem?

— Nie wiem — powiedział Jonesy zgodnie z prawdą. — Jaką mam gwarancję, że naprawdę dasz mi jeść?

— Dam, bo muszę — odparł Szary z drugiej strony drzwi. Jonesy wiedział, że tamten też mówi prawdę. Do baku trzeba od czasu do czasu wlać paliwo, w przeciwnym razie silnik przestanie działać i samochód nigdzie nie dojedzie. — Jeżeli zaspokoisz moją ciekawość, postaram się o coś, co lubisz. Jeśli nie...

Spod drzwi i z kanału wentylacyjnego zaleciało brokułami i brukselką.

— W porządku — zgodził się Jonesy. — Ja powiem ci, co wiem, a ty dasz mi naleśniki i bekon z patelni. Umowa stoi?

— Stoi. Otwórz drzwi, to przypieczętuujemy ją uściskiem dłoni.

Jonesy tak się zdziwił, że aż się uśmiechnął. To był pierwszy żart Szarego, w dodatku wcale nie najgorszy. Zerknąwszy w lusterko wsteczne, zobaczył również uśmiech na twarzy, która już do niego nie należała. To akurat nie było zbyt przyjemne.

— Może na razie darujemy to sobie.

— Daj znać, jeśli zmienisz zdanie.

— W porządku. Jeszcze tylko jedno ostrzeżenie: złam tę obietnicę, a nie będziesz miał okazji złożyć następnej.

— Będę o tym pamiętał.

Samochód stał z włączonymi światłami na szczycie Góry Ciśnień, kołyszac się lekko w podmuchach szaleńczego wiatru, a Jonesy powtórzył Szaremu, co wiedział. Wprost trudno było sobie wymarzyć czas i miejsce lepsze na opowiedzenie tej okropnej historii.

W latach 1984 i 1985 źle się działo w Derry. Najpierw, latem osiemdziesiątego piątego, trzech nastolatków utopiło w kanale homoseksualistę. W ciągu następnych dziesięciu miesięcy zamordowano kilkoro dzieci; wszystko wskazywało na to, że zabójstw dokonał jakiś szaleniec w przebraniu klauna.

— Kim jest John Wayne Gacey? — zapytał Szary. — Czy to on był mordercą?

— Nie. To pewien osobnik ze środkowego zachodu, który działał w podobny sposób. Chyba nie rozumiesz, skąd biorą się niektóre skojarzenia w moim umyśle, prawda? Założę się, że tam, skąd pochodzisz, nie ma wielu poetów.

Szary nie odpowiedział. Przypuszczalnie nie wiedział nawet, kto to jest poeta. I nic go to nie obchodziło.

— W każdym razie łańcuch nieszczęść zakończył niezwykle huragan. Uderzył na miasto trzydziestego pierwszego maja 1985. Zabił ponad sześćdziesiąt osób, zwałił wieżę ciśnień. Stoczyła się po zboczu aż do Kansas Street. — Wskazał na prawo, tam gdzie biały szczyt kończył się ostrą krechę stromizny. Dwa i pół miliona litrów wody runęło na centrum miasta, dosłownie zmiatając je z powierzchni ziemi. Byłem wtedy w college'u, szykowałem się do końcowych egzaminów. Ojciec zadzwonił do mnie i opowiedział o wszystkim, ale i tak wiedziałem, bo przecież trąbili o tym w telewizji.

Jonesy umilkł, w zamyśleniu rozejrzał się po pokoju, który z pustego i zaniedbanego stał się teraz całkiem przytulny i ładnie umeblowany (jego podświadomość dodała kanapę z domu i fotel z katalogu Muzeum Sztuki Nowoczesnej, piękny, lecz zdecydowanie poza jego możliwościami finansowymi)... Zdecydowanie bardziej przytulny niż zaśnieżony, wietrzny świat, z którym musiał się zmagać obecny właściciel jego ciała.

— Henry studiował już wtedy na Harvardzie, Pete włóczył się po zachodnim wybrzeżu i udawał hipisa, Beaver bumelował w jakimś liceum, ucząc się palić trawkę i grać w gry telewizyjne.

W Derry podczas wielkiej burzy i wichury był jedynie Duddits, Jonesy jednak nie chciał wymieniać jego imienia. Chociaż Szary milczał, Jonesy doskonale wyczuwał jego zniecierpliwienie. Szarego interesowała wyłącznie wieża ciśnień. Oras to, w jaki sposób Jonesy'emu udało się go wykiwać.

— Słuchaj, Szary: jeżeli ktoś tu kogoś oszukiwał, to tylko ty siebie. Ja po prostu zabrałem parę pudeł ze wspomnieniami z Derry. Zrobiłem to zresztą wtedy, kiedy ty zabawiałeś się mordowaniem tego biednego żołnierza.

— Ci biedni żołnierze przylecieli śmigłowcami i zabili wszystkich naszych.

— Daruj sobie te głodne kawałki. Nie przybyliście tu przecież, żeby zaproponować nam członkostwo w galaktycznym kółku różańcowym.

— Gdyby tak było, czy przyjęlibyście nas inaczej?

— Daruj sobie też gdybanie. Po tym, co zrobiłeś z Peterem i tym żołnierzem, nie mam najmniejszej ochoty na intelektualne dyskusje z tobą.

— Musimy tak postępować.

— Być może, nie oczekuj jednak, że będę ci w tym pomagał.

Pies zerkał na Jonesy'ego z coraz większym niepokojem. Chyba nigdy do tej pory nie miał do czynienia z ludźmi prowadzącymi w pojedynkę ożywione rozmowy.

— Wieża ciśnień runęła w 1985, czyli szesnaście lat temu. Dlaczego wykradłeś akurat to wspomnienie?

— Miałbyś spore problemy z udowodnieniem, że to była kradzież. Bądź co bądź, to jednak moje wspomnienie.

— Co jeszcze ukradłeś?

— Muszę zostawić ci coś, nad czym mógłbyś się zastanawiać.

Drzwi zatrzęsły się od potężnego uderzenia i Jonesy'emu znowu przyszła na myśl bajeczka o trzech małych świnkach. Chuchaj i dmuchaj, szaraku. Ciesz się wątpliwymi urokami wściekłości.

Wyglądało jednak na to, że Szary odszedł od drzwi.

— Hej, nie żołądkuj się aż tak bardzo, dobra? — zawołał Jonesy.

Domyślał się, że Szary ponownie wyruszył na poszukiwanie informacji. Co prawda wieża ciśnień znikła, Derry jednak wciąż istniało, ergo woda wciąż dopływała skądś do miasta. Czy Jonesy wiedział skąd?

Nie wiedział. Pamiętał tylko jak przez mgłę, że kiedy wrócił do domu po zakończeniu roku szkolnego, przez pewien czas pił wyłącznie wodę mineralną. Potem woda znów zaczęła płynąć z kranów, ale czy dwudziestoletni chłopak, poświęcający całą życiową energię na to, żeby dobrać się do majtek Mary Shratt, mógł zajmować się takimi głupstwami? Jest woda, to ją pijesz. Nie ma jej — pijesz coś innego. Wielka sprawa.

Czyżby wyczuł niepokój Szarego? A może to tylko jego rozbudzona wyobraźnia? Jonesy miał nadzieję, że nie.

Tak, nieźle to rozegrał. W dawnych, zmarnowanych latach młodości ktoś z ich czwórki powiedziałby zapewne, że „nakopał tamtemu w dupę”.

9

Roberta Cavell obudziła się z nieprzyjemnego snu i spojrzała w prawo, spodziewając się zobaczyć jedynie ciemność. Jednak na budziku wciąż spokojnie jarzyły się niebieskie cyferki, czyli nie było przerwy w dostawie prądu. Zdumiewające, biorąc pod uwagę siłę wichury.

1.04, informowały cyferki. Roberta włączyła lampkę nocną — korzystaj, póki możesz, pomyślała — i napiła się wody ze szklanki. Czy to wiatr ją obudził? A może zły sen? Nie był przyjemny, to prawda: przybysze z kosmosu, promienie śmierci, zamieszanie... Ale to chyba jednak nie było to.

Wiatr na chwilę przycichł i wtedy usłyszała: z dołu dobiegał głos Dudditsa. Duddits... śpiewał? Czy to możliwe? Nie bardzo mogła sobie to wyobrazić, zważywszy na paskudne popołudnie i wieczór, które mieli za sobą.

— Biieeee eeee yyyee! — Niemal bez przerwy od drugiej do piątej.

Beaver nie żyje! Nie sposób było go uspokoić, płakał tak bardzo, że aż dostał krwotoku z nosa. Roberta bała się tych krwotoków; bywały tak obfite, że musiała wieźć go do szpitala. Tym razem jednak jakoś udało jej się zahamować krwawienie, wkładając mu waciki i mocno ściskając nasadę nosa. Zadzwoiła też do doktora Briscoe z pytaniem, czy może dać Dudditsowi tabletkę valium, okazało się jednak, że doktor Briscoe spędza wakacje w Nassau. Zastępował go inny lekarz, który w życiu nie widział Dudditsa na oczy, Roberta nie fatygowała się więc nawet, żeby do niego zadzwonić. Dała Dudditsowi valium, posmarowała spieczone usta i dziąsła wacikiem umoczone w glicerynie cytrynowej. W ustach zawsze miał pełno wrzodów i pęknięć śluzówki, nawet po zakończeniu chemoterapii, a chemoterapia już się zakończyła. Nieodwołalnie. Co prawda nie zarządził tego żaden lekarz, nawet doktor Briscoe, i dlatego wenflon wciąż sterczał z żyły na rękę, ale decyzja została podjęta. Roberta nie mogła pozwolić, żeby jej syn ponownie przechodził przez to piekło.

Jak tylko połknął pastylkę, położyła się obok niego, objęła go (bardzo ostrożnie, żeby nie zahaczyć o wenflon) i zaśpiewała — ale nie kołysankę Beavera. Nie tym razem.

Wreszcie powoli zaczął się uspokajać, a kiedy uznała, że zasnął, delikatnie wyjęła mu z nosa przesiąknięte krwią waciki. Drugi trochę przysechł, musiała więc mocniej pociągnąć, i wtedy Duddits otworzył swoje niesamowicie zielone oczy.

Czasem wydawało jej się, że właśnie te oczy są prawdziwym darem, jaki otrzymał, wcale nie zdolność widzenia jakiejś linii i wszystko, co się z tym wiązało.

— Aaama...

— Tak, Duddie?

— Biieeee eees yy eeebee?

Ogarnął ją wielki smutek i nie wiedzieć czemu przypomniawszy sobie idiotyczną skórzaną kurtkę Beavera, którą tak bardzo lubił i którą nosił tak długo, aż w końcu niemal się na nim rozpadła. Gdyby chodziło o innego z czterech przyjaciół Dudditsa z lat dziecińczych, być może wątpiłaby w wartość jego przecucia. Jeśli jednak Duddits twierdził, że Beaver nie żyje, to przypuszczalnie miał rację.

— Tak, skarbie. Na pewno jest w niebie. A teraz śpij już.

Zielone oczy wpatrywały się w nią jeszcze przez chwilę. Obawiała się, że Duddits znów się rozplacze, ale po jego nieogolonym policzku spłynęła tylko jedna okrągła łza. Trudno mu było się golić, ponieważ każde, nawet najdrobniejsze skaleczenie goiło się całymi dniami. Potem zamknął oczy, a ona wstała i na palcach wyszła z pokoju.

O zmroku, kiedy szykowała mu owsiankę (jego żołądek przyjmował już tylko zupełnie nieprzyprawione, papko watę pokarmy; każda próba urozmaicenia jadłospisu kończyła się wymiotami. Był to kolejny znak świadczący o tym, że koniec jest już blisko), koszmar zaczął się znowu. Już i tak podenerwowana, a nawet przerażona coraz dziwniejszymi informacjami z Jefferson Tract, popędziła do jego pokoju. Duddits siedział wyprostowany na łóżku, kręcąc rozpaczliwie głową. Krople krwi płynącej z nosa padały szerokim łukiem na pościel, podłogę, ściany i nocny stolik przy łóżku, na którym stała fotografia Austina Powersa z autografem oraz mnóstwo większych i mniejszych buteleczek z całkowicie bezużytecznymi syropami, środkami dezynfekującymi i tabletkami.

Tym razem Duddits twierdził, że umarł Pete, ten uroczy (choć nieszczególnie bystry) Peter Moore. Dobry Boże, czy to możliwe? Czy cokolwiek z tego było możliwe?

Na szczęście drugi atak hysterii nie trwał tak długo — być może dlatego, że Duddits wciąż jeszcze nie odzyskał sił po pierwszym. Ponownie zdołała zatamować krwotok z nosa, pomogła mu przejść do fotela przy oknie i zmieniła pościel. Siedział bez ruchu, patrząc w gęstniejącą śnieżycę, to szlochając, to znów wzdychając głęboko i z takim smutkiem, że aż krajało jej się serce. Serce krajało jej się zresztą również wtedy, kiedy tylko na niego patrzyła, wychudzonego, bladego i zupełnie łysiego. Dała mu jego ulubioną czapkę Red Sox z autografem samego wielkiego Pedro Martinez (kiedy człowiek umiera, inni zasypują go prezentami, myślała niekiedy z goryczą), żeby nie zmarł, on jednak, chyba po raz pierwszy, nie chciał jej włożyć. Trzymał ją na kolanach i wpatrywał się w ciemność wielkimi, nieszczęśliwymi oczami.

Wreszcie położyła go z powrotem do łóżka, a on spojrzał na nią z okropnym, gasnącym błyskiem w oczach.

— Piiit eeesz yy eeebee?

— Na pewno.

Rozpaczliwie usiłowała powstrzymać się od płaczu, bojąc się, że wywoła kolejny atak rozpacz, lecz mimo to czuła, jak łzy napływają jej do oczu. Zgromadziła ich tak wiele, że trudno było się temu dziwić.

— Yy eeebee ss Biieem?

— Tak, kochanie.

— Oooaacze Biieea i Piiita yy eebee?

— Zobaczysz. Oczywiście, że zobaczysz, ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz, syneczku.

Zamknął oczy. Roberta długo wówczas siedziała przy nim na łóżku — z opuszczoną głową, przygnębiona i samotna jak nigdy dotąd.

Teraz zbiegła na parter i rzeczywiście, Duddits śpiewał. Ponieważ jego język nie miał dla niej żadnych tajemnic (Co w tym dziwnego? Przecież uczyła się go nieprzerwanie przez trzydzieści lat...), bez trudu rozumiała składające się niemal wyłącznie z samogłosek słowa:

„Scooby–Dooby–Doo, gdzie jesteś? Scooby–Dooby–Doo, do zrobienia mamy coś. Scooby–Dooby–Doo, pomoc trzeba nam!”.

Wchodząc do jego pokoju, nie miała pojęcia, czego oczekiwać, ale z pewnością nie spodziewała się ujrzeć widoku, który ukazał się jej oczom: włączone wszystkie światła, Duddits w pełnym stroju, po raz pierwszy od ostatniej (przypuszczalnie naprawdę ostatniej, zdaniem doktora Briscoe) remisji. Włożył swoje ulubione sztruksowe spodnie, koszulkę, kamizelkę oraz czapkę Red Sox, siedział w fotelu przy oknie i wyglądał w noc. Po łzach i rozpaczach nie pozostał ślad. Na jego twarzy malował się wyraz radosnego oczekiwania, taki sam, jaki gościł tam często przed chorobą, anonsującą swoje nadejście w ukradkowy, łatwy do przeoczenia sposób: przedwczesnym zmęczeniem po krótkiej zabawie na podwórku, rozległymi siniakami po niewielkich uderzeniach i otarciach. Tak właśnie wyglądał, kiedy...

Nie, nawet nie chciała o tym myśleć. To nie mogła być prawda.

— Duddits! Duddie, co się...

— Aaama! Eee oooo uuueethoo?

Mama! Gdzie moje pudełko?

— W kuchni, ale przecież jest środek nocy, pada śnieg! Nigdzie...

...nie pójdziesz, to zamierzała oczywiście powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle. Był taki radosny, taki podekscytowany! Widok jego błyszczących, tryskających energią oczu powinien sprawić jej radość, ona jednak czuła, jak ogarnia ją narastające przerażenie.

— Heeee uuueetho! Heeee duuuhe hnaaaee!

Chcę pudełko! Chcę drugie śniadanie!

— Nie ma mowy! — Starła się, żeby zabrzmiało to jak najbardziej stanowczo. — Natychmiast rozbieraj się i wracaj do łóżka! Tak trzeba. Pomogę ci.

Kiedy się jednak do niego zbliżyła, skrzyżował przedramiona na wąskiej piersi, prawą dłoń przycisnął do lewego policzka, lewą zaś do prawego. Od wczesnego dzieciństwa w ten właśnie — i tylko w ten — sposób okazywał kategorię sprzeciw. Zwykle to wystarczało, podobnie jak tym razem. Wołała go nie denerwować, nie ryzykować kolejnego krwotoku. Nie oznaczało to jednak, że kwadrans po pierwszej w nocy przygotowuje mu drugie śniadanie i włoży do żółtego plastikowego pudełka. Na pewno nie.

Cofnęła się i usiadła na krawędzi łóżka. W pokoju było ciepło, lecz ona odczuwała dotkliwie zimno, chociaż miała na sobie gruby szlafrok. Duddits powoli opuścił ręce, ale wciąż obserwował ją podejrzliwie.

— Możesz sobie tam siedzieć, jeśli chcesz — odezwała się — ale powiedz mi, dlaczego to robisz? Przyśniło ci się coś? Miałeś zły sen?

Nawet jeśli miał jakiś sen, to z pewnością nie zły. Tak, doskonale znała ten wyraz jego twarzy: przed laty często go widywała, zanim jeszcze Henry, Pete, Beaver i Jonesy wkroczyli na ścieżki dorosłego życia, zanim telefony od nich stały się rzadsze, zanim prawie zupełnie przestali go odwiedzać, pędząc ku przyszłości i zapominając o tym, który został z tyłu.

Zawsze tak wyglądał, kiedy wyczuwał, że przyjaciele złożą mu niebawem wizytę. Niekiedy zabierali go do Strawford Park albo do Barrens (oczywiście nie powinni się tam zapuszczać, doskonale o tym wiedzieli, chodzili tam jednak dość często, a po jednej z takich wypraw napisano o nich na pierwszej stronie miejscowej gazety). Czasem Alfie albo któraś z mam zawozili ich do wesołego miasteczka w Newport; na taką wyprawę Duddits zawsze zabierał swoje żółte plastikowe pudełko, a w nim kanapki, ciasteczka i termos z gorącym mlekiem.

Jemu się wydaje, że do niego przyjadą. Pewnie myśli o Henrym i Jonesym, bo skoro Pete i Beaver nie żyją...

Nagle, kiedy tak siedziała na brzeжку łóżka z rękami złożonymi na kolanach, oczami wyobraźni ujrzała przerażającą scenę: środek nocy, pukanie do drzwi, ona otwiera i kogo widzi na progu? Nieżywych Beavera i Pete'a, przeniesionych z powrotem w czasy

dzieciństwa, w których żyli, kiedy ich poznała tamtego dnia, gdy wybawili Dudditsa z rąk okrutnych wyrostków i przyprowadzili do domu. Beaver znów ma na sobie skórzaną motocyklową kurtkę z niezliczonymi suwakami, a Pete bluzę z emblematem NASA na lewej piersi. Są zziębnięci i bladzi, ich oczom brak blasku. Beaver robi krok naprzód, nie uśmiecha się, nie podaje ręki. *Przyszliśmy po Dudditsa, pani Cavell. Jesteśmy martwi, i on też.*

Z całej siły zacisnęła pięści, jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

Duddits niczego nie zauważył, ponieważ znowu spoglądał w okno z nadzieją i oczekiwaniem na twarzy. Chwilę później znowu zaczął cicho śpiewać:

— Uuuby–Uuuby–Duuu, ee eheś? Aaaamy ooś oo oooboyyy...

10

— Szary?

Cisza. Jonesy stał przy drzwiach w pomieszczeniu, które z pokoiku biurowego w budynku braci Tracker przekształciło się w jego gabinet (niewyszukane zdjęcie nagiej dziewczyny na tablicy zastąpiły „Nagietki” van Gogha), i coraz bardziej się niepokoił. Czego ten drań teraz szuka?

— Szary, gdzie jesteś?

Tym razem również nie otrzymał odpowiedzi, wyczuł jednak, że Szary się zbliża... i że jest szczęśliwy. Ten sukinsyn był szczęśliwy. Jonesy’emu wcale się to nie podobało.

— Posłuchaj! — Przycisnął ręce i czoło do drzwi swojej fortecy. — Mam dla ciebie propozycję. I tak jesteś już częściowo człowiekiem, może więc stałbyś się nim do końca? Myślę, że jakoś pomieścimy się w moim ciele, a ja pomógłbym ci się zorientować co i jak. Lody są świetne, piwo jeszcze lepsze. Co ty na to?

Przypuszczał, że Szary odczuwa taką pokusę, jaką mogła odczuwać jedynie istota pozbawiona substancji, której niespodziewanie zaproponowano przybranie cielesnej powłoki. Oferta rodem prosto z bajki.

Niestety, pokusa okazała się niewystarczająca, ponieważ chwilę potem Jonesy usłyszał warkot uruchamianego silnika.

— Dokąd jedziemy, kolego? Oczywiście zakładając, że uda nam się stąd jakoś wydostać.

Wciąż brak odpowiedzi, tylko to niepokojące przeświadczenie, że Szary czegoś szukał... i to znalazł.

Jonesy dopadł okna w samą porę, by ujrzeć, jak strumienie światła z reflektorów omiatają postument i stojące na nim postaci. Śnieg zdążył już całkowicie przysypać tabliczkę, co oznaczało, że minęło sporo czasu. Powoli, ostrożnie torując sobie drogę przez zaspy, dodge ram zaczął zjeżdżać ze wzniesienia.

Dwadzieścia minut później znowu jechali na południe autostradą.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY BOHATEROWIE

1

Henry spał tak głęboko, że Owen nie mógł go obudzić samym gadaniem, musiał skorzystać ze swoich niedawno nabytych telepatycznych umiejętności. Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczał, ponieważ byrus wciąż się rozrastał: rozprzestrzenił się już na trzy palce prawej ręki i niemal całkowicie wypełnił lewą małżowinę. Underhill stracił również kilka zębów, ale w miejscach po nich nic nie wyrosło — przynajmniej na razie.

Dzięki wyczulonemu instynktowi Kurtza zarówno on, jak i Freddy pozostali czysti. Nie dało się tego niestety powiedzieć o załogach dwóch ocalałych śmigłowców szturmowych. Od rozmowy z Henrym w szopie Owen coraz wyraźniej słyszał w głowie głosy kolegów, ostrożnie oswajających się z nowym, nieznanym im do tej pory sposobem porozumiewania się. Na razie wszyscy, podobnie jak on, ukrywali infekcję (bardzo pomocne okazały się ciężkie zimowe okrycia), prędzej czy później musiało to jednak wyjść na jaw. Nikt nie miał najmniejszego pojęcia, co począć z tym fantem.

Przynajmniej pod tym względem Owen miał szczęście, a w każdym razie tak mu się wydawało. Mógł się skoncentrować na konkretnym zadaniu.

Stojąc za szopą, tuż obok ogrodzenia, i paląc kolejnego niechcianego papierosa, Underhill wyruszył na poszukiwanie Henry'ego. Znalazł go, gdy tamten schodził po stromym, zarośniętym zboczu. Towarzyszyły mu głosy dzieciarni grającej w baseball lub softball. Henry miał kilkanaście lat i wołał kogoś — Janey? Jolie? Nieważne. Istotne było to, że śnił, a przecież Owen potrzebował go tutaj, w rzeczywistym świecie. I tak pozwolił mu długo spać, prawie godzinę dłużej, niż zamierzał, lecz jeśli chcieli wprowadzić w życie swój szaleńczy plan, należało już wziąć się do roboty.

Henry!

Nastolatek rozejrzał się ze zdziwieniem. Towarzyszyło mu jeszcze trzech chłopców w podobnym wieku... Nie, czterech. Jeden zaglądał do czegoś w rodzaju ogromnej rury. Ich sylwetki były niewyraźne, jakby rozmazane, a zresztą i tak nic nie obchodzili Owena. Zależało mu wyłącznie na Henrym, lecz nie na tej niedorosłej, pryszczatej wersji, tylko na dorosłym mężczyźnie.

Obudź się, Henry.

Ona tam jest! Musimy ją wydostać. Musimy...

Ona mnie nie interesuje, kimkolwiek jest. Obudź się.

Zaczekaj, ja tylko...

Już czas. Obudź się, Henry. Obudź się,

2

do cholery!

Henry usiadł raptownie, zupełnie zdezorientowany. Nie wiedział, kim ani gdzie jest, ale, co gorsza, nie miał również pojęcia kiedy. Ile miał lat? Osiemnaście, trzydzieści osiem, czy jakoś pośrodku? Czuł zapach trawy, słyszał odgłos uderzeń kija w piłkę (to był softball; dziewczęta w żółtych koszulkach grały w softball) i głos Pete'a: „Ona tam jest! Chłopaki, ona naprawdę tam jest!”.

— Pete widział linię... — wymamrotał, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co mówi.

Sen powoli gasł, jasne postaci ciemniały stopniowo, zastępowało je coś mrocznego. Coś, co powinien zrobić albo przynajmniej spróbować zrobić. Najpierw poczuł zapach starego siana, a potem, nieco mniej wyraźną, słodkokwaśną woń potu.

Czy może pan jakoś nam pomóc?

Wielkie oczy łani. Na imię miała Marsha. Obraz powoli się wyostrzał. „Raczej nie, odpowiedział, a potem dodał: Chociaż, być może”.

Obudź się, Henry! Już za kwadrans czwarta! Odpuść sobie ten wzwód i wciągaj skarpetki!

Ten głos był znacznie potężniejszy od pozostałych, bez trudu przytłaczał je i zagłuszał. Był jak dźwięk z walkmana przy świeżutkich bateriach i maksymalnej głośności. Głos Owena Underhilla. On nazywał się Henry Devlin i jeśli mieli spróbować tego dokonać, to właśnie teraz nadeszła właściwa pora.

Henry wstał, krzywiąc się z powodu bólu w nogach, barkach, ramionach, karku... Tam gdzie nie protestowały sforsowane mięśnie, swędział niemiłosiernie byrus. Czuł się tak, jakby miał sto lat, ale gdy zrobił pierwszy krok w kierunku okna, zmienił zdanie. Nie sto, tylko co najmniej sto dziesięć.

3

Owen dostrzegł zarys wysokiej sylwetki za brudną szybą i odetchnął z ulgą. Co prawda Henry poruszał się jak Matuzalem podczas ataku podagry, ale Owen miał coś, co powinno temu zaradzić, przynajmniej chwilowo. Ukraść to ze szpitala polowego, w którym panował taki rozgardiasz, że nikt nawet nie zauważył, jak wchodził i wychodził. Przez cały czas chronił swój umysł za podwójną gardą mantr, których nauczył go Henry: *Jedzie koguci koń do Banburry Cross i Wiem, że damy radę, wiem, że damy radę, o tak tak tak, na pewno jakoś sobie poradzimy...* Chyba podziałało, kilka osób obrzuciło go bowiem zdziwionymi spojrzeniami, ale nikt nie zadawał pytań. Nawet pogoda zdawała się im sprzyjać, ponieważ burza śnieżna rozszałała się na dobre.

W oknie pojawił się blady owal twarzy.

Nie wiem, co z tego będzie... nadał Henry. *Ledwo się ruszam.*

Pomogę ci. Odsuń się od okna.

Henry cofnął się, nie zadając pytań.

W jednej z kieszeni kurtki Owen miał metalowe pudełeczko z wytłoczonymi na wieku literami USMC, w którym trzymał potrzebne podczas danej akcji identyfikatory. Dostał je w prezencie od Kurtza po operacji na Santo Domingo. W innej kieszeni spoczywały kamienie, które zgarnął spod śmigłowca, kiedy śnieg dopiero zaczynał padać.

Wyjął jeden z nich, zważył w ręce — spory, solidny kawałek granitu — i na sekundę zamarł w bezruchu, w jego umyśle wybuchł bowiem przeraźliwie jaskrawy obraz. Mac Cavanaugh, ten, który podczas akcji stracił dwa palce, podniósł się z posłania w jednej z przyczep. Razem z nim był Frank Bellson z Błękitnego Trzy — drugiego helikoptera, który zdołał wrócić do bazy. Na stoliku, niczym elektryczna świeca, stała potężna latarka na osiem baterii. Wszystko to działo się teraz, w tej chwili, zaledwie sto pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym stał Owen z kamieniem w jednej ręce i metalowym pudełkiem w drugiej. Cavanaugh i Bellson usiedli obok siebie na podłodze. Obaj mieli na twarzach coś przypominającego gęste rude brody, taki sam złocistoczerwony zarost rozsadał od wewnątrz bandażę spowijającą okaleczoną rękę Cavanaugha. Obaj włożyli do ust końcówki luf swoich pistoletów maszynowych. Patrzyli sobie w oczy i w myśli. Bellson rozpoczął odliczanie: Pięć... cztery... trzy...

— Chłopcy, nie! — ryknął Owen, ale oni go nie słyszeli, zbyt mocno byli ze sobą połączeni, zbyt silne podjęli postanowienie. Mieli stać się pierwszymi, którzy tej nocy zdecydowali się na takie rozwiązanie, ale niemal na pewno nie ostatnimi.

Owen? To był Henry. *Owen, co się...*
Zobaczył to samo co Underhill i umilkł, zszokowany.
...dwa... jeden.

Dwa strzały oddane w tym samym ułamku sekundy, zagłuszone rykiem wiatru i warkotem czterech potężnych generatorów. Dwie fontanny krwi i tkanki mózgowej pojawiły się niemal równocześnie nad głowami Cavanaugha i Bellsona. Owen i Henry zobaczyli jeszcze, jak prawa noga Bellsona wykonuje coś w rodzaju nieudolnego kopnięcia, zawadza o stolik, strąca z niego latarkę, promień światła omiata porośnięte byrusem twarze, a potem obraz pociemniał i zgasł, niczym ekran telewizora po wyciągnięciu wtyczki z gniazdka.

— Boże... — wyszeptał Owen. — Dobry Boże...

Henry znowu pojawił się za oknem. Owen dał mu ręką znak, żeby się odsunął, po czym rzucił kamieniem. Mimo niewielkiej odległości pocisk nie trafił w cel, odbił się od zmurszałych desek i spadł w śnieg. Underhill wyjął z kieszeni drugi kamień, nabrał powietrza, wstrzymał oddech i rzucił. Tym razem szyba roztrzaskała się na kawałki.

Mam dla ciebie przesyłkę, Henry. Nie musisz kwitować.

Wrzucił pudełko do wnętrza szopy.

4

Jak tylko upadło na podłogę, Henry podniósł je i otworzył. W środku znajdowały się cztery zawinięte w folię pakunczki.

Co to?

Miniaturowe dopalacze. Jak tam twoje serce?

O ile wiem, w porządku.

To dobrze, bo przy tym głównie kokaina to valium. W każdym zawiniątku są dwie tabletki. Weź trzy, resztę zachowaj na później.

Nie mam wody.

Obraz nadesłany przez Owena był bardzo wyraźny: południowy koniec zmierzającego na północ osła.

Więc je pożuj, mądralo. Chyba zostało ci jeszcze parę zębów?

Henry'ego w pierwszej chwili zdumiał ładunek gniewu, a nawet wściekłości zawarty w tych słowach, czy raczej myślach, lecz szybko zrozumiał. Kto, jak nie on, mógł dzisiaj zrozumieć ból spowodowany utratą przyjaciół?

Tabletki były białe, pozbawione jakichkolwiek napisów i oznaczeń, i potwornie gorzkie. Niewiele brakowało, żeby zwymiotował przy połykaniu.

Działy błyskawicznie. Kiedy chował pudełko do kieszeni, jego serce uderzało już dwukrotnie szybciej niż przed chwilą, a kiedy podszedł do okna — trzykrotnie. Miał wrażenie, że gałki oczne pulsują mu w rytmie tego opętańczego łomotu, uczucie to jednak było całkiem przyjemne. Senność ulotniła się bez śladu, ból znikł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

— O rety! — wykrzyknął. — Nieźle trzepie!

Roześmiał się głośno, trochę dlatego, że posługiwanie się głosem wydało mu się nagle tak dziwne, że niemal archaiczne, a trochę dlatego, że tak dobrze się poczuł.

Nie drzyj się tak, dobrze?

Dobra. DOBRA!

Nawet jego myśli nabrały nowej, krystalicznej czystości, i chyba nie była to wyłącznie sprawka wyobraźni. Chociaż za szopą panował półcień, to i tak zobaczył wyraźnie, jak Owen krzywi się i odruchowo sięga ręką do skroni, jakby ktoś krzyknął mu coś z bliska w same ucho.

Przepraszam.

W porządku. Ale masz siłę! Chyba cały jesteś porośnięty tym syfem.

Wcale nie. Wróciło wspomnienie niedawnego snu, bardzo słabe: ich czterech na stromym zboczu. Nie, pięciu. Duddits też tam był.

Skup się, Henry. Pamiętasz, gdzie będę na ciebie czekał?

W południowo-zachodnim narożniku, po przeciwnej stronie niż stodoła, ale...

Tylko bez „ale”. Tam właśnie będę. Jeżeli chcesz się stąd wydostać, lepiej, żebyś też się tam zjawił. Teraz jest... Owen zerknął na zegarek. Skoro działa, to znaczy, że jest nakręcany, przemknęło Henry’emu przez głowę. ...za dwie czwarta.

Dam ci pół godziny. Jeśli w tym czasie nie zdołasz wywołać paniki, robię zwarcie i wyłączam prąd w ogrodzeniu.

Pół godziny to za mało! — zaprotestował Henry. Chociaż stał zupełnie nieruchomo, patrząc na Owena przez rozbite okno, to oddychał jak podczas forsownego biegu. Serce również biło mu jak podczas biegu.

Musi ci wystarczyć, oświadczył stanowczo Owen. Jak tylko ktoś dotknie płotu, włączy się alarm: syreny, migające światła i te rzeczy. Jak to się zacznie, czekam pięć minut. Powinieneś zdążyć policzyć do trzystu. Jeżeli się nie zjawisz, odjeżdżam.

Beze mnie nie znajdziesz Jonesy’ego.

Ale to nie znaczy, że muszę tu zostać i zginąć razem z tobą, odparł Owen cierpliwie i powoli, jakby rozmawiał z małym dzieckiem. *Zresztą jeśli nie uda ci się dotrzeć do mnie w ciągu pięciu minut, żaden z nas nie będzie miał najmniejszych szans.*

Ci dwaj ludzie, którzy popełnili samobójstwo... Chyba nie tylko oni mają byrusa?

Oczywiście.

Henry przechwycił obraz żółtego szkolnego autobusu wypełnionego uśmiechniętymi czaszkami. Te czaszki to byli towarzysze broni Owena Underhilla. Przyjechali tu wczoraj rano, a teraz albo już nie żyli, albo umierali.

Mniejsza o nich, ciągnął Owen. *Teraz naszym największym problemem jest Straż Imperium. Jeśli oni w ogóle istnieją, to na pewno są doskonale wyszkoleni i będą bez wahania wykonywać jego rozkazy. Żołnierzy szkoli się po to, żeby wiedzieli, co robić. Doskonale wyszkolony żołnierz wie, co robić w każdej sytuacji. Jeśli będziesz się tu zbyt długo kręcił, przerobią cię na gulasz. Od chwili kiedy włączy się alarm, masz najwyżej pięć minut, ani sekundy więcej.*

Twardej logice Owena trudno było cokolwiek zarzucić.

W porządku, zgodził się Henry. Pięć minut.

Pamiętaj, że wcale nie musisz tego robić. Myśl nadeszła do Henry’ego w otocze wymieszanych uczuć i emocji: frustracji, poczucia winy, lęku — w przypadku Owena Underhilla był to lęk nie przed śmiercią, lecz przed porażką. *Jeśli mówisz prawdę, wszystko zależy od tego, czy uda nam się stąd zwać. Zastanów się, czy warto ryzykować los całego świata z powodu kilkuset...*

Twój szef na pewno by tak nie postąpił, prawda?

Owen zareagował w przedziwny sposób: zamiast słów albo ubranych w słowa myśli, w głowie Henry’ego rozbłysł ogromny, komiksowy wykrzyknik. Chwilę potem poprzez wycie wichru do jego uszu dotarł śmiech Underhilla.

Złatwiłeś mnie, przystojniaku.

Nie bój się, ruszę ich. Jestem mistrzem w dostarczaniu ludziom motywacji.

Wiem, że na pewno spróbujesz. Chociaż Henry nie mógł dostrzec jego twarzy, to wiedział, że Underhill się uśmiecha.

— A potem? — zapytał głośno Owen. — Co będzie potem? Powiedz mi jeszcze raz.

Dlaczego?

— Dlatego że żołnierze też potrzebują motywacji, szczególnie wtedy, kiedy dezerterują. I daruj sobie telepatię. Chcę to usłyszeć. Chcę to usłyszeć głośno i wyraźnie.

Henry patrzył przez chwilę bez słowa na mężczyznę stojącego po drugiej stronie ogrodzenia, a następnie powiedział:

— Potem zostaniemy bohaterami. Nie dlatego że tego chcemy, ale dlatego że nie mamy wyboru.

Owen pokiwał głową. Wciąż się uśmiechał.

— No pewnie — mruknął. — Dlaczego by nie?

Oczyrna duszy Henry zobaczył małego chłopca z półmiskiem w uniesionych rękach. Ten dorosły człowiek chciał, żeby chłopiec odstawił półmisek na miejsce. Półmisek, którego wspomnienie prześladowało go od tylu lat i który już zawsze miał pozostać rozbity.

5

Od dzieciństwa pozbawiony snów i dlatego szalony, Kurtz obudził się tak jak zawsze: w jednej chwili pogrążony w niebycie, w następnej w pełni przytomny i gotowy do działania. I to do jakiego działania! Spojrzał na budzik przy łóżku, ale to cholerstwo, mimo wymyślnej ekranującej obudowy, znowu zgłupiało i pokazywało migającą dwunastkę, niczym jąkała, który beznadziejnie utknął na zbyt trudnej do wypowiedzenia sylabie. Kurtz włączył lampkę i wziął do ręki nakręcany zegarek leżący na nocnym stoliku. Osiem po czwartej.

Odłożył zegarek, postawił bosc stopy na podłodze, usiadł i zaraz potem wstał. Pierwszą rzeczą, na jaką zwrócił uwagę, było wściekłe wycie wiatru, drugą — całkowita cisza w jego głowie. Mamroczące głosy umilkły. Fala telepatii wygasła i Kurtza bardzo to ucieszyło. Czuł się osobiście urażony tym zjawiskiem, kłóciło się z jego wewnętrznym poczuciem przyzwoitości, tak samo jak niektóre praktyki seksualne. Świadomość, że ktoś mógłby zaglądać do jego głowy i grzebać w jego myślach, wywoływała wstręt i odrazę. Już tylko za to, już tylko za sprowadzenie tej telepatycznej zarazy Szarzy zasługiwali na unicestwienie. Dzięki Bogu, że okazała się tak krótkotrwała.

Kurtz ściągnął szare spodenki, stanął nagi przed lustrem zamontowanym na drzwiach sypialni i przesunął spojrzeniem po swoim odbiciu, od stóp poczynając (pojawiała się już na nich pajęczka siatka czerwonych naczynek krwionośnych), na zmierzwionych siwych włosach na szczycie głowy kończąc. Miał sześćdziesiąt lat, lecz wciąż prezentował się całkiem nieźle. Najgorzej było z tymi stopami. Sprzęt też prezentował się całkiem przyzwoicie, chociaż Kurtz niezbyt często go używał. Większość kobiet to były podstępne istoty, nie znające pojęcia lojalności. Działy niszczycielsko na mężczyzn. W głębi swego szalonego serca, tam gdzie nawet jego obłęd był czysty, odprasowany i śmiertelnie nudny, Kurtz wierzył, że seks nie ma najmniejszego sensu. Nawet kiedy uprawiało się go w celach prokreacyjnych, w rezultacie otrzymywało się zazwyczaj wyposażony w mózg guz, pod wieloma względami bardzo podobny do gównianych łasic.

Wzrok Kurtza powędrował powoli w dół, szukając choćby najmniejszego śladu złocistoczerwonej zarazy. Nic. Odwrócił się, zerkając przez ramię, obejrzał się od tyłu, rozchylił pośladki, wepchnął palec w odbyt. Bez rezultatu.

— Jestem czysty — oznajmił cicho, po czym umył ręce w małej łazience. — Czysty jak ła.

Wciągnął spodenki i usiadł na łóżku, żeby włożyć skarpetki. Czysty, dzięki Bogu czysty. Cóż to za wspaniałe słowo: czysty. Nieprzyjemne wrażenie towarzyszące telepatii, podobne ocieraniu się spoconego ciała, znikło, on zaś nie miał na sobie ani jednego włókienka Ripley. Sprawdził nawet język i dziąsła.

W takim razie co go obudziło? Dlaczego w głowie wciąż dzwoniło mu na alarm?

Ponieważ telepatia nie była jedyną formą postrzegania pozazmysłowego. Ponieważ na długo przedtem, zanim szarzy w ogóle się dowiedzieli, że w odległym, zakurczonym kącie

Galaktyki jest coś takiego jak planeta Ziemia, na tej właśnie Ziemi istniał instynkt — specjalność *Homo sapiens* w mundurach.

— Przeczucie — powiedział Kurtz głośno i wyraźnie. Po prostu stare dobre przeczucie, i tyle.

Wciągnął spodnie, a potem, wciąż nagi od pasa w górę, wziął do ręki walkie-talkie leżące na nocnym stoliku obok zegarka. (Szesnaście po czwartej, czas zdawał się pędzić na oślepnącym zjeżdżającym ze stromego zbocza, pozbawiony hamulców samochód, z każdą sekundą coraz bardziej zbliżający się do ruchliwego skrzyżowania). Walkie-talkie wyposażone było również w specjalny, rzekomo odporny na wszelkie zakłócenia zegar cyfrowy, lecz jeden rzut oka na wyświetlacz utwierdził Kurtza w przekonaniu, że nic nie było odporne na cokolwiek.

Nacisnął dwukrotnie przycisk wywołania. Freddy Johnson odezwał się niemal natychmiast i wcale nie sprawiał wrażenia zaspanego... a jednak Kurtzowi (który urodził się jako Robert Coonts — Boże, jak mogłeś mi to zrobić?) bardzo, ale to bardzo brakowało Underhilla. Owen, Owen... przemknęło mu przez głowę. Dlaczego wystawiłeś mnie do wiatru akurat wtedy, kiedy najbardziej cię potrzebuję?

— Tak, szefie?

— Przesuwam Straż Imperium na szóstą. Powtarzam: Straż Imperium wchodzi do akcji o szóstej. Potwierdź.

Musiał wysłuchać bełkotliwego tłumaczenia, dlaczego to jest niemożliwe. Owen nigdy w życiu nie pozwoliłby sobie na coś takiego. Pozwolił Freddy'emu gadać bez przerwy przez czterdzieści sekund, a następnie wycedził:

— Stul pysk, sukinsynu.

Freddy umilkł, zszokowany.

— Coś się szykuje. Nie wiem co, ale ja nigdy nie budzę się bez powodu w środku nocy. Ściągnąłem was tu wszystkich w jakimś celu, więc jeśli chcesz doczekać kolacji, to bierz się do roboty i tak ciągnij za sznurki, żeby wszystko działało. Powiedz Gallagher, żeby się związała. Potwierdź, Freddy.

— Szefie, potwierdzam, ale jest sprawa, o której powinien pan wiedzieć: mieliśmy już cztery samobójstwa. O tylu wiem, jednak może już być więcej.

Kurtza ani to nie zaskoczyło, ani nie rozgniewało. W pewnych okolicznościach samobójstwo było nie tylko do zaakceptowania, lecz nabierało szlachetnej wymowy, stawało się jedynym wyjściem godnym dżentelmena.

— Załogi śmigłowców?

— Tak jest.

— Ale nikt ze Straży Imperium?

— Nikt, szefie.

— W porządku. Ruszaj się, chłopcze. Szykują się kłopoty.

Jeszcze nie wiem, co to jest, ale na pewno nadejdzie. Duża burza, większa niż do tej pory.

Kurtz rzucił walkie-talkie z powrotem na stół i ubrał się do końca. Chętnie zapaliłby papierosa, lecz nie został mu już ani jeden.

6

Stodoła starego Gosselina pełniła niegdyś funkcję obory dla wielu mlecznych krów. Co prawda obecnie jej wnętrze z pewnością nie otrzymałoby pozytywnej oceny kontrolera z Departamentu Rolnictwa, niemniej sama budowla znajdowała się w całkiem przyzwoitym stanie. Żołnierze doprowadzili przewody i zainstalowali kilkanaście mocnych żarówek, które teraz rzucały jaskrawe, bezlitosne światło na obszerne wnętrze. Wstawili również kilka grzejników, w związku z czym w stodole zrobiło się niemal gorąco. Henry natychmiast rozpiął kurtkę, lecz i tak spociał się w okamgnieniu. Podejrzewał, że częściowo są za to

odpowiedzialne otrzymane od Owena pastylki; przed samym wejściem do stodoły zażył jeszcze jedną.

Kiedy tylko się rozejrzał, od razu mu przyszło do głowy, że widok jest niemal taki sam jak w niezliczonych obozach dla uchodźców, które oglądał: dla bośniackich Serbów w Macedonii, dla haitańskich rebeliantów po desancie amerykańskich komandosów w Port-au-Prince, afrykańskich uchodźców uciekających przed chorobami, głodem, wojną domową lub wszystkimi trzema nieszczęściami naraz. Podobne obrazki często ogląda się w telewizji, nie robią jednak wtedy takiego wrażenia, a przerażenie i współczucie, które wywołują, ma charakter czysto kliniczny. Tutaj sprawa przedstawiała się inaczej, ponieważ można tu było dotrzeć bez paszportu. To była stodoła w Nowej Anglii, a stłoczeni w niej ludzie nie mieli na sobie nędznych łachmanów, lecz nowiutkie puchowe kurtki, modne spodnie, kolorowe czapeczki i bieliznę ze znaczkami Fruit of the Loom. Ogólne wrażenie pozostawało jednak prawie takie samo, z tą może różnicą, że na twarzach ludzi malowało się znacznie większe zdziwienie. Coś takiego nie miało prawa wydarzyć się w tym kraju. W ich kraju.

Zatrzymani leżeli na podłodze w środkowej części stodoły, zajmowali miejsca na antresolach po obu stronach (kiedyś przechowywano tam siano), po trzy lub cztery osoby gnieździły się w każdym z czterdziestu boksów. Słysząc było chrapanie, a także westchnienia i jęki ludzi, którym śniło się coś bardzo niemiłego. Od czasu do czasu zapłakało gdzieś dziecko. Wrażenia nierzeczywistości dopełniała muzyka sącząca się z kilku podwieszonych pod stropem głośników. W tej chwili była to ociekająca smyczkami orkiestrowa wersja „Some Enchanted Evening”.

Wyostrene działaniem środków chemicznych postrzeganie Henry’ego sprawiło, że wchłonął ten obraz w okamgnieniu, ze wszystkimi, nawet najdrobniejszymi szczegółami i z niezwykłą ostrością. Ile tych pomarańczowych kamizelek i czapek! — przemknęło mu przez głowę. Halloween w piekle!

Równie wyraźnie zaznaczała się obecność koloru złocistoczerwonego. Grzyb z kosmosu rósł na policzkach, w uszach, między palcami, na podtrzymujących dach belkach oraz przewodach elektrycznych. W stodole dominowała woń starego siana, lecz Henry bez trudu wyczuł ukryty pod nią smród siarkowodoru zmieszanego z alkoholem etylowym. Śpiący nie tylko chrapali i jęczeli, ale również wypuszczali gazy. Brzmiało to jak pierwsza wspólna próba zespołu instrumentów dętych, złożonego z niezbyt utalentowanych muzyków. W innych okolicznościach z pewnością byłoby to zabawne... Zresztą może nawet i w tych, ale nie dla kogoś, kto widział beznogą łasicę wijącą się i szczyrzącą zęby na zakrwawionym łóżku Jonesy’ego.

Ciekawe, ilu z nich nosi już w sobie to świństwo? — pomyślał. Raczej nie miało to większego znaczenia, ponieważ w ostatecznym rozrachunku łasicę okazywały się zupełnie niegroźne. Tutaj, w stodole, może zdołałyby przeżyć poza ciałami nosicieli, lecz na zewnątrz, w szalejącej zamieci i przy temperaturze sporo poniżej minus trzydziestu stopni, nie miałyby najmniejszych szans.

Musiał porozmawiać z tymi ludźmi. Nie, poprawka: musiał nimi wstrząsnąć i przerazić ich tak, jak nie przeraził ich nikt w życiu. Musiał do nich dotrzeć, chociaż tu było ciepło, a na zewnątrz tak zimno i wietrznie. Musiał przeistoczyć ich z powrotem w prawdziwe ludzkie istoty — wystraszone i wkurzone. Mógł to osiągnąć, ale nie sam, a zegar tykał. Z półgodziny, którą dał mu Owen Underhill, pozostało jeszcze najwyżej dwadzieścia minut.

Przede wszystkim potrzebuję megafonu, pomyślał. Od tego muszę zacząć.

Rozejrzał się, dostrzegł krępego, łysiejącego mężczyznę śpiącego na boku zaraz na lewo od drzwi i podszedł, żeby mu się przyjrzeć. Wydawało mu się, że to jeden z paczki, którą wyrzucił z szopy, ale nie był pewien. Krępych łysiejących myśliwych było tu na pęczki.

To jednak rzeczywiście był Charles, z kolei parę kroków dalej leżała Marsha, trzymając się za rękę z Darrenem, Nieustraszonym Skręciarzem z Newton. Na jednym z jej gładkich

policzków pojawił się byrus. Jej mąż wciąż był czysty, na szwagrze natomiast — Bill, zgadza się? — wprost roilo się od tego świństwa.

Henry ukląkł przy Billu, ujął go za pokrytą byrusem rękę i przemówił w spletaną dżungłę jego koszmarnych snów: *Obudź się, Bill. Już pora. Musimy się stąd wydostać. Uda nam się, jeżeli mi pomożesz. Obudź się, Bill.*

Obudź się i zostań bohaterem.

7

Wszystko odbyło się z zapierającą dech prędkością.

Henry poczuł, jak umysł Billa pędzi na spotkanie jego umysłu, rozszarpując krępujące go więzy sennych koszmarów, i wyciąga ku niemu rękę jak tonący, który w ostatniej chwili dostrzegł śpieszącego z pomocą ratownika. Chwilę później ich umysły połączyły się jak sprzęgi dwóch wagonów.

Nic nie mów, nawet nie próbuj, ostrzegł go Henry. *Tylko słuchaj. Potrzebujemy jeszcze Marshy i Charlesa. Czwooro powinno wystarczyć.*

Ale co...

Nie mamy czasu, Billy. Do roboty.

Bill wziął szwagierkę za rękę. Marsha natychmiast otworzyła oczy, jakby tylko czekała na sygnał. Strzałki na tarczach wskaźników wewnątrz głowy Henry'ego znowu przesunęły się nieco wyżej. Kobieta nie miała na sobie zbyt wiele byrusa, ale widocznie dysponowała naturalnymi umiejętnościami, z których do tej pory nie zdawała sobie sprawy. Bez najmniejszego wahania sięgnęła po rękę Charlesa. Henry był niemal pewien, że od razu zrozumiała, co się dzieje i co należy uczynić. Zdawała też sobie sprawę z tego, jak niewiele mają czasu. Musieli dosłownie zbombardować tych ludzi, a potem posłużyć się nimi jak maczugą.

Charles usiadł raptownie, oczy mało nie wyskoczyły mu z orbit na nalanej twarzy, zaraz potem zerwał się na równe nogi. Wstali wszyscy czwooro, trzymając się za ręce niczym uczestnicy seansu spirytystycznego... którymi w pewnym sensie byli.

Dajcie mi to, rozkazał, a oni posłuchali. Poczuł się tak, jakby ktoś włożył mu do ręki czarodziejską różdżkę.

Słuchajcie! — zawołał.

Niektórzy podnieśli głowy, inni poderwali się jak po niewielkim, ale odczuwalnym wyładowaniu elektrycznym.

Słuchajcie i naładujcie mnie. Naładujcie! Rozumiecie, co do was mówię? Naładujcie mnie! To wasza jedyna szansa, więc NAŁADUJCIE MNIE!!!

Zrobili to odruchowo, jakby gwizdali zastysznaną melodię lub klaskali do rytmu. Gdyby dał im czas do namysłu, przypuszczalnie byłoby trudniej, może nawet wcale by się nie udało, ale nie dał. Większość jeszcze spała, zaskoczył zatem tych najbardziej zainfekowanych, najsilniejszych telepatów, w chwili kiedy ich umysły stały otworem.

Zdając się wyłącznie na instynkt, wysłał kilka obrazów: żołnierze w maskach otaczają stodołę, część ma pistolety maszynowe w rękach, część dźwiga na plecach coś jakby kanistry, do których za pomocą elastycznych przewodów podłączono półtorametrowe, dość cienkie rury. Twarze żołnierzy to maski wykrzywione niemal karykaturalną nienawiścią. Na wykrzyczany przez megafon rozkaz z rur tryska płynny ogień, spada na dach i ściany, stodoła niemal natychmiast staje w płomieniach. Wewnątrz ludzie wrzeszczą, kłębią się w panice, płynny ogień leje się przez okna i dziury w dachu, ogarnia ubrania, przykleja się do skóry...

Wszystkie oczy zwróciły się na niego i na trzy „podłączone” do niego osoby. Co prawda wysyłane przez niego obrazy odbierali jedynie telepaci, lecz stanowili oni już co najmniej

sześćdziesiąt procent zatrzymanych, pozostali natomiast bez trudu wyczuwali narastającą panikę... Przyływ podnosi wszystkie łodzie.

Zacisnąwszy jeszcze mocniej palce na rękach Billa i Marshy, Henry zmienił ujęcie na zewnętrzne: płonąca stodoła, żołnierze i wzmocniony przez megafon głos powtarzający co chwila, że nie może pozostać nikt żywy, nikt żywy...

Wszyscy już stali, zadawali pytania podniesionymi głosami (z wyjątkiem najgłębszych telepatów, którzy tylko wpatrywali się w niego nieruchomymi, dzikimi oczami). Pokazał im strzelające wysoko w nocne, zaśnieżone niebo płomienie, pokazał im ogniste piekło, bezustannie podsycane strumieniami napalmu, kazał im słuchać głosu wykrzykującego przez megafon: **DOSKONALE, CHŁOPCY! ZAŁATWCIE ICH WSZYSTKICH! NIKT NIE MOŻE UCIEC! ONI SA RAKIEM, A MY JESTEŚMY LEKARSTWEM!**

Wyobraźnia Henry'ego również karmiła się stwarzanymi przez siebie obrazami, również rozkwitała, zupełnie jak rozniecone przez nią płomienie. Kilkanaście osób zdołało wydostać się z pożogi, wśród nich płonąca kobieta z dzieckiem w ramionach. Wszyscy padli od serii z broni maszynowej, z wyjątkiem kobiety i dziecka, którzy zamienili się w żywe pochodnie.

— Nie! — krzyknęło równocześnie kilka kobiet. Henry uświadomił sobie z niezdrowym zdumieniem, że wszystkie, nawet te bezdzietne, nadały uciekającej kobiecie własne rysy.

Tłum kłębił się i falował jak stado krów podczas burzy. Musiał wprowadzić go w bardziej ukierunkowany ruch, zanim ludzie zdążą się zastanowić. Zebrał wszystkie siły, jakimi napełniły go podłączone do niego umysły, wysłał obraz przedstawiający wnętrze sklepu.

TAM! TAM JEST WASZA JEDYNA NADZIEJA! PRZEDOSTAŃCIE SIĘ PRZEZ SKLEP, ZWALCIE OGRODZENIE! NIE ZATRZYMUJCIE SIĘ, NIE WAHAJCIE! UKRYJCIE SIĘ W LESIE! ONI SPALĄ STODOŁĘ, ZABIJĄ WAS WSZYSTKICH, WIĘC MUSICIE UCIEKAĆ! TO WASZA JEDYNA SZANSA! SZYBKO!

Zanurzony głęboko w studni własnej wyobraźni, wręcz boleśnie przytomny za sprawą pastylek Owena, z prostymi, całkowicie jednoznacznymi obrazami przed oczami — tutaj nadzieja na życie, tam pewna śmierć — ledwo zdawał sobie sprawę z tego, że zaczął głośno skandować:

— Już! Już! Już!

Najpierw podchwyciła to Marsha, zaraz potem jej szwagier, wreszcie Charles.

— Już! Już! Już!

Chociaż odporny na byrusa i tym samym posiadający takie same zdolności telepatyczne jak przeciętny niedźwiedź, Darren dał się ogarnąć uniesieniu i przyłączył się do chóru:

— Już!!! Już!!! Już!!!

Iskra przeskakiwała z człowieka na człowieka i z grupki na grupkę, bardziej zaraźliwa niż byrus.

— Już!!! Już!!! Już!!!

Stodoła trzęsa się od ryku, zaciśnięte pięści przeszywały powietrze jak podczas rockowego koncertu.

— JUŻ!!! JUŻ!!! JUŻ!!!

Henry nawet nie zauważył, kiedy oddał im inicjatywę, kiedy sam znalazł się niebezpiecznie blisko krawędzi wiru, który stworzył. Z najwyższym trudem przypomniał sobie, że gdy wreszcie ruszą, nie wolno mu się do nich przyłączyć; oni skierują się na północ, on musi podążać na południe. Czekał już tylko na chwilę, gdy miną punkt bez powrotu, gdy nastąpi samoczynny zapłon, a zaraz potem erupcja.

Doczekał się.

— Już... — szepnął.

Zebrał umysły Marshy, Billa, Charliego i jeszcze kilku stojących w pobliżu osób, połączył je w całość, zgniótł, ulepił z nich coś na kształt srebrzystego pocisku, po czym strzelił w głowy trzystu siedemnastu ludzi zgromadzonych w stodole starego Gosselina:

JUŻ.

Na chwilę zapadła cisza, a potem rozpętało się piekło.

8

Tuż przed zmierzchem wzdłuż ogrodzenia rozstawiono w równych odstępach dziesięć dwuosobowych budek strażniczych. (W rzeczywistości były to przenośne toalety, z których usunięto sedesy, pisuary i umywalki, wstawiono natomiast grzejniki). W maleńkich pomieszczeniach było ciepło i przytulnie, strażnicy nie mieli więc najmniejszej ochoty wychodzić w szalejącą zamieć; ich kontakty ze światem zewnętrznym ograniczały się do uchylania od czasu do czasu drzwi w celu wpuszczenia do wnętrza odrobiny świeżego powietrza. W większości byli typowymi żołnierzami okresu pokoju, którzy nie zdawali sobie sprawy z tego, o jak wysoką stawkę toczy się gra, w związku z czym spędzali czas na rozmowach o seksie, samochodach, zaletach i wadach przydziałów do rozmaitych jednostek, seksie, rodzinach, przyszłości, seksie, alkoholu, narkotykach i seksie. Przeoczyli obie wycieczki Owena Underhilla w okolicę szopy (byłby doskonale widoczny z posterunków 9. i 10.) i nie mieli najmniejszego pojęcia o nadciągającej rewolucji.

Siedmiu żołnierzy, którzy byli z Kurtzem nieco dłużej, siedziało przy piecu na zapleczu sklepu, w tym samym pomieszczeniu, w którym jakieś dwieście lat temu Owen odtwarzał Kurtzowi taśmę z *ne nous blessez pas*, i grało w pokera. Sześciu spośród nich trzymało straż, siódmym był Gene Cambry, kolega Dawga Brodsky'ego. Cambry nie mógł zasnąć. Jego problemy z zaśnięciem miały ścisły związek z elastyczną opaską na nadgarstku. Cambry nie wiedział, jak długo jeszcze opaska zdoła ukryć rosnącą pod nią złocistoczerwoną kępkę. Gdyby ktoś ją zauważył, zamiast z kumplami przy piecu znalazłby się w stodole razem z tymi cholernymi cywilami.

Czy jednak tylko on jeden? Ray Parsons miał w uchu wacik — co prawda twierdził, że go zawiąło, ale kto wie, jaka była prawdziwa przyczyna? Ted Trezewski miał opatrunek na umięśnionym ramieniu — podobno skaleczył się drutem kolczastym podczas umacniania ogrodzenia padoku. Być może. George Udall, w bardziej normalnych czasach bezpośredni przełożony Dawga, nosił na zupełnie łysej głowie wydzierganą na szydełku czapeczkę, w której wyglądał jak jakiś kretyński biały raper. Być może pod czapeczką była tylko naga skóra, ale kto wie? Przecież pod taką czapeczką jest ciepło, a kiedy człowiek się spoci, to i wilgotno...

— Daję dolca — rzucił Howie Everett.

— Sprawdzam — powiedział Danny O'Brian.

Parsons też chciał sprawdzić, podobnie jak Udall. Cambry prawie nie zwracał uwagi na licytację, ponieważ przed oczami miał kobietę z dzieckiem na rękach, brnącą przez zasypany śniegiem padok. W pewnej chwili żołnierz z miotaczem płomieni zamienił ją i dziecko w napalmową pochodnię. Cambry aż się szarpnął, a zaraz potem skrzywił się boleśnie, przekonany, że do głosu doszły wyrzuty sumienia.

— Co z tobą, Gebe? — spytał Al Coleman. — Mówisz coś czy...

— Co to? — przerwał mu Howie, marszcząc brwi.

— Niby co? — zapytał Ted Trezewski.

— Posłuchaj, to usłyszysz — warknął Howie, w duchu zaś dodał: Głupi Polaczku.

Teraz, kiedy wiedzieli już, że powinni wyteńczyć słuch, bez trudu usłyszeli przybierające z każdą chwilą na sile skandowanie:

— Już! Już! Już!!! JUŻ!

Dochodziło zza ściany, z sąsiadującej ze sklepem stodoły.

— Co jest, do cholery? — wymamrotał Udall ze zdumieniem.

Gene Cambry uzyskał niepodważalny dowód, że pod dzierganą czapeczką na głowie Udalla jest tylko naga skóra. Chociaż oficjalnie właśnie Udall tu dowodził, to jednak nie miał pojęcia, co się dzieje. Nie widział zaciśniętych pięści, nie słyszał prowadzącego, bezgłośnego głosu.

Cambry dostrzegł niepokój na twarzach Parsonsa, Everetta i Colemana. Oni to widzieli. Zarazeni spojrzeli po sobie ze zrozumieniem, podczas gdy na twarzach niezainfekowanych wciąż gościło zdumienie.

— Skurwiele chcą się wydostać — powiedział Cambry.

— Nie bądź idiotą, Gene — odparł George Udall. — Przecież nie mają pojęcia, co ich czeka, a poza tym to cywile. Awanturują się trochę, i ty...

Reszty Cambry nie usłyszał, ponieważ świat przesłoniło mu ogromne, oślepiające słowo JUŻ! Ray Parsons i Al Coleman skrzywili się boleśnie, Howie Everett aż krzyknął, złapał się za głowę i odruchowo podkulił kolana, uderzając od spodu w stolik i zrzucając na podłogę wszystko, co na nim się znajdowało. Dolarowy banknot wylądował na piecu, leżał tam przez chwilę, po czym buchnął płomieniem.

— Kurwa mać, zobacz, coś zrobił! — wybuchnął Ted.

— Oni zaraz tu będą — powiedział Cambry bezbarwnym tonem. — Zaraz dobiorą się nam do skóry.

Parsons, Everett i Coleman rzucili się do pistoletów maszynowych opartych o ścianę obok wieszaka. Pozostali gapili się na nich z otwartymi ustami, nic nie rozumiejąc. Chwilę potem rozległ się potężny łomot, kiedy kilkadziesiąt ciał rąbnęło we wrota stodoły. Wzmocnione wojskowymi zamkami wrota wytrzymały, ale zatrzęsły się od góry do dołu, wygięły, a kilka starych desek i jedna lub dwie poprzeczne belki pękły z donośnym trzaskiem. Więźniowie natychmiast rzucili się w wąską szczelinę, depcząc się i przepychając.

Cambry również doskoczył do pistoletów, chwycił jeden, lecz niemal natychmiast ktoś wyrwał mu go z rąk.

— To mój, dupku! — warknął Ted Trezewski.

Stodołę dzieliło od zaplecza sklepu nie więcej niż dwadzieścia metrów. Wrzeszczący dziko tłum popędził na oślep przed siebie. Stolik przewrócił się z łomotem na podłogę, pierwsze ciała runęły na ogrodzenie, zawyły syreny alarmowe, ludzie nabijali się na zwoje drutu kolczastego, smażyli się jak ryby na wolnym ogniu. Chwilę potem rozległ się sygnał Czerwonego Alarmu równoznacznego z czymś zbliżonym do końca świata. Przez okienka tymczasowych budek strażniczych wyjrzały zdziwione, zaniepokojone twarze.

— To stodoła! — krzyknął ktoś. — Uciekają ze stodoły!

Strażnicy wysypali się z budek — kilku nie zdążyło nawet włożyć butów — i pobiegli w kierunku stodoły, trzymając się z dala od płotu. Nie wiedzieli, że po desperackim ataku kilkudziesięciu kamikadze w myśliwskich strojach instalacja nie wytrzymała, strzeliły bezpieczniki i prąd przestał płynąć przez druty.

Nikt nie zwrócił uwagi na samotnego, wysokiego mężczyznę w staromodnych okularach w rogowej oprawie, który wymknął się z tyłu stodoły i ruszył na ukos przez padok. Chociaż Henry również miał wrażenie, że nikt go nie widzi, to jednak ruszył biegiem — a w każdym razie przyspieszył kroku na tyle, na ile pozwalały mu sięgające już powyżej kolan zasp. W blasku reflektorów czuł się nagi i bezbronny, a zawrośnięcie syren alarmowych doprowadzało go do obłędu. Czuł się prawie tak jak tego dnia za budynkiem braci Tracker, kiedy usłyszał płacz Dudditsa.

Modlił się w duchu, żeby Underhill na niego czekał. Nic nie widział, śnieg sypał zbyt gęsto, żeby dostrzec cokolwiek poza ogrodzeniem padoku, lecz już wkrótce miał się przekonać, czy jego modlitwy zostały wysłuchane.

Kiedy rozległ się alarm i włączyły się dodatkowe światła, zalewając teren bazy jeszcze większą porcją blasku, Kurtzowi został do włożenia już tylko jeden but. Nie był zaskoczony, nie był wściekły; odczuwał jedynie mieszaninę ulgi i irytacji. Ulgi, że cokolwiek dręczyło go od środka, wreszcie się uzewnętrzniło, irytacji zaś, że nie zaczęło jeszcze dwóch godzin. Jeszcze dwie godziny i byłoby po krzyku.

Trzymając but w lewej ręce, prawą gwałtownie otworzył drzwi samochodu. Od strony stodoły dobiegał dziki ryk, coś w rodzaju wojennego okrzyku, do którego, na przekór wszystkiemu, rwało mu się serce. Huraganowy wiatr trochę przycichł, ale niewiele. A więc w tym gnuśnym, dobrze odżywionym, leniwym tłumie znalazł się jakiś Spartakus... Kto by pomyślał, że coś takiego będzie możliwe?

Wszystko przez tę cholerną telepatię, pomyślał. Jak zwykle niezawodny instynkt ostrzegął go przed poważnymi problemami, informował go, że najprawdopodobniej całą operację właśnie szlag trafił, lecz on mimo to się uśmiechał. Tak, wszystko przez tę cholerną telepatię. Pewnie wyczuli, co ich czeka, i ktoś postanowił zadziałać, póki czas.

Na jego oczach przez wyłamane w drzwiach stodoły otwory wylał się pstrokaty tłum złożony niemal wyłącznie z mężczyzn. Większość miała na sobie pomarańczowe myśliwskie czapki i kamizelki. Jeden potknął się, upadł na sterczącą deskę i nabił się na nią jak wampir. Inny upadł i natychmiast został zdeptany przez biegnących za nim. Wszystko to odbywało się w pełnym blasku reflektorów. Kurtz czuł się jak widz w łożu honorowej podczas walki o mistrzostwo świata. Widział każdy, nawet najdrobniejszy szczegół.

Dwa oddziały uciekinierów, każdy liczący pięćdziesięciu do sześćdziesięciu ludzi, oddzieliły się sprawnie od głównych sił i zaatakowały ogrodzenie po obu stronach sklepu. Albo nie wiedzieli, że ogrodzenie jest pod prądem, albo zupełnie się tym nie przejmowali. Reszta uderzyła bezpośrednio na tylną ścianę budynku, czyli w najsłabsze miejsce umocnień. Kurtz podejrzewał jednak, że nie ma to większego znaczenia, ponieważ przy takiej furii i desperacji z pewnością przedarliby się w dowolnym miejscu.

Przygotowywał się w duchu na wiele scenariuszy, ale nie na ten, w którym kilkuset cierpiących na nadwagę niedzielnych myśliwych przypuścił samobójczy atak na jego ludzi. Był przekonany, że będą potulnie siedzieć w stodole, upominając się tylko od czasu do czasu o swoje tak zwane prawa i czekając na chwilę, kiedy zostaną upieczeni jak kiełbaski na grillu.

— Całkiem niezłe, chłopcy — powiedział cicho.

Wszystko wskazywało na to, że jego kariera dobiega powoli końca, kiedyś jednak musiało to w końcu nastąpić i chyba lepiej, że stanie się to podczas takiej operacji, a nie jakiejś innej. Zdaniem Kurtza małe szare ludziki miały tylko marginalne znaczenie. Gdyby kierował jakąś gazetą, wielki tytuł na pierwszej stronie głosiłby nazajutrz: NIESPODZIANKA! AMERYKANIE EPOKI NEW AGE UDOWADNIAJĄ, ŻE MAJĄ JAJA! Niewiarygodne. Aż szkoda ich zabijać.

Odezwała się syrena ogłaszająca czerwony alarm. Pierwsza fala atakujących uderzyła w tylną ścianę sklepu. Kurtz mógłby przysiąc, że widzi, jak budynek trzęsie się w posadach.

— Przeklęta telepatia — wycedził z uśmiechem. Jego chłopcy już zareagowali. Wybiegali z budek strażniczych, z przyczep i samochodów campingowych, pędzili od strony parkingu. Jednak w miarę jak upływały kolejne sekundy, uśmiech na twarzy Kurtza coraz bardziej bladł, ustępując miejsca grymasowi zdziwienia i zniecierpliwienia. — Strzelajcie do nich! Dlaczego nie strzelacie?

Niektórzy strzelali, ale nie wszyscy. Potrzebna była większa siła ognia, znacznie większa. Kurtzowi zapachniało paniką. Jego ludzie nie strzelali, ponieważ mieli pietra... albo dlatego, że wiedzieli, kto będzie następny.

— Przeklęta telepatia... — powtórzył i w tej samej chwili w sklepie rozległ się terkot broni maszynowej. Okna pomieszczenia, w którym odbył pierwszą naradę wojenną z Underhillem, rozjarzyły się jaskrawymi błyskami, dwa z nich rozsypały się w drobny mak. Przez trzecie próbował wydostać się jakiś człowiek. Ledwo Kurtz zdążył rozpoznać George'a Udalla, ten został złapany za nogi i gwałtownie wciągnięty z powrotem do środka.

W tym, że chłopcy z budynku zdecydowali się podjąć walkę, nie było nic dziwnego: walczyli przecież o życie. Reszta biegła jak kurczaki z oderzniętymi głowami. Kurtz miał wielką ochotę, żeby wydobyć pistolet i zacząć do nich strzelać. I tak niebawem musiałoby się tym skończyć, czemu więc nie zacząć już teraz?

Z powodu Owena Underhilla. Kurtz był pewien, że Underhill maczał w tym palce. Coś takiego pachniało na kilometr buntem, a bunt i przekraczanie jasno wytyczonych linii to było coś, w czym Underhill się ostatnio specjalizował.

Kolejne strzały z zaplecza sklepu... rozpaczliwe krzyki... a potem dziki triumfalny ryk. Przesiadujący godzinami przy komputerach, pijący kawę i obzerający się sałatkami barbarzyńcy osiągnęli cel. Kurtz odwrócił się na pięcie, zatrzasnął drzwi i wrócił biegiem do sypialni, żeby skontaktować się z Freddym Johnsonem. W lewej ręce wciąż ścisnął but.

10

Kiedy pierwsza fala więźniów wdarła się do środka, Cambry klęczał za biurkiem starego Gosselina i w popłochu przetrząsał szuflady w poszukiwaniu broni. Nie znalazł jej i przypuszczalnie tylko dlatego ocalał.

— JUŻ! JUŻ! JUŻ! — ryczeli uciekinierzy.

Uderzenie w ścianę budynku było tak silne, jakby rąbnęła w nią ogromna ciężarówka. Niemal równocześnie dały się słyszeć trzaski wyładowań elektrycznych, kiedy pierwsze ciała zawisły na ogrodzeniu. Światła w pokoju zaczęły mrugać.

— Trzymać się razem, chłopcy! — krzyczał Danny O'Brian. — Na litość boską, trzymać się ra...

Tylne drzwi wpadły do środka razem z zawiasami i zatrzymały się dopiero pod przeciwległą ścianą, na biurku. Cambry przypadł do podłogi, osłaniając głowę rękami. Drzwi osunęły się i znieruchomiały, tworząc jednospadowy dach nad jego kryjówką.

W niewielkim pomieszczeniu serie z broni maszynowej rozbrzmiewały z ogłuszającą mocą, lecz Cambry i tak zdawał sobie sprawę, że nie wszyscy strzelają. Trezewski, Udall i O'Brian strzelali, Coleman natomiast, Everett i Ray Parsons stali z uniesioną bronią i wyrazem bezdenne go zdumienia na twarzach.

Gene Cambry widział ze swego przypadkowego schronienia, jak więźniowie rozbiegają się po pokoju, jak pierwsi z nich padają skoszeni seriami z pistoletów maszynowych, jak na ścianach rozkwitają czerwone kleksy krwi. Widział, jak George Udall ciska bronią w dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn w pomarańczowych kamizelkach, odwraca się i próbuje się wydostać przez okno; jak ci dwaj wciągają go z powrotem do środka, jak jeden z nich, z bujnym zarostem Ripley na policzku, wbija zęby w jego łydkę, podczas gdy drugi uciska wrzaski George'a, raptownie przekręcając mu głowę w lewo. W pomieszczeniu zrobiło się niemal ciemno od dymu, niemniej zdołał jeszcze dostrzec, jak Al Coleman rzuca pistolet na podłogę i zaczyna skandować JUŻ! JUŻ! JUŻ!, Ray Parsons zaś, w normalnych warunkach najspokojniejszy człowiek na świecie, posyła krótką serię prosto w głowę Danny'ego O'Briana, rozbryzgując jego mózg na ścianie i suficie.

Sytuacja była jasna. Teraz zainfekowani walczyli z odpornymi.

Pchnięte przez kogoś biurko odsunęło się i rąbnęło w ścianę, drzwi przygniotły Cambry'ego, sekundę później ludzie biegali po nim tam i z powrotem. Czuł się jak kowboj, który miał pecha spaść z konia, który wpadł w popłoch. Zadepczą mnie tutaj, przemknęło mu

przez myśl, lecz niemal w tej samej chwili nacisk na chwilę zelżał, nadludzkim wysiłkiem dźwignął się więc na kolana i odepchnął drzwi na bok; zsunęły się na podłogę, na pożegnanie szturchnąwszy go boleśnie klamką w biodro. Ktoś kopnął go w żebra, czyjś but zahaczył o jego ucho, a potem Cambry już stał. W pomieszczeniu było gęsto od dymu, ludzie krzyczeli, wrzeszczeli dziko i wyli. Kilka rozpedzonych ciał rąbnęło w piec, który spadł z podmurówki i runął na podłogę, rozsypując na podłodze klocki płonącego klonowego drewna. Pieniądze błyskawicznie zajęły się ogniem, w powietrzu rozszedł się smród roztopionych plastikowych żetonów. Żetony Raya, pomyślał Cambry zupełnie bez sensu. Miał je jeszcze w Bośni.

Stał osłupiały, ale w potwornym zamieszaniu nikt nie zwracał na niego uwagi. Więźniowie nie musieli korzystać z drzwi łączących biuro ze sklepem, ponieważ zawałiła się cała ściana, a raczej oddzielające je cienkie przepierzenie. Dokoła płonęło coraz więcej rozrzuconych w nieładzie przedmiotów.

— Już... — wymamrotał. — Już.

Ray Parsons popędził razem z więźniami do frontowej części sklepu. Depczący mu po piętach Howie Everett po drodze zgarnął z półki bochenek chleba.

Jakiś kościsty staruszek w czapce i ocieplanym płaszczu przewrócił się prosto na piec i został tam już, przygnieciony przewalającymi się ciałami. Cambry słyszał jego przeraźliwy wrzask, kiedy przyciśnięty do rozgrzanego żeliwa policzek piekł się w błyskawicznym tempie.

Słyszał i czuł.

— Już! — wykrzyknął, rezygnując z resztek oporu i przyłączając się do innych. — JUŻ!

Przeskoczył nad płonącym piecem i pognął przed siebie. Mały umysł Cambry'ego całkowicie roztopił się w znacznie większym, który teraz kierował jego postępowaniem.

Na dobrą sprawę operacja Błękitny Chłopiec dobiegła już końca.

11

Pokonawszy mniej więcej trzy czwarte drogi, Henry przystanął, łapiąc rozpaczliwie powietrze i przyciskając rękę do piersi. Za jego plecami rozgrywał się miniaturowy Armagedon, który wywołał, przed sobą widział tylko ciemność. Pieprzony Underhill uciekł, zostawił go tu jak...

Spokojnie, przystojniaczku. Spokojnie.

Dwa błysnięcia światłami. Po prostu Henry patrzył w niewłaściwym kierunku, i tyle. Owen zaparkował trochę na lewo od południowo-zachodniego narożnika padoku. Teraz, kiedy już wiedział, gdzie patrzeć, Henry bez trudu dostrzegł kanciąstą sylwetkę ratraka. Z tyłu dobiegały wrzaski, krzyki, rozkazy, odgłosy strzałów... Strzelanina była znacznie słabsza, niż oczekiwał, nie miał jednak czasu zastanawiać się dlaczego.

— *Pośpiesz się!* — ponaglił go Owen. *Musimy uciekać!*

— *Szybciej nie dam rady. Poczekaj.*

Cokolwiek było w cudownych pastylkach Owena, przestawało już działać. Nogi Henry'ego stawały się coraz cięższe, rana na udzie niesamowicie swędziała, podobnie jak usta.

Przez cały czas czuł na języku coś jakby bąbelki po mocno gazowanym napoju, dobrze jednak wiedział, co to takiego.

Owen przeciął drut kolczasty i stalowe linki. Czekał przy ratraku (zupełnie białym, więc nic dziwnego, że Henry nie mógł go dostrzec) z pistoletem maszynowym opartym o biodro i usiłował patrzeć równocześnie we wszystkich kierunkach. Kilkanaście rozedrganych cieni kładło się za nim na śniegu ruchliwym wachlarzem.

Chwycił Henry'ego za ramiona.

Wszystko w porządku?

Henry skinął głową. W chwili kiedy Owen pociągnął go w stronę ratraka, rozległa się głośna eksplozja. Dźwięk był dziwnie wysoki, jakby ktoś właśnie wystrzelił z największego karabinu na świecie. Henry skulił się odruchowo, potknął się o własne nogi i gdyby nie pomocna dłoń Owena, z pewnością rozciągnąłby się jak długi.

Co to było?

Propan–butan. Może również benzyna. Patrz.

Ujął go za ramiona i odwrócił twarzą w kierunku bazy. Przez zasłonę z zacinającego śniegu Henry ujrzał potężną kolumnę ognia. Szczątki sklepu — deski, dachówki, płonące pudła z chipsami, również płonące rolki papieru toaletowego — poleciały ku nocnemu niebu. Część żołnierzy gapiała się na ten spektakl, inni co sił w nogach biegli do lasu — Henry przypuszczał, że w pogoni za zbiegami, choć zdziwiła go wypełniająca ich głowy panika. Później, kiedy miał czas się nad tym zastanowić, doszedł do wniosku, że także oni uciekali. Na razie niczego nie rozumiał. Wszystko działo się zbyt szybko.

Owen odwrócił go ponownie, odchylił pełniący funkcję drzwiczek kawałek brezentowej płachty z foliową szybką i wepchnął go na miejsce pasażera. W kabinie ratraka było cudownie ciepło, z radiostacji zamontowanej pod małą tablicą rozdzielczą dobiegały skrzeczące głosy. Henry nie rozumiał ani słowa, za to z łatwością wyczuwał w nich paniczne przerażenie. Nagle rozparło go wręcz niewyobrażalne szczęście; tak szczęśliwy był po raz ostatni dawno temu, kiedy razem z przyjaciółmi nauczył nieco moresu Richiego Grenadeau i jego osiłkowatych kumpli. Z tego, co widział do tej pory, tę operację przygotowali i dowodzili nią ludzie bliźniaczo podobni do Richiego, tyle że zamiast w psie gówno byli uzbrojeni w najnowocześniejsze narzędzia do zabijania.

Między siedzeniami tkwiła mała skrzyneczka z dwoma migającymi bursztynowymi światełkami. Henry właśnie przyglądał się jej z zainteresowaniem, kiedy Owen odgarnął brezentowe drzwiczki po swojej stronie i wskoczył za kierownicę ratraka. Oddychał szybko i co chwila rzucał rozradowane spojrzenia na płonący sklep.

— Uważaj na to, mistrzu — ostrzegł Henry’ego. — Nie dotykaj przycisków.

Henry wziął skrzyneczkę w ręce. Rozmiarami przypominała ukochane żółte pudełko Dudditsa. Przyciski, o których mówił Owen, znajdowały się pod migającymi światełkami.

— Co to jest?

Owen przekręcił kluczyk w stacyjce. Rozgrzany silnik natychmiast ożył. Rolę dźwigni zmiany biegów odgrywał długi, sterczący z podłogi lewarek; Owen pchnął go w przód i z uśmiechem na ustach ruszył. W jaskrawym blasku wpadającym przez przednią szybę Henry wyraźnie widział plamy byrusa poniżej jego oczu. Przypominały makijaż, podobieństwo było tym większe, że byrus zagnieżdżył się również w brwiach Underhilla.

— Za jasno tutaj — powiedział. — Trzeba będzie trochę ich przygasić.

Wprowadził ratrak w zaskakująco łagodny zakręt; przypominało to trochę jazdę motorówką. Henry, wciąż ze skrzyneczką w objęciach, opadł bez sił na fotel. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby przez najbliższe pięć lat nie ruszać się z miejsca. Owen zerknął na niego, kierując pojazd po stycznej do zasypanej śniegiem Swanny Pond Road.

— Udało ci się — rzekł. — Szczerze mówiąc, nie wierzyłem, że ci się uda, ale ty jednak tego dokonałeś.

— Mówiłem ci przecież, że jestem mistrzem w dostarczaniu ludziom motywacji.

Poza tym, dodał w myślach, w większości i tak zginą.

Wszystko jedno. Dałeś im szansę, a teraz...

Rozległy się kolejne wystrzały, ale dopiero kiedy pocisk zrykoszetował od metalowego dachu ratraka, Henry zorientował się, że to oni są celem. Następny pocisk uderzył z głośnym brzęknięciem w gaśnicę i Henry skulił się, tak jakby mogło mu to w czymś pomóc.

Ciągle uśmiechnięty Owen wskazał ręką na prawo. Kiedy Henry spojrział w tę stronę, dwa kolejne pociski zawadziły o metalowe nadwozie pojazdu. Kulił się nerwowo za każdym razem, Owen natomiast w ogóle nie zwrócił na to uwagi.

Mijali miniaturowe miasteczko naczep, przyczep i samochodów campingowych. Przed największym z nich, prawdziwą willą na kołach, stało sześciu lub siedmiu ludzi. Wszyscy strzelali do ratraka. Mimo dużej odległości i niesprzyjających warunków, niepokojąco dużo pocisków dosięgało celu. Właśnie nadbiegali inni mężczyźni, często w niekompletnych ubraniach, jeden zaś nawet z nagą piersią — w tej scenerii wyglądał jak bohater komiksowej opowieści o Supermanie.

W samym środku grupy stała wysoka siwowłosa postać, a obok niej niższa, bardziej korpulentna. Wysoki mężczyzna podniósł broń do ramienia i wypalił, prawie nie celując. Ułamek sekundy później Henry'emu przemknęło tuż przed nosem coś jakby rozwścieczona, niewidzialna pszczoła.

Owen parsknął śmiechem.

— Ten wysoki, siwowłoso, to właśnie Kurtz. Chyba odzyskuje panowanie nad sytuacją. Ależ ten kutas potrafi strzelać!

Kolejne pociski zrykoszetowały od nadwozia i gąsienic, zaraz potem Henry wyczuł, że do kabiny wpadła kolejna niewidzialna pszczoła i w tej samej chwili umilkła radiostacja. Dystans między nimi a ogromnym samochodem campingowym wciąż się zwiększał, lecz tamtym jakby to zupełnie nie przeszkadzało. Henry odniósł niepokojące wrażenie, że wszyscy potrafią doskonale strzelać i że to tylko kwestia czasu, kiedy któryś z nich zostanie trafiony... a mimo to Owen miał uszczęśliwioną minę. Henry'emu przemknęła przez głowę myśl, że być może związał swój los z kimś o jeszcze silniejszym instynkcie samobójczym niż jego.

— Ten obok niego to Freddy Johnson, a reszta to zaufani chłopcy Kurtza, ci, którzy mieli... O, cholera!

Świst, wysokie bzyknięcie, i gałka na dźwigni rozprysnęła się na drobne kawałki. Owen roześmiał się dziko.

— Brawo, Kurtz! Wygrałeś pluszowego misia! Proszę bardzo: dwa lata przed emeryturą, a strzela jak Buffalo Bill! — Rąbnął pięścią w kierownicę. — No, ale dosyć tego. Co za dużo to niezdrowo. Wyłącz im światła, przystojniaczku.

— Że co?

Owen wskazał ruchem głowy na skrzyneczkę z migającymi bursztynowymi światełkami. Plamy byrusa pod jego oczami wyglądały teraz jak barwy wojenne.

— Wciśnij te guziki, przyjacielu. Wciśnij je i włóż okulary przeciwsłoneczne.

12

Nagle — takie rzeczy zawsze wydarzały się nagle, jak za sprawą czarnej magii — wszystko znikło i Kurtz został sam we własnym świecie. Wycie wiatru, siekący śnieg, zawodzenie syreny — nic z tego nie pozostało. Kurtz zapomniał o istnieniu Freddy'ego Johnsona i pozostałych członków Straży Imperium. Teraz istniał dla niego wyłącznie oddalający się ratrak. Widział Owena Underhilla za kierownicą, widział go tak jasno i wyraźnie, jakby on, Abe Kurtz, otrzymał w darze od niebios nadzwyczajny, przenikający przez wszystko wzrok Supermana. Odległość była już ogromna, ale to nie miało żadnego znaczenia. Następny pocisk trafił dokładnie w tył czaszki zdradzieckiego, przekraczającego wszystkie linie Owena Underhilla. Kurtz podniósł broń do ramienia...

Rozświetloną blaskiem reflektorów nocą wstrząsnęły dwie eksplozje; jedna z nich miała miejsce tak blisko, że do Kurtza i jego ludzi dotarł silny podmuch fali uderzeniowej. Naczepa z napisem INTEL INSIDE uniosła się majestatycznie, przeleciała kilka metrów i runęła na kuchnię polową.

— Święty Jezu! — krzyknął ktoś.

Nie wszystkie światła zgasły — pół godziny to niewiele czasu, w związku z czym Owen zdążył podłożyć i uzbroić ładunki wybuchowe tylko pod dwoma generatorami (przez cały czas mruczał pod nosem: „Jedzie koguci koń do Banburry Cross, jedzie koguci koń do Banburry Cross...”) — niemniej pędzący z maksymalną prędkością ratrak znikł nagle w wypełnionej śnieżycą ciemności.

Kurtz opuścił broń.

— Kurza dupa — powiedział beznamiętnym tonem. — Przerwać ogień. Przerwać ogień, matoly. Słodki Jezu, przestańcie wreszcie. Wszyscy do środka. Wszyscy z wyjątkiem Freddy’ego. Chwyćcie się za ręce i módlcie się do Boga Ojca Wszechmogącego, żeby nas z tego wyciągnął. A ty, Freddy, chodź tutaj, tylko szybko.

Około dziesięciu mężczyzn posłusznie ruszyło w kierunku samochodu campingowego, spoglądając niepewnie na płonące generatory i kuchnię polową. Ogień sięgał już szpitala i kostnicy. Połowa reflektorów zgasła.

Kurtz objął Freddy’ego ramieniem i poprowadził go kilkanaście kroków w głąb szalejącej wichury. Przed nimi płonął sklep starego Gosselina, a raczej to, co z niego jeszcze zostało. Płomienie przenosiły się już na dach stodoły stojącej z rozdziawionymi jakby ze zdumienia wrotami.

— Powiedz mi, Freddy: kochasz Jezusa? Tylko mów prawdę.

Freddy już przez to kiedyś przechodził. To było jak mantra. Szef zbierał myśli.

— Kocham go, szefie.

— Przysięgasz? — Kurtz wpatrywał się w niego przenikliwym spojrzeniem, prześwietlał go nim na wylot. — Pamiętaj, że jeśli skłamiesz, będziesz smażył się w piekle.

— Przysięgam.

— Bardzo go kochasz?

— Bardzo, szefie.

— Bardziej niż chłopaków? Bardziej niż udaną akcję? — Chwila przerwy. — Bardziej niż mnie?

Jeżeli chciałeś żyć, nie mogłeś udzielić błędnej odpowiedzi na te pytania. Na szczęście, Freddy znał właściwą.

— Nie, szefie. Nie bardziej.

— Telepatię już szlag trafił?

— Nie wiem, czy to była telepatia, szefie. Słyszałem jakieś głosy...

Kurtz pokiwał głową. Przez dach stodoły strzeliły wysokie płomienie barwy Ripley.

— ...ale już ucichły.

— A reszta chłopaków?

— Ma pan na myśli Straż Imperium? — Freddy wskazał na samochód campingowy.

— A kogo? Związek Hodowców Pstrągów? Jasne, że ich!

— Są czyści, szefie.

— To dobrze, chociaż nie całkiem. Freddy, potrzebujemy kilku zarażonych Amerykanów. My, czyli ty i ja. Potrzebujemy takich, którzy dosłownie są cali obrośnięci tym gównem, rozumiesz?

— Tak jest, szefie.

Freddy nie rozumiał po co ani dlaczego, lecz w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Na jego oczach Kurtz odzyskiwał najwyższą formę, i to było najważniejsze. Jeśli on, Freddy, będzie musiał coś wiedzieć, Kurtz mu powie. Spojrzał niepewnie na płonącą stodołę, zgliszczą sklepu, pożar w bazie... Sytuacja była tragiczna.

A może wcale nie. Przecież Kurtz już działał.

— To wszystko sprawka tej cholernej telepatii — mamrotał Kurtz — ale nie tylko, zapalnikiem było coś zupełnie innego. A wiesz co, Freddy? Zdrada. Najzwyczajsza, ohydna,

podstępna zdrada. Pamiętasz, kto zdradził Jezusa? Pamiętasz, kto złożył na jego policzku zdradziecki pocałunek?

Freddy dokładnie przestudiował Biblię — głównie dlatego, że dostał ją w prezencie od Kurtza.

— Judasz Iszkariota, szefie.

Kurtz jeszcze energiczniej pokiwał głową. Jego oczy były przez cały czas w ruchu, szacowały straty, szukały dróg wyjścia z sytuacji, oceniały możliwość przeprowadzenia kontrataku.

— Zgadza się, chłopcze. Judasz zdradził Jezusa, a Owen Philip Underhill zdradził nas. Judasz dostał za swój czyn trzydzieści srebrników. To niezbyt wiele, prawda?

— Prawda, szefie.

Powiedział to częściowo odwrócony w stronę szpitala polowego, gdzie właśnie coś wybuchło z głośnym hukiem. Na jego ramieniu zacisnęła się stalowa dłoń i odwróciła go z powrotem. Oczy Kurtza błyszczały dziko. Białe rzęsy upodabniały je do oczu upióra.

— Patrz na mnie, kiedy ze mną rozmawiasz — wycedził. — Słuchaj mnie, kiedy do ciebie mówię. — Druga ręka Kurtza spoczęła na rękojeści służbowego pistoletu. — Bo jak nie, to wypruję ci flaki i pozwolę ci zdechnąć tu, na śniegu. Miałem paskudną noc i nie życzę sobie, żeby taki dupek jak ty zepsuł mi ją jeszcze bardziej. Rozumiesz?

Johnson nie był tchórzem, lecz poczuł, jak coś kurczy mu się w żołądku i usiłuje szybko się stamtąd wydostać.

— Rozumiem, szefie. Przepraszam.

— Przepraszam przyjęte. Bóg kocha i przebacza, a my powinniśmy postępować tak samo. Nie wiem, ile srebrników dostał Owen, ale powiem ci tyle: dorwiemy go, złapiemy za dupę i wystrzelimy mu piękną nową dziurę. Masz na to ochotę?

— Tak. — Freddy naprawdę marzył tylko o tym, żeby dostać w ręce człowieka, który w mgnieniu oka powywracał mu do góry nogami jego uporządkowany świat, i odpłacić mu pięknym za nadobne. — Jak pan myśli, ile z tego, co tu się dzieje, to jego sprawka?

— Wystarczająco wiele — odparł spokojnie Kurtz. — Mam przeczucie, Freddy, że tym razem jednak tonę...

— Ale skąd, szefie!

— ...lecz nie zamierzam pójść na dno sam. — Wciąż otaczając ramieniem jego barki, Kurtz poprowadził swego nowego zastępcę z powrotem do samochodu. We wrakach generatorów dogasały czerwone płomienie. Freddy wciąż nie mógł uwierzyć, że dokonał tego jeden z ludzi Kurtza, jeden z nich. *Ile srebrników dostateś, Owen? Ile ci dali za to, zdrajco?*

Kurtz zatrzymał się przy schodkach.

— Freddy, kto twoim zdaniem nadaje się najlepiej na dowódcę misji poszukiwawczo-terminacyjnej?

— Gallagher, szefie.

— Kate?

— Tak jest.

— Czy ona jest kanibalem, Freddy? Osoba, której powierzymy to zadanie, musi nim być.

— Ona pożera ludzi na surowo, szefie.

— To dobrze — powiedział Kurtz — ponieważ czekają bardzo brudna robota. Potrzebuję dwóch nosicieli Ripley, najlepiej, żeby to byli nasi. Reszta... Z resztą stanie się to samo co ze zwierzętami, które żyły w tych lasach. Straż Imperium ma teraz za zadanie wyłapać i zlikwidować tylu, ilu się da, żołnierzy i cywilów. Od tej pory aż do południa jest pora karmienia, a potem chłopcy mogą robić, co im się podoba. Z wyjątkiem nas, Freddy. — Blask płomieni oblepił twarz Kurtza ruchliwym byrusem, zamienił jego oczy w ślepie łąsicy. — My zapolujemy na Owena Underhilla i nauczymy go kochać Pana.

Mimo leżącej na nich grubej warstwy udeptanego, śliskiego śniegu, Kurtz wbiegł po schodkach lekko i pewnie jak kozica, a Freddy Johnson podążył za nim.

13

Ratrak zjeżdżał po zboczu w stronę Swanny Pond Road w takim tempie, że Henry'emu zoładek podszedł do gardła. Wjechali na drogę z potężnym szarpnięciem, ciężka maszyna wykonała niezgrabny kangurzy skok, Underhill zakręcił kierownicą, zredukował bieg, wcisnął gaz i niebawem znowu włączył najwyższe przełożenie. Sądząc po śnieżnych galaktykach sypiących się na przednią szybę i potwornym ryku silnika, podróżowali z prędkością bliską prędkości dźwięku; Henry przypuszczał, że w rzeczywistości jest to około pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. W ten sposób mogli stosunkowo szybko oddalić się od sklepu Gosselina, wątpił natomiast, czy chociaż odrobinę zbliżą się do Jonesy'ego. Podejrzewał, że Jonesy znalazł szybszy środek transportu.

Dojedziemy tędy do autostrady? — zapytał Owen.

Tak. Jeszcze około sześciu kilometrów.

Będziemy musieli przesiąść się w coś innego.

Pod warunkiem że nikt nie ginie i że nikomu nie stanie się krzywda.

Henry... Nie wiem, co mam zrobić, żeby wreszcie do ciebie dotarło, że to nie partyjka pokera ani nie mecz szkolnych drużyn w koszykówkę.

— Nikt nie ginie, nikomu nie dzieje się krzywda. Przynajmniej podczas zmiany pojazdów. Albo mi to obiecasz, albo wyskakuję.

Owen posłał mu szybkie spojrzenie.

— Naprawdę byś to zrobił? Bez względu na to, jaką niespodziankę przygotował światu twój kumpel?

— Mój przyjaciel nie ponosi za to wszystko żadnej odpowiedzialności. Został porwany.

— No dobrze. Podczas przesiadki nikomu nie dzieje się krzywda... a w każdym razie staramy się jak możemy, żeby nic takiego się nie stało. I nikt nie ginie, co najwyżej my. W takim razie, dokąd jedziemy?

Do Derry.

Więc on teraz tam jest? Ostatni ocalały Obcy?

Tak myślę. Poza tym mam tam przyjaciela, który może nam pomóc. On widzi linię.

Jaką linię?

— Nieważne.

To dość skomplikowane, dodał Henry w myślach.

— Co to znaczy skomplikowane? I co to jest „Tu się nie gra, tu się nie hałasuje”?

Wyjaśnię ci, kiedy będziemy jechać na południe. Jeżeli mi się uda.

Poprzedzany blaskiem reflektorów ratrak sunął ze stałą prędkością w kierunku autostrady międzystanowej.

— Powiedz mi jeszcze raz, co zamierzamy zrobić — poprosił Owen.

— Ocalić świat.

— I powiedz mi jeszcze raz, kim będziemy. Muszę to usłyszeć.

— Będziemy bohaterami.

Zaraz potem Henry odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i w ciągu kilku sekund zasnął.

CZEŚĆ III
QUABBIN

*U szczytu schodów, tych wysokich,
Stał człowiek, którego tam nie było.
Nie było go tam znowu dzisiaj!
I oby to się nie zmieniło.*

Hughes Mearns

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY ZACZYNA SIĘ WYŚCIG

1

Jonesy nie miał pojęcia, która była godzina, kiedy ze śnieżnej zamieci wyłonił się migający neon DYSARTS — zegar na tablicy wskaźników rama zupełnie zgłupiał i bez przerwy pokazywał 12.00 — wciąż jednak było ciemno i burza szalała w najlepsze. Za miastem pługi przegrywały walkę ze śniegiem. Chociaż skradziony ram był „całkiem niezłym wózkiem”, jak powiedziałby ojciec Jonesy’ego, to on również przegrywał walkę z tym samym nieprzyjacielem: coraz częściej wpadał w poślizg, z coraz większym trudem przedzierał się przez zasy. Jonesy nie miał pojęcia, dokąd podążał Szary, mocno wątpił jednak w to, czy tam dotrze. Nie przy tej pogodzie i nie tym samochodem.

Radio działało, chociaż raczej kiepsko. Głosy były słabo słyszalne, zagłuszone przez szum i trzaski. Jonesy nie zdołał wychwycić ani jednej informacji o czasie, usłyszał natomiast prognozę pogody. Na południe od Portland obfite opady śniegu zamieniły się w ulewny deszcz, od Augusty do Brunswicku natomiast padał mokry śnieg zmieszany z marznącym deszczem. Mnóstwo miast i miasteczek zostało pozbawionych energii elektrycznej, a poruszać mogły się wyłącznie terenowe pojazdy z łańcuchami na kołach.

Jonesy był bardzo zadowolony z tego, co usłyszał.

3

Kiedy Szary zakręcił kierownicą, by skierować się na zjazd prowadzący ku kusząco migającemu neonowi, wszystkie cztery koła rama straciły przyczepność i ciężki samochód sunął przez chwilę w poprzek wąskiej drogi dojazdowej. Jonesy wiedział, że gdyby to on prowadził, najprawdopodobniej przebiliby barierę i wylądowali w rowie. Za kierownicą siedział jednak ktoś inny. Chociaż już nie całkiem odporny na emocje Jonesy’ego, Szary znacznie trudniej niż on poddawał się panice; zamiast odruchowo zakręcić kierownicą w drugą stronę, zaczekał spokojnie, aż poślizg przestanie się pogłębiać, i dopiero wtedy skontrolował. Śpiący na podłodze przed fotelem pasażera pies nawet się nie obudził, puls Jonesy’ego przyspieszył o dwa, może trzy uderzenia na minutę. Jonesy zdawał sobie sprawę, że gdyby to on miał prowadzić przy takiej pogodzie, byłby spocony jak mysz, a serce waliłoby mu w opętańczym tempie... Były to rozważania czysto teoretyczne, ponieważ należało zacząć od tego, że przede wszystkim nikt, ani nic, nie zmusiłby go do wyprowadzenia samochodu z garażu.

Szary zastosował się nawet do znaku STOP na końcu zjazdu, chociaż prawdopodobieństwo, że przy takiej pogodzie akurat teraz będzie nadjeżdżał jakiś pojazd, praktycznie równało się zeru. Ogromny, oświetlony lampami sodowymi parking wyglądał jak pomarszczona skóra jakiejś gigantycznej bestii, przez którą od czasu do czasu przebiegało lekkie drżenie. W normalną noc stałyby tutaj dziesiątki pomrukujących dieslowskimi silnikami ciągników z naczepami; dzisiaj parking był niemal pusty, z wyjątkiem jego jednej części, oznaczonej tablicą WJAZD TYLKO ZA OKAZANIEM WYKUPIONEGO BILETU PARKINGOWEGO. Stało tam dziesięć, może piętnaście potężnych pojazdów otoczonych łagodnymi półksiężycami zasp. Ich kierowcy siedzieli wewnątrz lokalu, jedząc, grając na flipperach, oglądając erotyczne filmy z kasyty albo próbując się zdrzemnąć w ponurym hoteliku na zapleczu, gdzie za dziesięć dolarów można było liczyć na łóżko, czysty koc i piękny widok na ścianę z pustaków. Wszyscy z pewnością myśleli: Kiedy wreszcie będę mógł ruszyć? oraz Ile mnie to będzie kosztować?

Szary nacisnął pedał gazu i chociaż uczynił to bardzo delikatnie, zgodnie z sugestiami zawartymi w bardzo cienkim segregatorze, w którym pomieściła się cała wiedza Jonesy'ego dotycząca prowadzenia samochodu w takich warunkach atmosferycznych, to jednak wszystkie cztery koła zaczęły obracać się w miejscu. Ram znowu ustawił się bokiem i z wolna zagrzebywał się w śniegu.

No, dalej! — dopingował Jonesy Szarego ze swego stanowiska przy oknie. *Zakop go po osie! Śmiało, gaz do dechy! Jeśli ugrzęzniesz wozem z napędem na dwie osie, to nikt cię stąd nie ruszy!*

Koła jednak odzyskały przyczepność, najpierw przednie, zaraz potem tylne, i pikap potoczył się powoli w kierunku napisu WEJŚCIE. Nieco dalej znajdował się drugi: WITAMY W NAJLEPSZYM ZAJEŹDZIE DLA KIEROWCÓW CIĘŻARÓWEK W NOWEJ ANGLII, za nim zaś w świetle reflektorów pojawił się trzeci: DO LICHA, WITAMY W NAJLEPSZYM ZAJEŹDZIE NA ZIEMI!

Czy to naprawdę najlepszy zajazd dla kierowców ciężarówek na Ziemi? — zapytał Szary.

Jasne, odparł Jonesy, a zaraz potem — nic na to nie mógł poradzić — parsknął śmiechem.

Co się stało? Dlaczego wydajesz z siebie te dźwięki?

Jonesy uświadomił sobie coś zdumiewającego i przerażającego zarazem: Szary uśmiechał się jego ustami! Niewiele, tylko trochę, ale jednak był to uśmiech. On nie ma pojęcia, co to jest śmiech, uzmysłowił sobie Jonesy. Niedawno nie wiedział również, co to jest gniew, lecz szybko się uczył. Teraz mógłby startować w zawodach na najbardziej widowiskowy atak wściekłości.

Powiedziałeś coś zabawnego, i tyle.

Co to znaczy „zabawny”?

Jonesy nie miał pojęcia, jak odpowiedzieć. Chciałby zaprezentować Szaremu pełen wachlarz ludzkich emocji, podejrzewając, że błyskawiczna humanizacja istoty, która zagarnęła jego ciało, stanowi dla niego jedyną nadzieję na przeżycie... Jak jednak wyjaśnić pojęcie „zabawny” gromadzie zarodników z innej planety? I, na dobrą sprawę, co było zabawnego w twierdzeniu właścicieli zajazdu, że są najlepsi na całej planecie?

Mijali kolejną tablicę, ze strzałkami wskazującymi w lewo i prawo. WIELGASY, głosił napis pod pierwszą, MALUCHY — pod drugą.

Szary zatrzymał samochód przed tablicą.

Kim jesteśmy?

Jonesy mógłby kazać mu samodzielnie dogrzebać się do tej informacji, ale jaki miałyby to sens? *Jesteśmy maluchem*, odparł i Szary skierował rama w prawo. Koła ponownie zabuksowały, samochodem nieco szarpnęło, Facio podniósł łeb, pierdnął przeciągle, po czym żałośnie zaskamlał. Brzuch miał już tak wzdęty, że wyglądał jak suka, która lada dzień powinna urodzić co najmniej kilkoro szceniąt.

W części parkingu przeznaczony dla „maluchów” stało około dwudziestu samochodów osobowych i pikapów. Te najgłębiej zagrzebane w śniegu pojazdy bez wątpienia należały do obsługi: mechaników (jeden lub dwóch zawsze pełniło całodobowy dyżur), kelnera i kucharzy. Najmniej zaśnieżony, co natychmiast wzbudziło zainteresowanie Jonesy'ego, był srebrzystoszary radiowóz policji stanowej. Aresztowanie z pewnością pokrzyżowałoby Szaremu jego plany — ale przecież Jonesy całkiem dosłownie otarł się już o trzy morderstwa; co prawda obyło się bez świadków, lecz choćby w tym samochodzie pełno było jego odcisków palców. Jonesy wyobraził sobie, jak stoi w sali sądowej na miejscu przeznaczonym dla oskarżonego i mówi: „Wysoki sędzio, chciałbym poinformować, że wszystkich tych zbrodni dokonała istota z kosmosu, która zawładnęła moim ciałem”. Jeszcze jeden dowcip, którego Szary nie potrafiłby zrozumieć.

Tymczasem wspomniany Szary znowu grzebał w kartonowych pudłach.

Syfart's. Dlaczego nazywasz to miejsce Syfart's, mimo że na szyldzie jest napisane Dysart's?

Bo Lamar tak je nazywał, odparł Jonesy, myśląc o długich, wesołych śniadaniach, które jadali tutaj, jadąc do Dziury w Murze lub w drodze powrotnej. Zanosiło się na to, że dzisiaj podtrzyma tradycję. Mój ojciec zresztą też.

Czy to jest zabawne?

Tak sobie. To żart wykorzystujący podobne brzmienie pewnych słów. Niektórzy uważają to za najprymitywniejszy rodzaj humoru.

Szary zaparkował blisko jarzącego się niezliczonymi światłami budynku restauracji, lecz jak najdalej od radiowozu. Jonesy nie miał pojęcia, czy to przypadek, czy też Szary zdawał sobie sprawę, co to za pojazd. Wyłączył reflektory rama, sięgnął do kluczyka, zamarł w bezruchu i niespodziewanie wydał z siebie cztery udające śmiech kaszlnięcia:

— Cha! Cha! Cha! Cha!

I jak było? zapytał Jonesy z ciekawością, ale i niepokojem.

Nijak, odparł Szary, po czym wyłączył zapłon. Zaraz potem jednak, siedząc po ciemku w unieruchomionym samochodzie, spróbował jeszcze raz, z nieco większym zapałem:

— Cha! Cha! Cha! Cha!

Jonesy zadrzał w swojej samotni. Brzmiało to jak głos upiora, który bezskutecznie usiłuje sobie przypomnieć bardzo dawne czasy, kiedy był człowiekiem.

Faciowi również się to nie spodobało. Ponownie zaskamlał, patrząc podejrzliwie na człowieka siedzącego za kierownicą samochodu jego pana.

3

Owen potrząsał Henrym, lecz ten nie miał najmniejszego zamiaru przerywać snu. Czuł się tak, jakby zasnął zaledwie kilka sekund temu. Nogi i ręce miał jak z ołowiu.

— Henry!

— Jestem.

Swędzenie w lewej nodze, swędzenie w ustach, jeszcze bardziej dokuczliwe niż przedtem. Ten przeklęty byrus rozgościł się nawet na wargach. Otarł je ręką i zauważył ze zdziwieniem, że bez trudu może się go stamtąd pozbyć. Byrus kruszył się i odpadał jak zaschnięte resztki jedzenia.

— Słuchaj i patrz. Możesz patrzeć?

Henry otworzył oczy. Droga ledwo majaczyła w ciemności; Owen zatrzymał ratrak na poboczu i wyłączył światła.

Gdzieś z przodu dobiegały mentalne głosy, telepatyczny odpowiednik widocznego z daleka blasku ogniska. Henry wsłuchał się w nie uważnie. Należały do czterech młodych ludzi, szeregowych członków... członków...

Grupa Błękitna, przemknęło Henry'emu przez głowę. Nazywamy się Grupa Błękitna.

Czterej młodzi ludzie, szeregowi żołnierze, starający się nie bać... zachować spokój... głosy w ciemności... niewielkie ognisko głosów w ciemności.

W niepewnym świetle jego płomieni Henry zobaczył nieco więcej: przede wszystkim śnieg, ma się rozumieć, oraz kilka migających żółtych lamp przy wjeździe na autostradę. Oprócz tego pokrywa od pudełka po pizzę, na niej otwarta paczka krakersów, kilka kawałków sera i szwajcarski scyzoryk. Scyzoryk należał do chłopaka imieniem Smitty i kolejno służył wszystkim do krojenia sera. Im dłużej Henry patrzył, tym lepiej widział. Podobnie wzrok przyzwyczajają się do ciemności, tym razem jednak w grę wchodziło coś więcej: to, co widział, miało dodatkową głębię, jakby fizyczny świat nie miał już nędznych trzech wymiarów, tylko cztery albo pięć. Nietrudno było znaleźć przyczynę: Henry patrzył przecież równocześnie przez cztery pary oczu. Żołnierze siedzieli skuleni w...

...*Hummerze!* — bezgłośnie wykrzyknął uradowany Owen. *To pieprzony hummer! W dodatku z wyposażeniem zimowym!*

Czterej młodzi mężczyźni siedzieli co prawda blisko siebie, ale jednak w czterech miejscach, obserwując otaczający ich świat czterema parami oczu, w dodatku o różnej ostrości widzenia, od doskonałej poczynając (Dana z Maybrook w stanie Nowy Jork), na zaledwie przeciętnej kończąc. Mimo to mózg Henry'ego jakoś sobie radził z obróbką i łączeniem tych obrazów, tak samo jak radził sobie z montażem prezentowanych na ekranie, następujących szybko po sobie obrazów w ruchomy film. Tyle że to nie był film ani nawet żaden nowy eksperyment z trójwymiarowym widzeniem. To był zupełnie nowy sposób oglądania rzeczywistości, który mógł zaowocować zupełnie nowym sposobem myślenia o niej.

Jeżeli to się rozpowszechni... Henry był podekscytowany i przerażony zarazem. *Jeżeli to się rozpowszechni...*

Owen wbił mu łokieć w bok.

— Zachowaj to przemówienie na później, a tymczasem, z łaski swojej, spójrz na drugą stronę drogi.

Henry uczynił to, z pewnym opóźnieniem zdając sobie sprawę, że zrobił coś więcej, niż tylko spojrzeć: poruszył czterema parami gałek ocznych w taki sposób, żeby zwróciły się w interesującym go kierunku. A tam, wśród śnieżnej zamieci, migwały kolejne pomarańczowe światełka.

— Blokada — wymamrotał Owen. — Jedno z zabezpieczeń Kurtza. Zjazd i wjazd na autostradę zablokowany, ruch tylko za zezwoleniem. Musimy zdobyć tego hummera, to najlepszy sprzęt na taką gównianą pogodę, ale wolałbym nie alarmować chłopców po drugiej stronie. Myślisz, że damy radę?

Henry właśnie przeprowadzał kolejny eksperyment. Okazało się, że kiedy czterej żołnierze patrzyli w różne strony, wrażenie nadzwyczajnej wielowymiarowości znikało, zostawiając po sobie chaotycznie wymieszane, rozsypane bezładnie obrazy, których nijak nie mógł poskładać w sensowną całość. Gdyby jednak zdołał poruszyć nie tylko ich oczami, ale również...

Chyba tak, odparł. Podjedź bliżej. Przestań mówić na głos. Wejdz do mojej głowy. Podłącz się.

W głowie od razu zrobiło mu się ciasniej, perspektywa znowu się pogłębiła, ale już nie tak bardzo jak przedtem. Teraz używał tylko dwóch par oczu: Owena i własnych.

Underhill włączył pierwszy bieg i ratriak popęzł powoli naprzód z wyłączonymi światłami. Przeraźliwe wycie wiatru bez trudu zagłuszało warkot silnika. W miarę jak zmniejszała się odległość, Henry czuł, że coraz mocniej trzyma w garści tamte cztery umysły.

Cholera! Owen trochę się roześmiał, a trochę stęknął.

Co jest? O co chodzi?

O ciebie! Czuję się tak, jakbym leciał na czarodziejskim dywanie. Boże, ale ty masz siłę!

Ja mam siłę? Zaczekaj, aż spotkasz Jonesy'ego!

Owen zatrzymał maszynę przed niskim wzniesieniem, za którym biegła autostrada. Tam również, w hummerze zaparkowanym przy wjeździe, siedzieli Bernie, Dana, Tommy i Smitty, zajadając krakersy i ser z zaimprovizowanej tacy. Z pewnością nie mogli ani zauważyć ratriaka, ani wyczuć Owena i Henry'ego. Byrus ich nie zaatakował, w związku z czym nie mieli pojęcia, co się dzieje.

Gotów? — spytał Henry.

Chyba tak. Kiedy znajdowali się pod ostrzałem, człowiek goszczący obecnie w głowie Henry'ego ani na chwilę nie stracił zimnej krwi, teraz natomiast dygotał ze zdenerwowania. *Ty prowadzisz, ja cię tylko ubezpieczam.*

W porządku.

Henry działał instynktownie, niemal bez zastanowienia. Nie zmuszał do posłuszeństwa czterech ludzi zamkniętych w hummerze obrazami śmierci i zniszczenia, lecz po prostu wcielił się w Kurtza. Żeby to osiągnąć, musiał skorzystać zarówno z zapasów energii Owena (znacznie większych od jego), jak i z wyraźnie odcisniętego w pamięci Underhilla wizerunku dowódcy. Podporządkowując ich swojej woli, poczuł ogromną satysfakcję... i ulgę. Poruszanie cudzymi oczami to jedno, całkowite zawładnięcie nim to co innego. W dodatku żaden z tej czwórki nie zaraził się byrusem. Mogło to oznaczać, że są uodpornieni — na szczęście, dzięki Bogu, nie byli.

Zaraz za tym pagórkiem na wschód od was stoi ratrak — powiedział Kurtz. — Macie odprowadzić go do bazy. Natychmiast, bez zbędnych pytań. Wstawać i do roboty. Będzie wam tam trochę ciasno, ale myślę, słodki Jezu, że jakoś się zmieścicie. No, ruszać się, na miłość boską!

Żołnierze posłusznie wysiedli z samochodu. Twarze mieli nieruchome jak maski. Henry również zabrał się do wysiadania, spostrzegł jednak, że Owen wciąż siedzi nieruchomo za kierownicą, wpatrzony przed siebie szeroko otwartymi oczami. Jego usta poruszały się lekko, formułując słowa, które rozbrzmiewały tylko w głowie: No, ruszać się, na litość boską!

Owen! Idziemy!

Underhill drgnął, rozejrzał się ze zdziwieniem, po czym skinął głową i odgarnął brezentową zasłonę po swojej stronie ratraka.

4

Henry potknął się, upadł na kolana, wstał i rozejrzał się w wypełnionej śniegiem ciemności. Do przejścia pozostało im jakieś sto pięćdziesiąt metrów; niewiele, Bóg świadkiem, że niewiele, on jednak czuł, że padnie najdalej po dziesięciu krokach. Czas się zatrzymał, świat zgiął się wpół, jajotłuk dzielnie szusował w dół, przemknęło mu przez głowę. No tak, oczywiście. Ja po prostu umarłem i trafiłem do piekła. Jajotłuk jest teraz w pie...

Owen objął go ramieniem, ale to nie było wszystko, co uczynił. Równocześnie pompował w niego swoją siłę.

Dzięki...

Później podziękujesz. Wyśpisz się też później. Na razie skoncentruj się na grze.

Nie było żadnej gry, tylko Bernie, Dana, Tommy i Smitty brnący w śniegu, rząd milczących somnambulików w wojskowych kurtkach puchowych z kapturami. Podążali na wschód wzdłuż Swanny Pond Road w kierunku ratraka, Owen i Henry natomiast przedzierali się przez zaspy ku opuszczonemu hummerowi. W pewnej chwili Henry uświadomił sobie, że czekają tam na nich ser i krakersy, i od razu zaburczało mu w brzuchu.

Zaraz potem zobaczyli przed sobą hummera. Ruszą pomalutku, bez świateł, jak najciszej, ominą migające lampy przy wjeździe na autostradę. Przy odrobinie szczęścia załoga hummera blokującego wjazd na drugą nitkę autostrady nawet nie zauważy ich zniknięcia.

A jeśli nas zobaczą, czy uda nam się sprawić, żeby o tym zapomnieli? — zapytał Owen. Wiesz, czy możemy sprowadzić na nich częściową amnezję albo coś w tym rodzaju?

Henry uświadomił sobie, że najprawdopodobniej byłoby to możliwe.

Owen?

Tak?

Jeżeli to się rozprzestrzeni, nic już nie będzie takie jak kiedyś. Nic a nic.

Owen zastanawiał się przez chwilę. Henry nie mówił o wiedzy, która stanowiła główne zmartwienie przełożonych Kurtza; mówił o zdolnościach znacznie przekraczających zwyczajne czytanie w myślach.

Wiem, odparł wreszcie.

5

Podążali na południe w szalejącej nieprzerwanie zamieci.

Henry Devlin wciąż jeszcze pożerał krakersy z serem, kiedy nagle w jego głowie zgąsły światła i zasnął z okruchami na ustach i brodzie.

Śnił o Josie Rinkenhauer.

6

Pół godziny po tym, jak stodoła starego Reggie Gosselina stanęła w płomieniach, przypominała oko umierającego smoka, żarzące się dogasającą czerwienią w czarnej kałuży stopionego śniegu. Z lasu na wschód od Swanny Pond docierały nieustające odgłosy strzelaniny, cichnące stopniowo, w miarę jak Straż Imperium pod wodzą Kate Gallagher zapuszczała się coraz dalej w pogoni za uciekinierami. Przypominało to trochę polowanie na bażanty i wszystko wskazywało na to, że tylko nieliczne bażanty zdołają ująć z życiem. Co prawda mogło ich ocaleć wystarczająco wiele, żeby narobić zamieszania, ale to już było zmartwienie na jutro, nie na dzisiaj.

W czasie kiedy trwało polowanie (i kiedy ten zdrajca Owen Underhill oddalał się coraz bardziej), Kurtz i Freddy Johnson zabawiali się w centrali dowodzenia (tyle że tą teraz, przynajmniej w opinii Freddy'ego, znowu był zwyczajny wóz campingowy; aura ważności rozplynęła się bez śladu) rzucaniem kart do leżącej na podłodze czapki.

Co prawda Kurtz nie miał już żadnych zdolności telepatycznych, nie stracił jednak swojego instynktu, a instynkt ten pozwalał mu również bezbłędnie wyczuwać nastrojów podwładnych. Fakt, że pozostał mu już tylko jeden podwładny, nie miał najmniejszego znaczenia.

— Co nagle, to po diable, Freddy. Jeszcze o jednym warto pamiętać: śpiesz się powoli.

— Tak jest, szefie — odparł Freddy bez szczególnego przekonania.

Kurtz rzucił dwójkę kier; zawirowała w powietrzu i wpadła do czapki. Kurtz ucieszył się jak dziecko i szykował się już do następnego rzutu, kiedy ktoś zastukał do drzwi. Freddy chciał otworzyć, lecz powstrzymało go groźne spojrzenie dowódcy. Został więc na miejscu i obserwował kolejny rzut Kurtza. Początkowa faza lotu przebiegała bez zakłóceń, potem jednak karta zmieniła trajektorię i wylądowała na daszku czapki. Kurtz wymamrotał coś pod nosem, a następnie skinął przyzwalająco głową. Freddy wyszeptał w duchu dziękczynną modlitwę i poszedł otworzyć drzwi.

Na schodkach stała Jocelyn McAvoy, jedna z dwóch kobiet w Straży Imperium. Mówiła z miłym akcentem z Tennessee, ale twarz pod chłopcę grzywką była twarda jak kamień. Przez ramię miała przewieszony izraelski pistolet maszynowy; ten typ z pewnością nie należał do regulaminowego wyposażenia żołnierzy armii USA. Freddy zastanawiał się przez chwilę, skąd go wytrzasnęła, szybko jednak doszedł do wniosku, że nie ma to najmniejszego znaczenia. W ciągu minionych kilku godzin mnóstwo spraw przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

— O co chodzi, Joss?

— Zgodnie z rozkazem przyprowadziłam dwóch nosicieli Ripley.

W lesie znowu rozległy się wystrzały i kobieta mimowolnie zerknęła w tamtą stronę. Freddy doskonale wiedział, co teraz czuje: chciała jak najprędzej wrócić do swoich, pożywać sobie, ile się da, dopóki można.

— Dawaj ich! — Kurtz wciąż stał nad leżącą na podłodze czapką (na wykładzinie widać było jeszcze plamy krwi trzeciego pomocnika kucharza), z talią kart w ręce, ale patrzył z zainteresowaniem na Jocelyn. — Ciekawe, kogo tu mamy!

Jocelyn dała znak lufą pistoletu. Jakiś męski głos u dołu schodków warknął:

— Ruszać się! Lepiej, żebym nie musiał dwa razy powtarzać!

Pierwszy człowiek, który minął kobietę i wszedł do środka, był wysoki i bardzo czarny. Na policzku i karku miał cięte rany gęsto oblepione Ripley. Złocistoczerwone włókna widać było również na jego brwiach. Freddy znał tę twarz, za nic jednak nie mógł sobie przypomnieć nazwiska. Kurtz z pewnością nie miał takich problemów. Przypuszczalnie pamiętał nazwiska wszystkich swoich podkomendnych — i to zarówno tych żywych, jak i martwych — ze wszystkich operacji, w jakich uczestniczył.

— Cambry! — wykrzyknął Kurtz z błyskiem w oku. Wrzucił całą talię do czapki, podszedł do żołnierza, wykonał ruch, jakby zamierzał ucisnąć mu rękę, pohamował się w ostatniej chwili i tylko zaszalutował. Przygaszony i zdezorientowany Gene Cambry nie zareagował. — Witaj w Amerykańskiej Lidze Sprawiedliwych!

— Ganiał po lesie razem z tymi, których miał pilnować — powiedziała Jocelyn McAvoy. Twarz miała nieruchomą, całą pogardę zawarła w głosie.

— A bo co? — Cambry patrzył na Kurtza. — Przecież i tak chciałeś mnie zabić. Wszystkich chciałeś zabić. Nawet nie próbuj kłamać, widzę to w twojej głowie.

Ani trochę niespieszony Kurtz zatarł ręce i uśmiechnął się przyjaźnie do Cambry'ego.

— Spisz się jak trzeba, a może zmienisz zdanie na mój temat, chłopcze. Serca są po to, żeby je łamać, a opinie są po to, żeby je zmieniać, i dziękujemy za to Panu. Kogo jeszcze masz dla mnie, Joss?

Freddy ze zdumieniem, ale i zadowoleniem wybałuszył oczy na drugą postać. Jego skromnym zdaniem, Ripley nie mogła znaleźć sobie lepszego domu. Tego sukinsyna naprawdę chyba nikt nie lubił.

— Proszę pana... szefie... nie mam pojęcia, dlaczego tu jestem... ścigałem uciekinierów, kiedy ta... ta... przepraszam, ale muszę to powiedzieć... kiedy ta suka wzięła mnie na muszkę i kazała wracać...

— Uciekał razem z nimi — przerwała mu McAvoy znudzonym tonem. — I ma na sobie masę tego czerwonego gówna.

— Nieprawda! To perfidne kłamstwo! Jestem czysty, zupełnie czysty...

McAvoy strąciła mu z głowy czapkę z nausznikami. Mocno przeredzone jasne włosy mężczyzny były teraz znacznie gęściejsze i wyglądały tak, jakby ufarbował je sobie na rudo.

— Zaraz to panu wyjaśnię, szefie... — wyjąkał Arnie Perlmutter gasnącym głosem. — Ja właśnie... To znaczy...

Umilkł.

Kurtz uśmiechał się promiennie, chociaż przez maskę — wszyscy je nałożyli — i za cienką warstwą przezroczystego plastiku jego uśmiech wyglądał dziwnie złowieszczo, jak uśmiech pedofila wabiącego małego chłopca obietnicą smakowitego poczęstunku złożonego z lodów, lemoniady i gumy do żucia.

— Pearly, wszystko będzie w porządku! Wybierzemy się tylko na małą przejażdżkę. Musimy kogoś znaleźć, kogoś, kogo znasz...

— Owen Underhill... — wyszeptał Perlmutter.

— Zgadza się, chłopcze. — Kurtz odwrócił się do kobiety.

— McAvoy, przynieście temu żołnierzowi jego podkładkę do papierów. Jestem pewien, że poczuje się znacznie lepiej, kiedy ją dostanie. Potem możecie wracać na polowanie, co chyba sprawi wam sporą przyjemność.

— Tak jest, szefie.

— Najpierw jednak wszyscy popatrzcie na to. Nauczyłem się tej sztuczki w Kansas.

Kurtz wyjął talię z czapki, podniósł ją i mocnym pstryknięciem rozrzucił karty. Porwane przez wiatr wciskający się do wnętrza przez otwarte drzwi, poszybowały we wszystkie strony, ale do czapki wpadła tylko jedna.

As pikowy.

7

Szary trzymał przed sobą otwarte menu, wpatrując się w nie z zainteresowaniem i niemal całkowitym brakiem zrozumienia. Jonesy z pewnym opóźnieniem pojął, iż nie chodzi tu o to, że Szary nie wie, jak smakują poszczególne potrawy; on w ogóle nie wiedział, co to jest smak! No bo i skąd miał wiedzieć? Przecież, ściśle rzecz biorąc, był czymś w rodzaju grzyba z bardzo wysokim ilorazem inteligencji.

Podeszła ufarbowana na jasny blond kelnerka. Plakietka na jej imponującej piersi głosiła: WITAMY W DYSART'S, JESTEM DARLENE.

— Cześć, kochasiu, co podać?

— Poproszę jajecznicę na bekonie, dobrze zesmażoną.

— Z tostem?

— A są naleśniki?

Spojrzała na niego z uniesionymi brwiami. Nieco dalej, przy kontuarze, policjant zajął ogromną, ociekającą jakimś sosem kanapkę i rozmawiał z kucharzem.

— Przepraszam: lasieniki. Chciałem powiedzieć: lasieniki.

Brwi powędrowały jeszcze wyżej. Nie trzeba było telepatii, żeby domyślić się, co się za nimi dzieje: Jakiś głupek czy jaja sobie ze mnie robi?

Uśmiechnięty od ucha do ucha w swojej ostoi Jonesy wreszcie dał za wygraną.

— Naleśniki! — wykrztusił Szary.

— Tak właśnie myślałam. Są, nie ma problemu. Kawa?

— Poproszę.

Gdy tylko się odwróciła, rozwścieczony Szary załomotał do drzwi pokoju Jonesy'ego. *Jak mogłeś to zrobić? Jak mogłeś to stamtąd zrobić?* Jonesy uświadomił sobie, że Szary jest nie tylko wściekły, lecz również przerażony. Skoro Jonesy mógł interweniować na tak głębokim poziomie, to plany Szarego znajdowały się w poważnym niebezpieczeństwie.

Nie mam pojęcia, odparł Jonesy zgodnie z prawdą. *Nie przejmuj się tak bardzo, skoncentruj się na śniadaniu. Chciałem się tylko trochę z tobą podrażnić.*

Dlaczego? Wciąż wściekły, wciąż pijący łąpczywie ze studni wypełnionej emocjami Jonesy'ego... i zachwycony tym, na przekór sobie. *Dlaczego to robisz?*

Powiedzmy, że w ramach rewanżu za to, że próbowałeś upiec mnie tu żywcem.

Klientów było jak na lekarstwo, toteż realizacja zamówienia trwała bardzo krótko. Jonesy zastanawiał się przez chwilę, czy udałoby mu się odzyskać władzę nad własnymi ustami na tyle długo, żeby powiedzieć coś rzeczywiście wstrząsającego (nie wiedzieć czemu do głowy nie chciało mu przyjść nic innego, jak tylko: „Darlene, chciałbym gryźć twoje włosy!”), ale ostatecznie zrezygnował.

Postawiła talerz, obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem i wróciła za kontuar. Szary, wpatrując się oczami Jonesy'ego w białozółtą półstałą substancję i leżące obok na talerzu paski niemal zwęglonego bekonu, doświadczał co najmniej równie poważnych wątpliwości.

No, dalej! — zachęcił go Jonesy, z rozbawieniem i zaciekawieniem obserwując przebieg wydarzeń przez okno swego gabinetu. Czy bekon i jajecznica mogły zabić Szarego? Raczej nie, ale Jonesy wcale by się nie dziwił, gdyby jego nieproszony gość poważnie się rozchorował. Śmiało! Pieprzonego smacznego!

Szary pobrał błyskawiczną lekcję posługiwania się sztućcami, nabrał na widelec odrobinę jajecznicy i włożył ją do ust Jonesy'ego. To, co nastąpiło później, było zdumiewające i zabawne zarazem. Szary wchłonął wszystko w oszałamiającym tempie, robiąc przerwy tylko po to, żeby poleć naleśniki syropem klonowym. Smakowało mu wszystko, ale najbardziej bekon.

Mięso! — wykrzykiwał z uniesieniem. Takiego głosu nie powstydziliby się najbardziej żarłoczny filmowy potwór z lat trzydziestych. *Mięso! Tak smakuje mięso!*

Rzeczywiście zabawne... chociaż może nie do końca. Również trochę przerażające. W taki sposób mógłby się zachowywać obudzony ze stuletniego snu wampir.

Szary rozejrzał się dokoła, a kiedy się zorientował, że nikt go nie obserwuje (policjant szturmował właśnie monstrualną porcję szarlotki), złapał oburącz talerz i wylizał go do czysta kilkoma pociągnięciami języka Jonesy'ego. Na koniec zlizął resztki syropu z palców.

Wróciła Darlene, dołała kawy, zerknęła na puste talerze.

— Nieźle sobie radzisz, kotku. Coś jeszcze?

— Bekon! — Szary poszukał w pamięci Jonesy'ego właściwego zwrotu, i dodał pośpiesznie: — Podwójną porcję!

Obyś się nią udławił, pomyślał Jonesy bez większej nadziei.

— Muszę chyba dorzucić do pieca — odparła Darlene.

Szary nie zrozumiał tej uwagi i nawet nie zadał sobie trudu, żeby poszukać jej wytłumaczenia w archiwum pamięci Jonesy'ego. Wsypał do kawy zawartość dwóch torebek z cukrem, rozejrzał się ukradkiem, otworzył trzecią torebkę i wytrząsnął ją do ust, a następnie przymknął oczy i przez kilka sekund rozkoszował się słodyczą.

Możesz to mieć, jak często zechcesz, powiedział Jonesy przez zamknięte drzwi. Chyba już wiedział, co czuł Szatan, kiedy zaprowadził Jezusa na wierzchołek góry i kusił go ziemskimi bogactwami: ani źle, ani dobrze. Po prostu wykonywał swoją robotę, starając się sprzedać towar.

Chociaż, chwileczkę... Nieprawda, czuł się całkiem nieźle, ponieważ zdawał sobie sprawę, że jego propozycje wywołują coraz większe zainteresowanie klienta, budzą w Szarym ciekawość i pożądanie.

Daj sobie spokój, kusił dalej. *Uczłowiecz się. Będiesz mógł przez wiele lat poznawać świat za pomocą moich zmysłów. Działają całkiem nieźle, jeszcze nie mam czterdziestki.*

Szary milczał. Ponownie się rozejrzał, a widząc, że nikt go nie obserwuje, nalał sobie do kawy sztucznego syropu klonowego, wysiorbał ją, po czym zaczął się rozglądać za drugą porcją bekonu. Jonesy westchnął ciężko; czuł się trochę tak, jakby towarzyszył bogobojnemu mużułmaninowi, który przypadkowo trafił na wakacje do Las Vegas.

Po drugiej stronie sali znajdowało się sklepienie łukiem przejście z kolorowym napisem **TĘDY DO CZĘŚCI HOTELOWEJ I PRYSZNICÓW**. W krótkim korytarzyku na ścianie wisiało kilka automatów telefonicznych. Przy większości z nich stali kierownicy, bez wątpienia informujący żony i szefów, że nie zjawią się na czas, że w Maine zaskoczyła ich burza śnieżna, że zatrzymali się w zajeździe Dysart's (zwanym przez niektórych Syfart's, przemknęło Jonesy'emu przez głowę) na południe od Derry i że najprawdopodobniej będą musieli zostać tu aż do jutra.

Jonesy odwrócił się od okna i spojrzał na biurko, na którym panował swojski, doskonale znany mu bałagan. Na biurku stał telefon, nowoczesny niebieski trimline. Czy udałoby mu się zadzwonić do Henry'ego? Oczywiście zakładając, że Henry żyje, a Jonesy był prawie pewien, że tak jest. Gdyby bowiem Henry zmarł, chyba by to jakoś poczuł — może w pokoju pojawiłoby się więcej cieni? „Elvis wyszedł z lokalu, zanim przynieśli rachunek — mawiał Beaver, kiedy znalazł w gazecie nekrolog ze znajomym nazwiskiem. — Ale z niego kutas”. Jonesy nie przypuszczał, żeby Henry wyszedł z lokalu. Podejrzewał nawet, że został dłużej, żeby zamówić dokładkę.

8

Szary nie udławił się drugą porcją bekonu, za to kiedy poczuł nagły skurcz w żołądku, ryknął z wściekłością:

Otrułeś mnie!

Spokojnie, przyjacielu. Po prostu musisz tam zrobić trochę miejsca, i tyle.

Miejsca? Co to zna...

Przerwał mu kolejny skurcz.

To znaczy, że powinniśmy jak najszybciej znaleźć się tam, gdzie nawet król piechotą chodzi, odparł Jonesy. Boże, czy te wszystkie badania, które przeprowadzaliście w latach sześćdziesiątych, nie nauczyły was niczego o ludzkiej anatomii?

Darlene przyniosła rachunek.

Zostaw pieniądze na stoliku, ale dolicz piętnaście procent napiwku.

Ile to jest piętnaście procent?

Jonesy westchnął w duchu. I to mają być władcy wszechświata, przed którymi powinniśmy drzeć z lęku? Bezlitosni, potężni kosmiczni rozbójnicy, którzy nie potrafią się odesrać ani obliczyć napiwku?

Kolejny skurcz, a do tego stosunkowo bezgłośnie pierdnięcie. Cuchnące, ale nie eterem. Dzięki Bogu choć za to, pomyślał Jonesy na własny użytek, a następnie zwrócił się do Szarego: *Pokaż mi ten rachunek.*

Spojrzał przez okno na zielony świstek.

Zostaw jej półtora dolara. Szary wciąż się wahał. To dobra rada, przyjacielu. Jeśli dasz więcej, zapamięta cię jako rozrzutnego faceta, jeśli dasz mniej — jako dusigrosza.

Szary sprawdził w archiwum znaczenie słowa „dusigrosz”, po czym, już bez dyskusji, położył na stoliku dolara i dwie ćwierćdolarówki, po czym skierował się do kasy, usytuowanej po drodze do męskiej toalety.

Kiedy mijali policjanta, ten wciąż był zajęty swoją szarlotką, chociaż Jonesy’emu wydało się nieco podejrzanie wolne tempo, z jakim ją zajadał. Równocześnie poczuł, jak Szary opuszcza go na chwilę, by zajrzeć do głowy policjanta. Zostawił na straży czarno-czerwony obłok, zawiadujący najważniejszymi systemami.

Szybki jak błyskawica, Jonesy chwycił słuchawkę, po czym znieruchomiał na sekundę. Wybierz po prostu 1-800-HENRY, rozbłysło mu w głowie.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, a potem, gdzieś bardzo, bardzo daleko, zaczął dzwonić telefon.

9

— To pomysł Pete’a — wymamrotał Henry.

Siedzący za kierownicą hummera Owen (samochód był potwornie wielki i potwornie głośny, ale miał opony do jazdy w terenie i pruł przez śnieg jak „Queen Elizabeth 2” po falach Atlantyku) spojrzał na pasażera. Henry spał, okulary zsunęły mu się na czubek nosa, pod powiekami porośniętymi cienką warstewką byrusa poruszały się gałki oczne. Henry śnił. Ciekawe o czym? — zastanawiał się Owen. Przypuszczalnie gdyby chciał, mógłby zajrzeć do jego głowy i sprawdzić osobiście, ale taki pomysł wydał mu się nieco perwersyjny.

— To był pomysł Pete’a — powtórzył Henry. — On ją pierwszy zobaczył.

Westchnął tak ciężko, że Owenowi zrobiło mu się go żal. Nie, zdecydowanie wolałby nie wiedzieć, co teraz dzieje się w umyśle współnika. Do Derry została jeszcze najwyżej godzina jazdy, może trochę więcej, jeśli wiatr nie przycichnie. Niech sobie śpi.

10

Zaraz za szkołą średnią w Derry jest boisko do futbolu, na którym zdobywał sławę Richie Grenadeau, ale Richie Grenadeau już od pięciu lat spoczywa w grobie — jeszcze jeden małomiasteczkowy James Dean. Inni bohaterowie zajęli jego miejsce, przez jakiś czas pławili

się w blasku sławy, a potem odbierali świadectwa ukończenia szkoły i przenosili się gdzie indziej. Tak czy inaczej, to nie sezon futbolowy. Jest wiosna, a na trawie zgromadziły się jakby ogromne czerwone ptaki z czarnymi głowami. Te zmutowane wrony śmieją się i rozmawiają, zajmując miejsca na rozkładanych krzeselkach, lecz pan Trask, dyrektor szkoły, wcale nie musi przekrzykiwać zebranych: stoi na prowizorycznej scenie, a przed sobą ma mikrofon.

— I jeszcze jedna sprawa, zanim skończę! — grzmi. — Chciałbym, żebyście po ceremonii nie rzucali czapek w powietrze. Co prawda zdaję sobie sprawę, że równie dobrze mógłbym mówić do ściany...

Śmiech, okrzyki, brawa.

— ...ale jeżeli je rzucicie, to macie je potem pozbierać i zwrócić w sekretariacie, bo w przeciwnym razie będziecie musieli za nie zapłacić!

Pohukiwania i parsknięcia, najgłośniejsze autorstwa Beavera Clarendona. Pan Trask obrzuca ich ostatnim taksującym spojrzeniem.

— Młode panie i młodzi panowie, absolwenci z roku 1982, będę chyba wyrazicielem opinii całego grona pedagogicznego, jeżeli powiem, że jestem z was dumny. Nie oczekujcie jednak, że powtórzę to choć jeden jedyny raz, w związku z czym...

To koniec przemówienia, już nie pomogą najlepsze wzmacniacze i najpotężniejsze głośniki. Czerwone wrony podrywają się z łopotem czerwonego nylonu i odlatują. Już jutro odlecą na dobre, tymczasem jednak trzy z nich, pędzące co sił w nogach na parking, gdzie stoi samochód Henry'ego, nie wiedzą jeszcze, że dziecięcy etap ich przyjaźni zakończy się już za kilka godzin. Nie zdają sobie z tego sprawy, i bardzo dobrze.

Jonesy wyrywa Henry'emu czapkę, nasadza ją na swoją i przyśpiesza.

— Ej, oddaj to, matole! — drze się Henry, po czym zabiera czapkę Beaverowi, który gdacze jak rozzłoszczona kura i ze śmiechem goni Henry'ego. Mijają ławki, ganiają się po trawie w rozwianych szatach, Jonesy wciąż z dwiema czapkami na głowie; tasiemki powiewają w przeciwnie strony. Henry ma jedną czapkę (stanowczo za dużą, opadła mu aż na uszy), Beaver zaś biegnie z gołą głową. Długie czarne włosy powiewają za nim rozwianą falą, z ust sterczy mu nieodłączna wykałaczka.

Jonesy, nie zwalniając, odwraca głowę, naigrawa się z Henry'ego („Gazu, dryblasie! Rety, biegasz jak dziewczyna!”) i mało nie taranuje Pete'a, wpatzonego w gablotę z ogłoszeniami przy północnym wejściu na parking. Pete, który w tym roku kończy dopiero pierwszą klasę, chwytą Jonesy'ego w pasie, przechyla do tyłu niczym tancerz tancerkę i z rozmachem całuje w usta. Z głowy Jonesy'ego spadają obie czapki, a jemu samemu na chwilę odbiera mowę ze zdumienia.

— Pedał! — drze się wreszcie, wycierając usta, lecz niemal natychmiast wybucha śmiechem.

Pete to cicha woda. Nieraz całymi miesiącami zachowuje się aż za normalnie, a potem nagle bach, robi coś zupełnie odlotowego — zazwyczaj po kilku piwach, ale dzisiaj przecież nie wypił ani jednego.

— Zawsze chciałem to uczynić, Gariello! — mówi namiętym tonem, trzymając się za serce. — Teraz wiesz już, co naprawdę czuję!

— Cholerny pedzio! Jeśli zarazisz mnie syfem, zabiję cię!

Nadbiega Henry, podnosi z trawnika swoją czapkę i tłucze nią Jonesy'ego.

— Jest poplamiona! — wrzeszczy. — Ma zielone plamy od trawy! Jeśli każą mi za nią zapłacić, będę musiał cię przelecieć, Gariello!

— Nie obiecuj, czego nie możesz dotrzymać, dupku! — rewanżuje się Jonesy.

— Ależ, piękna Gariello! — wykrzykuje Henry złamanym głosem.

Nadciąga zasapany Beaver, wyjmując Henry'emu czapkę z rąk, zagląda do niej i oświadcza:

— Ktoś się do niej spuścił. Znam się na tym, bo codziennie oglądam swoją pościel. — Nabiera powietrza w płuca, a następnie drze się na cały głos: — Gary Jones spuścił się do swojej czapki! Ludzie, słuchajcie! Gary Jones...

Jonesy rzuca się na niego, przewraca na ziemię, turlają się w lewo i prawo, omotani czerwonymi szatami. Henry w ostatniej chwili zgarnia z trawy obie czapki, chroniąc je przed zmiążdżeniem.

— Złaż ze mnie! — wrzeszczy Beaver. — Zgnieciesz mnie! Święty Jezu na bananie! Na litość boską...

— Duddits ją znał — mówi Pete. Ani trochę nie obchodzą go ich wygłupy, nie udzielił mu się ich beztroski nastrój. (Spośród nich wszystkich chyba tylko Pete przeczłuje nadciągające zmiany). Znowu wpatruje się w gablotę. — My zresztą też. Kiedy odbieraliśmy Dudditsa, prawie zawsze stała przed Akademią Niedorozwojów. „Cześć, Duddie”, i znikąca.

Kiedy mówi „Cześć, Duddie”, jego głos staje się nienaturalnie piskliwy, przesadnie dziewczęcy, ale nie jest to złośliwe, tylko na swój sposób miłe. Chociaż Pete nie ma wielkiego talentu naśladowczego, Henry od razu rozpoznaje ten głos i przypomina sobie dziewczynę o nastroszonych jasnych włosach, wielkich brązowych oczach, podrapanych kolanach, z białą plastikową torebką, w której nosiła śniadanie, i BarbieKena. Tak zawsze o nich mówiła, BarbieKen, jakby stanowili całość.

Jonesy i Beaver również wiedzą, kogo naśladuje Pete. Henry też. Coś ich przecież łączy, coś łączy ich od lat. Ich... i Dudditsa. Co prawda ani Jonesy, ani Beaver, ani Henry nie mogą sobie przypomnieć, jak nazywała się dziewczyna; pamiętają tylko tyle, że nazwisko miała długie i niesłychanie skomplikowane. No i że podobał jej się Duddits, bo na niego właśnie czekała codziennie przed szkołą.

Skupiają się wokół Pete'a i również wpatrują się w gablotę.

Jak zwykle wisi w niej mnóstwo ogłoszeń o rowerach do sprzedania i myjniach samochodowych, o letnich zajęciach w Fenster i „zabiorę się z kimś do Bostonu”, o kupnie używanych podręczników oraz „szukam współlokatorki do Providence”. W prawym górnym rogu wisi fotografia uśmiechniętej dziewczyny o bujnych jasnych włosach i dużych, jakby lekko zdziwionych oczach. Nie jest już małą dziewczynką — Henry nie przestaje się zdumiewać, gdzie podziały się te wszystkie dzieciaki (jego nie wyłączając), z którymi dorastał — ale wszędzie rozpoznalby te ciemne, zdziwione oczy.

ZAGINIONA, głosi wielki podpis pod zdjęciem, niżej zaś, nieco mniejszym drukiem, zamieszczono bardziej szczegółowe informacje: JOSETTE RINKENHAUER, OSTATNIO WIDZIANA 7 CZERWCA 1982 NA BOISKU DO SOFTBALLU W STRAWFORD PARK. Tekstu jest więcej, Henry jednak nie zadaje sobie trudu, aby go przeczytać, zastanawia się natomiast nad tym, że Derry jest zupełnie wyjątkowym miastem, jeśli chodzi o zaginione dzieci. Jest przecież ósmy czerwca, co oznacza, że mała Rinkenhauer zniknęła zaledwie poprzedniego dnia, a ogłoszenie w gablocie wisi skromnie w rogu, jakby komuś zależało na tym, żeby nie rzuciło się zanadto w oczy. Co więcej, w porannej gazecie nie było ani słowa o zaginięciu — Henry wie o tym, ponieważ ją czytał. No, może nie czytał, tylko przejrzał przy śniadaniu, siorbiąc płatki z mlekiem. Chyba że upchnęli je gdzieś w ogłoszeniach lokalnych, myśli i od razu wie, że znalazł właściwe słowo: upchnęli. W Derry upycha się po kątach mnóstwo rzeczy — na przykład informacje o zaginionych dzieciach. W ciągu minionych lat w Derry zagięło wiele dzieci i nasi czterej chłopcy doskonale o tym wiedzą, być może pomyśleli sobie nawet o tym tego dnia, kiedy spotkali Dudditsa Cavella, ale mało kto o tym mówi. Zupełnie jakby zaginięcie co jakiś czas jednego lub dwojga dzieci było ceną za życie w takim miłym, spokojnym miejscu. Na myśl o tym Henry'ego zaczyna powoli ogarniać wściekłość, która szybko zajmuje miejsce głupkowatej wesołości. *Ona też była urocza z tym swoim BarbieKenem. Urocza jak Duddits.* Nie tylko czekała na niego po lekcjach, ale czasem

również przed początkiem lekcji. Josie Rinkenhauer z tymi swoimi podrapanymi kolanami i wielką plastikową torebką. „Cześć, Duddie”. Tak, naprawdę była urocza.

Wciąż jest, przemyka mu przez głowę. Ona...

— Ona żyje — mówi Beaver bezbarwnym tonem. Wyjmuje z ust częściowo przeżutą wykałaczkę, przygląda się jej i rzuca ją na trawę. — Ona jeszcze żyje, zgadza się?

— Aha — potwierdza Pete. Zafascynowany, wciąż wpatruje się w fotografię i Henry doskonale wie, co myśli, myśli to samo co on: że wydorosłała. Nawet Josie wydorosłała, Josie, która w lepszym świecie mogłaby być dziewczyną Douga Cavella. — Ale wpadła... wiecie... wpadła...

— Po szyć w gówno — kończy za niego Jonesy.

Zrzucił już płaszcz i teraz przewiesza go przez ramię.

— Utknęła — dodaje Pete, wciąż wpatrując się w zdjęcie. Jego palec zaczyna wędrówkę w lewo i prawo, w lewo i prawo.

— Gdzie? — pyta Henry, lecz Pete kręci głową. Jonesy tak samo.

— Trzeba zapytać Dudditsa — odzywa się niespodziewanie Beaver.

Wszyscy wiedzą dlaczego. Nawet nie muszą o tym mówić. Ponieważ Duddits widzi linię. Duddits...

11

— ...widzi linię! — wykrzyknął nagle Henry i raptownie wyprostował się w fotelu hummera. Było to tak niespodziewane, że Owen, zanurzony głęboko w prywatnym świecie, w którym był zupełnie sam z burzą i niekończącym się rzędem światełek odbaskowych informujących go, że znajduje się na właściwej drodze, mało nie dostał zawału serca. — Duddits widzi linię!

Hummer zachybotał się, wpadł w mały poślizg, ale szybko wrócił na trasę.

— Jezu! — stęknął Owen. — Człowieku, następnym razem daj znać, jeśli nagle przyjdzie ci ochota tak wrzeszczeć, dobrze?

Henry przesunął rękami po twarzy i westchnął głęboko.

— Wiem, dokąd jedziemy i co musimy zrobić...

— Doskonale!

— ...ale jeśli chcesz wszystko zrozumieć, to muszę ci opowiedzieć pewną historię.

Owen zerknął na niego z ukosa.

— A ty już wszystko rozumiesz?

— Nie, ale więcej niż do tej pory.

— Więc zaczynaj. Została nam jeszcze godzina jazdy. Mam nadzieję, że to wystarczy?

Henry był zdania, że wystarczy aż nadto, zwłaszcza jeśli mogli również porozumiewać się bez słów. Zaczął od samego początku — a przynajmniej od tego, co teraz uważał za początek. Nie od zjawienia się Szarych, nie od byrusa ani łasic, tylko od czterech chłopców, którym zamarzyło się zobaczyć fotkę Królowej Piękności z zadartą sukienką. Owen prowadził samochód, a przez jego głowę przewijały się obrazy raczej podobne do snu niż do filmu. Henry opowiedział mu o Dudditsie, o pierwszej wspólnej wyprawie myśliwskiej do Dziury w Murze, o Beaverze rzygającym na śnieg. Opowiedział o niezliczonych wspólnych wędrówkach do szkoły i o Dudditsowej wersji cribbage'a. O tym, jak zaprowadzili Dudditsa do Świętego Mikołaja i co z tego wynikło. A także o tym, jak zobaczyli fotografię Josie Rinkenhauer w szkolnej gablocie z ogłoszeniami. Owen widział, jak jadą samochodem Henry'ego do domu przy Maple Lane, w którym mieszkał Duddits, widział, jak witają się z Cavellami, którzy siedzieli w salonie ze śmiertelnie bladym mężczyzną w płaszczu i zapłakaną kobietą — Roberta Cavell obejmuje ją ramieniem i mówi, że wszystko będzie dobrze, że Bóg nie pozwoli, żeby coś przydarzyło się ich małej Josie.

Ależ to mocne, pomyślał Owen na jakimś zupełnie innym poziomie. Rety, co ten gość w sobie ma, że to jest aż tak mocne?

Cavellowie prawie nie zwracają uwagi na chłopców, ponieważ ta czwórka bardzo często gości przy Maple Lane 19, Rinkenhauerowie zaś są zbyt głęboko pogrążeni w rozpacz, żeby ich zauważyć. Nawet nie tknęli kawy przygotowanej przez Robertę. „Jest w swoim pokoju, chłopcy”, mówi z roztargnieniem Alfie Cavell. Na ich widok Duddits od razu wstaje z podłogi, na której poustawiał żołnierzyki. W domu Duddits nigdy nie nosi butów, tylko kapcie–króliczki, urodzinowy prezent od Henry’ego (będzie je nosił nawet wtedy, kiedy zamienią się już w różowe, trudne do zidentyfikowania łachmany), tym razem jednak jest w butach. Czekał na przyjaciół. Uśmiecha się równie promiennie jak zawsze, oczy ma jednak poważne. „Oooąd ieeemy? — pyta. — Dokąd idziemy?”. Zaraz potem...

— Wszyscy tacy byliście? — pyta szeptem Owen. Co prawda Henry już mu to mówił, aż do tej pory jednak Underhill nie do końca rozumiał, co to znaczy. — Nawet przed... przed tym? — Dotyka policzka, na którym widać wyraźne ślady byrusa.

— Tak. Nie. To znaczy, nie wiem. Cicho bądź, Owen. Słuchaj.

I głowa Owena Underhilla ponownie wypełniła się obrazami z roku 1982.

12

Do Strawford Park docierają o szesnastej trzydzieści.

Gromadka dziewcząt w żółtych bluzeczkach z napisem DERRY HARDWARE trenuje na boisku do softballu. Wszystkie mają niemal identyczne końskie ogony przewleczone przez otwory z tyłu czapek, większość — aparaty na zębach.

— Oj, nędznie sobie radzą — mówi z przekąsem Pete.

Może i ma rację, nie ulega jednak wątpliwości, że dziewczęta doskonale się bawią, czego z pewnością nie da się powiedzieć o Henrym, który ma wrażenie, że w żołądku zagnieździło mu się stado żab. Jedyłą pociechę czerpie z faktu, że Jonesy ma równie poważną i trochę wystraszoną minę.

Pete i Beaver nie grzeszą wyobraźnią; on i stara, poczciwa Gariella mają jej aż nadto. Dla Pete’a i Beavera to po prostu przygoda jak z książki dla chłopców, Henry jednak traktuje to inaczej: fatalnie by się stało, gdyby nie znaleźli Josie Rinkenhauer (przede wszystkim dlatego, że mogą ją znaleźć, jest o tym przekonany), ale gdyby znaleźli ją martwą, to...

— Beaver...

Beaver odrywa wzrok od dziewcząt i odwraca się do Henry’ego.

— Czego?

— Myślisz, że ona jeszcze żyje?

Uśmiech znika z jego twarzy.

— Nie wiem, słowo daję. Pete?

Pete kręci głową.

— Wtedy, przy gablocie, byłem tego pewien... Cholera, wydawało mi się, że to zdjęcie do mnie mówi... Ale teraz...

Wzrusza ramionami.

Henry patrzy pytająco na Jonesy’ego, który też wzrusza ramionami, a następnie rozkłada ręce. Nie wiem. Zostaje więc tylko Duddits.

Duddits spogląda na świat zza, jak je nazywa, *eeemyyych ooulaaaauuuuf*. Ciemne okulary Dudditsa mają w rzeczywistości lustrzane szkła, są wygięte i sięgają niemal do skroni. Zdaniem Henry’ego jego przyjaciel wygląda w nich jak Ray Walston w „Moim ulubionym Marsjaninie”, ale na pewno mu tego nie powie ani nawet tego przy nim nie pomyśli. Na głowie Duddits ma czapkę Beavera i od czasu do czasu zabawia się dmuchaniem na wstążkę. Sprawia mu to wyraźną satysfakcję.

Jest pozbawiony wybiórczego postrzegania. Oznacza to, że włóczęga przetrząsający śmietnik w poszukiwaniu zwrotnych butelek, dziewczynki grające w softball oraz wiewiórki uganiające się po gałęziach drzew są równie fascynujące. Między innymi właśnie dlatego jest taki niezwykły.

— Posłuchaj, Duddits — mówi Henry. — Pamiętasz taką dziewczynkę, z którą chodziłeś do szkoły? Nazywała się Josie. Josie Rinkenhauer.

Mina Dudditsa wyraża uprzejme zainteresowanie, bo przecież rozmawia z nim jego przyjaciel Henry, jednak ani imię, ani nazwisko nie wywołują żadnej reakcji. Nic dziwnego — Duddits nie pamięta, co jadł dziś na śniadanie, dlaczego więc miałby zapamiętać dziewczynkę, z którą trzy albo cztery lata temu chodził do szkoły? Jak mogli sobie wyobrazić, że będzie inaczej?

— Josie! — mówi głośno i wyraźnie Pete, lecz widać po nim, że nie robi sobie wielkich nadziei. — Nabijaliśmy się z was, że jesteście parą, pamiętasz? Miała brązowe oczy, mnóstwo jasnych włosów i... — Macha zrezygnowany ręką. — Ech, do dupy z tym!

— Oeeeeene ooo aaamo uuuufno — mówi Duddits, ponieważ kiedy to słyszą, prawie zawsze śmieją się i cieszą. Codziennie to samo gówno. Tym razem nie uzyskuje pożądanego efektu, próbuje więc inaczej: — Uuu eee neee hłaaa, uuu eee neee aałaaauueee.

— No pewnie — wzdycha Jonesy. — Tu się nie gra, tu się nie hałasuje. Chłopaki, trzeba go odwieźć do domu. Nic tu nie...

— Zaczekajcie — przerywa mu Beaver z błyszczącymi oczami. Tak szybko obraca w ustach wykałaczkę, że nie sposób nadażyć za nią wzrokiem. — Łowca snów.

13

— Łowca snów? — zapytał Owen.

Nawet jemu wydawało się, że jego głos dobiega z bardzo daleka. Reflektory hummera wykrawały z ciemności zaśnieżone, ograniczone barierkami pustkowie, przypominające autostradę wyłącznie dzięki połyskującym w ciemności światełkom odblaskowym. Łowca snów, pomyślał, i jego głowę ponownie wypełniła przeszłość Henry'ego. Mało nie utonął w obrazach, dźwiękach i zapachach tamtego dnia na krawędzi lata.

Łowca snów.

14

— Łowca snów — mówi Beaver.

Rozumieją się od razu, bez zbędnych słów. Wtedy jeszcze wyobrażali sobie, że w ten sposób rozumieją się wszyscy przyjaciele. Chociaż nigdy nie rozmawiali o śnie, który nawiedził ich wszystkich podczas pierwszej wspólnej wyprawy myśliwskiej do Dziury w Murze, zdają sobie sprawę z podejrzeń Beavera, przekonanego, iż przynajmniej częściową odpowiedzialność ponosi łowca snów Lamara. Nawet nie próbowali go przekonywać, że było inaczej — częściowo dlatego, że nie chcieli walczyć z jego przesądami dotyczącymi tego małego niewinnego przedmiotu, częściowo zaś dlatego, że najzwyczajniej w świecie w ogóle nie chcieli mówić o tamtym dniu, a raczej o tamtej nocy. Teraz jednak zdają sobie sprawę, że Beaver przynajmniej częściowo miał rację: rzeczywiście połączył ich łowca snów, ale nie łowca snów Lamara.

Ich łowcą snów jest Duddits.

— No, dalej — mówi spokojnie Beaver. — Nie bójcie się, chłopaki. Weźcie go za rękę.

Przystępują do działania, mimo że jednak trochę się boją, Beaver też. Jonesy bierze Dudditsa za prawą rękę; Duddits jest zaskoczony, lecz szybko uśmiecha się i zaciska palce na

jego dłoni. Pete ujmując jego lewą rękę, Beaver i Henry wpychają się do środka i obejmują Dudditsa.

Stoją tak w piątkę pod jednym z wiekowych dębów w Strawford Park, na ich twarzach delikatne refleksy popołudniowego czerwcowego słońca mieszają się z rozedrganymi cieniami liści. Wyglądają jak drużyna przed ważnym meczem. Dziewczeta w jaskrawożółtych bluzkach nie zwracają na nich najmniejszej uwagi, podobnie jak wiewiórki i włośczęga, którego każda znaleziona pusta butelka zbliża o mały kroczek do pełnej butelki taniego wina na kolację.

Henry czuje, jak wstępuje w niego światło. Wie, że tym światłem są jego przyjaciele oraz on sam. Tworzą je wspólnie, najjaśniej zaś świeci Duddits. On jest ich piłką, bez niej wszelkie zakazy gry i hałasowania nie mają najmniejszego sensu. On jest ich łowcą snów, on tworzy z nich jedność. Serce Henry'ego napęnia się tak jak nigdy przedtem ani potem (z biegiem lat brak tego uczucia będzie coraz silniej dawał mu się we znaki). *Czy to po to, żeby odnaleźć niedorozwiniętą dziewczynkę, na której zależy wyłącznie jej rodzicom? Czy tak samo zrobiliśmy kiedyś we śnie, żeby zepchnąć z szosy pewien samochód i zabić pewnego chłopaka? Czy takie wielkie, cudowne zjawiska zachodzą dlatego, żeby dokonały się małe, nieważne sprawy? Czy to możliwe?*

Jeżeli tak — wątpliwość nawiedza go mimo radości i uniesienia z bycia naprawdę razem — to jaki to ma sens? Jaki sens ma cokolwiek?

Chwilę później wątpliwości i pytania znikają, zmiecione intensywnością wspólnego doznania. Pojawia się twarz Josie Rinkenhauer, początkowo ulotna i niestała, ułożona byle jak z elementów pochodzących z czterech zestawów wspomnień, zaraz potem jednak dochodzi do głosu piąta, najpotężniejsza siła i obraz staje się ostry i wyraźny: Duddits już wie, o kogo chodzi w tym zamieszaniu.

Pod wpływem Dudditsa obraz przekształca się w trój-, czwór-, pięcio-, n-wymiarowy... Henry słyszy, jak ktoś — to Jonesy — wciąga łączywie powietrze, sam też by to zrobił, gdyby miał siłę. Duddits być może jest pod pewnymi względami niedorozwinięty, ale nie pod tym jednym, o nie. W tej dziedzinie to oni są kompletnymi idiotami, on zaś geniuszem.

— Mój Boże! — wykrzykuje Beaver z mieszaniną zachwytu i przerażenia.

Josie staje wśród nich. Ponieważ w różny sposób odbierają jej wiek, zmieniła się w mniej więcej dwunastoletnią dziewczynkę, starszą niż wtedy, kiedy widywali ją przed Akademią Niedorozwojów, ale z pewnością młodszą, niż jest teraz.

Ma na sobie sukienkę z marynarskim kołnierzem, której barwa oscyluje między granatem, czerwienią i różem. W ręce trzyma gigantyczną torebkę, z torebki wystają głowy BarbieKena, kolana pokrywa imponująca kolekcja zadrapań. Przy uszach pojawiają się i znikają klipsy w kształcie biedronek.

Rzeczywiście, nosiła coś takiego, przypomina sobie Henry, i klipsy zostają na stałe.

„Cześć, Duddie — mówi Josie. Rozgląda się, a następnie dodaje: — Cześć, chłopcy”.

Zaraz potem znika, ot tak, po prostu. Znowu jest ich pięciu, a nie sześcioro: pięciu dużych chłopców pod starym dębem, z roztańczonymi pieczętkami czerwcowego słońca na twarzach i uszach wypełnionych piskami dziewcząt biegających za piłką po pobliskim boisku. Pete płacze, Jonesy też. Włośczęga znikł — przypuszczalnie poszedł wymienić worek pustych butelek na jedną pełną — pojawił się natomiast inny człowiek, z poważną twarzą, mimo ciepłej pogody ubrany w zimową puchową kurtkę. Na lewym policzku ma coś, co z daleka wygląda jak czerwone znamię, lecz Henry wie, że to nie żadne znamię, tylko byrus. Owen Underhill zjawił się w Strawford Park i przygląda im się z daleka, ale to w porządku, nic nie szkodzi, i tak Henry jest jedyną osobą, która widzi tego przybysza z drugiej strony łowcy snów.

Duddits uśmiecha się od ucha do ucha, widząc jednak, że trochę dziwią go i niepokoją łyzy spływające po policzkach dwóch przyjaciół.

— Eeeemu aaaeesz? — pyta Jonesy'ego. Czemu płaczesz?

— Nieważne — mówi Jonesy.

Uwalnia rękę Dudditsa, połączenie zostaje przerwane. Jonesy ociera twarz, tak samo czyni Pete. Z piersi Beavera wyrywa się zdławiony szloch, który chyba miał udawać śmiech.

— Cholera, chyba połknąłem wykałaczkę!

— Tu jest, palancie — mówi Henry, wskazując na trawę.

Rzeczywiście, leży tam na pół przeżute drewno.

— Naaaaees Oooosi? — pyta Duddits.

— Dasz radę? — To Henry.

Duddits rusza w kierunku boiska, oni zaś podążają za nim z szacunkiem. Duddits mija Owena, ale, rzecz jasna, go nie widzi. Dla niego Owen Underhill nie istnieje, jeszcze nie. Mija ławki, mija trzecią bazę i budkę z hot dogami, staje jak wryty. Z ust idącego za nim Pete'a wyrywa się głośne stęknienie.

Duddits odwraca się, patrzy na niego z zainteresowaniem, uśmiecha się. Palec Pete'a wciąż porusza się w lewo i w prawo, Pete śledzi go wzrokiem. Henry patrzy tam, gdzie wskazuje czubek palca i przez chwilę wydaje mu się, że coś widzi, jasnożółtą krechę jakby namalowaną na trawie. Złudzenie szybko znika, zostaje tylko Pete zajęty tym co zwykle, kiedy wykorzystuje swój dar.

— Yyyysz iiiinę Iiiit? — pyta Duddits pobłażliwym ojcowskim tonem. Niewiele brakuje, żeby Henry wybuchnął śmiechem. Widzisz linię, Pete?

— No... — Pete'owi oczy mało nie wyjdą z orbit. — Widzę! — Spogląda na kolegów. — Słuchajcie, ona tu była! Ona tutaj była!

Idą przez park po linii, którą widzą tylko Duddits i Pete, a za nimi podąża człowiek, którego widzi tylko Henry. Od północy granicę parku wyznacza zdewastowane ogrodzenie z tabliczką TEREN PRYWATNY, WSTĘP SUROWO WZBRONIONY! Dzieciaki od lat nie zwracają na nią najmniejszej uwagi i od lat uchodzi im to na sucho. Teren opada tu dość stromo aż do pokrytej rdzawym nalotem bocznicą kolejowej biegnącej w głębokim wykopie.

Zbocze jest naprawdę strome, porośnięte pokrzywami i kolczastymi krzewami. Mniej więcej w połowie znajdują plastikową torebkę Josie Rinkenhauer. Jest stara i bardzo sfatygowana, w wielu miejscach poklejona przezroczystą taśmą, ale Henry i tak wszędzie by ją rozpoznał.

Duddits dobiega do niej pierwszy, otwiera, zagląda do środka.

— Aaabien! — woła, wyciąga lalki, pokazuje triumfalnie.

Pete tymczasem wysforował się naprzód, pochylony, poważny jak Sherlock Holmes który wpadł na trop profesora Moriarty'ego. I to właśnie Pete Moore zagląda do starej betonowej rury odpływowej, wystającej z gęstwiny krzewów.

— Jest! — drze się jak opętany. Twarz ma bladą jak kreda, tylko na policzkach jarzą się krwistoczerwone rumieńce. — Chłopaki, ona tam jest!

Pod Derry znajduje się rozległy i niezmiernie skomplikowany system kanałów melioracyjno-kanalizacyjnych. Miasto powstało na podmokłych terenach, wokół których niegdyś mieszkali Indianie z plemienia Micmac. Większa część systemu powstała w latach trzydziestych, za pieniądze z Nowego Ładu, a miała ulec zniszczeniu w roku 1985, podczas straszliwej burzy, która zalała miasto i zwała wieżę ciśnień.

Ta wielka rura zagłębia się ukośnie w ziemię, dążąc ku podstawie wzgórza. Josie Rinkenhauer weszła do niej, poślizgnęła się i zjechała po warstwie zeschniętych liści. Teraz leży na dnie pochyłej studni, wyczerpana po niezliczonych próbach wspięcia się ku niezbyt odległemu, ale jednak nieosiągalnemu otworowi. Już dawno zjadła dwa albo trzy ciasteczka, które miała w kieszeni spodni i od kilkunastu godzin czeka w cuchnących ciemnościach, wsłuchuje się w docierające jakby z niewyobrażalnego oddalenia odgłosy świata i czeka na śmierć.

Na dźwięk głosu Pete'a podnosi głowę, zbiera resztę sił i woła rozpaczliwie:

— Pomocy! Nie mogę stąd wyjść! Pomocy!

Nie przychodzi im do głowy, że powinni sprowadzić kogoś dorosłego, na przykład policjanta. Opanowała ich obsesyjna myśl, że muszą ją uwolnić, że są za nią odpowiedzialni. Na szczęście zachowali przynajmniej tyle zdrowego rozsądku, żeby nie wpuścić tam Dudditsa. Po krótkiej dyskusji tworzą żywy łańcuch: na końcu Pete, potem Beaver i Henry. Jonesy, jako najcieńszy, na samym początku.

Wpełzają do cuchnących zgnilizną ciemności (czuć tam jeszcze inny smród, stary i przerażający ponad wszelkie wyobrażenie) i już po trzech metrach Henry trafia na płócienny pantofel Josie. Odruchowo wpycha go do tylnej kieszeni dżinsów.

— Stać! — woła Pete przez ramię.

Płacz i żalosne okrzyki dziewczynki są już bardzo głośne. Pete widzi w półmroku jej bladą twarz. Łańcuch wydłuża się jeszcze trochę. Mimo podniecenia chłopcy starają się działać z maksymalną ostrożnością. Jonesy oparł stopy na ogromnym betonowym bloku, Josie wspina się na palce, wyciąga ręce... nie może dosięgnąć rąk Pete'a. Po kilku próbach, kiedy już sądzą, że ich wysiłki spełzną na niczym, dziewczynka przypadkowo nadeptuje na jakiś kamień; dodatkowe pięć centymetrów wystarcza, palce Pete'a zaciskają się na jej brudnym nadgarstku.

— Mam ją! — woła triumfalnie. — Ciągnijcie!

Czynią to powoli i ostrożnie. Na zewnątrz czeka Duddits, w jednej ręce ściska torebkę, w drugiej dwie lalczki i wykrzykuje, żeby Josie się nie bała, żeby się nie martwiła, bo on zaopiekował się BarbieKenem. Razem z Dudditsem czekają słońce i świeże powietrze, i kiedy wyciągają ją z rury...

15

W hummerze nie było telefonu — znajdowały się tam za to dwie radiostacje — lecz mimo to telefon zadzwonił głośno, zrywając łączącą dwóch mężczyzn pajęczynę wspomnień i napędzając im obu sporego stracha.

Owen podskoczył na fotelu jak człowiek, który właśnie obudził się z głębokiego snu. Nieświadomie szarpnął przy tym kierownicą, w wyniku czego koła hummera straciły z trudem utrzymywaną przyczepność, ciężki pojazd wpadł w poślizg, a następnie zaczął się majestatycznie obracać, niczym tańczący dinozaur.

— Kurwa mać!

Kręcił kierownicą, nie dawało to jednak żadnego rezultatu, ponieważ obracała mu się w rękach z przerażającą łatwością. Hummer przez chwilę sunął tyłem wąską zdradliwą ścieżką na zachodniej nitce I-95, wykonał jeszcze ćwierć obrotu i wreszcie znieruchomiał w głębokim śniegu tuż przy oddzielającej obie nitki barierce.

Drrr! Durr! Drrr!

To w mojej głowie, pomyślał Owen. Wydaje mi się, że to naprawdę, ale to słyhać tylko w mojej głowie. Jeszcze jedna cholerna telepatyczna...

Na tunelu środkowym między fotelami leżał pistolet. Henry wziął go do ręki i dzwonienie ucichło. Następnie przyłożył broń bokiem do ucha.

No jasne, przemknęło Owenowi przez głowę. Przecież to oczywiste. Teraz będzie rozmawiał z kimś przez pistolet. Nic nadzwyczajnego, takie rzeczy zdarzają się prawie codziennie.

— Halo?

Owen nie słyszał odpowiedzi, ale twarz jego towarzysza rozjaśniła się uśmiechem.

— Jonesy! Wiedziałem, że to ty!

No jasne, pomyślał tępo Owen. Któż by inny? Oprah Winfrey?

— Gdzie... — Henry słuchał przez chwilę. — Chodziło mu o Dudditsa? Czy dlatego... — Znowu chwila przerwy, a potem: — Wieża ciśnień? Ale dlaczego? Słuchaj, Jonesy... Jonesy? Jonesy!

Henry jeszcze przez chwilę przyciskał pistolet do ucha, a następnie odsunął go i przyjrzał mu się z taką miną, jakby nie wiedział, co to jest. Wreszcie odłożył go na miejsce. Już się nie uśmiechał.

— Przerwał rozmowę. Zdaje się, że tamten wracał. Mówi na niego Szary.

— Twój kumpel żyje, ale ty coś nie wyglądasz na zachwyconego...

To myśli Henry'ego nie były zachwycone, ale Owen nie musiał wprowadzać tego rozróżnienia. Najpierw zachwycony jak każdy, kto ma okazję porozmawiać przez pistolet kalibru 9 mm, a chwilę potem zupełnie przybity. Dlaczego?

— Jest... to znaczy: są na południe od Derry. Zatrzymali się na śniadanie w zajeździe, który nazywa się Dysarfs, ale Jonesy nazywa go Syfart's, jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi. Chyba nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Miałem wrażenie, że się boi.

— O siebie? O nas?

Henry skierował na niego puste spojrzenie.

— Powiedział mi, że Szary zamierza zamordować policjanta i pojechać dalej radiowozem. Chyba stąd ten strach. — Uderzył pięścią w kolano. — Cholera!

— Ale przynajmniej żyje.

— Taaa... — mruknął Henry bez szczególnego entuzjazmu.

— Jest odporny. Duddits... Teraz chyba już rozumiesz, o co chodzi z Dudditsem?

Nie, i ty też chyba wszystkiego nie rozumiesz, ale rozumiem wystarczająco wiele.

Henry też przeszedł na bezgłosną rozmowę.

Duddits nas odmienił. Kiedy Jonesy wpadł pod samochód w Cambridge, wypadek znowu go odmienił. W falach mózgowych ludzi, którzy otarli się o śmierć, często zachodzą duże zmiany. W zeszłym roku czytałem o tym w „Lancecie”. W przypadku Jonesyego oznacza to najwyraźniej, że Szary może go wykorzystać, nie zarażając go ani nie niszcząc. No i zdołał uniknąć całkowitego wchłonięcia, przynajmniej na razie.

Wchłonięcia?

Podporządkowania. A na głos:

— Uda ci się nas stąd wykopać?

Chyba tak.

— Tego właśnie się obawiałem — mruknął ponuro Henry.

— Co się z tobą dzieje, do jasnej cholery? — zapytał ze zniecierpliwieniem Owen, zwracając ku niemu twarz oświetloną zielonkawym blaskiem instrumentów pokładowych.

Naprawdę nie rozumiesz? Ile razy mam ci powtarzać? On jest zamknięty tam, w środku! Jonesy!

Po raz trzeci albo czwarty od początku ich wspólnej ucieczki Owen musiał pokonać ogromnym susem przepaść dzielącą to, o czym wiedziała jego głowa, od tego, o czym wiedziało serce.

— Aha... — Przerwał. — On żyje. Myśli, nawet dzwoni przez telefon, ale nie może się wydostać. — Znowu przerwał, a potem: — Boże...

Wrzucił bieg i ostrożnie nacisnął pedał gazu. Hummer pokonał jakieś piętnaście centymetrów, po czym wszystkie cztery koła zaczęły obracać się w miejscu. Owen cofnął samochód, tylne koła z chrzęstem wjechały w głęboki śnieg, ale tam przynajmniej znalazły pewniejsze oparcie, i kiedy hummer ponownie ruszył naprzód, wystrzelił z zasy jak korek z butelki. Znalazłszy się ponownie na częściowo przetartym pasie, Owen nie wcisnął od razu gazu, tylko zaczekał ze stopą zawieszoną w powietrzu. Potężny silnik dygotał na wolnych obrotach, wiatr chłostał nadwozie śnieżnymi biczami i miotał śnieżne duszki po zasypanej autostradzie.

— Chyba rozumiesz, że naprawdę musimy to zrobić? — zapytał Owen. — Naturalnie pod warunkiem, że w ogóle zdołamy go dogonić. Bez względu na szczegóły, ogólny plan prawie na pewno zakłada generalny atak, a liczby...

— Znam liczby — przerwał mu Henry. — Z jednej strony sześć miliardów ludzi, z drugiej jeden Jonesy.

— Właśnie.

— Liczby czasem kłamią.

Głosowi Henry'ego brakowało przekonania. Naprawdę wielkie liczby nie kłamały, a sześć miliardów to ogromna liczba.

Stopa Owena opadła na pedał gazu, hummer przejechał kilka metrów, ześlizgnął się w bok, ponownie szarpnął w przód i wreszcie z rykiem silnika potoczył się na południe niczym dinozaur. Opowiedz mi, co było po tym, jak wyciągnęliście ją z tej rury.

Zanim Henry zdążył wrócić do wspomnień, ożyła jedna z radiostacji. Najpierw rozległy się szумы i trzaski, potem zaś przemówił donośny, wyraźny głos. Wrażenie było takie, jakby w samochodzie razem z nimi siedział ktoś trzeci.

— Owen? Jesteś tam, chłopcze?

To był głos Kurtza.

16

Pokonanie dwudziestu sześciu kilometrów w kierunku na południe od Bazy Błękitnej (a raczej tego, co kiedyś nią było) zajęło im niemal godzinę, ale Kurtz wcale się tym nie przejmował. Był pewien, że Bóg i tak weźmie ich w opiekę.

Samochód prowadził Freddy Johnson (cała czwórka również załadowała się do przygotowanego do jazdy w warunkach zimowych hummera). Perlmutter siedział z przodu w fotelu pasażera, przykuty kajdankami do klamki, Cambry, również z kajdankami na rękach, zajął miejsce za nim, Kurtz zaś usiadł za Freddyem. Kurtz był ciekaw, czy jego dwaj obrońcy byrusem podwładni próbują telepatycznie spiskować przeciwko niemu. Nawet gdyby próbowali, to niewiele by im to dało. Kurtz i Freddy opuścili szyby w swoich drzwiach, chociaż we wnętrzu hummera od razu zrobiło zimniej niż w drewnianym wychodku w środku mroźnej zimy; działające pełną mocą ogrzewanie nie na wiele się zdawało.

Niestety, nie mogło być mowy o zamknięciu okien, ponieważ atmosfera w krótkim czasie stałaby się niezdatna do oddychania, niczym opary kwasu siarkowego. Jednak dominującą wonią nie był wcale smród siarki, lecz zapach eteru. Najbardziej cuchnął Perlmutter. Niemal bez przerwy wiercił się w fotelu, od czasu do czasu postępując boleśnie. Na Cambrym byrus rósł jak zboże na polu po wiosennym deszczu, ale zdecydowanie najwięcej smrodu wytwarzał Pearly. Starał się z całych sił, żeby wydobywające się spod niego pierdnięcia były bezgłośnie (w odległych dniach młodości Kurtza nazywano coś takiego „bąkami z wyciszeniem” albo „jednopółdupkowcami”) oraz udawał, że nie ma nic wspólnego z rozchodzącym się dokoła potwornym odorem. Kurtz podejrzewał, że o ile Gene Cambry poświęcił się hodowli Ripley, o tyle Pearly, niech Bóg ma go w opiece, hodował coś całkiem innego.

Kurtz starał się ukryć te myśli za własną, ułożoną ad hoc mantrą: *Davis i Roberts, Davis i Roberts, Davis i Roberts*.

— Mógłby pan przestać? — zapytał Cambry. — Pęka mi od tego głowa.

— Mnie też — poparł go Perlmutter, poprawił się w fotelu i wydał dźwięk przypominający odgłos, z jakim powietrze uchodzi ze starej nadmuchiwanej zabawki.

— O rany, człowieku! — wykrzyknął Freddy, całkowicie opuszczając szybę. Do wnętrza wdarł się podmuch lodowatego powietrza i śniegu, hummer poślizgnął się, ale zaraz wrócił na tor jazdy. — Przestań nas wreszcie perfumować, dobrze?

— O, przepraszam! — odparł wyniośle Perlmutter. — Jeżeli sugerujesz, że to ja zepsułem powietrze, to...

— Niczego nie sugeruję! — warknął Freddy. — Mówię ci tylko, żebyś przestał zasmradzać wóz, bo...

Freddy nie mógł zakończyć zdania żadną sensowną groźbą, na razie bowiem potrzebowali dwóch teleportów, głównego i zapasowego, więc Kurtz wpadł mu w słowo:

— Myślę, że w naszej obecnej sytuacji wiele moglibyśmy się nauczyć z historii Edwarda Davisa i Franklina Roberta, ponieważ wynika z niej jasno, że wszystko już kiedyś było. Działo się to w Kansas w czasach, kiedy Kansas to jeszcze było prawdziwe Kansas...

Kurtz (jak się okazało, całkiem niezły gawędziarz) zabrał ich do Kansas w czasach konfliktu koreańskiego. Ed Davis i Franklin Roberts byli właścicielami niezbyt dużych farm w pobliżu Emporii, a równocześnie w pobliżu farmy należącej do rodziny Kurtza (który jeszcze wtedy nazywał się trochę inaczej). Davis, niemal od urodzenia mający parę obłuzowanych klepek w głowie, z biegiem lat nabierał coraz większego przekonania, że jego sąsiad, podstępny Roberts, zamierza odebrać mu farmę. Ed Davis rozповіда o nim w mieście niestworzone historie, Roberts rozsiewa truciznę na polach, Roberts naciska na bank, żeby zajął farmę Davisa, i tak dalej.

Ed Davis zrobił rzecz następującą: schwytał wściekłą kunę i wpuścił ją do kurnika. Do swojego kurnika. Kuna dokonała rzezi, a kiedy już zmęczyła się zabijaniem, farmer Davis rozwalił jej głowę celnym strzałem z dubeltówki.

Trzej pozostali pasażerowie toczącego się niespiesznie hummera słuchali w milczeniu.

Następnie Ed Davis załadował wszystkie martwe kury oraz martwą kunę na przyczepę, a kiedy zapadł zmrok, zaciągnął ją ciągnikiem do sąsiada i przy świetle księżycy wrzucił po połowie ładunku do każdej z dwóch studni: tej dla ludzi i dla zwierząt. Wróciwszy do domu i łyknąwszy sporo whisky, w doskonałym nastroju zadzwonił do Roberta i powiedział mu, co zrobił. „Gorąco dzisiaj było, co?” — pytał, zaśmiewając się do rozpuku. Bełkotał tak niewyraźnie, że Roberts z trudem go rozumiał. „Jaką wodę pijecie, kunową czy kurzą? Mnie nie pytaj, bo nie pamiętam, do której studni wrzuciłem tego cholernego szkodnika!”

Lewy kącik ust Gene’a Cambry’ego drżał lekko, jakby Gene miał za sobą udar mózgu. Na biegnącej przez środek czoła zmarszczce wyrosło już tyle byrusa, że Cambry wyglądał jak człowiek, któremu rozplątano głowę siekierą.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał. — Że Pearly i ja nie jesteśmy lepsi od sterty martwych kurczaków?

— Uważaj, jak mówisz do szefa, Cambry! — ostrzegł go Freddy.

— Pieprzę szefa, dupku! Tę operację już dawno szlag trafił!

Freddy podniósł rękę, jakby zamierzał go uderzyć; Cambry natychmiast przysunął zawziętą, przestraszoną twarz.

— No, śmiało! Ale na twoim miejscu najpierw dokładnie obejrzałbym tę rękę, czy nie masz tam żadnych skaleczeń. Wystarczy jedno, choćby najmniejsze.

Ręka Freddy’ego chwiała się przez chwilę w powietrzu, po czym wróciła na kierownicę.

— A skoro już o tym mowa, Freddy, to radzę ci, miej oczy dookoła głowy. Jeśli sądzisz, że twój „szef zostawi przy życiu jakichś świadków, to jesteś szalony.

— Właśnie, szalony! — Kurtz roześmiał się ciepło. — Wielu farmerów wariuje albo wariowało, zanim pojawił się Willie Nelson ze swoją akcją „Pomoc dla wsi”, niech Bóg mu błogosławi. Biedny Ed Davis wylądował w wariatkowie, Frank Roberts zaś sprzedał farmę, przeniósł się do Wichita i zaczął pracować dla Allis-Chalmers. Okazało się zresztą, że woda w studniach wcale nie była zatruta. Jak tylko usunął padlinę, wezwał inspektora sanitarnego, a ten zbadał wodę i powiedział, że nadaje się do picia. Wścieklizna nie przenosi się w ten sposób. Ciekawe, jak wygląda sprawa z Ripley?

— Przynajmniej mógłbyś nazywać to tak, jak trzeba — wycedził z pogardą Cambry. — To jest byrus.

— Byrus czy Ripley, mnie tam bez różnicy. Ci chłopcy próbują zatruć nasze studnie, zanieczyścić nasze bezcenne płyny, jak ktoś kiedyś powiedział.

— Przecież ciebie nic to nie obchodzi! — W ustach Pearly'ego zabrzmiało to jak splunięcie. Freddy aż się skulił, tyle jadu i nienawiści było w tym głosie. — Zależy ci tylko na tym, żeby złapać Underhilla! — Umilkł na chwilę, po czym dodał ponurym tonem: — Ty naprawdę jesteś szurnięty, szefie.

— Owen! — wykrzyknął radośnie Kurtz. — Zupełnie o nim zapomniałem! Gdzie on teraz jest, chłopcy?

— Przed nami — powiedział głucho Cambry. — Utknął w zaspie.

— Wspaniale! Zaraz go dorwiemy!

— Nie podniecaj się tak bardzo. Właśnie ruszył. Ma hummera, takiego samego jak my. Takim wozem można przejechać przez środek piekła, jeżeli wie się, jak to zrobić. A on chyba wie.

— To niedobrze. Zbliżyliśmy się chociaż trochę?

— Niewiele.

Pearly skrzywił się, uniósł pośladek i wypuścił kolejną porcję gazów.

— O kurwa... — wymamrotał Freddy.

— Freddy, podaj mi mikrofon. Kanał ogólny. Nasz przyjaciel bardzo lubi tę częstotliwość.

Skręcony w sprężynę przewód okazał się wystarczająco długi. Freddy włączył radiostację, pokręcił gałkami, a następnie oznajmił:

— Gotowe. Może pan mówić, szefie.

Kurtz nacisnął guzik w obudowie mikrofonu.

— Owen? Jesteś tam, chłopcze?

Cisza, trzaski i jednostajne wycie wiatru. Kurtz miał już zamiar spróbować ponownie, kiedy we wnętrzu hummera rozległ się wyraźny, pozbawiony zniekształceń głos Owena.

Wyraz twarzy Kurtza nie uległ zmianie — wciąż oscylował między znużeniem a uprzejmym zainteresowaniem — ale serce zabiło mu szybciej.

— Jestem.

— Jak się cieszę, że cię słyszę! Cudownie! Mam wrażenie, że jesteś tam, gdzie my, z tolerancją jakichś siedemdziesięciu–osiemdziesięciu kilometrów, zgadza się? Jeśli o nas chodzi, to właśnie minęliśmy zjazd 39.

W rzeczywistości minęli zjazd 36, Kurtz zaś był prawie pewien, że odległość wynosi znacznie mniej niż osiemdziesiąt kilometrów. Być może nawet dwukrotnie mniej.

Odpowiedziała mu cisza.

— Zjedź na bok i zatrzymaj się, chłopcze — poradził Kurtz Owenowi przyjaznym głosem, najnormalniejszym z normalnych. — Jeszcze nie jest za późno, żeby coś ocalić z tego zamieszania. Nie mówię o naszych karierach, bo te już oczywiście szlag trafił, ale jeżeli podjąłeś się jakiejś misji, synu, to chętnie bym ci pomógł. Jestem stary, chłopcze, i zależy mi wyłącznie na tym, żeby zostawić po sobie...

— Przestań pieprzyć, Kurtz — rozległo się głośno i wyraźnie z sześciu głośników hummera.

Cambry miał czelność parsknąć śmiechem. W normalnych okolicznościach spojrzenie, którym obrzucił go Kurtz, przyprawiłoby go o drgawki ze strachu, tym razem jednak okoliczności nie były ani trochę normalne i Kurtz poczuł nieprzyjemne — i bardzo zaskakujące — ukłucie lęku. Zdawać sobie sprawę na poziomie intelektualnym z tego, że wszystko stanęło na głowie, to jedno; ujrzeć przed sobą namacalne tego dowody, a raczej dostać nimi w łeb jak obuchem, to co innego.

— Owen... Posłuchaj mnie, chłopcze...

— To ty mnie posłuchaj, Kurtz. Nie wiem, czy w twoim mózgu została jeszcze choć jedna w miarę normalna komórka, ale jeśli tak, to mam nadzieję, że mnie teraz słucha. Jest ze mną niejaki Henry Devlin. Przed nami, przypuszczalnie w odległości jakichś stu pięćdziesięciu kilometrów, jedzie jego przyjaciel Gary Jones. Tyle że tak naprawdę to wcale nie on, ponieważ jego ciałem zawładnęła obca istota, którą nazywa Szarym. To, co wydarzyło się w Jefferson Tract, nie ma żadnego znaczenia. Rzeź, którą planowałeś, okazała się całkowicie zbędna. Bez względu na to, co zrobisz z tymi ludźmi, oni nie przedstawiają sobą żadnego zagrożenia.

— Słyszeliście? — wykrzyknął Perlmutter histerycznym tonem. — Żadnego zagrożenia! On powiedział, że...

— Zamknij się! — warknął Freddy i rąbnął go w twarz wierzchem ręki.

Kurtz nawet tego nie zauważył. Siedział wyprostowany, z błyszczącymi oczami. Zbędna? Czyżby Owen Underhill próbował mu wmówić, że najważniejsza operacja w jego długiej karierze była zbędna?

— ...środowisku, rozumiesz? Nie są przystosowani do życia w naszym ekosystemie... z wyjątkiem Szarego. Udało mu się znaleźć nosiciela zupełnie innego od wszystkich. Jeżeli kiedykolwiek naprawdę ci na czymś zależało i jeżeli zależy ci jeszcze teraz, to natychmiast przestaniesz nas ścigać i pozwolisz, żebyśmy sami zajęli się Jonesem i Szarym. Nas może dogonisz, ich — na pewno nie. Są już zbyt daleko na południe. Wygląda na to, że Szary ma jakiś plan, coś, co jego zdaniem powinno zadziałać.

— Owen, jesteś przemęczony — odparł Kurtz. — Zatrzymaj się. Jeżeli trzeba coś zrobić, zrobimy to razem. Razem spróbujemy...

— Jeżeli na czymś jeszcze ci zależy, zostawisz nas w spokoju — przerwał mu Owen. — Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Bez odbioru.

— Nie rób tego! — ryknął Kurtz. — Zabraniam ci! Nie wolno ci tego robić!

Rozległ się głośny trzask, a zaraz potem głośniki wypełniła sycząca cisza.

— Rozłączył się — wymamrotał Perlmutter. — Wyłączył radio. Nie ma go.

— Ale słyszeliście, co mówił, prawda? — dopytywał się Cambry. — Słyszeliście? To nie ma żadnego sensu. Trzeba to wszystko odwołać.

Na środku czoła Kurtza pojawiła się pulsująca żyłka.

— Po tym, czego dokonał w bazie, chyba nie spodziewał się, że mu uwierzę.

— Ale on mówił prawdę! — wrzasnął Cambry. Po raz pierwszy odwrócił się całkowicie w stronę Kurtza. Miał szeroko otwarte, prawie wytrzeszczone oczy, w kącikach jego ust ulokowały się kolonie Ripley, byrusa, czy jak tam to się nazywało. Krzycząc, opryskiwał śliną policzki, czoło i przezroczystą maskę Kurtza. — Słyszałem jego myśli! Pearly też! On mówił samą pieprzoną prawdę, od początku do końca! Samą pra...

Z nadnaturalną prędkością Kurtz wyszarpnął pistolet z kabury i wystrzelił. Huk był ogłuszający. Freddy wykrzyknął coś z zaskoczenia i szarpnął kierownicą, ustawiając hummera poprzecznie do kierunku jazdy. Perlmutter wrzasnął, po czym odwrócił do tyłu przerażającą, pokrytą czerwonymi naroślami twarz. Na szczęście dla Cambry'ego wszystko trwało bardzo krótko: jego mózg wyprysnął przez wielką dziurę z tyłu czaszki, na tylną półkę i podsufitkę, oraz na zewnątrz, przez roztrzaskaną szybę.

Kurtz spojrzał na Perlmuttera. *Tego nie przewidzialesz, prawda, chłopcze? Ta twoja cholerna telepatia nie na wiele ci się przydała, co?*

— No pewnie — powiedział Pearly grobowym tonem. — Telepatia przydaje się wtedy, kiedy masz do czynienia z człowiekiem, który wie, co robi za chwilę. Wariaci zwykle nie wiedzą.

Samochód wyszedł z poślizgu. Freddy był doskonałym kierowcą, nawet wtedy kiedy ze strachu mało nie narobił w gacie. Kurtz wycelował pistolet w głowę Perlmuttera.

— Nazwij mnie jeszcze raz wariatem. Głośno i wyraźnie, żebym cię słyszał.

— Wariat — powiedział natychmiast Pearly, prezentując w szerokim uśmiechu liczne braki w uzębieniu. — Wariat, wariat, wariat! Nie zastrzelisz mnie za to. Zastrześliłeś swojego zapasowego telepatę i na więcej na razie nie możesz sobie pozwolić.

Jego głos stawał się coraz wyższy, niebezpiecznie zbliżając się do granicy hysterii. Ciało Camry'ego oparło się o drzwi, zimny wiatr wpadający przez okno rozwiewał mu włosy nad krwawym kraterem w głowie.

— Spokojnie, Pearly. — Kurtz czuł się znacznie lepiej. Już nie był taki spięty, znowu w pełni nad sobą panował. Przynajmniej taki był pożytek z Cambry'ego. — Ściśnij mocniej swoją podkładkę pod papiery i spróbuj się uspokoić. Freddy?

— Tak, szefie?

— Ciągłe jesteś ze mną?

— Jasne, szefie.

— Owen Underhill jest zdrajcą. Zgadzasz się ze mną, Freddy?

— Zgadzam się, szefie.

— I powiedziałbyś to w twarz nawet samemu Bogu?

— Powiedziałbym.

Freddy siedział za kierownicą sztywno, jakby kij połknął, i wpatrywał się w stożek światła przed pojazdem.

— Owen Underhill zdradził swój kraj i swoich rodaków. Dopuścił się...

— Zdradził ciebie — wyszeptał Perlmutter.

— Zgadza się, Pearly, ale na twoim miejscu nie przeceniałbym swojej ważności, naprawdę bym tego nie robił, bo przecież sam powiedziałaś, że nie sposób przewidzieć, co wariat zrobi za chwilę. — Kurtz ponownie wbił wzrok w potężny kark Freddy'ego. — Dorwiemy Underhilla i tego jego nowego kumpla, Devlina. Jasne?

— Jasne, szefie.

— A tymczasem chyba powinniśmy zrzucić trochę balastu, prawda?

Wyjął z kieszeni kluczyki, przechylił się w bok, sięgnął za Cambry'ego, zanurzył rękę w czerwonoszarej brei oklejającej okno, znalazł klamkę i przykuta do niej rękę, przekręcił kluczyk. Pięć sekund później Cambry, słodki Jezu, wysiadł bez pożegnania. Tymczasem Freddy z zapalem drapał się po kroczu. Swędziało jak diabli, podobnie jak pod pachami i w...

Kątem oka zauważył, że Perlmutter mu się przygląda.

— Na co się gapisz? — warknął.

Perlmutter bez słowa odwrócił wzrok i wpatrzył się w noc.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

WYŚCIG TRWA

1

Szary uwielbiał zanurzać się w ludzkich emocjach, uwielbiał ludzką żywność, zupełnie natomiast nie podobało mu się wypróżnianie. Kategorycznie odmówił spojrzenia na to, co wyprodukował, podciągnął spodnie, a następnie zapiął je lekko trzęsącymi się rękami.

Chryste, może byś się chociaż podtarł! — wykrzyknął Jonesy. *I spuścił wodę!*

Ale Szaremu zależało wyłącznie na tym, żeby jak najprędzej wyjść z toalety. Zatrzymał się jeszcze tylko po to, żeby opłukać ręce nad umywalką, a następnie szybkim krokiem ruszył do wyjścia.

Jonesy wcale się nie zdziwił na widok zmierzającego w jego kierunku policjanta.

— Zapomniałeś zapiąć się pod szyją, przyjacielu.

— Słucham? Ach, tak. Rzeczywiście. Dziękuję panu.

— Jedziesz z północy, zgadza się? W radiu mówią, że sporo się tam dzieje. Jacyś kosmici, licho wie co jeszcze.

— Jadę tylko z Derry — odparł Szary. — Nie mam pojęcia, o co chodzi tam na południu.

— A co wygoniło cię z domu w taką noc jak dzisiaj, jeśli wolno spytać?

Powiedz mu, że wiadomość o chorobie przyjaciela, podpowiedział Jonesy, ale powoli ogarniała go rozpacz. Nie chciał widzieć tego, co miało niebawem nastąpić, a tym bardziej w tym uczestniczyć.

— Wiadomość o chorobie przyjaciela.

— Doprawdy. No cóż, chciałbym zobaczyć pańskie prawo jazdy i...

Oczy policjanta zrobiły się wielkie i okrągłe jak dwa zera. Szttywnym krokiem podszedł do ściany, na której wisiała tabliczka z napisem PRYSZNICE WYŁĄCZNIE DLA KIEROWCÓW CIĘŻARÓWEK, zatrzymał się, przez kilka sekund stał, drżąc jak w ataku febry, a potem zaczął z rozmachem, z całej siły walić głową w beżową glazurę. Po pierwszym uderzeniu spadł mu kapelusz, po trzecim popłynęła krew, najpierw cienkim strumyczkiem, potem coraz obficie.

Ponieważ Jonesy nie mógł nic zrobić, żeby to powstrzymać, rzucił się do stojącego na biurku telefonu.

W słuchawce panowała głucha cisza. Pożerając drugą porcję bekonu albo może srając po raz pierwszy w życiu, Szary przecinał przewody.

Jonesy został sam.

2

Pomimo przerażenia — a raczej ze względu na nie — Jonesy wybuchnął śmiechem, kiedy jego ręce ścierały firmowym ręcznikiem krew ze ściany i podłogi. Szary oczywiście wyruszył do archiwum na poszukiwanie informacji dotyczących sposobów ukrywania i/lub pozbywania się zwłok, i zamiast na kilka porzrzucanych okruchów trafił na prawdziwą kopalnię wiedzy. Jonesy, od zamierzchłych czasów miłośnik horrorów oraz kryminałów, był w tej dziedzinie prawdziwym ekspertem. Nawet teraz, kiedy Szary rzucił przesiąknięty krwią ręcznik na również zakrwawioną pierś policjanta (marynarką owinął jego roztrzaskaną głowę), w niewielkiej salce kinowej w zakamarkach umysłu Jonesy'ego trwała projekcja filmu „Utalentowany pan Ripley”, a niewidzialny lektor czytał adekwatne do sytuacji fragmenty powieści Patricii Highsmith. Równocześnie były odtwarzane również inne filmy i czytane inne powieści, lecz Jonesy wolał się temu zbyt uważnie nie przyglądać, bo za bardzo mu się

kręciło w głowie. Nie to zresztą było najgorsze. Dzięki pomocy Jonesy'ego utalentowany pan Szary odkrył coś, coś polubił znacznie bardziej niż zesmażony bekon, ba, bardziej nawet niż nurzanie się w oceanie wściekłości swego gospodarza.

Szary odkrył morderstwo.

3

Za prysznicami znajdowała się szatnia, dalej zaś hall prowadzący do hoteliku dla kierowców. Hall był pusty. Na samym końcu były drzwi, przez które wychodziło się na zaplecze budynku, w przysypany teraz śniegiem zaułek. W zaspach majestatycznie tkwiły dwa kontenery na odpadki, samotna rozkołysana lampa dawała niewiele światła i mnóstwo ruchliwych cieni. Szary, pojętny uczeń, przeszukał kieszenie policjanta, zabrał mu kluczyki oraz pistolet, który wepchnął do zapinanej na suwak kieszeni kurtki Jonesy'ego. Wyciągnął zwłoki na zewnątrz, zablokował drzwi zakrwawionym ręcznikiem, a następnie zawlókł trupa za jeden z kontenerów.

Wszystko, od wymuszonego samobójstwa policjanta, do powrotu Jonesy'ego do hallu, trwało niespełna dziesięć minut. Jonesy czuł się lekki i silny, zmęczenie ulotniło się bez śladu — przynajmniej chwilowo. Do spółki z Szarym korzystał z dobrodziejstw kolejnego endorfinowego zastrzyku, a na dodatek zdawał sobie sprawę, że częściową odpowiedzialność za tę jatkę ponosi nie kto inny jak Gary Ambrose Jones. Nie chodziło tu jedynie o wiadomości dotyczące sposobów pozbywania się zwłok, lecz również, a może przede wszystkim, o krwawe żądze płonące za papierowym parawanem z napisem „przecież to tylko fikcja”. Nawet jeśli za kierownicą siedział Szary — Jonesy przynajmniej nie mógł sobie zarzucić, że sam, z własnej i nieprzymuszonej woli zabił człowieka — to jednak on, nie kto inny, był motorem napędowym.

Kto wie, może zasługujemy na to, żeby zniknąć? — myślał Jonesy, kiedy Szary rozglądał się uważnie w poszukiwaniu ewentualnych śladów, podrzucając jednocześnie w dłoni kluczyki od radiowozu. Może zasługujemy na to, żeby zamienić się w niesiony wiatrem tuman czerwonych zarodników? Kto wie, może tak by było dla nas najlepiej?

4

Siedząca przy kasie kobieta o zmęczonej twarzy zapytała go, czy widział policjanta.

— Jasne — odparł Jonesy. — Oglądał nawet moje prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

— To już chyba trzeci radiowóz od popołudnia — powiedziała kobieta. — Nasi dzielni gliniarze mają powody do niepokoju, zresztą tak samo jak my wszyscy. Gdybym chciała obejrzeć istoty z innej planety, wypożyczyłabym sobie kasetę. Słyszał pan jakieś nowiny?

— W radiu mówią, że to był fałszywy alarm.

Zapinając kurtkę, spojrział w okno wychodzące na parking, by upewnić się, że prawie nic przez nie nie widać. Nikt nie zauważy, jakim samochodem odjeżdża.

— Naprawdę?

Ulga bardzo ją odmłodziła.

— Tak. Nie niepokój się, złotko, gdyby twój przyjaciel długo nie wracał. Powiedział mi, że musi nadać ciężką paczkę.

Zmarszczyła brwi.

— Tak powiedział?

— Słowo w słowo. No to, wesołych Świąt, miłych wakacji, szczęśliwego Nowego Roku!

Jonesy miał nadzieję, że przynajmniej częściowo to był on, że tak wyglądały jego próby przedarcia się, zwrócenia na siebie uwagi. Zanim zdołał się zorientować, czy mu się udało, widok za oknem zmienił się, ponieważ Szary odszedł od kasy. Pięć minut później znowu

podążał autostradą na południe; dzięki łańcuchom na kołach radiowozu mógł bez większego trudu utrzymać prędkość sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Jonesy czuł, jak Szary sięga na zewnątrz, wstecz. Mógł dotknąć umysłu Henry'ego, nie mógł natomiast do niego wnikać; podobnie jak Jonesy, Henry był trochę inny. Nie miało to zresztą większego znaczenia, ponieważ Henry'emu towarzyszył ten człowiek, Overhill albo Underhill. Dzięki niemu Szary był w stanie uzyskać dokładne namiary; tamci jechali około stu, może nawet stu dziesięciu kilometrów z tyłu i właśnie zjeżdżali z autostrady... Gdzie? Tak, w Derry.

Szary sięgnął jeszcze dalej i odkrył następnych ścigających. Było ich trzech, Jonesy jednak odniósł wrażenie, iż zależy im nie na Szarym, lecz na Overhillu/Underhillu. Chociaż zaskakujące i niewiarygodne, jednak było to prawdziwe, a Szary, rzecz jasna, nie miał nic przeciwko temu. Nie pofatygował się nawet, by sprawdzić, dlaczego Overhill/Underhill i Henry zdecydowali się urządzić postój.

Szary snuł plany możliwie szybkiej, kolejnej zmiany pojazdu — najlepiej na pług śnieżny, pod warunkiem że umiejętności Jonesy'ego okażą się wystarczające do prowadzenia takiej maszyny. Przypuszczalnie wiązałyby się z tym konieczność popełnienia jeszcze jednego morderstwa, szybko uczłowieczający się Szary nie miał jednak nic przeciwko temu. Dopiero zaczął się rozgrzewać.

5

Owen Underhill stoi na stoku bardzo blisko wystającego z krzaków wylotu rury i obserwuje, jak czterej chłopcy pomagają wydostać się z pułapki wystraszonej, umorusanej dziewczynce. Widzi, jak Duddits (ogromny młody mężczyzna o barach futbolisty i nieprawdopodobnie jasnych włosach gwiazdora filmowego) obejmuje ją mocno i zasypuje jej brudną twarz mlaskającymi pocałunkami. Słyszy pierwsze słowa Josie:

— Chcę do mamy!

To im wystarczy: nie wzywają policji, nie dzwonią po pogotowie, tylko pomagają jej wspiąć się po zboczu, przeleźć przez dziurę w ogrodzeniu, prowadzą przez Strawford Park (zamiast dziewcząt w żółtych bluzkach na boisku ćwiczą teraz dziewczęta w zielonych; ani one, ani ich trener nie zwracają uwagi na gromadkę chłopców otaczających jasnowłosa, potarganą zdobycz), idą Kansas Street, skręcają w Maple Lane. Wiedzą, gdzie jest mama Josie. Tata zresztą też.

Nie tylko oni. Oczom chłopców ukazuje się długi rząd samochodów stojących wzdłuż ulicy przed domem Cavellów. To Roberta wpadła na pomysł, żeby zwołać rodziców szkolnych kolegów i koleżanek Josie. Ustaliła plan poszukiwań i rozwiesza w mieście ogłoszenia, powiada. Nie w odludnych, przez nikogo nie odwiedzanych miejscach (bo tam właśnie zwykle zawisają w Derry ogłoszenia o zaginionych dzieciach), lecz tam, gdzie zobaczy je mnóstwo ludzi. Entuzjazm Roberty jest tak wielki, że w oczach Ellen i Hectora Rinkenhauerów zaczynają się tlić iskierki nadziei.

Inni rodzice również przybywają bardzo chętnie, jakby czekali na sygnał. Telefony zaczęły się krótko po tym, jak Duddits wraz z przyjaciółmi wymaszerował z domu (żeby, jak przypuszcza Roberta, bawić się gdzieś niedaleko, ponieważ stary gruchot Henry'ego wciąż stoi przed domem), a kiedy chłopcy zjawiają się z powrotem, w niewielkim salonie Cavellów tłoczy się ponad dwadzieścia osób, które piją kawę i palą papierosy. Właśnie przemawia mężczyzna, którego Henry już kiedyś widział, prawnik Dave Brocklin. Jego syn, Kendall, czasem bawi się z Dudditsem. Ken Brocklin również cierpi na zespół Downa i jest całkiem w porządku, ale nie dorasta Dudditsowi do pięt. Bądźmy zresztą poważni: kto mógłby się równać z Dudditsem?

Chłopcy stają z Josie w progu pokoju. Dziewczynka trzyma w rękach swoją wielką białą torebkę, w której bezpiecznie spoczywa BarbieKen. Ma nawet w miarę czystą twarz, ponieważ Beaver, zobaczywszy tyle samochodów, wykonał na chodniku przed domem małą sztuczkę za pomocą swojej chusteczki do nosa. („Wicie co? Naprawdę dziwnie się czułem — wyzna później, kiedy już opadnie zamieszanie — poleruję tę lasencję, ciało ma jak króliczek «Playboya», a mózg kosiarki do trawy!”). W pierwszej chwili dostrzega ich tylko pan Brocklin, ale do pana Brocklina nie dociera to, co widzi, ponieważ jest zajęty przemawianiem.

— ...tak więc powinniśmy podzielić się na kilka zespołów, na przykład sześciuosobowych, i rozpocząć szczegółowe... szczegółowe...

Zachowuje się jak nakręcana zabawka, której sprężyna właśnie się całkowicie rozkręciła i z wybaluszonymi oczami zamiera w bezruchu na środku pokoju. Widownia reaguje niespokojnym szmerem, ponieważ nikt nie wie, co się stało.

— Josie — mówi wreszcie zupełnie bezbarwnym tonem, jakże odmiennym od pewnego siebie dudnienia, którym od lat wypełnia sale sądowe.

— Oczywiście — potwierdza Hector Rinkenhauer. — Tak ma na imię. Wszyscy o tym wiedzą, Dave. Co się dzieje? Wszystko w...

— Josie... — szepcze tym razem Dave i wyciąga ku niej drżącą rękę. Dla Henry’ego (a tym samym Owena, który ogląda tę scenę jego oczami) Dave Rinkenhauer wygląda jak Duch Przyszłych Wigilii wskazujący na mogiłę Ebenezera Scrooge’a.

Odwraca się jedna głowa... druga... trzecia... Oczy Alfiego Cavella robią się nieprawdopodobnie duże za okularami... Chwilę potem to samo dzieje się z oczami pani Rinkenhauer.

— Cześć, mamó — mówi Josie jakby nigdy nic i pokazuje wszystkim torebkę. — Duddie znalazł BarbieKena. Wpadł do...

Resztę zagłusza kobiece krzyk radości. Henry słyszy coś takiego po raz pierwszy w życiu: jest to piękne, a równocześnie odrobinę przerażające.

— A niech mnie Freddy przeleci... — mamrocze Beaver pod nosem.

Jonesy obejmuje Dudditsa, którego trochę przestraszył nagły hałas. Pete zerka na Henry’ego i ledwo dostrzegalnie kiwa głową. *Dobrze się spisaliśmy*. Henry odpowiada w ten sam sposób. *Zgadza się*.

Być może nie jest to najszczęśliwszy dzień w ich życiu, ale na pewno prawie najszczęśliwszy. Pani Rinkenhauer chwyta córkę w objęcia, Henry poklepuje Dudditsa po ramieniu, ten odwraca się do niego, a wówczas Henry całuje go w policzek. Dobry stary Duddits, myśli. Dobry...

6

— To tutaj — mówi cicho Henry. — Zjazd numer 27.

Obraz wnętrza domu Cavellów znikł sprzed oczu Owena jak bańka mydlana. Zastąpił go widok tablicy z napisem ZJAZD 27 — KANSAS STREET, lecz Underhill miał wrażenie, że wciąż słyszy radosne kobiece okrzyki.

— Wszystko w porządku? — zapytał Henry.

— Tak. W każdym razie tak mi się wydaje. — Hummer bez trudu przedarł się przez głębszy śnieg odgradzający ich od zjazdu. Zegar na tablicy rozdzielczej wciąż nie działał, podobnie jak zegarek na nadgarstku Henry’ego, Henry jednak odniósł wrażenie, że niebo zaczyna się powoli rozjaśniać. — Potem w prawo czy w lewo? Powiedz mi teraz, bo wolałbym się nie zatrzymywać.

— W lewo.

Hummer skręcił pod migającym sygnalizatorem, pokonał następną zaspę i podążył na południe Kansas Street. Całkiem niedawno przejechały wtedy pługi, lecz wiatr zwiewał śnieg z powrotem na jezdnię.

— Chyba trochę mniej pada — zauważył Henry.

— Tak, ale wieje coraz mocniej. Cieszysz się, że go zobaczysz, prawda?

— Zgadza się, choć mam trochę tremy — odparł Henry z uśmiechem. — Duddits jest... Przy nim po prostu czujesz się dobrze. Sam się przekonasz. Szkoda tylko, że zwalimy mu się na głowę o tej godzinie.

Owen wzruszył ramionami. Nic na to nie poradzę.

— Przeprowadzili się tutaj chyba jakieś cztery lata temu, a ja jeszcze ani razu go nie odwiedziłem. — Nie zdając sobie z tego sprawy, przeszedł na telepatyczny sposób porozumiewania się. *Zmienili mieszkanie po śmierci Alfiego.*

Byłeś... Zamiast słów, kilka obrazów: ludzie w czerni pod czarnymi parasolami, cmentarz w strugach deszczu, trumna z tabliczką R.I.P ALFIE.

Nie, odparł zawstydzony Henry. *Żaden z nas nie był.*

?

Henry nie miał pojęcia, dlaczego nie pojechali na pogrzeb, choć przez głowę przemknęła mu pasująca do sytuacji fraza: „Co palec napisze, napisane zostaje, on sam zaś pisze bez przerwy dalej”. Duddits stanowił ważną, żeby nie powiedzieć najważniejszą część ich dzieciństwa, kiedy jednak doszło do zerwania więzi, perspektywa powrotu i próby ponownego jej nawiązania stała się niezmiernie bolesna. Co gorsza, ból ten byłby całkowicie nieproduktywny. Za obrazami, które nauczył się kojarzyć z depresją i samobójczą depresją — strużka mleka na podbródku ojca, Barry Newman uciekający z jego gabinetu — krył się inny obraz, o wiele potężniejszy: łowca snów. Czyż nie stąd właśnie brała się jego rozpacz? Z kontrastu między rozmachem i zasięgiem koncepcji a banalnością zastosowań? Posługując się Dudditsem w celu odnalezienia Josie Rinkenhauer, postąpili tak, jakby odkryli zasady rządzące fizyką kwantową, a następnie wykorzystali je do zaprojektowania nowej gry telewizyjnej — a potem, co gorsza, doszli do wniosku, że cała fizyka kwantowa tylko do tego się nadaje... Oczywiście dokonali dobrego uczynku; bez nich Josie Rinkenhauer umarłaby w tej rurze jak szczur w metalowej becce, ale... No, bądźmy szczerzy, raczej nie zanosilo się na to, żeby w dającej się przewidzieć przyszłości miała dostać za coś Nobla, więc...

Nie nadążam za wszystkim, co przelatuje ci przez głowę, odezwał się Underhill gdzieś z głębi umysłu Henry'ego, odnoszę jednak wrażenie, że znaczna część tego świadczy o twojej cholernej arogancji. Jaki adres?

Bolesnie ugodzony, Henry posłał mu gniewne spojrzenie.

— Powiedzmy, że nie widzieliśmy go od jakiegoś czasu. Czy to wystarczy?

— Jasne.

— Ale co roku wysyłamy mu kartki świąteczne, dzięki czemu wiem, że przeprowadzili się na Dearborn Street 41. Trzecia przecznica stąd.

— W porządku. Uspokój się.

— A ty wsadź sobie w dupę te świętoszkowate westchnienia, dobrze?

— Posłuchaj, Henry...

— Nie, to ty posłuchaj! Jakoś zerwały nam się kontakty, i tyle. Zdarza się. Może nie takiej chodzącej doskonałości jak ty, ale zwyczajnym ludziom... zwyczajnym ludziom, takim jak my...

Dopiero teraz zauważył, że zaciska pięści, i zmusił się, żeby rozprostować palce.

— Przecież już powiedziałem, że w porządku!

— Ty pewnie utrzymujesz kontakty ze wszystkimi kumplami z podstawówki, co? Spotykacie się raz w roku, puszczaście stare płyty Mótley Criie i obżeracie się sałatką z tuńczyka, taką samą, jaką podawali w szkolnej stołówce?

— Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

— Wypchaj się! Tak gadasz, jakbyśmy go gdzieś porzucili albo coś w tym rodzaju.

Rzecz jasna, tak właśnie było.

Owen nie odpowiedział. Wytężał wzrok, wypatrując Dearborn Street w bladym blasku przedświtu i kłębach niesionego wiatrem śniegu... i wypatrzył, zaledwie kilkanaście metrów z przodu. Co prawda pług jadący Kansas Street zasypał wjazd, lecz Owen przypuszczał, że hummer poradzi sobie i z tą przeszkodą.

Ani na chwilę o nim nie zapomniałem, ciągnął Henry bezgłośnie, lecz zaraz wrócił do tradycyjnego mówienia.

— Wszyscy o nim myśleliśmy. Ja i Jonesy nawet zamierzaliśmy odwiedzić go na wiosnę, ale Jonesy miał wypadek, a ja potem po prostu zapomniałem. Czy to takie dziwne?

— Ani trochę — odparł Owen ugodowym tonem.

Zakręcił mocno kierownicą w prawo, od razu skontrował w lewo i wdepnął w pedał gazu. Hummer uderzył w śnieżną rampę z taką siłą, że gdyby nie zapięte pasy, z pewnością wyrzuciłoby ich z foteli, opadł z łoskotem na koła i już byli po drugiej stronie. Underhill wciąż kręcił kierownicą, żeby nie zahaczyć o zaparkowane wzdłuż obu chodników samochody.

— I nie życzę sobie umoralniających wykładów od kogoś, kto jeszcze parę godzin temu zamierzał upiec żywcem kilkuset niewinnych cywilów! — wymamrotał Henry.

Owen kopnął obiema stopami w hamulec, ciężki pojazd zatrzymał się gwałtownie, płużąc w śniegu zablokowanymi kołami.

— Zamknij się, dobrze?

A ty nie chrzań głupot, których nie rozumiesz.

— Możliwe, że przez ciebie

niedługo szlag mnie trafi

więc może jednak zachowałbyś

dla siebie te swoje cholerne

nikomu niepotrzebne

zarozumiałe

mądrości?

Henry ze zdumieniem wybałuszył oczy. Kiedy zdarzyło się po raz ostatni, żeby ktoś mówił do niego w ten sposób?

Odpowiedź brzmiała: przypuszczalnie nigdy.

— Zależy mi tylko na jednym. — Twarz Owena była śmiertelnie blada, malowało się na niej napięcie. — Żeby znaleźć tego twojego Jonesy'ego i go powstrzymać. Rozumiesz? Gówno mnie obchodzą twoje urażone uczucia, gówno mnie obchodzi, jak bardzo jesteś zmęczony, i ty sam też mnie gówno obchodzisz. Zapamiętaj to sobie!

— W porządku — odparł Henry.

— I nie życzę sobie umoralniających wykładów od kogoś, kto jeszcze parę dni temu zamierzał palnąć sobie w ten zarozumiały, przemądrzały łeb!

— W porządku — powtórzył.

— Dlatego będę ci bardzo wdzięczny, jeśli zechcesz się ode mnie raz na zawsze odpieprzyć!

We wnętrzu hummera zapadła cisza. Z zewnątrz docierało jedynie monotonne zawodzenie wiatru.

— No dobrze — westchnął wreszcie Henry. — Odpieprzymy się od siebie nawzajem i po krzyku.

Owen skinął lekko głową i uśmiechnął się lekko. Henry uczynił to samo.

Dokąd jadą Jonesy i Szary? — zapytał Underhill. *Możesz ich wyczuć?*

Henry zwilżył wargi językiem. Rana na nodze już prawie nie swędziała, za to mógłby przysiąc, że zamiast języka ma kawał starej szmaty.

— Nie. Zerwali wszelką łączność. Założę się, że to sprawka Szarego. A co z twoim nieustraszonym dowódcą? Zbliża się, prawda?

— Zgadza się. Jeśli chcemy utrzymać go na dystans, powinniśmy się pośpieszyć.

— Więc się pośpieszmy.

Owen podrapał się po policzku, spojrzął na czerwone okrucy, które zostały na palcach, i wrzucił bieg.

41, mówileś?

Aha. Owen...

Co?

Boję się.

Dudditsa?

W pewnym sensie.

Dlaczego?

Nie wiem. Henry wpatrywał się w Owena pustym spojrzeniem. *Czuje, że coś z nim jest nie w porządku.*

7

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi i jej nocne fantazje stały się faktem, Roberta nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Nogi miała jak z waty. Błede, upiorne światło poranka wcale nie było lepsze od nocnych ciemności, a oni, Pete i Beaver, czekali za drzwiami, żeby zabrać jej syna.

Pukanie powtórzyło się, znacznie silniejsze, teraz już raczej łomot. Od uderzeń pięścią w drzwi zatrzęsły się zdjęcia na ścianach. Jedno z nich nie było właściwie zdjęciem, tylko oprawioną w ramki pierwszą stroną „News”, z fotografią przedstawiającą Dudditsa, jego przyjaciół oraz Josie Rinkenhauer. Spletli razem ramiona, uśmiechali się od ucha do ucha (jak dobrze Duddits wyszedł na tym zdjęciu, jak normalnie), a podpis głosił: UCZNIOWIE SZKOŁY ŚREDNIEJ RATUJĄ ZAGINIONĄ DZIEWCZYNĘ.

Łup! Łup! Łup!

Nie otworzę, pomyślała rozpaczliwie. Będę tu siedziała tak długo, aż wreszcie sobie pójda, muszą sobie pójść, bo martwi mogą wejść do domu tylko wtedy, gdy się ich zaprosi, więc jeżeli zaczekam, aż...

Obok jej fotela przebiegł Duddits — przebiegł, mimo że ostatnio męczyło go nawet zwykłe chodzenie! — z roziskrzonym wzrokiem zupełnie jak przed laty, jacy to byli dobrzy chłopcy, ile dali mu szczęścia, ale teraz nie żyli, przyszli do niego wśród burzy i zamieci, lecz już nie żyli...

— Duddie, nie! — krzyknęła przeraźliwie, on jednak nie zwracał na nią uwagi. Przemknął obok oprawionej w ramki gazety — Duddits Cavell na pierwszej stronie, Duddits Cavell bohaterem, cuda i dziwy — i dopiero kiedy otworzył na oścież drzwi, zrozumiała, co jej syn wykrzykuje w bladą szarość świtu:

— Ennnny! Ennnny! Ennnny!

8

Henry otworzył usta, nigdy się jednak nie dowiedział, co chciał powiedzieć, ponieważ nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Stał jak sparaliżowany. To nie Duddits! To nie mógł być Duddits, tylko jakiś jego schorowany wujek albo starszy brat, blady i przypuszczalnie

zupełnie łysy pod czerwoną baseballową czapeczką, ze szczecina na policzkach, śladami krwi wokół nosa i ciemnymi worami pod oczami. A jednak...

— Ennnny! Ennnny!

Ten wysoki, wyniszczony, zupełnie obcy człowiek rzucił się Henry'emu w ramiona z radosną beztróską starego Dudditsa, mało go nie przewracając — nie dlatego żeby miał tyle siły albo dużo ważył, tylko dlatego że Henry po prostu nie był na to przygotowany. Gdyby Owen go nie podtrzymał, przypuszczalnie obaj z Dudditsem runęliby w śnieg.

— Ennnny!

Śmiech. Okrzyki. Głośne, mokre całusy. Jeśli komuś o tym powiecie... rozległ się w głowie Henry'ego szept Beavera Clarendona. A Jonesy na to: Wiemy, wiemy. To już nigdy się do nas nie odezwiesz. Tak, to jednak był Duddits, to Duddits obsypywał pocałunkami porośnięte byrusem policzki Henry'ego, ale skąd ta bladość? Skąd ta chudość, to... to wyniszczenie? Krew koło nosa, zapach, którym było przesączone jego ubranie... Co prawda nie był to zapach Ślicznej Becky ani ten, który panował we wnętrzu chaty, niemniej z całą pewnością był to zapach śmierci.

W głębi pokoju stała Roberta, obok wiszącej na ścianie fotografii przedstawiających roześmianych, szczęśliwych Alfiego i Dudditsa na karuzeli. Nie przyjechałem na pogrzeb Alfiego, ale przysłałem kartkę z kondolencjami, pomyślał Henry i serdecznie się zniechęcił.

Załamywała dłonie, oczy miała pełne łez, i chociaż przytyła parę kilogramów, chociaż prawie całkiem osiwiła, to jednak była ona, na pewno ona, ale Duddits... Boże, ale Duddits...

Henry wpatrywał się w nią nad ramieniem obejmującego go przyjaciela z dzieciństwa. Poklepywał Dudditsa po łopacie, która wydawała się krucha jak skrzydełko kurczęcia.

— Roberta... — wykrztusił wreszcie. — Na litość boską, co mu jest?

— Wszystko — odparła, przywołując na usta błady uśmiech. — Przypomina teraz rewelacyjny proszek do prania. Zaczęło się od białaczki. Lekarze zdiagnozowali ją dziewięć miesięcy temu, kiedy już było za późno na prawdziwe leczenie. Potem zaczęła kolejno dołączać reszta. Walczymy już tylko z czasem, bo nic innego nam nie pozostało.

— Ennnny! — wykrzyknął po raz kolejny Duddits z szarą, zmęczoną twarzą rozpromienioną radosnym uśmiechem. — Oooenne oo aaamo uuufno!

— Racja — odparł Henry i rozpląkał się. — Codziennie to samo gównno.

— Wiem, po co przyjechałeś — powiedziała Roberta. — Proszę, Henry, nie rób tego. Błagam cię. Nie zabieraj mojego chłopca. On umiera.

9

Kurtz właśnie zamierzał zażądać od Perlmuttera najświeższych informacji o Underhillu i jego nowym przyjaciólu, niejakim Henrym Devlinie, kiedy Pearly szarpnął się na fotelu pasażera, wygiął się w pałak, skierował głowę ku sufitowi kabiny hummera i zawył przeraźliwie. Kurtz odbierał kiedyś poród w Nikaragui (co oczywiście nie zmienia faktu, że zawsze i wszędzie wszyscy wieszają na nas psy, pomyślał melancholijnie) i to wycie skojarzyło mu się właśnie z krzykami tamtej kobiety na brzegu malowniczej rzeki La Juvena.

— Trzymaj się, Pearly! Trzymaj się, chłopcze! Oddychaj głęboko!

— Pierdol się! — ryczał Perlmutter. — To wszystko twoja wina, ty chuju! Odpierdol się ode mnie!

Kurtz nie czuł do niego urazy. Podczas porodu kobiety wygadują niestworzone rzeczy i chociaż Pearly ponad wszelką wątpliwość należał do rodzaju męskiego, to Kurtz podejrzewał, iż doświadcza doznań bardzo zbliżonych do tych, jakie po dziewięciu miesiącach ciąży stają się udziałem kobiet. Chętnie położyłby kres cierpieniom nieszczęśnika...

— Lepiej tego nie rób! — wystękał Pearly. Po pokrytych złocistoczerwonym zarostem policzkach płynęły łyzy bólu. — Lepiej tego nie rób, cholerny sukinsynu...

— Nie bój się, chłopcze.

Kurtz poklepał go uspokajająco po ramieniu. Z przodu dobiegał jednostajny łoskot pługa śnieżnego, którego kierowca dał się przekonać, że powinien torować im drogę. Dzięki temu teraz, w niepewnym, ciemnoszarym blasku przedświtów sunęli na południe z całkiem przyzwoitą prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Tylne światła pługa żarzyły się przed nimi jak brudne czerwone gwiazdy.

Kurtz pochylił się w przód i z nieudawanym zainteresowaniem obserwował Perlmuttera. Ze względu na roztrzaskaną szybę na tylnym siedzeniu hummera było bardzo zimno, lecz Kurtz w ogóle się tym nie przejmował. Brzuch Pearly'ego był wyдутy jak balon. Kurtz wydobyl pistolet.

— Szefie, jeśli on pęknie...

Freddy nie dokończył, ponieważ Perlmutter pierdnął przeraźliwie głośno. Smród był potworny, lecz jego autorowi ani trochę to nie przeszkadzało; opadł z powrotem na fotel, oparł głowę na zagłówek, przymknął powieki i westchnął z ogromną ulgą.

— Niech go szlag trafi! — wrzasnął Freddy, opuszczając całkowicie szybę w drzwiach.

Na oczach zafascynowanego Kurtza brzuch szybko opadał. A więc jeszcze nie teraz. I bardzo dobrze. Możliwe, że stworzenie goszczące w bebechach Perlmuttera okaże się całkiem przydatne. Mało prawdopodobne, ale możliwe. Wszelkie stworzenie służy Panu swemu, napisano w Biblii; wszelkie, więc może i gówniane łasice.

— Trzymaj się, żołnierzu. — Jedną ręką poklepał Perlmuttera po ramieniu, drugą odłożył pistolet na sąsiedni fotel. — Trzymaj się i myśl o Panu.

— Pieprzę Pana — wymamrotał ponuro Perlmutter.

Kurtz nigdy by nie przypuszczał, że jego podwładny zdobędzie się kiedykolwiek na takie bluźnierstwo. Przed nimi światła pługa rozblęły, po czym maszyna zjechała na prawą stronę i znieruchomiła.

— Ho, ho — mruknął Kurtz.

— Co robimy, szefie?

— Zatrzymaj się za nim. — Mówił lekkim tonem, ale znów trzymał pistolet w ręce. — Zaraz się przekonamy, o co chodzi naszemu nowemu przyjacielowi. — Chyba wiedział o co. — Freddy, odbierasz naszych starych przyjaciół? Wiesz może, co u nich słychać?

— Tylko Owena — odparł z ociąganiem Freddy. — Ani jego kumpla, ani tych, których ścigają. Zatrzymał się. Jest w jakimś domu i z kimś rozmawia.

— W Derry?

— Tak.

Kierowca pługa brnął przez zasy w sięgających niemal do kolan śniegowcach i ogromnej kurtce puchowej z kapturem, jakiej nie powstydziliby się żaden Eskimos. Dolną część twarzy zasłaniał mu wełniany szalik, którego końce powiewały za nim na wietrze. Kurtz nie potrzebował telepatii, by się domyślić, że szalik był prezentem od żony albo matki. Dotarłszy do hummera, pochylił się i zajrzał przez okno od strony kierowcy. Skrzywił się — widocznie paskudną woń siarkowodoru zmieszanego z alkoholem czuć było nawet na zewnątrz — a następnie obrzucił podejrzliwym spojrzeniem Freddy'ego, półprzytomnego Perlmuttera oraz Kurtza, który, pochyłony na tylnym siedzeniu, obserwował go z zainteresowaniem. Nie zauważył pistoletu, ponieważ Kurtz uznał, że będzie roztropniej ukryć go za lewą nogą. Przynajmniej na razie.

— O co chodzi, żołnierzu? — zapytał uprzejmie.

— Właśnie odebrałem wiadomość od jakiegoś generała Randalla — oznajmił kierowca z czystym jankeskim akcentem. — Podobno szło to przez satelitę prosto spod Cheyenne Mountain w Wyoming. Mówił tylko do mnie.

— Nigdy o nim nie słyszałem — odparł gładko Kurtz, ignorując Perlmuttera pojękującego cicho:

— Kłamiesz... kłamiesz... kłamiesz...

Kierowca zerknął na Pearly'ego, a następnie skierował spojrzenie z powrotem na Kurtza.

— Ten generał podał hasło. „Wyjście błękitne”. Mówi to coś panu?

— Nazywam się Bond, James Bond. — Kurtz parsknął śmiechem. — Ktoś robi sobie z was jaja, żołnierzu.

— Kazał panu powiedzieć, że pański udział w operacji już się zakończył i że ojczyzna panu dziękuje.

— A wspomniał może coś o pozłacanym zegarku, chłopcze? — zainteresował się Kurtz.

Kierowca oblizał wargi koniuszkiem języka. Kurtz mógłby wskazać chwilę, kiedy tamten doszedł do wniosku, że ma do czynienia z szaleńcem. Z dokładnością do ułamka sekundy.

— Nic nie wiem o żadnym zegarku. Chciałem tylko panu powiedzieć, że nie mogę dalej was prowadzić. Chyba że dostanę potwierdzenie rozkazu.

Kurtz wydobyl pistolet z ukrycia i wycelował mu w czoło.

— Masz swoje potwierdzenie, chłopcze. Podpisane, podpieczone i w trzech egzemplarzach. Wystarczy?

Chłopak spojrział na broń, a potem znowu na Kurtza. Nie wyglądał na bardzo wystraszonego.

— Myślę, że tak.

Kurtz roześmiał się głośno.

— Świetnie! Doskonale! W takim razie ruszamy, tylko trochę prędzej niż do tej pory, na litość boską. W Derry jest ktoś, kogo muszę... — przez chwilę szukał najwłaściwszego określenia — ...kogo muszę odwiedzić.

Perlmutter wydał odgłos będący w połowie śmiechem, a w połowie jękiem. Kierowca zerknął na niego podejrzliwie.

— Nie przejmuj się nim, on jest w ciąży — poinformował go Kurtz konfidencjonalnym tonem. — Lada chwila każe ci jechać po grzybki w occie albo ogórki kiszzone.

— W ciąży — powtórzył kierowca pługa zupełnie bezbarwnym tonem.

— Tak, ale mniejsza o niego. To nie twój problem. Chodzi o to, chłopcze... — Kurtz pochylił się jeszcze bardziej do przodu, niemal przykładając usta do zamka pistoletu — ...że naprawdę zależy mi na tym, żeby jak najprędzej znaleźć się w Derry. Boję się, że ten człowiek nie będzie na mnie czekał, że niedługo odjedzie, że już wie, że go ścigam...

— Jasne, że wie — wtrącił Freddy. Podrapał się po policzku, zaraz potem po kroczu.

— ...ale teraz mam szansę trochę nadgonić. To co, zanieś swój tyłek z powrotem do szoferki, chłopcze?

Kierowca bez słowa skinął głową i wrócił do kabiny pługa. Robiło się coraz jaśniej. Oto wstaje najprawdopodobniej ostatni dzień mojego życia, pomyślał Kurtz z lekkim zdziwieniem.

Z ust Perlmuttera zaczął się wydobywać przeciągły jęk, nie ustawał, narastał coraz bardziej, wreszcie zamienił się w krzyk. Pearly ponownie chwycił się za brzuch.

— Jezu — mruknął Freddy. — Niech pan spojrzy, jak to wygląda, szefie. Jakby skakał mu tam bochenek chleba.

— Oddychaj głęboko, chłopcze. — Kurtz dobrotliwie poklepał Perlmuttera po ramieniu. — Oddychaj głęboko i spróbuj się odprężyć. Najlepiej myśl o czymś przyjemnym.

Sześćdziesiąt kilometrów do Derry. Sześćdziesiąt kilometrów do Owena, pomyślał Kurtz. Całkiem nieźle. Jadę po ciebie, chłopcze. Zabiorę cię do szkoły. Przypomnisz sobie, co to znaczy przekroczyć linię Kurtza.

Po trzydziestu kilometrach tamci wciąż jeszcze nie ruszyli w drogę — tak przynajmniej zgodnie twierdzili Freddy i Perlmutter. Co prawda Freddy'emu z każdą chwilą ubywało pewności siebie, Pearly jednak wystękał, że rozmawiają z matką. Owen i ten drugi próbowali ją przekonać, żeby pozwoliła im go zabrać, ale ona nie chciała.

— Kogo?

W gruncie rzeczy Kurtza mało to obchodziło. Matka zatrzymała ich w Derry, pozwoliła mu znacznie skrócić dystans, więc niech ją Bóg błogosławi bez względu na to, kim była i czego chciała, albo raczej czego nie chciała.

— Nie wiem. — Od rozmowy Kurtza z kierowcą pługą brzuch Perlmuttera zachowywał się w miarę spokojnie, niemniej Pearly był porządnie zmaltretowany. — Nie widzę. Ktoś tam jest, ale jakby nie miał umysłu, w który mógłbym zajrzeć.

— A ty, Freddy?

Freddy pokręcił głową.

— Straciłem nawet Owena, ledwo słyszę tego z pługą. Jakby zanikał sygnał radiowy albo coś w tym rodzaju.

Kurtz pochylił się w jego kierunku i przyjrzał się uważnie złocistoczerwonemu zarostowi na policzku Freddy'ego. Na krawędziach zajętego obszaru splecione włókna zmieniały barwę na ziemioszarą i wyglądały tak, jakby wędły. To umiera, domyślił się Kurtz. Albo organizm Freddy'ego nauczył się z tym walczyć, albo Ripley nie potrafi się dostosować do naszych warunków. Owen miał rację. Niech mnie szlag trafi!

Oczywiście niczego to nie zmieniało. Linia była linią, a Owen przekroczył ją o jeden raz za dużo.

— Chłopak z pługą — odezwał się Perlmutter znużonym tonem.

— Co z nim?

Pearly nie musiał odpowiadać. Przed nimi pojawiła się tablica z napisem ZJAZD 32 — GRANDVIEW/GRANDVIEW STATION. Kierowca uniósł lemiesz i przyśpieszył, zostawiając za sobą nawierzchnię przykrytą trzydziestocentymetrową warstwą świeżego śniegu. Nie fatygując się włączaniem kierunkowskazu, z prędkością ponad siedemdziesięciu kilometrów na godzinę skręcił w prawo, wznosząc za sobą tumany białego pyłu.

— Jechać za nim, szefie? — zapytał Freddy. — Na pewno nam nie ucieknie.

Kurtz musiał opanować pokusę, żeby kazać Freddy'emu ruszyć w pogoń. Dogoniliby tego sukinsyna i nauczyli go, co dzieje się z ludźmi, którzy przekraczają linię. Należało jednak pamiętać o tym, że pług był większy od hummera, znacznie większy, więc nie wiadomo, co by się stało, gdyby doszło do małej przepychanki na drodze.

— Prujemy przed siebie, chłopcze — odparł Kurtz, opadając na fotel. — Mamy ważniejsze sprawy do załatwienia.

Mimo to z autentycznym żalem odprowadził wzrokiem znikający za zakrętem pług. Nawet nie mógł mieć nadziei, że ten przeklęty Jankes załapał coś od Freddy'ego albo Perlmuttera, bo byrus najwyraźniej znajdował się w odwrocie.

Prędkość spadła do trzydziestu kilometrów na godzinę, Kurtz jednak przypuszczał, że w miarę jak będą przesuwac się na południe, warunki zaczną się poprawiać. Śnieżycy już prawie ustała.

— Gratulacje — powiedział do Freddy'ego.

— Słucham?

Kurtz klepnął go w ramię.

— Wygląda na to, że zdrowiejesz. — Spojrzał na Perlmuttera. — Niestety, o tobie chyba nie można tego powiedzieć, biedaku.

Sto sześćdziesiąt kilometrów na północ od aktualnej pozycji Kurtza i niespełna trzy kilometry od skrzyżowania, przy którym schwytano Henry'ego, nowy dowódca Straży Imperium — czterdziestokilkuletnia, bardzo atrakcyjna kobieta — stał oparty o sosnę w zalesionej dolince opatrzonej teraz kryptonimem Oczyszczalnia Numer Jeden. Była to, całkiem dosłownie, dolina śmierci. Dokoła walały się stosy ciał, w większości w pomarańczowych myśliwskich kamizelkach. Było ich z pewnością ponad sto. Niektóre miały dowody tożsamości zawieszane na szyjach — najczęściej prawa jazdy, trafiały się jednak również karty kredytowe i zezwolenia na polowanie. Kobieta z wielką dziurą pośrodku czoła miała na szyi sznurek z kartą z wypożyczalni kaset.

Stojąc obok największego stosu, Kate Gallagher kończyła wyliczenia niezbędne do sporządzenia raportu. W jednej ręce trzymała palmtop — Adolf Eichmann, najślynniejszy rachmistrz nieboszczyków, pozazdrościłby jej tego narzędzia. Jeszcze niedawno palmtop nie działał, ale od kilkunastu minut sprzęt elektroniczny stopniowo odzyskiwał sprawność.

Kate miała słuchawki w uszach, a przed ustami mikrofon. Od czasu do czasu żądała od kogoś informacji albo wydawała rozkaz. Kurtz wyznaczył na swego następcę osobę nie tylko sprawną, ale również obdarzoną entuzjazmem. Gallagher obliczyła, że do tej pory udało się zlikwidować około sześćdziesięciu procent uciekinierów. Fakt, że więźniowie w ogóle podjęli próbę obrony, stanowił nie lada zaskoczenie, ostatecznie jednak okazało się, zgodnie zresztą z przewidywaniami, że ci ludzie nie byli stworzeni do tego, by przetrwać w ekstremalnych warunkach. Prosta sprawa.

— A kuku, Katie–Kate! — Spomiędzy drzew wyłoniła się Jocelyn McAvoy. Była bez kaptura, z zieloną opaską na włosach, pistolet maszynowy przewiesiła przez ramię. Cały przód kurtki był schlapany krwią. — Przestraszyłam cię, co?

— Jak cholera. Ciśnienie podskoczyło mi co najmniej o pół procent.

— Może się obniży, kiedy się dowiesz, że Kwadrat Czwarty jest wyczyszczony. — Oczy McAvoy lśniły jak gwiazdy. — Wygarnęliśmy ponad czterdzieści sztuk. Niektórzy byli całkiem twardzi. Skoro o tym mowa: nawet nie wiesz, jak by mi się teraz przydał duży, twardy...

— Czy panie pozwolą?...

Odwróciły się obie. Spomiędzy krzewów u północnego wylotu doliny wyłoniła się niewielka grupka mężczyzn i kobiet. Większość była ubrana w myśliwskie stroje, ale idący na przedzie potężnie zbudowany mężczyzna miał na sobie mundur i wojskową kurtkę. Usta i nos zakrywała mu przezroczysta maska, spod której wychylały się kosmyki zupełnie nieregulaminowego, złocistoczerwonego zarostu. Wszyscy trzymali w dłoniach pistolety maszynowe.

Gallagher i McAvoy wymieniły błyskawiczne spojrzenia, po czym sięgnęły po broń, lecz żadna nie zdążyła. Łoskot serii oddawanych równocześnie z kilku pistoletów maszynowych był ogłuszający. McAvoy została dosłownie wyrzucona w powietrze, spadł jej jeden but.

— To za Larry'ego! — krzyczała przeraźliwie jedna z kobiet. — To za Larry'ego, wy dziwki, to za Larry'ego!

Kiedy strzelanina ucichła, barczysty mężczyzna w mundurze i z byrusowym zarostem zebrał swoją grupę przy leżącym twarzą do ziemi ciele Kate Gallagher, która skończyła z wyróżnieniem West Point, potem zaś zapadła na groźną chorobę w postaci Kurtza. Zabrał jej broń, znacznie lepszą od tej, którą posługiwał się do tej pory.

— Wierzę w demokrację — oświadczył — więc każdy z was może robić, co chce, ale ja ruszam prosto na północ. Nie mam pojęcia, jak długo idzie się stąd do Kanady, ale zamierzam się przekonać.

— Idę z tobą — odezwał się jeden z mężczyzn.

Wkrótce okazało się, że wszyscy z nim idą. Zanim ruszyli w drogę, olbrzym w mundurze schylił się i podniósł ze śniegu palmtop.

— Zawsze marzyłem o czymś takim — powiedział Emil „Dawg” Brodsky. — Rajcują mnie te nowoczesne zabawki.

Opuścili dolinę śmierci, kierując się prosto na północ. Z głębi lasu od czasu do czasu dobiegały pojedyncze strzały, jednak bez ryzyka popełnienia większego błędu można było powiedzieć, że operacja Oczyszczalnia dobiegła końca.

13

Szary popełnił jeszcze jedno morderstwo i ukraść kolejny samochód, tym razem ogromny pług śnieżny. Jonesy nie widział, jak ani kiedy do tego doszło. Szary najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie da rady wykurzyć Jonesy’ego z jego biura (przynajmniej dopóty, dopóki nie poświęci temu zadaniu więcej siły i energii), postanowił więc uciec się do innych środków, czyli odgrodzić go całkowicie od świata zewnętrznego. Jonesy mógł sobie teraz bez trudu wyobrazić, co czuł Fortunat zamknięty w piwnicy z winem.

Zdarzyło się to wkrótce po tym, jak Szary wyjechał radiowozem na zachodnią nitkę autostrady. Jonesy był wtedy zajęty własnymi sprawami, dopracowując szczegóły doskonałego — tak mu się przynajmniej wydawało — pomysłu, który właśnie przyszedł mu do głowy.

Szary zerwał połączenie telefoniczne? W porządku, w takim razie on, Jonesy, stworzy sobie inny środek łączności, tak samo jak stworzył z niczego termostat, kiedy Szary usiłował go ugotować. Na przykład faks, oczywiście podłączony do nowej linii telefonicznej. Czemu nie? Przecież te wszystkie przedmioty miały znaczenie czysto symboliczne, stanowiły jedynie wizualizacje pomocne przy skoncentrowaniu i efektywnym wykorzystaniu sił, które drzemały w nim od lat.

Szary wyczuł obecność tych sił, czy też zdolności, i przewyciężywszy początkową panikę, zaczął bardzo sprawnie utrudniać Jonesy’emu dostęp do nich. Dowcip polega na tym, by omijać przeszkody stawiane przez Szarego, wzorując się choćby na tym, jak Szary uparcie dąży na południe, radząc sobie z kolejnymi przeciwnościami.

Jonesy zamknął oczy i wyobraził sobie faks taki jak w sekretariacie wydziału historycznego, tyle że stojący na podręcznym stoliku w jego biurze. Następnie, czując się niemal jak Aladyn (z tą poprawką, że nie musiał ograniczać liczby życzeń), dodał ryzę papieru oraz ołówek „Black Beauty”, po czym otworzył oczy, by ocenić rezultat swoich wysiłków.

Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się w porządku... chociaż na nowiutkim, zatemperowanym ołówku widać było wyraźne ślady zębów. Ale tak chyba miało być, prawda? Ołówków „Black Beauty” używał przecież Beaver, i to jeszcze w podstawówce. Pozostali korzystali ze znacznie bardziej popularnych „Eberhard Fabers”.

Faks prezentował się doskonale, tyle że wylądował nie na stoliku, lecz w szafie, pod pustymi wieszakami i samotną pomarańczową kurtką (tę samą, którą matka kupiła mu na jego pierwsze w życiu polowanie i kazała mu przysiąc z ręką na sercu, że będzie ją wkładał zawsze, ale to zawsze, wychodząc na dwór. Maszyna od razu wciągnęła kartkę i zaczęła obiecująco pomrukiwać. Niestety, kiedy papier wyłonił się ze szczeliny w dolnej części obudowy, Jonesy’ego spotkało gorzkie rozczarowanie.

PODDAJ SIĘ JONESY WYJDŹ

Podniósłszy słuchawkę, usłyszał nagrany głos Szarego:

— Poddaj się, Jonesy, wyjdź. Poddaj się, Jonesy, wyjdź. Poddaj się...

Nagle rozległ się przeraźliwy łomot, tak głośny i niespodziewany, że Jonesy aż krzyknął i poderwał się na równe nogi. W pierwszej chwili pomyślał, że Szary próbuje rozbić drzwi policyjnym taranem, okazało się jednak, że łomot dobiega od strony okna. Szary zamontował stalowe, pozbawione jakichkolwiek otworów okiennice. Teraz Jonesy nie tylko był uwięziony, ale również oślepiony.

Na okiennicach, doskonale widoczny przez szybę, pojawił się napis PODDAJ SIĘ WYJDŹ. Jonesy przypomniał sobie „Czarnoksiężnika z krainy Oz” i napis na niebie PODDAJ SIĘ DOROTKO. Roześmiałby się, gdyby mógł, ale nie mógł. Nic już nie było zabawne, nic nie budziło politowania. To było po prostu okropne.

— Nie! — ryknął. — Nie rób tego! Zdejmij je! Zdejmij, do jasnej cholery!

Nie uzyskał odpowiedzi. Podniósł już ręce, żeby stłuc szybę i załomotać w blachę pięściami, lecz pohamował się w ostatniej chwili. *Oszalałeś? Przecież jemu właśnie o to chodzi? Jak tylko stłuczysz szybę, okiennice znikną, zjawi się Szary i będzie po tobie, kolego.*

Uświadomił sobie, że znowu jada, czuł wibrację i wstrząsy potężnego pojazdu. Dokąd już dotarli? Do Waterville? Augusty? Jeszcze dalej na południe, w strefę opadów deszczu? Raczej nie, bo przecież Szary nie przesiadłby się do pługa śnieżnego, tylko do jakiejś szybszej maszyny. Wkrótce jednak tam dotrą, spokojna głowa. Wciąż przecież podążali na południe.

Ale dokąd?

Równie dobrze mógłbym już nie żyć, pomyślał Jonesy, wpatrując się z rozpaczą i wściekłością w jednolicie szare okiennice z wypisanym na nich wezwaniem. Równie dobrze mógłbym być już trupem.

14

W końcu to Owen ujął Robertę Cavell za ramiona i zmuszając się do zachowania cierpliwości, chociaż zdawał sobie sprawę, że każda upływająca minuta przybliża Kurtza o kolejny kilometr, wyjaśnił jej, dlaczego to takie ważne, żeby Duddits pojechał z nimi, nawet w tych okolicznościach. Henry nie był pewien, czy zdołałby zachować powagę, mówiąc, że od tego zależą losy świata; Owen, który przez całe dorosłe życie służył ojczyźnie z bronią w ręku, zachował ją bez trudu.

Duddits wciąż obejmował Henry’ego, wpatrując się w niego błyszczącymi zielonymi oczami. Przynajmniej te oczy nic się nie zmieniły, podobnie jak uczucie, które zawsze ogarniało Henry’ego przy Dudditsie: że wszystko jest w porządku, a nawet jeśli nie jest, to już niedługo będzie.

Roberta słuchała Owena ze spokojem, jej twarz jednak zdawała się starzeć w błyskawicznym tempie, zupełnie jakby za sprawą jakichś okrutnych efektów specjalnych.

— Rozumiem — powiedziała, kiedy skończył. — Rozumiem, że chcecie dogonić Jonesy’ego... schwytać go... ale co on właściwie zamierza zrobić? I skoro tu był, to dlaczego tego nie zrobił?

— Proszę pani, nie mogę odpowiedzieć na te pytania, ponieważ...

— Oooa — przemówił niespodziewanie Duddits. — Ooooneyy heee oooy.

Wojna? — Owen posłał Henry’emu paniczną myśl. *Jaka wojna?*

Nieważne. Odpowiedź była tak cicha, że Owen z trudem ją usłyszał. *Musimy ruszać.*

— Proszę pani... Pani Cavell... — Owen ponownie ujął ją za ramiona. Wiedział już, dlaczego Henry i pozostali tak bardzo kochali tę kobietę, mimo iż przez ostatnie lata w okrutny sposób ją zaniedbywali. Dobroć otaczała ją jak cudownie pachnący dym. — Naprawdę musimy już jechać.

— Nie! Proszę, nie róbcie tego!

A pani niech tego nie robi, cisnęło mu się na usta. Proszę nie pogarszać sytuacji.

— Zbliża się pewien człowiek. Bardzo zły człowiek. Nie może nas tu zastać.

— No dobrze. — Na wykrzywionej cierpieniem twarzy kobiety pojawiła się determinacja.

— Bierzcie go, skoro musicie, ale ja pojedę z wami!

— Proszę, nie... — zaczął Henry, lecz nie pozwoliła mu dokończyć.

— Właśnie, że tak! Będę się nim opiekować, dawać mu lekarstwa, wezmę cytrynowe waciki i...

— Aaaaama, oooooosaaań yyy ooomu.

— Nie! Duddie, nie!

— Aaaaama, oooooosaaań yyy ooomu!

Duddits stawał się coraz bardziej podekscytowany.

— Naprawdę nie mamy już czasu — powiedział Owen.

— Roberta! — włączył się Henry. — Proszę...

— Zabierzcie mnie ze sobą! Tylko on już mi został!

— Aaaaama... — Głos Dudditsa nie był ani trochę dziecinny. — Oooooosaaań... yyy... ooomu!

Przez jakiś czas patrzyła mu prosto w oczy, aż wreszcie się poddała.

— Niech i tak będzie — powiedziała zrezygnowanym tonem. — Tylko zaczekajcie jeszcze chwilę. Muszę coś przynieść.

Znikła w pokoju Dudditsa, wróciła z papierową torebką i wręczyła ją Henry'emu.

— To jego lekarstwa. Jedna tabletką prednisonu codziennie o dziewiątej rano. Nie zapomnijcie o tym, bo dostanie duszności. Być może będzie też potrzebował percocetu, ale sam o niego poprosi — prawie na pewno, bo w zimnie czuje się znacznie gorzej.

Patrzyła Henry'emu w oczy ze smutkiem, lecz bez wyrzutu. Prawie tego żałował. Bóg mu świadkiem, że jeszcze nigdy w życiu nie żałował tak bardzo żadnego postępu. Nie chodziło wcale o to, że Duddits miał białaczkę, tylko o to, że miał ją od tak dawna, a oni o tym nie wiedzieli.

— Wacików używajcie tylko do ust, bo dziąsła za bardzo krwawią. Jest też zwykła wata, gdyby miał krwotok z nosa. Aha, i wenflon. Widzisz? Tutaj, na ramieniu.

Henry skinął głową. Na widok bandaża, z którego sterczała plastikowa rurka, doświadczył silnego uczucia *déjà vu*.

— Na dworze zawsze musi być przykryty... Doktor Briscoe śmieje się ze mnie, ale mnie się zawsze wydaje, że zimno przedostanie się tamtędy do środka... wystarczy szalik, nawet zwykła chusteczka...

Rozpłakała się na dobre.

— Roberta...

Henry spoglądał na ścienny zegar.

— Zajmę się nim — obiecał Owen. — Opiekowałem się do końca moim tatą. On też brał prednison i percocet.

I nie tylko: steroidy, silniejsze środki przeciwbólowe, wreszcie marihuanę, methadon i czystą morfinę, o wiele skuteczniejszą od heroiny, najlepszą przyjaciółkę śmierci.

Poczuł ją w głowie. Było to przedziwne doznanie, jakby ktoś przechadzał się tam na bosaka, tak delikatnie stawiając stopy, że odczuwał to jako delikatne łaskotanie. Próbowała sprawdzić, czy mówił jej prawdę o swoim ojcu. Otrzymała ten dar od swego niezwykłego syna i korzystała z niego od tak dawna, że teraz czyniła to całkiem nieświadomie. Jej zdolności nie dorównywały zdolnościom Henry'ego, niemniej były całkiem spore i Owen nigdy w życiu nie cieszył się tak jak w tej chwili, że powiedział prawdę.

— Ale to nie była białaczka, prawda?

— Rak płuc. Pani Cavell, naprawdę musimy...

— Muszę mu jeszcze coś dać.

— Roberta, naprawdę nie możemy...

— Zaraz wracam!

Pobiegła do kuchni. Owena po raz pierwszy ogarnęło autentyczne przerażenie.

— Henry! Nie mam pojęcia, gdzie są Kurtz, Freddy i Perlmutter! Zgubiłem ich!

Henry zajął do papierowej torby i znieruchomiał. Widok przedmiotu leżącego na samym wierzchu, na pudełku z cytrynowymi wacikami, zupełnie go sparaliżował. Co prawda zareagował na paniczne słowa Owena, lecz jego głos zdawał się dobiegać z jakiejś ponurej, mrocznej doliny, której istnienia do tej pory nikt nawet nie podejrzewał. Teraz Henry wiedział już, że taka dolina istniała, i to od lat. Co prawda nie mógłby z czystym sumieniem powiedzieć, iż niczego nie podejrzewał, ale, na Boga, jak to się stało że podejrzewał tak niewiele?

— Właśnie minęli zjazd numer 29 — rzekł. — Są trzydzieści kilometrów stąd, może nawet bliżej.

— Co się z tobą dzieje?

Henry włożył rękę do torby i wyjął z niej niewielki przedmiot przypominający pajęczynę, który od lat wisiał nad łóżkiem Dudditsa i tutaj, i w domu przy Maple Lane, kiedy jeszcze żył Alfie.

— Skąd go masz? — zapytał, chociaż oczywiście wiedział.

Ten łowca snów był co prawda mniejszy od tego, który wisiał pod sufitem w chacie, ale pod innymi względami mógłby być jego bliźniakiem.

— Iiiiiwee — odparł Duddits, wciąż wpatrując się w Henry'ego, jakby nadal nie mógł uwierzyć, że jego przyjaciel naprawdę tu jest. — Iiiiiwee miii oooo yyyłał. Yyy eeełyyym yyyoonuuu naaa Yyyyassstee.

Chociaż Owen w szybkim tempie tracił telepatyczne umiejętności, zrozumiał go bez trudu: *Beaver mi go przysłał. W zeszłym tygodniu na Gwiazdkę.* Ludzie z zespołem Downa mają problemy z precyzyjnym określaniem przyszłości i przeszłości, Owen podejrzewał więc, że dla Dudditsa przeszłość oznaczała zawsze zeszły tydzień, przyszłość zaś — następny. Przemknęło mu przez głowę, że gdyby wszyscy przyjęli ten punkt widzenia, żyłoby im się znacznie łatwiej.

Henry jeszcze przez sekundę lub dwie wpatrywał się w łowcę snów, a następnie schował go z powrotem do torby.

W tej samej chwili z kuchni wybiegła Roberta. Jak tylko Duddits zobaczył, co przyniosła, uśmiechnął się radośnie.

— Uuuuby–Duuuby–Duuuu! — wykrzyknął. — Ooooo uuueeloo naaa duuue hnaaane!

Złapał je oburącz, po czym ucałował matkę w oba policzki.

— Owen! — W oczach Henry'ego pojawił się błysk. — Mam dobre wieści!

— Mów.

— Zaraz za zjazdem numer 28 całą nitkę autostrady zablokowała ciężarówka z naczepą. Postawiło ją w poprzek. Myślę, że to opóźni ich o jakieś dwadzieścia minut.

— Dzięki Bogu. W takim razie spróbujmy je wykorzystać.

— Na wieszaku w kącie wisiał obszerny ocieplany płaszcz z krwistoczerwonym napisem RED SOX WINTER BALL na plecach. — To twoje, Duddits?

— Oooe! — Duddits z zapalem pokiwał głową. — Paaasz! — Owen sięgnął po płaszcz, a Duddits dodał: — Iiiiieeess aaak szuuuaamy Ooooozi.

Underhillowi przebiegły mrówki po grzbiecie. *Widziałeś, jak szukamy Josie.* Rzeczywiście, widział... a Duddits widział jego, ale czy wczoraj, czy dziewiętnaście lat temu? Czy dar Dudditsa miał coś wspólnego z podrózkami w czasie?

Na szczęście to nie była właściwa pora na zadawanie takich pytań.

— Zapowiedziałam, że nie przygotuję mu drugiego śniadania, ale oczywiście przygotowałam.

Przekładając pudełko z ręki do ręki, Duddits wdziawał znacznie na niego za duży płaszcz, prezent od Red Sox. W zestawieniu z soczyście granatowym materiałem i jaskrawożółtym pudełkiem jego twarz sprawiała wrażenie jeszcze bledszej niż w rzeczywistości. — Od razu wiedziałam, że pojedzie, a ja nie. — Przeniosła spojrzenie na twarz Henry'ego. — Może jednak mnie zabierzecie?

— Chyba nie chciałybyś, żeby widział, jak umierasz, prawda? A to właśnie mogłoby się wydarzyć. — Henry ze wszystkich sił nienawidził samego siebie, nienawidził swojego życia, które tak dobrze przygotowało go do takich rozmów. — Nie chciałybyś, prawda?

— Oczywiście, że nie. — Zastanowiła się, po czym dodała bez cienia emocji w głosie, raniąc go w samo serce: — Niech was szlag trafi.

Podeszła do Dudditsa, odepchnęła Owena, zapięła synowi suwak przy płaszczu, a następnie chwyciła go za ramiona, zmusiła, żeby się schylił i spojrzała mu prosto w oczy. Drobniotka, przypominająca ptaka kobieta i wysoki, wychudzony, błądy mężczyzna w zbyt obszernym płaszczu. Już nie płakała.

— Bądź grzeczny, Duddie.

— Eeeede szeeeeeczny, aaaamo.

— Słuchaj Henry'ego.

— Eeeede suuuuaaa! Eeeeeneeeoo.

— I uważaj, żeby się nie zaziębić.

— Ooopsze, aaaamo.

Wciąż posłuszny, ale już trochę znieczepliwiony, zupełnie jak przed laty, kiedy nie mógł się doczekać, by wyruszyć z przyjaciółmi na lody albo na partyjkę minigolfa (radził sobie doskonale, tylko Peterowi zdarzało się czasem z nim wygrać), albo do kina. Zawsze „Słuchaj Henry'ego” lub „Słuchaj Jonesy'ego”, lub „Słuchaj kolegów”. Zawsze „Bądź grzeczny, Duddie” i zawsze „Eeeede szeeeeeczny, aaaamo”.

— Kocham cię, Douglas. Zawsze byłeś dobrym synem i bardzo cię kocham. Pocałuj mnie.

Pocałował ją, a ona pogłaskała go po policzku porośniętym jasną szczecinę. Henry nie mógł na to patrzeć, ale jednak patrzył, bezradny jak mucha schwytana w pajęczynę. Każdy łowca snów również był pułapką.

Duddits cmoknął ją jeszcze raz, lecz jasnozielone oczy zerkały niecierpliwie to na Henry'ego, to na drzwi. Chciał jak najszybciej ruszyć w drogę. Czy dlatego, że zdawał sobie sprawę, iż ścigający ich ludzie są coraz bliżej? A może dlatego, że zanosilo się na przygodę prawie taką jak te, które przeżywali kiedyś w piątkę? A może z obu powodów? Pewnie tak. Roberta dotknęła syna po raz ostatni i wreszcie cofnęła rękę.

— Dlaczego nam nie powiedziałaś? — zapytał cicho Henry. — Dlaczego nie zadzwoniłaś?

— Dlaczego nie przyjechaliście?

Henry mógłby odpowiedzieć kolejnym pytaniem — dlaczego Duddits nie dał nam znać? — ale już w tym pytaniu zawierałoby się kłamstwo, ponieważ Duddits wzywał ich niemal bez przerwy od marca, czyli od chwili, kiedy Pete miał wypadek. Przypomniał sobie Pete'a siedzącego przy przewróconym scoucie, pijącego piwo i wciąż od nowa piszącego w śniegu słowo DUDDITS. Wysyłał im wezwania, ale odpowiadała mu cisza. Wreszcie jeden z nich się zjawił, tylko po to jednak, aby zabrać go z domu z torebką wypełnioną lekarstwami i żółtym pudełkiem. Łowca snów nie znał litości. Już wtedy, tego pierwszego dnia, chcieli dobrze, już wtedy szczerze pokochali Dudditsa... a jednak skończyło się właśnie na tym.

— Opiekuj się nim, Henry. — Przesunęła spojrzenie na Owena. — Ty też. Zaopiekujcie się moim synem.

— Spróbujemy — odparł Henry.

Na Dearborn Street nie było nawet jak zawrócić, ponieważ pługi zasypały śniegiem wszystkie podjazdy przed domami. W szarym blasku poranka okolica wyglądała jak pograżone w zimowym śnie miasteczko na Alasce. Owen wrzucił wsteczny bieg i hummer z rykiem silnika pognął ulicą. Wysoko uniesiony tył pojazdu chwiał się na boki, w pewnej chwili rozległ się łoskot i trzask pękającego szkła, kiedy potężny zderzak zawadził o jeden z przykrytych śniegowym czapami samochodów, zaraz potem jeszcze raz przebili się przez usypaną przez pługi pryzmę, samochód obrócił się wokół własnej osi i znieruchomiał, skierowany przodem do autostrady. Duddits przez cały czas siedział zupełnie spokojnie na tylnym siedzeniu, na kolanach trzymając żółte pudełko.

Henry, dlaczego Duddits powiedział, że Jonesy chce wojny? Jakiej wojny?

Henry usiłował odpowiedzieć drogą telepatyczną, ale Owen już go nie słyszał. Plamy byrusa na jego twarzy zbladły i zszarzały, a kiedy podrapał się po policzku, grzyb zaczął odpadać płatami. Skóra pod spodem była zaczerwieniona i podrażniona, i to wszystko. Jak zwyczajne zaziębienie, pomyślał Henry. Wystarczy poczekać i samo przejdzie.

— On nie mówił o wojnie, Owen.

— Ooooo — odezwał się Duddits z tyłu. — Ooonesy heee oooy.

Owen zmarszczył brwi, drobinki martwego byrusa posypały mu się z czoła jak łupież.

— Więc co...

— Woda — powiedział Henry, sięgnął wstecz i poklepał Dudditsa po kościstym kolanie.

— Jonesy chce wody. Ale to nie Jonesy, tylko ten drugi. Ten, którego Jonesy nazywa Szarym.

16

Roberta weszła do pokoju Dudditsa, żeby poskładać jego porozrzucane ubrania. Zawsze okropnie bałaganił, ale wszystko wskazywało na to, że już więcej nie będzie. Minęło z pięć minut, zanim to sobie w pełni uświadomiła, a wtedy nogi ugięły się pod nią i musiała usiąść w fotelu przy oknie. Nie mogła oderwać wzroku od łóżka, z którego ostatnio coraz rzadziej wstawał. Szary świt spływał na poduszkę bezlitosnym stalowym blaskiem.

Henry sądził, że pozwoliła im zabrać Dudditsa dlatego, że w jakiś tajemniczy sposób losy całego świata zależały od szybkiego dotarcia do Jonesy'ego. Nieprawda. Pozwoliła mu z nimi jechać, ponieważ tego chciał. Umierający dostają czapeczki baseballowe z autografami gwiazdorów, mogą również jeździć na wycieczki ze starymi przyjaciółmi.

Mimo to nie było jej łatwo. Nie mogła pogodzić się ze świadomością, że go traci.

Przycisnęła do twarzy garść jego bawełnianych koszulek, żeby tylko nie patrzeć na łóżko, i poczuła mieszankę jego zapachów: szampon Johnson, mydło Dial, a do tego, i to było najgorsze, maść, którą smarowała jego obolałe mięśnie. Zrozpaczona, desperacko sięgnęła do jego umysłu, spróbowała odszukać jego i tych dwóch ludzi, którzy przybyli jak zjawy zza grobu i odebrali jej go... ale jego już nie było.

Odgroził się ode mnie, pomyślała. Od lat cieszyli się (no, prawie zawsze cieszyli...) łączącymi ich szczególnymi więzami telepatycznymi, może takimi samymi, a może trochę odmiennymi od tych, które łączyły rodziców z innymi specjalnymi dziećmi, teraz jednak pozostało po nich tylko wspomnienie. Duddits odgroził się od niej, a to oznaczało, że wiedział, iż wkrótce wydarzy się coś strasznego.

Wiedział.

Wciąż tuląc do twarzy jego bawełniane koszulki i wdychając jego zapach, rozplakała się ponownie.

17

Kurtz był zadowolony (no, prawie zadowolony) aż do chwili, kiedy zobaczyli kolorowe światła migające na dachach radiowozów, a nieco dalej blokującą całą nitkę autostrady ogromną ciężarówkę z naczepą. Na ich spotkanie wyszedł zakutany aż po nos policjant i skierował ich do najbliższego zjazdu.

— Cholera! — parsknął Kurtz.

W pierwszym odruchu chciał wyciągnąć pistolet i palnąć temu przekłętemu gliniarzowi w łeb, ale jakoś się pohamował. Zaledwie kilkanaście metrów dalej kłębiło się więcej policjantów, zbyt wielu, żeby posłać wszystkich tam, gdzie ich miejsce... Mimo to ochota pozostała, podsycana narastającą wściekłością. Byli już tak blisko, z każdą sekundą coraz bliżej! Słodki Jezu!

— Niech to szlag trafi!

— Co robimy, szefie? — Freddy siedział za kierownicą jak posąg, na kolanach położył sobie pistolet maszynowy. — Myślę, że udałoby mi się przecisnąć po prawej stronie. Za minutę już by nas tu nie było.

Ach, jak go korciło, żeby powiedzieć: Jasne, Freddy, dawaj gaz do dechy, a jeśli któryś z tych dupków spróbuje ci przeszkodzić, wypruj z niego flaki! Prawie na pewno by im się udało... ale, z drugiej strony, nie miał stuprocentowej pewności. Kurtz zdążył się już przekonać, iż rzeczywiste umiejętności Freddy'ego stanowczo nie dorastały do jego wyobrażeń na swój temat. Freddy przyjął jako pewnik, że doskonały pilot śmigłowca musi być równocześnie wysmienitym kierowcą, a to wcale nie była prawda. Poza tym zwróciliby na siebie uwagę, a to było niedopuszczalne, szczególnie po tym, jak pieprzony generał Randall zwinął w cholere całą operację. Kurtz nie działał już ponad prawem. Ścisłe rzecz biorąc, działał przeciwko niemu.

Trzeba zachować zimną krew, pomyślał. Za to mi przecież płacą.

— Nie szalej, tylko skręć grzecznie tam, gdzie ci każe. Kiedy będziesz go mijał, pomachaj mu i pokaż, że wszystko w porządku, a potem jedź na południe i wróć na autostradę, jak tylko się da. — Westchnął ciężko. — Niech to szlag trafi! — Pochylił się tak daleko do przodu, że widział z bliska szarzejącą Ripley w uchu Freddy'ego, i wyszeptał czule: — A jeśli zakopiesz nas w jakiejś zaspie, chłopcze, dostaniesz kulkę w kark. — Dotknął wgłębienia tuż poniżej czaszki. — Dokładnie tutaj.

Na twarzy Freddy'ego nie drgnął ani jeden mięsień.

— Tak jest, szefie.

Następnie Kurtz chwycił za ramiona na pół przytomnego Perlmuttera i potrząsał nim tak długo, aż ten wreszcie otworzył oczy.

— Zostaw mnie, szefie... Chce mi się spać...

Kurtz przyłożył lufę pistoletu do głowy swojego byłego adiutanta.

— Nic z tego, chłopcze. Do roboty. Pora na meldunek.

Pearly jęknął boleśnie, ale podciągnął się wyżej i wyprostował. Kiedy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, wypadł mu ząb. Na pierwszy rzut oka ząb całkiem zdrowy. Patrz, mamó, ani jednej dziurki! — przemknęło Kurtzowi przez głowę.

Pearly oznajmił, że Owen wraz ze swoim nowym kołosem wciąż jeszcze tkwi w Derry. Doskonale. Sytuacja zmieniła się kwadrans później, kiedy hummer wspiał się po zaśnieżonym podjeździe z powrotem na autostradę. Był to zjazd 28, zaledwie półtora kilometra od celu.

— Ruszyli — powiedział Perlmutter bezbarwnym tonem.

— Cholera!

Kurtz kipiał wściekłością, ogromną i zupełnie bezproduktywną wściekłością na Owena Underhilla, który teraz, jego zdaniem, symbolizował całą tę beznadziejną, skopaną operację.

Pearly jęknął rozpaczliwie, jego brzuch znowu zaczął się powiększać. Trzymał się za niego oburącz, po twarzy spływał mu pot. Pod wpływem cierpienia jego zwyczajna i nie rzucająca się w oczy twarz stała się niemal przystojna.

Rozległo się kolejne, głośne i nieprawdopodobnie długie pierdnięcie. Kurtzowi ten odgłos skojarzył się z zabawkami, które w zamierzonych czasach konstruował na skautowskich obozach z pustej puszką po piwie i nawoskowanego sznurka. Nazywało się je „rykaczami”.

Wnętrze wozu wypełnił smród złocistoczerwonego raka, który obzał się już odchodami Pearly’ego oraz narządami, które je produkowały, a teraz zabrał się do reszty. Okropność. Na szczęście były też powody do zadowolenia: Freddy szybko zdrowiał, on sam zaś w ogóle się nie zaraził. Przypuszczalnie był odporny, a nawet jeżeli nie, to i tak nie miało to już większego znaczenia. Kwadrans temu zdjął maskę i beztrąsko rzucił ją na podłogę. Poza tym Pearly, chociaż w koszmarnym stanie, doskonale wywiązywał się ze swoich zadań, pełniąc funkcję czegoś w rodzaju organicznego radaru. Starając się nie zwracać uwagi na smród, Kurtz poklepał go po ramieniu. Wcześniej czy później stwor zżerający Pearly’ego od środka wydobędzie się na zewnątrz, i będzie to oznaczało koniec użyteczności Archiego Perlmuttera, na razie jednak nie było co się tym martwić.

— Trzymaj się, chłopcze — powiedział Kurtz czule. — Każ temu czemuś zasnąć.

— Ty... cholerny... idioto! — wystękał Pearly.

Kurtz dobrotliwie pokiwał głową.

— Oczywiście. Co tylko zechcesz, chłopcze.

Bądź co bądź, rzeczywiście był cholernym idiotą. Owen okazał się tchórzliwym lisem, a kto, jeśli nie on, wpuścił go do kurnika?

Mijali zjazd 27. Kurtz niemal mógłby przysiąc, że widzi ślady pozostawione w śniegu przez hummera Underhilla. Gdzieś tam, w dole, po lewej lub prawej stronie autostrady, stał dom, w którym Owen i jego przyjaciel urządzili sobie postój. Po co? Dlaczego?

— Zatrzymali się, żeby zabrać Dudditsa — wymamrotał Perlmutter. Brzuch mu opadł, najgorszy ból chyba minął. Przynajmniej na razie.

— Dudditsa? A co to znowu za imię?

— Nie wiem. Odbieram jego matkę. Jego nie wyczuwam. On jest inny, szefie. Zupełnie jakby nie był człowiekiem, tylko Szarym.

Kurtzowi mrówki przebiegły po grzbiecie.

— Matka myśli o nim równocześnie jak o dziecku i o mężczyźnie.

Od wyjazdu sprzed sklepu Gosselina nie powiedział z własnej woli tylu słów. Na Boga, wyglądał niemal na zainteresowanego tematem.

— Może jest niedorozwinięty — podsunął Freddy.

Perlmutter zerknął na niego.

— Możliwe. Jest też chory. Bardzo chory. — Westchnął ciężko. — Wiem, co czuje.

Kurtz ponownie poklepał go po ramieniu.

— Głowa do góry, chłopcze. A co z kolesiami, których ścigają? Z Gary Jonesem i rzekomym Szarym?

W gruncie rzeczy niewiele go obchodzili, istniało jednak prawdopodobieństwo, że poczynania Jonesa (i Szarego, oczywiście pod warunkiem że Szary nie stanowił jedynie wytworu rozgorączkowanej wyobraźni Underhilla) mogą mieć wpływ na zachowanie Underhilla, Devlina i... jak mu było?... Dudditsa.

Perlmutter potrząsnął głową, zamknął oczy, głowa opadła mu na podgłówek. Skończyła się energia, krótki przyływ zainteresowania minął.

— Nic. Nie wyczuwam ich.

— Może w ogóle ich nie ma?

— Coś jest — odparł Perlmutter. — Jakby czarna dziura.

Słyszę tyle głosów... Zbliżają się posiłki.

Jakby na zawołanie, na sąsiedniej nitce autostrady pojawił się największy wojskowy konwój, jaki Kurtz widział od dwudziestu lat. Na przedzie jechały obok siebie dwa wielkie jak słonie pługi śnieżne, zgarniając na boki śnieg potężnymi lemieszami. Za nimi na obu

pasach miejscami widać było nawet czysty asfalt. Nieco dalej, również w tandemie, podążały dwie piaskarki, jeszcze dalej w dwóch kolumnach sunęły wojskowe pojazdy, wśród nich również wieloosiowe ciągniki z monstrualnymi lawetami; Kurtz wiedział, że przykryte plandekami kształty na lawetach to pociski rakietowe. Inne ciężarówki wiozły polowe stacje radarowe i Bóg wie co jeszcze, oraz żołnierzy — nie setki, lecz tysiące żołnierzy przygotowanych... właśnie, na co? Na trzecią wojnę światową? Na walkę wręcz z dwugłowymi potworami albo może inteligentnymi owadami z „Kawalerii kosmosu”, z zarazą, szaleństwem, śmiercią, Sądem Ostatecznym... Jeżeli Straż Imperium pod wodzą Kate Gallagher jeszcze działała, Kurtz miał nadzieję, że wkrótce przeprowadzi taktyczny odwrót na terytorium Kanady. Lepiej niech nie próbują podnosić rąk i wołać, to nic im nie da, ten wariant postępowania został już przetestowany i całkowicie zawiódł.

Ale wszystko to nie miało najmniejszego znaczenia. W najgłębszej głębi serca Kurtz zdawał sobie sprawę, że Owen miał rację przynajmniej w jednej sprawie: tutaj już było po wszystkim. Oczywiście mogli jeszcze zamknąć drzwi stajni, czemu nie, ale konie już pogalopowały w siną dal.

— Skończą to na dobre — odezwał się ponownie Perlmutter. — Jefferson Tract właśnie stał się pięćdziesiątym pierwszym stanem, lecz obowiązuje w nim prawo wojenne.

— Wciąż odbierasz Owena?

— Tak — odparł obojętnie. — Ale już niedługo. On też zdrowieje. Traci zdolności telepatyczne.

— Gdzie jest teraz?

— Właśnie minęli zjazd 25. Są jakieś dwadzieścia pięć kilometrów przed nami, może trochę więcej.

— Mam trochę przyśpieszyć, szefie? — zapytał Freddy.

Przez cholerną rozkraczoną ciężarówkę stracili już jedną okazję dopadnięcia Owena. Kurtz wolałby uniknąć sytuacji, w której jakiś idiotyczny poślizg pozbawiłby ich drugiej.

— Nie — odparł. — Jedziemy tym tempem, a oni niech gonią, jeśli tak bardzo im się śpieszy.

Z założonymi rękami obserwował przez boczną szybę zupełnie biały świat. Śnieg przestał już padać, a ponieważ podążali cały czas na południe, należało oczekiwać, że warunki drogowe zaczną się szybko poprawiać.

Wiele się wydarzyło przez minione dwadzieścia cztery godziny. Rozwalił na kawałki statek kosmiczny Obcych, zdradził go człowiek, którego uważał za swojego najbardziej oczywistego następcę, przeżył bunt więźniów, a na koniec został pozbawiony dowództwa przez palanta w generalskim mundurze, który nigdy w życiu nie miał okazji wystrzelić w prawdziwym gniewie.

Kurtz przymknął powieki, a niedługo potem zapadł w drzemkę.

18

Jonesy siedział w ponurym nastroju za biurkiem, od czasu do czasu spoglądając to na niedziałający telefon, to na wiszącego pod sufitem łowcę snów (cały czas obracał się niezmiernie powoli, poruszany niewyczuwalnymi prądami powietrza), to na stalowe okiennice, za pomocą których ten drań Szary odciął go od świata zewnętrznego. Bez przerwy towarzyszyły mu niski dudniący łoskot i drzenie przenoszące się z fotela na jego plecy i pośladki, i dalej, na całe ciało. Podobnie mógłby się zachowywać rozregulowany, pilnie wymagający naprawy piec centralnego ogrzewania, był to jednak pług śnieżny, podążający uparcie na południe. Szary siedział za kierownicą, przypuszczalnie w czapce, którą zabrał swojej ostatniej ofierze, z rękami Jonesy'ego zaciśniętymi na kierownicy, słuchający jego uszami wiadomości przez CB.

No, Jonesy, jak długo będziesz tu tkwił i użalał się nad sobą?

Skulił się, już prawie zapadł w drzemkę, teraz jednak wyprostował się gwałtownie. To był głos Henry'ego. Nie docierał drogą telepatyczną (Szary by na to nie pozwolił), lecz mimo to rozległ się w jego głowie, czyżby więc jego własny umysł spletał mu figła? Mimo to Jonesy poczuł się urażony.

Nie użalam się nad sobą, tylko zostałem zablokowany. Wcale mu się spodobał ten płaczliwy ton. Gdyby nie myślał, tylko mówił, przypuszczalnie zabrzmiałoby to jak skamlenie. *Nie mogę nigdzie zadzwonić, nie mogę wyjść, nic nie widzę. Nie mam pojęcia, gdzie ty jesteś, Henry, bo ja tkwię w jakiejś cholernej izolatce.*

Mózg też ci zablokował?

— Zamknij się! — Jonesy potarł skronie.

Odebrał ci pamięć?

Oczywiście, że nie. Nawet tutaj, za zamkniętymi drzwiami odgradzającymi go od miliardów kartonowych pudeł, pamiętał doskonale, jak w pierwszej klasie podstawówki wysmarkał się w warkocz Bonnie Dean (a sześć lat później zaprosił ją do tańca podczas szkolnej zabawy), jak Lamar Clarendon uczył ich grać w grę (niewtajemniczonym znaną jako cribbage), jak zobaczył wychodzącego spomiędzy drzew Ricka McCarthy'ego i wziął go za jelenia. Pamiętał to wszystko i być może dało się z tego faktu wyciągnąć jakieś optymistyczne wnioski, ale na razie nie miał pojęcia jakie. Może dlatego, że były zbyt oczywiste.

No wiesz! — naigrawało się z niego stworzone w jego umyśle wyobrażenie Henry'ego. *Żeby miłośnik powieści detektywistycznych dał się udupić w taki głupi sposób! Po obejrzeniu tylu filmów science-fiction o inwazji Obcych! Naprawdę nie potrafisz się domyślić, o co mu chodzi? Naprawdę nie potrafisz go przejrzeć?*

Jonesy tarł skronie coraz mocniej. Skoro to nie była telepatia, tylko jego własny umysł, to dlaczego nie mógł go uciszyć? Jakie to wszystko miało zresztą znaczenie, skoro i tak nie mógł działać? Był jak silnik bez skrzyni biegów, jak wóz bez konia, jak zamknięty w słoju mózg pozbawiony ciała i śniący bezużyteczne sny.

Czego on chce? Zaczynaj od tego.

Jonesy podniósł wzrok na łowcę snów obracającego się dostojnie w podmuchach ciepłego powietrza. Wibracja pługa była tak silna, że drżały obrazki na ścianach. Tina Jean Schlossinger, tak się nazywała, i w tym właśnie pokoju było podobno jej zdjęcie z zadartą sukienką, spod której widać gołą cipkę. Ilu dorastających chłopców miało podobne sny?

Jonesy wstał z fotela, prawie z niego wyskoczył, i lekko utykając, zaczął przechadzać się po gabinecie. Śnieżycy minęła, biodro dokuczało mu tylko odrobinę.

Myśl jak Herkules Poirot, powtarzał w duchu. Wysił szare komórki. Chwilowo mniejsza o wspomnienia, skoncentruj się wyłącznie na Szarym. Myśl logicznie. Czego on chce?

Jonesy znieruchomiał. Przecież to oczywiste! Szary skierował się najpierw do wieży ciśnień — a raczej, jak się okazało, w miejsce, w którym stała — ponieważ potrzebował wody, i to nie byle jakiej, lecz pitnej. Wieży jednak już nie było, runęła podczas ogromnej burzy w 1985, obecnie zaś woda pitna docierała do Derry z kilku miejsc na północ i wschód od miasta. W związku z tym Szary, skonsultowawszy się z archiwum pamięci Jonesy'ego, ruszył dalej na południe, w kierunku...

Nagle wszystko stało się jasne. Nogi ugięły się pod nim i Jonesy osunął się na dywan. W jego biodrze eksplodowała błyskawica bólu, lecz on nawet tego nie zauważył.

Ten pies, Facio. Czy Szary zabrał ze sobą psa?

— Jasne, że zabrał — wyszeptał Jonesy. — Jasne, że ten sukinsyn go zabrał, czuję go nawet tutaj. Pierdzi zupełnie jak McCarthy.

Ten świat okazał się odporny na wirusa, a jego mieszkańcy walczyli z inwazją, biorąc siłę i energię z niewyczerpanych, zdawałoby się, zasobów emocji. Cóż, pech. Niemniej ostatni ocalały Szary miał nieprawdopodobnie dużo szczęścia, zupełnie jakby co tydzień trafiał

szóstkę w lotto. Przypadkowo trafił na Jonesy'ego i opanował jego ciało, trafił na Pete'a, który zaprowadził go tam, dokąd Szary chciał się dostać, po tym jak latarka zgasła. Trafił na Andy'ego Janasa, chłopaka z Minnesoty, wiozącego dwa martwe jelenie, całkowicie bezużyteczne dla Szarego, oraz rozkładające się ciało jednego z Obcych.

Owocujące ciała, przemknęło Jonesy'emu przez głowę. Owocujące ciała, skąd to może być?

Nieważne. Następne trafienie Szarego to był luksusowy dodge ram, ten z nalepką KOCHAM MOJEGO COLLIE. Jak to zrobił? Nakarmił psa kawałkami ciała? Wetknął mu pysk w zwłoki i zaczekał, aż pies wciągnie zarodniki nosem? Bardziej prawdopodobne było pierwsze rozwiązanie. Chodź tu, piesku, pora na obiad. Proces, w wyniku którego powstawały łasice, zaczynał się nie w płucach, lecz w żołądku lub jelitach. Jonesy ujrzał przez chwilę błakającego się po lesie McCarthy'ego. „Co żeś jadł w tym cholernym lesie? Zajęcze bobki?” — spytał Beaver, a co odpowiedział McCarthy? „Mech, jakieś gałązki, i sam nie wiem co jeszcze. Byłem głodny, musiałem coś jeść, ale nie znam się na tych rzeczach, nigdy nie czytałem przygodówek... No i było ciemno...”.

Jasne. Głodny. Sam w lesie, przerażony i głodny. W dodatku po ciemku. Nie zauważył czerwonego łupieżu na mchu, wpychał go do ust całymi garściami, bo kiedyś, bardzo dawno, przeczytał w jakimś czasopiśmie, że jeśli zabłądzisz w lesie, możesz jeść mech, mech na pewno ci nie zaszkodzi. Czy wszyscy, którzy połknęli niekiedy prawie niewidoczne gołym okiem zarodniki wirusa, wyhodowali następnie w swoich wnętrznościach żarłoczne potwory takie jak ten, który zabił najpierw McCarthy'ego, a potem Beavera? Zapewne nie, tak samo jak nie każda kobieta, która uprawia seks bez zabezpieczeń, zachodzi w ciążę. McCarthy jednak rozpoczął hodowlę... i Facio też.

— On wie o chacie — powiedział głośno.

Oczywiście. Chata w Ware, jakieś sto kilometrów na zachód od Bostonu. Znał też historię o tej Rosjance, wszyscy ją znali, Jonesy wielokrotnie ją powtarzał. Była zbyt wstrząsająca, żeby jej nie opowiadać. Znali ją ludzie w Ware, w New Salem, Cooleyville, Belchertown, Hardwick, Packardsville i Pelham, we wszystkich okolicznych miejscowościach. A wokół czego, jeśli wolno spytać, one leżały?

Oczywiście wokół Zbiornika Quabbin, głównego źródła wody pitnej dla Bostonu i okolicy. Ilu ludzi codziennie piło pochodzącą stamtąd wodę? Dwa miliony? Trzy? Jonesy nie znał dokładnych liczb, mógł jednak bez żadnego ryzyka iść o zakład, że było ich znacznie więcej niż tych, którzy korzystali z zapasów zgromadzonych w wieży ciśnień w Derry — kiedy jeszcze istniała, ma się rozumieć. Szary co tydzień bezbłędnie skreślał szóstkę i teraz już tylko krok dzielił go od ustanowienia rekordu świata w wysokości łącznej wygranej.

Dwa albo trzy miliony ludzi. Szary zamierzał przedstawić ich owczarkowi szkockiemu imieniem Facio, a dokładniej jego nowemu przyjacielowi.

Dostarczony w takiej postaci wirus na pewno się przyjmie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY KONIEC WYŚCIGU

1

Wciąż na południe, na południe, na południe.

Kiedy Szary minął zjazd do Gardiner, pierwszy poniżej Augusty, grubość pokrywy śnieżnej wyraźnie zmalała, a chociaż autostrada była pokryta warstwą pośniegowego błota, to jednak bez trudu dało się korzystać już nie z jednego, lecz z dwóch pasów. Najwyższa pora zmienić pług na coś mniej rzucającego się w oczy — częściowo dlatego, że przestał być potrzebny, częściowo zaś z powodu nasilającego się bólu ramion Jonesy'ego, nieprzyzwyczajonego do kierowania tak wielkim pojazdem. Co prawda Szarego niewiele obchodził stan ciała Jonesy'ego (tak przynajmniej sobie wmawiał; w rzeczywistości trudno było nie szanować choć trochę takiego niezwykłego tworu, zdolnego dostarczać równie zaskakujących jak intensywne przyjemności jak „bekon” i „morderstwo”), niemniej musiało mu jeszcze służyć przez kilkaset kilometrów. Podejrzał, że Jonesy, jak na człowieka, który miał za sobą dopiero mniej więcej połowę życia, był w nie najlepszej kondycji fizycznej. W znacznej mierze należało za to winić nie tak dawny przecież wypadek, ale taki stan rzeczy wynikał również z uprawianego przez niego zawodu. Jonesy był nauczycielem akademickim, w związku z czym nie przywiązywał szczególnej wagi do czysto fizycznych aspektów swojej egzystencji. Szary nie potrafił tego zrozumieć. Te istoty w sześćdziesięciu procentach składały się z emocji, w trzydziestu z odczuć i tylko w dziesięciu (maksymalnie!) z intelektu. Ignorowanie potrzeb ciała w taki sposób, w jaki czynił to Jonesy, wydawało się Szaremu głupie i szkodliwe — na szczęście to nie był jego problem. Ani Jonesy'ego. Jonesy stał się tym, czym zawsze pragnął być: czystym umysłem. Sądząc jednak z jego reakcji, w chwili kiedy nareszcie osiągnął upragniony cel, natychmiast zmienił zdanie.

Leżący na podłodze wśród niedopałków, pustych plastikowych kubków po kawie i zmiętych zatłuszczonych serwetek, Facio zaskamlał boleśnie. Jego kuriozalnie rozdęty brzuch osiągnął już wielkość sporego arbuza. Wkrótce pies wypuści gazy i brzuch trochę się zmniejszy. Szary nawiązał już kontakt z rosnącą we wnętrzościach psa istotą i mógł wpływać na tempo jej rozwoju. Pies miał się stać nowym wcieleniem kogoś, o kim jego gospodarz myślał jako o „tej Rosjance”. Jak tylko trafi tam, gdzie powinien się znaleźć, misja Szarego będzie spełniona.

Sięgnął umysłem wstecz, szukając tamtych. Henry i jego przyjaciel Owen znikli zupełnie, jak stacja radiowa, która zaprzestała nadawania programu, i było to bardzo niepokojące. Nieco dalej, w okolicy zjazdów prowadzących do Newport, czyli jakieś sto kilometrów na północ od Szarego, znajdowała się trzyosobowa grupa. Kontakt dało się nawiązać tylko z jednym z nich, niejakim Pearlym. Pearly, podobnie jak pies, inkubował byrusa, więc Szary odbierał go bez żadnych zakłóceń. Do niedawna słyszał jeszcze jednego z tej grupy, „Freddy'ego”, lecz „Freddy” umilkł. Mieszkający na nim byrus umarł; tak twierdził Pearly.

Po prawej stronie pojawiła się wielka tablica z napisem ZAJAZD. Znajdował się tam Burger King — przybytek, który w archiwum Jonesy'ego figurował zarówno pod hasłem „restauracja”, jak i „bar szybkiej obsługi”. Podawano tam między innymi bekon; na myśl o tym w żołądku Jonesy'ego zaburczało donośnie. Tak, pod wieloma względami trudno będzie rozstać się z tym ciałem, znało bowiem wiele przyjemności i potrafiło ich dostarczyć. Niestety, nie mieli teraz czasu na to, by raczyć się bekonem; nadeszła pora na zmianę środka transportu. Należało to uczynić w sposób jak najmniej rzucający się w oczy.

Wjazd na obszerny parking rozdzielał się na dwie drogi dojazdowe opatrzone oznaczeniami DLA SAMOCHODÓW OSOBOWYCH oraz DLA AUTOBUSÓW I CIĘŻARÓWEK. Szary skierował ogromny pomarańczowy pług na parking dla ciężarówek

(mięśnie Jonesy'ego dygotały od zbyt długiego wysiłku) i z zadowoleniem ujrzał tam cztery stojące w szeregu pługi, niemal takie same jak ten, którym podróżowali. Zaparkował obok nich i wyłączył silnik.

Sprawdził, co z Jonesym. Oczywiście był w swoim azylu.

— Co knujesz, współniku? — mruknął Szary.

Nie doczekał się odpowiedzi, ale czuł, że Jonesy go słucha.

— Co robisz?

Wciąż cisza. Na dobrą sprawę, co mógł robić? Był przecież unieruchomiony, całkowicie odcięty od świata zewnętrznego — Jonesy'ego, który wysunął zupełnie szaleńczą, choć zarazem nie pozbawioną atrakcyjności sugestią, żeby Szary zrezygnował z imperatywu — z rozsiewania — i po prostu cieszył się życiem na Ziemi. Od czasu do czasu w umyśle Szarego pojawiała się jakaś chwytna myśl w postaci kilku słów na kartce papieru, która wysuwała się przez szparę pod drzwiami kryjówki Jonesy'ego. Takie myśli, według informacji zebranych w archiwum, nazywały się „sloganami”. Najnowsza brzmiała: BEKON TO TYLKO POCZĄTEK. Szary nie wątpił, że to prawda. Jeszcze w szpitalnym łóżku (Co to jest szpital? Jaki szpital? Kto to jest Marcy? Kto chce dostać zastrzyk?) rozumiał, że życie na tej planecie jest bardzo smakowite, lecz imperatyw był nie pokonania: miał rozsiać się i umrzeć. Jeśli natomiast po drodze uda mu się podjąć trochę bekonu — cóż, tym lepiej...

— Kim był Richie? Czy był Tigerem? Dlaczego go zabiliście?

Wciąż milczenie, ale Jonesy słuchał, i to bardzo uważnie. Szary miał serdecznie dosyć jego obecności. Czuł się tak (porównanie oczywiście pochodziło z jednego z kartonowych pudeł), jakby w gardle tkwiła mu niewielka, ale dokuczliwa ość. Za mała, żeby wyrządzić krzywdę, za to wystarczająco duża, żeby wciąż przypominać o swojej obecności.

— Wkurzasz mnie, Jonesy — oznajmił, wkładając rękawiczki należące do właściciela rama i Facia.

Tym razem doczekał się odpowiedzi.

Nawzajem, współniku. Czemu więc nie przeniesiesz się tam, gdzie wszyscy cię lubią?

— Nie mogę.

Wyciągnął rękę do psa, który z wdzięcznością wciągnął w nozdrza zapach swojego pana. Szary uspokoił go telepatycznie, po czym wysiadł z szoferki i ruszył w kierunku restauracji. Na zapleczu powinien znajdować się parking dla personelu.

Henry i ten drugi depczą ci po piętach, dupku, są tuż za tobą. Odpręż się, zrelaksuj, zamów sobie potrójną porcję bekonu.

— Nie czują mnie — powiedział Szary, wydechając z ust obłoczki pary (smak świeżego zimnego powietrza w ustach, na języku i w płucach był upajający i elektryzujący, cudownie pachniały nawet spaliny). — Ja ich nie wyczuwam, więc oni mnie też nie wyczuwają.

Jonesy parsknął śmiechem. Było to tak niespodziewane, że Szary stanął jak wryty.

Reguły trochę się zmieniły, przyjacielu. Zabrali z Derry Dudditsa, a Duddits widzi linię.

— Nie wiem, co to znaczy.

Oczywiście, że wiesz, dupku.

— Przestań tak do mnie mówić!

A ty przestań obrażać moją inteligencję.

Szary ponownie ruszył przed siebie. Istotnie, zaraz za narożnikiem budynku stało kilka samochodów, w większości nie najnowszych i mocno poobijanych.

Duddits widzi linię.

Wiedział już, co to znaczy. Ten o imieniu Pete posiadał tę samą umiejętność, ten sam talent, choć chyba nie aż tak silny jak ów zagadkowy Duddits. Szaremu bardzo się nie podobało, że zostawia ślad, który Duddits bez trudu może dostrzec, wiedział jednak coś, o czym Jonesy nie miał pojęcia.

Otóż Pearly był przekonany, że Henry, Owen i Duddits znajdowali się zaledwie dwadzieścia–dwadzieścia pięć kilometrów na południe od niego; jeśli tak było w istocie, to Szary i Jonesy mieli w tej chwili około siedemdziesięciu kilometrów przewagi nad ekipą z Dudditsem. Doprawdy, chyba trudno było nazwać to „deptaniem po piętach”.

Niemniej nie miał czasu do stracenia.

Otworzyły się tylne drzwi i z budynku wyszedł młody człowiek w białym stroju — „pomocnik kucharza”, tak nazwał go Jonesy. Taszczy dwa wypchane worki z odpadkami. Na imię miał John, lecz przyjaciele mówili na niego „Butch”. Szary przypuszczał, że zamordowanie Butcha sprawiłoby mu sporą przyjemność, młody mężczyzna był jednak znacznie większy od Jonesy’ego, a więc silniejszy i przypuszczalnie obdarzony lepszym refleksem. Poza tym morderstwo wywoływało mnóstwo niepożądanych skutków ubocznych; jednym z nich była konieczność częstej zmiany samochodów.

Cześć, Butch.

Chłopak zatrzymał się i spojrzał na niego ze zdziwieniem.

Który to twój wóz?

W rzeczywistości samochód nie należał do niego, tylko do jego matki, i bardzo dobrze. Zdezelowany wóz Butcha został przed domem z powodu niesprawnego akumulatora, chłopak zaś przyjechał do pracy nowiutkim subaru matki z napędem na cztery koła. Wyglądało na to, że Szary trafił kolejną szóstkę.

Butch bez oporów oddał kluczyki. Wciąż był mocno zdziwiony („nastroszony”, jak ujął to Jonesy, chociaż Szary jako żywo nie zauważył niczego, co chłopak mógłby nastroszyć; jeśli chodziło o włosy, to były niewidoczne, ukryte pod kucharską czapką), ale były to tylko pozory, ponieważ Szary całkowicie wyłączył jego świadomość.

Zaraz o tym zapomnisz.

— Jasne — zgodził się Butch.

A teraz wracaj do pracy.

Chłopak chwycił worki i ruszył w kierunku pojemnika na odpadki. Kiedy po skończonej zmianie zauważył, że samochód matki zniknął, przypuszczalnie będzie już po wszystkim. Szary wsiadł do czerwonego subaru. Na fotelu pasażera leżało otwarte opakowanie chipsów o smaku bekonowym. Szary wchłonął je w okamgnieniu, po czym starannie wylizał palce. Dobrze. Wspaniale. Podjechał do pług, przeniósł psa, a minutę lub dwie później był już ponownie na autostradzie.

Na południe. Wciąż na południe.

2

Noc rozbrzmiewa muzyką, śmiechem i głosami, powietrze jest przesycone zapachem hot dogów z grilla, czekolady, prażonych orzeszków, niebo rozbłyskuje kaskadami wielobarwnego ognia. Wszystko to łączy w całość piosenka dobiegająca z głośników rozstawionych w Strawford Park:

Wskakuj, laleczko! Wóz czeka już na ciebie,
Za chwilę w Alabamie będzie nam jak w niebie.

Oto zjawia się najwyższy kowboj na świecie, całe trzy metry pod roziskrzonym niebem, góruje nad tłumem, dzieciaki z lodami na patykach rozdziwiają ze zdumienia buzie i wybałuszają oczy, roześmiani rodzice biorą je na barana, żeby lepiej widziały. W jednej ręce kowboj trzyma kapelusz i wymachuje nim radośnie, w drugiej flagę z napisem DNI DERRY 1981.

Pójdziemy gdzieś na tańce, poszalejemy trochę,
A jeśli nam się znudzi, znajdziemy sobie robotę.

— Aaaeeehoo oon aaaki yyyoooki? — pyta Duddits.

Zupełnie zapomniał o zabarwionej na błękitno cukrowej wacie, którą trzyma w ręce. Wpatruje się w ogromnego, kroczącego dostojnie na tle rozbłyskujących fajerwerków kowboja oczami wielkimi jak u trzylatka. Po jednej stronie Dudditsa stoją Pete i Jonesy, po drugiej — Henry i Beaver. Za kowbojem sunie orszak westalek (należy przypuszczać, że przynajmniej część z nich naprawdę jest dziewczycami) w kusych kowbojskich spódniczkach i białych kowbojskich butach, wymachując buławami, które podbiły Zachód.

— Nie mam pojęcia, dlaczego on jest taki wysoki! — Pete śmieje się, odrywa kawałek błękitnej waty i wtyka go Dudditsowi w rozdziawione usta. — To pewnie jakieś czary.

Duddits żuje i przełyka, ani na chwilę nie odrywając wzroku od kowboja na szudłach. Już ich wszystkich przerósł, jest wyższy nawet od Henry'ego, ale wciąż jest dzieckiem i są z nim szczęśliwi. Otacza ich aurą swojej magii. Co prawda dopiero za rok odnajdzie Josie Rinkenhauer, ale oni już teraz wiedzą, że to magia. Bali się okropnie, stawiając czoło Richiemu Grenadeau i jego kumplom, niemniej był to najszcześniejszy dzień ich życia. Tak wszyscy uważają.

Nie mów „nie”, dziewczyno, jedź ze mną do Alabamy,
Przejażdżka będzie wspaniała, noc całą przed sobą mamy.

— Hej, kowboju! — woła Beaver, wymachując baseballową czapeczką Tigersów z Derry. — Całuj mnie w złamasę, wielgasio! Naskocz mi z półobrotem!

Pokładają się ze śmiechu, ten wieczór na zawsze zostanie w ich wspomnieniach (Beaver wykrzykujący do wielkiego kowboja pod rozstrzelivanym niebem), wszyscy z wyjątkiem Dudditsa, który wciąż gapi się z zachwyconą miną, i Owena Underhilla (Owen! — myśli Henry, skąd się tu wziąłeś, byku?), który jest mocno zaniepokojony.

Owen potrząsa nim, każe mu się obudzić. Henry obudź się, Henry

3

obudź się, na litość boską!

Henry'ego wyrwał ze snu nie tyle głos Owena, ile panika rozbrzmiewająca w jego głosie. Jeszcze przez chwilę czuł zapach prażonych orzeszków i cukrowej waty Dudditsa, a potem wrócił do rzeczywistości, czyli do białego nieba, zasypanej śniegiem autostrady i zielonej tablicy z napisem AUGUSTA NASTĘPNE DWA ZJAZDY. A także do potrząsającego nim Owena i dobiegającego z tyłu chrapliwego, rozpaczliwego kasłania.

— Henry, obudź się! On krwawi! Cholera, może byś wreszcie łaskawie się...

— Już nie śpię, nie śpię.

Rozpiął pas, odwrócił się, ukląkł na fotelu. Mięśnie ud zatrzeszczały ostrzegawczo, ale je zignorował.

Było lepiej, niż przypuszczał. Sądząc po panice w głosie Owena, spodziewał się obfitego krwotoku, a tymczasem z jednej dziurki w nosie sączyła się tylko wąska strużka; trochę krwi było też w ślinie, która rozpryskiwała się dokoła podczas kasłania. Owen pewnie pomyślał, że biedny Duddits wypluwa płuca, podczas gdy w rzeczywistości na szczęście chodziło o coś znacznie mniej poważnego — chociaż, ma się rozumieć, potencjalnie nawet najdrobniejsze głupstwo mogło doprowadzić do fatalnych następstw. W stanie, w jakim znajdował się Duddits, wszystko mogło do nich doprowadzić. Jak tylko Henry zobaczył przyjaciela, natychmiast zrozumiał, że właśnie wybiegł on na ostatnią prostą.

— Duddits! — Czuł się jakoś dziwnie, coś się w nim zmieniło... Ale co? Nie miał teraz czasu o tym myśleć. — Oddychaj przez nos, Duddits! Przez nos! O, tak!

Zrobił kilka głębokich wdechów i wydechów... i coś białego, jakby łupież, zaczęło mu się sypać z nosa. To byrus, domyślił się. Rósł mi nawet w nosie, ale teraz już nie żyje. Pozbywam się go z każdym oddechem. Nagle zrozumiał, co się zmieniło: nic go nie swędziało, ani noga, ani usta, ani krocze. Co prawda nadal miał wrażenie, że wewnątrz jamy ustnej ma wyscietane starym dywanem, ale swędzenie z całą pewnością ustąpiło.

Gdy tylko Duddits zaczął go naśladować, wciągając powietrze przez nos i wydychając je tą samą drogą, kaszel osłabł. Henry wygrzebał z papierowej torby butelkę z syropem przeciwkaszlowym, nalał w nakrętkę i podał Dudditsowi.

— To ci pomoże — rzekł z niezachwianym przekonaniem w głosie i w myślach. Przy Dudditsie liczyło się nie tylko to, co i jak mówisz, lecz również, co myślisz.

Duddits przełknął syrop, skrzywił się, po czym uśmiechnął się do Henry'ego. Kaszel ustał, lecz z nosa nadal sączyła się krew. Z nosa, a także z kącika jednego oka. Niedobrze, pomyślał Henry. Nadzwyczajna bladość twarzy też nie napawała optymizmem. Zimno, niewyspanie, podniecenie — wszystko to z pewnością nie przyczyniło się do poprawy jego stanu, a przecież dla osób tak chorych jak on nawet zwykły katar mógł się okazać fatalny w skutkach.

— Co z nim? — zapytał Owen.

— Z Dudditsem? Duddits jest jak z żelaza, prawda?

— Yyy eeelaaasaa — potwierdził Duddits i naprężył mięśnie w wychudzonym ramieniu. Widok wycieńczonej, mizernej twarzy przyjaciela, który mimo wszystko usiłował się uśmiechnąć, niemal doprowadził Henry'ego do łez. Życie z zasady nie grało fair — przypuszczalnie zdawał sobie z tego sprawę od lat, tym razem jednak posunęło się za daleko.

— Zobaczmy, co dostaliśmy do picia — powiedział Henry, sięgając po termos.

— Uuuuby–Duuuu.

Duddits wciąż się uśmiechał, ale mówił schrypniętym, bardzo cichym głosem.

— No właśnie. Mamy coś do zrobienia.

Henry otworzył termos, dał Dudditsowi tabletkę prednisonu, chociaż jeszcze nawet nie była ósma, po czym zapytał Dudditsa, czy potrzebuje też percocetu. Duddits zastanowił się przez chwilę, a następnie uniósł dwa palce. Henry'emu ścisnęło się serce.

— Niedobrze, co? — spytał, podając mu dwie tabletki. Na dobrą sprawę nie musiał pytać; ludzie tacy jak Duddits nie proszą o dodatkową tabletkę bez powodu.

Duddits wykonał ręką falujący gest — *comme ci comme ça*. Ten gest stanowił nieodłączną część Pete'a, tak samo jak przeżute ołówki i zapałki stanowiły część Beavera.

W termosie było mleko o smaku czekoladowym, ulubiony napój Dudditsa. Henry nalał nieco do kubka, zaczekał chwilę, ponieważ samochodem akurat trochę trzęsło, podał Dudditsowi, który popił mlekiem pastylki.

— Gdzie boli, Duds?

— Uuu. — Ręka przy gardle. — Iii uuu. — Ręka na piersi. Krótkie wahanie i ręka zsunęła się do krocza. — Uuuu eeesz.

Zakażenie dróg moczowych, pomyślał Henry. Boże.

— Eeeeeaaastfooo ooooooszee?

Henry skinął głową.

— Tak, lekarstwo pomoże, tylko trzeba trochę poczekać. Nie zgubiliśmy linii?

Duddits energicznie pokręcił głową i wskazał przez przednią szybę. Ciekawe, co on tam widzi, pomyślał Henry nie po raz pierwszy. Kiedyś zapytał o to Pete'a, który wyjaśnił mu, że to coś w rodzaju nici, czasem bardzo cienkiej i trudno zauważalnej. „Najlepiej kiedy jest żółta — powiedział. — Najlepiej ją wtedy widać. Nie mam pojęcia dlaczego”. Skoro Pete widział cienką żółtą nić, to Duddits być może widział szeroki żółty pas, a kto wie, czy nie żółtą drogę.

— Powiesz nam, jeśli skręci, prawda?

— Oooofeeem.

— Chyba nie będziesz teraz spał?

Duddits pokręcił głową. Rzeczywiście, nic nie wskazywało na to, żeby ogarniała go senność; oczy błyszczały w jego wynędzniałej twarzy jak drogocenne kamienie, chociaż Henry'emu skojarzyły się raczej z żarówkami, które niekiedy rozbłyskują oślepiająco, a potem gasną na zawsze.

— Jeśli jednak zachce ci się spać, od razu nam powiedz, to zatrzymamy się w jakimś barze i napijesz się kawy. Potrzebujemy cię przytomnego.

— Oooooopsze.

Henry zaczął się już odwracać, pokonując opór obolałych mięśni, kiedy Duddits dodał coś jeszcze:

— Aaaaay heee eeeeeonu.

— Naprawdę?

— Co on powiedział? — zapytał Owen. — Nie zrozumiałem.

— Szary chce bekonu.

— Czy to ważne?

— Nie wiem. Czy w tym złomie jest normalne radio? Chciałbym posłuchać wiadomości.

Normalne radio zostało zamontowane pod tablicą rozdzielczą i z pewnością nie należało do standardowego wyposażenia. Owen wyciągnął rękę, by je włączyć, i w tej samej chwili dał ostro po hamulcach, by uniknąć zderzenia z pontiaciem (napęd na tylne koła, letnie opony), który zajeżdżał im drogę i zaczął wyczyniać dzikie harce na drodze. Ostatecznie pontiac postanowił jednak pozostać jeszcze jakiś czas na autostradzie i pognął naprzód. Henry oszacował jego prędkość na jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Owen zmarszczył brwi.

— Nie chciałbym się mądrzyć — powiedział Henry — ale skoro tamten tak sobie radzi na letnich oponach, to może my też byśmy trochę przyspieszyli?

— Hummer lepiej sobie radzi w błocie niż w śniegu. Możesz mi wierzyć.

— Ale mimo to...

— Poza tym założę się o butelkę dobrej whisky, że i tak miniemy go najdalej za dziesięć minut. Albo wpadnie do rowu, albo przeleci na tamten pas. Jeśli będzie miał szczęście, nie przekoziołkuje przy okazji zbyt wiele razy. Poza tym chciałem ci zwrócić uwagę, że jesteśmy uciekinierami ściganymi przez prawo i z pewnością nie zdołamy ocalić świata, gnijąc w jakimś prowincjonalnym are.... Cholera!

Obok nich z rykiem silnika przemknął ford explorer — napęd na cztery koła, ale prędkość stanowczo zbyt duża jak na te warunki, co najmniej sto dziesięć na godzinę — ciągnąc za sobą potężny warkocz śnieżnego pyłu. Pod niedbale umocowaną plandeką na dachu piętrzył się stos bagaży. Należało przypuszczać, że wkrótce większość ładunku znajdzie się na drodze.

Zatroszczywszy się o Dudditsa, Henry usiadł prosto i rozejrzał się dokoła. Widok, który ujrzał, nieszczerze go zdziwił; chociaż przeciwległa nitka autostrady wciąż była prawie pusta, to na południe podążało coraz więcej pojazdów... Niemal równie dużo utkwіło na poboczach lub zsunęło się do rowów.

W chwili kiedy Owen włączył radio, wyprzedził ich gnający z nieprzytomną prędkością mercedes. Rozległy się dźwięki muzyki klasycznej, Owen wcisnął SEEK, grał Kenny G, Owen wcisnął SEEK raz jeszcze.

— ...zajębiście wielkiego skręta — rozległ się głos.

Henry i Owen wymienili spojrzenia.

— Eeen aan eeeuuuuuane uuuuwi — odezwał się z tyłu Duddits.

— Zgadza się — przyznał mu rację Henry. — A w dodatku pali w godzinach pracy. I to nie zwyczajnego papierosa.

— Wątpię, czy Krajowemu Nadzorowi Radiowemu będzie się to podobać — ciągnął prowadzący audycję, wypuściwszy powietrze z płuc w taki sposób, że nikt ze słuchających nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości, iż zawierało ono mnóstwo bynajmniej nie tytoniowego dymu — ale jeżeli tylko połowa z tego, co do mnie dociera, jest prawdą, to niedługo już nie będę się musiał przejmować żadnym Nadzorem. Bracia i siostry, zaatakowała nas zaraza z kosmosu, a jeśli planowaliście przejażdżkę na północ naszego pięknego stanu, to radzę wam, zmieńcie plany, bo w tamtej okolicy panuje wyjątkowo szkodliwa atmosfera. — Przerwa na kolejny wdech i głośny, powolny wydech. — Marsjanie atakują, bracia i siostry, takie informacje docierają z okrętów Somerset i Castle. Zaraza, promienie śmierci i te rzeczy... Powiadam wam, niech żywi zazdroszczą martwym! — Huk, łoskot, odgłos pękającego plastiku. Henry słuchał zafascynowany. Oto znowu ona, oto znowu ciemność, dobra przyjaciółka, lecz tym razem nie w jego głowie, lecz w cholernym radiu. — Bracia i siostry, jeśli jesteście teraz gdzieś na północ od Augusty, to samotny Dave z WWWVE ma dla was przyjacielską radę: spieprzajcie na południe, i to szybko. A teraz muzyka, która umili wam podróż.

Z głośników, a jakżeby inaczej, popłynęły dźwięki „The End” Doorsów. Owen przełączył radio na fale średnie i długie. Po dłuższych poszukiwaniach trafił na wiadomości. Prezenter nie tylko nie panikował, co stanowiło spory krok naprzód, ale nawet przekonywał, że nie ma powodu do obaw, co było jeszcze większym krokiem we właściwym kierunku. Następnie odtworzył fragmenty przemówień prezydenta oraz gubernatora Maine. Obaj mówili niemal dokładnie to samo: ludzie, zachowajcie spokój, wszystko jest pod kontrolą. O jedenastej przed południem czasu wschodniego wybrzeża prezydent zamierzał poinformować Amerykanów o rozwoju sytuacji.

— To będzie ta mowa, o której opowiadał mi Kurtz, tyle że przesunięta o dzień albo dwa — powiedział Owen.

— Jaka mo...

— Ciii!

Owen przyłożył palec do ust i wskazał na radio.

Wylawszy nieco oliwy na wzburzone fale, prezenter uznał, że następną porcję tej łatwopalnej cieczy należy wlać do ognia, i powtórzył większość plotek, których przed chwilą wysłuchali z ust naćpanego Dave'a z WWWVE: zaraza, najeźdźcy z kosmosu, promienie śmierci. Potem przyszedł czas na prognozę pogody: przelotne deszcze przechodzące stopniowo w ciągłe, obfite opady deszczu nadciągające wraz z ciepłym frontem atmosferycznym (no i krwiożerczymi Marsjanami, ma się rozumieć). Następnie rozległ się pisk przewijanej taśmy i wiadomości popłynęły od początku.

— Aaaacie! Ooooi aaas yyypszeeeeaaali, aaamieaaaacie?

Duddits wskazywał palcem przez brudną boczną szybę. Palec, podobnie jak jego głos, drżał wyraźnie. Ciałem Dudditsa wstrząsały dreszcze, klekotały mu zęby.

Owen przelotnie zerknął na pontiaka, który istotnie zakończył jazdę na pasie oddzielającym nitki autostrady — co prawda nie przewrócił się do góry kołami, ale leżał na boku, otoczony wianuszkami niepokieszonych pasażerów — po czym spojrział ponownie na Dudditsa. Był jeszcze bledszy, krew przesiąkła już przez wacik wepchnięty do nosa.

— Henry, co z nim?

— Nie mam pojęcia.

— Pokaż język.

— Czy nie myślisz, że byłoby lepiej, gdybyś skupił się na...

— Mnie nic nie jest, więc przestań się mądrzyć. Pokaż język, i już.

Henry pokazał język. Owen skrzywił się.

— Wygląda gorzej, czyli chyba jest lepiej. Cały ten syf zrobił się prawie biały.

— Ten w ranie na nodze też, i na twojej twarzy. Mamy szczęście, że nie dostał nam się do płuc, mózgu albo bebechów. Perlmutter ma go w jelitach. To znaczy miał, bo zrobiła się z tego łasica.

— Jaką mamy przewagę?

— Około trzydziestu kilometrów, może trochę mniej. Gdybyś więc mógł dodać trochę gazu... nawet odrobinę...

Owen zrobił to, zdając sobie sprawę, że Kurtz na pewno przyśpieszy, gdy tylko sobie uświadomi, że stał się częścią powszechnego exodusu i tym samym raczej nie powinien zwrócić na siebie uwagi policji albo żandarmerii.

— Wciąż masz łączność z Perlmutterem — powiedział z namysłem. — Mimo że byrus umiera. Czy to ma jakiś związek z...

Wskazał kciukiem w tył, na Dudditsa, siedzącego z odchyłoną do tyłu głową i przymkniętymi powiekami. Już tak bardzo nie drżał, przynajmniej na razie.

— Jasne — odparł Henry. — Już dawno się tym od niego zaraziłem. Jonesy, Pete i Beaver też. Prawie tego nie zauważyliśmy. Po prostu to się stało częścią naszego życia, i tyle. *Jasne, tak samo jak te wszystkie myśli o foliowych torebkach, sznurach i strzelbach stały się częścią mojego. Teraz się nasiliło. Może potem znowu osłabnie, ale na razie...* — Wzruszył ramionami. — *Na razie słyszę głosy.*

— Pearly'ego.

— Między innymi, lecz nie tylko. Również innych ludzi z aktywnym byrusem. Większość ich jest z tyłu, za nami.

— A co z Jonesym? Albo z Szarym?

Henry pokręcił głową.

— Ja nie, ale Pearly ich słyszy.

— Pearly? Jak to możliwe?

— Dzięki byrum ma większy zasięg ode mnie.

— Dzięki czemu?

— Temu, co zżera mu dupę od środka. Dzięki gównianej łasicy.

— Aha.

Owenowi na chwilę zrobiło się niedobrze.

— To, co słyszy, nie pochodzi od człowieka. Nie wygląda mi też na Szarego, chociaż mogę się mylić. W każdym razie Pearly odbiera wyraźnie i bez trudu wskazuje kierunek.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Na autostradzie zrobiło się nieco tłoczniej, niektórzy kierowcy pędzili jak szaleni (zaraz za ostatnim zjazdem do Augusty minęli explorera; leżał w rowie, a wokół niego rozsypane bagaże), ale Owen uważał, że może mówić o sporym szczęściu, ponieważ burza śnieżna zmusiła zdecydowaną większość ludzi do opóźnienia wyjazdu. Główna fala uciekinierów podążała w znacznej odległości za nimi. Pod tym względem śnieżnica okazała się ich sprzymierzeńcem.

— Chcę, żebyś coś wiedział — odezwał się wreszcie.

— Nie musisz nic mówić. Siedzę tuż obok, a na taki krótki dystans odbieram zupełnie nieźle.

Jeszcze całkiem niedawno Owen zamierzał zatrzymać samochód, wysiąść i poczekać na pościg w nadziei, że w ten sposób przynajmniej ocali swoich towarzyszy, ale po namyśle przestał wierzyć w skuteczność tego planu. Rzeczywiście, Kurtzowi zależało przede wszystkim na jego głowie, jednak domyślał się, że jego podwładny nie dopuściłby się tak niesłychanej zdrady, gdyby ktoś go do tego nie namówił. Zastrzeliliby Owena, a potem rozprawiliby się z pozostałymi. Z Owenem Henry miał przynajmniej jakąś szansę na przeżycie; bez niego byłby jak tarcza na strzelnicę. Duddits także.

— Trzymamy się razem — rzekł stanowczo Henry. — Przyjaciele do grobowej deski, jak to się mówi.

— Aaaaamy oooś ooo oooooena — rozległo się z tyłu.
— Racja, Duds. — Henry odwrócił się i ścisnął lodowatą rękę Dudditsa. — Mamy coś do zrobienia.

4

Dziesięć minut później Duddits nagle się ożywił i wskazał na pierwszy przydrożny zajazd na południe od Augusty.

Zbliżali się już do Lewiston.

— Aaam! Aaam! — wykrzykiwał podniecony, a potem znowu zaczął kasać.

— Spokojnie, Duddits — poprosił Henry.

— Pewnie zatrzymali się na kawę i ciastka — mruknął Owen. — Albo na kanapkę z bekonem.

Ale Duddits skierował ich na zaplecze restauracji, po czym wysiadł. Przez chwilę stał bez ruchu, mamrocząc coś pod nosem, żałośnie kruchy i bezbronny pod zasnutym chmurami niebem. Wydawało się, że lada silniejszy podmuch wiatru przewróci go na ziemię.

— Posłuchaj, nie mam pojęcia, co on tak naprawdę ma w głowie, ale jeśli Kurtz...

Owen jednak nie dokończył, ponieważ Duddits nagle skinął głową, wrócił do hummera i wskazał na wyjazd z parkingu. Był jeszcze bardziej wycieńczony niż parę minut temu, ale i zadowolony.

— O co tu chodzi, do cholery? — zapytał Owen.

— Myślę, że zmienił samochód — odparł Henry. — Prawda, Duddits? Zmienił samochód?

Duddits jeszcze energiczniej pokiwał głową.

— Uaaad! Uaaad aaaoooouuut!

— Teraz będzie mógł jechać szybciej — powiedział Henry.

— Musisz wcisnąć mocniej gaz, Owen. Mniejsza o Kurtza, musimy przede wszystkim dogonić Szarego.

Underhill zerknął na Henry'ego, odwrócił wzrok, niemal natychmiast spojrzał ponownie.

— Co ci jest? Całkiem zbladłeś.

— Bo byłem idiotą. Powinienem być od razu się domyślić, co ten drań knuje. To prawda, byłem zmęczony i wystraszony, ale to wszystko przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie, jeżeli... Owen, musisz go dogonić. On jedzie do Massachusetts, a ty musisz go dorwać, zanim tam dotrze.

Underhill zwiększył prędkość do stu kilometrów na godzinę. W tych warunkach nie odważyłby się jechać ani odrobinę szybciej.

— Spróbuję, ale jeżeli nie będzie miał wypadku albo awarii... — Pokręcił powoli głową.
— Wątpię, czy nam się uda, przyjacielu. Bardzo wątpię.

5

Ten sen często nawiedzał go w dzieciństwie, kiedy jeszcze nazywał się Coonts, po burzliwym okresie dojrzewania pojawił się natomiast tylko raz albo dwa. Biegł przez pole przy blasku księżyca w pełni i bał się obejrzeć, ponieważ to było tuż za nim. Biegł najszybciej, jak mógł, ale to, rzecz jasna, nie wystarczyło, w snach nigdy nie wystarcza. Słyszał za sobą suchy oddech i czuł szczególnie, suchy zapach.

Wreszcie dotarł na brzeg ogromnego, spokojnego jeziora, chociaż w okolicy jego nędznego rodzinnego miasteczka nie było żadnych jezior; jezioro było piękne, księżyc płonał w głębinie jak lampa, mimo to przerażało go, ponieważ stanęło mu na drodze, a on nie potrafił pływać.

Padł na kolana nad samą wodą — pod tym względem sen niczym się nie różnił od snów z dzieciństwa — lecz w wodzie ujrzał nie odbicie ścigającego go stwora w łachmanach stracha na wróble, z rozdętą dyniastą głową i wielkimi rękami z wypchanych sianem roboczych rękawic, ale Owena Underhilla z twarzą pokrytą kępami czegoś w rodzaju mchu. W blasku księżycy kolonie byrusa wyglądały jak wielkie, gąbczaste, bezkształtne znamiona.

Będąc dzieckiem, zawsze budził się w tej właśnie chwili, niekiedy ze sztywnym fiutkiem, chociaż Bóg tylko wiedział, dlaczego taki przerażający sen wywoływał taką reakcję. Tym razem jednak to, a raczej Owen, wyciągnęło rękę i dotknęło go, wpatrując się w niego z wody pełnymi wyrzutu, zdziwionymi oczami.

Dlatego że nie wykonałeś rozkazu, chłopcze! Dlatego że przekroczyłeś linię!

Podniósł rękę, by zasłonić się przed Owenem, żeby go odsunąć... i w świetle księżycy ujrzał własną dłoń. Była szara.

Niemożliwe, pomyślał. To przez to światło.

Ręka miała trzy palce. Czy to też było złudzenie, za które należało winić blask księżycy?

Owen wciąż nad nim stał, wciąż go dotykał, przekazywał mu swoją paskudną chorobę, i wciąż miał czelność mówić mu

6

szefie. Obudź się, szefie!

Kurtz otworzył oczy, wyprostował się i odepchnął rękę Freddy'ego. Co prawda Freddy potrząsał go za kolano, nie za ramię, ale to również było nie do przyjęcia.

— Dobra, już nie śpię. — Żeby to sobie udowodnić, podniósł obie ręce i im się przyjrzał. Nie były różowe, sporo im do tego brakowało, ale z pewnością nie były też szare i każda miała pięć palców. — Która godzina?

— Nie mam pojęcia, szefie. W każdym razie na pewno jeszcze rano.

No jasne, przecież wszystkie zegarki szlag trafił, jego kieszonkowy też, bo oczywiście zapomniał go nakręcić. Zdaniem Kurtza, który zazwyczaj miał całkiem niezłe poczucie czasu, mogło być około dziewiątej; oznaczało to, że przespał jakieś dwie godziny. Niewiele, ale jemu to wystarczyło. Czuł się znacznie lepiej, na tyle dobrze, że bez trudu usłyszał niepokój w głosie Freddy'ego.

— O co chodzi, chłopcze?

— Pearly mówi, że utracił kontakt ze wszystkimi, na samym końcu z Owenem. Zdaje się, że tamci też poradzili sobie z Ripley.

Kurtzowi mignął w lusterku wstecznym ponury uśmiech Perlmuttera.

— Co to za sztuczki, Archie?

— To nie sztuczki. — Głos Pearly'ego brzmiał znacznie bardziej dziarsko niż przed drzemką Kurtza. — Ja tylko... Szefie, cholernie chce mi się pić. Nie jestem głodny, ale napiłbym się wody.

— Gdybyśmy wciąż mieli kontakt, chyba moglibyśmy zatrzymać się na chwilę, ale skoro go straciliśmy... Znasz mnie, chłopcze: jak złapię zębami, to nie puszczam, nawet po śmierci. Trzeba paru chirurgów i laski dynamitu, żeby mnie odczepić. Czeka cię długi, suchy dzień, kiedy Freddy i ja będziemy ich szukać, chyba że nam pomożesz. Wysil się, Archie, a wtedy każę Freddy'emu zatrzymać się na najbliższym parkingu i osobiście przyniosę ci butelkę najlepszej schłodzonej wody mineralnej. Co ty na to?

Przemowa chyba odniosła zamierzony skutek, tak przynajmniej można było sądzić po reakcji Perlmuttera, który nerwowo zwilżył usta językiem (kępki Ripley na jego policzkach i wargach wciąż rosły bujnie, pyszniąc się odcieniami soczystej czerwieni), zaraz potem jednak na jego twarz wrócił chytry, przebiegły wyraz. Okolone krzaczastymi naroślami oczy zdawały

się patrzeć równocześnie we wszystkie strony i nagle Kurtz zrozumiał, co się stało: Pearly oszalał. Prędzej czy później wariat zawsze rozpozna wariata.

— Ja nie kłamię. Naprawdę straciłem z nimi kontakt.

Niemniej przyłożył palec do nosa i przebiegle spojrzął w lusterko wsteczne.

— Jeżeli ich złapiemy, kto wie, może nawet uda nam się cię wyleczyć — powiedział Kurtz obojętnym, rzeczowym tonem. — No, którego z nich jeszcze odbierasz? Jonesy'ego? A może tego nowego, Dudditsa?

— Żadnego.

Wciąż palec przy nosie, wciąż to chytre spojrzenie.

— Jeśli powiesz, dostaniesz wody. Jeśli nadal będziesz się ze mną drażnić, wpakuję ci kulkę w łeb i wyrzucę z samochodu. Jeśli nie wierzysz, zajrzyj do mojej głowy i sam się przekonaj.

Pearly przyglądał mu się przez chwilę, a następnie powiedział:

— Jonesy i Szary są już koło Portland. Jonesy wytłumaczył Szaremu, jak objechać miasto szosą numer 295... tyle że nie musiał nic mówić, bo Szary siedzi w jego głowie i po prostu bierze to, czego potrzebuje.

Kurtz słuchał z narastającym zdumieniem, jednocześnie układając w głowie plan dalszego działania.

— Jest też pies — ciągnął Pearly. — Mają ze sobą psa. Wabi się Facio. To z nim nawiązałem kontakt. On jest... taki jak ja. — Z oczu Perlmuttera zniknęła przebiegłość, zastąpił ją żaloszny niepokój. — Naprawdę myśli pan, że... no, wie pan... że mógłbym znowu być sobą?

Kurtz musiał zachować ostrożność, pamiętał bowiem o tym, że Pearly w dalszym ciągu może czytać w jego myślach.

— Na pewno można by uwolnić cię od tego balastu, szczególnie gdyby zajął się tym jakiś lekarz, który wiedziałby, co jest grane. Solidna dawka chloroformu, a potem budzisz się o, w takiej formie! — Cmoknął koniuszki złączonych palców i odwrócił się do Freddy'ego. — Skoro są w Portland, to jaką mają przewagę?

— Jakies sto dziesięć, może sto dwadzieścia kilometrów, szefie.

— Więc nadepnij trochę mocniej na gaz, słodki Jezu! Nie wpakuj nas do rowu, ale przyśpiesz trochę!

Sto dziesięć kilometrów. Jeśli Owen, Devlin i Duddits wiedzieli przynajmniej tyle samo co Archie Perlmutter, to byli gdzieś pośrodku.

— Uporządkujmy to wszystko, Archie. A więc Szary siedzi w Jonesym...

— Tak jest.

— ...i mają ze sobą psa, który czyta im w myślach?

— Słyszysz ich myśli, ale ich nie rozumie. To przecież tylko pies. Szefie, pić mi się chce.

Słucha tego psa jak jakiegoś, pieprzonego radia! — pomyślał Kurtz z podziwem.

— Freddy, postój na najbliższym parkingu i napoje dla wszystkich!

Nie podobało mu się, że musi się zatrzymać, nie chciał tracić dodatkowych kilku kilometrów, zdawał sobie jednak sprawę, że wciąż potrzebuje Perlmuttera — zadowolonego i w maksymalnie dobrej formie.

Właśnie zbliżali się do zajazdu, w którym Szary zamienił pług na subaru i gdzie zatrzymali się też Owen i Henry, ponieważ tamtędy właśnie prowadziła linia. Parking był zastawiony samochodami, lecz na szczęście mieli wystarczająco dużo drobnych, żeby skorzystać ze stojących w hallu automatów z napojami.

Dzięki Bogu.

Bez względu na ogólną ocenę tzw. florydzkiej prezydentury, trzeba jasno i wyraźnie powiedzieć jedno: przemówienie, które prezydent wygłosił tego listopadowego poranka, ostatecznie położyło kres lękowi przed Inwazją z Kosmosu.

Co prawda wystąpienie spotkało się z różnymi ocenami („To nie był pokaz sprawnego przywództwa, tylko doskonałej socjotechniki”, utyskiwał jeden z bardziej krytycznie nastawionych komentatorów), ale odniosło zamierzony skutek. Spragnieni konkretów ludzie przerywali ucieczkę, zjeżdżali na parkingi i tłoczyli się w barach i restauracjach, by obejrzeć i wysłuchać prezydenta. Działy ze sprzętem elektronicznym w supermarketach wypełniły się milczącymi, zapatrzonymi i zasłuchanymi tłumami. Personel stacji benzynowych wyłączył dystrybutory, obok nieczynnych kas ustawiono telewizory, gdzieś ludzie wpuszczali do domów nieznanymi, którzy również chcieli obejrzeć wystąpienie w telewizji. Naturalnie mogli słuchać przemówienia przez radio, tak jak to uczynili Jonesy i Szary, i nie przerywać podróży, ale postąpiła tak zdecydowana mniejszość. Większość pragnęła widzieć twarz przywódcy. Według osób niechętnych prezydentowi przemówienie jedynie skreśliło kark panice, zostało bowiem wygłoszone w doskonale wybranym momencie („Gdyby wygłosił je królik Bugs, odniosłoby taki sam skutek”), inni natomiast dokonali całkowicie odmiennej oceny. „To była przełomowa chwila. W drodze znajdowało się wtedy około sześciu tysięcy ludzi. Gdyby prezydent powiedział coś niewłaściwego, o drugiej po południu byłoby ich sześćdziesiąt, a cztery godziny później może nawet sześćset tysięcy. Amerykanie, szczególnie ci z Nowej Anglii, oczekiwali od swego z trudem wybranego przywódcy pomocy i wsparcia. Nie zawiedli się, ponieważ to była chyba najlepsza mowa, jaką kiedykolwiek wygłoszono na Ziemi”.

Bez względu na to, czemu należało to zawdzięczać, przemówienie zawierało wszystko, co Owen i Henry spodziewali się usłyszeć, Kurtz zaś mógłby przewidzieć zawartość jeśli nie każdego zdania, to z pewnością każdego akapitu. Skonstruowano je wokół dwóch prostych i oczywistych faktów, przedstawionych jasno i wyraźnie po to, by zwalczyć lęk, który tego ranka zagościł w wielu męźnych do tej pory amerykańskich sercach. Po pierwsze: chociaż przybysze nie zjawili się, wymachując gałązkami oliwnymi i rozdając upominki, jednak nie wykazali choćby najmniejszych oznak wrogości. Po drugie: chociaż przywlekli ze sobą jakiegoś nieznanego ludziom wirusa, to nie rozprzestrzenił się on poza obszar Jefferson Tract (prezydent pokazał to miejsce na mapie ze sprawnością, której mógłby mu pozazdrościć niejeden prezenter prognozy pogody), a na dodatek ginął w szybkim tempie bez żadnej „pomocy” wojskowych i cywilnych specjalistów obecnych w epicentrum wydarzeń.

— Co prawda w tej chwili nie możemy jeszcze powiedzieć tego z całą pewnością — poinformował prezydent słuchając go z zapartym tchem publiczność (najdłużej, rzecz jasna, wstrzymali oddech ci z północnej i środkowej części stanu Maine) — ale wszystko wskazuje na to, iż przybysze przywieźli tego wirusa w taki sam sposób, w jaki podróżni przywożą niekiedy z dalekiej wyprawy jakieś nieznanne w ich ojczyźnie mikroorganizmy: na przykład na ubraniu, w bagażu lub na kupionych za granicą przedmiotach. Rzecz jasna kontrola sanitarna stara się nie dopuścić do takich wydarzeń, tak się jednak składa — szeroki uśmiech Wielkiego Białego Ojca — że przybysze nie uznali za stosowne się jej poddać.

Owszem, niezbyt liczna grupa ludzi, w zdecydowanej większości wojskowych, zaraziła się tym wirusem, lecz prawie wszyscy poradzili już sobie z objawami choroby (przypominającymi nieco grzybicę, powiedział Wielki Biały Ojciec). Obszar Jefferson/Tract na wszelki wypadek objęto kwarantanną, poza tym nikomu nie groziło żadne, nawet najmniejsze niebezpieczeństwo.

— Jeśli mieszkacie w Maine i właśnie opuściliście swoje domy, to proponuję, żebyście do nich wrócili — powiedział prezydent. — Zacytuję tu Franklina Delano Roosevelta: zagraża nam tylko strach.

Ani słowa o rzezi Szarych, wysadzonym w powietrze statku kosmicznym, internowanych myśliwych, pożarze w sklepie Gosselina, ucieczce więźniów. Ani słowa o polowaniu na niedobitki Straży Imperium, o Kurtzu i Jonesym, któremu udało się wydostać poza kwarantannę. Prezydent zrobił tylko tyle, ile należało, żeby skrócić kark panice, zanim wymknie się spod kontroli.

Większość posłuchała jego rady i wróciła do domów. Nie wszyscy jednak mogli to uczynić. Dla niektórych powrót do domu po prostu nie wchodził już w grę.

8

Mały, ale bardzo rozciągnięty korowód sunął na południe pod zachmurzonym niebem. Na przedzie jechało czerwone subaru, własność Marie Turgeon z Litchfield. Dziewięćdziesiąt kilometrów, albo około pięćdziesiąt minut za nim, podążali Henry, Owen i Duddits, a trzydzieści kilometrów z tyłu Kurtz, Freddy i Pearly wyjeżdżali właśnie z parkingu przed przydrożnym zajazdem. Perlmutter kończy przetykać zawartość drugiej już butelki wody mineralnej.

Gdyby nie niska i gęsta powłoka chmur, to w chwili kiedy prezydent zakończył przemówienie słowami „Niech Bóg błogosławi moich rodaków, niech Bóg błogosławi Amerykę”, obserwator usadowiony w lecącym niezbyt wysoko samolocie mógłby równocześnie zobaczyć wszystkie trzy pojazdy uczestniczące w wyścigu. Była godzina 11.43 czasu wschodniego wybrzeża. Jonesy i Szary wjeżdżali właśnie do New Hampshire mostem łączącym Kittery z Portsmouth; Henry, Owen i Duddits mijali zjazd 9 prowadzący do Falmouth, Cumberland i Jerusalem’s Lot; Kurtz, Freddy i Perlmutter (znowu miał brzuch rozdęty do monstrualnych rozmiarów, jęczał i co chwila wypuszczał cuchnące gazy; ktoś łatwo mógłby uznać to za przemówienia Wielkiego Białego Ojca) zbliżali się do zjazdu z szosy numer 295 przy Bowdoinham, niedaleko Brunswicku. Łatwo byłoby zauważyć pojazdy, ponieważ ruch niemal całkiem ustał, tak wielu ludzi chciało obejrzeć kojąco-podnoszące na duchu wystąpienie prezydenta.

Korzystając z doskonale uporządkowanych zasobów pamięci Jonesy’ego, zaraz po przekroczeniu granicy międzystanowej Szary zjechał z szosy numer 95 w 495. Jakiś czas potem manewr ten powtórzył pierwszy z dwóch hummerów; nawigatorem był Duddits, widzący ślad Jonesy’ego w postaci szerokiej żółtej linii. W miasteczku Marlborough Szary wjechał na I-90, jedną z głównych dróg biegnących przez Amerykę ze wschodu na zachód; w stanie Massachusetts nazywa się ją po prostu Mass Pike. Przy zjeździe 8, według archiwum Jonesy’ego, powinna stać tablica kierująca podróżnych do Palmer Umass, Amherst i Ware. Dziesięć kilometrów za Ware zaczynał się Zbiornik Quabbin.

Szary zamierzał dotrzeć do Szybu 12, ponieważ Szyb 12 doskonale nadawał się do jego celów. Wiedział o tym od Jonesy’ego, który nie mógł go okłamać, chociaż bardzo tego pragnął. Jonesy miał doprowadzić go do Zapory Winsor na południowym krańcu zbiornika. Reszta należała do Szarego.

9

Jonesy nie mógł już usiedzieć za biurkiem. Gdyby się do tego zmusił, najprawdopodobniej wkrótce zaczęłyby mamrotać coś bez sensu, potem wykrzykiwać, potem zerwałyby się i przez chwilę miotał po pokoju, a wreszcie otworzyłby drzwi na oścież i rzuciłby się w ramiona czekającego za nimi Szarego, kompletnie wypalony i czekający tylko na to, żeby ktoś dogasił tłące się w jego wnętrzu zgliszczą.

Gdzie my właściwie teraz jesteśmy? — zastanawiał się w duchu. Marlborough? Skracamy z 495 w I-90? Chyba tak.

Nie bardzo miał jak to sprawdzić, okno wciąż było szczelnie zasłonięte... Spojrzał na nie odruchowo i aż się uśmiechnął. Zamiast **PODDAJ SIĘ JONESY WYJDŹ** na okiennicach pojawił się napis **PODDAJ SIĘ DOROTKO**.

To ja tego dokonałem, pomyślał. Gdybym chciał, na pewno zdołałbym się pozbyć tych okiennic.

I co z tego? Szary z pewnością zaraz zainstalowałby nowe albo po prostu pomalowałby szyby czarną farbą. Jonesy miał nic nie widzieć tak długo, jak długo tamten sobie tego życzył. Problem polegał na tym, że Szary kontrolował całą sferę zewnętrzną; eksplodował dwa kroki od Jonesy'ego — dr Jekyll zamienił się w pana Byrusa... — Jonesy wciągnął go głęboko w płuca, i Szary stał się...

...bólem, dokończył Jonesy w myślach. To ból, który ulokował się w moim mózgu.

Coś usiłowało zaprotestować, pojawiła się nawet wyraźna, w pełni sformułowana myśl — Wszystko ci się pomyliło, to ty wyrwałeś się na zewnątrz, to ty uciekłeś — ale odepchnął ją od siebie. To tylko pseudointuicyjne bzdury, umysłowa halucynacja niewiele różniąca się od fatamorgany prześladowanej spragnionego wędrowca na pustyni. To on tkwił tutaj w zamknięciu, Szary zaś był na zewnątrz, obżerał się bekonem i rządził kurnikiem. Jonesy nawet przez chwilę nie powinien się łudzić, że jest inaczej.

Muszę go zatrzymać, jeśli nie całkiem, to przynajmniej na chwilę, ale jak? Gdzie znaleźć klucz, który mógłbym rzucić w tryby?

Od jakiegoś czasu przechadzał się nerwowo dokoła gabinetu. Trzydzieści cztery kroki. Niewiele, ale i tak chyba więcej, niż miałby do dyspozycji w przeciętnej celi. Skazańcy z Walpole, Danvers albo Shawshank uważaliby go za szczęściarza. Pośrodku obracał się powoli łowca snów. Część umysłu Jonesy'ego wciąż liczyła kroki, część zaś zastanawiała się, ile jeszcze zostało do zjazdu 8 z Mass Pike.

Trzydzieści jeden, trzydzieści dwa, trzydzieści trzy, trzydzieści cztery. Koniec rundy, meta za fotelem, pora na następną.

Wkrótce dotrą do Ware, ale tam się nie zatrzymają. W przeciwieństwie do tej Rosjanki Szary doskonale wiedział, czego chce.

Trzydzieści dwa, trzydzieści trzy, trzydzieści cztery, trzydzieści pięć, trzydzieści sześć. Znowu meta za fotelem, początek kolejnego okrążenia.

Zanim oboje skończyli trzydzieści lat, mieli z Carlą już troje dzieci (czwarte przyszło na świat niespełna rok temu), i żadne z nich nie liczyło na to, że w dającej się przewidzieć przyszłości staną się posiadaczami letniego domku, nawet tak skromnego jak ten przy Osborne Road w North Ware. Jednak pewnego dnia na wydziale Jonesy'ego nastąpiło prawdziwe trzęsienie ziemi: dziekanem został jego przyjaciel, w związku z czym Jonesy dochrapał się pozycji starszego wykładowcy co najmniej trzy lata wcześniej, niż wynikało z jego najbardziej optymistycznych wyliczeń. Rzecz jasna, pociągnęło to za sobą wyraźny wzrost uposażenia.

Trzydzieści pięć, trzydzieści sześć, trzydzieści siedem, trzydzieści osiem, znowu fotel, znowu koniec i zarazem początek. Doskonale. Niby nic, taka zwykła wędrówka w kółko, a jednak działało uspokajająco.

W tym samym roku umarła babcia Carli, pozostawiając spory majątek, który z braku innych żyjących krewnych przypadł w udziale Carli i jej siostrze. Między innymi odziedziczyli letni domek i już tego pierwszego lata zabrali dzieciaki na Zaporę Winsor, a stamtąd wybrali się na wycieczkę z przewodnikiem. Dowiedzieli się od niego, że o rejonie Zbiornika Quabbin mówi się niekiedy jako o „sztucznej dziczy” i że stał się on jednym z głównych siedlisk orłów w Massachusetts. (John i Misha, dwoje starszych dzieci, miało nadzieję zobaczyć choć jednego orła, ale nic z tego nie wyszło). Zbiornik powstał w latach trzydziestych na obszarze rolniczym, na którym znajdowały się trzy maleńkie miasteczka. Sześćdziesiąt lat później przyroda w okolicy wróciła do stanu, w jakim przypuszczalnie

znajdowała się w połowie siedemnastego wieku, przed początkiem trwającego do dzisiaj ataku cywilizacji. Nad wschodni brzeg jednego z najczystszych sztucznych jezior w Ameryce Północnej można było dotrzeć kilkoma krętymi leśnymi drogami, jeśli jednak ktoś zamierzał wybrać się dalej niż do Szybu 12, powinien zaopatrzyć się w wygodne buty, Tak poinformował ich przewodnik. Nazywał się Lorrington.

W wycieczce brało w sumie udział około piętnastu osób. Kiedy już mieli się pożegnać z Lorringtonem na skraju szosy prowadzącej przez zaporę (w blasku słońca woda w zbiorniku wydawała się niemal granatowa i rozbłyskiwała niezliczonymi refleksami, Joey smacznie spała w nosidełku na plecach Jonesy'ego), jeden z turystów, mężczyzna w granatowej bluzie podniósł rękę jak uczeń w szkole i zapytał:

— Szyb 12? Czy to nie tam, gdzie ta Rosjanka...?

Trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć, czterdzieści, czterdzieści jeden, i znowu fotel. Liczył odruchowo, nie poświęcając temu uwagi, tak jak zawsze. Carla twierdziła, że to objaw natręctwa. Skromna wiedza psychiatryczna Jonesy'ego uniemożliwiła mu wyrobienie własnego poglądu na ten temat, wiedział natomiast, że takie liczenie bardzo go uspokaja, toteż rozpoczął kolejną rundę.

Na wzmiankę o „tej Rosjance” usta Lorringtona zacisnęły się w wąską kreskę. Najwyraźniej ani on, ani jego pracodawcy nie zamierzali poruszać tego tematu. Zgodnie z powszechną opinią woda pitna docierająca do Bostonu była wręcz krystalicznie czysta i nikomu nie zależało na tym, by zmieniać to przekonanie.

— Niestety, prawie nic nie wiem na ten temat — powiedział Lorrington, ale Jonesy pomyślał: Zdaje się, że nasz miły przewodnik trochę rozminął się z prawdą.

Czterdzieści jeden, czterdzieści dwa, czterdzieści trzy, z powrotem za fotelem, gotów wyruszyć w kolejny obchód. Chodził coraz szybciej z założonymi z tyłu rękami, jak kapitan po mostku... albo po swojej kajucie, w której został uwięziony przez zbuntowaną załogę. Jonesy miał wrażenie, że to drugie porównanie jest znacznie bliższe prawdy.

Będąc niemal przez całe życie nauczycielem historii, Jonesy był wręcz chorobliwie dociekliwy. Jeszcze w tym samym tygodniu poszedł po zajęciach do biblioteki, wziął się do przeglądania roczników miejscowej gazety i wreszcie znalazł interesującą go historię. Opisano ją skrótowo i sucho — niektóre przyjęcia towarzyskie doczekały się bardziej szczegółowych relacji! — ale okazało się, że sporo wiedział na ten temat miejscowy listonosz i chętnie podzielił się swoją wiedzą.

Jonesy wciąż dobrze pamiętał ostatnie słowa starego pana Beckwitha, zanim ten uruchomił silnik swojej granatowo-błękitnej furgonetki i odjechał w kierunku następnej skrzynki na listy przy Osborne Road; latem listonosze nad Zbiornikiem Quabbin mieli sporo roboty. Wracając ścieżką do domku, Jonesy wcale się już nie dziwił, że Lorrington nie miał ochoty mówić o „tej Rosjance”.

Takie historie, jak to się mówi, nie przyczyniają się do wytworzenia dobrej atmosfery.

10

Nazywa się Ilena lub Elaina Timarova — nikt tego dokładnie nie wie. Zjawia się w Ware wczesną jesienią 1995 roku w fordzie escorcie z dyskretną żółtą naklejką Hertza na przedniej szybie. Później okaże się, że samochód był skradziony, w związku z czym po okolicy zacznie krążyć historia, jakoby zdobyła go na lotnisku Logana w zamian za usługi seksualne. Kto wie, może tak właśnie było?

Tak czy inaczej kobieta jest mocno rozkojarzona, jakby nie całkiem normalna. Później ktoś przypomni sobie siniak na jej twarzy, ktoś inny krzywo zapiętą bluzkę. Kiepsko mówi po angielsku, wystarczająco dobrze jednak, żeby wywiedzieć się o drogę nad Zbiornik Quabbin. Wskazówki notuje po rosyjsku na świstku papieru. Wieczorem, kiedy zamyka się drogę

wiodącą przez zaporę, biały escort stoi na parkingu przy Goodnough Dike. Rano stoi tam nadal, więc dwaj pracownicy Urzędu Wodnego (kto wie, może jednym z nich był Lorrington?) oraz dwaj strażnicy leśni rozpoczynają poszukiwania.

W odległości trzech kilometrów, przy East Street, znajdują jej pantofle. Trzy kilometry dalej, tam gdzie East Street zamienia się w leśną drogę (wije się wzdłuż niemal całego wschodniego brzegu zbiornika, stanowiąc miejscowy odpowiednik Deep Cut Road) znajdują bluzkę. Ho, ho. Trzy kilometry dalej, w miejscu, w którym od East Street odchodzi w górę Fitzpatrick Road, na drzewie wisi coś jasnoróżowego. Bliższe oględziny pozwalają stwierdzić, że to biustonosz.

Teren jest tam podmokły, gęsto zarośnięty, dobrze więc widać, którędy się przedzierała, raniąc nagą skórę. Trasę jej marszu znaczą nie tylko połamane gałęzie, lecz również ślady krwi na liściach i podłożu.

W odległości mniej więcej półtora kilometra docierają do niewielkiej kamiennej budowli na dość wysokim wzniesieniu. Roztacza się z niej piękna panorama na wschodnią odnogę zbiornika oraz toń Mount Pomery. Budynek stoi nad wylotem Szybu 12, a samochodem można do niego dotrzeć jedynie od północy. Nikt nigdy nie znajdzie odpowiedzi na pytanie, dlaczego Ilena albo Elaina nie spróbowała dojechać tam swoim białym escortem.

Potężny wodociąg, który zaczyna się w tym miejscu, prowadzi prosto na wschód do odległego o sto kilometrów Bostonu, zbierając po drodze wodę ze zbiorników Wachusett i Sudbury — znacznie mniejszych i nie tak czystych jak Quabbin. Pompy są niepotrzebne, wystarczy siła grawitacji każąca spływać wodzie gigantyczną rurą o średnicy czterech metrów. Trzydzieści pięć stuleci wcześniej identyczną technologię stosowali Egipcjanie. Akwedukt łączy z powierzchnią ziemi dwanaście pionowych szybów, które służą do wentylacji i wyrównywaniu ciśnienia. W razie potrzeby — czyli na przykład zatkania rury — można się nimi dostać do wnętrza akweduktu. Szyb 12, usytuowany najbliżej sztucznego jeziora, bywa również zwany Chrapami. Pobiera się z niego próbki wody w celu zbadania jej czystości; równie często, jeśli nawet nie częściej, bada się w nim czystość niewieścią, jako że miejsce to (kamienny, niezamykany budynek) chętnie odwiedzają pływający żaglówkami i kajakami kochankowie.

Na pierwszym z ośmiu stopni wiodących do wejścia leżą schludnie złożone dzinsy, na najwyższym — białe bawełniane majteczki. Drzwi są otwarte na oścież. Mężczyźni spoglądają po sobie, ale nikt się nie odzywa. Wszyscy wiedzą, co znajdują w środku: nagą, martwą kobietę.

Czeka ich jednak zaskoczenie: we wnętrzu nikogo nie ma, żeliwna pokrywa zamykająca wlot Szybu 12 jest odsunięta częściowo na bok, odsłaniając sierp nieprzeniknionej czerni, obok leży stalowa żabka, za pomocą której kobieta odsunęła pokrywę, obok żabki — torebka, na torebce otwarty portfel z dokumentami, a na samym wierzchu, wieńcząc piramidę, spoczywa rosyjski paszport. Z paszportu wystaje skrawek papieru zapisany cyrylicą, czy jak tam się nazywa ten alfabet. Mężczyźni przypuszczają, że to list pożegnalny, po przetłumaczeniu okazuje się jednak, że ta tylko wskazówki, jak trafić do wylotu szybu. Ostatnie zdanie brzmi: „Kiedy droga się skończy, iść dalej wzdłuż brzegu”. Tak uczyniła, nie zważając na kaleczące jej ciało gałęzie.

Mężczyźni stoją przy częściowo odsuniętej pokrywie, drapią się po głowach i wsłuchują się w szum wody płynącej pod ich stopami ku bostońskim kranom, basenom i fontanom. Szum jest cichy, stłumiony — nie bez powodu, gdyż Szyb 12 ma ponad czterdzieści metrów głębokości. Nie rozumieją, dlaczego zrobiła to właśnie w taki sposób, niemniej doskonale zdają sobie sprawę, co zrobiła, niemal widzą, jak siada na kamiennej posadzce, spuszcza nogi, ogląda się, być może po to, by sprawdzić, czy portfel i paszport leżą tak, jak je zostawiła. Chce, by ludzie się dowiedzieli, kto zginął tutaj w ten sposób; jest w tym coś przeraźliwie, rozpaczliwie smutnego.

Ostatnie spojrzenie za siebie, a potem zsuwa się w sierpowatą szczelinę między krawędzią szybu a żeliwną pokrywą. Może zatkała nos, jak dzieciak wskakujący do basenu, a może nie. Tak czy inaczej, sekundę później już jej nie było. Witaj ciemności, dobra przyjaciółko.

11

Pożegnalne słowa, jakie wypowiedział na ten temat pan Beckwith, zanim odjechał swoją granatowo-białą furgonetką, brzmiały następująco: „Podobno ludzie w Bostonie będą ją pili w porannej kawie albo herbacie gdzieś na początku listopada. Ja na wszelki wypadek w ogóle zrezygnowałem z picia wody. Wolę piwo”.

12

Jonesy zakończył już dwunaste albo czternaste okrążenie gabinetu. Przystanął na chwilę za oparciem fotela, masując obolałe biodro, po czym ruszył dalej, jak zwykle licząc kroki.

Stary, dobry, ogarnięty natręctwami Jonesy.

Jeden... dwa... trzy...

Historia o Rosjance była naprawdę niezła, podręcznikowy przykład Małomiasteczkowych Strachów (do tej samej kategorii należały opowieści o nawiedzonych domach i niebezpiecznych zakrętach, na których od lat dochodziło do śmiertelnych wypadków), a dodatkowo rzucała światło na plany Szarego związane z nieszczęsnym Faciem, jakie jednak mogła mieć znaczenie dla niego? Bądź co bądź...

Z powrotem przy fotelu. *Czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt...* Zaraz, chwileczkę! Przecież kiedy pierwszy raz obszedł pokój dookoła, potrzebował tylko trzydziestu czterech kroków, zgadza się? Skąd więc teraz wzięło się pięćdziesiąt? Nie powłóczył nogami, nie drobił, niczego nie omijał, jakim cudem więc...

Powiększyłeś go. Powiększyłeś go, chodząc wokół niego. Byłeś niespokojny, a to przecież twój gabinet. Założę się, że gdybyś zechciał, mógłbyś uczynić go wielkim jak sala balowa w Waldorf–Astorii i Szary nie zdołałby ci w tym przeszkodzić.

— Czy to możliwe? — wyszeptał Jonesy.

Stał z ręką na oparciu fotela, jakby pozował do portretu. Nie musiał udzielać sobie odpowiedzi na swoje pytanie. Miał ją przed oczami. Pokój rzeczywiście stał się większy.

Henry był coraz bliżej. Jeśli miał ze sobą Dudditsa, Szary nie zdołałby się przed nimi ukryć choćby nie wiadomo jak często zmieniał samochody, ponieważ Duddits widział linię. Zaprowadził ich we śnie do Richiego Grenadeau, później, już w realnym świecie, zaprowadził ich do Josie Rinkenhauer, teraz prowadził Henry’ego równie pewnie jak foksterier myśliwego do lisiej jamy. Problem polegał jedynie na cholernej przewodze, jaką wypracował sobie Szary; co najmniej godzina, może nawet więcej. A kiedy Szary wrzuci psa do Szybu 12, będzie po zabawie. Co prawda, przynajmniej teoretycznie, pozostanie wystarczająco dużo czasu na to, żeby zamknąć dopływ wody do Bostonu, czy jednak Henry’emu uda się przekonać odpowiednich ludzi do konieczności podjęcia aż tak drastycznych kroków? Jonesy mocno w to wątpił. A co z tymi, którzy korzystali z wodociągu znacznie wcześniej, zaledwie kilka lub kilkanaście kilometrów od Zbiornika Quabbin? Sześć i pół tysiąca w Ware, jedenaście tysięcy w Athol, ponad sto pięćdziesiąt tysięcy w Worcester. Tym ludziom zostałyby tylko dni, w najlepszym razie tygodnie.

Czy istniał jakiś sposób, żeby choć na chwilę zatrzymać sukinsyna, dać Henry’emu szansę nadrobienia choćby kilkunastu kilometrów?

Jonesy podniósł wzrok na łowcę snów i w tej samej chwili w pokoju coś się zmieniło, rozległo się niemal westchnienie, takie, jakie podobno wydają niekiedy duchy podczas seansów spirytystycznych. To jednak nie był duch i Jonesy poczuł, jak jego ramiona

pokrywają się gęsią skórą. Równocześnie łzy napłynęły mu do oczu, przypomniał sobie wers autorstwa Thomasa Wolfe'a: *zagubiony kamień, liść, nieodnaleziona drzwi*. Thomasa Wolfe'a, który twierdził, że nie istnieje coś takiego jak powrót do domu.

— Duddits? — zapytał szeptem, z włoskami zjeżonymi na karku. — Czy to ty, Duddits?

Cisza... Kiedy jednak spojrzął na biurko, dostrzegł tam coś nowego, coś, czego jeszcze przed chwilą nie było. Nie kamień, nie liść, nie nieodnaleziona drzwi, lecz planszę do cribbage'a i talię kart.

Ktoś chciał zagrać.

13

Boli już prawie bez przerwy. Mama wie, powie mamie. Jezus wie, powie Jezusowi. Nie powie Henry'emu, Henry'ego też boli, Henry smutny i zmęczony. Beaver i Pete w niebie, gdzie siedzą po prawicy Boga Ojca wszechmogącego, stwórcy nieba i ziemi, teraz i zawsze, i na wieki wieków, rety, Jezu, amen. Smutno mu, to byli przyjaciele, dobrzy przyjaciele, bawili się z nim, ale nigdy się z niego nie śmiali. Kiedyś razem znaleźli Josie, kiedyś razem widzieli wielkiego kowboja i kiedyś razem grali w grę.

Teraz to też gra, tyle że Pete mówił „Duddits, nie ma znaczenia, czy wygrasz, czy przegrasz, ważne, jak grasz”, ale teraz to ma znaczenie, bardzo wielkie znaczenie, Jonesy to mówi, słabo go słyhać, ale niedługo będzie lepiej, dużo lepiej. Gdyby tylko tak nie bolało. Nawet pastylki nie pomagają. Boli go gardło i cały się trzęsie i brzuch go boli trochę tak jak wtedy, kiedy zbiera się na kupę, tylko bardziej, a poza tym wcale mu się nie chce kupy, a kiedy kaszle, to leci krew. Najchętniej poszedłby spać, ale nie może, bo przecież jest Henry i jego nowy przyjaciel Owen, ten sam co tego dnia, kiedy znaleźli Josie, i obaj mówią „Gdybyśmy mogli go jakoś zatrzymać” i „Gdybyśmy mogli go jakoś dogonić”, więc nie może spać, bo musi im pomóc, ale musi zamknąć oczy, żeby słyszeć Jonesy'ego, dlatego oni myślą, że śpi. „Czy nie powinniśmy go obudzić? A jeśli ten sukinsyn gdzieś skreśli?” — mówi Owen, a Henry na to: „Mówię ci, że wiem, dokąd jedzie, ale obudzimy go na I-90, tak na wszelki wypadek. Na razie niech śpi, spójrz tylko, jak wygląda”. A potem, ale już tylko w myślach: *Żeby go jakoś zatrzymać!*

Oczy zamknięte, ręce skrzyżowane na obolałej piersi, oddychać powoli, mama zawsze powtarza, żeby oddychać powoli, kiedy kaszle. Jonesy żyje, nie jest w niebie z Pete'em i Beaverem, ale Szary mówi, że Jonesy zamknięty i Jonesy mu wierzy. Jonesy w gabinecie, bez telefonu, nic nie wie, trudno z nim mówić, bo Szary niedobry i Szary się boi. Boi się, że Jonesy zrozumie, który z nich jest naprawdę zamknięty.

Kiedy najwięcej rozmawiali?

Podczas gry.

Gra.

Drży cały. Musi mocno myśleć, a kiedy mocno myśli, wtedy wszystko bardziej boli, czuje jak to zabiera mu siłę, ostatnie okruchy siły, ale tym razem to więcej niż tylko gra, tym razem to ważne, kto zwycięży, a kto przegra, daje więc z siebie te resztki siły, tworzy planszę i karty. Jonesy płacze, Jonesy myśli zagubiony, ale Duddits Cavell nie jest zagubiony. Duddits widzi linię, linia prowadzi do gabinetu i tym razem będzie grał inaczej niż zwykle.

Nie płacz, Jonesy, mówi. Słowa są jasne i wyraźne, w jego głowie zawsze są takie, to tylko głupie usta nie potrafią sobie z nimi poradzić. *Nie płacz, nie jestem zagubiony.*

Oczy zamknięte, ręce na piersiach.

W gabinecie Jonesy'ego, pod łowcą snów, Duddits gra.

14

— Namierzyłem psa — powiedział Henry. Był wycieńczony. — Tego samego co Perlmutter. Mam go. Zbliżyliśmy się trochę. Boże, żeby jakoś ich zatrzymać, żeby choć trochę nadgonić!

Zaczął padać deszcz. Owen miał nadzieję, że temperatura nie spadnie w okolice zera i że to wszystko nie zacznie zamarzać. Wiatr był tak silny, że chwilami kołysał ciężkim pojazdem jak zabawką. Dochodziło południe, a oni znajdowali się między Saco i Biddeford. W lusterku wstecznym Owen widział Dudditsa: zamknięte oczy, głowa odchylona do tyłu, kościste przedramiona skrzyżowane na piersi, bladożółta cera i cienka strużka jasnoczerwonej krwi sącząca się z kącika ust.

— Myślisz, że twój przyjaciel może nam jakoś pomóc?

— Myślę, że się stara.

— Mówiłeś chyba, że śpi?

Henry odwrócił się, zerknął na Dudditsa, a następnie spojrzął na Owena.

— Pomyliłem się.

15

Jonesy rozdał karty, rzucił dwie swoje do criba, podniósł drugą stertę i dorzucił jeszcze dwie.

— Nie płacz, Jonesy. Nie płacz. Nie jestem zagubiony.

Jonesy podniósł wzrok na łowcę snów, zupełnie pewien, że słowa dobiegły właśnie stamtąd.

— Nie płaczę, Duds. To tylko pieprzona alergia, i tyle. No to jak, licytujesz?

— Dwa — rozległ się głos z łowcy snów.

Jonesy wyszedł w zastępstwie Dudditsa dwójką, sam rzucił siódmką. W sumie dawało to dziewięć. Duddits miał jeszcze w rękę szóstkę, nie wiadomo jednak, czy...

— Sześć za piętnaście, piętnaście za dwa! I całujcie mnie w złamasa!

Chociaż wcale nie było mu wesoło, Jonesy parsknął śmiechem. Tak, to na pewno był Duddits, chociaż przez chwilę można prawie było wziąć go za Beavera.

— No to do roboty.

Obserwował zafascynowany, jak jeden z pionków uniósł się i przesunął o dwie pozycje. Nagle doznał olśnienia.

— Duds, ty zawsze potrafiłeś w to grać, prawda? Wyglądałeś się tylko, bo wtedy wszyscy ryczeliśmy ze śmiechu, zgadza się?

Znowu łzy napłynęły mu do oczu. Przez te wszystkie lata, kiedy wydawało im się, że bawią się z Dudditsem, to on bawił się z nimi, a tamtego dnia, za budynkiem braci Tracker, kto kogo znalazł? Kto komu przyszedł z pomocą? Kto kogo uratował?

— Dwadzieścia jeden.

— Trzydzieści jeden za dwa. — Pionek przeniósł się o kolejne dwa pola naprzód. — Nie mogę do niego dotrzeć.

— Wiem.

Jonesy rzucił trójkę, Duddits zalicytował trzynaście i Jonesy zagrał jego kartami.

— Ale ty możesz. Możesz z nim rozmawiać.

Jonesy wyszedł z dwójki, zalicytował też dwa, Duddits skontrował, przelicytował go o jeden. Zostać przelicytowanym przez niedorozwoja, przemknęło Jonesy'emu przez głowę. Co wy na to? Tyle że ten Duddits nie był niedorozwinięty. Wycieńczony i umierający, owszem, ale na pewno nie niedorozwinięty.

Duddits wygrał rozdanie z ogromną przewagą. Jonesy zebrał karty i zaczął je tasować.

— Czego on chce, Jonesy? Czego pragnie oprócz wody?

Morderstwa, pomyślał Jonesy. Uwielbia zabijać ludzi. Ale tego już wystarczy.

— Bekonu — odparł. — Przepada za bekonem.

Nagle znieruchomiał z kartami w rękach, ponieważ Duddits na mgnienie oka zawładnął jego umysłem. Prawdziwy Duddits, młody, silny i gotowy do walki.

16

Duddits jęknął rozdzierająco. Henry odwrócił się i zobaczył krew płynącą z nosa, czerwoną jak byrus. Twarz Dudditsa wykrzywił grymas ogromnego skupienia, pod zamkniętymi powiekami gałki oczne poruszały się szybko tam i z powrotem.

— Co się z nim dzieje? — zapytał Owen.

— Nie mam pojęcia.

Ciałem Dudditsa wstrząsnął potwornie silny kaszel, pryskająca z jego ust ślina miała różowy kolor.

— Henry, obudź go! Obudź go, na litość boską!

Henry posłał Underhillowi przerażone spojrzenie. Zbliżyli się do Kennebunkport, najwyżej trzydzieści kilometrów od granicy New Hampshire, sto siedemdziesiąt od Zbiornika Quabbin. Na ścianie gabinetu Jonesy'ego wisiało zdjęcie zbiornika, a obok drugie, letniego domku w Ware.

Duddits zawołał coś raz, drugi, trzeci. Krwi w ślinie nie było wiele, jeszcze nie, na razie pochodziła z ust i gardła, ale kiedy popłynie z płuc...

— Obudź go! Mówi, że coś mu pęka! Nie słyszysz? Pewnie coś go boli i...

— Źle go zrozumiałeś.

— Jak to?

— On mówi „bekon”.

17

Istota, która myślała już o sobie jako o Szarym, miała poważny problem... To znaczy, Szary miał poważny problem, ale przynajmniej zdawał sobie z tego sprawę.

„Uprowadzony znaczy ostrzeżony”, powiedziałby Jonesy. Jego archiwum zawierało setki, jeśli nie tysiące takich powiedzonek. Część z nich była dla Szarego zupełnie niezrozumiała (na przykład „Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby” albo „Co dwie głowy to nie jedna”), ale „Uprowadzony znaczy ostrzeżony” miało głęboki sens.

Jego problem najlepiej dałoby się streścić, określając uczucia, jakie żywił do Jonesy'ego — a sam fakt, że żywił do niego jakiegokolwiek uczucia, stanowił wystarczający powód do niepokoju. Mógł po prostu pomyśleć: Jonesy siedzi w zamknięciu, więc pozbyłem się kłopotu. Nałożyłem na niego kwarantannę. Co prawda jestem śledzony, a nawet ścigany, ale jeśli nie przydarzy mi się żadna przykra niespodzianka w postaci awarii silnika albo złapania gumy, nikt mnie nie dogoni.

Takie były fakty, tak przedstawiała się prawda, ale nie miała żadnego smaku. To znaczy smaczku. Smaczek tkwił w pomyśle, żeby podejść do drzwi, za którymi siedział niezbyt gościnny gospodarz, i wrzasnąć: „Załatwiłem cię, co? Załatwiłem to twoje parchate czerwone kombi!”. Co prawda Szary nie miał pojęcia, co wspólnego miało z tą sytuacją jakieś czerwone kombi, wszystko jedno, parchate czy nie, ale bez wątplenia był to jeden z pocisków największego kalibru emocjonalnego, jakie Jonesy przechowywał w swojej zbrojowni. W satysfakcjonujący, choć niezrozumiały sposób nawiązywał do czasów dzieciństwa. Potem Szary wystawiłby język Jonesy'ego (MÓJ język! — pomyślał z niezaprzeczną satysfakcją) i zagrał mu na nosie.

Jeżeli natomiast chodzi o ścigających, to najchętniej spuściłby spodnie i pokazał im tyłek Jonesy'ego. Co prawda było to równie bezsensowne jak „Co dwie głowy to nie jedna” albo

„parchate czerwone kombi”, niemniej pragnął to zrobić. Nazywało się to „wypinaniem się na kogoś” i Szary bardzo, ale to bardzo chciał to uczynić.

Najwyraźniej zaraził się tutejszym byrusem. Zaczęło się od emocji, potem były doznania zmysłowe (smak pożywienia, dzika rozkosz narastająca w miarę, jak policjant coraz dłużej i silniej walił głową w ścianę), wreszcie coś, co Jonesy określał jako „wyższe myślenie”. Oczywiście z punktu widzenia Szarego był to niezbyt udany żart — tak jakby ktoś mówił na gówno „przetworzona żywność” albo na ludobójstwo „czystki etniczne”. Jednak myślenie, jakiegokolwiek by było, stanowiło nie lada atrakcję dla istoty funkcjonującej dotychczas jako cząstka wegetatywnego umysłu albo raczej czegoś w rodzaju wysoce inteligentnej nieświadomości.

Zanim Szary całkowicie odciął go od świata zewnętrznego, Jonesy zaproponował mu rezygnację z misji i rozkoszowanie się człowieczeństwem. W miarę upływu czasu Szary uświadamiał sobie coraz wyraźniej, że ludzkie pragnienia nie są bynajmniej jednolite, że uwielbiają się rozmnażać i dzielić na głosy domagające się rozmaitych rzeczy: a to A, a to B, a to Q podzielonego przez Z. Mogłoby się wydawać, że taka kakofonia będzie odrażająca, nie do przyjęcia, paralizująca... Tymczasem Szaremu całkiem się to podobało.

Był bekon, było też coś takiego jak „seks z Carłą” — umysł Jonesy’ego określał tę czynność jako dającą mnóstwo rozkoszy, pobudzającą zarówno emocjonalnie, jak i sensorycznie. Była szybka jazda samochodem, spotkania przy piwie w barze „U O’Leary’ego”, Patty Loveless śpiewająca „To wszystko wina serca twojego, zimnego, złego, niekochającego” (cokolwiek to znaczyło). Była mgła unosząca się nad łąkami w wiosenny poranek. Było również morderstwo.

Problem Szarego polegał na tym, że musiał szybko załatwić swoje sprawy, ponieważ w przeciwnym razie nigdy ich już nie załatwi. Nie był już byrumem, lecz Szarym. Jak długo mogło jeszcze potrwać, zanim stanie się Jonesym?

To niemożliwe, pomyślał. Nigdy do tego nie dopuszczę. Nacisnął mocniej pedał gazu. Silnik subaru nie miał wielkich możliwości, mimo to dał z siebie jeszcze trochę. Pies zaskomlał boleśnie na tylnym siedzeniu. Szary sięgnął umysłem do żyjącego w nim byruma. Rósł szybko, chyba nawet zbyt szybko. Co gorsza, nie odczuł żadnej przyjemności z tego zetknięcia umysłów, ani odrobiny ciepła zazwyczaj towarzyszącego takim spotkaniom. Umysł byruma był zimny, cuchnący...

— Obcy... — wymamrotał.

Mimo to udało mu się go uspokoić. W chwili kiedy pies znajdzie się w wodociągu, byrum powinien jeszcze być w nim, powinien mieć czas na dostosowanie się do nowych warunków. Pies, ma się rozumieć, od razu utonie, byrum zaś jeszcze przez jakiś czas będzie mógł żywić się jego martwym ciałem, aż nadejdzie jego pora. Najpierw jednak należało tam dotrzeć.

Już niedaleko.

Jadąc I-90 i mijając rozmaite miasteczka („gówniarstwa”, nazywał je w myślach Jonesy, nie bez pobłażliwej życzliwości), takie jak Westborough, Grafton i Dorothy Pond, zastanawiał się nad miejscem, w którym mógłby bezpiecznie umieścić swoją nową, słabo zorientowaną, ale szybko uczącą się świadomość. Dzieci Jonesy’ego? Stanowczo za dużo emocji.

Duddits? Nic o nim nie wiedział, Jonesy zdołał usunąć z archiwum wszystkie informacje. Zainteresowała go praca Jonesy’ego — nauczanie historii — a szczególnie jego fascynująca w jakiś trudny do wy tłumaczenia, ponury sposób specjalność. Wyglądało na to, że między rokiem 1860 a 1865 Ameryka podzieliła się na dwie części, tak jak czynią kolonie byrusa pod koniec każdego cyklu rozwojowego. Istniało ku temu mnóstwo przyczyn, a najważniejszą z nich wydawało się „niewolnictwo”, ale to znowu było tak, jakby nazywać gówno lub rzygowiny „przetworzoną żywnością”. „Prawo do secesji” też nic nie znaczyło, podobnie jak

„zachowanie Unii”. Najogólniej rzecz biorąc, istoty zrobiły to, co potrafiły najlepiej, to znaczy oszalały, tyle że na jaką skalę!

Szary właśnie z zachwytem przetrząsał pudła z informacjami o fascynujących rodzajach broni — muszkietach, bagnetach, armatach, granatach, minach — kiedy nagle usłyszał głos.

bekon

Zignorował go, chociaż żołądek Jonesy’ego zareagował gwałtownym burczeniem. Oczywiście, bardzo chętnie zjadłby trochę bekonu, bekon był mięsisty, tłusty, oślizgły i dawał wiele satysfakcji na najprymitywniejszym, cielesnym poziomie, ale nie teraz. Może po tym, jak pozbędzie się psa. Jeśli zostanie mu jeszcze trochę czasu, będzie mógł nawet obezreć się na śmierć, gdy przyjdzie mu na to ochota, ale nie teraz. Mijając zjazd 10 — zostały jeszcze tylko dwa — wrócił myślami do wojny domowej, do mężczyzn w granatowych i szarych mundurach biegnących wśród dymu i gejzerów, z przeraźliwym krzykiem wbijających sobie bagnety w brzuchy, rozbijających nieprzyjaciołom czaszki kolbami

bekon

Żołądek ponownie zaburczał, ślina napłynęła mu do ust, przypomniał sobie Dysarfs, brązowe chrupiące płatki na niebieskim talerzu, brało się je palcami, były twarde, twarde i kruche jak smakowite mięso

Nie mogę o tym myśleć.

Rozległo się gniewne trąbienie, Szary aż podskoczył, szarpnął kierownicą, Facio zaskamlał żałośnie. Zagapił się i wjechał lewymi kołami na sąsiedni pas, ale uciekł pośpiesznie, żeby przepuścić ogromną ciężarówkę pędzącą ze znacznie większą prędkością niż ta, jaką mogło osiągnąć małe subaru. Spod ogromnych kół trysnęły strumienie brudnej wody i błota, minęło kilka chwil, zanim wycieraczki oczyściły przednią szybę na tyle, że Szary znów cokolwiek widział. *Jak cię dorwę, ty pieprzony kutasie, rozbiję ci mordę chyba dawno nikt ci nie nakopał w dupę ty cholerny*

kanapka z bekonem

To przypominało strzał prosto w głowę. Szary walczył z całych sił, ale to było silniejsze. Czyżby sprawka Jonesy’ego? Niemożliwe, Jonesy był zbyt słaby. Szary miał wrażenie, że zamienił się w ogromny, przeraźliwie głodny żołądek. Chyba mógł sobie pozwolić na krótki postój, żeby coś zjeść? Jeśli nie, być może nie zdoła

kanapka z bekonem i majonezem!

Szary zaczął rozpaczliwie jęczeć.

18

— Słyszę go! — Henry przycisnął ręce do skroni, jakby nagle rozboleła go głowa. — Boże, jak to boli! Jest cholernie głodny.

— Kto? — Właśnie wjechali do Massachusetts. Deszcz padał ukośnymi srebrzystymi strugami. — Pies? Jonesy?

— Szary. — Henry spojrzał na Owena z błyskiem dzikiej nadziei w oku. — On się chyba zatrzymuje. Mam wrażenie, że on się zatrzymuje!

— Szefie...

Kurtz już prawie znowu zasypiał, kiedy Perlmutter odwrócił się do niego z wysiłkiem. Przed chwilą przejechali przez rogatki w New Hampshire — naturalnie Freddy wybrał zautomatyzowane stanowisko płatnicze, obawiał się bowiem, że pracownik pobierający opłaty zwróci uwagę na smród panujący we wnętrzu hummera, wybitą tylną szybę, arsenał w kabinie... lub na wszystkie te rzeczy naraz.

Kurtz z zainteresowaniem przyjrzał się spoconej, wykrzywionej twarzy Archiego Perlmuttera. Nawet z fascynacją. Czy to ten sam bezbarwny urzędniczyna, znacznie pewniej władający segregatorem i kalkulatorem niż jakkolwiek bronią, zawsze starannie uczesany, z doskonale prostym, jakby wytyczonym za pomocą linijki przedziałkiem? Czy to ten sam człowiek, który za nic nie mógł się oduczyć mówić do niego „proszę pana”? Nie, tamten zniknął, objawił się natomiast zupełnie nowy, nieznan do tej pory Perlmutter. Prawdziwa szekspirowska postać, pomyślał Kurtz i prawie zachichotał.

— Szefie, chce mi się pić.

Pearly spojrzał poządlawie na butelkę pepsa, którą Kurtz trzymał w ręce, a następnie po raz kolejny zepsuł powietrze. Tego nawet Szekspir nie wymyślił, przemknęło Kurtzowi przez głowę i tym razem zachichotał. Freddy zaklął, lecz jakby bez przekonania, za to niemal z rezygnacją.

— Przykro mi, ale to moje, chłopcze — odparł Kurtz. — Tak się składa, że mnie też trochę zaschło w gardle.

Perlmutter otworzył usta, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, jego twarz wykrzywił kolejny bolesny grymas. Odgłos pierdnięcia był znacznie mniej donośny: już nie puzon ani nawet trąbka, lecz najwyżej flecik piccolo. Zmrużył oczy, utkwiał w Kurtzu nienawistne spojrzenie.

— Daj mi pić, to powiem ci coś ważnego. Coś bardzo ważnego, szczególnie dla ciebie.

Kurtz zastanowił się przez chwilę. Strugi powietrza opływające kanciaste nadwozie hummera wślaczały do środka deszcz przez roztrzaskane tylne okno. Kurtz miał już zupełnie przemoczony jeden rękaw, ale nic nie mógł na to poradzić. W końcu kto był za to odpowiedzialny?

— Ty — wycedził Perlmutter i Kurtz aż podskoczył. Ta telepatia naprawdę jest paskudna. Człowiekowi wydaje się, że już się przyzwyczał, a tymczasem guzik prawda, nie przyzwyczał się, bo to po prostu niemożliwe. — Ty jesteś za to odpowiedzialny, więc daj mi się napić, do cholery. Szefie.

— Uważaj, co gadasz, palancie! — warknął Freddy.

— Powiedz mi, co wiesz, a dam ci resztę.

Kurtz uniósł częściowo opróżnioną butelkę i zakołysał nią tuż przed udręczonymi oczami Perlmuttera. Uczynił to nie bez szyderczej autoironii: jeszcze niedawno dowodził oddziałami, których operacje kształtowały geopolityczny obraz planety, teraz zaś mógł decydować o losie dwóch ludzi i butelki z napojem gazowanym. Jakże nisko upadł! Z pewnością przyczyniła się do tego jego pycha. Słodki Jezu, miał jej tyle co szatan, grzeszył nią, lecz nie potrafił się od tego grzechu uwolnić. Pycha była niczym pasek podtrzymujący spodnie nawet długo po tym, jak po spodniach nie zostało nawet wspomnienie.

— Słowo?

Pearly zwilżył wyschnięte wargi pokrytym czerwonym nalotem językiem.

— Żebym miał zdechnąć — odparł Kurtz z powagą. — Zresztą, sam sprawdź.

Niemal czuł, jak obrośnięte czerwonym świństwem palce Perlmuttera obmacują mu mózg. Paskudne uczucie, ale jakoś wytrzymał. Wreszcie Perlmutter skinął głową.

— Wiesz, odbieram coraz więcej — powiedział konfidencjonalnym szeptem. — To cholerstwo zżera mnie od środka, zżera mi bebechy. Czuję to.

Kurtz poklepał go pocieszająco po ramieniu. Właśnie mijali tablicę z napisem WITAMY W MASSACHUSETTS.

— Zajmę się tobą, chłopcze, przecież obiecałem. A tymczasem powiedz mi, co odbierasz.

— Szary postanowił się zatrzymać. Jest głodny.

Ręka Kurtza, która pozostała na jego ramieniu, zacisnęła się niczym imadło, palce przeistoczyły się w zakrzywione szpony.

— Gdzie?

— Całkiem blisko miejsca, do którego jedzie. Przy sklepie. — Głos Archiego Perlmuttera zamienił się w dziecięcy dyszkont. Przemiana nastąpiła tak niespodziewanie, że Kurtzowi aż ciarki przebiegły po plecach. — Najlepsze przynęty, dla ryby zachęty! Najlepsze przynęty, dla ryby zachęty! — A potem, już w miarę normalnym głosem: — Jonesy wie o tym, że Henry, Owen i Duddits są blisko. Dlatego zmusił Szarego do zatrzymania się.

Na myśl o tym, że Owen mógłby dogonić Jonesy'ego/Szarego, Kurtza niemal ogarnęła panika.

— Archie, słuchaj mnie uważnie.

— Pić mi się chce! — zaskamlał Perlmutter. — Chce mi się pić, ty sukinsynu!

Kurtz podsunął mu przed oczy butelkę, ale kiedy Pearly wyciągnął rękę, uderzył go po palcach.

— Czy Henry, Owen i ten, jak mu tam, Dud-Duts wiedzą, że Jonesy i Szary urządzili sobie postój?

— Duddits, ty kretynie! — parsknął Perlmutter, po czym jęknął rozpaczliwie i złapał się za wzdęty brzuch. — Duddits!

Tak, wiedzą! To Duddits pomógł wmówić Szaremu, że jest głodny! Zrobił to razem z Jonesym!

— Wcale mi się to nie podoba — mruknął Freddy.

Nie tobie jednemu, pomyślał Kurtz.

— Szefie, proszę... — jęknął Perlmutter. — Pić!

Kurtz dał mu butelkę, a Pearly opróżnił ją kilkoma ogromnymi łykami.

— Dojechaliśmy do 495, szefie — oznajmił Freddy. — Co mam robić?

— Skręcaj, a potem na zachód w I-90 — powiedział Perlmutter, po czym beknął głośno, lecz na szczęście bezwonną.

— To chce jeszcze jedną pepsi. Polubiło cukier i kofeinę.

Kurtz namyślał się przez chwilę. Owen wiedział o tym, że czołówka wyścigu zatrzymała się, przynajmniej na trochę, będzie więc teraz pędził możliwie najszybciej, żeby maksymalnie zredukować mniej więcej dziewięćdziesięciminutową różnicę. Wynikało z tego, że oni również muszą przyspieszyć. Policjanci, którym przyszłoby do głowy im przeszkadzać, będą musieli zginąć. Tak czy inaczej, sprawy szybko zmierzały ku ostatecznemu rozstrzygnięciu.

— Freddy...

— Tak, szefie?

— Gaz do dechy. Wyciśnij z tej kupy żelastwa, ile się da albo nawet więcej.

Freddy Johnson posłusznie wykonał rozkaz.

Nie było tu stodoły ani padoku, w oknie zamiast informacji, że można tu nabyć zezwolenia na polowanie, wisiała fotografia Zbiornika Quabbin oraz napis NAJLEPSZE PRZYNĘTY, DLA RYBY ZACHĘTY!, poza tym jednak mały sklepik stanowił niemal dokładną kopię sklepu starego Gosselina: te same odrapane ściany, ta sama brudnobrązowa dachówka, ten

sam krzywy komin, z którego sączyła się wąska smuga dymu, ten sam zardzewiały dystrybutor przed wejściem, a na nim kartka z informacją PALIWA BRAK.

Tego wczesnego listopadowego popołudnia w sklepie przebywał tylko właściciel, niejaki Deke McCaskell. Jak wielu innych cały ranek spędził przed telewizorem. Jedynym godnym uwagi elementem programu (relacja „na żywo” składała się głównie z powtarzanych w nieskończoność ujęć wojskowego sprzętu naziemnego i latającego) było przemówienie prezydenta. Deke nazywał prezydenta Panem Tynnowłazem, a to ze względu na mało elegancki sposób, w jaki rozstrzygnął wybory na swoją korzyść (swoją drogą, czy tam, na południu, nikt nie potrafił liczyć?). Chociaż sam po raz ostatni pofatygował się do lokalu wyborczego za Nixona (to dopiero był prezydent, proszę państwa!), serdecznie nienawidził obecnego szefa państwa, gdyż uważał go za kłamliwego, podstępnego drania z wielkimi zębami (i niezłą żoną, trzeba przyznać), i telewizyjne wystąpienie nie wywarło na nim większego wrażenia. Deke nie uwierzył ani w jedno słowo Tynnowłaza. Jego zdaniem, cała ta historia została sfabrykowana po to, żeby przekonać amerykańskich podatników do konieczności zwiększenia wydatków na rozmaite programy zbrojeniowe, a tym samym do podniesienia podatków. Zostało przecież naukowo dowiedzione, że w kosmosie nie ma żadnego życia, jedynymi obcymi na amerykańskiej ziemi (oprócz sprawującego aktualnie urząd prezydenta, ma się rozumieć) byli ci, którym udało się nielegalnie przedostać z Meksyku. Ludzie jednak się bali, siedzieli w domach i gapili się w telewizory. Później na pewno zjawi się parę osób po wino albo piwo, tymczasem jednak w sklepie było pusto jak w kostnicy po piątkowych pogrzebach.

Deke wyłączył telewizor jakieś pół godziny temu — co za dużo, to niezdrowo — i kiedy kwadrans po pierwszej zadzwieczał dzwonek nad drzwiami, był pogrążony w czytaniu jednego z czasopism prezentowanych na regale w najdalszym kącie sklepu, opatrzonym tabliczką z napisem DOZWOLONE OD LAT 21. Czasopismo nosiło tytuł „Dziewczęta w okularach” — absolutnie przystający do zawartości, ponieważ wszystkie prezentowane na zdjęciach dziewczęta rzeczywiście nosiły okulary. I nic więcej.

Podniósł wzrok na przybysza, otworzył usta, by powiedzieć „Co słysząc?” albo „Ale robi się ślisko, co?”, nie wykrztusił jednak ani słowa, ponieważ ogarnął go dziwny niepokój połączony z przekonaniem, że za chwilę zostanie obrabowany... i że będzie miał szczęście, jeżeli skończy się tylko na rabunku. Do tej pory — a prowadził interes już dwunasty rok — nigdy mu się to nie zdarzyło, bo jeśli ktoś chciałby ryzykować więzienie dla paru garści forsy, to w okolicy były miejsca, gdzie mógł liczyć na znacznie obfitsze łupy. Człowiek, który zdecydowałby się napaść właśnie na jego sklep, musiałby być... musiałby być...

Deke z wysiłkiem przełknął ślinę. Musiałby być wariatem, pomyślał. Kto wie, czy ten gość nie był właśnie kimś takim, czy nie wyrznął całej rodziny, a potem postanowił trochę poszaleć, zabić jeszcze parę osób, po czym wreszcie palnąć sobie w łeb.

Deke nie był paranoikiem (gdybyście chcieli poznać zdanie jego byłej żony, dowiedzielibyście się, że był co najwyżej niechlujem), niemniej na widok tego klienta natychmiast ogarnął go niepokój. Nie przepadał za palantami, którzy wpadali od czasu do czasu, pętali się bez celu po sklepie, dyskutowali o futbolu, albo wygadywali niestworzone historie o taaakich rybach, które jakoby złowili w zbiorniku, teraz jednak powitałby ich z radością. Najlepiej od razu kilku albo nawet kilkunastu.

Mężczyzna zatrzymał się zaraz za drzwiami. Tak, z pewnością było z nim coś nie w porządku. Miał na sobie pomarańczową myśliwską kamizelkę, chociaż w Massachusetts sezon polowań na jelenie jeszcze się nie rozpoczął, ale to jeszcze głupstwo. Największe zastrzeżenia Deke'a wzbudziły liczne zadrapania na twarzy, jakby gość przez kilka dni maszerował na przełaj przez lasy, rozbiegane spojrzenie oraz poruszające się usta, jakby nowo przybyły przez cały czas mówił do siebie. I coś jeszcze: w szarym świetle sączącym się przez brudną szybę coś lśniło na ustach i podbródku.

Ten skurczybyk się ślini, przemknęło Deke'owi przez głowę. On się po prostu ślini!

Zaraz po wejściu do sklepu mężczyzna stanął nieruchomo jak posąg, tylko jego głowa obracała się szybko w lewo i w prawo. Przypominał siedzącą na gałęzi sowę, która rozgląda się w poszukiwaniu potencjalnej zdobyczy. W pierwszym odruchu Deke chciał zsunąć się z krzesła i ukryć za ladą, lecz na swoje nieszczęście postanowił najpierw rozważyć wszystkie „za” i „przeciw” takiej decyzji (a z pewnością nie należał do światowej czołówki w szybkości podejmowania decyzji, tego też moglibyście dowiedzieć się od jego byłej żony), było już za późno: głowa wykonała kolejny błyskawiczny ruch i skierowała się twarzą w jego stronę.

Racjonalna część umysłu Deke'a wciąż jeszcze próbowała się łudzić, że to wszystko tylko złudzenie, rezultat zbyt długiego wsłuchiwania się w nieprawdopodobne informacje i jeszcze bardziej nieprawdopodobne plotki docierające z północnego Maine. Może to całkiem zwyczajny gość, który wpadł po papierosy, sześciopak piwa, butelkę whisky albo pismo z rozbranymi panienkami, albo po wszystko naraz, żeby jakoś przeżyć długi słotny wieczór w jakimś nędznym motelu w okolicy Ware lub Belchertown?

Nadzieja prysła, kiedy Deke zobaczył jego oczy.

Z pewnością nie były to oczy szaleńca, który wymordował rodzinę, a teraz wybrał się w dziką podróż donikąd. A szkoda. Tych oczu nie wypełniała pustka, tylko tysiące, miliony myśli pędzących obłąkańczo we wszystkich kierunkach. Nie mieściły się tam — i trudno się było temu dziwić — więc próbowały się wyrwać z ciasnego więzienia. Równocześnie były to najbardziej głodne oczy, jakie Deke McCaskell widział w życiu.

— Nieczynne — wychrypiał zupełnie obcym głosem. — Mój wspólnik i ja, on jest na zapleczu, postanowiliśmy dzisiaj nie otwierać. Przez to wszystko, co się dzieje na północy. Tyle że zapomniałem, to znaczy zapomnieliśmy, odwrócić wywieszkę w drzwiach. Zaraz...

Mógłby tak gadać godzinami, a nawet dniami, ale człowiek w myśliwskiej kamizelce chyba nie miał aż tyle czasu.

— Bekon. Gdzie jest?

Deke zrozumiał z całkowitą, wręcz paraliżującą pewnością, że gdyby nie miał bekonu, ten człowiek natychmiast by go zabił. To znaczy i tak mógł go zabić, ale bez bekonu na pewno by to uczynił. Na szczęście miał bekon. Dzięki Bogu, dzięki Tylnowłazowi, dzięki wszystko jedno komu, miał bekon.

— W ladzie chłodniczej w głębi — powiedział swoim zupełnie nowym głosem.

Jego własna ręka leżąca na otwartym czasopiśmie była zimna i obca jak bryła lodu, w głowie kłębiły mu się dziwne szepczące myśli, a także czerwone i czarne myśli. Głodne myśli.

Co to jest lada chłodnicza? — zapytał nieludzki głos. *Wejdz głębiej, przystojniaczku,* odpowiedział inny, bardzo zmęczony i bardzo ludzki. *Na pewno ją zauważysz.*

Słyszę głosy, pomyślał Deke. Boże, tylko nie to. Ludzie najpierw słyszą głosy, a potem im całkiem palma odbija.

Mocno utykając, mężczyzna ruszył przed siebie główną alejką. Tuż przy kasie stał telefon. Deke spojrzął na niego, po czym odwrócił wzrok. Aparat był w zasięgu jego ręki, pod jednym z przycisków szybkiego wybierania miał zaprogramowany numer policji, ale równie dobrze mógłby być na księżycu. Nawet gdyby zebrał w sobie tyle sił, żeby po niego sięgnąć, to...

Będę o tym wiedział, ostrzegł go nieludzki głos, i Deke jęknął z przerażeniem. Miał takie wrażenie, jakby ktoś zainstalował mu radio w mózgu.

Nad drzwiami wisiało duże wypukłe lustro, szczególnie przydatne latem, kiedy w sklepie roiło się od dzieciaków jadących z rodzicami nad odległy zaledwie o trzydzieści kilometrów zbiornik. Te małe dranie zawsze próbowały coś zwinąć, szczególnie słodycze i pisemka z panienkami. Teraz Deke obserwował w lustrze, jak przybysz zbliża się do lady chłodniczej, zatrzymuje się, zagląda do środka, a potem zgarnia nie jedno, lecz wszystkie cztery opakowania.

Po chwili, wciąż utykając i przyglądając się wystawionym na półkach towarom, ruszył z powrotem. Wyglądał na bardzo niebezpiecznego, głodnego... i zarazem potwornie zmęczonego, jak maratończyk na ostatnim kilometrze biegu. Kiedy Deke patrzył na niego, kręciło mu się w głowie tak samo jak wtedy, gdy spoglądał w dół z dużej wysokości. Miał wrażenie, że widzi przed sobą nie jedną, lecz kilka osób, nakładających się na siebie, falujących i przenikających się nawzajem.

Skojarzyło mu się to z filmem, który kiedyś oglądał — o jakimś gamoniowatym gościu obdarzonym setką osobowości.

Mężczyzna wziął jeszcze słoik majonezu i bochenek chleba, a potem był już z powrotem przy kasie. Otaczała go aura zmęczenia i szaleństwa.

— Kanapki z bekonem i majonezem — oznajmił, stawiając sprawunki na ladzie. — Takie są najlepsze.

A następnie uśmiechnął się z takim bezbrzeżnym, rozdzierającym smutkiem, że Deke na chwilę zapomniał o strachu. Odruchowo wyciągnął rękę.

— Dobrze się pan czu...

Nie dokończył, jego ręka zatrzymała się w powietrzu, jakby natrafiła na ścianę, przez sekundę lub dwie trwała bez ruchu, a potem płask! przywarła do jego twarzy. Niemal natychmiast odsunęła się na kilka centymetrów z rozczapierzonymi palcami, a potem, wciąż bez udziału Deke'a, kciuk, palec serdeczny i mały zaczęły się powoli zginać, pozostawiając wyprostowane wskazujący i środkowy.

Nie zabijaj go!

No to wyjdź i spróbuj mnie powstrzymać!

Uważaj, bo może cię spotkać przykra niespodzianka!

A wszystko to w jego głowie.

Ręka zbliżyła się powoli, dwa wyprostowane palce zatkały nozdrza, przez chwilę trwały w bezruchu, a potem, o mój Boże, rozpoczęły wędrówkę w górę. Początkowo szło im nie najlepiej, ponieważ jednak wśród wielu wad i złych przyzwyczajzeń Deke'a McCaskella nie było obgryzania paznokci, wkrótce popłynęła krew i wędrówka stała się znacznie łatwiejsza. Palce wiły się jak dżdżownice, brudne paznokcie szarpały jak szpony, posuwały się coraz dalej, coraz bliżej mózgu... Deke słyszał trzask pękających chrząstek, czuł...

Szary, przestań! Przestań!!!

Nagle Deke odzyskał kontrolę nad swoją ręką, cofnął ją gwałtownie, rozległo się wilgotne mlaśnięcie, krew chlusnęła na ladę, na talerzyk na monety z reklamą Skoal, na nagą dziewczynę w okularach, której szczegóły anatomiczne studiował w chwili, gdy zjawił się ten potwór.

— Ile płacę, Deke?

— Nic! — Wciąż to chrapliwe krakanie, tyle że teraz było to nosowe chrapliwe krakanie. — Bierz to i znikaj! Idź stąd w cholerę!

— Nie, to niemożliwe. Przecież znajduję się w punkcie handlu detalicznego, w którym przedmioty o rzeczywistej wartości nabywa się za środki pieniężne o wartości nominalnej.

— Trzy dolary! — zaskrzeczał Deke.

Serce waliło mu młotem, mięśnie drżały, napompowane adrenaliną. Przypuszczał, że stwór rzeczywiście zbiera się do odejścia, co jeszcze pogarszało sytuację. Być tak blisko szansy na dalsze życie i równocześnie zdawać sobie sprawę, że ten szaleniec może mu je odebrać dosłownie w ostatniej chwili, na odchodnym...

Szaleniec wydobył sfatygowany skórzany portfel, otworzył go i zaczął w nim grzebać. Trwało to bez końca. Z ust kapała mu ślina. Wreszcie wyjął trzy dolarowe banknoty, położył je na ladzie, schował portfel, pogrzebał w kieszeniach monstrualnie brudnych dżinsów, wyłowił garść monet, a następnie dołożył do banknotów dwie ćwierćdolarówki i dziesięciocentówkę.

— Daję dwadzieścia procent napiwku — oznajmił z nieskrywaną dumą. — Więcej niż Jonesy. Jonesy daje tylko piętnaście. Tak jest lepiej.

— Jasne — wyszeptał Deke. Nos miał zatkany krwią.

— Życzę miłego dnia.

— Ja... To znaczy, trzymaj się.

Człowiek w pomarańczowej kamizelce stał przez jakiś czas z pochyloną głową, zastanawiając się nad właściwą odpowiedzią. Deke niemal widział, jak przerzuca fiszki w segregatorze. Najchętniej zaczęłby krzyżeć.

— Będę się trzymał najmocniej, jak potrafię. — Chwila przerwy, a potem: — Nie dzwoń do nikogo, kolego.

— Nie zadzwonię.

— Przysięgasz na Boga?

— Przysięgam.

— Ja jestem jak Bóg — poinformował go mężczyzna.

— Jasne. Skoro tak uważasz.

— Jeśli zadzwonisz, dowiem się o tym i wrócę, żeby załatwić to twoje parchate czerwone kombi.

— Nie zadzwonię!

— To dobrze.

Otworzył drzwi. Zadzźwięczał dzwonek. Wyszedł, zamknął je za sobą.

Przez kilka sekund Deke stał jak przyrośnięty do podłogi, po czym wystartował niczym sprinter, rzucił się do drzwi (po drodze zawadził udem o krawędź kontuaru; do wieczora miał się tam pojawić ogromny siniak, na razie jednak Deke niczego nie poczuł), zamknął je na oba zamki, po czym znieruchomiał przy szybie. Przed sklepem stało małe czerwone subaru, niemal równie brudne jak dżinsy niedawnego klienta. Mężczyzna jedną ręką przycisnął sprawunki do piersi, drugą otworzył drzwi i wsiadł do samochodu.

Odjedź stąd, błagał go w myślach Deke. Na litość boską, odjedź stąd i już nigdy tu nie wracaj!

Ale tamten nie odjeżdżał. Rozdarł folię, wyjął kilka kromek chleba, otworzył słoik i zaczął rozsmarowywać palcem majonez na chlebie. Co jakiś czas przerywał, żeby starannie oblizać palec. Za każdym razem przymykał oczy, odchylał głowę do tyłu, a na jego twarzy pojawiał się wyraz ekstazy. Uporawszy się ze smarowaniem, rozdarł zębami pierwsze półkilogramowe opakowanie bekonu, zwinął kilka plasterków, położył na posmarowanej majonezem kromce, przycisnął z góry drugą i wbił zęby w kanapkę jak wygłodniały wilk. Wyraz niesłychanej błogości ani na chwilę nie opuszczał jego twarzy; wyglądał niczym ktoś, kto rozkoszuje się najwspanialszą ucztą w życiu. Trzy ogromne kęsy i po kanapce zostało tylko wspomnienie. Kiedy sięgnął po następną, w głowie Deke'a McCaskella rozbłysła wypisana neonowymi literami myśl: *Taki jest nawet lepszy! Jeszcze prawie żywy! Zimny, ale prawie żywy!*

Deke cofał się powoli, z wysiłkiem, jakby brodził w głębokiej wodzie. Szarość jesiennego dnia wdarła się do sklepu, przyćmiła blask światła. Kolana ugięły się pod nim i jeszcze zanim zwałił się na brudną podłogę, szarość zamieniła się w ciemność.

21

Deke nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny, ponieważ kiedy się ocknął, cyfrowy zegar wbudowany w reklamę Budweisera wskazywał 88.88. Na podłodze leżały trzy zęby — przypuszczalnie wybił je sobie, uderzając w coś podczas upadku. Krew wokół nosa i podbródka zaschła, przybierając konsystencję gąbczastego ciasta. Spróbował się podnieść, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa, poczołgał się więc do drzwi, modląc się w duchu.

Jego modlitwy zostały wysłuchane: czerwone subaru znikło. Na mokrym śniegu zostały opakowania po czterech porcjach bekonu, prawie pusty słoik po majonezie oraz pół bochenka białego chleba. Kilka kruków — w okolicy zbiornika gniazdowało sporo par, a niektóre osobniki osiągały rekordowe rozmiary — raczyło się kromkami, nieco dalej zaś, przy wyjeździe na szosę, trzy kolejne grzebały z zapałem w mieszaninie ledwo przeżutego bekonu, chleba i majonezu. Wyglądało na to, że posiłek nie wyszedł smakoszowi na zdrowie.

Mam nadzieję, że przy okazji wyrzygałeś płuca i bebechy, ty cholerny, pieprzony...

Jednak w tej samej chwili jego własne wnętrze wykonały równie gwałtowny jak nieoczekiwany podskok połączony z półobrotem i musiał czym prędzej zasłonić sobie usta ręką. Oczami wyobraźni ujrzał przeraźliwie naturalistyczny obraz zębów wbijających się w surowe, tłuste mięso wciśnięte między posmarowane majonezem kromki, w grube plastry zwieszające się niczym język martwego konia... Zza przyciśniętej do ust ręki zaczęły się wydobywać dźwięki przypominające odgłos towarzyszący spuszczeniu wody w sedesie.

Na parking wjechał samochód — wspaniale, cudownie, tylko tego brakowało. On za chwilę obrzyga próg sklepu, a tu klienci... Chociaż, czy na pewno? To nie był ani zwyczajny samochód osobowy, ani półciężarówka, ani nawet cywilna terenówka, tylko ogromny wojskowy hummer pomalowany w zielono-czarno-brązowe łaty. Dwaj ludzie z przodu i chyba jeden z tyłu.

Wstał z najwyższym trudem, przekreślił wywieszkę w ten sposób, żeby była zwrócona na zewnątrz napisem ZAMKNIĘTE, i cofnął się o krok. Bał się, że lada chwila znowu runie na podłogę. Widzieli mnie, widzieli mnie na pewno, przemknęło mu przez głowę. Zaraz tu przyjdą i zapytają, dokąd pojechał tamten, bo oni go ścigają. Chcą go dorwać, chcą dorwać tego pieprzonego miłośnika bekonu, a ja im wszystko powiem, nawet gdybym nie chciał, bo oni potrafią mnie zmusić, a potem... potem...

Spojrzał na swoją rękę. Dwa pokryte zakrzepniętą krwią palce wciąż były zakrzywione jak szpony. Drżały, Deke jednak był gotów przysiąc, że do niego machają. Cześć oczka, jak się macie? Rozkoszujcie się pięknymi widokami, bo niedługo wpadniemy do was z wizytą.

Człowiek siedzący z tyłu hummera pochylił się do przodu i powiedział coś do kierowcy. Maszyna cofnęła się gwałtownie, jedno ogromne koło zabuksowało w kałuży wymiocin pozostawionej przez poprzedniego klienta, ciężki pojazd wytoczył się na szosę, przystanął na sekundę lub dwie, a następnie skręcił w kierunku Ware i zbiornika.

Kiedy znikł za pierwszym wzniesieniem, Deke McCaskell rozplakał się, odwrócił i chwiejnym krokiem ruszył z powrotem za ladę. Po drodze rzucił okiem na leżące na podłodze zęby. Trzy zęby. Jego zęby. I tak wykpił się tanim kosztem. Zaraz potem stanął jak wryty, wpatrując się w leżące przy kasie pieniądze. Banknoty i monety pokrywała cienka warstwa czegoś bardzo podobnego do złocistoczerwonej pleśni.

22

— Eee uaaaaj! Eeeeeé aaaeeej!

Owen z każdą chwilą coraz lepiej rozumiał Dudditsa.

W gruncie rzeczy nie było to wcale takie trudne, po prostu kwestia przyzwyczajenia. Nie tutaj! Jedź dalej!

— Widzisz? — zapytał Henry. — Tam!

Na ziemi leżały resztki opakowań i słoik po majonezie. Owen cofnął samochód, wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu. Padało coraz bardziej. Jak tylko hummer znalazł się z powrotem na szosie numer 32, Duddits opadł na tylne siedzenie i znowu zaczął kasłać. Krople deszczu rozbijające się o przednią szybę były ogromne, niemal tłuste; taki deszcz zazwyczaj szybko zmieniał się w marznący deszcz ze śniegiem, a potem w śnieg. Niemal kompletnie

wyczerpany i dziwnie smutny z powodu tak szybkiej utraty telepatycznych umiejętności, Owen doszedł do wniosku, że paskudnie jest umierać w taki brzydki dzień.

— Jaką ma przewagę?

Było to pytanie zastępcze, prawdziwe natomiast — to, którego nie odważył się zadać, a które było najważniejsze — brzmiało: Czy już za późno? Miał nadzieję, że Henry powie mu prawdę.

— Jest tam — odparł Henry obojętnym tonem.

Odwrócił się i wycierał Dudditsowi twarz wilgotną ściereczką. Duddits spoglądał na niego z wdzięcznością i próbował się uśmiechnąć. Po popielatych policzkach spływały mu krople potu, ciemne plamy wokół oczu jeszcze się powiększyły.

— Skoro on jest tam, to po cholere przyjeżdżaliśmy tutaj?

Owen rozpedził hummera do stu dziesięciu na godzinę.

Było to znacznie więcej, niż nakazywał rozsądek, ale teraz naprawdę nie mieli już wyboru.

— Bałem się, żeby Duddits nie zgubił linii — odparł Henry.

— Gdyby to się zdarzyło...

Duddits jęknął rozdzierająco, chwycił się obiema rękami za żołądek i zgiął się wpół. Henry, wciąż klęcząc na przednim fotelu i odwrócony tyłem do kierunku jazdy, delikatnie głaskał go po karku.

— Spokojnie, Duddits. Wszystko w porządku.

Ale nie było w porządku. Wiedział o tym Owen, a także Henry. Rozpalonego gorączką, potwornie obolałego (mimo podwójnej dawki silnych leków przeciwbólowych), odkasłującego krwią Dudditsa Cavella całe lata świetlne dzieliły od stanu, który można by określić słowami „w porządku”. Jediną pociechę stanowił fakt, że taka sama odległość dzieliła od tego stanu kombinację Jonesy–Szary.

Chodziło o bekon. Liczyli na to, że uda im się zatrzymać Szarego na kilka minut, nikt jednak nie przypuszczał, jak brzemienny w skutki okaże się ten postój. Wycieńczony organizm Jonesy’ego najzwyczajniej w świecie nie sprostał obżarstwu: Szary zwymiotował jeszcze na parkingu przed sklepikiem, a potem musiał dwa razy zjeżdżać na pobocze, żeby wychylić się przez okno i zrzucić balast w postaci niestrawionego bekonu z chlebem i majonezem.

Potem zaczęła się biegunka. Szary zatrzymał się przy stacji benzynowej na południowy wschód od Ware i z trudem zdążył do toalety. Kiedy stamtąd wyszedł, umieszczony na zewnątrz napis TANIE PALIWO, CZYSTE TOALETY był już w połowie nieaktualny. Szary nikogo jednak nie zamordował, co Henry uznał za spory postęp.

Zanim wreszcie skręcił w drogę dojazdową do Zbiornika Quabbin, Szary musiał zatrzymać się jeszcze dwa razy, by pod ociekającymi lodowatą wodą gałęziami opróżnić jelita Jonesy’ego. Deszcz zamienił się z powrotem w śnieg, organizm Jonesy’ego gonił już ostatkiem sił i Henry liczył choćby na chwilowe omdlenie. Na razie jednak nic takiego nie nastąpiło.

Szary potwornie się wściekł na Jonesy’ego, wymyślał mu niemal bez przerwy, szczególnie po dwóch wymuszonych wycieczkach do lasu. To wszystko była wina Jonesy’ego, który zastawił na niego pułapkę. Zdawał się nie pamiętać o własnym głodzie i chciwości, z jaką wchłaniał kanapki, przerywając obżarstwo tylko po to, by zlizać tłuszcz z palców. Henry wielokrotnie miewał do czynienia z identycznym, selektywnym doбором faktów. Taką metodę stosowało wielu jego pacjentów. Pod pewnymi względami Szary był podobny do Barry’ego Newmana.

Jak bardzo on już przypomina człowieka! — zdziwił się w duchu.

— Czy mogę wiedzieć, co rozumiesz przez „tam”?

— Nie wiem. Znowu straciłem z nim kontakt. Duddits, słyszysz Jonesy’ego?

Duddits spojrzał na niego zmęczonymi oczami, po czym pokręcił głową.

— Aaay aaaplaaaau aaam aaalty.

Szary zabrał nam karty. Dudditsowi brakowało słów, żeby opisać to, co się stało, lecz Henry potrafił wszystko wyczytać w jego umyśle. Szary nie zdołał wdrzeć się do forticy Jonesy'ego i odebrać im kart, lecz usunął z nich wszystkie oznaczenia.

— Jak się czujesz? — zapytał Owen, patrząc w lusterko wsteczne.

— Oooopsze — odparł Duddits, drżąc jak w febrze.

Na kolanach miał żółte pudełko i brązową torbę z lekarstwami... a także tym dziwnym, przypominającym pajęczynę przedmiotem. Dosłownie tonął w ciepłym pikowanym płaszczu, a mimo to trząsał się jak galareta.

Niewiele już mu zostało, pomyślał Owen, kiedy Henry ponownie ocierał twarz przyjaciela.

Hummer wpadł w poślizg, przez chwilę balansował na krawędzi nieszczęścia — przypuszczalnie żaden z nich nie przeżyłby wypadku przy tej prędkości, a nawet gdyby komuś się udało, to i tak oznaczałoby to koniec szans na powstrzymanie Szarego — ale koła jakimś cudem odzyskały przyczepność.

Owen poczuł, że jego wzrok znowu wędruje ku brązowej papierowej torbie i ukrytemu w niej, podobnemu do pajęczyny przedmiotowi. *Beaver mi go przysłał. W zeszłym tygodniu na Gwiazdkę.*

Próby porozumiewania się za pomocą telepatii przypominały obecnie wysyłanie wiadomości w butelkach na drugi brzeg oceanu, Owen jednak zaryzykował. Jak to się nazywa, synu? — zapytał, starając się na miarę swoich skromnych, praktycznie niemal zerowych możliwości, skierować tę myśl w stronę Dudditsa.

Zupełnie niespodziewanie ukazało mu się obszerne wnętrze: połączenie salonu z kuchnią i jadalnią. Żółte ściany z sosnowych bali, indiański dywan na podłodze, na ścianie tkany obraz przedstawiający indiańskich wojowników otaczających szarą postać — archetypowego Obcego z setek takich komiksów. Do tego kamienny kominek i dębowy stół. Uwagę Owena przykuł jednak (musiało tak być, ponieważ znajdował się w centrum przysłanego przez Dudditsa obrazu) ażurowy przedmiot, przypominający abażur, który zwieszał się z jednej z sufitowych belek, wielokrotnie większa kopia tego z torby Dudditsa, pyszniący się soczystymi barwami i obracający się z wolna. Oczy Owena zaszyły łzami. To był najpiękniejszy pokój na świecie. Uważał tak, ponieważ tak właśnie myślał Duddits, Duddits zaś myślał tak dlatego, że jego przyjaciele kochali to miejsce, a on kochał ich.

— Łowca snów — powiedział umierający na tylnym siedzeniu człowiek. Głośno i wyraźnie, bez żadnych zniekształceń.

Owen skinął głową. Łowca snów, oczywiście.

To ty, wysłał, podejrzewając, że Henry słyszy ich rozmowę, ale niewiele go to obchodziło. I tak mógł go zrozumieć tylko Duddits, nikt inny. Ty jesteś ich łowcą snów, prawda? Jesteś nim i zawsze byłeś.

Duddits uśmiechnął się w lusterku.

23

Minęli tablicę z napisem ZBIORNIK QUABBIN 13 KM POLA BIWAKOWE ZAKAZ POŁOWU RYB WSTĘP NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ. Było tego więcej, ale przy ponad stu dwudziestu kilometrach na godzinę Henry nie miał szans, żeby wszystko przeczytać.

— Może wysiądzie i pójdzie na piechotę? — zastanawiał się głośno Owen.

— Nie licz na to — odparł Henry. — Będzie jechał, dopóki da radę. Może gdzieś utknie, to nawet całkiem prawdopodobne. Jest osłabiony, więc nie będzie mógł się szybko poruszać na piechotę.

— A ty, Henry? Dasz radę szybko iść?

Musiał samokrytycznie przyznać, że pytanie Owena nie było pozbawione podstaw.

— Zrobię, co będę mógł, oczywiście jeśli jeszcze będzie po co. Poza tym jest Duddits. Raczej nie nadaje się do forsownego marszu.

Do żadnego marszu, poprawił się w myślach.

— A Kurtz, Freddy i Perlmutter? Gdzie są teraz?

Henry spróbował się skoncentrować. Perlmuttera odbierał całkiem wyraźnie, bez trudu mógł też dotknąć pożerającego go od wewnątrz kanibala. Bardzo przypominał Szarego, tyle że żył w świecie składającym się z bekonu. Bekonem tym był Archibald Perlmutter, niegdyś kapitan Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Henry nie chciał tam zaglądać. Zbyt dużo bólu, zbyt wielki głód.

— Dwadzieścia pięć kilometrów za nami, może nawet tylko dwadzieścia — oznajmił wreszcie. — Ale to nie ma znaczenia, i tak nas nie dogonią. Problem polega na tym, czy my zdołamy dogonić Szarego. Będziemy potrzebowali sporo szczęścia albo pomocy.

— A jeśli go dogonimy? Czy zostaniemy bohaterami?

Henry uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Będziemy musieli spróbować.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

SZYB 12

1

Szaremu udało się przejechać prawie pięć kilometrów po błotnistej, wyboistej i pokrytej dziesięciocentymetrową warstwą świeżego śniegu East Street, zanim utknął w wyłomie spowodowanym przez spływającą ze wzgórz wodę, która z powodu zatkania przepływu nie mogła przedostać się pod drogą. Do tej pory subaru sprawowało się nadzwyczaj dzielnie, pokonując przeszkody, o jakich się chyba nie śniło jego konstruktorom (przy okazji straciło tłumik razem z większą częścią rury wydechowej), tym razem jednak przód samochodu wpadł w głęboką wyrwę, tylne koła uniosły się w powietrze, a pozbawiony tłumika silnik zaryczał przeraźliwie, i to był koniec. Jonesy'ego szarpnęło w przód, pas się zablokował, nagły ucisk na żołądek sprawił, że Jonesy zwymiotował śluzem na kierownicę i deskę rozdzielczą. Niewiele brakowało, żeby stracił przytomność. Szary walczył zaciekle, obawiał się bowiem, że jeśli choć na chwilę straci kontrolę nad tym ciałem, Jonesy zdoła odzyskać nad nim władzę.

Pies skamlał żałośnie. Miał zamknięte oczy, tylne łapy podrygiwały spazmatycznie w powietrzu, skóra na rozdętym do granic wytrzymałości brzuchu zaczynała pękać. Jego czas nadchodził i to szybko.

Świat stopniowo zaczął odzyskiwać barwy. Szary odetchnął głęboko kilka razy, zmuszając to umęczone, nieszczęsne ciało do zachowania czegoś w rodzaju spokoju. Ile jeszcze zostało? Chyba niewiele, wyglądało jednak na to, że będzie musiał iść dalej pieszo. Jakoś sobie poradzi, ale co z psem? Pies powinien, ba, musiał spać, o żadnym chodzeniu nie mogło być mowy!

Ponownie sięgnął do ośrodka snu w słabo rozwiniętym mózgu zwierzęcia. We własnym mózgu wyraźnie czuł obecność Jonesy'ego, co prawda unieruchomionego i odciętego od świata, niemniej gotowego w każdej chwili ruszyć do akcji, by uniemożliwić mu wykonanie zadania. Niewiarygodne, ale w innej, jeszcze głębszej części umysłu wciąż był potwornie głodny, wciąż pożywał bekonu i tego wszystkiego, co niedawno tak bardzo mu zaszkodziło.

Śpij, mały przyjacielu. To do psa oraz do byrum. Obaj go posłuchali: Facio ucichł, łapy przestały drżeć, zmarszczki na napiętej skórze rozchodziły się coraz wolniej, aż wreszcie całkiem znikły. Spokój nie potrwa długo, ale tymczasem wszystko było w porządku. Na tyle, na ile to możliwe.

Podaj się, Dorotko.

— Zamknij się! — wrzasnął Szary. — Całuj mnie w złamasa!

Wrzucił wsteczny bieg i wcisnął pedał gazu. Silnik zaryczał przeraźliwie, z pobliskich drzew zerwały się przerażone ptaki, lecz samochód ani drgnął. Przednie koła tkwiły w rowie, tylne bezradnie obracały się w powietrzu.

— Kurwa mać! — ryknął Szary i grzmotnął pięścią Jonesy'ego w kierownicę. — Święty Jezu na bananie! A niech mnie Freddy przeleci!

Usiłował sprawdzić, gdzie jest pościg, ale wyczuwał ich niewyraźnie, jak przez mgłę. Dwie grupy, w tej bliższej był Duddits. Szary bał się Dudditsa, wiedział, że właśnie przez niego jego zadanie stało się tak potwornie, wręcz absurdalnie trudne. Jeśli uda mu się utrzymać z dala od Dudditsa, wszystko skończy się pomyślnie. Oczywiście dobrze byłoby wiedzieć, gdzie dokładnie jest w tej chwili Duddits, ale wszyscy go blokowali: właśnie Duddits, Jonesy, Henry. We trzech stworzyli siłę, z jaką Szary nigdy się jeszcze nie zetknął. Bał się ich.

— Ale i tak zdążę — poinformował Jonesy'ego, wysiadając z samochodu. Poślizgnął się, zaklął po Beaverowemu, zatrasnął drzwi. Znowu sypał śnieg, wielkie płatki wirowały w

powietrzu jak konfetti i przylepiały mu się do policzków. Szary wygramolił się z rowu, przez chwilę przyglądał się częściowo odsłoniętemu podwoziu samochodu z urwaną rurą wydechową (nawet w tej sytuacji nie mógł wyzbyć się zupełnie bezużytecznej i potencjalnie niebezpiecznej ciekawości), obszedł samochód dookoła i otworzył drzwi po stronie pasażera. — Twój zakichany przyjaciele nie zdołają mnie powstrzymać.

Jonesy nie odpowiedział, lecz Szary wciąż wyraźnie czuł jego obecność. Mała, dokuczliwa oś ciągle tkwiła mu w gardle. Mniejsza o niego. Niech go szlag trafi. Prawdziwy problem był z psem, byrum lada chwila mógł wydostać się na zewnątrz. Jak przetransportować psa?

Szybko do archiwum Jonesy'ego. Nic... ciągle nic... a potem obrazek z podręcznika religii, z którego Jonesy uczył się w dzieciństwie o „Bogu” i jego „umiłowanym Synu” będącym w rzeczywistości byrumem, twórcą kolonii byrusa określanej w umyśle Jonesy'ego dwiema nazwami: „chrześcijaństwo” i „bzdury”. Obrazek był bardzo wyraźny, przedstawiał „Syna Bożego” niosącego jagnię, a właściwie prawie w nie ubranego. Przewiesił je sobie przez kark i trzymał za przednie i tylne nogi.

Doskonały pomysł.

Szary wyciągnął z samochodu śpiącego psa i ułożył go sobie na karku. Był ciężki — albo mięśnie Jonesy'ego tak bardzo osłabły — toteż zanosilo się na trudną wędrówkę, lecz Szary wiedział, że musi dotrzeć do celu. Ruszył drogą w gęstniejącym śniegu, z psem zarzuconym na ramiona niczym etola.

2

Szybko rosąca warstwa świeżego śniegu była bardzo śliska, więc gdy tylko skręcili w drogę numer 32, Freddy musiał zwolnić do sześćdziesięciu na godzinę. Kurtzowi chciało się wyc z wściekłości. Co gorsza, Perlmutter zapadał w coś w rodzaju śpiączki — akurat wtedy, niech go szlag trafi, kiedy znowu zaczął odbierać tego, za kim gonili Owen i jego nowi przyjaciele, czyli niejakiego Szarego.

— Jest zbyt zajęty, żeby się ukrywać... — Pearly mówił powoli i niezbyt wyraźnie, jak ktoś, kto właśnie osuwa się w objęcia snu. — Boi się... Boi się Jonesy'ego... Henry'ego... Dudditsa. I ma rację. Oni zabili Richiego.

— Kto to jest Richie?

Kurtza guzik to obchodziło, chciał jednak utrzymać Perlmuttera w stanie przynajmniej częściowej przytomności. Podejrzywał, że już niedługo przestanie go potrzebować, na razie jednak Pearly był mu niezbędny.

— Nie wiem...

Zaraz potem rozległo się chrapanie. Hummer wpadł w poślizg, przez chwilę sunął ustawiony niemal w poprzek drogi, Freddy jednak zdołał jakoś nad nim zapanować. Kurtz nawet tego nie zauważył. Pochylił się do przodu i mocno uderzył Pearly'ego w twarz. Właśnie mijali sklep z wywieszką NAJLEPSZE PRZYNETY, DLA RYBY ZACHĘTY!

— Aaaaaa! — jęknął Perlmutter i otworzył oczy. Białka były niemal żółte. Kurtz przejął się tym tak samo jak informacją o Richiem. — Szefie, nieeee...

— Gdzie są teraz?

— Woda... — Głos Perlmuttera był niewiele donośniejszy od szeptu, a jego brzuch przypominał drgającą górę. — Wodaaaa...

Znowu zamknął oczy. Kurtz ponownie uniósł rękę.

— Niech śpi — odezwał się niespodziewanie Freddy.

Kurtz spojrział na niego.

— Pewnie chodzi mu o zbiornik, a skoro wiemy już tyle, to go nie potrzebujemy. — Wskazał przez przednią szybę na doskonale widoczne w świeżym śniegu ślady kół. Było ich

niewiele. Najwyżej dwie pary. — Na tej drodze jesteśmy teraz tylko my i oni, szefie. Tylko my i oni.

— Chwała Bogu. — Kurtz usiadł, spojrzął na leżący obok niego pistolet, schował go do kabury. — Powiedz mi coś, Freddy.

— Tak, szefie?

— Co myślisz o Meksyku, kiedy już się to wszystko skończy?

— Dobry pomysł, szefie. Musimy tylko pamiętać, żeby nie pić wody.

Kurtz roześmiał się i poklepał go po ramieniu. Siedzący na fotelu pasażera Archie Perlmutter zapadł w śpiączkę. W jego wnętrznościach, w mroku wypełnionym pożywnymi resztkami pokarmów i martwymi, niepotrzebnymi komórkami, coś po raz pierwszy otworzyło oczy.

3

Wjazd na rozległy teren otaczający Zbiornik Quabbin wyznaczały dwa kamienne słupy. Zaraz za nimi kończyła się szosa, zaczynała natomiast leśna droga z częściowo zarośniętymi koleinami. Henry odniósł wrażenie, jakby po zatoczeniu szerokiego kręgu wrócił do punktu wyjścia: znajdował się nie w Massachusetts, lecz w Maine, a przed sobą miał znowu Deep Cut Road. Skierował nawet wzrok ku ołowianemu niebu, poszukując ruchomych kolorowych świateł; zamiast nich dostrzegł lądującego właśnie na sosnowej gałęzi orła. Duddits oderwał czoło od zimnej szyby i powiedział:

— Aaaaay eaaas iiee.

Serce Henry'ego zabiło gwałtownie.

— Owen, słyszałeś?

— Słyszałem. — Owen wcisnął pedał gazu. Mokry śnieg był równie zdradziecki jak lód, ale widać w nim było wyraźne, świeże ślady. Ślady jednego samochodu.

My też zostawiamy ślady, pomyślał Henry. Kiedy Kurtz tu dotrze, nie będzie potrzebował telepatii.

Duddits jęknął, przycisnął ręce do brzucha, zadrżał.

— Eeeeny, Duddits oooy. Aaaaco oooy.

Henry przesunął ręką po jego czole. Było suche i bardzo gorące. Co będzie potem? Pewnie drgawki. Duddits był już tak osłabiony, że pierwszy atak mógł się okazać ostatnim — i kto wie, czy tak nie byłoby najlepiej. Okropne myśli. Proszę bardzo, Henry Devlin, potencjalny samobójca... a tymczasem ciemność zabierała kolejno jego przyjaciół.

— Trzymaj się, Duds. Już prawie po wszystkim.

W głębi duszy wiedział jednak, że najtrudniejsze dopiero przed nimi. Duddits ponownie otworzył oczy.

— Aaay uuunooł.

— Że co? — spytał Owen. — Tego nie zrozumiałem.

— Szary utknął — przetłumaczył Henry, nadal głaszcząc Dudditsa po głowie.

Pamiętał doskonale, jak kiedyś głaskał go po delikatnych jasnych włosach. Jego płacz wbijał im się w serca jak sztylet, ale kiedy się śmiał, byli najszczęśliwymi ludźmi na świecie.

Kiedy słyszałeś śmiech Dudditsa Cavella, znowu zaczynałeś wierzyć we wszystkie stare kłamstwa: że życie jest dobre, że ma sens, że oprócz mroku istnieje też światło.

— Dlaczego on po prostu nie wrzuci tego cholernego psa do wody? — Głos Owena był schrypnięty ze zmęczenia. — Dlaczego taszczy go aż do szybu? Czy to ma jakiś związek z tym, co zrobiła ta Rosjanka?

— Przypuszczam, że po prostu chce mieć stuprocentową pewność. Wieża ciśnień byłaby doskonała, ale wodociąg jest jeszcze lepszy. To jakby przewód pokarmowy stukilometrowej długości, a Szyb 12 to gardło. Dogonimy go, Duddits?

Duddits przez jakiś czas wpatrywał się w niego podkrążonymi oczami, a następnie pokręcił głową. Owen rąbnął się pięścią w udo. Duddits zwilżył usta językiem, po czym wypowiedział schrypniętym szeptem dwa słowa. Owen usłyszał je, lecz ich nie zrozumiał.

— Co on mówi?

— Tylko Jonesy.

— Co to znaczy? Co „tylko Jonesy”?

— Przypuszczam, że tylko Jonesy może powstrzymać Szarego.

Samochodem szarpnęło, Henry złapał się fotela, na jego ręce zacisnęły się lodowate palce. Duddits wpatrywał się w niego z rozpaczliwym natężeniem. Usiłował coś powiedzieć, lecz uniemożliwił mu to okropny atak kaszlu; krew, która wypryskiwała z ust wraz ze śliną, była znacznie jaśniejsza niż do tej pory, niemal pomarańczowa. Henry przypuszczał, że pochodzi z płuc. Mimo to uścisk ręki Dudditsa nie zelżał.

— Pomyśl to do mnie, Duddits. Możesz to do mnie pomyśleć?

Przez chwilę nic się nie działo, a potem znikł nie tylko Duddits, lecz również utrzymane w różnych odcieniach khaki wnętrze hummera, razem ze słabą, lecz wyraźnie wyczuwalną wonią potajemnie wypalanych papierosów. Henry ujrzał przed sobą automat telefoniczny starego typu, z oddzielnymi otworami na pięć-, dziesięć- i dwudziestopięciocentówki. Otoczył go gwar męskich znajomków, apetyczne (albo nie, zależnie od tego, czy miało się pusty, czy pełny żołądek) zapachy... Uświadomił sobie, że to automat ze sklepu Gosselina, ten sam, z którego telefonowali do Dudditsa po śmierci Richiego Grenadeau. To znaczy Jonesy telefonował, oni zaś zgromadzili się wokół niego, w kurtkach, ponieważ w sklepie było przeraźliwie zimno. Stary Gosselin był tak skąpy, że oszczędzał nawet na drewnie do pieca, choć przecież mieszkał w środku lasu. Nad telefonem wiszą dwie tabliczki. Napis na pierwszej głosi PROSZĘ OGRANICZAĆ ROZMOWĘ DO 5 MIN., na drugiej zaś...

Huk, trzask, łomot. Dudditsa rzuciło na oparcie przedniego fotela, Henry poleciał na tablicę rozdzielczą, ich ręce się rozłączyły. Hummer znieruchomiał w rowie.

— Henry, nic ci nie jest?

— Nic. W porządku, Duds?

Duddits skinął głową, ale policzek, którym uderzył w oparcie, siniał w zastraszającym tempie. Białaczką zapewni ci to o każdej porze dnia i nocy.

Owen wrzucił wsteczny bieg i hummer powoli wyjechał z rowu, mimo że tkwił w nim pod kątem co najmniej trzydziestu stopni.

— Zapnij pas. Jemu też, oczywiście.

— Właśnie chciał mi powiedzieć...

— Gównu mnie obchodzi, co ci chciał powiedzieć. Tym razem nic się nie stało, następnym możemy przekoziółkować. Zapnijcie pasy.

Henry zrobił to, usiłując sobie przypomnieć treść drugiej tabliczki wiszącej nad automatem telefonicznym. Co tam było? Coś o Jonesym. Teraz już tylko Jonesy może powstrzymać Szarego — tak głosiło najnowsze wydanie Ewangelii według Dudditsa.

Co było na tej tabliczce?

4

Owen musiał zwolnić do trzydziestu kilometrów na godzinę. Szlag go trafiał, że wlecze się z taką prędkością, ale śnieg sypał tak gęsto, że widoczność spadła niemal do zera.

Zanim ślady kół całkiem znikły, dotarli do subaru tkwiącego w rowie, wyłobionym najprawdopodobniej przez płynącą w poprzek drogi wodę. Drzwi po stronie pasażera były otwarte, a tylne koła wisiały w powietrzu.

Owen zaciągnął ręczny hamulec, wyjął z kabury pistolet i otworzył drzwi.

— Nie ruszajcie się stąd — polecił, a następnie wysiadł i nisko się pochylając, podbiegł do subaru.

Henry rozpiął pas i odwrócił się do Dudditsa, który ciężko dyszał, przytrzymywany w pozycji siedzącej jedynie przez pas bezpieczeństwa. Jeden policzek był woskowożółty, drugi sinoczerwony po niedawnym uderzeniu o fotel. Z nosa, mimo wacików, kapłała krew.

— Tak mi przykro, Duds... — wyszeptał Henry. — Wszystko się popieprzyło.

Duddits skinął głową, po czym uniósł ręce. Zdołał utrzymać je w górze tylko przez kilka sekund, lecz Henry i tak zrozumiał znaczenie tego gestu. Wysiadł z samochodu w tej samej chwili, kiedy Owen wrócił z pistoletem wetkniętym za pasek spodni. Śnieg padał obficie, a płatki były tak duże, że aż utrudniały oddychanie.

— Mówiłem chyba, żebyście się nie ruszali?

— Przesiadam się tylko do tyłu, obok niego.

— Dlaczego?

— Ponieważ on umiera — odparł Henry zupełnie spokojnie, choć nieco drżącym głosem.

— Duddits umiera, ale zdaje się, że chce mi jeszcze coś powiedzieć.

5

Owen spojrzął w lusterko wsteczne, upewnił się, że objęci ciasno Henry i Duddits mają zapięte pasy, po czym zatrzasnął własny.

— Trzymaj go mocno. Porządnie nami szarpnie.

Cofnął samochód o jakieś trzydzieści metrów, wrzucił bieg i skierował hummera nieco bardziej w prawo, gdzie rów wydawał się odrobinę węższy. Rzeczywiście, szarpnęło. Owenowi mignęła w lusterku łysa głowa Dudditsa uderzająca w pierś Henry'ego, a ułamek sekundy później byli już po drugiej stronie przełomu i pełzli dalej niemal całkiem już przysypaną śniegiem East Street. Ledwo widoczne wgłębienia w białym puchu stanowiły jedyny ślad, jaki pozostał po butach Jonesy'ego. Szary szedł na piechotę, oni wciąż jechali samochodem. Gdyby dopadli go, zanim skręci w las...

Nie dopadli.

6

Kiedy, okupując to ogromnym wysiłkiem, Duddits uniósł głowę, Henry z przerażeniem dostrzegł, że krew pojawiła się również w oczach przyjaciela.

Stukot kamieni o planszę, rechot starych mężczyzn. Znowu widoczny stał się automat telefoniczny i wiszące nad nim dwie tabliczki.

— Nie, Duddits... — wyszeptał Henry. — Nie rób tego. Oszczędzaj siły.

Ale po co? W jakim celu miałyby je oszczędzać?

Tabliczka po lewej stronie: PROSZĘ OGRANICZAĆ ROZMOWĘ DO 5 MIN. Woń tytoniu, dymu, marynat. Tuż obok — przyjaciele.

I tabliczka po prawej: ZADZWOŃ DO JONESY'EGO.

— Duddits... — Jego własne słowa gdzieś w ciemności. W ciemności, jego dobrej przyjaciółce. — Ale ja nie wiem, jak...

Po raz ostatni usłyszał głos Dudditsa, bardzo zmęczony, ale spokojny: *Pośpiesz się, Henry. Nie wytrzymam długo. Musisz z nim porozmawiać.*

Henry bierze słuchawkę do ręki, przez głowę przemyka mu absurdalna myśl (ale chyba nie mniej absurdalna niż cała ta sytuacja), że nie ma drobnych, nawet głupich dziesięciu centów. Mimo to przykłada słuchawkę do ucha.

Rozlega się uprzejmie obojętny głos Roberty Cavell:

— Tu centrala Głównego Szpitala Stanowego w Massachusetts, z kim pana połączyć?

7

Szary gnał ciało Jonesy'ego ścieżką wiodącą pod górę wzdłuż wschodniego brzegu zbiornika, od miejsca, w którym kończyła się East Street. Potykał się, ślizgał, przewracał, chwycił się gałęzi i kamieni, wstawał, znowu się przewracał, i tak bez przerwy. Jonesy miał porozbijane do krwi kolana, w jego płucach płonął żywy ogień, serce pracowało jak młot parowy, najbardziej jednak dokuczało mu biodro. Zamieniło się w ognisko przeszywającego bólu, który sięgał w dół do kolana, a w górę niemal do połowy pleców. Ciężar psa, którego dźwigał na barkach, jeszcze pogarszał sprawę. Pies wciąż spał, ale istota w jego wnętrzu już się obudziła. Tylko wola Szarego utrzymywała ją w ryzach. W pewnej chwili staw biodrowy zakleszczył się jak zepsuta dźwignia i Szary musiał niemal przez minutę łomotać pięścią Jonesy'ego, zanim mógł wykonać kolejny krok naprzód. Ile jeszcze zostało? Jak długo miała jeszcze trwać ta koszmarna wędrówka w gęstym, oślepiającym, powodującym całkowitą dezorientację śniegu? I czy Jonesy'emu uda się cokolwiek zmienić? Na razie nic na to nie wskazywało. Szary lękał się choćby na chwilę zostawić wygłodniałego, dzikiego byruma bez kontroli, więc szansę na to, żeby zbliżył się do zamkniętych drzwi i wysłuchał argumentów Jonesy'ego, równały się praktycznie zeru.

Za gęstą śnieżną kurtyną zamajaczyły kontury jakiejś budowli. Szary przystanął na sekundę, zmrużył oczy, usiłując cokolwiek dojrzeć, po czym znowu ruszył naprzód, ściskając bezwładne łapy psa i powłócząc prawą nogą Jonesy'ego.

Na drzewie wisiała tablica z napisem ŁOWIENIE RYB W OKOLICY SZYBU SUROWO WZBRONIONE. Piętnaście metrów dalej zaczynały się kamienne schodki. Sześć... nie, osiem schodków prowadziło do zbudowanego również z kamienia, niewielkiego budynku wznoszącego się nad wypełnioną miliardami płatków śniegu otchłanią, na której dnie rozciągała się tafla Zbiornika Quabbin. Mimo rozbrzmiewającego mu w uszach łomotu krwi, Jonesy wyraźnie słyszał chlupot fal rozbijających się o kamienisty brzeg.

Dotarł na miejsce.

Szary zebrał resztkę jego sił i ruszył w górę po schodkach.

8

— Zjedź na bok i zatrzymaj się — polecił Kurtz, kiedy minęli kamienne słupy przy drodze.

Freddy bez słowa wykonał rozkaz.

— Masz broń, chłopcze?

Freddy podniósł stary, dobry M-16. Kurtz skinął głową.

— A coś mniejszego?

— Magnum 44, szefie.

Kurtz miał dziewiątkę, doskonałą do roboty na krótki dystans. Chciał, żeby to była robota na krótki dystans. Chciał się przekonać na własne oczy, jakiego koloru jest mózg Owena Underhilla.

— Freddy...

— Tak, szefie?

— Chciałbym ci tylko powiedzieć, że to moja ostatnia akcja i że byłeś najlepszym partnerem, jakiego mogłem sobie wymarzyć.

Zacisnął palce na ramieniu Freddy'ego, po czym cofnął rękę. Na fotelu obok Perlmutter pochrapywał z twarzą zwróconą ku sufitowi. Kilka minut wcześniej zepsuł powietrze jak nigdy dotąd, po czym jego brzuch wrócił mniej więcej do normalnych rozmiarów. Kurtz podejrzewał, że już chyba po raz ostatni.

W oczach Freddy'ego zalśniła wdzięczność. Kurtz był z siebie zadowolony; wyglądało na to, że nie stracił całkiem swego czaru.

— W porządku, chłopcze. Cała naprzód i pal licha torpedy, zgadza się?

— Tak jest, proszę pana!

Kurtz uznał, że akurat w tej chwili to „proszę pana” jest jak najbardziej na miejscu. Ich oficjalna misja zakończyła się już przecież dawno temu. Teraz byli dwoma łowcami polującymi na własną rękę w lasach zachodniego Massachusetts.

Freddy z nieskrywaną odrazą wskazał na Perlmuttera i zapytał:

— Obudzić go, szefie? Nie wiem, czy mi się uda, ale...

— Szkoda zachodu. — Machnął ręką w przód, w kierunku białej ściany śniegu. Ten pieprzony śnieg dopadł ich znowu, ponura kostucha, która dla perfidnego żartu przebrała się na ten jeden, jedyny raz w biały strój. Ślady kół subaru już całkiem znikły, ale te pozostawione przez hummera nadal były dobrze widoczne. Z trafieniem we właściwe miejsce nie powinni mieć żadnego problemu, tylko ten czas... — Już go nie potrzebujemy. Prawdę mówiąc, bardzo się z tego cieszę. Gazu, Freddy. Gazu.

Hummer ruszył, zarzucił nieco tyłem, przedmie koła pociągnęły trochę mocniej i maszyna potoczyła się naprzód. Kurtz wyjął pistolet z kabury. *Idę po ciebie, Owen. Idę po ciebie, chłopcze. Zaczynaj już sobie układać w głowie, co powiesz swojemu Stwórcy, bo najdalej za godzinę staniesz z Nim twarzą w twarz.*

9

Gabinet, który tak pięknie sobie urządził, zaczął się stopniowo rozpadać.

Jonesy chodził nerwowo tam i z powrotem, rozglądając się dokoła. Usta zacisnął tak mocno, że została z nich tylko biała kreska. Chociaż zrobiło się bardzo zimno, czoło miał mokre od potu.

To nie była zagłada domu Usherów, lecz zagłada gabinetu Jonesy'ego. Piec centralnego ogrzewania sapał i dudnił pod podłogą, aż wszystko się trzęsło, z otworu wentylacyjnego sypał się jakiś biały proszek — lód? — opadając na podłogę, tworzył rozmazany trójkąt, deski czerniały w zetknięciu z nim i się zapadały. Ze ścian kolejno zlatywały obrazy, niczym samobójcy skaczący z okien budynków, fotel z trzaskiem rozleciał się na dwie części, jakby ktoś rozłupał go siekierą, mahoniowa boazeria złuszczała się ze ścian jak stara skóra, szuflady powypadały z biurka na podłogę. Okiennice, za pomocą których Szary odciął go od świata zewnętrznego, wyginały się i ocierały o siebie z przeraźliwym zgrzytaniem.

Wołanie Szarego, domaganie się wyjaśnień nie miało najmniejszego sensu... a poza tym Jonesy i tak wiedział wszystko. Owszem, udało mu się na jakiś czas powstrzymać Szarego, lecz ten sprostał wyzwaniu, i to jeszcze jak. Viva Szary, któremu jednak udało się dopiąć celu! Albo prawie się udało. Spod boazerii wyłaniały się odrapane, brudne ściany biura braci Tracker, takie same jak w roku 1978, kiedy czterej chłopcy tłoczyli się przy brudnej szybie, nieco z tyłu stał ich nowy przyjaciel i czekał cierpliwie, żeby zaprowadzili go do domu. Kolejny fragment boazerii odpadł z trzaskiem, odsłaniając korkową tablicę z samotnym polaroidowym zdjęciem. Fotografia nie przedstawiała żadnej Królowej Piękności, nie było na niej Tiny Jean Schlossinger, tylko jakaś nieznaną kobietą z zadartą sukienką, spod której wyłaniały się białe majtki. Idiotyzm. Piękny dywan pomarszczył się nagle i skurczył,

pokazała się zakurzona podłoga biura braci Tracker, a na niej białe nieruchome kijanki — zużyte kondomy pozostawione przez pary, które rznąły się w tym zaciszu pod obojętnym spojrzeniem kobiety z polaroidowej fotki.

Jonesy chodził coraz szybciej, nie zważając na piekący ból w biodrze — tak bardzo dokuczało mu tylko bezpośrednio po wypadku — i rozumiał coraz więcej, rozumiał już prawie wszystko. Miał wrażenie, że lada chwila popękają mu mięśnie, że wypluje płuca... Szary był gotów zajeździć jego ciało na śmierć, a on w żaden sposób nie mógł mu się temu przeciwstawić.

Tylko z łowcą snów nie działo się nic złego. Kołysał się co prawda wyraźnie, ale poza tym wszystko było w porządku. Jonesy nie mógł oderwać od niego oczu. Jeszcze niedawno wydawało mu się, że jest gotów na śmierć, mimo to nie chciał umierać w ten sposób, w zasyfiałym, cuchnącym pokoiku. Na zewnątrz, niedaleko stąd, dokonali kiedyś czegoś dobrego, czegoś szlachetnego. Umierać tutaj, pod zakurzonym, obojętnym spojrzeniem kobiety z fotografii... nie, to nie było w porządku. Mniejsza o resztę świata: on, Gary Jones z Brookline w Massachusetts, niegdyś z Derry w Maine, ostatnio z Jefferson Tract, zasługiwał na coś lepszego.

— Zasługuję na coś lepszego! — wykrzyknął w kierunku rozchybotanego, przypominającego trójwymiarową pajęczynę kształtu... i w tej samej chwili zadzwonił telefon.

Jonesy odwrócił się gwałtownie, eksplozja bólu w biodrze mało nie zwała go z nóg. Poprzednio dzwonił do Henry'ego z nowoczesnego aparatu; teraz na popękanej blacie biurka stał jakiś ebonitowy zabytek z tarczą zamiast klawiszy i nalepką NIECH MOC BĘDZIE Z TOBĄ. Taki właśnie telefon miał kiedyś w swoim pokoju. Był to urodzinowy prezent od rodziców. Numer 949-7784.

Rzucił się do niego pełen obaw, że aparat, a wraz z nim cała linia telefoniczna, za chwilę zniknie.

— Halo? Halo!

Chwiał się i kołysał razem z całym pomieszczeniem, jakby znajdował się w kajucie na statku podczas sztormu.

Wśród wielu głosów, które spodziewał się usłyszeć, z pewnością nie było głosu Roberty.

— Proszę poczekać, panie doktorze. Przełączam — rozmowę.

Kliknięcie tak głośne, że aż zadźwięczało mu w uszach, a potem cisza. Jonesy jęknął i już zamierzał odłożyć słuchawkę, kiedy coś kliknęło ponownie.

— To ty, Jonesy?

Głos Henry'ego, słaby i niewyraźny, ale to na pewno był Henry.

— Gdzie jesteś?! — wykrzyknął Jonesy. — Chryste, tu się wszystko rozpada! Ja też!

— U Gosselina — odparł Henry — ale nie naprawdę. Ty też wcale nie jesteś naprawdę tam, gdzie ci się wydaje. Jesteśmy w szpitalu, tym, do którego przywieźli cię po wypadku. — Głos Henry'ego utonął w szumach i trzaskach, lecz kiedy rozległ się ponownie, był znacznie silniejszy i wyraźniejszy. Dawał nadzieję, mimo tego całego rozpadu. — ...też nie!

— Co takiego?!

— Jonesy, wszyscy jesteśmy w łowcy snów! Zawsze tam byliśmy! Od 1978! Duddits jest łowcą snów, ale on umiera! Jeszcze się trzyma, nie wiem jednak, jak długo...

Coś stuknęło, zabrzęczało.

— Henry! Henry!!!

— ...wyjść stamtąd! — Głos przycichł, brzmiała w nim rozpacz. — Musisz wyjść stamtąd, Jonesy! Biegnij do mnie po łowcy snów! Jeszcze mamy czas, jeszcze możemy załatwić tego sukinsyna! Słyszysz mnie? Jeszcze nie wszystko...

Głos umilkł, obudowa aparatu pękła, ze środka wysypała się bezsensowna płatanina drutów. Wszystkie były pokryte złocistoczerwonym meshkiem.

Jonesy rzucił słuchawkę i ponownie utkwiał wzrok w łowcy snów. Przypomniawszy sobie powiedzenie, które ogromnie spodobało im się w dzieciństwie i które często powtarzali bez względu na to, czy w danej sytuacji miało jakiś sens, czy nie: „Gdziekolwiek jesteś, tam jesteś”. Miało chyba zbliżony wydźwięk do „Codziennie to samo gówno”, ale, ma się rozumieć, było znacznie bardziej wyrafinowane. Gdziekolwiek jesteś, tam jesteś... Tyle że, jeśli wierzyć miałby Henry’emu, była to nieprawda. Powinno raczej brzmieć: „Na pewno nie ma cię tam, gdzie ci się wydaje”.

Byli w łowcy snów.

Łowca snów nad jego biurkiem miał cztery rozchodzące się promieniście ramiona. Łączyła je ażurowa plecionka nici i sznurków, tym jednak, co naprawdę je spajało, była środkowa część, oś, z której wyrastały. *Biegnij do mnie po łowcy snów! Jeszcze mamy czas...*

Jonesy rzucił się ku drzwiom.

10

Szary również dotarł do drzwi, tyle że prowadzących do kamiennej budowli. Były zamknięte na klucz. Zważywszy na to, co przydarzyło się tej Rosjance, raczej nie należało się temu dziwić, chociaż żeby posłużyć się określeniem Jonesy’ego, takie działanie przypominało zamykanie wrót stajni po tym, jak nie został w niej ani jeden koń. Szary nie przejął się szczególnie. Jednym z bardziej interesujących aspektów odczuwania emocji była umiejętność planowania, myślenia w przód; intelektualne uprzedzanie wydarzeń pełniło funkcję poduszki łagodzącej skutki silnych doznań emocjonalnych towarzyszących niepowodzeniom. Być może tylko dzięki temu ludzkości jako gatunkowi udało się tak długo przetrwać.

Wciąż pamiętał o propozycji Jonesy’ego, żeby zapomnieć o misji i spróbować się całkowicie uczłowieczyć, nie zamierzał jednak na nią przystać. Dokończy rozpoczęte dzieło, postąpi zgodnie z wewnętrznym nakazem, potem zaś — kto wie? Może przyjdzie pora na kanapki z bekonem. I na coś, co Jonesy nazywał „koktajlem”.

Od strony zbiornika powiał wiatr, sypnął mu w twarz śniegiem, niemal oślepił. Było to jak uderzenie mokrym ręcznikiem; od razu oprzytomniał, uświadomił sobie, gdzie jest, przypomniał sobie, że ma jeszcze coś do zrobienia.

Dał krok w lewo, na niezbyt szeroki, biegnący wokół budowli podest z granitowych płyt, poślizgnął się, zachwiał, rąbnął na kolana. Mokry granit, pokryty warstwą świeżego śniegu, był śliski jak lód. Musiał bardzo uważać — nie po to pokonał tyle przeciwności, żeby teraz, w ostatniej chwili, skrócić sobie kark albo wpaść do wody i w ciągu kilku minut umrzeć z powodu wyziębienia organizmu.

Wstał, przylgnął brzuchem do kamiennej ściany i zaczął się powoli przesuwając. Niebawem dotarł do niewielkiego okna. Było wąskie, ale nie za wąskie.

Do jego uszu dobiegł odgłos, stłumiony z powodu odległości i gęstego śniegu: odgłos silnika. Po chwili ucichł; tamci dotarli do końca East Street i ruszyli dalej na piechotę. Nic z tego, spóźnili się. Czekali ich ponadpółtorakilometrowy marsz po trudnym terenie. Kiedy tu dotrą, ciało psa będzie już płynąć wodociągiem w kierunku odległego o sto kilometrów Bostonu.

Schylił się i jedną ręką zaczął grzebać w śniegu w poszukiwaniu kamienia. Nie było to łatwe zadanie, bo przecież równocześnie musiał utrzymać psa na ramionach, no i zachować równowagę. Wreszcie jego palce zacisnęły się na kamieniu odpowiedniej wielkości i Szary spróbował wstać, ale nie mógł. Minęło sporo czasu, zanim zmusił wycieńczone ciało Jonesy’ego do posłuszeństwa.

Co najmniej przez minutę stał bez ruchu, opierając cały ciężar ciała na lewej nodze, lewą zaś trzymając lekko uniesioną, jak koń, któremu kamień wbił się w kopyto. Kiedy ból w biodrze odrobinę zelżał, rozbił kamieniem szybę. Przy okazji mocno pokaleczył rękę

Jonesy'ego, lecz nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Podobnie jak na to, że Jonesy opuścił swoją fortecę.

Szary wcisnął się do środka przez okno, wylądował na zimnej betonowej posadzce i rozejrzał się dokoła.

Znalazł się w kwadratowym pomieszczeniu o boku długości około dziesięciu metrów. W przeciwległej ścianie, za oknem, przez które w pogodny dzień bez wątpienia można było podziwiać zapierającą dech w piersi panoramę Zbiornika Quabbin, kotłowała się nieprzenikniona biel. Po prawej stronie stało coś w rodzaju ogromnego wiadra; Szary przypuszczał, iż w razie potrzeby pełniło funkcję windy, którą można było opuścić się do szybu.

Żeliwna pokrywa o średnicy stu dwudziestu centymetrów znajdowała się w samym środku pomieszczenia. Nie miała żadnego uchwytu, lecz z boku Szary dostrzegł dość szeroką szczelinę. Przy ścianie stało lub leżało sporo narzędzi, wśród nich również solidny łom — całkiem możliwe, że ten sam, którym posłużyła się Rosjanka.

Podobno ludzie w Bostonie będą ją pili w porannej kawie albo herbacie gdzieś na początku listopada.

Wziął łom do ręki, dokuśtykał do pokrywy, wsunął spłaszczony koniec do szczeliny.

Pasowało jak ulał.

11

Henry rzuca słuchawkę, nabiera powietrza w płuca, zatrzymuje je, a następnie pędzi co sił w nogach w kierunku drzwi opatrzonych napisem BIURO i PRYWATNE.

— Ejże! — woła za nim Reggie Gosselin od kasy. — Wracaj tu, smarkaczu! Tam nie wolno wchodzić!

Henry jednak nie zatrzymuje się, nawet nie zwalnia, ale w chwili kiedy otwiera drzwi, uświadamia sobie, że istotnie jest jeszcze smarkaczem, dzieciakiem niższym o dobre trzydzieści centymetrów, niż kiedy był (będzie?) dorosły. Co prawda na nosie ma okulary, ale nie są nawet w połowie tak ciężkie, jak staną się w przyszłości. Jest dzieckiem, lecz pod rozwianymi włosami (kiedy skończy trzydzieści lat, zaczną się z wolna przerzedzać) ma dorosły umysł. Dwa w jednym, jestem dwa w jednym, myśli i śmieje się jak szalony, tak jak on i jego przyjaciele śmiali się dawno temu, kiedy byli blisko środka łowcy snów i grali z Dudditsem w grę. „Mało mi bebecz nie pękł — mawiali. Mało się nie zlałem”.

Wpada do biura, lecz to wcale nie jest biuro starego Gosselina, gdzie kiedyś niejaki Owen Underhill odtwarzał człowiekowi, który wcale nie nazywał się Abraham Kurtz, taśmę z zarejestrowanymi głosami Szarych, błagających o litość głosami sławnych ludzi. To szpitalny korytarz. Henry ani trochę się nie dziwi. To Główny Szpital Stanowy w Massachusetts. Sam go wymyślił.

Jest tu wilgotno i zimno, zimniej niż w jakimkolwiek szpitalu, ściany są porośnięte byrusem, od czasu do czasu odzywa się głos: *Nie chcę ciebie, nie chcę zastrzyku, chcę Jonesy'ego. Jonesy znał Dudditsa, Jonesy umarł, umarł w karetce, potrzebuję tylko jego. Trzymaj się z daleka, całuj mnie w złamasa, chcę Jonesy'ego.*

Henry nie zamierza trzymać się z daleka. Jest potężną, niepokonaną Śmiercią i nie będzie trzymał się z daleka. Ma tu coś do załatwienia.

Przez nikogo niezauważony idzie korytarzem. Jest tak zimno, że oddech zamienia się w kłęby pary. Idzie szybkim krokiem — chłopiec w jaskrawopomarańczowej kurtce, z której już niedługo wyrośnie. Żałuje, że nie zabrał strzelby — tej, którą pożyczył mu ojciec Pete'a — ale strzelby już dawno nie ma, została pogrzebana pod grubą warstwą lat razem z telefonem Jonesy'ego z nalepką z „Gwiezdnych wojen” (jakże mu go zazdrościli!), skórzaną kurtką Beavera z mnóstwem suwaków i bluzą Pete'a z emblematem NASA na piersi. Pod bardzo

grubą warstwą. Marzenia umierają i przepadają w otchłani czasu, to jedna z gorzkich prawd życia. Jedna z wielu.

Mija dwie roześmiane, rozgadane pielęgniarki. Jedna z nich to Josie Rinkenhauer, druga natomiast to kobieta z polaroidowej fotki, którą wypatrzyli tamtego dnia przez brudną szybę w oknie budynku braci Tracker. Nie widzą go, ponieważ dla nich nie ma go tutaj; jest w łowcy snów, biegnie wstecz po jednym z jego ramion, zbliża się do środka. *Czas się zatrzymał, świat zgiął się wóół, jajotłuk dzielnie szusował w dół.*

Henry szedł korytarzem w kierunku, z którego dobiegał głos Szarego.

12

Kiedy Kurtz usłyszał stłumiony terkot pistoletu maszynowego, ogarnęły go gniew i niepokój. Gniew, ponieważ strzelanina zaczęła się bez niego, niepokój zaś, że zakończy się, zanim dotrą na miejsce, że kiedy wreszcie się tam zjawią, zastaną tylko rannych wzywających pomocy.

— Gazu, Freddy.

Perlmutter wciąż chrapał, pogrążony w głębokiej śpiączce.

— Trochę ślisko, szefie.

— Nieważne. Mam przeczucie, że...

Z przodu mignęło coś czerwonego, równie jaskrawo odcinającego się od nieskazitelnej bieli śniegu jak krew płynąca po policzku pokrytym warstwą pianki do golenia, a zaraz potem znaleźli się tuż obok tkwiącego w rowie subaru. Wydarzenia, które rozegrały się w ciągu kolejnych kilku sekund, skłoniły Kurtza do odwołania wszystkich zastrzeżeń, jakie wcześniej zgłaszał w duchu pod adresem umiejętności Freddy'ego: Freddy wcisnął hamulec, hummer natychmiast wpadł w poślizg, a wtedy Freddy skontrował kierownicą i wcisnął gaz do dechy. Ciężki pojazd najechał na przeszkodę z dużą prędkością, otarł się o subaru, skosił boczne lustro, wyskoczył na metr w górę, opadł z łoskotem na cztery koła i popędził dalej. Kurtz rąbnął głową w sufit z taką siłą, że wszystkie gwiazdy stanęły mu przed oczami, Perlmutter szarpnął się bezwładnie na fotelu pasażera.

Za chwilę poczujesz na karku mój oddech, Owen, pomyślał Kurtz. Szykuj się, chłopcze. Już niedługo.

Jednak ta krótka seria z pistoletu maszynowego wciąż nie dawała mu spokoju. Co się stało? Cokolwiek to było, już się nie powtórzyło.

Kolejna plama na śniegu, tym razem oliwkowozielona. Hummer. Oczywiście pusty, prawie na pewno pusty, ale...

— Szykuj broń, Freddy — powiedział Kurtz lekko schrypniętym głosem. — Ruszamy do tańca.

13

Kiedy Owen dotarł do końca East Street (albo do miejsca, w którym skręcała pod ostrym kątem i zamieniała się w Fitzpatrick Road, zależnie od interpretacji), wyraźnie słyszał Kurtza i przypuszczał, że Kurtz równie wyraźnie słyszy jego. Co prawda hummery nie były aż tak hałaśliwe jak harleye, ale z pewnością nie były również ciche.

Ślady Jonesy'ego znikły już pod śniegiem, lecz ścieżka wiodąca wzdłuż wysokiego brzegu zbiornika wciąż była dobrze widoczna. Owen wyłączył silnik.

— Henry, wygląda na to, że trzeba będzie...

Urwał w pół zdania. Do tej pory całą uwagę poświęcał prowadzeniu samochodu, od jakiegoś czasu nie spoglądał więc we wsteczne lustro i był zupełnie nieprzygotowany na widok, który teraz ujrzął.

Henry i Duddits siedzieli przyciśnięci do siebie, ciasno objęci ramionami, policzek przy policzku, z zamkniętymi oczami i ubraniami poplamionymi krwią. Na pierwszy rzut oka nie oddychali, dlatego pomyślał, że umarli — Duddits na białaczkę, Henry przypuszczalnie na atak serca spowodowany wyczerpaniem i trwającym nieprzerwanie od ponad trzydziestu godzin stresem... zaraz potem jednak dostrzegł ledwo zauważalne drgnięcie powiek.

Objęci. Zbryzgani krwią. Ale nie martwi. Po prostu spali.

I śnili.

W pierwszym odruchu Owen zamierzał obudzić Henry'ego, lecz zrezygnował. W Jefferson Tract Henry kategorycznie odmówił ucieczki bez pozostałych więźniów — jakoś im się wtedy udało, choć zawdzięczali to wyłącznie nieprawdopodobnemu szczęściu... albo działaniu Opatrzności, oczywiście zakładając, że coś takiego istniało poza programami telewizyjnych ewangelistów. Teraz jednak Kurtz prawie ich dopadł, co z pewnością by się nie zdarzyło, gdyby wtedy po prostu wymknęli się niepostrzeżenie w noc.

No cóż, już tego nie zmienię, pomyślał Owen, otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Gdzieś z północy, zza zasłony padającego bez przerwy śniegu, nadleciał przeraźliwy krzyk orła narzekającego na paskudną pogodę. Z południa dobiegał narastający warkot silnika. Przez ten pieprzony śnieg nie sposób było określić odległości: Kurtz równie dobrze mógł być trzy kilometry, jak i trzysta metrów stąd. Kurtz i Freddy, cholerny Freddy, żołnierz doskonały.

Ślizgając się, potykając i klnąc na czym świat stoi, Owen przeszedł wzdłuż samochodu i otworzył tylną klapę. Po cichu liczył na to, że znajdzie tam karabin maszynowy albo przenośną wyrzutnię przeciwpancernych pocisków rakietowych, zobaczył jednak tylko cztery pistolety maszynowe MP5 i skrzynkę z wygiętymi magazynkami zawierającymi po sto dwadzieścia sztuk amunicji.

Tam, w bazie, uległ perswazji Henry'ego, i choć przypuszczalnie ocalili życie przynajmniej kilkunastu, jeśli nie kilkudziesięciu ludziom, to jednak teraz nie zamierzał go słuchać. Jeśli jeszcze nie odpokutował za ten cholerny półmisek państwa Rapeloew, to trudno, będzie musiał dźwigać ten ciężar do końca życia. Czyli niezbyt długo, jeśli Kurtz rzeczywiście był blisko.

Henry albo spał, albo połączył się z przyjacielem z dzieciństwa w jakiejś przedziwnej wspólnocie umysłów. Doskonale. Przytomny, z pewnością wahałby się, co należy, a czego nie należy robić, szczególnie jeśli przypuszczał, że jego drugi przyjaciel wciąż żyje, ukrywając się w zakamarkach umysłu kontrolowanego przez obcą istotę. On, Owen, nie będzie się wahał, a pozbawiony zdolności telepatycznych nie usłyszy błagań Jonesy'ego, naturalnie zakładając, że Jonesy rzeczywiście jeszcze gdzieś jest. Jego pistolet był bardzo zaciną bronią, ale niezbyt pewną. Co innego MP5. Seria z pistoletu maszynowego powinna rozerwać Gary'ego Jonesa na kawałki.

Owen złapał jeden pistolet, do kieszeni kurtki upchnął trzy magazynki. Kurtz był już blisko, bardzo blisko. Obejrzał się nerwowo przez ramię, jakby spodziewał się lada chwila ujrzeć wyłaniającego się zza zakrętu drugiego hummera, ale na razie East Street była pusta. Dzięki Panu, jak powiedziała by Kurtz.

Śnieg oblepił już szczelnie szyby samochodu, niemniej Owen w miarę wyraźnie widział dwie sylwetki na tylnym siedzeniu. Wciąż tuliły się do siebie.

— Dobranoc, chłopcy — wyszeptał. — Śpijcie dobrze.

Przy odrobinie szczęścia powinni spać, kiedy zjawią się Kurtz i Freddy i położą kres ich mordędze, zanim ruszą po najważniejszą zdobycz. Owen pośpieszył truchtem w kierunku ścieżki... i nagle stanął jak wryty. W zasadzie usiłował zatrzymać się raptownie, ale poślizgnął się i gdyby nie błotnik hummera, którego zdążył się złapać, niewątpliwie by się przewrócił. Duddits z pewnością był już stracony, istniała jednak niewielka szansa na to, by uratować Henry'ego.

Nie! — krzyczało coś w jego głowie, kiedy wracał do tylnych drzwi samochodu. *Nie ma czasu!*

Mimo to Owen postanowił zaryzykować, kładąc na szali los całego świata, może dlatego, że chciał uregulować kolejną część długu za stłuczony półmisek państwa Rapeloew, a może dlatego, żeby odpokutować za to, co uczynił wczoraj (nagie szare sylwetki stojące z podniesionymi rękami wokół uszkodzonego statku), lecz najprawdopodobniej po prostu ze względu na Henry'ego, który obiecał mu, że będą bohaterami, i robił wszystko, co w jego mocy, żeby dotrzymać słowa.

Żadnego współczucia dla diabła, pomyślał, otwierając drzwi. Żadnego współczucia dla tego skurwysyna.

Duddits siedział bliżej. Owen chwycił go za poły granatowego płaszcza i szarpnął mocno. Duddits przewrócił się na siedzenie jak szmaciana lalka, Henry zaś osunął się na niego. Nie otworzył oczu, tylko jęknął cicho. Owen pochylił się nad nim i wyszeptał mu prosto do ucha:

— Nie podnoś się, Henry! Nie ruszaj się, na litość boską!

Cofnął się, zatrzasnął drzwi, zrobił jeszcze trzy kroki w tył i posłał krótką serię z biodra. Szyby hummera pokryły się mleczną siatką pęknięć, a potem rozpadły się na niezliczone fragmenty. Owen zajrzał do środka; Duddits i Henry leżeli na tylnym siedzeniu przysypani szkłem i umazani krwią Dudditsa. Wyglądali jak najbardziej nieżywi nieboszczycy na świecie. Pozostało tylko mieć nadzieję, że Kurtz za bardzo będzie się śpieszył, by przeprowadzać dokładne oględziny. Tak czy inaczej Owen zrobił wszystko, co mógł.

Uśmiechnął się, kiedy do jego uszu dotarł metaliczny łomot. Teraz wiedział dokładnie, gdzie są Kurtz i Freddy: właśnie dotarli do rowu, w którym utknęło subaru Jonesy'ego.

Byłoby pięknie, gdyby oni również zakończyli tam jazdę, ale odgłos był na to trochę zbyt cichy. Miał nad nimi jakieś półtora kilometra przewagi. Całkiem nieźle, nawet trochę lepiej, niż przypuszczał.

— Mnóstwo czasu — mruknął.

Owszem, z punktu widzenia Kurtza przypuszczalnie miał rację, ale przecież nie to było w tej chwili najważniejsze. Co z Szarym?

Z pistoletem maszynowym w garści, Owen potruczał ścieżką prowadzącą do Szybu 12.

14

Szary odkrył jeszcze jedno bardzo ludzkie uczucie: panikę. Pokonał tak ogromną odległość — najpierw lata świetlne przez kosmos, potem dziesiątki kilometrów przez śnieg — żeby u samego celu dać się okpić osłabionym mięśniom Jonesy'ego oraz żeliwnej pokrywie, znacznie cięższej, niż przypuszczał. Naciskał na łom z całych sił, lecz nagrodą było jedynie trwające ułamek sekundy mignięcie wąziutkiej, wypełnionej nieprzeniknioną czernią otchłani oraz głośny zgrzyt, kiedy pokrywa przesunęła się centymetr lub dwa po betoniu. Zaraz potem coś chrupnęło niemal równie głośno u nasady kręgosłupa Jonesy'ego, Szary krzyknął z bólu, wypuścił łom z rąk i zatoczył się aż pod ścianę.

Facio już nawet nie skamlał, tylko stękał żałośnie. Szaremu wystarczyło jedno spojrzenie, by dojść do wniosku, że sprawy weszły w krytyczną fazę. Co prawda pies wciąż spał, ale jego brzuch rozdał się do takich rozmiarów, że choć leżał na boku, to dwie łapy sterczały w górę pod dużym kątem. Skóra była naciągnięta jak na bębnie, nabrzmiąte żyły pulsowały rytmicznie, wokół ogona na betoniu rozrastała się kałuża krwi.

Szary wpatrywał się z wściekłością w sterzcący nad pokrywą łom. Jonesy wyobrażał sobie tę Rosjankę jako kruchą, drobniutką, czarnowłosą piękność, w rzeczywistości jednak musiała to być bardzo silna, umięśniona kobieta, bo jak inaczej...

Na zewnątrz, niepokojąco blisko, rozległy się strzały. Szary potoczył dokoła błędnym wzrokiem. Dzięki Jonesy'emu nieobce stało mu się również bardzo ludzkie zwątpienie, w

związku z czym po raz pierwszy uświadomił sobie jasno i wyraźnie, że jednak może przegrać, nawet teraz, nawet tutaj, niemal u celu, mimo że wyraźnie słyszał szum wody zaczynającej tu ponadstukilometrową podziemną podróż.

Ostatnią przeszkodą, jaka stała na jego drodze, i zarazem ostatnią linią obrony tej planety była wążąca kilkadziesiąt kilogramów pokrywa.

Miotając piskliwym, schrypniętym głosem Beaverowe przekleństwa, Szary chwycił z powrotem łom. Ciało Jonesy'ego poruszało się gwałtownymi, ledwo skoordynowanymi szarpnięciami, jak zepsuta, a do tego prowadzona niewprawną ręką marionetka. Jeden z nich zbliżał się z każdą sekundą. Nazywał się Owen i Szary wiedział z niezachwianą pewnością, iż nie zdoła go zmusić, żeby skierował broń przeciwko sobie. Może gdyby miał więcej czasu albo gdyby mógł działać z zaskoczenia... W dodatku ten człowiek wiedział, jak się zabija, uczył się tego latami.

Szary podskoczył i runął na łom całym ciężarem ciała. Tego było już za wiele dla biodra Jonesy'ego: główka kości udowej wyskoczyła ze zmasakrowanego stawu. Desperacki wysiłek okazał się jednak skuteczny, ponieważ pokrywa przesunęła się co najmniej o trzydzieści centymetrów. Otwór nie był duży, zaledwie wąski sierp, wielka czarna litera C na betonowej posadzce, ale tyle powinno wystarczyć.

Prawa noga Jonesy'ego była już całkowicie bezużyteczna (ciekawe, gdzie się podziewał Jonesy? Wciąż nie dawał znaku życia), ale to nic nie szkodziło. Wystarczy, że mógł się czołgać.

Szary w ten właśnie sposób pokonał odległość dzielącą go od Facia, chwycił psa za obrozę i zaczął wlec go w kierunku szybu.

15

Fala zniszczeń dotarła również do Sali Wspomnień — ogromnej hali wypełnionej pudłami. Podłoga drży jak podczas rozciągniętego w czasie trzęsienia ziemi, jarzeniówki to gasną, to się zapalają, nadając temu miejscu nierzeczywisty wygląd. W wielu miejscach drogę blokują przyzmy poprzewracanych kartonowych pudeł.

Jonesy biegnie ile sił w nogach, przemyka z alejki do alejki, instynktownie wybierając drogę. Przez cały czas powtarza w duchu, że musi zapomnieć o bolącym biodrze, że jest teraz czystym umysłem, któremu powinny być obce wszelkie fizyczne dolegliwości — niestety, bez rezultatu.

Mija pudła z napisami WOJNA AUSTRO-WĘGIERSKA i POLITYKA RASOWA, BAJKI DLA DZIECI i ZAWARTOŚĆ SZAFY NA PIĘTRZE. Przeskakuje nad porozrzucanymi pudłami opatrzonymi napisem CLARA, łąduje na prawej nodze, przeraźliwie krzyczy z bólu, chwytając się na oślep sąsiedniej sterty, zwalając na podłogę (GETTYSBURG), wreszcie dostrzega koniec magazynu. Dzięki Bogu, wydaje mu się bowiem, że przebiegł już kilka kilometrów.

Drzwi są opatrzone napisami OIOM, CISZA oraz ZAKAZ ODWIEDZIN. Zgadza się. Tu właśnie go przywieziono, tu się obudził i usłyszał, jak przebiegła Śmierć udaje, że wzywa Marcy.

Wpada na drzwi całym ciężarem ciała, otwiera je, przeskakuje do innego, doskonale znanego świata: to błękitno-biały korytarz szpitalny, w którym cztery dni po operacji ostrożnie stawiał pierwsze kroki, ale zaledwie po kilku metrach dostrzega różnice: na ścianach rośnie byrus, z głośników sączy się zupełnie nieszpitalna muzyka. Chociaż jest bardzo cicha, Jonesy bez trudu rozpoznaje „Współczując diabłu” Rolling Stonesów.

Zaraz potem w jego biodrze eksploduje bomba atomowa. Jonesy wykrzykuje coś niezrozumiale, po czym wali się jak długi na czerwono-czarną podłogę z terakoty. Tak samo było zaraz po uderzeniu przez samochód: wybuch czerwonego bólu. Toczy się po podłodze,

patrzy w górę, na kuliste głośniki („Na próżno Anastazja łkała...”), muzyka wciąż gra, muzyka z innego świata; kiedy człowieka coś tak boli, wszystko jest z innego świata, ból redukuje rzeczywistość do cienia, a miłość do kpiny, przekonał się o tym już w marcu i musi jeszcze raz przekonać się teraz. Toczy się bez końca, z rękami przyciśniętymi do biodra, wytrzeszczonymi oczami, zębami wyszczerzonymi w okropnym grymasie. Doskonale zdaje sobie sprawę, co się stało: Szary, ten cholerny skurwysyn Szary znowu zmiażdżył mu biodro.

A potem, gdzieś z bardzo, bardzo daleka dociera do niego znajomy dziecinny głos.

Jonesy!

Zniekształcony, zamazany nałożonym wielokrotnie echem, ale chyba jednak nie aż tak bardzo odległy. Może nawet z sąsiedniego korytarza. Czyj to głos? Któregoś z jego dzieci? Może Johna? Nie...

Pośpiesz się, Jonesy! On chce cię zabić! Owen chce cię zabić!

Nie ma pojęcia, kim jest Owen, lecz wie doskonale, do kogo należy ten głos: do Henry’ego Devlina. Nie takiego jednak, jaki jest teraz, ani nawet nie do tego, który razem z Pete’em wyruszył po zapasy do sklepu starego Gosselina. To głos Henry’ego — towarzysza z lat dziecinnych, tego samego, który ostrzegł Richiego Grenadeau, że jeśli natychmiast nie przestanie, to zawiadomiał kogoś dorosłego i że ani Richie, ani jego kumple nie dogonią Pete’a, ponieważ Pete cholernie szybko biegnie.

Nie mogę! — woła, wciąż tocząc się po podłodze. Zdaje sobie sprawę, że coś się zmieniło, że nadal się zmienia, ale nie wie co. *Nie mogę, ten sukinsyn znowu załatwił mi biodro, nie mogę...*

I nagle uświadamia sobie, co się dzieje: ból się cofa. Wrażenie jest podobne jak podczas oglądania filmu odtwarzanego wstecz: mleko przelewa się ze szklanki do kartonu, kwiat zwija płatki i zamienia się z powrotem w pąk. Chwilę potem przyczyna staje się oczywista: Jonesy ma na sobie jaskrawopomarańczową kurtkę, tę, którą matka kupiła mu u Searsa przed jego pierwszą wyprawą do Dziury w Murze, kiedy to Henry ustrzelił pierwszego w życiu jelenia, a oni wszyscy zabili Richiego Grenadeau i jego kumpli — zabili ich we śnie, być może niechcący, ale jednak.

Stał się czternastoletnim chłopcem i nie czuje żadnego bólu. Nic dziwnego, przecież wypadek, podczas którego zmiażdżeniu ulegnie jego biodro, wydarzy się dopiero za dwadzieścia trzy lata. Nagle wszystko staje się oślepiająco, wręcz boleśnie jasne: nigdy nie było żadnego Szarego, Szary istnieje wyłącznie w łowcy snów, jest tak samo realny jak ból w biodrze. Byłem odporny, myśli Jonesy, podnosząc się z podłogi. Nie zaraziłem się. To w mojej głowie nie jest nawet wspomnieniem, tylko duchem. On jest mną. Dobry Boże, Szary jest mną!

Biegnie tak szybko, że mało nie przewraca się na zakręcie.

Jakoś utrzymuje jednak równowagę. Ma dopiero czternaście lat, jest szybki i sprawny, a w dodatku nic go nie boli. NIC GO NIE BOLI!

Bez trudu rozpoznaje następny korytarz. Przy ścianie stoi łóżko na kółkach, na nim basen, obok łóżka, delikatnie stawiając raciczki, przechodzi jelen — ten sam, który pokazał mu się na ulicy w Cambridge tuż przed wypadkiem. Na karku, niczym amulet, wisi jojo. Jonesy mija go pędem, a jelen odprowadza go zdziwionym spojrzeniem wielkich łagodnych oczu.

Jonesy!

Blisko. Bardzo blisko.

Jonesy, szybciej!

Przyśpiesza jeszcze bardziej, prawie nie dotyka stopami podłogi, młode płuca oddychają z łatwością, nie ma byrusa, ponieważ jest odporny, nie ma też żadnego Szarego — przynajmniej w nim nie ma, Szary jest w szpitalu i zawsze tu był, Szary jest jak ból fantomowy, wyraźny, ale nieprawdziwy, Szary jest duchem podłączonym do aparatury podtrzymującej funkcje życiowe, a tą aparaturą jest on, Jonesy.

Kolejny zakręt, troje drzwi, wszystkie otwarte na oścież, czwarte są zamknięte. Przed nimi stoi Henry. Henry też ma czternaście lat, też ma na sobie pomarańczową kurtkę. Okulary zsunęły mu się na czubek nosa, ponagła Jonesy'ego ruchami ręki.

Pospiesz się! Pospiesz się, Jonesy! Duddits już długo nie wytrzyma! Jeśli umrze, zanim zabijemy Szarego...

Jonesy chętnie rzuciłby się przyjacielowi na szyję, uściskał go, ale nie ma na to czasu.

To wszystko moja wina, mówi wysokim dziecięcym głosem.

Nieprawda, odpowiada Henry. Patrzy na niego z tym samym zniecierpliwieniem, które tak ich dziwiło w dzieciństwie. Henry zawsze wydawał się trochę z przodu, zawsze gotów pognać w przyszłość i zostawić ich wszystkich z tyłu, lecz jakoś udawało im się go powstrzymać.

Ale...

Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że to Duddits zamordował Richiego Grenadeau, a my byliśmy jego współnikami.

Był tym, kim był, i uczynił nas tymi, kim jesteśmy... ale nie zrobił tego celowo. Celowo mógł, co najwyżej, zawiązać sobie sznurowadła, wiesz o tym?

Uuj ut? — przemyka Jonesy'emu przez głowę. Henry, czy on... czy Duddits...

On to wszystko trzyma. Dzięki niemu tu jesteśmy.

W łowcy snów?

Zgadza się. Więc jak, będziemy tu stać i gadać, a w tym czasie świat szlag trafi, czy wejdziemy do środka i...

...zabijemy tego sukinsyna, dopowiada za niego Jonesy, po czym sięga do klamki. Wisi na niej tabliczka z napisem RYZYKO ZARAŻENIA NIE ISTNIEJE, IL N'Y A PAS DINFECTION ICI. Widzi tę tabliczkę na dwa sposoby, jako kłamstwo i jako prawdę, aż kręci mu się w głowie, ponieważ jest to prawie coś takiego jak Escherowskie złudzenia optyczne: patrzysz pod pewnym kątem i wszystko jest w porządku, spojrzysz pod innym i widzisz największe kłamstwo we wszechświecie.

Łowca snów, myśli Jonesy i naciska klamkę.

Wnętrze pokoju to byrusowa dżungla, koszmarna gęstwina porostów, lian i pnączy we wszystkich wyobrażalnych odcieniach złocistej czerwieni. W powietrzu unosi się intensywny smród siarkowodoru i alkoholu etylowego, jakby przed chwilą ktoś rozlał wielką bańkę płynu ułatwiającego rozruch silnika w niskich temperaturach. Przynajmniej nie muszą się obawiać gównianych łasic; one są w innym ramieniu łowcy snów, w innym miejscu i czasie. Byrum stanowi obecnie problem Facia, nieszczęsnego owczarka szkockiego o bardzo marnych widokach na przyszłość.

Telewizor jest włączony i chociaż ekran pokrywa gruba warstwa byrusa, to jednak, wyteżywszy wzrok, można dostrzec widmowy czarno-biały obraz. Jakiś człowiek ciągnie martwego psa po betonowej posadzce. Brudna, zasłana jesiennymi liśćmi, wygląda zupełnie jak wnętrze rodzinnego grobowca z filmów grozy z lat pięćdziesiątych, które Jonesy pasjami oglądał na kasetach magnetowidowych. To jednak nie jest grobowiec, ponieważ wyraźnie słychać szum płynącej wody.

Na środku pomieszczenia znajduje się wielka żeliwna pokrywa z wytłoczonymi literami UGWM: Urząd Gospodarki Wodnej Massachusetts. Mimo marnej jakości obrazu widać je wyraźnie — i nic dziwnego, przecież dla Szarego, który jako istota umarł dawno temu w Dziurze, znaczą wszystko.

Znaczą tyle co świat.

Kłapa jest odrobinę przesunięta, sąsiaduje z nią półksiężyc nieprzeniknionej czerni. Jonesy dopiero teraz uświadamia sobie, że to on jest człowiekiem ciągnącym psa i że pies jeszcze nie zdechł. Zostawia za sobą krwawy ślad, tylne łapy drżą, próbują się poruszać.

Mniejsza o film! — parska Henry i Jonesy przenosi spojrzenie na leżącą w łóżku postać z kołdrą podciągniętą do połowy szarej, bezwłosej i zupełnie gładkiej piersi. Co prawda tego

nie widać, Jonesy jednak wie, że stworzenie nie ma również pępka, ponieważ się nie urodziło. Jest to dziecięce wyobrażenie Obcego, zaczerpnięte z umysłów ludzi, którzy pierwsi mieli pecha zetknąć się z byrum. Szarzy nigdy nie mieli ściśle określonej fizycznej postaci; nadała im ją dopiero ludzka wyobraźnia, dał im ją łowca snów, i świadomość tego przynosi Jonesy'emu sporą ulgę. A więc nie tylko on dał się nabrać. Dobrze i to.

Jeszcze jedno sprawia mu satysfakcję: widok tych okropnych czarnych oczu. Czai się w nich strach.

16

— Jestem gotów, szefie — powiedział spokojnie Freddy, zatrzymując samochód za hummerem, którego ścigali przez tyle kilometrów.

— Doskonale. W takim razie sprawdź, co jest w środku.

— Tak jest.

Freddy zerknął na Perlmuttera, którego brzuch ponownie przybrał monstrualne rozmiary, a następnie przeniósł wzrok na hummera Owena. Seria z broni automatycznej, którą usłyszeli z daleka, rozbiła wszystkie szyby w pojeździe — ale nie wiadomo, kto strzelał i do kogo. Od samochodu ku ścieżce wiodły ślady tylko jednej osoby. Przypuszczalnie Owena.

— No, ruszaj!

Freddy wysiadł, ale jeszcze zanim zatrzasnął za sobą drzwi, Kurtz wyślizgnął się z hummera i zarepetował swoją dziewiątkę. Może i miał rację; strzelał z niej znakomicie.

Nagle Freddy poczuł nieprzyjemne mrowienie w plecach. Czyżby... Nie, to niemożliwe. Owen to co innego, Owen przekroczył linię, ale przecież on był szefowi wierny do samego końca.

Nisko schylony pobiegł w kierunku samochodu z powybijanymi szybami. Mimo wszystko nie czuł się zbyt pewnie, wiedząc, że za plecami ma Kurtza z odbezpieczoną bronią.

17

Kiedy chłopcy zbliżają się do łóżka, Szary zaczyna rozpaczliwie naciskać guzik alarmowy. Bez rezultatu. Obawiam się, że to przez byrusa, myśli Jonesy. Niedobrze, Szary, bardzo niedobrze. Przelotne zerknięcie na ekran telewizora informuje go, że jego filmowe wcielenie dowlokło już psa nad krawędź szybu. Może się jednak spóźnili... a może nie. Trudno powiedzieć. Film jeszcze się nie skończył.

Witaj, Szary. Bardzo chciałem cię poznać, mówi Henry. Równocześnie wyciąga mu spod głowy poplamioną byrusem poduszkę. Szary usiłuje się od niego odsunąć, lecz Jonesy przygwaźdża mu do materaca cienkie jak u dziecka ramiona. Skóra nie jest ani ciepła, ani zimna, w ogóle nie przypomina skóry, jest jak...

Jak nic, myśli Jonesy. Jak sen.

Serdecznie witamy na planecie Ziemia, mówi Henry i przyciska poduszkę do twarzy Szarego.

Szary wije się i szarpie, lecz Jonesy nie zwalnia uchwytu. Gdzieś daleko rozlega się alarmowy brzęczyk, jakby ten stwór naprawdę miał serce, które teraz przestało bić.

Jonesy pragnie tylko jednego: żeby to się jak najprędzej skończyło.

18

Szary jakoś dowłókł psa nad krawędź częściowo odsłoniętego szybu. Ze szczeliny w kształcie półksiężyca wydobywał się szum płynącej wody oraz chłodne, wilgotne powietrze.

Jeśli stać ma się to, co ma się stać, niechaj stanie się szybko. Pudło z napisem SZEKSPIR. Tylne łapy psa młóciły powietrze, słychać było odgłos rozdieranego ciała. Byrum gwałtownie usiłował wydostać się na zewnątrz. Spod psiego ogona dobiegał ćwierkający odgłos, jakby gadanina małej, zagniewanej małpki. Szary powinien wrzucić psa do szybu, zanim byrum opuści jego ciało. Co prawda byrum nie musiał „urodzić się” pod wodą, ale gdyby tak właśnie się stało, jego szansę na przeżycie znacznie by wzrosły.

Szary usiłował wepchnąć łeb psa w szczelinę... i nie mógł. Kark nie chciał się zgiąć pod tak dużym kątem, długi pysk wciąż zwracał się bezsensownie ku górze. Chociaż pogrążony we śnie (a może już po prostu nieprzytomny), pies zaczął chrapliwie poszczekiwać.

I wciąż nie chciał zmieścić się w szczelinie.

— Niech mnie Freddy przeleci! — ryknął Szary. Prawie nie czuł straszliwego bólu promieniującego z biodra Jonesy’ego, z pewnością nie zdawał sobie sprawy, jak wygląda twarz jego gospodarza, jaki wyraz mają jego oczy. Zdawał sobie natomiast sprawę, że coś się dzieje, coś okropnego. „Za moimi plecami”, tak określiłby to Jonesy. A kto mógł być za to odpowiedzialny? Czyja to mogła być sprawka jak właśnie nie jego? — Rusz się, skurwielu! — wrzasnął na przekłętą, upartą, ZA DUŻEGO psa. — Masz się tam zmieścić, rozumiesz? Masz się tam...

Słowa uwięzły mu w gardle. Chociaż bardzo chciał, nie mógł wydobyć z siebie głosu. Och, jakże pragnął krzyknąć, wrzeszczeć, walić na oślep pięściami, nawet w zdychającego, brzemiennego byrumem psa! Nic z tego, teraz nie mógł już nawet oddychać! Co się działo? Co ten Jonesy wymyślił?

Nie oczekiwał odpowiedzi, ale jednak nadeszła. Głos był obcy, przepelniony nienawiścią i wściekłością. *Serdecznie witamy na planecie Ziemia.*

19

Wymachujące rozpaczliwie, trójpalczaste ręce chwytają poduszkę i na chwilę odsuwają ją na bok, czarne oczy w pozbawionej wyrazu twarzy błyszczą strachem i gniewem. Szary łapczywie wciąga powietrze. Biorąc pod uwagę, że przecież nie istnieje, że w rzeczywistości nie ma żadnej fizycznej postaci, niezwykle zaciekle walczy o życie. Henry nie potrafi mu współczuć, ale doskonale go rozumie. Szary pragnie tego samego co Jonesy, Duddits, a nawet on, Henry. Przecież towarzyszące mu od dawna samobójcze myśli nie wstrzymały bicia serca, nie zatrzymały pracy wątroby, nie skłoniły jego ciała do zaprzestania trwającej nieprzerwanie walki przeciwko wszystkiemu, od kataru poczynając, na byrusie kończąc. Ciało jest albo beznadziejnie głupie, albo nieskończenie mądre — tak czy inaczej, oszczędzono mu katuszy myślenia, wie tylko, jak trwać i walczyć, dopóki może. Nawet jeśli kiedyś Szary był inny, to teraz już nie jest. Chce żyć.

Ale chyba ci się nie uda, mówi Henry spokojnym, niemal kojącym głosem. *Raczej ci się nie uda, przyjacielu.* I znowu przyciska poduszkę do twarzy Szarego.

20

Szary zdołał złapać jeden haust stęchłego szpitalnego powietrza... drugi... a potem znów nie mógł oddychać. Dusili go, chcieli go zabić!

Nie!!! Całujcie mnie w złamasa! Całujcie mnie w pieprzonego złamasa! Nie możecie tego zrobić!

Wyszarpnął psa ze szczeliny, ustawił w poprzek, znowu zaczął pchać. Czuł się tak, jakby obserwował kogoś, kto i tak już spóźnił się na samolot, niemniej stara się wtłoczyć do walizki jeszcze jeden, zbyt duży przedmiot.

Musi się zmieścić!

Oczywiście, że musi, nawet gdyby miał rozerwać brzuch psa gołymi rękami Jonesy'ego i wyszarpnąć stamtąd byrum. Tak czy inaczej, byrum trafi do wodociągu.

Z opuchniętą twarzą, wytrzeszczonymi oczami, wstrzymanym oddechem, grubą żyłą pulsującą pośrodku czoła Jonesy'ego, Szary wcisnął Facia w szczelinę, a następnie zaczął okładać go pięściami. Właż tam, do cholery! Właż wreszcie!

21

Freddy Johnson wsunął lufę pistoletu maszynowego do wnętrza porzuconego hummera, Kurtz zaś czekał w rozsądnej odległości na rezultat rekonesansu. Pod tym względem sytuacja przypominała tę z ataku na statek Szarych.

— Dwóch gości, szefie. Wygląda na to, że Owen uprzętnął śmiecie, a potem ruszył dalej.

— Nie żyją?

— Na to wygląda. To pewnie Devlin i ten drugi, którego zabrali z Derry.

Kurtz podszedł zerknąć do środka przez wybite okno i skinął głową. Rzeczywiście, wyglądali na nieboszczyków — nieruchomi, schlapani krwią i przysypani potłuczonym szkłem.

Uniósł już pistolet, żeby ostatecznie rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości, ale zaraz go opuścił. Kto wie, może Owen nie słyszał silnika ich samochodu? W tak gęstym śniegu było to całkiem możliwe. Jednak strzały na pewno by usłyszał.

Kurtz odwrócił się w kierunku ścieżki.

— Prowadź, chłopcze, tylko uważaj, jak idziesz. Chyba jest trochę ślisko. Byłoby dobrze, gdyby udało nam się zaskoczyć naszego przyjaciela, nie sądzisz?

Freddy skinął głową.

Uśmiech na twarzy Kurtza upodobił ją do trupiej główki.

— Jeśli nam się poszczęści, chłopcze, Owen Underhill znajdzie się w piekle, jeszcze zanim zda sobie sprawę z tego, że nie żyje.

22

Na stoliku przy łóżku Szarego leży pilot od telewizora — płaski czarny prostopadłościan porośnięty byrusem.

— Pieprzyć to! — woła Jonesy głosem bardzo podobnym do głosu Beavera, a następnie z całej siły uderza nim o krawędź stolika, jakby usiłował rozbić kamienne jajko. Pilot pęka, baterie i jakieś elektroniczne śmieci sypią się na podłogę, w ręce Jonesy'ego zostaje roztrzaskane pudełko o ostrych krawędziach. Wsuwa rękę pod poduszkę, którą Henry wciąż przyciska do twarzy miotającej się w łóżku istoty. Waha się przez sekundę, ponieważ przypomina mu się jego pierwsze spotkanie z Szarym — pierwsze i zarazem jedyne. Wrażenie ciemności, które go ogarnęło, kiedy dosięgnął go cień tej istoty. Ciemność była autentyczna, prawdziwa, rzeczywista, a kiedy Jonesy odwrócił się, ujrzał go... Szarego... a raczej to, czym Szary był przedtem, stojące w przejściu do dużego pokoju. Postać doskonale znaną z setek filmów fabularnych i dokumentalnych o „niewyjaśnionych zagadkach natury”, tyle że starą. Starą i chorą. Już wtedy Szary kwalifikował się na oddział intensywnej opieki medycznej. „Marcy”, powiedział, wyrwawszy to słowo jak korek z umysłu Jonesy'ego. Zrobił w ten sposób otwór, przez który mógł dostać się do środka, następnie zaś eksplodował jak noworoczna petarda, zamiast konfetti, siejąc wokół byrus, a potem...

...wszystko sobie wyobraziłem, prawda? Wszystko to moje wymysły. Jeszcze jeden przypadek międzygalaktycznej schizofrenii. Najogólniej rzecz biorąc, ma się rozumieć.

Jonesy! — woła Henry. Zrób to, jeśli w ogóle masz zamiar to zrobić!

Przygotuj się, Szary, myśli Jonesy. Przygotuj się...

Szary zdołał wepchnąć Facia mniej więcej do połowy, kiedy jego głowę wypełnił głos Jonesy'ego.

Przygotuj się, Szary. Przygotuj się. Płać i płacz.

Poczuł straszliwy ból w szyi, a raczej gardle Jonesy'ego.

Poderwał ręce w górę, wydając chrapliwe, zduszone odgłosy zupełnie nie zasługujące na miano krzyków. Poczuł pod palcami nie skórę Jonesy'ego, lecz swoje rozorane ciało. Ogarnęło go nieprawdopodobne zdumienie — ostatnie z uczuć Jonesy'ego, których miał okazję skosztować. To niemożliwe. Zawsze przybywali na planety takimi statkami, zawsze wychodzili z uniesionymi rękami, zawsze zwyciężali. To niemożliwe.

A jednak to była prawda.

Świadomość byruma nie gasła stopniowo, lecz w ułamku sekundy uległa całkowitej dezintegracji. Byt, który przez jakiś czas był Szarym, umierając, wrócił do swego naturalnego stanu: przestał być kimś, stał się czymś, a na chwilę przed tym, jak coś stało się niczym, Szary ostatkiem sił wepchnął psa do otworu. Ciało zwierzęcia wsunęło się nieco głębiej do szybu, lecz znowu utknęło.

Powinienem był go posłuchać, tak brzmiała ostatnia myśl Szarego. Powinienem był stać się czło...

Jonesy przeciąga ostrą, poszarpaną krawędzią po gardle Szarego. Zwiotczała skóra ustępuje, prawie nie stawiając oporu, brzegi rany rozchylają się jak płatki, ze środka wydobywa się obłok pyłu koloru krwi, przez chwilę wisi w powietrzu, a potem opada na pościel.

Ciało Szarego wypręża się po raz ostatni, po czym nieruchomieje, kurczy się jak sen, którym zresztą było, i upodabnia się do czegoś znajomego. Dopiero po chwili Jonesy uświadamia sobie do czego: szczątki Szarego wyglądają niemal tak samo jak któryś ze zużytych kondomów leżących na podłodze biura w budynku braci Tracker.

On...

...nie żyje! — zamierza dokończyć, ale nie jest w stanie tego uczynić, ponieważ paraliżuje go kolejna eksplozja bólu; tym razem epicentrum znajduje się nie w biodrze, lecz w głowie. Zaraz potem szyję ściska mu płomienista obręcz, ściany szpitalnego pokoju stają się przezroczyste. Widzi przez nie wnętrze budynku wzniesionego nad wylotem Szybu 12; tkwiący do połowy w wąskiej szczelinie pies rodzi właśnie przerażającą czerwoną istotę przypominającą łasicę skrzyżowaną z ogromną pijawką. Jonesy doskonale wie, co to jest: byrum.

Umazany kałem, krwią, resztkami wnętrzości psa, wytrzeszcza nienawistne czarne oczy (to jego oczy, myśli Jonesy, oczy Szarego), pręży się, napina, próbuje się uwolnić, dąży do ciemności i upadku, który zanieśie go do wody.

Jonesy i Henry patrzą na siebie bez słowa... a potem oni również zaczynają się rozpyływać.

To Duddits, mówi Henry. Jego głos dobiega z wielkiej oddali. Duddits umiera.

Otwiera usta, żeby jeszcze coś powiedzieć — być może „żegnaj” — ale w tej samej chwili obaj znikają na dobre.

Przez jakiś czas — może sekundę, a może znacznie dłużej — Jonesy nie miał pojęcia, co się z nim dzieje. Zdawał sobie sprawę tylko z tego, że jest nigdzie, podejrzewał więc, że być może tak właśnie wygląda śmierć, że zabił nie tylko Szarego, lecz również siebie, że całkiem dosłownie poderżnął sobie gardło.

Z powrotem sprowadził go ból, ale wcale nie ból poderżniętego gardła. Ten minął, Jonesy znowu mógł swobodnie oddychać i gorliwie z tego korzystał, łapiąc powietrze wielkimi, świszczącymi haustami. To był stary, doskonale znajomy ból usadowiony w biodrze. Dopadł go i cisnął z powrotem w ramiona świata, ścisnął stalowym imadłem, rąbnął jak kijem baseballowym. Jonesy klęczał na betonowej posadzce, ręce miał pełne sierści, w uszach rozbrzmiewało mu gniewne ćwierkanie. Przynajmniej to jest naprawdę, pomyślał. Przynajmniej to jest poza łowcą snów.

Ten ohydny ćwierkający odgłos.

Gdy tylko mgła ustąpiła Jonesy'emu przed oczu, ujrzał łasicopodobną istotę czołgającą się ze wszystkich sił ku częściowo odsłoniętemu wylotowi szybu. Nie dotarła tam jeszcze tylko dlatego, że jej ogon wciąż tkwił we wnętrzościach psa. Jonesy rzucił się naprzód z wyciągniętą ręką i zacisnął palce na gibkim, śliskim ciele dokładnie w chwili, kiedy byrum uwolnił się od swego gospodarza.

Natychmiast szarpnął się do tyłu, zatoczył, trzymając wijące się stworzenie wysoko nad głową niczym jakiś szalony poskramiacz węży. Byrum miotał się wściekle, siekł niezliczonymi ostrymi zębami na prawo i lewo, usiłował dosięgnąć ręki Jonesy'ego, lecz udało mu się tylko rozpruć rękaw kurtki. Biały puch opadał na posadzkę niczym suchy ciepły śnieg.

Jonesy odwrócił się na zdrowej nodze i w oknie, przez które dostał się do środka Szary, ujrzał nieruchomą sylwetkę mężczyzny w wojskowej kurtce, z pistoletem maszynowym w dłoniach. Cisnął walczącego zaciekle stwora najdalej, jak mógł, czyli niezbyt daleko. Byrum przeleciał około trzech metrów, z mokrym plaśnięciem wylądował na betonowej posadzce, i natychmiast popełził z powrotem w kierunku szybu.

Ciało psa zablokowało częściowo otwór, ale nie całkiem. Zostało jeszcze wystarczająco wiele miejsca.

— Strzelaj! — ryknął Jonesy do człowieka z pistoletem maszynowym. — Strzelaj, na litość boską, zanim dostanie się do wody!

Lecz tamten nie wykonał żadnego ruchu. Ostatnia nadzieja ludzkości stała jak zaczarowana z szeroko otwartymi ustami.

26

Owen po prostu nie wierzył własnym oczom. Coś długiego, czerwonego, jakby łasica bez nóg... Co innego słyszeć o takich stworzeniach, a co innego zobaczyć jedno z nich.

Pełzło szybko w kierunku częściowo odsłoniętego otworu w podłodze. W szczelinie tkwiło ciało wybebeszonego psa.

Ktoś — prawie na pewno Jonesy — krzyczał do niego, żeby strzelać, lecz ręce Owena nie chciały się poruszyć. Zupełnie jakby powieszono na nich wielokilogramowe ołowiane ciężary. Jeszcze chwila, a łasica zniknie w otworze. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, miał być świadkiem, jak dojdzie do tego, do czego starał się nie dopuścić. Tak chyba jest w piekle.

Stał jak słup soli i patrzył bezsilnie. Stworzenie wydawało ohydny ćwierkający odgłos, który zdawał się rozbrzmiewać nie tylko w pomieszczeniu, ale nawet wewnątrz głowy Owena. Jonesy dał niezgrabnego, rozpaczliwego susa w kierunku wjazdu w nadziei, że uda mu się w ostatniej chwili złapać stwora albo przynajmniej zagrozić mu drogę. Nie miał na to najmniejszych szans.

Owen ponownie rozkazał swoim rękoma, by podniosły broń — bez rezultatu. Jego MP5 równie dobrze mógłby być w innym wszechświecie. Nic nie mógł zrobić. Będzie tak stał i patrzył. Niech Bóg ma go w swojej opiece.

Niech Bóg ma w opiece ich wszystkich.

27

Oszołomiony i zdezorientowany Henry podniósł się do pozycji siedzącej i zobaczył, że jest czymś posypany. Wciąż jeszcze nie do końca otrząsnąwszy się ze snu o szpitalu (tyle że to wcale nie był sen, i on doskonale o tym wiedział), odruchowo przesunął ręką po włosach; ostry ból przywołał go do przytomności. To było szkło. We włosach i na ubraniu miał pełno szkła, mnóstwo szklanych odłamków leżało na tylnym siedzeniu hummera i na Dudditsie.

— Dud?

Oczywiście bez rezultatu. Duddits nie żył. Poświęcił resztkę sił po to, by doprowadzić do spotkania Henry'ego i Jonesy'ego w szpitalnym pokoju. Jednak, ku jego zaskoczeniu, Duddits jęknął i otworzył oczy. Spojrzawszy w nie, Henry oprzytomniał całkowicie. Były zupełnie czerwone, jak u strzygi.

— Uuuby! — zawołał słabym głosem Duddits i z trudem uniósł ręce, imitując ruchy myśliwego lub żołnierza składającego się do strzału. — Aaaaamy ooś oo oooooobieaa!

W odpowiedzi gdzieś daleko rozległy się dwa strzały, a chwilę potem trzeci.

— Dud... — wyszeptał Henry. — Duddits?

Zobaczył go. Mimo krwi wypełniającej gałki oczne, Duddits go zobaczył, a Henry przez ułamek sekundy ujrzał ten obraz. Poczł się tak, jakby spoglądał w magiczne zwierciadło, zobaczył bowiem Henry'ego z przeszłości: dzieciaka patrzącego na świat zza zbyt dużych i za ciężkich okularów, które wiecznie zsuwały mu się na czubek nosa. Poczł miłość Dudditsa, proste i nieskomplikowane uczucie, nie zanieczyszczone zwątpieniem, egoizmem ani nawet wdzięcznością.

Wziął Dudditsa w ramiona, a poczuwszy, że jego przyjaciel jest lekki jak piórko, zapłakał.

— Miałeś szczęście, chłopie — wyszeptał, żałując, że nie ma z nimi Beavera, który potrafiłby zrobić to, czego on nie umiał: zaśpiewać Dudditsowi do snu. — Myślę, że miałeś cholerne szczęście.

— Enry... — Duddits musnął palcami policzek Henry'ego. Jego ostatnie słowa były zupełnie wyraźne. — Kocham cię, Enry.

28

Przed nimi, całkiem blisko, rozległy się dwa strzały, najprawdopodobniej z pistoletu maszynowego ustawionego na pojedynczy ogień. Kurtz zatrzymał się. Freddy znieruchomiał jakieś pięć metrów z przodu, przy drzewie, do którego przybito tabliczkę z napisem ŁOWIENIE RYB W OKOLICY SZYBU SUROWO WZBRONIONE. Padł jeszcze jeden strzał, po czym nastła cisza.

— Szefie, przed nami jakiś budynek.

— Widzisz kogoś?

Freddy pokręcił głową.

Kurtz podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

Nawet w tej sytuacji poczuł coś w rodzaju rozbawienia, kiedy Freddy wyraźnie drgnął. Niewiele brakowało, żeby podskoczył... i miał ku temu powody. Gdyby Abe Kurtz zdołał przeżyć najbliższy kwadrans, zamierzał samotnie ruszyć na spotkanie oczekującego go nowego, wspaniałego świata. Nie życzył sobie żadnych obciążeń, żadnych świadków jego

ostatniej, nieudanej akcji. Freddy chyba to podejrzewał, ale nie wiedział na pewno. Powinien żałować, że nie jest już telepatą.

— Wygląda na to, że Owen znalazł sobie kolejne ofiary — wyszeptał Freddy'emu do ucha, w którym pozostało jeszcze kilka białych, martwych włókien Ripleya.

— Idziemy po niego, szefie?

— Broń Boże! — odparł Kurtz. — Zapomnij o tym. Nadeszła pora, chłopcze, żebyśmy na jakiś czas usunęli się w cień, wtopili się w tło, zorientowali się, kto zginął, a kto ocalał — jeśli komukolwiek się to udało, ma się rozumieć. Damy mu dziesięć minut, dobrze? Myślę, że tyle powinno wystarczyć.

29

Słowa, które rozbrzmiały w głowie Owena Underhilla, nie miały żadnego sensu, ale były doskonale zrozumiałe. Scooby-Doo! Mamy coś do zrobienia!

Pistolet powędrował w górę. Nie on to uczynił, ale kiedy siła, która mu pomogła, znikła, Owen bez trudu ją zastąpił.

Ustawił przełącznik na ogień pojedynczy, wycelował i dwukrotnie nacisnął spust. Pierwszy pocisk uderzył w posadzkę tuż przed łasicą i zrykoszetował. Stworzenie cofnęło się gwałtownie, dostrzegło go i obnażyło ostre jak igły zęby.

— Doskonale, ślicznotko — mruknął Owen. — Uśmiechnij się do zdjęcia.

Drugi pocisk trafił w sam środek drapieżnego uśmiechu, łasicę cisnęło na ścianę, zaraz potem zsunęła się na podłogę.

Nie miała już głowy, instynkt jednak działał w dalszym ciągu. Ponownie, chociaż znacznie wolniej i mniej pewnie, popęzła w kierunku wylotu szybu. Owen wycelował raz jeszcze i nie wiadomo czemu pomyślał o Irene i Dicku Rapeloew. Mili ludzie, dobrzy sąsiedzi. Jeśli zabrakło ci cukru albo mąki, albo po prostu chciałeś się przed kimś wyzalić lub wypłakać, zawsze mogłeś na nich liczyć. „To chyba udar!” — zawołał pan Rapeloew, ale on zrozumiał „upał”. Dzieciaki zawsze wszystko przekręcą.

A więc to niech będzie za państwa Rapeloew. I za dzieciaki, które zawsze wszystko przekręcają.

Padł trzeci strzał. Pocisk trafił łasicę w połowie ciała i niemal rozerwał na dwie części. Poszarpane kawałki drgały jeszcze przez jakiś czas... coraz słabiej... wreszcie znieruchomiały. Owen zaczął czekać chwilę, po czym zwrócił broń w kierunku Gary'ego Jonesa. Czarny wylot lufy spoglądał prosto na środek jego czoła.

Jonesy'emu nawet nie drgnęła powieka. Owen był zupełnie wykończony, ten gość jednak sprawiał wrażenie, jakby w ciągu minionych kilkunastu czy kilkudziesięciu godzin przeżył jeszcze więcej od niego. Jonesy powoli uniósł ręce.

— Oczywiście nie masz żadnego powodu, żeby mi uwierzyć, ale Szary nie żyje. Poderżnąłem mu gardło, kiedy Henry dusił go poduszką. Zupełnie jak w „Ojcu chrzestnym”.

— Doprawdy — odparł Owen zupełnie bezbarwnym tonem. — A gdzie, jeśli można wiedzieć, dokonaliście egzekucji?

— W Głównym Szpitalu Stanowym w Massachusetts, w mojej głowie. — Z ust Jonesy'ego wydobył się najbardziej ponury śmiech, jaki Owen słyszał w życiu. — Tam gdzie po korytarzach biegają jelenie, a z głośników leci „Współczując diabłu”.

Owen drgnął.

— Zastrzel mnie, jeśli musisz, żołnierzu. Co prawda właśnie ocalałem świat, nie przeczę, że z twoją pomocą, ale oczywiście możesz mnie za to wynagrodzić w tradycyjny sposób. Ten skurwiel na odchodnym zmasakrował mi biodro. Taki mały prezencik na pożegnanie od gościa, którego tu wcale nie było. Cholernie boli.

Owen mierzył do niego jeszcze przez chwilę, po czym opuścił broń.

— Jakoś wytrzymasz — mruknął.

Jonesy osunął się do tyłu, podparł łokciami, jęknął, ostrożnie spróbował przenieść ciężar ciała na lewy bok.

— Duddits nie żyje. Był wart tyle co my dwaj albo nawet więcej, a teraz nie żyje. — Na chwilę zasłonił oczy, po czym opuścił rękę. — Człowieku, ale się zrobił pierdolnik! Tak by powiedział Beaver. Stanowi to przeciwieństwo pieprzalnika, który jest czymś bardzo przyjemnym, choć niekoniecznie związanego z czynnościami natury seksualnej.

Underhill nie miał pojęcia, o czym mówi ten człowiek. Przypuszczalnie majaczył.

— Duddits może umarł, ale Henry żyje. Ścigają nas źli ludzie. Bardzo źli. Słyszysz ich? Wiesz, gdzie teraz są?

Jonesy pokręcił głową.

— Niestety wróciłem do wyposażenia standardowego: nędzne pięć zmysłów, brak dodatkowego wyposażenia. Telepatię szlag trafił. A podobno, kto daje i odbiera... — Parsknął śmiechem. — Chyba trochę plotę. Jesteś zupełnie pewien, że nie chcesz już mnie zastrzelić?

Owen poświęcił temu pytaniu tyle samo uwagi co różnicom semantycznym między „pierdolnikiem” a „pieprzalnikiem”. Kurtz się zbliżał, to był teraz jego największy problem. Co prawda nie słyszał silnika, ale taki gęsty śnieg mógł stłumić wszystkie odgłosy, z wyjątkiem tych najbardziej donośnych. Na przykład takich jak strzały.

— Muszę wracać na drogę — powiedział. — Ty zostań tutaj.

— Chyba nie mam wyboru. — Jonesy przymknął oczy. — Człowieku, z jaką rozkoszą znalazłbym się teraz w moim rozkoszonym, przytulnym gabinecie! Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek powiem coś takiego, a tu, proszę!

Owen odwrócił się i zszedł po schodkach. Poślizgnął się, ale utrzymał równowagę, dość pobieżnie rozejrzał się dokoła. Jeśli Kurtz i Freddy zaczęli się gdzieś między drzewami, z pewnością nie zdołaliby dostrzec ich w porę, żeby cokolwiek zrobić, a nawet gdyby zauważył ślady, to byłby zapewne tak blisko nich, że nie zdążyłby zobaczyć nic więcej. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że jeszcze tutaj nie dotarli, no i zaufać swojemu szczęściu. Czemu nie? Bywał już w różnych opałach i, jak do tej pory, szczęście mu sprzyjało, może więc tak samo będzie i tym ra...

Pierwszy pocisk trafił go w brzuch, pchnął go do tyłu, wydał tylną część kurtki w kształt dzwonu. Underhill starał się utrzymać na nogach i równocześnie nie wypuścić broni z rąk. Nie czuł bólu; miał wrażenie, że właśnie dostał potężny cios w brzuch rękawicą trzykrotnie większą od standardowej. Drugi pocisk otarł się o jego głowę — zapiekło, jakby ktoś polał spirytusem otwartą ranę. Trzeci uderzył w prawą stronę klatki piersiowej, ostatecznie wyjaśniając sytuację. Owen runął na ziemię, wypuszczając MP5 z rąk.

Co powiedział Jonesy? Coś o ocaleniu świata i o zapłacie w tradycyjny sposób. Owen uważał, że i tak nie powinien narzekać. Jezusowi zajęło to sześć godzin, musiał wisieć w niewygodnej pozycji z idiotycznym napisem nad głową, a kiedy poprosił o drinka, dostał tylko podły ocet, w dodatku rozcieńczony wodą.

Leżał na skraju przysypanej śniegiem ścieżki. Ktoś krzyczał, ale to nie był on. Tak wrzeszczeć mogłaby na przykład wkurzona gigantyczna sroka.

To orzeł, przemknęło mu przez głowę.

Zdołał złapać oddech i choć podczas wydechu z jego ust i nosa wydobyło się więcej krwi niż powietrza, to jednak mógł unieść się nieco na łokciach. Spomiędzy drzew wybiegły dwie postaci. Zbliżały się zygzakiem, jak podczas „gorącej” akcji. Jedna była masywna i barczysta, druga szczupła i siwowłosa. Freddy i Kurtz. Buldog i chart. Czyli szczęście go opuściło. Prędzej czy później musiało się to zdarzyć.

Chwilę potem Kurtz ukląkł obok niego. Oczy mu błyszczały, w ręce trzymał złożoną w trójkąt, trochę wymiętą gazetę, lecz Owen nie miał najmniejszych trudności z rozpoznaniem tego przedmiotu. Był to papierowy kapelusz.

— Paskudna sprawa, chłopcze — powiedział Kurtz.

Owen skinął głową. Bardzo paskudna.

— Widzę, że coś dla mnie masz?

— Owszem. Załatwiłeś przynajmniej to, co chciałeś?

Kurtz wskazał głową na kamienną budowlę.

— Tak.

W ustach miał pełno krwi. Wypluł ją, znowu spróbował odetchnąć, ale usłyszał, jak powietrze ucieka z niego ze świstem przez jakiś zupełnie nowy otwór.

— A więc wszystko dobre, co się dobrze kończy, nie uważasz?

Kurtz delikatnie włożył mu kapelusz na głowę. Gazetowy papier zaczął błyskawicznie chłonać krew; opatrzony wielkim tytułem artykuł o UFO zrobił się szkarłatnoczerwony.

Od strony zbiornika, przypuszczalnie z jednej z wysp, które w gruncie rzeczy były wierzchołkami zatopionych wzgórz, nadleciał kolejny gniewny krzyk.

— To orzeł. — Kurtz poklepał Owena po ramieniu. — Masz szczęście, chłopcze. Bóg przysłał ptaka wojny, żeby zaśpiewał ci ostat...

Głowa eksplodowała mu fontanną krwi, mózgu i odłamków kości. W błękitnych oczach zdążyło jeszcze pojawić się niebotyczne zdumienie, po czym Kurtz runął na to, co zostało z jego twarzy. Freddy Johnson stał trzy metry z tyłu.

Z lufy jego pistoletu maszynowego unosiła się strużka dymu.

Freddy, chciał wyszeptać Owen, lecz nie zdołał. Johnson dostrzegł jednak ruch jego warg i skinął głową.

— Nie chciałem tego robić, ale ten drań by mnie załatwił. Nie musiałem czytać w jego myślach, żeby to przewidzieć. Za długo go znałem.

Dokończ, powiedział bezgłośnie Owen i Freddy ponownie skinął głową. Być może jednak, nie zdając sobie z tego sprawy, nadal potrafił trochę czytać w myślach.

Owen gasł. Dobranoc, piękne panie, dobranoc, Davidzie, dobranoc, Chet. Dobranoc, słodki książę. Osunął się na śnieg, ale miał wrażenie, że kładzie się do miękko wymoszczonego łóżka. Hen, daleko, znowu krzyczał orzeł. Wtargnęli na jego terytorium, zakłócili mu spokój, ale niedługo odejdą i ptak znowu będzie niepodzielnym władcą zbiornika.

Byliśmy bohaterami, pomyślał Owen. Niech mnie szlag trafi, jeśli nimi nie byliśmy. Pieprzę twój kapelusz, Kurtz, bo wreszcie zostałem...

Nie usłyszał wystrzału.

30

Znowu strzały, a potem cisza. Henry siedział w hummerze obok martwego przyjaciela i usiłował obmyślić jakiś plan B. Szanse na to, że wymordowali się wzajemnie, były niewielkie. Szanse na to, że dobrzy chłopcy, poprawka: dobry chłopiec — wybił do nogi złych chłopców była jeszcze mniejsza.

W pierwszym odruchu chciał wyskoczyć z hummera i skryć się w lesie, lecz kiedy spojrzął na śnieg (Minie sporo czasu, zanim znowu polubię zimę, pomyślał), zmienił zdanie. Jego ślady byłyby doskonale widoczne jeszcze co najmniej przez godzinę. Wytropiliby go i zastrzelili jak wściekłego psa. Albo jak łasicę.

Weź więc broń i załatw ich, zanim oni załatwią ciebie.

Dobry pomysł. Może nie był Buffalo Billem, ale strzelał całkiem nieźle. Co prawda polowanie na ludzi trochę różniło się od polowania na zwierzęta, nie trzeba było być

psychiatrą, żeby się tego domyślić, podejrzewał jednak, że nie miałby większych oporów przed wyprawieniem tych drani na tamten świat.

Już sięgał do klamki, kiedy usłyszał przekleństwo, odgłos uderzenia, jeszcze jeden wystrzał. Blisko. Bardzo blisko. Przypuszczalnie ktoś poślizgnął się na mokrym śniegu, wylądował na tyłku i przypadkowo nacisnął spust. A może przy okazji sam się trafił? Może to by było zbyt piękne, ale przecież takie rzeczy się zdarzają, czemu więc...

Niestety, nic z tego. Ten, którego przed chwilą spotkała niemiła przygoda, posłał soczystą wiązanke, wstał i ruszył dalej. Henry nie miał wyboru: ponownie położył się na tylnym siedzeniu, zarzucił na siebie ramiona Dudditsa i zajął się udawaniem nieboszczyka. Wątpił, żeby mu się udało. Co prawda źli chłopcy dali się raz nabrać, ale wtedy bardzo się śpieszyli. Teraz, kiedy już było po wszystkim, należało przypuszczać, że nie zmyli ich kilka dziur w karoserii, powybijane szyby i krew biednego Dudditsa na ubraniu.

Do samochodu szybko zbliżały się kroki. Tylko jeden człowiek — przypuszczalnie ów okryty niesławą Kurtz, ostatni na placu boju. Ciemność się zbliżała, ale już nie jego dobra przyjaciółka, ponieważ teraz tylko udawał martwego. Zmierzała w jego kierunku.

Zamknął oczy i czekał.

Kroki minęły go i ucichły w oddali.

31

Tak się złożyło, że cel strategiczny, który wytyczył sobie Freddy Johnson, był równocześnie niezwykle praktyczny oraz krótkofalowy: postanowił mianowicie zawrócić hummera, nie grzęznąc przy okazji po osie w śniegu. Gdyby to się udało, w następnej kolejności zamierzał ponownie sforsować rów wyżłobiony przez wodę w poprzek East Street. Gdyby i to się powiodło, i gdyby dotarł do szosy, być może pomyślałby o rozszerzeniu horyzontów. Może na przykład Mass Pike...? Kiedy znajdzie się już na I-90, stanie przed nim otworem cała Ameryka. Będzie gdzie się ukryć.

Zatrzasnął drzwi i mało się nie zakrzuszył; w samochodzie potwornie cuchnęło starymi pierdnięciami i alkoholem. No tak, Pearly! W zamieszaniu kompletnie zapomniał o tym cholernym sukinsynu. Sięgnął po broń, ale przyjrawszy się uważniej, doszedł do wniosku, że Pearly wciąż jest nieprzytomny. Szkoda marnować pocisku. Wyrzuci go po prostu w śnieg, a jeśli Pearly będzie miał szczęście, to nawet nie zauważy, kiedy zamarznie, a razem z nim ten pieprzony mały...

Pearly jednak nie spał, nie był nieprzytomny ani pogrążony w śpiączce. Pearly był martwy, a w dodatku jakby się... skurczył? Z zapadniętymi policzkami i powiekami wyglądał jak mumia. Siedział w dziwnej pozycji, przechylony nieco na bok, z prawą nogą uniesioną i opartą kolanem o tablicę przyrządów, zupełnie jakby umarł w trakcie ukradkowego pierdnięcia. Spodnie miał ciemne i mokre, mokry i ciemny też był fotel, na którym siedział.

— Co jest, do kur...

Na tylnym siedzeniu rozległ się przeraźliwy, świdrujący świergot. Freddy dostrzegł kątem oka błyskawiczny ruch, a zaraz potem w lusterku wstecznym pojawiła się przerażająca istota, rzuciła się na Freddy'ego, oderwała mu ucho, po czym wpiła się zębami w skórę na szczęce i gwałtownym szarpnięciem zdarła mu pół twarzy, niczym wygłodniały gość baru szybkiej obsługi, który z zapałem zabrał się do pożerania pieczonego udka kurczaka.

Freddy wrzasnął, odruchowo nacisnął spust, ale pocisk ugrzązł w drzwiach, nie czyniąc nikomu krzywdy. Usiłował odepchnąć napastnika, lecz palce ześlizgiwały mu się po gładkiej, śliskiej skórze. Łasica sama się cofnęła, podniosła głowę i połknęła zdobycz. Freddy sięgnął do klamki, znalazł ją, lecz zanim zdążył otworzyć drzwi, łasica zaatakowała ponownie, tym razem wbijając zęby tam, gdzie potężny kark Freddy'ego łączył się z muskularnym barkiem. Z rozerwanej tętnicy trysnęła krew, zachlapała podsufitkę, zaraz potem strumień nieco osłabł.

Stopy Freddy'ego wybijały dziki rytm na podłodze i pedałach hummera. Przerazające stworzenie cofnęło się ponownie, przez sekundę jakby się zastanawiało, a następnie prześlizgnęło się po ramieniu mężczyzny i wylądowało mu na kolanach. Freddy wrzasnął raz jeszcze, kiedy łasica wgrzyła mu się w brzuch, po czym umilkł.

32

Henry siedział skrzyżowany na tylnym siedzeniu i obserwował przez tylną szybę, jak postać za kierownicą drugiego hummera miota się jak szalona. Gęsty śnieg i tryskająca na szyby krew utrudniały widoczność, lecz Henry nie miał nic przeciwko temu. I tak widział więcej, niż miałby ochotę zobaczyć.

Wreszcie człowiek w drugim samochodzie znieruchomiał, a następnie osunął się na bok, znikając z pola widzenia. Jego miejsce zajęło coś podobnego do dużego, grubego, trwającego w triumfalnej pozie węża. Henry doskonale wiedział, co to jest: widział już coś takiego na łóżku Jonesy'ego. Teraz dostrzegł coś jeszcze: wybitą szybę w tamtym pojeździe. Stwór nie był chyba zbyt inteligentny, z pewnością jednak wyczuje, którędy dostaje się do środka świeże powietrze.

Na szczęście zimno je zabija.

Owszem, Henry jednak nie zamierzał na tym poprzestać, i to nie tylko ze względu na bliskość zbiornika. Ktoś, a raczej coś, zaciągnął bardzo wysoki kredyt; wyglądało na to, że tylko on, Henry Devlin, mógł podjąć próbę odzyskania długu. Płać i płacz, jak mawiał Jonesy. Nadeszła pora wyrównania rachunków.

Rozejrzał się po wnętrzu hummera, lecz nie dostrzegł żadnej broni. Wychylił się daleko w przód, otworzył schowek po stronie pasażera, też nic, jeśli nie liczyć jakichś dokumentów, rachunków za paliwo i małej książeczki zatytułowanej „Jak polubić siebie”.

Henry otworzył drzwi, wysiadł... i natychmiast z rozmachem usiadł w śniegu. Ale ślisko, niech mnie Freddy przeleci! Wstał, znowu się poślizgnął, złapał się krawędzi drzwi, jakoś zdołał się utrzymać na nogach. Ostrożnie stawiając stopy, powędrował w kierunku tyłu samochodu, przez cały czas nie spuszczając z oka bliźniaczej, zaparkowanej w odległości kilku metrów maszyny. Wyglądało na to, że łasica zajęła się pożeraniem zdobyczy.

— Nie ruszaj się stamtąd, ślicznotko... — wyszeptał Henry i zaczął się śmiać. Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się jak stuprocentowy czubek, ale nie mógł przestać. — Złóż kilka jajeczek, jestem przecież jajotłukiem... Jajotłuk już się zbliża, kochanie... A może chciałabyś się dowiedzieć, jak polubić siebie?

Śmiał się tak, że miał problemy z oddychaniem. Nogi rozjeżdżały mu się na boki jak dzieciakowi na ślizgawce, usiłował trzymać się karoserii hummera, ale za tylnymi drzwiami trudno było znaleźć jakieś oparcie. Tamto wciąż się poruszało... i nagle znikło. Cholera. Gdyby to był któryś z filmów Jonesy'ego, właśnie teraz zaczęłaby się groźna muzyka. Scena ataku gównianych łasic. Znowu parsknął śmiechem.

Dotarł do celu niebezpiecznej wędrowki. W tylnej klapie znajdował się przycisk służący do jej otwierania — jeśli nie została wcześniej zablokowana, ma się rozumieć. Chyba nie została, bo przypuszczalnie Owen właśnie wtedy dostał się do środka. Henry za nic nie mógł sobie tego przypomnieć. Po prostu nie mógł, i już. Chyba nie lubił siebie tak, jak powinien.

Wciąż chichocząc, zapłakany, wcisnął przycisk... i kłapa powędrowała w górę. Henry zajrzał do przedziału bagażowego. Dzięki Bogu: pistolety maszynowe, takie same jak ten, który Owen zabrał na swój ostatni patrol. Henry złapał jeden i przyjrzał mu się uważnie. Przełącznik rodzaju ognia... bezpiecznik... magazynek na 120 pocisków... Wszystko w porządku.

— Takie proste, że nawet byrum dałby sobie radę — powiedział i oczywiście się roześmiał.

Schylony ruszył w kierunku drugiego hummera, starając się zachować równowagę na śliskim terenie. Potwornie bolały go nogi, grzbiet i głowa, najbardziej ze wszystkiego bolało go serce... a mimo to wciąż się śmiał. Był jajotłukiem, był jajotłukiem, był śmiejącą się hieną.

Z bronią gotową do strzału zbliżał się powoli do pojazdu Kurtza (miał nadzieję, że udało mu się ją odbezpieczyć), w głowie rozbrzmiewała mu potęgująca napięcie muzyka, z oczu płynęły łzy, a on nadal rechotał. Wlew paliwa... Tutaj, prawda? Doskonale. Ale gdzie podziła się Gamera, potwór z kosmosu?

Jakby usłyszała jego myśli — co wcale nie było takie nieprawdopodobne — łasica z ogromną siłą uderzyła głową w szybę. Na szczęście wybrała to okno, w którym jeszcze była szyba. Czarne ślepie wpatrywały się w Henry'ego, zakrwawiona uzębiona paszcza, w której tkwiły jakieś trudne do zidentyfikowania resztki, otwierała się i zamykała z wściekłością. Czy stwór wiedział, że może uciec na zewnątrz przez wybitą szybę? Przypuszczalnie tak, lecz najprawdopodobniej instynktownie zdawał sobie również sprawę z tego, że czeka go tam pewna śmierć.

Zaświergotał przeraźliwie.

Henry Devlin, laureat specjalnej nagrody Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego za opublikowany w „New York Timesie” artykuł „Koniec nienawiści”, obnażył zęby. Od razu poczuł się lepiej. Zaraz potem pokazał tamtemu środkowy palec. Za Beavera. I za Pete'a.

Uniósł broń, a wtedy łasica — może i głupia, ale nie całkiem — natychmiast znikła mu z oczu. Doskonale, przecież nawet na myśl mu nie przyszło, żeby strzelać do niej przez okno. Teraz zapewne przywarła do podłogi, i bardzo dobrze.

Henry ustawił przełącznik na ogień ciągły, nacisnął spust i posłał długą serię tam, gdzie — przynajmniej taką miał nadzieję, – znajdował się zbiornik paliwa.

Łoskot pistoletu maszynowego był ogłuszający, w boku samochodu pojawił się wielki ziejący otwór, lecz przez chwilę nic więcej się nie działo. W filmach wygląda to trochę inaczej, pomyślał Henry z goryczą, właśnie wtedy jednak usłyszał dziwny świszczący odgłos. Cofnął się odruchowo o krok, nogi wyjechały spod niego i runął ciężko na wznak. Chyba tylko dzięki temu nie stracił wzroku, a może i życia, ponieważ ułamek sekundy później nastąpiła potężna eksplozja, hummer stanął w płomieniach, tylne koła oderwały się i potoczyły każde w swoją stronę, odłamki szyb poszybowały w powietrzu tam, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się głowa Henry'ego. Zaraz potem uderzyła w niego fala gorąca, przekreślił się więc na brzuch i odpełził najprędzej, jak mógł, ciągnąc za sobą broń i śmiejąc się jak szalony. Rozległ się kolejny wybuch, w górze ze świstem przemknęły odłamki metalu.

Henry zatrzymał się dopiero przy najbliższym drzewie i wstał, chwytając się gałęzi, jakby to były szczeble drabiny. Kiedy w miarę pewnie stanął na nogach, odwrócił się i ogarnął spojrzeniem wspaniały widok: cała tylna część hummera stała w płomieniach. Za wcześniej jednak było na świętowanie zwycięstwa; musiał dopilnować, żeby było pełne i ostateczne. Wrócił ostrożnie szerokim łukiem i zbliżył się z drugiej strony do płonącego samochodu. Tak jak się spodziewał, wszystkie szyby były wybite — wszystkie z wyjątkiem przedniej. Łasica mogła się w każdej chwili wydostać z pułapki. Widział ją, jak miota się szaleńczo w ognistej kąpieli. Ile jeszcze zostało mu amunicji? Pięćdziesiąt sztuk? Dwadzieścia? Pięć? Musiało wystarczyć. Nie mógł teraz ryzykować powrotu do pojazdu Owena.

Czekał bez skutku pięć minut... dziesięć... piętnaście. Śnieg wciąż sypał wielkimi płatkami, hummer płonął, w niebo unosił się słup czarnego dymu, on zaś stał i myślał o paradzie podczas Dni Derry: Gary Bonds śpiewa „New Orleans”, a oto nadchodzi wysoki mężczyzna na szczudłach, ogromny, wyrastający wysoko ponad tłum kowboj, Duddits jest zachwycony, podskakuje jak piłka. Myślał o Peterze, czekającym na nich przed szkołą i udającym, że pali papierosa, o Peterze, który chciał zostać dowódcą pierwszej załogowej wyprawy na Marsa. Myślał o Beaverze, jego skórzanej kurtce z suwakami, o wykałaczkach, o

Beaverze śpiewającym Dudditsowi kołysankę, o Beaverze obejmującym Jonesy'ego podczas wesela i powtarzającym, że Jonesy musi teraz być szczęśliwy, musi być szczęśliwy za nich wszystkich.

Jonesy.

Gdy tylko Henry nabrał całkowitej pewności, że łasica nie żyje, ruszył ścieżką wiodącą wzdłuż brzegu, żeby sprawdzić, co z Jonesym. Nie miał wielkich nadziei, ale też nie poddał się całkiem zwątpieniu.

33

Jonesy'ego wiązał ze światem już tylko potworny ból. W pierwszej chwili pomyślał, że ten wychudzony, zarośnięty człowiek o okopconych policzkach jest częścią snu albo stanowi wytwór jego wyobraźni. Przekonanie to nasiliło się, kiedy przekonał się, że człowiekiem tym jest Henry.

— Hej, Jonesy! — Henry strzelił palcami tuż przed jego twarzą. — Jonesy, jesteś tam? Ziemia do Jonesy'ego!

— To ty, Henry? To naprawdę ty?

— Tak, ja.

Spojrzał na zwłoki psa wciśnięte częściowo w szczelinę, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Jonesy'ego i delikatnie odgarnął mu z czoła mokre od potu włosy.

— Cholera, długo... — Świat zachwiał się w posadach. Jonesy zacisnął powieki, odczekał chwilę, po czym dokończył:

— ...długo nie wracałeś z tego cholernego sklepu. Pamiętałeś chociaż o chlebie?

— Tak, lecz szlag trafił parówki.

— Ale duppek! — Jonesy z trudem nabrał powietrza. — Następnym razem sam pojedę.

— Całuj mnie w złamasa, przyjacielu — odparł Henry i Jonesy z uśmiechem zanurzył się w ciemność.

EPILOG ŚWIĘTO PRACY

Wszechświat to suka.
Norman Maclean

I już po kolejnym lecie, pomyślał Henry.

Wcale jednak się nie smucił; lato było w porządku i jesień też miała taka być, co prawda bez polowania, za to z jedną lub dwiema wizytami nowych przyjaciół w mundurach (nowi przyjaciele w mundurach chcieli wiedzieć, czy nie wyhodował sobie na ciele czegoś złocistoczerwonego), ale i tak wszystko będzie jak trzeba. Chłodne powietrze, jasne dni, długie noce.

Zdarzało się jeszcze, że w czarnoszarych godzinach przedświtu Henry'ego odwiedzał stary przyjaciel. Kiedy tak się działo, Henry po prostu siadał z książką w gabinecie i czekał, aż sobie pójdzie. W końcu odchodził i w końcu wstawało słońce. Sen, który ominął go tej nocy, niekiedy wracał następnej, i wtedy przychodził jak kochanka. Tego Henry zdążył się nauczyć od listopada ubiegłego roku.

Teraz popijał piwo na werandzie letniego domku Jonesy'ego i Carli w Ware, nad brzegiem Pepper Pond. Do południowego krańca Zbiornika Quabbin było stąd jakieś sześć kilometrów. I do East Street, ma się rozumieć.

Ręka, w której trzymał piwo, miała tylko trzy palce. Dwa pozostałe stracił w wyniku odmrożenia. Być może dorobił się go podczas narciarskiego biegu po Deep Cut Road albo później, gdy ciągnął nieprzytomnego Jonesy'ego do hummera. Chwilami czuł się tak, jakby pod koniec ubiegłego roku nie robił nic innego, tylko taszczył nieprzytomnych ludzi po śniegu. Zresztą z różnym wynikiem.

Blisko wąskiego spłachetka plaży Carla Jones zajmowała się grillem, Noel zaś kręcił się wokół turystycznego stolika z częściowo zwęgloną parówką w rączce. Pozostała trójka dzieci w wieku od lat trzech do jedenastu pluskała się w wodzie, czyniąc przy tym wręcz nieprawdopodobnie dużo hałasu. Henry byłby gotów zgodzić się z biblijnym nakazem rozmnażania się, bycia płodnym, i tak dalej, chwilami jednak nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Jonesy i Carla zanadto wzięli go sobie do serca.

Skrzypnęły drzwi i zjawił się Jonesy z wiaderkiem wypełnionym schłodzonymi puszkami piwa. Wcale tak bardzo nie utykał; tym razem lekarze uznali, że oryginalne wyposażenie do niczego się nie nadaje i zastąpili je stalowo-teflonowym cudem nowoczesnej protetyki, i tak by do tego doszło, gdyby jednak Jonesy trochę bardziej się szanował, stary sprzęt wytrzymałby jeszcze może nawet pięć lat. Operację przeprowadzono w lutym, wkrótce po ich wspólnych sześciotygodniowych przymusowych „wakacjach” na koszt wywiadu i kontrwywiadu wojskowego. Wojskowi chcieli nawet zafundować mu zabieg na koszt Wujka Sama, lecz Jonesy uprzejmie odmówił, tłumacząc, że nie chciałby pozbawiać pracy swojego znajomego chirurga ani ułatwiać życia firmie ubezpieczeniowej, ściągającej od niego co miesiąc potężną składkę.

Pod koniec pobytu w Wyoming myśleli tylko o tym, żeby jak najprędzej się stamtąd wydostać, chociaż pokoje były przyzwoite (pod warunkiem że nie miało się zastrzeżeń do mieszkania pod ziemią), a jedzenie pierwsza klasa, podobnie zresztą jak filmy. Niestety, atmosfera zanadto przypominała tę z „Dr. Strangelove'a”. Henry przeżył te sześć tygodni znacznie ciężiej niż Jonesy, który co prawda bardzo cierpiał, ale niemal wyłącznie fizycznie. Wspomnienia z okresu, kiedy dzielił ciało z Szarym, w zaskakująco krótkim czasie zbladły i upodobniły się do niewyraźnych śladów pozostawionych przez przykre sny.

Ze wspomnieniami Henry'ego działo się coś wręcz przeciwnego: stawały się coraz silniejsze. Najgorsze były te ze stodoły. Przesłuchujący go oficerowie nie ukrywali

współczucia, żaden z nich nie przypominał Kurtza, Henry jednak wciąż nie mógł zapomnieć Billa, Marshy i Darrena Chilesów. Często odwiedzali go w snach.

Podobnie jak Owen Underhill.

— Posiłki przybyły! — oznajmił Jonesy, stawiając na podłodze wiaderko z piwem, po czym z grymasem na twarzy i cichym stęknieniem zajął miejsce w swoim bujanym trzcinowym fotelu.

— Jeszcze najwyżej jedno — powiedział Henry. — Gdzieś za godzinę muszę wracać do Portland.

— Zostań na noc — zaproponował Jonesy, obserwując Noela. Maluch wpełzł pod stół, rozsiadł się wygodnie na trawie i próbował wepchnąć sobie do pępka resztki parówki.

— Żeby nie spać do północy, wsłuchując się w ryki twojego potomstwa, a potem uczestniczyć w maratonie trzeciorzędnych horrorów z lat pięćdziesiątych?

— Dałem sobie z nimi spokój. Dzisiaj mamy festiwal Kevina Costnera. Zaczynamy od „Bodyguarda”.

— Przed chwilą chyba mówiłeś, że dałeś sobie spokój z horrorami?

— Mądrała! — Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. — Zresztą rób, co chcesz.

Henry podniósł puszkę z piwem.

— Za nieobecnych przyjaciół.

— Za nieobecnych przyjaciół.

Stuknęli się, wypili.

— Co z Robertą? — zapytał Jonesy.

Henry uśmiechnął się lekko.

— W porządku. Co prawda po pogrzebie trochę się o nią bałem...

Jonesy skinął głową. Podczas pogrzebu Dudditsa musieli podtrzymywać ją z dwóch stron, w przeciwnym razie bowiem na pewno by upadła.

— ...ale teraz radzi sobie całkiem nieźle. Ostatnio wspomniała, że zamierza otworzyć sklep. Myślę, że to dobry pomysł. Oczywiście potwornie za nim tęskni. Po śmierci Alfiego Duddits stał się jej całym światem.

— Naszym też — przypomniał mu Jonesy.

— To prawda.

— Wciąż cholernie mi wstyd, że przez tyle lat go nie odwiedzaliśmy. Miał białaczkę, a żaden z nas nawet o tym nie wiedział.

— Pewnie, że wiedzieliśmy — odparł Henry.

Jonesy spojrział na niego z uniesionymi brwiami.

— Henry! — zawołała Carla. — Jaki ma być twój hamburger?

— Dobrze upieczony!

— W porządku. Byłbyś taki dobry i wygarnął małego spod stolika? Ta parówka jest już bardziej brudna niż ziemia. Zabierz mu ją i przekaż go tatusiowi.

Henry wstał, zszedł po schodkach, wziął Noela na rękę i wrócił z nim na werandę.

— Enny! — zawołał radośnie berbeć.

Henry stanął jak wryty, włoski zjeżyły mu się na karku.

Poczuł się tak, jakby ujrzał ducha.

— Enny, aaasz! Enny, aaasz! — wykrzykiwał chłopczyk, wpychając mu do ust resztki swojej parówki.

— Dziękuję, ale raczej zaczekam na hamburgera.

— Nie ceeesz aaaufki? Nie ceeesz?

— Raczej nie, i ty chyba też nie powinieneś jej już jeść. Dostaniesz nową, jak tylko będą gotowe.

Wyjął zgniecione szczątki z małej rączki, posadził dziecko na kolanach Jonesy'ego i zasiadł z powrotem w bujanym fotelu. Zanim Jonesy usunął musztardę i keczup z pępka synka, Noel już prawie spał.

— Co rozumiesz przez to „pewnie, że wiedzieliśmy”? — spytał Henry'ego.

— Sam pomyśl. Nawet jeśli go opuściliśmy, nawet jeśli zostawiliśmy go samego, to przecież on niczego takiego nie zrobił. Cały czas był z nami. Chyba nie wątpisz w to po tym wszystkim, co się zdarzyło?

Jonesy powoli pokręcił głową.

— Porobiło się tak trochę dlatego, że po prostu dorosliśmy, a trochę w wyniku tej historii z Richiem Grenadeau. Ta sprawa podziałała na nas mniej więcej tak samo jak półmisek państwa Rapeloew na Owena Underhilla.

Jonesy nie musiał prosić o wyjaśnienia; w Wyoming mieli pod dostatkiem czasu, żeby opowiedzieć sobie nawzajem swoje przeżycia.

— Jest taki stary wiersz o człowieku, który chciał prześcignąć Boga — ciągnął Henry. — Nazywa się „Niebiański chart”. Duddits nie był co prawda Bogiem, broń Boże, lecz na pewno był naszym chartem. Biegliśmy co sił, ale...

— ...i tak nie mogliśmy uciec z łowcy snów, prawda? — wpadł mu w słowo Jonesy. — Nikomu to się nie udało. A potem przylecieli oni. Byrum. Głupie zarodniki w statku kosmicznym zbudowanym przez kogoś innego. Tym właśnie byli? Tylko tym?

— Wątpię, żebyśmy się tego kiedykolwiek dowiedzieli. Zeszłej jesieni tak naprawdę wyjaśniło się tylko jedno: od stuleci patrzyliśmy w gwiazdy i zastanawialiśmy się, czy jesteśmy sami we wszechświecie. Teraz już wiemy, że nie. Wielkie halo, co? Gerritsen... Pamiętasz Gerritsena?

Jonesy skinął głową. Oczywiście, że pamiętał Terry'ego Gerritsena. Psycholog z marynarki wojennej, kierujący zespołem specjalistów, którzy zajmowali się Henrym i Jonesym, często żartował, że to typowe dla Wujy Sama, by umieścić oficera marynarki w miejscu odległym o kilkadziesiąt kilometrów od jakiegokolwiek większej wody. Gerritsen i Henry stali się sobie dosyć bliscy — jeśli nie zostali przyjaciółmi, to chyba tylko dlatego, że nie za bardzo pozwalały na to okoliczności. Obu przybyszów traktowano tam całkiem przyzwoicie, z pewnością jednak nie jak gości. Henry Devlin i Terry Gerritsen byli jednak kolegami po fachu, a to ułatwiało porozumienie.

— Gerritsen zaczął od tego, że jego zdaniem uzyskaliśmy odpowiedź na dwa pytania: że nie jesteśmy sami we wszechświecie i że nie jesteśmy jedynym rozumnym gatunkiem, który go zamieszkuje. Sporo musiałem się namęczyć, by go przekonać, że drugi wniosek wyciągnął na podstawie fałszywych przesłanek. Nie wiem, czy przekonałem go do końca, ale na pewno zasiałem ziarno wątpliwości. Kimkolwiek są nasi niedawni goście, z pewnością nie są budowniczymi statków kosmicznych, ci zaś, którzy je zbudowali, mogli już dawno wymrzeć — albo zostali wchłonięci przez byrum.

— Szary wcale nie był głupi.

— Ponieważ znalazł się w twojej głowie. Szary był tobą, i tyle. Ukradł twoje emocje, wspomnienia, zamiłowanie do bekonu...

— Teraz omijam go z daleka.

— Wcale się nie dziwię. Ukradł ci też podstawy twojej osobowości, czyli również podświadomość, to coś, co tkwiło gdzieś głęboko w twojej duszy i kazało ci się zachwycać filmami Maria Bravy albo Sergia Leone. Strach, lęk, obawy, walka... Szaremu ogromnie się to spodobało, i nic dziwnego. To przecież podstawowe narzędzia w walce o przetrwanie. Będąc ostatnim przedstawicielem swego gatunku w obcym, wrogim środowisku, korzystał z wszystkich narzędzi, jakie nawinęły mu się pod rękę.

Mina Jonesy'ego świadczyła o tym, że ta teoria zupełnie mu się nie podoba.

— Bzdury!

— Wcale nie. W Dziurze zobaczyłeś to, co spodziewałeś się zobaczyć, czyli Obcego z „Archiwum X” skrzyżowanego z ET z „Bliskich spotkań trzeciego stopnia”. Wciągnąłeś byrasa do płuc... musiało dojść przynajmniej do takiego kontaktu fizycznego... ale okazało się, że jesteś na niego całkowicie odporny. Teraz już wiemy, że podobnie mają się sprawy co najmniej z połową ludzkości. Zaraziłeś się tylko intencjami, czymś w rodzaju ślepego nakazu. Cholera, nie ma na to właściwego słowa, bo nie może go być, ale wydaje mi się, że Szary pojawił się w tobie wyłącznie dlatego, że w niego uwierzyłeś.

— Chcesz powiedzieć, że o mało nie doprowadziłem do zagłady ludzkości, ponieważ przydarzyło mi się coś w rodzaju ciąży urojonej? — zapytał Jonesy, patrząc na Henry’ego nad główką śpiącego synka.

— Skądże znowu. Gdyby to było coś takiego, szybko by minęło. Problem polegał na tym, że w twoim umyśle koncepcja istnienia kogoś takiego jak Szary ugrzęzła jak mucha w pajęczynie.

— Ugrzęzła w łowcy snów...

— Otóż to.

Umilkli. Niedługo zawoła ich Carla, zejda na trawę, siada przy stoliku pod kopułą błękitnego, przejrzystego nieba, i będą zjadać hamburgery, sałatkę ziemniaczaną i arbuzy.

— Więc to był tylko przypadek? — zapytał Jonesy po jakimś czasie. — Przypadkowo wylądowali w rejonie Jefferson Tract, a ja przypadkowo się tam znalazłem? Nie tylko ja zresztą: ty, Pete, Beaver, no i Duddits, zaledwie sto kilkadziesiąt kilometrów na południe. Bo to Duddits trzymał nas razem.

— Duddits zawsze był jak obosieczny miecz — odparł Henry. — Z jednej strony Josie Rinkenhauer: Duddits bohater, Duddits dobroczyńca. Z drugiej strony Richie Grenadeau: Duddits zabójca. Tyle że bez naszej pomocy Duddits nikogo by nie zabił, jestem tego pewien. Czerpał z naszych, znacznie głębszych pokładów podświadomości. Dostarczyliśmy mu nienawiści i strachu. Zawsze było w nas więcej mroku niż w Dudditsie. Jego wyobrażenie zła sprowadzało się do psucia licytacji, a i to traktował raczej w kategoriach świetnej zabawy. Chociaż... Pamiętasz, jak Pete ściągnął mu kiedyś czapkę na oczy i Duddits grzmotnął nim o ścianę?

Istotnie, zdarzyło się coś takiego. Chyba w jakimś centrum handlowym, kiedy byli jeszcze w tym wieku, że lubili tam chodzić. Codziennie to samo gówno.

— Potem przez dłuższy czas Pete zawsze przegrywał, grając z Dudditsem. Z nami Duddits się bawił, z nim grał na poważnie. Wtedy pewnie wydawało nam się, że to przypadek, ale teraz, w świetle tego, co już wiemy, nie byłbym tego taki pewny.

— Myślisz, że Duddits wiedział, że kiedyś trzeba płacić i płakać?

— Nauczył się tego od nas.

— Tak jakby dał Szaremu punkt zaczepienia...

— Owszem, ale nie zapominaj, że gdyby nie Duddits, nie miałbyś gdzie ukryć się przed Szarym.

Jonesy wątpił, żeby kiedykolwiek udało mu się o tym zapomnieć.

— Jeśli o nas chodzi, to wszystko zaczęło się właśnie od Dudditsa — ciągnął Henry. — Odkąd go poznaliśmy, staliśmy się trochę dziwni, inni od pozostałych, i zaczęły nam się przydarzać dziwne rzeczy. Wielkie, łatwo dostrzegalne, takie jak ta historia z Richiem Grenadeau, ale i małe, prawie niezauważalne. Jeśli teraz spojrzysz wstecz na swoje życie, na pewno dostrzeżesz ich całe mnóstwo.

— Defuniak... — mruknął Jonesy.

— Kto to taki?

— Chłopak, którego tuż przed wypadkiem przyłapałem na oszustwie. Najzabawniejsze, że nawet nie byłem obecny na tym egzaminie...

— Sam widzisz. Koniec końców, to właśnie Duddits złamał tego małego szarego sukinsyna. Powiem ci coś jeszcze: przypuszczam, że również ocalał mi życie wtedy, na końcu East Street. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że kiedy ten pomagier Kurtza zajrzał do naszego hummera, usłyszał w głowie cichy głos Dudditsa: „Wszystko w porządku, nie ma się czym przejmować, ci dwaj nie żyją”.

Jonesy postanowił jednak wrócić do poprzedniej myśli.

— Czyli mamy uwierzyć, że byrum zupełnie przypadkowo nawiązał kontakt właśnie z nami, chociaż mógł wybierać spośród kilku miliardów ludzi? Tak uważał Gerritsen. Nie powiedział tego wprost, ale na pewno tak właśnie myślał.

— Czemu nie? Są przecież uczeni, bardzo mądzy ludzie, tacy jak Stephen Jay Gould, którzy twierdzą, że ludzkość istnieje wyłącznie dzięki znacznie dłuższemu i dużo mniej prawdopodobnemu łańcuchowi zbiegów okoliczności.

— Ty też w to wierzysz?

Henry uniósł ręce. Nie bardzo wiedział, jak odpowiedzieć bez powoływania się na Boga, który w ciągu minionych kilku miesięcy niepostrzeżenie znowu zjawił się w jego życiu, korzystając z tylnych drzwi i bezsennych nocy. Czyżby inaczej nie dało się tego wszystkiego wyjaśnić? Czy nie mogło się obyć bez *deus ex machina*?

— Wierzę, że Duddits jest nami, a my nim. *L'enfant c'est moi... toi... tout le monde*. Rasa, rodzaj, gatunek. Gem, set, mecz. Wszyscy razem tworzymy jednego Dudditsa, a nasze pragnienia i dążenia sprowadzają się w sumie do tego, żeby nie zgubić złotego pudełka na drugie śniadanie i żeby nauczyć się prawidłowo wkładać buty, najokropniejsze zaś, co jesteśmy w stanie wymyślić, to licytować po wariacku podczas gry w karty, a potem udawać, że o niczym nie mamy pojęcia.

Jonesy wpatrywał się w niego z zapartym tchem.

— Wiesz co? To jest albo wspaniałe, albo okropne. Sam nie wiem jakie.

— To bez znaczenia.

Jonesy zastanowił się przez chwilę, po czym zapytał:

— Skoro jesteśmy Dudditsem, to kto nam śpiewa kołysankę, kto kładzie nas do łóżka, kto pociesza nas, kiedy ogarnia nas smutek i zniechęcenie?

— Oczywiście Bóg — odparł Henry i mało nie kopnął się w kostkę. Jednak mu się wymknęło, na przekór postanowieniom.

— Czy to Bóg nie dopuścił, żeby ostatnia pozostała przy życiu łasica dostała się do szybu? Gdyby wtedy...

Ostatnią była właściwie ta, która dojrzewiała we wnętrznościach Perlmuttera, ale Jonesy poruszył istotną kwestię, wyciągnął włos, którego nie dało się już podzielić na czworo.

— Owszem, narobiłaby kłopotów, nie przeczę. Przez kilka lat mielibyśmy spore problemy, ale czy to by nas zniszczyło?

Nie sądzę. Byliśmy dla nich czymś zupełnie nowym. Szary zdawał sobie z tego sprawę, bo na nagraniach, które robili ci pod hipnozą...

— Nie mów o nich.

Jonesy wysłuchał dwóch taśm i uważał, że był to największy błąd, jaki popełnił podczas pobytu w Wyoming. Słuchając siebie mówiącego jak Szary — w głębokiej hipnozie po prostu stał się Szarym — miał wrażenie, że stoi twarzą w twarz z groźnym upiorem. Chwilami wydawało mu się, że jest jedynym człowiekiem na świecie, który całkowicie i do końca rozumie, czym jest gwałt. Są rzeczy, o których powinno się jak najszybciej zapomnieć.

— Przepraszam.

Jonesy machnął lekceważąco ręką, co jednak nie zmieniło faktu, że wyraźnie poblądł.

— Chcę powiedzieć tylko tyle, że w mniejszym lub większym stopniu my jako gatunek żyjemy w łowcy snów. Wiem, że to brzmi okropnie, tani transcendentalizm i tak dalej, ale

inaczej nie da się tego opisać. Być może kiedyś stworzymy właściwe słowa, tymczasem jednak musi nam wystarczyć to, które mamy: łowca snów.

Henry odwrócił się w fotelu. Jonesy zrobił to samo, podniósłszy nieco śpiącego w jego objęciach Noela. Nad drzwiami wejściowymi do domku wisiał łowca snów. Henry przywiózł go jakiś czas temu w prezencie, a Jonesy natychmiast zawiesił nad drzwiami, niczym katolicki chłop wieszający krucyfiks na ścianie chaty w porze grasowania wampirów.

— Może coś przyciągnęło ich do ciebie... do nas — ciągnął Henry. — Tak jak kwiaty kierują się do słońca albo żelazne opiłki zbiegają się wokół magnesu. Na razie nic prawie nie wiemy, bo znanadto się od nas różnili.

— Wróć?

— O, tak. Jeśli nie oni, to inni. — Henry wzniósł wzrok ku jasnoblękitnemu niebu. Gdzieś daleko, po tej stronie, gdzie znajdował się Zbiornik Quabbin, wrzasnął orzeł. — Myślę, że mamy to pewne jak w banku.

— Chłopcy! — zawołała Carla. — Obiad gotowy!

Henry wziął Noela od Jonesy'ego. W chwili kiedy zetknęły się ich dłonie, zetknęły się też umysły i przez mgnienie oka obaj widzieli linię. Uśmiechnęli się do siebie, a następnie ramię w ramię zeszli po schodkach — Jonesy lekko utykając, Henry z jego dzieckiem w ramionach. Ciemność pozostała tylko w dwóch plamach cienia, które sunęły za nimi po trawie.

Lovell, Maine
29 maja 2000

OD AUTORA

Jeszcze nigdy pisanie nie sprawiało mi takiej radości jak podczas pracy nad „Łowcą snów”, czyli między 16 listopada 1999 a 29 maja 2000. W ciągu tych sześciu i pół miesiąca sporo cierpiałem, ale książka pozwalała mi o tym zapomnieć.

Czytelnik z pewnością wytropi w książce ślady tego cierpienia, ja jednak przede wszystkim zapamiętam cudowne ukojenie, jakie dają nam przeżywane na jawie sny.

Pomagało mi wiele osób. Jedną z nich jest moja żona Tabitha, która kategorycznie zaprotestowała przeciwko opublikowaniu tej książki pod pierwotnym tytułem, który brzmiał „Rak”. Nie podobał jej się, uważała, że to kuszenie złego losu. W końcu dałem się przekonać, ona zaś przestała mówić „ta książka”, albo „ta o gównianych łasicach”.

Jestem również bardzo zobowiązany Billowi Pula, który zawiózł mnie nad Zbiornik Quabbin, oraz jego kompanom:

Peterowi Baldracciemu, Terry’emu Campbellowi i Joe McGinnowi. Inna gromadka, której członkowie woleliby chyba pozostać anonimowi, zafundowała mi przejażdżkę wojskowym hummerem wokół bazy Air National Guard, następnie ci szaleńcy pozwolili mi usiąść za kierownicą, twierdząc, że tym potworem nie zdołam się nigdzie zakopać. Rzeczywiście, nie zdołałem, chociaż niewiele brakowało. Prosilili również, by wam przekazać, że hummery lepiej radzą sobie w błocie niż w śniegu, co niniejszym czynię. W książce wygląda to trochę inaczej, ale cóż, książki rządzą się własnymi prawami.

Dziękuję również Susan Moldow i Nan Graham ze Scribnera, Chuckowi Verillowi, który redagował tę książkę, oraz Arthurowi Greene’owi, który był jej agentem. Nie mogę również nie wspomnieć o Ralphie Vicinazy, moim agencie od praw zagranicznych, który znalazł co najmniej sześć sposobów, żeby powiedzieć po francusku „nie ma niebezpieczeństwa zarażenia”.

I jeszcze jedno. Podczas pracy nad tą książką korzystałem z najlepszego edytora tekstów na świecie: wiecznego pióra firmy Waterman. Pisząc ręcznie całą pierwszą wersję tak długiej powieści, obcowałem z językiem pisanym tak blisko, jak nie zdarzyło mi się od wielu lat. Pewnej nocy, w związku z brakiem prądu spowodowanym jakąś awarią, pracowałem nawet przy blasku świecy. W dwudziestym pierwszym wieku nieczęsto zdarzają się takie okazje, więc trzeba je smakować.

Dziękuję wszystkim, którzy dotarli ze mną aż tutaj.

Stephen King